

Powieści Nory Roberts to fenomen wydawniczy. Na świecie co pięć minut ktoś kupuje jej książkę!

Barwna, zachwycająca powieść o dwóch samotnych sercach, które szukają miłości i ukojenia

Nate Burke, policjant, który nie może się otrząsnąć po śmierci swojego partnera, przyjmuje posadę komendanta policji w małym miasteczku Lunacy na Alasce. Wydaje mu się, że czeka tu na niego tylko monotonia i rutyna, tymczasem niewyjaśniona zbrodnia sprzed 16 lat zatrzymuje go na dłużej. Aby przeprowadzić śledztwo, musi pokonać wrogość i niechęć mieszkańców Lunacy, którzy nie wierzą, że wśród nich może ukrywać się morderca. W dochodzeniu pomaga mu jedynie Meg Gallo-way, intrygująca, niezależna kobieta, która zna nietatwe życie na Alasce. Odkrywając tajemnicę tragedii sprzed lat, Nate i Meg zbliżają się do siebie, a temperatura ich uczuć niepokojąco wzrasta.

Nora Roberts, amerykańska autorka kilkudziesięciu powieści dla kobiet, laureatka wielu nagród literackich, mistrzyni w łączeniu wątków roman-sowych, sensacyjnych i przygodowych. Od 1999 roku każda jej powieść trafia na listę bestsellerów „New York Timesa”. Po polsku ukazały się m.in.: *Wieży krwi*, *Gorący łód*, *Noc na bagnach Luizjany*, *Błękitna zatoka*.

Nowości i zapowiedzi
www.swiatksiazki.pl

ISBN 83-7391-821-3



9 788373 918214

Cena 34,90 zł

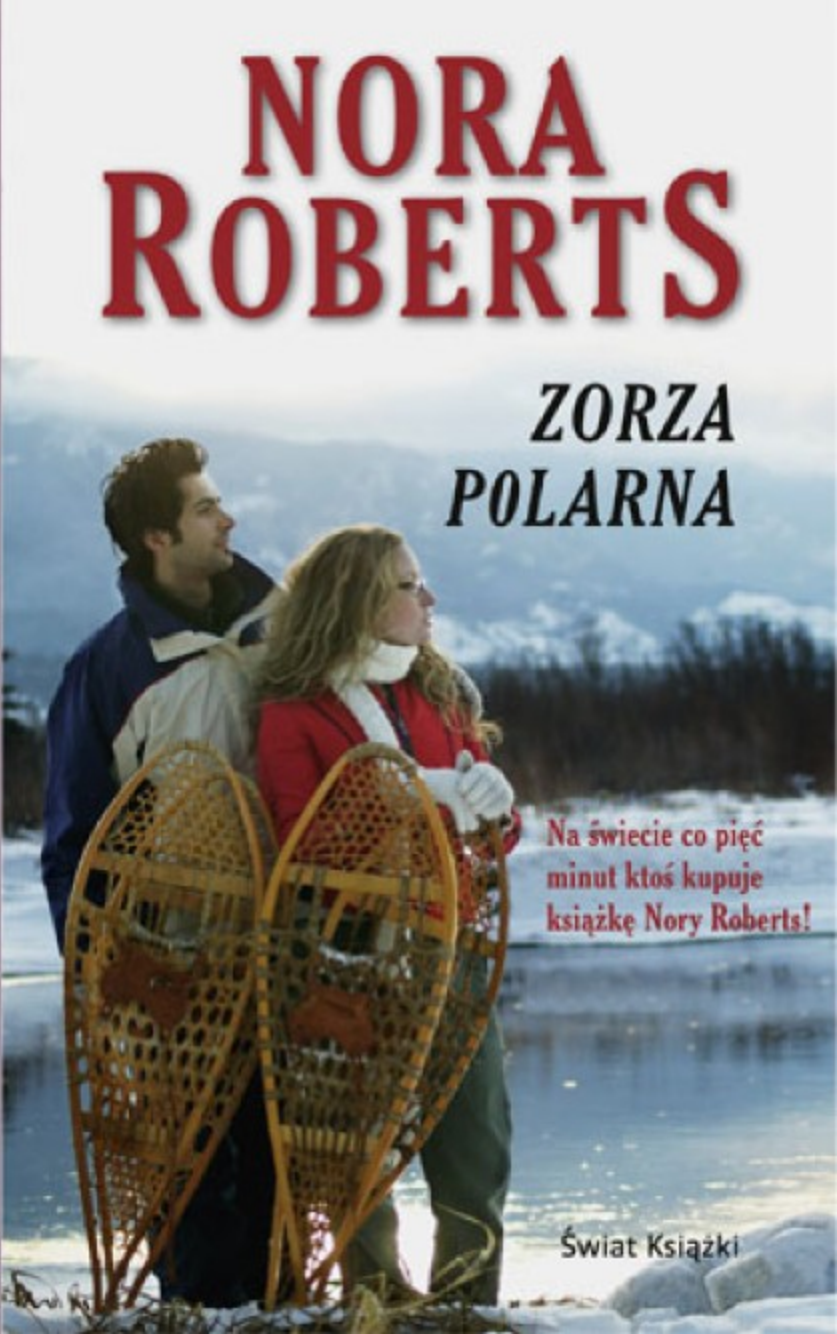
Nr 5088



Gandalf.com.pl
 **Gandalf**
KSIĘGARNIA INTERNETOWA

NORA ROBERTS

ZORZA POLARNA



Na świecie co pięć
minut ktoś kupuje
książkę Nory Roberts!

Świat Książki

NORA ROBERTS

ZORZA POLARNA

Ciemność

Skończ to, miła pani.
Dzień jasny minął i dążymy w mroki.

WILLIAM SZEKSPIR
(przeł. Maciej Słomczyński)

O ciemno, ciemno, choć blask południowy.
Nigdy nowego dnia już nie zobaczą,
Noc czarna, wieczna noc mnie otoczyła
I nigdy już się nie zmieni!

JOHN MILTON
(przeł. Władysław Bartkiewicz)

Prolog

Zapiski z wyprawy, 12 lutego 1988 r.

W samo południe wylądowaliśmy na Sun Glacier. Podczas lotu pozbyłem się francowatego kaca, a roztaczające się wokół widoki przywołały mnie do rzeczywistości. Niebo czyste, błękitne jak kryształ. Tego typu błękit wciskają na widokówki, a chcąc jeszcze bardziej skusić turystów, dodają delikatną mgiełkę wokół zimnego, białego słońca. Zakładam, że to dobry znak i rzeczywiście powinienem wybrać się na wspinaczkę. Wiatr wieje z prędkością około dziesięciu węzłów, balsamiczne powietrze może mieć około dwudziestu stopni poniżej zera. Lodowiec jest szeroki jak dupa Kurwiastej Kate i zimny jak jej serce.

Muszę przyznać, że Kate ładnie nas wczoraj pożegnała. Nawet dała nam coś, co można by nazwać grupową zniżką.

Nie mam pojęcia, co my tu, do diabła, robimy, chociaż z drugiej strony każdy człowiek musi gdzieś być i coś robić. Zimowa wspinaczka na No Name jest tak samo dobra jak wszystko inne, a może nawet lepsza.

Mężczyzna musi od czasu do czasu wybrać się na tygodniową wyprawę w poszukiwaniu przygód, jednak pod warunkiem, że owe przygody nie mają nic wspólnego z alkoholem i rozwiązłymi kobietami. Jakże inaczej można doceniać alkohol i kobiety, jeśli czasem się od nich nie ucieknie?

Fakt, że spotkałem dwóch równie narwanych jak ja kumpli, nie tylko przyniósł mi szczęście w kartach, ale również znacznie poprawił mi nastrój. Niewiele rzeczy działa na mnie tak odpychająco jak normalna robota za

dniówkę, czyli zwyczajny kierat typowych wołów roboczych, ale muszę przyznać, że pewna pani umie pociągnąć za odpowiednie sznurki.

Nieoczekiwanie wpadło mi w ręce nieco gotówki, co powinno usatysfakcjonować moje dziewczyny, uważam więc, że teraz mam prawo urządzić sobie kilkudniową wyprawę z kumplami, zrobić coś tylko dla siebie.

Muszę sobie przypomnieć, że wciąż jeszcze żyję, a czyż jest lepszy sposób na to niż zmaganie się z naturą i bezsensowne ryzykowanie życia albo kończyn w towarzystwie innych mężczyzn? W dodatku robienie tego z czystej głupoty, nie za pieniądze, nie z obowiązku i nie dlatego, że jakaś kobieta koniecznie chce sprawdzić, czy aby na pewno jestem facetem z jajami, świadczy o tym, że jeszcze tli się we mnie jakaś iskierka.

Na Alasce robi się coraz tłoczniej. Drogi biegną tam, gdzie niegdyś w ogóle ich nie było, ludzie mieszkają na bezludnych dotychczas terenach. Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, zaludnienie było znacznie mniejsze, a cholerni stanowi nie wtykali nosa w nie swoje sprawy.

Jakieś zezwolenie na wspinaczkę? Na wędrówkę po górach? Chrzanić zezwolenie i chrzanić stanowych, ich przepisy i papierki! Góry stały tu wcześniej, nim pieprzeni biurokraci wymyślili, w jaki sposób zbić na nich majątek. I będą stały nadal, gdy urzędnicy powędrują do piekła.

Tymczasem jestem tutaj, na ziemi, która nie należy do nikogo. Święta ziemia nie może do nikogo należeć.

Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby można było zamieszkać na tej górze, rozbiłbym na niej namiot i nigdy nie schodził w dolinę. Niestety, niezależnie od tego, czy ktoś uważa tę ziemię za świętą, czy nie, jest w stanie zabić człowieka, co więcej, potrafi zrobić to bezlitośnie i o wiele szybciej niż najbardziej dokuczliwa żona.

Postanowiłem więc spędzić tu tydzień w towarzystwie mężczyzn, którzy myślą podobnie jak ja, wspinając się na szczyt, który nie ma nazwy i wznosi się nad miasteczkiem, nad rzeką i jeziorami, na granicy, którą wymyślili urzędnicy. Wyznaczyli ją na ziemi, która drwi z ich mizernych prób ujarznienia i zachowania w nienaruszonym stanie.

Alaska nie należy do nikogo, sama sobie jest panią, niezależnie od tego, ile pojawi się na niej dróg, znaków i przepisów. To ostatnia z dzikich kobiet i Bóg ją za to kocha. Ja też.

Nim zdążyliśmy założyć bazę, słońce schowało się za majestatycznymi

szczytami, a my zanurzyliśmy się w typowo zimowej ciemności. Słóczeni w namiocie, najedliśmy się do syta, wypaliliśmy trawkę i pogadaliśmy o jutrze.

Jutro czeka nas wspinaczka.

W drodze do Lunacy, 28 grudnia 2004 r.

Ignatious Burke leciał między ośnieżonymi zboczami gór w stronę miasteczka zwanego Lunacy. Tkwił uwięziony w trzęsącej się puszcze na zupe, beztrosko nazywanej przez niektórych samolotem, a za skutą lodem szybą dmuchał lodowaty wiatr. W takich oto warunkach doznał nagle olśnienia.

Wcale nie był tak przygotowany na śmierć, jak mu się wydawało.

Była to potworna myśl, zwłaszcza że jego los spoczywał w rękach obcego człowieka, który miał na sobie kanarkowo-żółtą, watowaną kurtkę i niemal całkowicie ukrywał twarz w fałdach pomarszczonej skóry.

Na lotnisku w Anchorage sprawiał wrażenie dobrego pilota, ale pewnie tylko dlatego, że najpierw serdecznie uściśnął dłoń Nate'a, a dopiero potem wskazał kciukiem puszkę na zupe ze śmigłami.

– Mów mi Palant – zaproponował.

Wtedy Nate po raz pierwszy poważnie się zaniepokoił.

Co za idiota wsiada do fruwającej puszki, którą pilotuje facet zwany Palantem?

Niestety, o tej porze roku jedynym pewnym sposobem dostania się do Lunacy był samolot. Tak przynajmniej twierdziła pani burmistrz Hopp, kiedy Nate omawiał z nią szczegóły podróży.

Samolot ostro skręcił w prawo. Czując ucisk w żołądku, Nate zaczął się zastanawiać, jak pani burmistrz Hopp rozumie słowo „pewny”.

W końcu doszedł do wniosku, że to i tak nie ma większego znaczenia. Życie lub śmierć – czymże to jest wobec wieczności? Kiedy w Baltimore-Washington wchodził na pokład ogromnego odrzutowca, uznał, że tak czy inaczej jego życie powoli dobiega kresu.

Policyjny psychoanalityk radził Nate'owi, żeby nie podejmował ważnych decyzji, póki nie pokona depresji, mimo to bez żadnego konkretnego powodu złożył podanie o stanowisko komisarza policji w Lunacy. O wyborze zdecydował fakt, że nazwa miejscowości wydała mu się jak najbardziej odpowiednia. W końcu „lunacy” to szaleństwo, obłąd.

Przyjmując stanowisko, jedynie wzruszył ramionami w geście, który mówił: „A kto by się tym przejmował”.

Teraz jednak, walcząc z mdłościami i drżąc z powodu nagłego olśnienia, Nate zdał sobie sprawę, że nie tyle martwi go sama śmierć, co sposób, w jaki mógłby zginąć. Po prostu nie chciał rozstawać się z tym światem, pakując się w pieprzonym mroku w zbocze góry.

Gdyby został w Baltimore, słuchał rad psychoanalityka i zwierzchników, mógłby przynajmniej wykonywać swoje obowiązki. To nie byłoby wcale takie straszne.

Prawda wyglądała tak, że w którymś momencie po prostu go poniosło i oddał legitymację. Być może nie spalił za sobą mostów, ale z pewnością je podpalił, a teraz skończy marnie jako krwawa plama gdzieś w górach Alaski.

– Tam zawsze trochę telepie – wyjaśnił Palant z typowo teksaskim akcentem.

Nate przełknął kluczę, która utkwiała mu w gardle.

– Ale tu jest lepiej.

Palant uśmiechnął się i puścił do Nate'a perskie oko.

– To był pikuś. Powinien pan zobaczyć, co się dzieje przy czołowym wietrze.

– Dziękuję, nie skorzystam. Ile drogi nam jeszcze zostało?

– Niedużo.

Samolocik podskakiwał i drżał. Nate poddał się i zamknął oczy. Modlił się, żeby przed niezbyt dostojną śmiercią wcześniej nie obrzygać sobie butów.

Nigdy więcej nie wsiądzie do samolotu. Jeśli przeżyje, wyjedzie z Alaski... albo opuści ją na piechotę... lub wypelznie. Na pewno już nigdy nie wzbije się w powietrze.

Samolot gwałtownie zanurkował. Nate mimo woli otworzył oczy. Przez przednią szybę ujrzał efekt wspaniałego zwycięstwa słońca nad mrokiem, zdumiewającą jasność, która zabarwiła niebo na perłowo, a świat w dole pokryła białymi i błękitnymi smugami, gwałtownymi wzniesieniami, lśniącymi skupiskami pokrytych lodem jezior i długimi rzędami obsypanych śniegiem drzew.

Na wschodzie widać było giganta, którego miejscowi nazywają Denali albo po prostu Góra. Chociaż Nate sprawdził w przewodnikach tylko najważniejsze rzeczy na temat Alaski, dowiedział się, że jedynie przybysze z zewnątrz nazywają ją McKinley.

Przyglądając się jej z samolotu, uznał, że jest zbyt ogromna, by mogła być realna. Gdy promienie słońca rozprzestrzeniły się po błękitnym niebie niczym boże palce, wszędzie pojawiły się cienie, niebieskie plamy na białym tle.

Coś drgnęło w sercu Nate'a. Na chwilę zapomniał o podchodzącym do gardła żołądku, ciągłym warkocie silnika, nawet o przenikliwym chłodzie, który panował we wnętrzu samolotu.

– Jest ogromna, no nie?

– Taak. – Nate odetchnął głęboko. – Rzeczywiście jest ogromna.

Chociaż skierowali się na zachód, ani na chwilę nie stracili z oczu potężnego szczytu. Teraz Nate zauważył, że to, co wcześniej uznał za pokrytą lodem drogę, było wijącą się, zamrzniętą rzeką. Nad jej brzegami stały domy i zabudowania, auta i ciężarówki.

Miał wrażenie, że właśnie znalazł się w zamrzniętej, śnieżnej krainie, którą trzeba potrząsnąć, żeby obudzić ją do życia, krainie, gdzie wszystko jest białe, nieruchome i pogrążone w oczekiwaniu.. Nagle coś stuknęło o podłogę.

– Co to?

– Podwozie. To Lunacy.

Samolot tak gwałtownie obniżył lot, że Nate kurczowo chwycił się siedzenia i zaparł się nogami.

– Co takiego? Lądujemy? Gdzie?

– Na rzece. O tej porze roku jest całkowicie zamrznięta. Nie ma się czym martwić.

– Ale...

– Lądujemy na płozach...

– Takich większych nartach?

Nate nagle sobie przypomniał, że nienawidzi sportów zimowych.

– Nie lepsze byłyby łyżwy?

Palant wybuchnął gromkim śmiechem. Samolot dotknął lodu.

– To byłoby straszne gówno. Samolot na łyżwach! Kretyński pomysł.

Samolot podskoczył, prześlizgnął się kawałek, po czym z wdziękiem zatrzymał się na środku rzeki. Palant wyłączył silniki. W nagłej ciszy Nate usłyszał bicie własnego serca.

– Niezależnie od tego, ile by panu zapłacili, zawsze będzie to za mało – wydukał Nate. – Nie ma szans, żeby mogli zapłacić panu tyle, ile powinni.

– Do diabła, tam! – Palant poklepał Nate'a po ramieniu. – Nie chodzi o pieniądze. Witamy w Lunacy, panie komendancie.

– Cieszę się, że tu jestem.

Nate zrezygnował z pocałowania ziemi. Obawiał się, że nie tylko wyglądałoby

to śmiesznie, ale na dodatek mógłby do niej przymarznąć. Wystawił zdrętwiałe nogi z samolotu i modlił się, żeby zechciały go donieść do jakiegoś ciepłego, spokojnego i w miarę normalnego miejsca.

Na razie musiał się skupić na pokonaniu sporego kawałka lodu bez połamania sobie nóg lub skręcenia karku.

– Niech się pan nie martwi, panie komendancie, o swój bagaż! – zawołał Palant. – Zaraz go przyniosę.

– Dzięki.

Nate z trudem utrzymywał równowagę. W pewnej chwili zauważył, że ktoś stoi na brzegu. Osoba ta miała na sobie brązową kurtkę z kapturem obszytym czarnym futerkiem. Niecierpliwie paliła papierosa, wypuszczając co chwila niewielkie obłoczki dymu. Traktując ją jako drogowskaz, Nate wędrował po lodzie, starając się zachować resztki godności.

– Ignatious Burkę?

Głos był zachrypnięty, wyraźnie należał do kobiety i unosił się w powietrzu wraz z obłokami dymu. Nate po raz ostatni poślizgnął się, odzyskał równowagę i z bijącym sercem wyszedł na brzeg.

– Anastasia Hopp – przedstawiła się.

Wyciągnęła rękę i nie zdejmując rękawiczki, jakimś cudem uściśnęła mu dłoń.

– Trochę pan zzieleniał. Palancie, czyżbyś po drodze próbował zabawiać naszego nowego komendanta?

– Nie, psze pani, ale trochę wiało.

– Zawsze wieje. Widzę, że jest pan przystojny. Nawet gdy ma pan nudności. Proszę, to panu pomoże.

Wyjęła z kieszeni srebrną piersiówkę i wcisnęła mu ją do ręki.

– Eee...

– Niech się pan nie wzbrania. Jeszcze nie jest pan na służbie. Odrobina brandy na pewno nie zaszkodzi.

Nate w głębi duszy zgodził się z panią burmistrz, odkręcił więc zakrętkę butelki i pociągnął z niej spory łyk. Natychmiast poczuł, jak płynny ogień spływa mu prosto do żołądka.

– Dzięki.

– Pokażę panu pokój w Lodge, gdzie będzie pan mógł nieco odsapnąć.

Prowadziła Nate'a wydeptaną ścieżką.

– Później, gdy przestanie się panu kręcić w głowie, oprowadzę pana po

miasteczku. Kawał drogi z Baltimore.

– Taak, spory kawał.

Wszystko wyglądało jak na planie filmowym. Zielone i białe drzewa, rzeka, śnieg, budynki z drewnianych bali, dym unoszący się kłębamii z kominów i rur. Wszystko senne i rozmazane. W tym momencie Nate zdał sobie sprawę, że widzi świat w ten sposób nie tylko z powodu mdłości, ale i wyczerpania. Podczas podróży samolotem w ogóle nie spał. Obliczył, że po raz ostatni znajdował się w pozycji horyzontalnej niemal dwadzieścia cztery godziny temu.

– Piękny, jasny dzień – powiedziała. – Góry w pełnej krasie... Takie obrazki przyciągają do nas turystów.

Rzeczywiście widok przypominał kartkę pocztową, może dlatego trochę przytłaczał. Nate czuł się tak, jakby nagle znalazł się na planie filmowym... albo w czyimś śnie.

– Widzę, że odpowiednio się pan ubrał. – Mówiąc to, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. – Wielu przybyszów z okolic położonych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika pojawia się tu w eleganckich płaszczach i botkach. Potem odmrażają sobie tyłki.

Wszystko, co miał na sobie, łącznie z grubą bielizną i zawartością walizek, zamówił bezpośrednio u Eddiego Bauera zgodnie z sugestiami i listą, które Hopp przekazała mu pocztą elektroniczną.

– Bardzo dokładnie napisała mi pani, czego mogę się tu spodziewać.

Przytaknęła.

– Bardzo dokładnie napisałam również, czego my się spodziewamy. Nie zawieź mnie, Ignatiousie.

– Nate. Nie mam zamiaru, proszę pani.

– Mów mi Hopp. Wszyscy tak mnie tu nazywają. Weszła na długą drewnianą werandę.

– To Lodge. Hotel, bar, restauracja, centrum życia towarzyskiego. W ramach twojego wynagrodzenia wynajęliśmy ci tu pokój. Jeśli będziesz chciał zamieszkać gdzie indziej, masz wolną rękę. Właścicielką Lodge jest Charlene Hidel. Podaje dobre posiłki i dba o czystość. Zajmie się tobą. Spróbuje również dorwać się do twoich portek.

– Słucham?

– Jesteś przystojnym mężczyzną, a Charlene ma słabość do mężczyzn. Jest dla ciebie nieco za stara, chociaż z pewnością wcale tak nie uważa. Sam

zadecydujesz, czy jej ulec, czy nie. Wszystko w twoich rękach.

Kiedy się uśmiechnęła, Nate dostrzegł pod kapturem okrągłą jak jabłko, rumianą twarz. Hopp miała błyszczące, orzechowo-brązowe oczy, wąskie, duże usta o ruchliwych kącikach.

– Jak na całej Alasce, tak i tutaj mamy sporą nadwyżkę mężczyzn, ale to wcale nie oznacza, że wkrótce wokół ciebie nie zaczną krążyć sporo kobiet. Jesteś świeżym kaskiem i wiele z nich będzie miało ochotę sprawdzić, do czego się nadajesz. W wolnym czasie możesz robić, co zechcesz, Ignatioucie. Tylko nie uganiaj się za dziewczynami, gdy będziesz na służbie.

– Zapiszę to sobie.

Jej śmiech zabrzmiał jak klakson. Były to dwa krótkie wybuchy. Chcąc je podkreślić, poklepała go po ramieniu.

– Może powinieneś...

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wprowadziła Nate'a do cudownie ciepłego pomieszczenia.

Poczuł zapach dymu, kawy, smażonej cebuli i damskich perfum typu „przeleć mnie”.

Przestronne pomieszczenie tylko symbolicznie podzielone zostało na restaurację z pięcioma boksami oraz kilkoma stolikami i bar. Przy barze stał rząd wysokich krzeseł z czerwonymi, wytartymi przez lata siedzeniami.

Z prawej strony, w sporej niszy, Nate zobaczył ogromny stół bilardowy i połyskujące światła szafy grającej.

Na prawo od niej znajdowało się coś, co przypominało lobby. Stało tam biurko, a w szafce z przegródkami leżały klucze i kilka kopert.

W kominku płonęły polana, a frontowe okna zostały zamontowane pod pewnym kątem, żeby lepiej było widać zachwycającą panoramę gór.

Obsługująca gości kelnerka była w ciąży. Czarne, lśniące włosy splotła w długi warkocz. Na widok jej zachwycająco pięknej twarzy Nate zamrugał powiekami. Miał przed sobą alaską wersję Madonny o łagodnych, ciemnych oczach i złocistej skórze.

Nalewała kawę dwóm klientom, którzy okupowali jeden z boksów. Przy sąsiednim stoliku siedział mniej więcej czteroletni chłopiec. Kolorował rysunki w książeczce. Miejsce przy barze zajmował mężczyzna w tweedowej marynarce. Palił papierosa i czytał zniszczony egzemplarz Ulissesa.

W głębi lokalu widać było jakiegoś mężczyznę z brązową brodą, która

opadała mu na klatkę piersiową i na wyblakłą flanelową koszulę w kratkę. Sprawiał wrażenie, jakby toczył pełną złości dysputę z samym sobą.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę wchodzących. Głośno powitano Hopp, która zrzuciła kaptur, odsłaniając gęste, szpakowate włosy. Potem spojrzenia przeniosły się na Nate'a. Była w nich ciekawość i spekulacja. Tylko właściciel brody nie krył wrogości.

– To Ignatious Burke, nasz nowy komendant policji – oświadczyła Hopp, rozpinając zamek błyskawiczny kurtki. – Panowie w boksie to Dex Trilby i Hans Finkle, właścicielem ponurej miny jest Bing Karlovsky. Kelnerka nazywa się Rosę Itu. Jak dzisiaj spisuje się małeństwo, Rosę?

– Bardzo kopie. Witamy w Lunacy, panie Burke.

– Dzięki.

– To jest Profesor.

Hopp podeszła do baru i poklepała po ramieniu Tweedową Marynarkę.

– Czy w twojej książce coś się zmieniło od czasu, kiedy po raz ostatni ją czytałeś?

– Zawsze warto sprawdzić – odparł Profesor, zsuwając na czubek nosa okulary w metalowej oprawce, by lepiej przyjrzeć się Nate'owi. – Długa podróż.

– Tak – zgodził się Nate.

– Widzę, że jeszcze się nie skończyła. Profesor podsunął okulary i wrócił do lektury.

– A to urocze diablątko to Jesse, synek Rosę.

Chłopiec przez cały czas miał głowę pochyloną nad książką. Kiedy uniósł wzrok, spod gęstej, czarnej grzywki błysnęły duże, ciemne oczy. Wyciągnął rękę i pociągnął Hopp za brzeg kurtki. Pochyliła się, żeby usłyszeć szept chłopca.

– Nie martw się. Damy mu.

Drzwi za barem się otworzyły. Pojawił się w nich ogromny ciemnoskóry mężczyzna w białym fartuchu.

– To Wielki Mikę – przedstawiła Hopp. – Pracuje tu jako kucharz. Niegdyś był marynarzem, póki gdzieś na Kodiaku nie wpadła mu w oko jedna z tutejszych dziewcząt.

– Złapała mnie jak pstrąga – wyznał Wielki Mikę z promiennym uśmiechem na ustach. – Witamy w Lunacy.

– Dzięki.

– Znajdzie się coś smacznego i gorącego dla naszego nowego komisarza policji?

– Dzisiaj mamy dobrą zupę rybną – powiedział Wielki Mike. – Powinna panu dobrze zrobić. Chyba że woli pan, panie komendancie, kawał czerwonego mięcha.

Nate dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że mówią do niego „panie komendancie”. W tym samym momencie poczuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

– Chętnie zjem zupę rybną.

– Zaraz ją przyniosę.

Mike wrócił do kuchni, a Nate usłyszał, jak dźwięcznym barytonem wyśpiewuje Baby, Its Cold Outside.

Tak jak w filmie lub na kartce pocztowej – pomyślał Nate. Lub w teatrze. Tak czy inaczej w miejscu, którym człowiek się zachwyca, chociaż sam Nate czuł się jak zakurzony rekwizyt.

Hopp wskazała Nate’owi miejsce, po czym pomaszerowała do lobby, obesza biurko i wyjęła klucz z jednego ze schowków.

W tym momencie w głębi za biurkiem otworzyły się drzwi. Pojawiła się w nich seksbomba.

Była blondynką. Nate zawsze uważał, że ten kolor włosów najlepiej pasuje do seksbomb. Falująca kaskada opadała aż do wyjątkowo imponujących piersi, które doskonale uwydatniał głęboki dekolt obcisłego, niebieskiego sweterka. Nate dopiero po minucie dotarł spojrzeniem do twarzy. Stało się tak dlatego, że sweterek był wetknięty w obcisłe dzinsy, które z pewnością miażdżyły wszystkie organy wewnętrzne.

Nate jednak się nie skarżył.

Jasnoniebieskie oczy seksbomby były tak niewinne, że pozostawały w jaskrawym kontraście z wydatnymi, czerwonymi ustami. Kobieta wyraźnie nie oszczędzała na makijażu. Przypominała Nate’owi laleczkę Barbie.

Barbie – pogromczynię mężczyzn.

Na przekór ograniczeniom, jakie stwarzał strój, wszystko, co mogło podrygiwać, podrygiwało, gdy obchodziła biurko i stukając wysokimi obcasami, wędrowała do jadalni. Tam stanęła przy barze i przybrała odpowiednią pozę.

– Cześć, przystojniaczku!

Jej głos przypominał gardłowy pomruk – musiała go ćwiczyć –

i zdecydowanie był obliczony na to, że odciągnie krew z głowy mężczyzny i obniży jego IQ do poziomu zielonej rzepy.

– Bądź grzeczna, Charlene. – Hopp zadzwoniła kluczykami. – Ten chłopiec jest zmęczony i prawie chory. Nie ma sił, żeby się w tej chwili przed tobą bronić. Komendant Burkę, Charlene Hidel. To jej hotel. W ramach twojego wynagrodzenia, Nate, miasto opłaca ci tu pokój i jedzenie, więc nie musisz się czuć zobowiązany do żadnych dodatkowych usług.

– Jesteś taka wstrętna, Hopp.

Na przekór tym słowom Charlene uśmiechała się jak głaskany kociak.

– Może zaprowadzę pana, panie komendancie, na piętro, i pokażę pański pokój? A potem przyniosę coś ciepłego do zjedzenia?

– Zaprowadzę go.

Hopp z pełną rozwagą mocno zacisnęła kluczyk w dłoni, tak że pomiędzy palców zwisała tylko duża czarna etykieta z numerem pokoju.

– Palant zaraz przydźwiga jego bagaże. Nie zaszkodziłoby, gdyby za chwilę Rosę przyniosła panu komendantowi zupę rybną, którą obiecał mu Mike. Chodź, Ignatioucie. Będziesz zawierał bliższe znajomości, gdy nieco odzyskasz siły.

Oczywiście, mógł sam się bronić, ale nie widział sensu. Powędrował za Hopp schodami na piętro tak posłusznie, jak szczenię wędruje za swoim panem.

Opuszczając salę, usłyszał, że ktoś powiedział: cheechako, jakby wypluwał nieświeże mięso. Domyślił się, że to obelga, ale puścił ją mimo uszu.

– Charlene w gruncie rzeczy jest nieszkodliwa – wyjaśniła Hopp – ale lubi drażnić się z mężczyzną, jeśli tylko wyczuje, że ma u niego choćby minimalną szansę.

– Poradzę sobie, mamusiu.

Znów wybuchnęła donośnym śmiechem, po czym wsunęła klucz do zamka pokoju 203.

– Jej facet odszedł od niej mniej więcej piętnaście lat temu. Zostawił ją z córeczką, którą musiała samotnie wychować. Dość dobrze sobie poradziła, jeśli chodzi o Meg, chociaż teraz niemal bez przerwy drą ze sobą koty. Charlene miała wielu mężczyzn, chociaż z roku na rok wybiera coraz młodszych. Powiedziałam ci wcześniej, że jest dla ciebie za stara. – Hopp obejrzała się przez ramię. – Prawdę mówiąc, z jej punktu widzenia prawdopodobnie to ty jesteś za stary dla niej. Masz trzydzieści dwa lata, prawda?

– Tyle miałem, gdy wyjeżdżałem z Baltimore. Ile lat minęło od tego czasu?

Hopp potrząsnęła głową i otworzyła drzwi.

– Charlene jest starsza od ciebie przynajmniej o kilkanaście lat. Ma dorosłą córkę prawie w twoim wieku.

– Myślałem, że wy, kobiety, drwicie sobie z tej, która upoluje mężczyznę młodszego od siebie.

– Chyba bardzo mało wiesz o kobietach. Prawdę mówiąc, jesteśmy wkurzone, że to nie my upolowałyśmy go jako pierwsze. Tak, tak to już jest.

Weszła do obitego boazerią pokoju z żelaznym łóżkiem, szafą i lustrem po jednej stronie, małym stolikiem, dwoma krzesłami i niewielkim biurkiem po drugiej.

Pokój był czysty, skromny, i niemal tak interesujący jak torebka białego ryżu.

– Tu jest maleńka kuchnia.

Hopp odsunęła czarno-niebieską zasłonę, za którą stała mała lodówka, dwupalnikowy piecyk i zlew rozmiaru dłoni Nate'a.

– Na twoim miejscu jadałabym posiłki na parterze, chyba że bardzo lubisz gotować. Dobrze dają jeść.

Omiotła wzrokiem pomieszczenie.

– To nie Ritz, chociaż Charlene ma lepsze pokoje. Niestety, nasze fundusze są ograniczone. – Przeszła na drugą stronę pokoju i otworzyła drzwi. – Tu jest łazienka.

– O kurczę! Uniósł głowę.

Zlew był większy od kuchennego, chociaż niewiele. Nie było wanny, uznał jednak, że kabina z prysznicem w zupełności mu wystarczy.

– Pańskie bagaże, panie komendancie.

Palant przydźwigał dwie walizki i torbę, jakby nic w nich nie było. Rzucił je na łóżko. Materac ugiął się pod ich ciężarem.

– Gdyby jeszcze mnie pan potrzebował, będę na dole jadł posiłek. Przenocuję tutaj i jutro rano wrócę do Talkeetny.

Dotknął palcem czoła, udając, że salutuje, i wyszedł.

– Cholera, zaczekaj! – Nate zaczął grzebać w kieszeni.

– Dam mu napiwek – zapewniła Hopp. – Póki dla nas pracujesz, jesteś gościem rady miejskiej Lunacy.

– Doceniam to.

– Mam zamiar dopilnować, żebyś na to wszystko zapracował, więc na razie

zbytnio się nie ciesz.

– Obsługa hotelowa!

Charlene ze śpiewem wniosła tacę do pokoju. Podchodząc do stolika, kołysała biodrami, co przypominało chodzący metronom.

– Przyniosłam panu dobrą zupę rybną, panie komendancie, i porządną kanapkę, odpowiednią dla mężczyzny. Kawa jest gorąca.

– Wspaniale pachnie. Jestem pani wdzięczny, pani Hidel.

– Mów mi Charlene.

Zatrzepotała rzęsami. Nate był pewien, że to również ćwiczyła.

– Wszyscy tutaj stanowimy jedną wielką szczęśliwą rodzinę.

– Gdyby naprawdę tak było, nie potrzebowalibyśmy komendanta policji.

– Och, nie strasz go, Hopp. Czy pokój ci odpowiada, Ignatiousie?

– Nate. Tak, dziękuję. Jest ładny.

– Zjedz coś i odpocznij – poradziła Hopp. – Jak nabierzesz nieco sił, po prostu do mnie zadzwoń. Pokażę ci miasto. Twoim pierwszym oficjalnym obowiązkiem będzie uczestnictwo w zebraniu mieszkańców jutro po południu. Mamy zamiar przedstawić cię na ratuszu wszystkim osobom, które zechcą przyjść. Jeśli będzie ci na tym zależało, wcześniej możesz zobaczyć posterunek, poznać dwóch swoich zastępców i Peach. Wtedy dostaniesz gwiazdę.

– Jaką gwiazdę?

– Jesse chciał, żebyś koniecznie nosił gwiazdę. Chodź, Charlene. Dajmy mu teraz święty spokój.

– Gdybyś czegokolwiek potrzebował, zadzwoń na dół. – Charlene przesłała mu zachęcający uśmiech. – Będę czekać.

Stojąca za jej plecami Hopp wbiła wzrok w sufit. Pragnąc postawić na swoim, położyła dłoń na ramieniu Charlene i pociągnęła ją w stronę drzwi. Rozległ się stukot obcasów na drewnianej podłodze, kobiecy pisk, potem trzaśnięcie drzwi.

Zza nich Nate usłyszał cichy, obrażony głos Charlene:

– Co się z tobą dzieje, Hopp? Ja tylko staram się być miła.

– Kiedy właścicielka stara się być miła, hotel łatwo zamienia się w burdel. Może pewnego dnia to zrozumiesz.

Nate odczekał, aż kobiety się oddalą, dopiero potem podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Następnie zdjął kurtkę i opuścił ją na podłogę, to samo zrobił z czapką. Rozwinął szalik, rzucił go. Rozpiął ocieplaną kamizelkę i dołożył ją na zrzucone ubrania.

Gdy został w koszuli, spodniach, ciepłej bieliźnie i butach, podszedł do stolika, wziął łyżkę i zabrał posiłek w stronę ciemnego okna.

Zegarek obok łóżka pokazywał wpół do czwartej, a było już ciemno jak o północy. Jedząc łyżką, przyglądał się latarniom ulicznym, po chwili zaczął również dostrzegać zarysy budynków. Zauważył świąteczne dekoracje: kolorowe światełka, święte Mikołaje, kartonowe renifery.

Tylko nigdzie nie widział żadnych ludzi – ani śladu życia, ani śladu ruchu.

Jadł automatycznie, zbyt zmęczony i zbyt głodny, żeby zwracać uwagę na smak.

Wszystko, co jest za tym oknem, stanowi jedynie dekorację filmową – pomyślał. Budynki to kartonowe fasady, a ludzie, których spotkał na parterze, są jedynie postaciami z iluzorycznego świata.

Może to wszystko jest jedną wielką iluzją, zrodzoną z depresji, żalu i złości, podłej mieszaniny uczuć, które rzuciły go na wiatr i kazały wylądować w tej zapadłej dziurze?

Wkrótce obudzi się w swoim mieszkaniu w Baltimore i będzie próbował wyrzesać z siebie tyle energii, by przebrnąć przez następny dzień.

Zjadł kanapkę, stojąc w oknie i spoglądając na pusty, czarno-biały świat z dziwnymi świątecznymi światełkami.

Może warto byłoby wyjść na zewnątrz, do tego pustego świata? Zostać jednym z bohaterów niecodziennej iluzji? Potem rozpląnąć się w ciemności, jak ostatnia scena niemego filmu. Żeby było już po wszystkim.

Kiedy doszedł do wniosku, że właściwie chciałby, aby było już po wszystkim, w jego polu widzenia pojawiła się jakaś postać. Miała na sobie krzykliwe, jasnoczerwone ubranie, które wyraźnie odcinało się od pozbawionej barw scenerii i wniosło w nią element ruchu.

Ruchu, zdecydowania i energii. Życia z wyraźnym celem, podążania w określonym kierunku. Postać szła szybkim, zdecydowanym krokiem i zostawiała wyraźne ślady na śniegu.

Jakby chciała pokazać, że tu była. Że żyje.

Nate nie wiedział, czy to mężczyzna, kobieta, czy dziecko, jednak coś w barwnej plamie i w pewności kroków wyraźnie go zaniepokoiło.

Postać, jakby wyczuła, że ktoś ją obserwuje, zatrzymała się i uniosła głowę.

Nate znów odniósł wrażenie, że świat został zdominowany przez czerń i biel. Biała twarz, czarne włosy. Rozmyte z powodu ciemności i odległości.

Przez długą chwilę panował bezruch i cisza. Potem postać znów ruszyła przed siebie, w stronę wejścia do Lodge, i zniknęła Nate'owi z pola widzenia.

Nate zasłonił okno i odsunął się od niego.

Po chwili zastanowienia zdjął walizki z łóżka i rzucił je na podłogę. Rozebrał się do naga i nie zważając na chłód panujący w pokoju, wpełznął pod grubą warstwę koców, tak jak niedźwiedź wpełza do gawry.

Miał trzydzieści dwa lata i rozczochraną masę gęstych, kasztanowych włosów wokół pociągłej, drobnej twarzy, na której widać było ogromne wyczerpanie. Rozpacz przesłoniła oczy szarą chmurą. Pod jednodniowym zarostem skóra była blada ze zmęczenia. Pomimo pełnego żołądka Nate wciąż był osłabiony jak człowiek, który jeszcze nie do końca zdołał pokonać grypę.

Wolałby, żeby Barbie-Charlene zamiast kawy przyniosła mu butelkę czegoś mocniejszego. Nie przepadał za alkoholem, co z pewnością uchroniło go przed nałogiem, mimo to po kilku głębszych łatwiej uwolniłby mózg od zbędnych myśli i zapadł w sen.

Usłyszał wycie wiatru. Poprzednio panował bezruch powietrza, teraz mocne podmuchy przywodziły na myśl jęczące dusze. Oprócz tego Nate słyszał skrzypienie ścian budynku i własny oddech.

Trzy samotne dźwięki, samotne trio.

Nie słuchaj ich – pomyślał. Wycisz się.

Postanowił, że prześni się kilka godzin. Potem umyje się po podróży i napompuje kawą.

Wtedy będzie czas, żeby zdecydować, co, do diabła, dalej robić.

Gdy wyłączył światło, cały pokój zaalała nieprzenikniona ciemność. Po kilku sekundach wzięła w objęcia również i jego.

Kiedy koszmar wytrącił go ze snu, ze wszystkich stron otaczała go ciemność, która wciągała jak bagno. Z trudem zaczerpnął powietrza i próbował wydostać się na powierzchnię. Gdy w końcu wyplątał się z pościeli, był zlany zimnym potem.

Wyczuł jakieś dziwne zapachy: cedru, nieświeżej kawy, cytryny. Potem przypomniał sobie, że nie jest w swoim mieszkaniu w Baltimore.

Oszalał i wyjechał na Alaskę.

Sądząc po tym, co wskazywały błyszczące cyferki na zegarku przy łóżku, była piąta czterdzieści osiem.

To by oznaczało, że trochę się zdrzemnął, zanim ten sam od dawna koszmar

wyrwał go ze snu.

W powracającym koszmarze zawsze panowała ciemność. Była czarna noc, padał brudny deszcz. W powietrzu unosił się zapach prochu i krwi.

– Jezu, Nate, Jezu! Oberwałem!

Zimny deszcz spływał Nate'owi po twarzy, ciepła krew przeciekała mu przez palce. Jego krew i krew Jacka.

Nie był w stanie jej zatamować, tak samo jak nie mógł powstrzymać potoków deszczu. I jedno, i drugie przytłoczyło go w ciemnym zaułku w Baltimore i wyprało z wszelkich uczuć.

To powinienem być ja – myślał. Nie Jack. On powinien być w domu z żoną, dziećmi, a nie umierać w śmierdzącej przecznicy, w strugach brudnego deszczu.

Nate został postrzelony w nogę, druga kula trafiła go nieco powyżej pasa. Nie mógł dalej biec, upadł. Tylko dlatego Jack wpadł w zaułek pierwszy.

Wystarczyło kilka sekund, kilka drobnych zbiegów okoliczności, by zginął taki dobry człowiek!

Nate musiał z tym jakoś żyć. Przez jakiś czas zastanawiał się nad samobójstwem, ale było to egoistyczne rozwiązanie, które nie przyniosłoby zaszczytu jego przyjacielowi, a jednocześnie partnerowi. Życie z tą świadomością było trudniejsze od śmierci.

Życie stanowiło większą karę.

Nate wstał i powędrował do łazienki. Ogromną radość sprawiła mu cienka strużka gorącej wody, która płynęła z prysznicu. Zmycie warstwy brudu i potu wymagało dobrej chwili, ale Nate wcale się tym nie przejmował. Miał dość czasu.

Ubierze się, zejdzie na parter i napije się kawy. Potem zadzwoni do Hopp i pójdzie z nią na posterunek. Postara się być bardziej rozmowny i spróbuje wymazać pierwsze wrażenie, jakie musiał na niej zrobić: kretyna o przekrwionych oczach.

Kiedy wziął prysznic i ogolił się, poczuł się znacznie lepiej. Wyjął świeże ubranie i starannie włożył na siebie warstwa na warstwę.

Zdejmując z wieszaka kurtkę, przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze.

– Komendant policji w Lunacy na Alasce, Ignatious Burke. – Potrząsnął głową i niepewnie się uśmiechnął. – No cóż, panie komendancie, dostaniesz gwiazdę.

Schodząc na parter, był zaskoczony całkowitą ciszą. Z tego, co czytał, lokale takie jak Lodge są na Alasce miejscem spotkań towarzyskich. Długie i ciemne zimowe noce skazują ludzi na samotność, w związku z tym spodziewał się, że usłyszy typowo barowe odgłosy: stukot kul bilardowych, stare piosenki country z szafy grającej.

Tymczasem, gdy zszedł do restauracji, piękna Rosę tak jak poprzednio nalewała kawę. Być może lała ją wciąż tym samym dwóm mężczyznom, chociaż Nate nie był tego wcale pewien. Synek Rosę siedział przy stole i nadal pracowicie kolorował książeczkę.

Nate zerknął na zegarek, który przestawił na miejscowy czas. Dziesięć po siódmej.

Rosę odwróciła się od stolika i z uśmiechem spojrzała na Nate'a.

– Witamy, panie komendancie.

– Ale spokojny wieczór!

Twarz młodej kobiety rozpromieniła się.

– Nie wieczór, tylko rano.

– Słucham?

– Jest siódma rano. Przypuszczam, że chętnie zje pan jakieś śniadanie.

– To...

– Na pewno musi upłynąć trochę czasu, zanim się pan przyzwyczai. – Skinieniem głowy wskazała na ciemne okna. – Za kilka godzin się rozjaśni, ale tylko na chwilę. Może pan usiądzie? Na początek przyniosę panu filiżankę kawy.

Musiał przespać ponad dwanaście godzin. Teraz nie wiedział, czy powinien być zażenowany, czy zadowolony. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni spał dłużej niż cztery, pięć godzin.

Rzucił kurtkę na ławkę w boksie, potem postanowił zawrzeć pierwsze znajomości. Podeszedł do stolika, przy którym siedział Jesse, i poklepał oparcie krzesła.

– Czy to miejsce jest wolne? Chłopiec przyjrzał mu się spod grzywki, kiwnął głową i wrócił do kolorowania rysunku. Robił to z takim zapalem, że aż przygryzał język. Nate usiadł.

– Jaka ładna fioletowa krowa! – skomentował, bacznie przyglądając się pracy malca.

– W rzeczywistości krowy nigdy nie są fioletowe, chyba że się je tak

pokredkuje.

– Coś o tym słyszałem. Chodzisz w szkole średniej na plastykę?

Oczy Jesse'ego zaokrągliły się ze zdumienia.

– Nie chodzę jeszcze do szkoły. Mam dopiero cztery lata.

– Żartujesz. Cztery? Myślałem, że bliżej ci do szesnastu. Nate rozparł się w krzesło i puścił perskie oko do Rose, kiedy stawiała przed nim duży, biały kubek i nalewała do niego kawy.

– Niedawno miałem urodziny. Było ciasto i milion balonów. Prawda, mamusiu?

– Prawda, Jesse.

Wsunęła jadalospis pod łokieć Nate'a.

– A w ogóle to wkrótce będziemy mieć dzidziusia. Mamy też dwa psy i...

– Jesse, pozwól panu komendantowi zajrzeć do menu.

– Prawdę mówiąc, właśnie miałem zamiar poprosić Jesse'ego, żeby mi coś polecił. Co warto zamówić na śniadanie, Jesse?

– Naleśniki!

– W takim razie proszę o naleśniki. Nate oddał menu Rose.

– Chętnie spróbuję.

– Gdyby zmienił pan zdanie, proszę zawołać. Pomimo to zarumieniła się z zadowolenia.

– Jakie psy? – spytał Nate.

Przez całe śniadanie wysłuchiwał opowiadania o ulubieńcach chłopca.

Talerz naleśników i rozmowa z uroczym malcem to znacznie lepszy początek dnia niż rozmyślanie o koszmarnym śnie. Nastrój Nate'a wyraźnie się poprawił. Właśnie miał zamiar zadzwonić do Hopp, kiedy pojawiła się w drzwiach.

– Słyszałam, że już wstałeś – powiedziała, zrzucając kapuzę i strząsając z kurtki płatki śniegu. – Dzisiaj wyglądasz już trochę lepiej.

– Przepraszam, ale wczoraj naprawdę leciałem z nóg.

– Nie ma sprawy. Przespałeś się, zjadłeś porządne śniadanie. Posiedziałeś w miłym towarzystwie – dodała, uśmiechając się do malca. – Jesteś gotów na zwiedzanie?

– Jasne.

Wstał, żeby się ubrać.

– Jesteś chudszy, niż przypuszczałam.

Spojrzał z góry na Hopp. Zdawał sobie sprawę, że jest wymizerowany. Miał

prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i normalnie ważył siedemdziesiąt dwa kilogramy, ale ostatnio w krótkim czasie stracił pięć kilogramów, w związku z tym musiał wyglądać mizernie.

– Wkrótce przybiorę na wadze. Będę codziennie rano jadł naleśniki.

– Masz za to bardzo gęste włosy. Założył czapkę.

– Po prostu dobrze rosną na mojej głowie.

– Lubię, gdy mężczyzna ma gęste włosy. – Otworzyła drzwi. – Zwłaszcza gdy są rude.

– Nie rude, tylko brązowe – poprawił niemal automatycznie i naciągnął czapkę bardziej na uszy.

– W porządku. Daj na chwilę odpocząć nogom, Rose! – zawołała Hopp przez ramię, wychodząc na śnieg i wiatr.

Zimno uderzyło go jak rozpędzony pociąg.

– Jezu Chryste! Czuję, że zaraz zamarzną mi oczy. Wskoczył do forda explorera, którego Hopp zaparkowała przy krawężniku.

– Masz jeszcze rzadką krew.

– Nawet jeśli będzie gęsta jak pasta, nie przestanę uważać, że jest tu francowacie zimno. Przepraszam.

– Nie rumienię się przy każdym brzydszym słowie. Poza tym wiem, że jest francowacie zimno. W końcu mamy grudzień. – Wybuchnęła gromkim śmiechem i zapuściła silnik. – W takim razie zacniemy zwiedzać miasteczko samochodem. Nie ma sensu potykać się w ciemności.;

– Ile osób rocznie zamarza tu albo umiera z powodu hipotermii?

– Zazwyczaj w górach ginie kilka osób, ale są to przeważnie turyści albo szaleńcy. Trzy lata temu człowiek o nazwisku Teek pewnej nocy spał jak głupiec i zamarznął na śmierć w swojej ubikacji za domem, czytając „Playboya”. Tyle że to był idiota. Ludzie, którzy tu mieszkają, wiedzą, jak radzić sobie z zimnem, a cheechakos, którzy próbują przetrwać tu zimą, uczą się tej sztuki... albo wyjeżdżają.

– Cheechakosl – Przybysze z zewnątrz. Nie można lekceważyć natury, ale człowiek uczy się żyć z nią w zgodzie, a jeśli jest wystarczająco bystry, potrafi nawet wykorzystywać ją do własnych potrzeb. Jeździ na nartach lub łyżwach, używa rakiet śnieżnych, łowi ryby w przeręblu. – Wzruszyła ramionami. – Podejmuje odpowiednie środki ostrożności i cieszy się z tego, co ma, ponieważ wie, że niczego nie zmieni.

Z ogromną wprawą pokonywała zasypaną śniegiem ulicę.

– To nasza przychodnia. Mamy własnego lekarza i pielęgniarkę.

Nate przyjrzał się uważnie niewielkiemu budynekowi.

– A jeśli z czymś nie mogą sobie poradzić?

– Wtedy zawozimy chorego do Anchorage. Na obrzeżach miasta mieszka jeden z alaskich pilotów. Meg Galloway.

– Kobieta?

– Czyżbyś był seksistą, Ignatioucie?

– Nie. – Może... – pomyślał. – Tylko pytam.

– Meg jest córką Charlene. To trochę postrzelona istota, ale moim zdaniem świetnie spisuje się jako pilot. Miała cię zabrać z Anchorage, ale twój przylot wypadł o dzień później, niż myśleliśmy, a Meg była już zajęta, dlatego zadzwoniliśmy do Palanta z Talkeetny. Prawdopodobnie poznasz Meg na popołudniowym spotkaniu z mieszkańcami miasteczka.

To nie będzie wcale takie śmieszne – pomyślał Nate.

– W „Sklepie na Rogu” jest wszystko, czego możesz potrzebować, a jeśli nie, znajdą sposób, żeby jak najszybciej to sprowadzić. To najstarszy budynek w Lunacy. Wybudowali go traperzy na początku dziewiętnastego wieku. Harry i Dęb kupili go w osiemdziesiątym trzecim roku i znacznie rozbudowali.

Był dwa razy większy od przychodni i miał dwie kondygnacje. W oknach płonęły światła.

– Na razie poczta mieści się tu, nad rzeką, ale w lecie mamy zamiar przenieść ją w inne miejsce. Ten maleńki budynek obok to Italian Place. Można tu zamówić dobrą pizzę, chociaż dowożą ją tylko w granicach miasta.

– Pizzeria na Alasce?

– Nowojorski Włoch, Johnny Trivani, trzy lata temu przyjechał tu na polowanie. Zakochał się w mieście i już nie wyjechał. Początkowo nazwał swój lokal „U Trivaniego”, ale wszyscy mówili na niego: Italian Place, i tak już zostało. Johnny myśli o dobudowaniu piekarni. Mówi też, że chce zamówić sobie przez Internet rosyjską narzeczoną. Może rzeczywiście to zrobi.

– Czy to oznacza, że wtedy będą świeże bliny?

– Kto wie? Lokalna gazeta już pisała o tym na tytułowej stronie – powiedziała Hopp na zakończenie. – Małżeństwo, które ją redaguje, zabrało dzieciaki na przerwę świąteczną do San Diego, dlatego w tej chwili nie ma ich w Lunacy. A to „Klun” – lokalna radiostacja. Prowadzi je właściwie jednoosobowo Mitch

Dauber. Przeważnie jest dość rozrywkowy.

– Nastawię odbiornik.

Hopp zawróciła i ruszyła z powrotem drogą, którą jechali.

– Niecały kilometr na zachód od miasteczka znajduje się szkoła. Zapewniamy w niej naukę dzieciom od przedszkola do dwunastej klasy. Obecnie mamy siedemdziesięciu ośmiu uczniów. Tam również prowadzimy wszelkie kursy dokształcające dla dorosłych. Gimnastyka, rysunek i malowanie, tego typu rzeczy. Od zamarznięcia do rozmarznięcia wypełniamy naszym mieszkańcom długie wieczory. Potem dzień coraz bardziej się wydłuża.

– Zamarznięcie? Rozmarznięcie?

– Kiedy zaczynają puszczać pierwsze lody, jest to znak, że nadchodzi wiosna. Gdy rzeka zamarza, zaczynają się długie wieczory.

– Kapuję.

– W granicach miasta mamy pięćset sześć dusz, następne sto dziesięć, sto kilkanaście mieszka nieco dalej, ale wciąż w naszym dystrykcie. Teraz twoim dystrykcie.

Nate wciąż odnosił wrażenie, że to wszystko jest nierealne i bardziej przypomina plan filmowy lub scenografię teatralną. Jak więc miał uznać tę rzeczywistość za swoją?

– Straż pożarna składa się z samych ochotników i mieści się tutaj. Obok jest ratusz.

Zatrzymała samochód przed budynkiem z grubych bali.

– Trzydzieści lat temu mój mąż pomagał go budować. Był pierwszym burmistrzem Lunacy i pełnił tę funkcję aż do śmierci. W lutym miną cztery lata.

– Jak zmarł?

– Na atak serca. Grał w hokeja na jeziorze. Strzelił gola, przewrócił się i umarł. Tak po prostu.

Nate chwilę odczekał.

– Kto wygrał?

Hopp wybuchnęła śmiechem.

– Jego gol rozstrzygnął o wyniku meczu. Nie dokończyli go. Przejechała jeszcze kawałek.

– A to twój posterunek.

Nate usiłował przebić wzrokiem ciemność i padający śnieg. Ujrzał ładny budynek z drewna, wyraźnie nowszy niż sąsiednie domy. Przypominał nieco

bungalow, miał niewielką werandę i dwa okna, po jednym po każdej stronie drzwi. Wszystko było zasłonięte zielonymi okiennicami.

Od ulicy do drzwi prowadziła ścieżka, z której ktoś odgarnął starannie śnieg. Niewielki podjazd, wyraźnie również niedawno odśnieżony, pokrywała już kilkunastocentymetrowa warstwa świeżego puchu. Od stojącego tam niebieskiego wozu terenowego do drzwi biegła wąska ścieżynka.

W obu oknach płonęło światło, a z ciemnego komina buchały kłęby dymu.

– Tak wcześnie zaczynamy pracę?

– Przyszli ze względu na ciebie. Wiedzą, że dzisiaj się pojawisz. – Zaparkowała obok pikapu. – Jesteś gotów na spotkanie ze swoimi podwładnymi?

– Zawsze.

Gdy wysiadł, tak samo jak poprzednio był zaszokowany przenikliwym zimnem. Oddychając przez zęby, powędrował za Hopp wąską ścieżynką, która prowadziła do drzwi.

– Za nimi znajduje się pomieszczenie, które nazywamy tu, na Alasce, arktycznym przedsionkiem.

Rzeczywiście było to miejsce, do którego nie miał dostępu ani wiatr, ani niska temperatura.

– Dzięki takiemu rozwiązaniu straty ciepła w głównym budynku są o wiele mniejsze. Tu można zostawić ciepłą odzież.

Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na haku obok innej. Nate poszedł za jej przykładem. W kieszeniach zostawił również rękawiczki, czapkę i szalik. Zastanawiał się, kiedy przywyknie do tego, że ilekroć chce się tu gdzieś wyjść, trzeba się ubierać jak na podbój bieguna północnego.

Hopp pchnęła następane drzwi i weszła do pomieszczenia, w którym wyczuł dym i zapach kawy.

Ściany były pomalowane na beżowo, na podłodze leżało nakrapiane linoleum. W tylnym prawym rogu stał piec na drewno, a na nim olbrzymi żelazny czajnik, z którego buchały kłęby pary.

Z prawej strony były dwa metalowe biurka, rząd plastikowych krzeseł i ława zarzucona gazetami. Wzdłuż tylnej ściany biegł blat, na którym stała krótkofalówka, komputer i porcelanowa choinka w kolorze zielonym, jakiego nie wymyśliła matka natura.

Nate zauważył, że po obu stronach są drzwi, dostrzegł też tablicę

informacyjną z poprzyczepianymi karteluszkami i notatkami.

W pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby, które udawały, że wcale mu się nie przyglądają.

Domyślił się, że dwaj mężczyźni to jego zastępcy. Jeden z nich wyglądał na tak młodego, że chyba od bardzo niedawna mógł głosować, drugi był wystarczająco stary, by dawno, dawno temu oddać swój głos na Kennedy'ego. Obaj mieli na sobie grube wełniane spodnie, wysokie buty i flanelowe koszule z przyczepionymi odznakami.

Młodszy wyraźnie pochodził z Alaski, miał czarne, proste, długie do ramion włosy, głęboko osadzone, niemal czarne oczy w kształcie migdałów, ładne kości policzkowe i niewinny wyraz twarzy.

Starszy miał twarz osmaganą wiatrem, na głowie języka, obwisłe policzki, wyblakłe niebieskie, lekko zezowate oczy i głębokie kurze łapki. Był potężnie zbudowany w przeciwieństwie do szczupłego partnera. Prawdopodobnie były wojskowy – pomyślał Nate.

Kobieta była okrągłutka, miała pulchne, różowe policzki i obfity biust, ukryty pod różowym sweterkiem w białe płatki śniegu. Szpakowate włosy splotła w warkocz i upięła w kok na czubku głowy. Z koka sterczał ołówek. W rękach trzymała talerz ze słodkimi bułeczkami.

– No cóż, oto cała ekipa w komplecie. To pan komendantur Burkę, a to, panie komendancie, pańscy ludzie. Zastępca Otto Gruber.

Jeżyk wystąpił z szeregu i wyciągnął rękę.

– Witam pana, panie komendancie.

– Witam pana, panie Gruber.

– Zastępca Peter Notti.

– Dzień dobry, panie komendancie.

Uśmiech na twarzy młodzieńca wywołał u Nate'a pewne skojarzenie.

– Jest pan w jakiś sposób spokrewniony z Rose?

– Tak, sir. To moja siostra.

– A to twoja prawa ręka, sekretarka i specjalistka od bułeczek cynamonowych, Marietta Peach.

– Cieszę się, że pan do nas przyjechał, panie komendancie. Miała typowo południowy akcent, który przywodził na myśl miętówkę sączoną na werandzie.

– Mam nadzieję, że już lepiej się pan czuje.

– Tak, zdecydowanie. Dziękuję, pani Peach.

– Oprowadzę pana komendanta po posterunku, a potem was zostawię, żebyście się lepiej poznali. Może, Ignatiou sie, zechciałbyś obejrzeć swoje... pokoje gościnne?

Wyprowadziła go przez drzwi z prawej strony. Za nimi znajdowały się dwie cele z pryzkami, trochę przypominającymi koje. Ściany sprawiały wrażenie świeżo pomalowanych, podłoga wyraźnie została umyta. Nate wyczuł zapach lizolu.

W celach nie było żadnych lokatorów.

– Czy ktoś ich w ogóle używa? – spytał Nate.

– Przede wszystkim pijacy i osoby, które zakłócają porządek publiczny. Trzeba dobrze się schlać i narozrabiać, żeby spędzić noc w areszcie na posterunku policji w Lunacy. Czasami zdarzają się awantury, jakiś akt wandalizmu, ale zazwyczaj sprawcami są znudzone dzieciaki. Powiem twoim ludziom, żeby podali ci wszelkie szczegóły na temat przestępczości w Lunacy. Nie mamy adwokata, więc jeśli komuś bardzo na nim zależy, musi zadzwonić do Anchorage albo Fairbanks, chyba że zna kogoś, kto mieszka gdzie indziej. Mamy natomiast emerytowanego sędziego, chociaż człowiek ten więcej czasu spędza na łowieniu ryb w przeręblu niż rozwiązywaniu problemów natury prawnej.

– W porządku.

– O rany, masz zamiar zagadać mnie na śmierć?

– Nigdy nie umiałem trzymać buzi na kłódkę. Hopp z chichotem potrząsnęła głową.

– Teraz pora, żebyś zobaczył swoje biuro.

Wrócili do pierwszego pomieszczenia, gdzie wszyscy udawali, że ciężko pracują. Po drugiej stronie tylnej ściany, tuż przy drzwiach, stała szafka z bronią palną. Nate doliczył się sześciu śrutówek, pięciu strzelb, ośmiu rewolwerów i czterech paskudnie wyglądających noży.

Wsunął ręce do kieszeni i nadał policzki.

– A cóż to? Żadnych mieczy?

– Warto być przygotowanym na wszystko.

– Taak, zwłaszcza na mającą wkrótce nastąpić inwazję. Nie skomentowała jego słów, jedynie z uśmiechem na ustach otworzyła drzwi obok szafki.

– To twoje biuro.

Miało mniej więcej metr kwadratowy, jedno okno i szare metalowe biurko. Na

biurku stał komputer, telefon i czarna lampka. Przy bocznej ścianie ktoś ustawił dwie szafki na kartoteki, a nad nimi biegł krótki blat. Stał na nim już pełen ekspres do kawy, dwa brązowe kamionkowe kubki, koszyczek z torebkami cukru i opakowaniami śmietanki. Nie zabrakło również na razie pustej tablicy z korka, dwóch składanych krzeseł dla ewentualnych petentów i kołków do wieszania ubrania.

Z powodu świateł, które odbijały się w czarnej szybie, pomieszczenie wydawało się bardziej bezosobowe i obce niż w rzeczywistości.

– Peach napełniła szuflady twojego biurka, ale gdyby czegoś brakowało, zgłoś zapotrzebowanie na ratuszu. John wszystko załatwi.

– W porządku.

– Masz jakieś pytania?

– Mnóstwo.

– Może zatem je zadasz?

– Dobrze. Zacznę od pierwszego, które przychodzi mi na myśl, zwłaszcza że reszta zależy od odpowiedzi, jaką uzyskam. Dlaczego mnie zatrudniłaś?

– No tak. Mogę? – spytała, wskazując ręką na dzbanek z kawą.

– Bardzo proszę.

Nalała kawę do kubków, wręczyła mu jeden, potem usiadła na jednym ze składanych krzeseł.

– Potrzebowaliśmy komendanta policji.

– Może tak, może nie.

– Jesteśmy małą miejsciną oddaloną od całego świata i całkiem nieźle sobie radzimy, ale potrzebny nam ktoś, kto wprowadziłby tu ład i porządek. Kto wyznaczyłby granicę między tym, co dobre i co złe, i kto potem pilnowałby tejsze granicy. Mój mąż pracował nad tym przez wiele lat, zanim wpakował swego ostatniego gola do bramki.

– Teraz ty przejęłaś pałeczkę.

– Tak. Teraz ja przejęłam pałeczkę. Własny oddział policji świadczy o tym, że sami troszczymy się o siebie i nie potrzebujemy tutaj żadnych urzędników stanowych ani służb federalnych. O miasteczku takim jak Lunacy można całkowicie zapomnieć ze względu na to, jakie jest i gdzie się znajduje. Wcześniej mogliśmy się już poszczycić dobrą szkołą, dobrym hotelem, tygodnikiem i rozgłośnia radiową. Teraz mamy na dodatek swoją policję i straż pożarną. Gdy nadchodzi zima, która całkowicie odcina nas od bożego świata,

umiemy być samowystarczalni, potrzebny nam jednak ład i porządek, a ten budynek i ludzie, którzy w nim pracują, symbolizują tenże ład i porządek.

– Jednym słowem zatrudniłaś symbol.

– Do pewnego stopnia można tak to powiedzieć. – Wytrzymała przez chwilę jego wzrok. – Ludzie czują się bezpieczniej, gdy da się im pewne symbole. Z drugiej strony mam jednak nadzieję, że zrobisz to, co do ciebie należy, i że zrobisz to dobrze, jednym słowem, że utrzymasz w miasteczku porządek i dotychczasowy stan rzeczy. Dlatego poświęciłam nieco czasu, żeby pokazać ci najważniejsze instytucje w mieście, podać nazwiska, powiedzieć, co kto robi. Nie zaprezentowałam ci jednak wszystkich. Bing ma warsztat samochodowy, naprawia silniki i obsługuje ciężki sprzęt, między innymi pług śnieżny i koparkę. Lunatic Air odpowiada za zaopatrzenie miasta i transport osób. Zawozi również turystów w góry i na polowania.

– Lunatic Air?

– Czyli Meg – wyjaśniła Hopp z półuśmiechem na ustach. – Znajdujemy się na krańcu świata. Sami przeobraziliśmy miasteczko założone przez osadników, awanturników, poszukiwaczy przygód i hipisów w spokojną miejscinę. Poznasz mieszkańców, dowiesz się, co ich łączy, a co dzieli. Wtedy będziesz wiedział, jak sobie z nimi radzić.;

– W związku z tym wracam do pierwszego pytania. Czemu mnie zatrudniłaś? Dlaczego nie wzięłaś kogoś, kto już to wszystko wie?

– Uznałam, że ktoś, kto zna miasto od podszewki, mógłby kierować się w swojej pracy własnymi przekonaniem i uprzedzeniami. Dawać wyraz swoim urazom, wykorzystywać powiązania. Ktoś z zewnątrz to człowiek świeży. Jesteś młody, twój wiek przemawia na twoją korzyść. Nie masz żony ani dzieci, które nie chciałyby się tu przeprowadzić i namawiały cię, żebyś wrócił na tereny położone poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika. Pracowałeś na policji ponad dziesięć lat. Masz kwalifikacje, na których mi zależało, i nie targowałeś się o pobory.

– Rozumiem twój punkt widzenia, ale można spojrzeć na to z innej strony. Co ja mam tu, do diabła, robić?

– Hmm. – Dopija kawę. – Odnoszę wrażenie, że jesteś młodym, inteligentnym mężczyzną. Na pewno znajdziesz sobie jakieś zajęcie. No dobrze. – Wstała. – Pozwolę ci zacząć. Spotkanie na ratuszu odbędzie się o drugiej po południu. Liczę na to, że powiesz kilka słów.

– O rany!

– Jeszcze jedno. – Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła pudełko. – Przyda ci się. Wyjęła z pudełka srebrną gwiazdę i przypięła mu ją do koszuli.

– Do zobaczenia o drugiej, panie komendancie.

Stał na środku pokoju, wpatrując się w niedopitą kawę. Przez chwilę zza drzwi dochodziły przytłumione głosy. Naprawdę nie wiedział, co robić, uznał więc, że pora zacząć. Wyszedł z pokoju.

Hopp powiedziała prawdę. Nie miał żony ani dzieci. Nikt nie będzie go namawiał, żeby wrócił na południe. Do normalnego świata. Jeżeli chce tu zostać, musi się dobrze spisać. Jeśli schrzani sprawę, jeśli nie wykorzysta niecodziennej szansy, jaką dano mu w maleńkiej miejscinie na krańcu świata, nie będzie miał gdzie się podziąć. Nie będzie miał co ze sobą począć.

Wychodząc z kawą w rękę do swoich współpracowników, czuł niemiły ucisk w żołądku, taki sam jak podczas lotu.

– Chciałbym wam zająć kilka minut.

Nie był pewien, gdzie stanąć, potem zdał sobie sprawę, że na pewno nie powinien stać, w związku z tym podszedł do plastikowych krzeseł. Przeniósł dwa z nich do biurka, na którym wcześniej postawił swoją kawę, i uśmiechnął się do Peach.

– Mogę panią prosić, pani Peach? Proszę usiąść. Chociaż czuł, że żołądek nie zdążył jeszcze przetrwać sporej porcji naleśników, powiedział z uśmiechem:

– Może przyniosłaby pani ze sobą bułeczki cynamonowe? Fantastycznie pachną.

Wyraźnie zadowolona postawiła na biurku talerz i położyła serwetki.

– Częstujcie się, chłopcy – zaproponowała.

– Wydaje mi się, że sytuacja jest dla was wszystkich tak samo niezręczna jak dla mnie – zaczął Nate, kładąc bułeczkę na serwetce. – Nie znacie mnie. Nic nie wiecie o mnie jako o gliniarzu ani człowieku. Z kolei ja nie pochodzę stąd i nic nie wiem o tej części świata. Tymczasem macie wykonywać moje rozkazy. Będziecie wykonywać moje rozkazy – poprawił się.

Ugryzł bułeczkę.

– Nawet święty by się im nie oparł – pochwalił.

– To dzięki smalcowi.

– Tak myślę.

Wyobraził sobie, jak jego tętnice gwałtownie się zamykają.

– Trudno wykonywać rozkazy kogoś, kogo się nie zna, komu się nie ufa. Nie macie powodu, by mi ufać. Co więcej, na pewno będę popełniał błędy. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli uznacie za stosowne, by zwrócić mi na nie uwagę, proszę tylko, żebyście robili to w cztery oczy. Będę również liczył na to, że wszyscy... naprawdę wszyscy będziecie dostarczać mi niezbędnych informacji. Powiecie to, co powinienem wiedzieć, przedstawicie ludzi, których powinienem poznać. Na razie jednak chcę was spytać, czy coś u mnie wam się nie podoba. Powiedzmy to sobie od razu i prosto w oczy, może dzięki temu uda nam się zaradzić ewentualnym problemom. Otto upił kawę.

– Na razie nie wiem, czy coś mi się u pana nie podoba, czy nie. Najpierw muszę pana poznać.

– Rozumiem. Jeśli coś nie będzie panu odpowiadało, proszę mi o tym powiedzieć. Może przyznam panu rację, może powiem, żeby poszedł pan do diabła, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

– Panie komendancie? Nate spojrzał na Petera.

– Mówcie do mnie Nate. Mam nadzieję, że mieszkańcy miasteczka nie wezmą przykładu z pani burmistrz i nie będą przez cały czas mówili do mnie Ignatiousie.

– No cóż, przyszło mi na myśl, że dobrze by było, gdyby na początku ktoś jeździł z panem na wezwania i patrole, na przykład Otto lub ja. Póki nie pozna pan miasteczka.

– To dobry pomysł. Pani Peach i ja opracujemy tygodniowy harmonogram dyżurów.

– Możesz mówić do mnie Peach. Jeśli chodzi o sprawy organizacyjne, liczę na to, że na posterunku będzie czysto i że obowiązki, w tym również sprzątanie ubikacji, Otto, znajdą się w harmonogramie razem z wszystkim innym. Miotły, wiadra i szczotki to nie tylko narzędzia dla kobiet.

– W umowie przyznano mi funkcję zastępcy, a nie sprzątaczkę.

Peach miała typową, łagodną twarz matki. Może dlatego, jak każda matka, była w stanie jednym zdecydowanym spojrzeniem wywiercić dziurę w stali.

– A ja jestem prawą ręką i sekretarką, a nie babcią klozetową. Tymczasem pewne rzeczy ktoś musi zrobić.

– Proponuję, żebyśmy na razie wykonywali te obowiązki na zmianę – przerwał Nate, dostrzegając wojownicze błyski w oczach obydwójga. – Porozmawiam z panią burmistrz na temat naszego budżetu. Może uda nam się

niewiele zaoszczędzić i zatrudnić kogoś, kto raz w tygodniu nam posprząta. Kto ma kluczyki do szafki z bronią?

– Są w mojej szufladzie – powiedziała Peach.

– Chciałbym je dostać. Ciekaw jestem również, jakie macie kwalifikacje do posługiwania się bronią.

– Gdybym chciał, mógłbym strzelać nawet z armaty – wybuchnął Otto.

– Może to i prawda, ale nosimy odznaki.

Nate odchylił się na krześle i baczniej przyjrzał się rewolwerowi w kaburze Ottona.

– Masz zamiar traktować trzydziestkęsemkę jak rewolwer służbowy?

– To mój rewolwer i dobrze mi służy.

– Świetnie. Ja wezmę z szafki siga dziewięć milimetrów. Peterze, odpowiada ci dziewiątka, którą masz przy sobie?

– Tak, sir.

– Peach, umiesz się posługiwać bronią?

– Mam w swoim biurku kolta czterdziestkępiątkę. To jest broń mojego ojca, który nauczył mnie strzelać, gdy miałam pięć lat. Poza tym umiem się posługiwać wszystkim, co znajduje się w tej szafce, i robię to nie gorzej niż nasz wojak Joe.

– Służyłem w armii – wybuchnął Otto z taką samą złością. – W piechocie morskiej.

– W porządku. – Nate przełknął ślinę. – Możecie mi powiedzieć, ilu mieszkańców miasteczka ma broń?

Wszyscy troje przez dobrą chwilę przyglądali mu się w milczeniu.

– Prawie wszyscy – powiedział w końcu Otto.

– Świetnie. Czy mamy listę mieszkańców, którym odebrano licencję?

– Mogę ją przygotować – zaofiarowała się Peach.

– Byłoby wspaniale. A znajdują się gdzieś kopie miejskich rozporządzeń?

– Zdobędę je.

– Jeszcze jedno – powiedział Nate, gdy Peach wstawiała. – Gdybyśmy musieli kogoś zaaresztować, to kto ustala kaucję, decyduje o długości aresztu, wysokości kary i tak dalej?

Po długim milczeniu odezwał się Peter:

– Chyba pan, panie komendancie. Nate cicho gwizdnął.

– To może być nawet dość zabawne!

Wrócił do swojego biura, zabierając po drodze robotę papierkową, którą dała mu Peach. Wiedział, że nie zajmie mu to dużo czasu, ale liczył na to, że będzie mógł przyczepić coś do korkowej tablicy.

Porządkował kartki, gdy w drzwiach pojawiła się jego sekretarka.

– Przyniosłam ci kluczyki, Nate. Te są od szafki z bronią. Te od posterunku, od drzwi wejściowych i tylnych, od cel i twojego samochodu. Wszystkie są opisane.

– Mojego samochodu? Mam samochód?

– To grand cherokee. Stoi na ulicy. – Wrzuciła mu kluczyk do ręki. – Hopp powiedziała, żebyśmy ci pokazali, jak zamontować ogrzewacz do silnika.

Czytał gdzieś o tym. Przy bardzo niskich temperaturach ogrzewacze umożliwiają utrzymanie temperatury silnika.

– Na wszystko przyjdzie czas.

– Słońce wschodzi.

– Słucham?

Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Potem wstał i z opuszczonymi rękami patrzył, jak słońce maluje na niebie pomarańczowe i różowe plamy. Imponujące góry nagle ożyły, a po białych zboczach zaczęły się przesuwać złociste smugi.

Nate zaniemówił z wrażenia.

– Nie ma nic wspanialszego niż pierwszy zimowy wschód słońca na Alasce.

– Chyba tak.

Jak zahipnotyzowany podszedł do okna.

Spojrzał na rzekę, na miejsce, w którym poprzedniego dnia wylądował. Był tam długi, zniszczony pomost, którego wcześniej nie zauważył. Lód połyskiwał i odbijał błękitne niebo. Z mroku wyłoniły się zwały śniegu, domy, kępki drzew, a nawet ludzie. Tak, byli tam nawet ludzie, chociaż dzięki grubemu ubraniu przypominali kolorowe kule prześlizgujące się po bieli.

Obok smużki wznoszącego się dymu... o Jezu!... czyż to nie orzeł wzbija się w niebo? W tym momencie grupka dzieciaków biegiem ruszyła w stronę skutej lodem rzeki. Miały w rękach kijki hokejowe i łyżwy przerzucone przez ramię.

W oddali wznosiły się majestatyczne góry. Milczący bogowie.

Patrząc na nie, Nate zapomniał o przenikliwym chłodzie, wietrze, izolacji i własnym smutku.

Patrząc na nie, poczuł, że żyje.

Może było za zimno, może ludzie starali się zachowywać jak najlepiej, a może po prostu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem zapanował świąteczny nastrój, tak czy inaczej pierwszy telefon zadzwonił dopiero w południe.

– Nate? – Peach stanęła w drzwiach z drutami i kłębkim fioletowej wełny. – Dzwoni Charlene. Wygląda na to, że w Lodge dwóch facetów pobito się przy bilardzie. Trochę rozrabiają.

– W porządku.

Wstał z krzesła i wędrując w stronę drzwi, wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę.

– Co wybieracie? – spytał Ottona i Petera.

– Orzeł – odparł Otto, przyglądając się, jak jego zwierchnik wyrzuca monetę w powietrze.

Nate złapał ją na wierzch dłoni.

– Reszka. W porządku. W takim razie jedzie ze mną Peter. Drobna awantura w Lodge.

Przypiął krótkofalówkę do pasa, wszedł do przedsionka i zaczął się ubierać.

– Jeżeli awantura nie skończy się przed naszym przyjazdem – powiedział do Petera – chcę, żebyś w dużym skrócie przedstawił mi głównych bohaterów i wytłumaczył, o co chodzi. Czy sytuacja jest naprawdę groźna, czy wystarczy kilka ostrych słów.

Pchnął drzwi. Ze wszystkich stron otoczyło go przeraźliwie zimne powietrze.

– To mój samochód? – spytał, wskazując czarnego dżipa.

– Tak, sir.

– A ten przewód podłączony do słupka trzeba wetknąć do ogrzewacza do silnika, tak?

– Przyda się panu, jeśli samochód będzie stał nieco dłużej. Na tylnym siedzeniu jest gruby koc. Można nim przykryć silnik, wtedy jest szansa, że utrzyma ciepło przez jakieś dwadzieścia cztery godziny. Tylko potem czasami człowiek zapomina go zdjąć, a wtedy silnik łatwo się przegrzewa. Przewody rozruchowe też są z tyłu – mówił, wyciągając wtyczkę. – Tak samo jak race, apteczka i...

– Na wszystko przyjdzie czas – przerwał mu Nate, zastanawiając się, czy pokonanie drogi nazywanej Lunatic Street będzie wymagało użycia rac i apteczki. – Sprawdźmy, czy uda nam się dojechać do Lodge w jednym kawałku.

Usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki.

– Podgrzewane siedzenia – zauważył. – Widać jednak Bóg istnieje.

W świetle dziennym miasteczko bez wątpienia wyglądało inaczej. Jest o wiele mniejsze – uznał Nate, manewrując wśród zasp. Spaliny zostawiły przy krawężnikach wyraźne smugi na białym śniegu, wystawy sklepowe już nie były takie lśniące, a świąteczne dekoracje w świetle słonecznym nosiły wyraźne ślady zużycia.

To już była rzeczywistość, a nie kartka pocztowa, chyba że spojrzano się wyżej, na góry... chociaż i one straciły nieco swoją surowość.

Nie, nie surowość, raczej posągowość – pomyślał. Teraz spoglądał na ludzką osadę wyrzeźbioną z lodu, śniegu i kamienia, usadowioną na brzegach krętej rzeki, otoczoną gęstymi lasami, w których z pewnością grasowały watahy wilków.

Nate zastanawiał się, czy w lesie są niedźwiedzie, uznał jednak, że do wiosny nie ma się czym martwić. Chyba że opowieści o śnie zimowym to jedna wielka bzdura.

Droga z posterunku do hotelu zajęła im niecałe dwie minuty. Nate po drodze doliczył się dziesięciu przechodniów, minął brązowego pikapa, potem suva, dostrzegł trzy zaparkowane skutery śnieżne i jedną parę nart wspartych o ścianę Italian Place.

Wyglądało na to, że mieszkańcy Lunacy nie poszli w ślady niedźwiedzi i nie zapadli w zimowy sen.

Nate wszedł do środka pierwszy, Peter za nim.

Awantura trwała nadal. Słysząc było głośnie okrzyki zachęty: „Skop mu ten tłusty tyłek, Mackie!”, odgłosy uderzeń i burknięcia. Nate doliczył się pięciu gapiów. Jak na warunki Lunacy należało to prawdopodobnie uznać za tłum. Tworzyło go pięciu mężczyzn we flanelowych koszulach, chociaż po bliższych oględzinach okazało się, że jeden z nich jest kobietą.

W środku kręgu dwaj mężczyźni o skołtunionych, brązowych włosach turlali się po podłodze, próbując jednocześnie okładać się pięściami. Jediną bronią widoczną w polu widzenia był złamany kij bilardowy.

– To bracia Mackie – wyjaśnił Peter.

– Bracia?

– Taak. Bliźniacy. Od urodzenia nic nie robią, tylko się tłuką. Rzadko zdarza się, by podnieśli rękę na kogoś innego.

– W porządku.

Nate łokciami utorował sobie drogę do środka kręgu. Na jego widok okrzyki nieco ucichły i zamieniły się w ciche pomruki, zwłaszcza gdy chwycił za tyłek bliźniaka numer jeden, faceta, który znajdował się na wierzchu.

– No dobra, zabawa skończona.

Bliźniak numer dwa wyrwał się spod spodu i odskoczył do tyłu. Przy okazji wymierzył potężny cios w szczękę brata.

– Rzeka Czerwona, ośła pało! – krzyknął.

Następnie uniósł pięści i rozpoczął taniec zwycięstwa. Jego brat bezwładnie opadł w ramiona Nate'a.

– Peterze, na litość boską – warknął Nate, widząc, że jego zastępca stoi w bezruchu.

– Och, przepraszam, panie komendancie. Jim, uspokój się. Jim Mackie nie przerywał swojego tańca, zachęcany okrzykami tłumu.

Nate zauważył, że pieniądze przechodzą z ręki do ręki, ale postanowił to zignorować.

– Weź go.

Przekazał nieprzytomnego mężczyznę Peterowi, potem zastąpił drogę samozwańczemu zwycięzcy.

– Zastępca kazał ci się uspokoić.

– Taak?

Jim uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując białe zęby i isticie po diabelsku błyskając brązowymi oczami.

– No to co? Wcale nie muszę słuchać rozkazów tego dupka.

– Musisz. Zaraz pokażę ci, dlaczego.

Nate gwałtownym ruchem obrócił mężczyznę, pchnął go na ścianę i w niecałe dziesięć sekund założył mu kajdanki.

– Hej! – zaprotestował zdetronizowany zwycięzca.

– Spróbuj podskoczyć, a wylądujesz w celi za stawianie oporu i nie tylko. Peterze, gdy drugi ptaszek odzyska przytomność, przyprowadź go na posterunek.

Nie okazując ani cienia lojalności, tym razem tłum miauczeniem i gwizdami poparł Nate'a, który siłą prowadził Jima Mackiego w stronę drzwi.

Nate zatrzymał się na widok wychodzącej z kuchni Charlene.

– Masz zamiar wniesić oskarżenie? – spytał.

Przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona, potem zamruła oczami.

– Hmm... do diabła, nie. Nikt nigdy wcześniej mnie o to nie pytał. Jakie oskarżenie?

– Pewnie coś ci zniszczyli, połamali...

– Och, zawsze po fakcie płacą za szkody, chociaż, prawdę mówiąc, wypłoszyli kilku turystów, którzy mieli zamiar zamówić lunch.

– To Bili zaczął.

– Daj spokój, Jim – ucięła. – Zawsze obaj rwiecie się do walki. Mówiłam wam, żebyście przestali wszczynać burdy, ponieważ przepędzacie mi klientów. Nie chcę wnosić oskarżenia. Zależy mi tylko na tym, żeby wasze głupie bijatyki ustały. I musicie zapłacić za szkody.

– Rozumiem. Chodź, załatwmy sprawę, Jim.

– Nie rozumiem, dlaczego...

Nate rozwiązał jego wątpliwości, wypychając go na ziąb.

– Jezu Chryste, przydałoby mi się moje ubranie.

– Zastępca Notti ci je przyniesie. Możesz wsiąść do samochodu albo zostać na zewnątrz i odmrozić sobie tyłek. Wybór należy do ciebie.

Otworzył drzwi i wepchnął Jima do środka.

Gdy Nate usiadł za kierownicą, Jim próbował odzyskać nieco godności, pomimo podbitego oka i strużki krwi, która sączyła się z rozciętej wargi.

– Uważam, że nie powinno się tak traktować ludzi. To niesprawiedliwe.

– A ja uważam, że niesprawiedliwością było zdzielenie brata w chwili, gdy ktoś trzymał go za rękę.

Jim, nie kryjąc rozgoryczenia, wcisnął brodę w klatkę piersiową.

– Zostałem przyłapany na gorącym uczynku. Poniosło mnie. Poza tym ten sukinsyn mnie wkurzył. Jesteś tym nowym, który ma być naszym komendantem, tak?

– Ale z ciebie bystrzacha, Jim!

Jim boczył się przez całą drogę na posterunek. Potem razem z Nate'em wszedł do środka.

– Przybysz z terenów położonych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika – zadrwił, zwracając się do Ottona i Peach. – Nie wie, jak wygląda życie w Lunacy.

– Może mu to wyjaśnisz?

W oczach Ottona pojawił się błysk. Może radości?

– Potrzebna mi będzie apteczka. Zapraszam do siebie, do biura, Jim.

Nate wprowadził Jima do środka, pchnął go na krzesło, a potem rozpiął część kajdanków i przyczepił ją do oparcia.

– Daruj sobie – zaproponował Jim. – Jeśli będę chciał wyjść, mogę po prostu zabrać krzesło ze sobą.

– Jasne, a ja wtedy dodam do listy twoich wykroczeń kradzież sprzętu z posterunku policji.

Jim ponownie zaczął się boczyć. Był kościstym mężczyzną około trzydziestki. Miał potargane brązowe włosy, pociągłą twarz, zapadnięte policzki i brązowe oczy. Lewe było opuchnięte po jednym z ciosów brata. Z rozciętej wargi kapłała krew.

– Nie lubię cię – zdecydował.

– Wolno ci. To nie jest sprzeczne z prawem, w przeciwieństwie do zakłócania spokoju, niszczenia cudzej własności i bijatyki.

– Tutaj, w Lunacy, jeśli człowiek ma ochotę stłuc na kwaśne jabłko swojego przygłupiastego brata, to jest jego i tylko jego sprawa.

– Już nie. Tutaj, w Lunacy, od tej chwili człowiek ma szanować cudzą własność i przestrzegać porządku publicznego. Ma również okazywać szacunek stróżom prawa.

– Peterowi? Temu głupkowi?

– Teraz to zastępca Głupek.

Jim ciężko westchnął, tak ciężko, że z jego rozciętej wargi prysnęły kropelki krwi.

– Na litość boską, znałem go, nim się jeszcze urodził.

– Kiedy ma przypiętą odznakę i mówi ci, żebyś się uspokoił, masz się uspokoić, niezależnie od tego, czy znałeś go in vitro, czy nie.

Jim sprawiał wrażenie zaciekawionego, a jednocześnie zaskoczonego.

– Nie wiem, o czym, do diabła, mówisz.

– Właśnie widzę.

Zerknął na wchodzącą Peach.

– Przyniosłam apteczkę i lód.

Podawała lód Jimowi, a apteczkę ustawiła na biurku przed Nate'em. Potem wzięła się pod boki.

– Jak to się dzieje, Jimie Mackie, że w ogóle nie mądrzejesz?

– To Bili zaczął.

Zarumienił się i przycisnął lód do krwawiącej wargi.

– To ty tak twierdzisz. A gdzie jest Bili?

– Peter zaraz go przyprowadzi – wyjaśnił Nate. – Kiedy numer dwa odzyska przytomność.

Peach prychnęła.

– Przypuszczam, że matka podbije ci drugie oko, gdy będzie musiała zapłacić za ciebie kaucję...

Wygłosiwszy ponurą przepowiednię, wyszła, trzaskając drzwiami.

– Jezu! Chyba nie masz zamiaru zamykać mnie za to, że zdzeliłem brata przez łeb.

– Kto wie? Może jeszcze sam nieźle ci dołożę, zważywszy, że to mój pierwszy dzień w pracy. – Nate oparł się o krzesło. – O co poszło?

– No dobrze, posłuchaj.

W ramach przygotowania do własnej obrony Jim klepnął się po kolanach.

– Ten pozbawiony mózgu osioł twierdzi, że najlepszym westernem, jaki kiedykolwiek nakręcono, był Dylizans, podczas gdy nawet dziecko wie, że Rzeka Czerwona bije całą resztę na głowę.

Nate przez długą chwilę milczał.

– Naprawdę?

– Na litość boską!

– Po prostu chcę mieć pewność, czy rzeczywiście dobrze cię zrozumiałem. Ty i twój brat urządźliście sobie bijatykę, ponieważ nie zgadzacie się co do zalet Dylizansu i Rzeki Czerwonej z ceuvre Johna Wayne’a.

– Czego?

– Biliście się o to, który film Johna Wayne’a jest lepszy? Jim poruszył się na krześle.

– Chyba tak. Wyrównamy Charlene wszystkie straty. Czy mogę już iść?

– Zwróćcie Charlene za zniszczenia i każdy z was zapłaci sto dolarów grzywny za zakłócanie porządku publicznego.

– Niech to diabli! Nie możesz...

– Mogę.

Nate wychylił się do przodu i obrzucił Jima zimnym, spokojnym spojrzeniem, pod wpływem którego bliźniak numer jeden zaczął niespokojnie wiercić się na krześle.

– Posłuchaj, Jim, co ci powiem. Nie chcę, żebyście obaj z Billem wszczynali

burdy w Lodge. Ani w żadnym innym miejscu, chociaż na razie przede wszystkim chodzi mi o hotel. Pomyślcie o małym chłopcu, który spędza tam większość czasu.

– E tam, do diabła, w razie bójk Rosę zawsze zabiera Jesse’ego do kuchni. Bili i ja nie chcemy skrzywdzić tego malca. Jesteśmy po prostu... no wiesz... trochę popędliwi.

– W takim razie, będąc w mieście, musicie zapanować nieco nad swoją popędliwością.

– Sto dolarów?

– Do zapłacenia u Peach w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Jeśli tego nie zrobisz, z każdym dniem opóźnienia podwoję stawkę. Jeśli nie chcesz płacić grzywny, możesz spędzić trzy najbliższe dni tutaj, w bardzo dobrych warunkach.

– Zapłacimy – mruknął Jim, ciężko wzdychając. – Ale, na litość boską, Dylizans?

– Osobiście lubię Rio Bravo.

Jim otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował z tego pomysłu. Widocznie w końcu zdał sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji.

– To cholernie dobry film – przyznał – chociaż daleko mu do Rzeki Czerwonej.

Nate doszedł do wniosku, że jeśli takie przestępstwa są w Lunacy normą, być może podjął słuszną decyzję, przylatując właśnie tutaj. Prawdopodobnie największym wyzwaniem, jakie przed nim stoi, będą bójk między braćmi.

Nie szukał wielkich wyzwań.

Bracia Mackie nie stanowili żadnego problemu. Rozmowa z Billem przebiegła niemal dokładnie tak samo jak z Jimem, chociaż Bili z większym zapałem bronił Dylizansu i używał w tym celu mocniejszych słów. Prawdopodobnie mniejszą przykrość sprawiło mu to, że oberwał po twarzy, niż fakt, iż nie przyznano mu racji, jeśli chodzi o jego ulubiony film.

Peter wstawił głowę w drzwi.

– Panie komendancie? Dzwoni Charlene. Mówi, że powinien pan przyjechać do hotelu na lunch.

– Doceniam jej troskę, ale muszę przygotować się na spotkanie.

Kiedy w Lodge ciągnął Jima w stronę drzwi, dostrzegł błysk w oku Charlene.

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił, Peterze. Podjedź tam, przygotuj listę

zniszczeń i postaraj się oszacować, jakie koszty będzie musiała ponieść Charlene. Dopilnuj, żeby bracia Mackie dostali ten wykaz i w ciągu dwudziestu czterech godzin zapłacili za szkody.

– Jasne. Świetnie pan sobie poradził, panie komendancie.

– Nie było z czym sobie radzić. Mam zamiar napisać raport. Będę chciał, żebyś go przejrzał i w razie konieczności dodał coś od siebie.

Usłyszawszy ryk, od którego aż zadrżały szyby, Nate obejrzał się za siebie.

– Co to takiego? Trzęsienie ziemi? Wybuch wulkanu? Wojna atomowa?

– Bóbr – wyjaśnił Peter.

– Niemożliwe, żeby na Alasce były tak olbrzymie i tak głośne bobry.

Peter ze śmiechem wskazał na okno.

– Mówię o samolocie Meg Galloway. Nazywa się „Bóbr”. Przywiozła zaopatrzenie.

Odwróciwszy się, Nate ujrzał czerwony samolocik, jeden z tych, które bardziej kojarzyły mu się z zabawkami. Na wspomnienie niedawnej podróży w stalowym ptaku o mniej więcej podobnych rozmiarach poczuł ucisk w żołądku. Odwrócił się od okna.

Nacisnął guzik brzęczącego interkomu.

– O co chodzi, Peach?

– Grupka dzieciaków obrzuciła szkołę kulkami śniegu. Wybiły okno i uciekły.

– Wiemy, kto to zrobił?

– Tak. Znamy nazwiska całej trójki. Zastanawiał się przez chwilę, co z tym zrobić.

– Sprawdź, czy Otto może się tym zająć. Spojrzał na Petera.

– Jakies pytania?

– Nie. Nie, sir. Po prostu cieszę się, że jest coś do roboty – dodał z uśmiechem.

– Taak. Ja też nie lubię siedzieć z założonymi rękami. Szukał sobie zajęć, póki nie nadszedł czas, żeby wyjść na spotkanie. Załatwiał przede wszystkim sprawy organizacyjne, ale dzięki nim czuł się tak, jakby przygotowywał sobie miejsce pracy.

Niezależnie od tego, jak długo miał tu zostać.

Co prawda podpisał umowę na rok, ale zarówno on, jak i rada miejska w ciągu dwóch miesięcy mogli się z niej wycofać.

Uspokajała go świadomość, że jeśli będzie chciał, może stąd wyjechać choćby

jutro... albo w przyszłym tygodniu. Jeśli przetrwa dwa miesiące, na pewno będzie wiedział, czy zdoła wytrzymać do końca kontraktu.

Postanowił pójść na ratusz na piechotę. Głupotą byłoby pokonywanie samochodem tak niewielkiej odległości.

Niebo było czyste i tak niebieskie, że białe góry odcinały się od niego, jakby ktoś wyrzeźbił je ostrym nożem. Temperatura była nieludzka, mimo to Nate zobaczył dzieci, które tak samo jak w każdym innym mieście wybiegły ze „Sklepu na Rogu” z batonami w rękach. Pełne zapału i oczekiwania.

Gdy tylko znalazły się na chodniku, w drzwiach sklepu pojawiły się jakieś ręce i odwróciły karteczkę z napisem OTWARTE. Teraz każdy mógł przeczytać, że jest ZAMKNIĘTE.

Tym razem na ulicy stało więcej terenówek i samochodów, następne mozolnie posuwały się po zasypanej śniegiem drodze.

Wyglądało na to, że na spotkaniu w ratuszu będzie mnóstwo ludzi.

Nate poczuł ucisk w żołądku. Tak samo było przed wszelkimi publicznymi wystąpieniami podczas studiów. Fatalna cecha u działacza.

Bardzo lubił prowadzić rozmowy. Chętnie przesłuchiwał podejrzanych, wyciągał zeznania od świadków, ale na samą myśl o konieczności wystąpienia przed publicznością i wygłoszenia kilku sensownych zdań po karku spływała mu strużka potu.

Po prostu spróbuj jakoś przez to przebrnąć – rozkazywał sobie. Przeżyj następną godzinę, a potem już nigdy nie będziesz musiał tego robić. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Wszedł do środka, do ciepłego wnętrza, które wypełniał cichy pomruk ludzkich głosów. W hallu wisiała ogromna ryba, jakiej Nate nigdy w życiu nie widział. Był tak zaskoczony, że przez dobrą chwilę nie odrywał od niej wzroku, zastanawiając się, czy to jakiś wieloryb mutant i jak, na litość boską, ktoś zdołał go złapać, nie wspominając już o przyczepieniu do ściany.

Dzięki temu nie myślał o dużej liczbie ludzi, którzy zerkali w jego stronę, i tłumie siedzącym już w części przeznaczony na zebranie. Wszyscy zajmowali składane krzesła i byli zwrócenii twarzami do podwyższenia i mównicy.

– To łośoś królewski – wyjaśniła Hopp, stając za plecami Nate’a.

Nadal patrzył na ogromną srebrną rybę, która odsłaniała czarne dziąsła w czymś, co do pewnego stopnia przypominało szydarczy uśmiech.

– To ma być łośoś? Jadałem łośosia. Widywałem go w restauracjach. Jest taki

duży. – Pokazał wielkość rękami.

– Nie jadłeś łososia królewskiego z Alaski. Chociaż, prawdę mówiąc, ten sukinsyn rzeczywiście jest wyjątkowo duży. Złapał go mój mąż. Ryba ważyła ponad czterdzieści dwa kilogramy. Trochę mniej, niż wynosi rekord, ale to i tak wspaniały okaz.

– Czego użył? Podnośnika widłowego?

Wybuchnęła gromkim śmiechem i po przyjacielsku poklepała go po plecach.

– Łowisz ryby?

– Nie.

– W ogóle?

– Nie mam nic przeciwko wędkowaniu, po prostu nigdy tego nie robiłem.

Potem odwrócił się i, zaskoczony, zmarszczył czoło. Hopp miała na sobie elegancki kostium w drobną biało-czarną kratkę. W uszy wpięła niewielkie perełki i pomalowała wargi na czerwono.

– Pani wygląd naprawdę robi wrażenie, pani burmistrz.

– Wrażenie może robić dwustuletnia sekwoja.

– No cóż, chciałem powiedzieć, że wyglądasz seksownie, ale uznałem, że to może być nieodpowiednie określenie.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Jesteś mądrym chłopcem, Ignatioucie.

– Chyba nie bardzo.

– Jeśli ja mogę wyglądać seksownie, czemu ty nie możesz być mądry? W końcu to tylko wygląd. Może zatem rozpoczniemy przedstawienie? Najpierw zaprezentuję ci członkom rady miejskiej, a potem wygłosimy nasze mowy.

Wzięła go pod ramię tak, jak robi to kobieta, która prowadzi mężczyznę przez tłum ludzi zebranych na przyjęciu.

– Słyszałam, że poznałeś już braci Mackie.

– Och, to tylko drobne nieporozumienie z powodu westernów.

– Jeśli o mnie chodzi, lubię filmy z Clintem Eastwoodem. Wczesne. A to Ed Woolcott. Pozwól, Edzie, że przedstawię ci naszego nowego komendanta policji.

Woolcott, surowy z wyglądu mężczyzna koło pięćdziesiątki, uściskał Nate'owi rękę jak wytrawny polityk. Jego gęste, siwe włosy odczesane były do tyłu. Twarz miał wyrazistą. Nad lewym okiem widniała niewielka, biała szrama.

– Prowadzę tu bank – objaśnił Nate'a, co usprawiedliwiało granatowy garnitur

i krawat w drobne prążki. – Spodziewam się, że wkrótce otworzy pan u nas konto.

– Będę musiał się nad tym zastanowić.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby omawiać interesy, Edzie. Chciałabym przedstawić Ignatiouisa innym.

Poznał Dęb i Harry’ego Minerów, którzy prowadzili „Sklep na Rogu”, Alana B. Royce’a, emerytowanego sędziego, Waltera Nottiego, ojca Petera, hodowcę psów husky. Wszyscy oni byli członkami rady miejskiej.

– Nasz lekarz, Ken Darby, przyjdzie, gdy tylko będzie mógł.

Pojawiła się również Bess Mackie: chuda jak tyczka kobieta z szokująco czerwonymi włosami. Stała przed Nate’em, skrzyżowała ręce na chudej klatce piersiowej i prychnęła.

– To ty upupiłeś moich chłopców?

– Taak, psze pani, można tak powiedzieć. Zaczepnęła powietrza przez niewielkie nozdrza i dwukrotnie kiwnęła głową.

– To dobrze. Następnym razem porozwalaj im łby i oszczędź mi kłopotu.

Kiedy odeszła, żeby poszukać wolnego krzesła, Nate uznał, że, zważywszy na okoliczności, było to całkiem miłe powitanie.

Hopp poprowadziła go w stronę podwyższenia, na którym stały krzesła dla niej, Nate’a i wiceburmistrza Woolcotta.

– Dęb rozpocznie zebranie od kilku bieżących spraw, ogłoszeń i tego typu rzeczy – wyjaśniła Hopp. – Potem Ed wygłosi mowę, następnie ja powiem kilka słów i przedstawię cię mieszkańcom miasteczka. Po twoim wystąpieniu zamkniemy zebranie. Mogą się pojawić jakieś pytania.

Nate poczuł skurcz żołądka.

– W porządku.

Wskazała mu krzesło obok siebie i kiwnięciem głowy dała znak Dęb Miner.

Dęb, krępa kobieta o ładnej twarzy i jasnych włosach, weszła na podwyższenie i stanęła na mównicy.

Mikrofon zaskrzypiał i zapiszczał, gdy go ustawiała. Kiedy odchrząknęła, jej głos odbił się echem od ścian.

– Witam wszystkich zgromadzonych. Zanim przejdziemy do naszej najważniejszej sprawy, chciałabym odczytać kilka ogłoszeń. Uroczyste powitanie Nowego Roku w Lodge zacznie się mniej więcej o dziewiątej. Oprawę muzyczną zapewni zespół The Caribous. Będziemy zbierać pieniądze,

więc nie skąpcie datków. W następny piątek w szkole urządzamy kolację we włoskim stylu. Opłaty za wstęp zostaną przeznaczone na zakup strojów dla drużyny hokejowej. Mamy szansę na wygranie regionalnych mistrzostw, więc powinniśmy odpowiednio ubrać członków naszej drużyny. Uroczystość zaczyna się o piątej. Kolacja będzie się składała z dania głównego, sałatki, rolady i zimnych napojów. Wstęp dla dorosłych: sześć dolarów, dzieci od sześciu do dwunastu lat: cztery dolary. Poniżej sześciu – wstęp wolny.

Potem szczegółowo omówiła najbliższy wieczór filmowy, który miał się odbyć na ratuszu. Nate słuchał jej jednym uchem, starając się nie myśleć o swojej kolejce przy mikrofonie.

Nagle dostrzegł ją w drzwiach.

Czerwona kurtka i coś w sposobie poruszania się podpowiedziało mu, że patrzy na tę samą kobietę, którą poprzedniego wieczoru widział przez okno. Zdjęła kaptur, na głowie zostawiła jedynie czarną wełnianą czapeczkę, spod której wystawały gęste, czarne, proste włosy.

Przy tych obu zdecydowanych kolorach jej twarz sprawiała wrażenie wyjątkowo jasnej, kości policzkowe wyraźnie odcinały się od tła. Chociaż dzieliła ich cała długość sali, Nate zauważył, że nieznajoma ma niebieskie oczy. Jasnoniebieskie jak lód.

Miała na sobie męskie spodnie i zniszczone czarne, wysokie buty, przez ramię przerzuciła płócienną torbę.

Lodowatobłękitne oczy skierowały się prosto na Nate'a i wytrzymały jego spojrzenie przez cały czas, kiedy szła między rzędami składanych krzeseł, a potem usiadła obok chudego mężczyzny, który wyglądał na rdzennego mieszkańca Alaski.

Nie odezwali się do siebie ani słowem, ale Nate wyczuł, że są sobie bardzo bliscy, chociaż nie w sensie fizycznym. Nieznajoma zdjęła kurtkę. W tym czasie Dęb przeszła od wieczoru filmowego do zapowiedzi najbliższych meczów hokejowych.

Pod kurtką właścicielka jasnoniebieskich oczu miała oliwkowozielony sweter. Pod swetrem, zdaniem Nate'a, znajdowało się krępe, wysportowane, drobne ciało.

Próbował się zdecydować, czy nieznajoma jest ładna. Daleko jej było do kanonów piękna: miała zbyt proste brwi, lekko garbaty nos i za obfite usta.

Jednak tworząc w myślach listę jej niedoskonałości, Nate czuł, że coś w nim

drgnęło. Może dlatego uznał, że jest interesująca. Od kilku miesięcy trzymał się z dala od kobiet, co, biorąc pod uwagę stan jego umysłu, wcale nie było takie trudne. Niemniej na widok przypominającej bryłkę lodu nieznanym w jego żyłach szybciej zaczęła krążyć krew.

Otworzyła płócienną torbę i wyjęła z niej papierową torebkę. Zanurzyła w niej rękę i, ku zdumieniu Nate'a, wyjęła garść prażonej kukurydzy. Włożyła do ust kilka ziarenek i zaproponowała poczęstunek swojemu sąsiadowi. W tym czasie Dęb skończyła czytać ogłoszenia.

Miejsce na mównicy zajął Ed. Omówił pracę rady miejskiej i czynione przez nią postępy. W tym czasie kobieta wyjęła z torby srebrny termos i nalała do kubka coś, co wyglądało na czarną kawę.

Kto to, do diabła, może być? Córka siedzącego obok tubylca? Dzielila ich odpowiednia różnica wieku, ale Nate nie dostrzegł ani cienia podobieństwa, które mogłoby świadczyć o tym, że łączą ich więzy krwi.

Chociaż Nate bacznie jej się przyglądał, ani się nie zarumieniła, ani nie zamrużyła oczami, jedynie skubała kukurydżę, sączyła kawę i patrzyła mu prosto w oczy.

Kiedy Ed zapowiedział Hopp, rozległy się brawa. Z pewnym wysiłkiem Nate wrócił do rzeczywistości.

– Nie mam zamiaru tracić czasu na politykowanie. Postanowiliśmy zapewnić miastu bezpieczeństwo i zgodnie z tradycją naszego wspaniałego stanu zatroszczyć się sami o siebie. Najpierw w głosowaniu opowiedzieliśmy się za wybudowaniem posterunku policji i zatrudnieniem stróżów prawa. Potem rozgorzała długa dyskusja, podczas której każdy z nas miał coś do powiedzenia, dzięki czemu rozpatrzyliśmy wszelkie za i przeciw. W rezultacie podczas ponownego głosowania postanowiliśmy sprowadzić z zewnątrz kogoś z odpowiednim doświadczeniem, człowieka, któremu obce będą stosunki panujące w Lunacy. Liczyliśmy na to, że dzięki temu będzie sprawiedliwy, a jego mądrość pozwoli mu wprowadzić w mieście przepisy prawa bez jakichkolwiek uprzedzeń. Dowiódł tego dzisiaj, zakładając kajdanki Jimowi Mackiemu, który pobił się z bratem w Lodge.

Rozległy się chichoty. Obaj bracia z posiniaczonymi twarzami uśmiechnęli się ze swoich miejsc.

– Obłożył nas grzywną! – zawołał jeden z nich.

– Dzięki czemu budżet miasta wzbogacił się o dwieście dolarów. Biorąc pod

uwagę wasze dotychczasowe postępowanie, możemy mieć nadzieję, że sami pokryjecie koszty zakupu wozu dla straży pożarnej. Ignatious Burke przyjechał do nas z Baltimore w stanie Maryland, gdzie przez jedenaście lat służył w tamtejszej policji. Możemy uznać się za szczęściarzy, ponieważ mamy teraz komendanta, który zatroszczy się o spokój i bezpieczeństwo mieszkańców naszego miasteczka. Powitajmy naszego nowego komendanta policji.

Kiedy mieszkańcy Lunacy zaczęli bić brawo, Nate pomyślał: O cholera! Kolej na mnie. Podszedł do mównicy, mając w głowie kompletną pustkę. Wtedy ktoś z tłumu zawołał:

– Cheechako!

Rozległ się pomruk, a przyciszone głosy podjęły sprzeczkę. Nate zapomniał o zdenerwowaniu, górę wzięła złość. To prawda. Jestem cheechako. Przybyszem z zewnątrz. Przybyszem z terenów położonych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika.

Rozmowy ucichły. Nate bacznie przyjrzał się tłumowi.

– Niemal wszystko, czego dowiedziałem się na temat Alaski, wyczytałem w przewodniku, znalazłem w Internecie albo zobaczyłem w kinie. Niewiele wiem o Lunacy oprócz tego, że jest tu cholernie zimno, że bracia Mackie lubią się bić i że macie tu widok, który zapiera w piersiach dech. Wiem natomiast, jak być gliniarzem, i dlatego tu jestem.

Kiedyś wiedziałem – poprawił się w myślach. Kiedyś wiedziałem, jak nim być. Poczuł, że dłonie mu się poca.

Wiedział, że lada chwila się zatnie. Czuł to. Wówczas jego wzrok napotkał spojrzenie lodowatych, błękitnych oczu kobiety w czerwieni. Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Nie odrywając oczu od Nate'a, uniosła srebrny kubek i upiła następny łyk kawy.

Nate słyszał własne słowa. A może to ona podpowiedziała mu ten tekst?, – Przyjechałem tutaj, żeby służyć temu miastu i ochraniać jego mieszkańców. Może będziecie źli, że przybywam z zewnątrz i mówię, co wam wolno, a czego nie, ale wszyscy musimy się do tego przyzwyczaić. Ja ze swojej strony obiecuję że dołożę wszelkich starań. Wy zadecydujecie, czy to wystarczy. Dziękuję.

Rozległy się nieśmiałe brawa, które po chwili przybrały na sile. Nate znów złapał się na tym, że patrzy w oczy nieznanym. Poczuł ucisk w żołądku, kiedy jeden kącik jej ust uniosł się w delikatnym uśmiechu.

Usłyszał, że Hopp zamyka zebranie. Kilka osób chciało z nim porozmawiać,

dlatego stracił nieznajomą z oczu. Kiedy znów ją dostrzegł, czerwona kurtka przesuwiała się w stronę tylnych drzwi.

– Kto to taki?

Tak długo się cofał, aż udało mu się dotknąć ramienia Hopp.

– Ta kobieta, która się spóźniła... Miała czerwoną kurtkę, czarne włosy i niebieskie oczy.

– Pewnie masz na myśli Meg. Meg Galloway. Córkę Charlene.

Chciała dobrze mu się przyjrzeć. Poprzedniego dnia w oknie wyglądał na pogrążonego w myślach i zgorzkniałego bohatera jakiejś mrocznej powieści.

Uznała, że jest wystarczająco przystojny do takiej roli, ale z bliska sprawiał wrażenie raczej smutnego, a nie zgorzkniałego.

Szkoda. Bardziej odpowiadałoby jej zgorzknienie.

Musiała przyznać, że nieźle sobie poradził. Pomimo obelgi – ten dupek, Bing! – powiedział, co do niego należało, i po chwili wahania dokończył swoją mowę.

Uznała, że jeśli po Lunacy mają się snuć gliniarze, mogli gorzej trafić. Dla niej to nie miało znaczenia dopóty, dopóki nikt nie będzie wtykał nosa w jej sprawę.

Skoro już była w mieście, postanowiła zrobić zakupy.

Zobaczywszy w „Sklepie na Rogu” wywieszkę ZAMKNIĘTE, ciężko westchnęła. Potem wyjęła z torby pęczek kluczy, znalazła oznaczony skrótem „Snr”, otworzyła i weszła do środka.

Zabrała dwa duże pudła i zaczęła wędrować między regałami. Do jednego wrzuciła płatki śniadaniowe, makaron, jajka, jedzenie w puszkach, papier toaletowy, mąkę i cukier. Położyła je na ladzie i zaczęła napępniać drugie.

Właśnie dźwigała ogromną torbę karmy dla psów, gdy otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł Nate.

– Zamknięte.

Meg sapnęła i położyła torbę na ladzie.

– Widzę.

– Jeśli widzi pan, że zamknięte, to co pan tu robi?

– Śmieszne. To ja powinienem o to zapytać.

– Potrzebuję kilku rzeczy.

Weszła za ladę, wzięła stamtąd kilka niewielkich pudełeczek i dorzuciła je do dużego pudła.

– Tego mogłem się domyślić, ale gdy ludzie biorą to, czego potrzebują, kiedy

sklep jest zamknięty, zazwyczaj uznaje się to za kradzież.

– Coś o tym słyszałam.

Wyjęła spod lady ogromną księgę i przerzuciła kilka kartek.

– Idę o zakład, że poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika aresztuje się ludzi za coś takiego.

– Tak. Oczywiście.

– Ma pan zamiar wprowadzić ten zwyczaj tu, w Lunacy?

– Tak. Oczywiście.

Roześmiała się. Jej śmiech w jakimś stopniu stanowił dopełnienie śmiechu Hopp. Wyjęła skądś długopis i zaczęła pisać w księdze.

– No cóż, proszę pozwolić, że skończę, a potem będzie mnie pan mógł aresztować. Trzy aresztowania w ciągu dnia. Prawdziwy rekord..;

Pochyliwszy się nad ladą, zauważył, że córka Charlene dokładnie wpisuje wszystko, co wrzuciła do pudeł.

– To byłaby jedynie strata czasu.

– Taak, ale w Lunacy nigdy go nie brakuje. Cholera, zapomniałam o mydle oliwkowym. Poda mi je pan? Jest tam.

– Jasne.

Podszedł, przejrzał zawartość półki i wziął buteleczkę.

– Wczoraj widziałem panią przez okno. Dopisała do listy mydło oliwkowe.

– Ja też pana widziałam.

– Jest pani alaskim pilotem.

– Nie tylko. – Spojrzała na Nate'a. – To zaledwie jedno z moich zajęć.

– Co robi pani oprócz tego?

– Gliniarz z wielkiego miasta szybko powinien się zorientować.

– Trochę już wiem. Gotuje pani. Ma pani psa. Może nawet dwa spore psy. Lubi pani swój dom. Jest pani uczciwa, przynajmniej wtedy, kiedy to pani odpowiada. Lubi pani czarną kawę i dużo masła na prażonej kukurydzy.

– To tylko wierzchołek góry lodowej. – Stuknęła długopisem o księgę. – Interesuje pana reszta, panie komendancie?

Jaka bezpośrednia – pomyślał. Dawno temu przestał być bezpośredni. Może pora wrócić do starych przyzwyczajień?

– Nawet bardzo.

Uśmiechnęła się tak samo jak w ratuszu: najpierw uniosła prawy kącik ust, dopiero później lewy.

– Charlene już pana zaliczyła?

– Słucham?

– Jestem ciekawa, czy Charlene zgotowała panu poprzedniej nocy specjalne powitanie w Lunacy.

Nie wiedział, co wkurzyło go bardziej: pytanie czy chłód, z jakim mu się przyglądała.

– Nie.

– Nie jest w pańskim typie?

– Nie bardzo. Nie podoba mi się też sposób, w jaki mówi pani na temat matki.

– Nagle stał się pan przewrażliwiony, co? Niech się pan nie martwi. Wszyscy wiedzą, że Charlene próbuje kręcić z każdym przystojnym facetem, który się tu pojawi. Problem w tym, że unikam okrucichów z jej stołu. Skoro jednak nie wywarła na panu specjalnego wrażenia, może pozwolę, żeby dowiedział się pan czegoś więcej na mój temat.

Zamknęła książkę i odłożyła ją na miejsce.

– Zechce mi pan pomóc w zapakowaniu moich rzeczy do samochodu?

– Jasne. Wydawało mi się, że pani środkiem lokomocji jest samolot.

– Był. Zamieniłam się z przyjacielem środkami transportu.

– W porządku.

Dźwignął torbę z karmą dla psów i zarzucił ją na ramię.

Na zewnątrz stał czerwony pikap z brezentem, sprzętem do biwakowania, raketami śnieżnymi i kilkoma butlami gazu. W kabinie widać było rewolwer i strzelbę.

– Poluje pani? – spytał.

– Zależy od zwierzyny.

Zamknęła pakę auta i uśmiechnęła się do Nate'a.

– Co pan tu, do diabła, robi, panie komendancie?

– Jeśli będzie pani mówić do mnie „Nate”, odpowiem pani na to pytanie, gdy tylko sam rozwiążę tę zagadkę.

– W porządku. Może w takim razie zobaczymy się podczas sylwestra? Sprawdźmy, czy do siebie pasujemy.

Wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Kiedy wyjechała na ulicę, rozległy się dźwięki starego przeboju Aerosmith. Skręciła na zachód, tam gdzie słońce powoli chowało się za szczytami, nadając im ognistozłocistą barwę. Wokół zaczynało się zmierzchać.

Było piętnaście po trzeciej po południu.

Zapiski z wyprawy, 14 lutego 1988 r.

Cholerny ziąb! Nie rozmawiamy na ten temat, bo chyba musielibyśmy ześwirować, na szczęście mogę o tym napisać. Potem pewnego dnia cofnę się w czasie – może na przykład w lipcu, siedząc przy piwie, paląc trawkę i tłukąc komary wielkości wróbli – i przypomnę sobie tę białą sukę.

Przypomnę sobie, że tu byłem i pokonałem wszelkie przeciwności losu, a wtedy piwo z pewnością będzie miało znacznie lepszy smak.

Na razie, niestety, mamy luty, a do lipca zostały całe wieki. Kurewskie prawa natury.

Wieje wiatr, jest trzydzieści pięć, może czterdzieści stopni poniżej zera. Przy takiej temperaturze kilka stopni w tę lub tamtą nie stanowi już żadnej różnicy. Z powodu zimna pękła jedna z latarni i rozpadł się zamek błyskawiczny w mojej kurtce.

Ponieważ noc trwa tutaj szesnaście godzin, rozkładamy i zwijamy obóz po ciemku. Sikanie stanowi nie lada sztukę, jest czynnością wyjątkowo wyczerpującą i żalną. Mimo to dobry nastrój nie mija, przynajmniej na razie.

Takich przeżyć nie da się kupić za pieniądze. Kiedy zimno niczym kawałki rozbitej szyby kaleczy gardło, przynajmniej człowiek wie, że żyje naprawdę tak, jak można żyć tylko w górach. Kiedy ryzykuje się wyjście z namiotu, żeby chociaż przez chwilę pooglądać zorzę polarną, tak wspaniałą, tak rzeczywistą, że wydaje się, jakby wystarczyło wyciągnąć rękę, chwycić połyskującą zieleń i wsadzić ją w głąb swojego ciała, człowiek zdaje sobie sprawę, że nie chce żyć w żadnym innym miejscu na świecie.

Bardzo wolno posuwamy się do przodu, ale nie rezygnujemy z osiągnięcia naszego głównego celu, czyli szczytu. Wędrówkę opóźniają pozostałości po lawinie. Jestem ciekaw, ilu ludzi tu obozowało, ilu z nich spoczywa teraz pod warstwą lodu i kiedy góra znów poruszy się lub zadrży, żeby zasypać śnieżną pieczarę, którą wryliśmy w niej z takim trudem.

Długo i głośno klóciliśmy się, w jaki sposób pokonać pozostałości po lawinie. Ja przejąłem prowadzenie. Spędziliśmy chyba dwa życia, przebijając się przez nie i okrążając je, ale nie dało się pokonać tego odcinka szybciej, niezależnie od tego, co na ten temat sądzą inni. To niebezpieczny teren, zwany Przełęczą Lotnych Piasków, ponieważ pod człowiekiem porusza się lodowiec. Nie widać tego ani nie czuć, mimo to pokrywa lodowa osuwa się w dół. Co więcej,

w każdej chwili może człowieka wciągnąć, ponieważ pod grubą, białą warstwą znajdują się szczeliny, które tylko czyhają, aby zamienić się w wieczne mogiły.

Kierujemy się w stronę Samotnego Grzbietu. Czekan z brzękiem uderzają o lód, kryształki lodu przymarzają nam do rzęs. Po obejściu Diabelskiego Komina zjedliśmy lunch na dziewiczo białym śniegu.:

Słońce wygląda jak kula złocistego lodu.

Zaryzykowałem i zrobiłem kilka zdjęć, obawiam się jednak, że niska temperatura mogła uszkodzić mój aparat fotograficzny.

Wspinacze, którą podjęliśmy po lunchu, może brakowało nieco wdzięku, ale z pewnością nie pasji. Prawdopodobnie dzięki temu, że trochę się naćpaliśmy na deser, kopaliśmy i przeklinaliśmy górę, a także siebie nawzajem. Walczyliśmy ze śniegiem godzinami, tak nam się przynajmniej wydawało, a w tym czasie złocista kula zaczęła opadać, zabarwiając śnieg na pomarańczowo i czerwono. Potem zostawiła nas w śmiertelnie niebezpiecznej ciemności.

Korzystając z lampek nakładanych na czoło, wykuliśmy w lodzie miejsce pod namiot, rozłożyliśmy obozowisko, a potem słuchaliśmy przez całą noc potwornego wycia wiatru, jakbyśmy się znajdowali na rozszalałym morzu. Pałac trawę, uczciliśmy nasz sukces i pokonaliśmy zmęczenie.

Nadaliśmy sobie nawzajem przezwiska zapożyczone od bohaterów Gwiezdných wojen: Hań, Lukę i Darth. Ja odgrywam rolę Luke'a. Udajemy zatem, że znajdujemy się na lodowej planecie Hoth i mamy za zadanie zniszczyć bastion imperium. Oczywiście, to oznacza, że Darth działa przeciwko nam, ale dzięki temu mamy lepszy ubaw.

Dzisiaj pokonaliśmy spory szmat drogi, ale coraz częściej nerwy odmawiają nam posłuszeństwa. Dobrze jest wbijać czekan w brzuch No Name, torować sobie drogę do jej wnętrza. Dużo było krzyków i obelg – początkowo dla zachęty, potem bardziej ze złości, zwłaszcza gdy posypały się w dół bryłki lodu. Jedna z nich skaleczyła Dartha w twarz, dlatego przez następną godzinę potwornie na mnie kłął.

Przez chwilę myślałem, że Darth się nie opanuje i w odwecie zmasakruje mi twarz. Nawet teraz prawdopodobnie o tym myślę, ponieważ od czasu do czasu spogląda w moją stronę spode łba, tymczasem chrapanie Hana zaczyna zagłuszać wycie wiatru.

Wcześniej czy później Darth o tym zapomni. W końcu stanowimy zespół i każdy z nas odpowiada za życie pozostałych. Dlatego przejdzie mu, kiedy

znów zaczniemy wspinaczkę.

Może powinniśmy nieco zwolnić, ale zazwyczaj kilka działek w cudowny sposób daje nam kopa i pomaga pokonać chłód i zmęczenie.

Nie ma na świecie drugiego tak wspaniałego przeżycia. Oślepiający blask śniegu, dźwięk czekanów rozbijających lód, skrzypienie śniegu, zgrzytanie raków na skale, opadająca luźno linka i obserwowanie, jak o zachodzie słońca lód zamienia się w żywy płomień.

Siedzę teraz opatulony w namiocie, piszę te słowa, a w brzuchu wszystko mi się przewraca po kolacji, na którą składał się zamarznęty gulasz. Ciało boli mnie od nadmiernego wysiłku, strach przed zamarzeniem na śmierć gryzie mnie jak sznur, jednak na przekór temu wszystkiemu za nic w świecie nie chciałbym być gdzie indziej.

O siódmej wieczorem Nate doszedł do wniosku, że to był długi dzień. Zabrał telefon. Gdyby ktoś po godzinach dzwonił na posterunek, rozmowa zostałaby przełączona na jego komórkę.

Chętnie zjadłby kolację w swoim pokoju, w ciszy i z dala od innych ludzi, żeby odpocząć po wszystkich wrażeniach, których mu tego dnia nie brakowało. Poza tym lubił samotność.

Wiedział jednak, że niczego nie wskóra w tym mieście, izolując się od jego mieszkańców, dlatego zajął miejsce w pustym boksie w Lodge.

Słyszał stukanie kul bilardowych i piosenki country z szafy grającej w pomieszczeniu obok. Kilku mężczyzn siedziało na wysokich stołkach barowych, popijało piwo i oglądało w telewizji mecz hokeja. W jadalni była zajęta ponad połowa miejsc, kelnerka podawała gościom zamówione dania i sprzątała stoliki.

Mężczyzna, którego Hopp nazwała Profesorem, przeszedł między stolikami i skierował się do boksu Nate'a.

Nadal miał na sobie tweedową marynarkę, a z kieszeni wystawał mu nieśmiertelny Ulisses. Profesor trzymał w ręce piwo.

– Mogę się dosiąść?

– Bardzo proszę.

– Nazywam się John Malmont. Mów mi John. Jeśli masz ochotę na drinka, szybciej go dostaniesz, gdy osobiście pofatygujesz się do baru. Jeżeli przyszedłeś coś zjeść, Cissy będzie tu lada chwila.

– Przyszedłem coś zjeść, ale nigdzie mi się nie spieszy. Dużo tu dziś ludzi.

Czy tak jest zawsze?

– Tylko w dwóch miejscach w Lunacy można dostać ciepłe jedzenie, którego nie trzeba gotować sobie samemu. Tylko w jednym z nich podają mocne trunki.

– No tak, to wszystko wyjaśnia.

– Mieszkańcy Lunacy to dość towarzyski narodek. Jeśli uwzględnisz fakt, że właśnie mamy ferie, zrozumiesz, dlaczego lokal jest taki pełny. Dzisiaj mają tu bardzo smacznego halibuta.

– Taak? – Nate wziął do ręki menu. – Od dawna tu mieszkasz?

– Od szesnastu lat. Przyjechałem z Pittsburgha – wyjaśnił, wyprzedzając następne pytanie. – Niegdyś uczyłem w Carnegie Mellon.

– Co wykładałeś?

– Literaturę angielską. Moimi studentami byli młodzi, ambitni ludzie, którzy z prawdziwą przyjemnością rozkładali na czynniki pierwsze utwory literackie i krytykowali zmarłych pisarzy i poetów.

– A teraz?

– Teraz siedzę w Lunacy i zaznajamiam z literaturą i sztuką pisaną wypracowań znudzonych nastolatków, z których wielu wolałoby się całować niż zawierać bliższą znajomość ze słowem pisanym.

– Cześć, Profesorze.

– Witaj, Cissy. Komendant Burkę, Cecilia Fisher.

– Dzień dobry, Cissy.

Była chuda jak kij od miotły, miała krótkie, sterczące włosy w kilku odcieniach czerwieni i srebrny kolczyk w lewej brwi. Uśmiechnęła się promiennie.

– Dzień dobry panu. Co pan zje?

– Poproszę o halibuta. Słyszałem, że jest dobry.

– Jasne. – Zapisała coś w notesie. – Jak ma być przyrządzony?

– Mógłby być z grilla?

– Oczywiście. Jest do tego sałatka i kilka sosów do wyboru. Najlepszy jest sos domowy. Wielki Mike osobiście go przyrządza.

– W takim razie poproszę.

– Co do tego? Pieczone ziemniaki, puree, frytki, dziki ryż?

– Ryż.

– Coś do picia?

– Chętnie skorzystam z kawy.

– Zaraz przyniosę.

– Miła dziewczyna – skomentował John, polerując okulary śnieżnobiałą chusteczką do nosa. – Dwa lata temu przyjechała do miasta z grupką kumpli, żeby trochę pochodzić po górach. Chłopak, z którym była, zostawił ją z samym chlebakiem. Nie miała nawet pieniędzy, żeby wrócić do domu. Zresztą mówi, że i tak by nie wróciła. Charlene dała jej pokój i pracę.

Upił piwa.

– Tydzień później chłopak wrócił po Cissy. Charlene wywaliła go na zbity łeb.

– Charlene?

– Trzyma w kuchni niezłą armatę. Chłopak przez minutę przyglądał się wylotowi lufy, po czym bezzwłocznie postanowił opuścić miasto. Oczywiście bez Cissy.

John odwrócił głowę i na moment rozbawienie w jego oczach zastąpiła dziwna tęsknota.

Nate dostrzegł powód nagłej zmiany. To Charlene sunęła przez salę z dzbankiem kawy.

– Proszę, proszę. Dwaj najprzystojniejsi faceci w Lunacy przy jednym stoliku.

Charlene naląła Nate'owi kawy, potem, poruszając się jak kotka, przysiadła się do niego.

– O czym rozmawiacie?

– Oczywiście, o pięknej kobiecie. – John wziął do ręki piwo. – Smacznego, panie komendancie.

– To znaczy?... – Charlene wypięła piersi i musnęła nimi ramię Nate'a. – O której?

– John opowiadał mi, jak to się stało, że Cissy zaczęła u ciebie pracować.

– Och? – Charlene oblizła językiem świeżo pomalowaną dolną wargę. – Czyżby moja kelnerka przypadła ci do gustu, Nate?

– Tylko dlatego, że wkrótce ma mi przynieść kolację. Wiedział, że jeśli się odsunie, wyjdzie na idiotę i będzie się czuł jak idiota. Nie mógł się poruszyć, nie dotykając pewnych części jej ciała.

– Czy bracia Mackie zapłacili ci już za szkody?

– Byli mniej więcej godzinę temu i wszystko załatwili. Chcę ci podziękować, Nate, że się o mnie zatroszczyłeś. Czuję się bezpieczniej, wiedząc, że zawsze mogę po ciebie zatelefonować.

– Wydawałoby się, że ta armata w kuchni powinna w wystarczającym stopniu zapewnić ci poczucie bezpieczeństwa.

– No cóż. – Pochyliła głowę i uśmiechnęła się. – Ona jest tylko na pokaz.

Jeszcze bardziej wygięła się do przodu. Z jej dekoltu uniósł się zapach perfum typu „przeleć mnie”.

– Trudno być kobietą i samodzielnie prowadzić taki interes. Długie zimowe noce. Chłodne. Samotne. Dobrze wiedzieć, że pod moim dachem sypia mężczyzna taki jak ty. Może trochę później spróbujemy poznać się nieco bliżej?

– Charlene. Rozumiem, że to... propozycja. Przesunęła ręką po jego udzie. Chwycił dłoń i przycisnął ją do blatu stolika, mimo że był potwornie podniecony.

– Lepiej posiedźmy tu po prostu minutkę.

– Liczę na więcej niż minutkę.

– Cha, cha.

Jeśli nadal będzie się o niego ocierała, przypominając mu, od jak dawna żył w celibacie, może nie wytrzymać nawet sześćdziesięciu sekund.

– Charlene, bardzo cię lubię, zwłaszcza że jesteś naprawdę piękną kobietą, ale na razie nie interesuje mnie... zawieranie bliższych znajomości. Po prostu próbuję się oswoić z nowym otoczeniem.

– Ja też. – Zawinęła kosmyk włosów wokół palca. – Gdybyś wieczorem nie mógł zasnąć, zadzwoń do mnie. Pokażę ci, co miałam na myśli, mówiąc o pełnej gamie usług.

Wpatrując się w niego niewinnymi, błękitnymi oczkami, wysunęła się z boksu. Przy okazji zdołała jeszcze raz sugestywnie przesunąć dłonią wzdłuż jego uda. Nate odczekał, aż przeszła przez salę swoim rozkołysanym krokiem, dopiero potem głęboko odetchnął.

Tej nocy nie spał najlepiej. Wciąż myślał o niepokojącym duecie matka-córka. Nieprzejrzana ciemność ciągnęła się bez końca – ponury mrok, który skłania mężczyznę do ukrycia się w ciepłej jaskini... z ciepłą kobietą.

Do późna nie gasił światła. Czytał rozporządzenia miejskie. W końcu nad nimi zasnął. Chwilę później zadzwonił budzik.

Zaczął dzień tak jak poprzednio, od śniadania z małym Jesse'em.

Próbował wypracować sobie nowe przyzwyczajenia. Bardziej niż przyzwyczajenia potrzebne mu były koleiny, którymi mógłby posuwać się do przodu bez konieczności zastanawiania się, koleiny, które z czasem stawałyby

się coraz głębsze i głębsze, tak głębokie, że nie byłoby widać niczego poza nimi. Mógłby wtedy mieszkać w Lunacy, radzić sobie z drobnymi wykroczeniami, toczyć mało ważne rozmowy, spędzać dzień po dniu w otoczeniu tych samych twarzy i tych samych głosów, wykonywać wciąż te same czynności.

Mógłby być wołem wprzęgniętym w kariat. Liczył, że panujący tu potworny chłód uchroni go przed rozkładem. Dzięki temu nikt nie będzie wiedział, że ma do czynienia z trupem.

Z przyjemnością siedział godzinami w swoim biurze, rozdzielając nieliczne wezwania między Ottona, Petera i siebie. Kiedy na któreś z nich wyjeżdżał osobiście, zabierał ze sobą jednego z zastępców, żeby dowiedzieć się od niego, o co chodzi, i odpowiednio zareagować.

Coraz lepiej poznawał też swoich ludzi. Peter miał dwadzieścia trzy lata, od urodzenia mieszkał w Lunacy i najwyraźniej znał tu wszystkich. Można było odnieść również wrażenie, że wszyscy go lubią.

Otto – emerytowany sierżant sztabowy armii Stanów Zjednoczonych – przez jakiś czas przyjeżdżał na Alaskę na polowania i ryby. Osiemnaście lat temu po pierwszym rozwodzie postanowił przeprowadzić się tu na stałe. W kraju miał trójkę dorosłych dzieci i czworo wnucząt.

Ożenił się po raz drugi, tym razem z blondynką, której obwód biustu znacznie przekraczał jej IQ – tak przynajmniej twierdziła Peach – i po dwóch latach ponownie się rozwiódł.

Zarówno on, jak i Bing uważali, że mają odpowiednie kwalifikacje, by objąć stanowisko komendanta policji. Podczas gdy jednak Bing wkurzał się, że rada miejska postanowiła sprowadzić człowieka z zewnątrz, Otto – być może bardziej przyzwyczajony do wykonywania rozkazów – przyjął pracę zastępcy.

Peach, źródło większości informacji Nate'a, mieszkała na Alasce od ponad trzydziestu lat. Wtedy to uciekła z chłopakiem z Macon, wzięła z nim ślub i wspólnie dotarli do Sitki.

Zmarł, biedaczyna, utonął na morzu wraz z kutrem rybackim sześć miesięcy po ucieczce.

Ponownie wyszła za mąż za przystojnego faceta przypominającego niedźwiedzia grizzly. Zamieszkali na skrawku ziemi w całkowitej dziczy i tylko od czasu do czasu odwiedzali powstające miasteczko Lunacy.

Kiedy niedźwiedź grizzly zmarł (przed powodzią przeszedł na drugą stronę jeziora i zamarł, nim zdołał wrócić do chaty), Peach spakowała manatki

i przeprowadziła się do Lunacy.

Jeszcze raz wyszła za mąż, ale to był błąd, więc wykopała nędznego oszusta i pijacznę z powrotem do Dakoty Północnej, skąd pochodził.

Gdyby pojawił się odpowiedni człowiek, nie miałyby nic przeciwko mężowi numer cztery.

Peach przekazywała Nate'owi wszelkie ploteczki na temat innych osób. Ed Woolcott chętnie zostałby burmistrzem, ale na razie musi poczekać, aż Hopp znudzi się ta zabawa. Żona Eda, Arlene, lubi zadzierać nosa, ale pochodzi z bogatej rodziny, więc nie ma się co dziwić.

Podobnie jak Peter, Bing mieszka tu od urodzenia, jest synem Rosjanina i Norweżki. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku jego matka uciekła z pianistą. Bing miał wówczas zaledwie trzynaście lat. Jego ojciec (to niesamowite, ale ten człowiek potrafił wypić na jedno posiedzenie pół litra wódki!) mniej więcej dwanaście lat temu wrócił do Rosji, zabierając ze sobą młodszą siostrę Binga, Nadię.

Krażyły plotki, że dziewczyna była w ciąży, a ojciec dziecka miał żonę.

Mąż Rose, David, pracował jako przewodnik i był w tym cholernie dobry. W wolnych chwilach pełnił funkcję złotej rączki.

Harry i Dęb mieli dwójkę dzieci (chłopak przysparzał im sporo kłopotów), a całym domem rządziła Dęb.

Na tym nie koniec. Peach zawsze miała coś jeszcze do dodania. Nate doszedł do wniosku, że w ciągu tygodnia, może dwóch dowie się wszystkiego, co chce wiedzieć, o Lunacy i jej mieszkańcach. Potem praca stanie się rutyną, powoli zamieni się w wygodne koleiny.

Ilekoć jednak stał w oknie i obserwował wschód słońca nad górami, ilekoć podziwiał złocisty blask, czuł, że wciąż tli się w nim jakaś iskierka. Maleńki ognik, który utwierdzał go w przekonaniu, że jeszcze żyje. Nie chcąc, by ów ognik zamienił się w pożar, Nate odwrócił się twarzą do ściany.

Trzeciego dnia wydarzył się wypadek samochodowy, którego uczestnikami byli pikap, SUV i łoś. Zwierzę postanowiło nacieszyć się chwilą, dlatego stało jakieś czterdzieści metrów od kupy złomu, jakby oglądało wspaniałe przedstawienie.

Ponieważ Nate po raz pierwszy w życiu widział prawdziwego łośa – który, jak się okazało, był większy i brzydszy, niż można by przypuszczać – bardziej interesował się zwierzakiem niż dwoma mężczyznami, którzy obrzucali się

obelgami i nawzajem zwalali na siebie winę.

Było dwadzieścia po ósmej rano. Na drodze, którą miejscowi nazywali Lake Drive, panowały egipskie ciemności.

Zastępca burmistrza i przewodnik górski o imieniu Hawley skakali sobie do oczu, ford explorer leżał w rowie, zagrzebany po osie w śniegu, z maską powyginaną w harmonijkę, a chevrolet pikap leżał na boku, jakby postanowił uciąć sobie drzemkę.

Obaj panowie mieli zakrwawione twarze i nic do nich nie docierało.

– Uspokójcie się!

Nate celowo zaświecił latarką w oczy najpierw jednemu, potem drugiemu. Zauważył, że obydwu trzeba będzie zakładać szwy.

– Powiedziałem, żebyście się uspokoili! Zaraz wszystko załatwimy. Otto? Czy ktoś w mieście ma odpowiedni sprzęt?

– Bing. To on zazwyczaj zajmuje się takimi sprawami.

– Dobrze. Zadzwoń do niego. Każ mu odholować oba samochody do miasta. Chcę, żeby natychmiast zostały usunięte z drogi. Stanowią zagrożenie. Teraz... Odwrócił się do uczestników wypadku.

– Który z was jest w stanie spokojnie i logicznie opowiedzieć mi, co się stało?

Obaj zaczęli mówić jednocześnie, ponieważ jednak Nate wyczuł w oddechu Hawleya opary whisky, wyciągnął rękę i udzielił głosu Edowi Woolcottowi.

– Pan pierwszy.

– Jechałem do pracy, oczywiście, z rozsądną prędkością i tak, by nie zagrażać bezpieczeństwu innych użytkowników drogi...

– Gówna prawda! – wtrącił Hawley.

– Przyjdzie pańska kolej. Panie Woolcott?

– Zobaczyłem przed sobą przednie światła. Zdecydowanie zbliżały się do mnie ze zbyt dużą prędkością.

Kiedy Hawley otworzył usta, Nate dźgnął go palcem.

– Wtedy, nie wiadomo skąd, wyłonił się łoś. Zwolniłem i skręciłem w bok, pragnąc uniknąć kolizji, a potem... potem ten drań staranował mnie swoją kupą złomu. Próbowałem zjechać z drogi, ale on we mnie celował. Zepchnął mnie do rowu i zmiażdżył mój samochód. Kupiłem go zaledwie sześć miesięcy temu! On nieostrożnie jeździ i do tego pije.

Ed energicznie skinął głową, założył rękę na rękę i patrzył wilkiem.

– W porządku.

– Bing jedzie – oznajmił Otto.

– Dobrze. Panie Woolcott, może zjedzie pan na pobocze i podyktuje swoje zeznanie Ottonowi? Co masz do powiedzenia, Hawleyu?

Przewodnik uniósł głowę i spokojnie podszedł do pikapu. Potem stał tam przez chwilę i patrzył łosiowi prosto w oczy.

– Piłeś?

Hawley miał ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i złocisto-brązową brodę. Strużka krwi z rozciętej szczęki zdążyła już zamarznąć.

– Jasne, strzeliłem kilka baniek.

– To wstyd. Jest dopiero dziewiąta rano.

– Cholera! Byłem na rybach. Nie zwracałem, do diabła, uwagi, która jest godzina. Mam w lodówce w samochodzie kilka ładnych okazów. Jechałem, żeby zawieźć je do domu, zjeść coś i przespać się. Pech chciał, że wielki bankier zobaczył na drodze cholernego łosia. Wtedy zaczął istny taniec na lodzie. Wywijał na szosie kółka, esy-floresy, a łos sobie stał jak gdyby nigdy nic... Gdyby pan mnie pytał, łosie to cholernie głupie zwierzęta... A wracając do sprawy, musiałem skrócić. Wpadłem w lekki poślizg, wtedy pan Woolcott się na mnie wpakował. Zderzyliśmy się i obaj wylądowaliśmy w rowie.

Dużo czasu minęło, odkąd Nate pracował w wydziale drogowym, poza tym nigdy nie odtwarzał przebiegu wypadku w ciemności, na śniegu, przy temperaturze około minus piętnastu stopni, ale kiedy oświetlił latarką drogę i przyjrzał się śladom, doszedł do wniosku, że wersja Hawleya jest bliższa prawdy.

– Faktem jest, że piłeś. Będziemy musieli skorzystać z alkometru. Jesteś ubezpieczony?

– Taak, ale...

– Jakoś to załatwimy – powiedział Nate. – Na razie zmykajmy z tego zimna.

Nate wrócił do miasta z Hawleyem i Edem. Obaj zajmowali tylne siedzenie i milczeli jak głazy. Zatrzymał się przed przychodnią, zostawił z nimi Ottona, a sam pojechał na posterunek po alkometat.

W swoim biurze przejrzał kartoteki obu panów i sprawdził, jakie wykroczenia drogowe mają na sumieniu. Wracając do przychodni, zastanawiał się nad rozwiązaniem.

W poczekalni było dwóch pacjentów. Jakaś młoda kobieta ze śpiącym niemowlęciem i obgryzający fajkę staruszek w przybrudzonym brązowym

ubraniu roboczym.

Za niskim biurkiem siedziała rejestratorka. Czytała książkę. Na okładce była niemal naga para połączona w namiętym uścisku. Kiedy Nate wszedł, kobieta uniosła wzrok.

– Komendant Burkę?

– Tak.

– Mam na imię Joanna. Doktor powiedział, że jeśli będzie pan chciał, może pan do niego wejść. Jest w swoim gabinecie i zajmuje się Hawleyem. Nita w dwójce zszywa Eda.

– A Otto?

– Siedzi w biurze. Dzwoni do Binga, żeby sprawdzić, jak przebiega holowanie samochodów.

– Pójdę do Hawleya. Które to drzwi?

– Pokażę panu.

Wsunęła w książkę kawałek błyszczącej folii, potem podprowadziła Nate'a do drzwi po prawej stronie.

– To tutaj – wskazała i zapukała. – Panie doktorze? Przyszedł komendant.

– Proszę wejść.

Był to typowy gabinet lekarski – stół, mała umywalka, obrotowe krzesło. Doktor miał rozpiętą flanelową koszulę, spod której widać było ciepłą bieliznę. Uniósł wzrok znad rozcięcia nad okiem Hawleya.

Był młodym, szczupłym i wysportowanym, mniej więcej trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Miał brodę w kolorze piaskowym i identyczną kędzierzawą czuprynę. Zielone oczy spoglądały zza niewielkich okularów w drucianych oprawkach.

– Ken Darby – przedstawił się. – Przywitałbym się z panem, ale mam zajęte ręce.

– Miło mi pana poznać. Jak pacjent?

– Kilka skaleczeń i siniaków. Szczęściarz z ciebie, Hawleyu.

– Cholera, ciekawe, czy to powtórzysz, gdy zobaczysz mojego pikapa. Cholerny Ed! Jeździ jak osiemdziesięcioletnia damulka, która zgubiła bifocale.

– Chcę, żebyś w to dmuchnął.

Hawley z powątpiewaniem zerknął na alkomat.

– Nie jestem pijany.

– W takim razie nie będzie żadnego problemu, prawda?

Hawley burknął niezadowolony, ale wykonał polecenie. W tym czasie Ken owijał bandażem jego rany.

– No cóż, jesteś na granicy normy. W związku z tym to ode mnie zależy, czy oskarżę cię o jazdę pod wpływem alkoholu, czy nie.

– Och, co za gówno...

– Ponieważ jednak twój wynik mieści się w granicach normy, a ty nie wykazujesz żadnych oznak upojenia alkoholowego, mam zamiar udzielić ci tylko ostrzeżenia. Gdy następnym razem pojedziesz łowić ryby w przeręblu i strzelisz sobie kilka głębszych, po prostu nie siadaj za kółko.

– Nie będę miał, do jasnej cholery, za co siadać.

– Ponieważ nie mogę wysłać łosiowi wezwania do sądu, twoja firma ubezpieczeniowa będzie musiała stoczyć walkę z firmą ubezpieczeniową Eda. Sprawdziłem, Hawleyu, że masz na sumieniu kilka mandatów za przekroczenie prędkości.

– Cholerne radary. Dranie z Anchorage.

– Może. Kiedy znów będziesz miał czym jeździć, nie przekraczaj dozwolonej prędkości, a gdy się napijesz, weź na zastępstwo jakiegoś kierowcę. Wtedy będziemy żyć w zgodzie. Trzeba cię będzie podwieźć do domu?

Hawley podrapał się po szyi. Ken opatrywał zadrapanie na jego czole.

– Chyba tak. Muszę się przyjrzeć swojemu pikapowi i pogadać z Bingiem.

– Kiedy pan doktor już cię opatrzy, zgłoś się na posterunek. Któryś z nas odwiezie cię do domu.

– Myślę, że to sprawiedliwe rozwiązanie.

Decyzja Nate'a wcale nie spodobała się Edowi. Siedział na kozetce, a jego twarz szpeciły ślady pozostawione przez poduszkę powietrzną.

– Ten drań jeździ po pijanemu.

– Nie przekroczył dozwolonej normy. Faktem jest, że najbardziej zawinił łoś, ale nie mogę wystawiać mandatów tutejszej dzikiej zwierzynie. Należy uznać, że to był po prostu pech. Dwa samochody spotkały na drodze łoś. Obaj jesteście ubezpieczeni, czego, jak przypuszczam, nie można powiedzieć o zwierzaku. Żaden z was nie odniósł poważniejszych obrażeń. Biorąc to wszystko pod uwagę, obaj mieliście dużo szczęścia.

– Nowy samochód w rowie i twarz okaleczona przez poduszkę powietrzną to żadne szczęście, panie komendancie.

Ed zszedł z kozetki i wysunął do przodu brodę.

- Czy tak właśnie ma pan zamiar stosować prawo w Lunacy?
 - Przeważnie.
 - Wydaje mi się, że płacimy panu za coś więcej niż grzanie stołka w pańskim biurze.
 - Żeby dotrzeć na miejsce wypadku i obejrzeć oba wraki, musiałem dodatkowo wygrzać siedzenie w swoim samochodzie.
 - Nie podoba mi się pańskie podejście do sprawy. Może pan być pewien, że porozmawiam z panią burmistrz na temat wypadku i pańskiego zachowania.
 - W porządku. Może podwieźć pana do domu albo banku?
 - Potrafię sam dotrzeć tam, gdzie chcę.
 - W takim razie nie jestem panu potrzebny.
- Przed gabinetem Nate spotkał Ottona. Jedyłą oznaką, że Otto słyszał zakończoną właśnie rozmowę, było lekkie uniesienie brwi. Jednak gdy wyszli na zewnątrz, odchrząknął.
- Nie zyskałeś w nim przyjaciela.
 - A mnie się wydawało, że byłem dla niego taki miły. – Nate wzruszył ramionami. – Trudno oczekiwać, by człowiek był radosny jak skowronek, gdy ma rozbity samochód i kilka szwów na twarzy.
 - Chyba masz rację. Ed jest nieco arogancki i lubi narzucać swoje zdanie. Ma więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny w tym okręgu i nie lubi, żeby o tym zapominano.
 - Dobrze wiedzieć.
 - Hawley jest w porządku. To dobry człowiek i świetnie spisuje się w terenie. Co więcej, zna się na wspinaczce. Jest wystarczająco barwną postacią, by zadowolić turystów, którzy chcą się wdrapać na jakiś szczyt, i raczej dość porządnie się zachowuje. Pije, ale nigdy się nie upija. Chcesz znać moje zdanie? Dobrze to rozwiązałeś.
 - Dziękuję najmocniej. Jestem wdzięczny za tę uwagę. Wiesz, Otto, chyba pojedę i dopilnuję holowania wraków.
- Sprawdzenie miejsca wypadku było wymówką, ale nikt oprócz Nate'a nie musiał o tym wiedzieć.
- Bing i jakiś żylasty mężczyzna wygrzebywali suwa z rowu. Obowiązek nakazywał zatrzymać się, wysiąść, podejść i spytać, czy nie potrzebują pomocy.
- Znamy się na tej robocie.
- Bing zrzucił śnieg z szufli prosto na buty Nate'a.

– W takim razie pozwolę wam robić swoje.

– Dupek – mruknął pod nosem Bing, gdy Nate ruszył z powrotem w stronę auta.

Nate odwrócił się i przez chwilę się zastanawiał.

– Czy dupek to krok do przodu, czy krok do tyłu w porównaniu z cheechako! Niski mężczyzna parsknął śmiechem, potem zanurzył szufłę w śniegu i oparł się o nią. Bing zmierzył Nate'a wzrokiem.

– To samo.

– Tylko pytałem.

Nate wrócił do samochodu i zostawił prychającego Binga.

Pojechał za miasto, drogą, która prowadziła wzdłuż linii brzegowej jeziora.

Wiedział, że Meg mieszka gdzieś w tych okolicach, a ponieważ widział samolot stojący na zamarznętej powierzchni jeziora, przypuszczał, że podąży w odpowiednim kierunku.

Skręcił w coś, co wyglądało na drogę wyrąbaną wśród drzew, i dojechał do jakiegoś domu.

Nie wiedział, czego się spodziewał, ale z pewnością nie tego. Ustronie nie stanowiło zaskoczenia, tak samo jak widok na wszystkie strony, zapierający w piersiach dech. To było normalne w tej okolicy.

Niemniej domek był ładny, do pewnego stopnia przypominał elegancki bungalow. Drewno i szkło, zabudowanie werandy, jasnoczerwone okiennice.

Ścieżka od podjazdu do drzwi była starannie odśnieżona. Tak samo jak dróżki, które prowadziły do zabudowań gospodarczych. Jedno z nich, w połowie drogi między domem a lasem, stało na palach.

Na werandzie leżał starannie ułożony stos drewna na podpałkę.

Słońce triumfalnie wznosiło się na niebie, zalewając scenę niesamowitym blaskiem. Dym buchał z trzech kamiennych kominów i wznosił się w coraz jaśniejsze niebo.

Nate, zafascynowany, wyłączył silnik.

Wtedy usłyszał muzykę.

Wypełniała cały świat. Mocny, słodki kobiecy głos przeplatał się ze smyczkami i fletami, wznosił się ku słońcu nad bezbrzeżną bielą.

Otoczył Nate'a ze wszystkich stron. Wydawał się płynąć z powietrza, a może z nieba?

Nagle ją zobaczył – postać w czerwonej kurtce przesuwająca się na białym tle

niecو w bok od zamarznętego jeziora. Szła z dwoma psami.

Nie zawołał jej. Nie wiedział, czy powinien. Był zachwycony obrazkiem. Jego umysł przestał funkcjonować. Ciemnowłosa kobieta w czerwieni spacerująca po nieskazitelnej bieli z dwoma pięknymi psami u boku na tle cudownych gór o poranku.

Psy zobaczyły lub wyczuły Nate'a. Przez muzykę przebiło się szczekanie. Ruszyły w jego stronę jak dwie rozmazane szare kule.

Zastanawiał się, czy nie wskoczyć z powrotem do auta. Był ciekaw, czy takie zachowanie przypięczętowałoby jego status dupka cheechako.

Liczył na to, że gruby ubiór w razie konieczności uchroni go przed psimi kłami.

Trwał w bezruchu i powtarzał jak mantrę;;

– Dobre pieseczki, miłe pieseczki.

Podświadomie przygotowywał się jednak na skok, mając nadzieję, że psy nie rzucą mu się do gardła. Oba wzbily śnieg w powietrze i zatrzymały się o trzydzieści centymetrów przed Nate'em, drząc i obnażając kły. Czujne i gotowe.

Oba miały krystalicznie błękitne oczy. Jak ich pani.

Nate odetchnął głęboko, wokół jego głowy zawirował obłoczek pary.

– O Boże! – mruknał. – Jesteście naprawdę piękne.

– Rock! Buli! – krzyknęła Meg. – To przyjaciel.

Psy natychmiast się uspokoiły i podeszły do Nate'a, by go obwąchać.

– Czy mnie ugryzą, jeśli je pogłaskam?! – zawołał.

– Teraz już nie.

Biorąc słowa Meg za dobrą monetę, pogłaskał oba psiaki po głowach. Ponieważ odniósł wrażenie, że im się to spodobało, przykucnął i zaczął je drapać. Jak na sygnał mocno się do niego przytuliły.

– Masz jaja, Burkę.

– Liczyłem na to, że nie skoczą mi do gardła. Czy to psy zaprzęgowe?

– Nie.

Miała zaróżowione od chłodu policzki.

– Nie wpinam ich do zaprzęgu, ale oba to husky z dobrym rodowodem. Po prostu prowadzą luksusowe życie u mego boku.

– Mają twoje oczy.

– Może w poprzednim wcieleniu byłem psem husky? Co tu robisz?

- Po prostu... Co to za muzyka?
- Loreena McKennit. Podoba ci się?
- Jest wspaniała. Jak... Bóg. Meg wybuchnęła śmiechem.
- Jesteś pierwszym znanym mi mężczyzną, który przyznaje, że Bóg to kobieta. Wybrałeś się na świąteczną przejażdżkę?

Wyprostował plecy.

- Świąteczną?
- Dziś mamy sylwestra.
- Och, nie. Na Lakę Drive była drobna stłuczka. Szukam świadka. Może go widziałas? Ogromny gość, ma cztery nogi i zabawny kapelusz.

Zrobił z palców rogi.

Spryciarzu – pomyślała – dlaczego twoje oczy są takie smutne, nawet gdy się uśmiechasz?

– Tak się składa, że widziałam w najbliższej okolicy kilka okazów, które odpowiadają twojemu opisowi.

– W takim razie muszę wejść i spisać twoje zeznanie.

– Z przyjemnością pozwoliłabym ci na spisanie moich zeznań, ale na razie będą musiały poczekać. Muszę lecieć. Właśnie szłam do domu, żeby zamknąć psy i wyłączyć muzykę.

– Dokąd się wybierasz?

– Zabieram zaopatrzenie do osady w górach. Muszę się spieszyć, jeśli chcę tam dotrzeć i wrócić na przyjęcie. – Uniosła głowę. – Polecisz ze mną?

Nate zerknął w stronę samolotu: „Mam lecieć w czymś takim? Za nic w świecie, nawet gdybym dzięki temu mógł powąchać twoją szyję”.

– Jestem na służbie. Może następnym razem.

– Jasne. Rock, Buli, do domu! Zaraz wracam – powiedziała do Nate’a.

Psy pobiegły przed siebie. Wtedy Nate zdał sobie sprawę, że budynki gospodarcze to trochę większa psia buda, ozdobiona postaciami, które ktoś pomalował w prymitywnym ludowym stylu na kształt totemów.

Luksusowe życie? No tak.

Meg zniknęła w głębi domu. Chwilę później muzyka zamilkła.

Po kilku minutach wyszła ze sporą torbą na ramieniu.

– Do zobaczenia, panie komendancie. Może kiedyś się spotkamy, żebyś mógł spisać moje zeznania.

– Nie mogę się doczekać. Miłego lotu!

Odgarnęła do tyłu czarne włosy i powędrowała w stronę samolotu.

Stał i obserwował ją.

Wrzuciła pakunek do środka i wdrapała się do kabiny.

Nate słyszał, jak zapuściła silnik. Zdumiewający ryk przerwał ciszę. Śmigło zawirowało, samolot zaczął się ślizgać po lodzie, zrobił najpierw jedno kółko, potem drugie, aż w końcu wzbil się w powietrze dziobem do góry.

Widział przez szybę czerwoną kurtkę Meg i jej czarne włosy, potem wszystko rozmyło się w niewyraźną plamę.

Nate odchylił głowę do tyłu. Meg zatoczyła koło w powietrzu i pochyliła najpierw jedno skrzydło, potem drugie. Domyślił się, że to rodzaj pozdrowienia.

Po chwili zniknęła w bieli i błękicie.

Nate słyszał, że uroczystość już się zaczęła. Klatką schodową i przez podłogę jego pokoju płynęła głośna, rytmiczna muzyka. Ciche pomruki przeciskały się przez ściany i deski podłogowe. Od czasu do czasu wybuchał śmiech, rozlegał się łoskot – być może tupot tańczących.

Siedział sam w ciemności.

Znów ogarnęła go depresja, jak zwykle, bez ostrzeżenia, bez żadnej przyczyny. Siedział przy swoim biurku i przerzucał kartoteki, by już w następnej chwili walczyć z potwornym, przytłaczającym ciężarem. Coś takiego zdarzało się już wcześniej i wcale nie było poprzedzone uczuciem niepewności, niepokojem czy smutkiem. Po prostu nagle zalewała go potężna fala czarnych myśli, które przetaczały się nad jego głową i wciągały w odmęty. Wszystko odbywało się równie gwałtownie jak wyłączenie światła w pomieszczeniu.

Trudno to było uznać za stan spowodowany całkowitym brakiem nadziei, gdyż najpierw trzeba ją mieć, żeby móc mówić o jej utracie. Nie były to również żal, rozpacz ani złość. Z tymi uczuciami Nate umiał sobie poradzić.

Była to pustka. Bezmierna, czarna pustka.

Umiał w niej funkcjonować, jakimś cudem udało mu się opanować tę sztukę. Jeśli człowiek w ogóle nie funkcjonuje, ludzie nie dają mu spokoju, a ich troski i obawy tylko jeszcze głębiej wciągają w czarną przepaść.

Nate mógł chodzić, rozmawiać, egzystować. Tylko nie mógł żyć. Uwięziony w jedwabistym uścisku depresji, tak właśnie to odczuwał. Miał wrażenie, że jest chodzącym trupem.

Tak się czuł, leżąc w szpitalu po śmierci Jacka, kiedy ból przebijał się przez

prochy, gdy świadomość tego, co się stało, siłą wdzierała się do krainy zapomnienia.

Na szczęście udawało mu się jakoś funkcjonować.

Dotrwał do końca dnia, zamknął biuro, wrócił do Lodge i powędrował do swojego pokoju. Rozmawiał z ludźmi. Nie pamiętał, z kim i o czym, wiedział jednak, że jego usta otwierały się i zamykały, że wypływały z nich jakieś słowa.

Powędrował do swojego pokoju i zamknął drzwi. Usiadł w zimowej ciemności.

Co on tu, do diabła, robi? Jakież wiatry przywiały go do tej niewielkiej miejsciny? Do zimnego, ciemnego, pustego pokoju? Czyżby wybrał dziurę, w której panuje ciągła zima, ponieważ idealnie odzwierciedla ona stan jego duszy?

Czego właściwie chciał dowieść, przyjeżdżając tutaj, przypinając odznakę i udając, że ta praca ma dla niego jakieś znaczenie? Ukrywając się przed tym, kim naprawdę jest, co niegdyś miał i co stracił? Nie można się ukryć przed czymś, co przez cały czas w nas tkwi i tylko czeka, żeby wyskoczyć i z człowieka zadrwić.

Oczywiście, miał lekarstwa. Zabrał je ze sobą. Tabletki na depresję, tabletki na ogólny niepokój. Tabletki na sen, głęboki sen bez żadnych koszmarów.

Przestał je brać, ponieważ zażywając je, nie był sobą, a wręcz przeciwnie – w coraz większym stopniu stawał się człowiekiem pogrążonym w depresji, niepokoju, dręczonym przez bezsenność.

Nie mógł zawrócić, nie mógł iść do przodu, więc dlaczego nie miałby zatonać właśnie tutaj? Zanurzyć się głębiej, jeszcze głębiej, aż w końcu nie będzie już w stanie wydostać się z przepaści? Gdzieś na dnie duszy tliła się świadomość, że jest mu dobrze w tej ciemności i pustce, gdzie może bez końca użalać się nad swoim nieszczęściem.

Do diabła, mógł się tu nawet zadomowić, żyć jak szaleniec w pustym pudle po lodówce pod mostem. Życie w pudle po lodówce jest proste, nikt nie oczekuje, że będzie się coś robić.

Przypomniał sobie stare powiedzenie o tym, że drzewo w lesie nie może upaść, i szybko dostosował je do swojej sytuacji. Czy jeśli straci rozum w Lunacy, będzie można powiedzieć, że w ogóle coś stracił?

Nienawidził tych zakamarków mózgu, które kazały mu tak myśleć, tej części siebie, która chciała, żeby tu zamieszkał...

Doszedł do wniosku, że jeśli nie zejdzie na parter, ktoś na pewno po niego przyjdzie. To byłoby gorsze, znacznie gorsze. Z przekleństwem na ustach zmusił się do wstania. Czyżby drobne odruchy życia, jego iskierki i płomyki, były tylko czczym szyderstwem? Sposobem, w jaki los próbuje mu pokazać, jak to jest, kiedy człowiek żyje, by chwilę później wepchnąć go z powrotem w ciemną otchłań?

No cóż, jest w nim na razie wystarczająca ilość złości, by jeszcze ten jeden, jedyny raz wyrwać się z czarnej dziury. Przebrnie przez tę noc, ostatnią noc roku, a nawet jeśli później już nic się nie zdarzy, był pewien, że i tak nie będzie gorzej, niż jest.

Dziś w nocy był jednak na służbie. Zacisnął palce na odznace, której jeszcze nie odpiął. Wiedział, że to śmieszne, ale liczył na to, że ten kawałek metalu go nieco uspokoi. Przyjął to za pewnik i zaczął działać.

Włączywszy światło, gwałtownie przymrużył oczy. Musiał zrobić krok do tyłu, żeby nie ulec pokusie i szybko go nie wyłączyć. Ponownie pogрузić się w ciemności.

Wszedł do łazienki i puścił zimną wodę. Potem spryskał nią twarz, udając, że w ten sposób pozbywa się zmęczenia, które zazwyczaj towarzyszyło depresji.

Długo i uważnie przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze, szukając jakichś oznak. Ujrzał całkiem przeciętnego faceta, nie miał zatem powodów do obaw. Wokół oczu widać było niewielkie oznaki zmęczenia, miał również nieco zapadnięte policzki, ale na tym koniec.

Dopóki inni widzą to samo, co on, nie będzie żadnych problemów.

Kiedy otworzył drzwi, otoczyły go głośnie dźwięki. Podobnie jak w przypadku światła zmusił się do zrobienia kilku kroków do przodu, żeby nie cofnąć się do swojej jaskini.

Obu zastępcom dał na ten wieczór wolne. Mogą jeść, pić i dobrze się bawić. Obaj mają przyjaciół i rodziny, ludzi, którzy pomogą im pozbyć się wszelkich smutków. Ponieważ Nate od miesięcy próbował sam pozbyć się wszelkich smutków, nie widział powodu, żeby tego wieczoru postępować inaczej.

Schodząc po schodach, czuł się tak, jakby dźwigał ołów.

Muzyka była wesoła i lepsza, niż się spodziewał. Sala pękała w szwach. Stoły poprzestawiano w taki sposób, żeby było gdzie tańczyć, a mieszkańcy miasteczka ochoczo wykorzystywali wolną przestrzeń. Z sufitu zwisały serpentyny i balony, ludzie mieli na sobie świąteczne stroje.

Zobaczył kilku starszych panów w czymś, co Peach nazywała alaskim smokingiem. Były to zwyczajne stroje robocze, specjalnie wyczyszczone na tę okazję. Niektórzy mieli pod szyją ozdobne zapinki na sznureczku, a nawet papierowe kapelusze.

Wiele kobiet wyjęło z szaf eleganckie, błyszczące suknie lub spódnice, ładnie uczesało włosy, włożyło buty na wysokich obcasach. Hopp w fioletowej sukni wieczorowej tańczyła – czy to był fokstrot, czy polka, tego Nate nie wiedział – z wypomadowanym Harrym Minerem. Rosę siedziała za barem na krześle z wysokim oparciem. Towarzyszył jej człowiek, który, jak domyślił się Nate, był jej mężem. David stał za nią i delikatnie masował jej krzyże.

Roześmiała się z czegoś, co powiedziała pielęgniarka. Nate zauważył, że Rosę uniosła głowę i spojrzała mężowi prosto w oczy. Widać było, że łączy ich miłość i ciepło. Poczul dziwny chłód i samotność.

Nigdy w życiu żadna kobieta tak na niego nie spoglądała. Nawet gdy był żonaty, Rachel nigdy nie patrzyła na niego z tak jawną, bezwarunkową miłością. Odwrócił wzrok.

Jak przystało na gliniarza, dokładnie zlustrował tłum, bacznie przyglądając się każdemu uczestnikowi sylwestrowej zabawy. Wiedział, że robiąc to, pozostaje człowiekiem z boku, ale nie mógł się powstrzymać.

Zobaczył Eda i podobno zarozumiałą Arlene. Mitch z radia KLUN spiał swoje jasne włosy w koński ogon. Trzymał w ramionach dziewczynę, która nie dorównywała mu urodą. Ken na tę okazję włożył typowo hawajską koszulę i żywo dyskutował z Profesorem, który jak zwykle miał na sobie tweedową marynarkę.

Przyjaciele, kumple, znajomi – pomyślał Nate. Niektórzy z nich byli już nieźle pijani, nie przestawali jednak być przyjaciółmi, kumplami i znajomymi. On był przybyszem z zewnątrz.

Poczul zapach perfum Charlene. Podeszła tak szybko, że nie zdążył przygotować się na jej spotkanie albo przed nią uciec. Przycisnęła do niego swoje bardzo kobiece, ciepłe ciało. Delikatnie go pocałowała, przy okazji ukradkiem wsuwając mu język do ust. Pogłaskała go i uszczypnęła w tyłek, delikatnie ugryzła w dolną wargę.

Potem odsunęła się z kusicielskim uśmiechem na ustach.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Nate! To tylko na wszelki wypadek, gdybym o północy nie zdołała się do Ciebie dopchać.

Nie był w stanie sformułować słów, nie chciał się zarumienić. Zastanawiał się, czy jej manifestacyjne narzucanie się może doprowadzić do takiego zażenowania, które zdoła pokonać ciemności.

– Gdzie się ukrywałeś? – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Bal zaczął się ponad godzinę temu, a ty jeszcze ze mną nie tańczyłeś.

– Miałem... pewne sprawy do załatwienia.

– Praca, praca i jeszcze raz praca. Może się ze mną zabawisz?

– Muszę porozmawiać z panią burmistrz. Boże, proszę, pomóż mi.

– To nie czas na omawianie spraw urzędowych. Jesteśmy na balu sylwestrowym. Chodź, zatańcz ze mną. Potem wypijemy szampana.

– Naprawdę muszę coś załatwić.

Położył ręce na jej biodrach, jednocześnie delikatnie odsuwając ją na bardziej bezpieczną odległość, i zaczął szukać w tłumie Hopp... swojej wybawczyni. Natrafił wzrokiem na spojrzenie Meg.

Uśmiechnęła się do niego w zwykły sobie sposób, a potem uniosła kieliszek w szyderczym toąście.

Po chwili jakaś tańcząca para zasłoniła mu Meg.

– Na razie proszę o bilet otwarty. Na potem... Dostrzegł znajomą twarz i chwycił się jej jak tonący brzytwy.

– Otto, Charlene chce zatańczyć.

Nim którekolwiek z nich zdołało zaprotestować, Nate uciekł. Przeszedł w przeciwny róg pomieszczenia i dopiero wtedy odważył się zaczerpnąć powietrza w płuca.

– To zabawne, nie wyglądasz na tchórza.

Obok niego pojawiła się Meg. Tym razem trzymała w ręce dwa kieliszki.

– To znaczy, że mój wygląd wprowadza w błąd. Ona mnie śmiertelnie przeraża.

– Nie mogę powiedzieć, że Charlene jest kobietą zupełnie nieszkodliwą, ponieważ byłoby to kłamstwo, jeśli jednak nie chcesz, żeby wsadzała ci język do gardła, będziesz musiał jej to powiedzieć. Głośno i wyraźnie, najlepiej w prostych, ostrych, krótkich słowach. A teraz, proszę, napij się.

– Jestem na służbie. Prychnęła.

– Nie sądzę, żeby kieliszek taniego szampana mógł ci zaszkodzić. Do diabła, panie Burkę. Są tu prawie wszyscy mieszkańcy Lunacy.

– Rozumiem.

Wziął kieliszek, ale nawet nie zanurzył w nim warg. Jakimś cudem zdołał się jednak skupić na Meg. Miała na sobie sukienkę. Uznał, że określenie „sukienka” to jedyny odpowiedni termin dla niewielkiego, obcisłego skrawka czerwonej skóry. Kreacja wspaniale eksponowała krzepkie, wysportowane ciało. Na jego widok Nate’a zaczęły dręczyć wizje, które w kilku stanach uznano by za niezgodne z prawem. Meg rozpuściła włosy, czarna kaskada opadała na białe jak mleko ramiona. Sandałki, na nieprawdopodobnie wysokich obcasach i w tym samym kolorze co sukienka, podkreślały zgrabne nogi.

Pachniała jak chłodny, tajemniczy cień.

– Pięknie wyglądasz.

– Trochę się oporządzam, gdy wymaga tego okazja. Z kolei ty sprawiasz wrażenie zmęczonego.

I zranionego – pomyślała. To właśnie przyszło jej na myśl, gdy zobaczyła, jak Nate schodzi po schodach. Wyglądał jak mężczyzna, który wie, że gdzieś w jego ciele jest głęboka, poważna rana, ale nie ma aż tyle siły, żeby jej poszukać.

– Jeszcze nie przestawiłem się ze spaniem.

Upił szampana. Miał smak perfumowanej wody sodowej.

– Czy zszedłeś tutaj, żeby się rozluźnić i zabawić, czy masz zamiar stać jak kołek?

– Raczej to drugie. Meg potrząsnęła głową.

– Spróbuj najpierw pierwszego. Sprawdź, co się będzie działo.

Uniosła ręce i odpięła mu odznakę.

– Hej!

– Jeśli będziesz potrzebował tarczy, zawsze możesz ją wyciągnąć – zapewniła, wsuwając mu odznakę do kieszeni koszuli. – A teraz zatańczmy.

– Nie umiem tańczyć tego, co tu grają.

– Nie ma sprawy. Poprowadzę.

Rzeczywiście to zrobiła, przy okazji wywołując u niego salwy śmiechu. Śmiech ranił mu gardło, ale jakimś cudem pomógł pozbyć się części ciężaru.

– Czy to miejscowy zespół?

– Wszyscy mieszkają w Lunacy. Przy fortepianie siedzi Mindy, która uczy w szkole podstawowej. Na gitarze gra pracownik banku – Pargo. Skrzypce trzyma w ręce Chuck. Chuck to strażnik leśny z Denali. Federalny, ale jest tak do nas przyjaźnie nastawiony, że wszyscy udajemy, iż robi dobrą robotę. Bębny

obsługuje Wielki Mike, kucharz z Lodge. Zapamiętałeś?

– Słucham?

– Widzę, że wszystkie imiona i twarze pakujesz do kartoteki w swojej głowie.

– Warto pamiętać takie rzeczy.

– Czasami warto zapomnieć. – Obróciła głowę w prawo. – Ktoś do mnie macha. No tak, Max i Carrie Hawbakerowie. Redagują nasz miejscowy tygodnik, „The Lunatic”. Niemal przez cały tydzień byli poza miastem. Teraz chcą przeprowadzić wywiad z naszym nowym komendantem policji.

– Wydawało mi się, że to bal sylwestrowy.

– I tak cię upolują, gdy tylko przestanie grać orkiestra.

– Nie uda im się to, jeśli wymkniesz się ze mną i będziemy kontynuowali nasze przyjęcie gdzie indziej.

Odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Czy to była poważna propozycja?

– Dlaczego nie miałyby być poważna?

– Tylko pytam. Czasami lubię to robić.

Nie dając mu wyboru, odwróciła się i pomachała ręką. Potem pociągnęła go za sobą na skraj prowizorycznego parkietu.

Po krótkiej prezentacji Meg zniknęła, zostawiając Nate’a na łasce losu.

– Bardzo się cieszymy, że w końcu udało nam się pana poznać. – Max entuzjastycznie uściśnął rękę Nate’a. – Carrie i ja właśnie wróciliśmy z podróży, dlatego nie mieliśmy okazji wcześniej pana powitać. Chciałbym prosić o kilkuminutowy wywiad dla „The Lacy”.;|

– Zastanowię się. Możemy od razu usiąść w hallu i...

– Nie teraz, Max. – Carrie obdarzyła męża promiennym, uśmiechem. – Dziś wieczorem nie pracujemy. Natomiast nim wrócimy do zabawy, chciałabym zapytać, panie komendancie, czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy w naszej gazecie zaczęli umieszczać kronikę policyjną. Myślę, że w ten sposób pokazalibyśmy mieszkańcom, co pan robi i jak pan sobie radzi.

Ponieważ obecnie mamy w Lunacy własną komendę policji, chcemy żeby, nasza gazeta ukazywała również pracę stróżów prawa.

– Proszę zgłosić się po wszelkie informacje do Peach.

Meg przedarła się przez tłum do baru i wzięła następny kieliszek szampana. Usiadła na stołku i sącząc alkohol, obserwowała tańczących.

Po chwili obok niej pojawiła się Charlene.

- Ja wypatrzyłam go pierwsza.
- Meg nie odrywała wzroku od tancerzy.
- Ważniejsze, na kogo on patrzy, nie sądzisz?
- Próbujesz go złapać w sidła tylko dlatego, że ja go pragnę.
- Charlene, pragniesz każdego, kto nosi spodnie i ma w nich coś innego niż ty.
- Meg jednym haustem wypila szampana. – Poza tym wcale nie próbuję złapać go w sidła. – Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od kieliszka. – No idź, kontynuuj tę grę. To nie moja sprawa.
- Pierwszy inteligentny mężczyzna, który pojawił się tu od miesiąca. – Charlene nagle nabrała ochoty na pogawędkę, dlatego wychyliła się do przodu.
- Wiesz, że on co rano je śniadanie z małym Jesse'em? Czyż to nie słodkie? Poza tym szkoda, że nie widziałaś, jak uporał się z braćmi Mackie. Co więcej, jest taki tajemniczy. – Westchnęła. – Uwielbiam tajemniczych facetów.
- Uwielbiasz każdego faceta, który wciąż jeszcze może. Charlene wykrzywiła usta z obrzydzeniem.
- Czy musisz być taka ordynarna?
- Siedzisz tutaj i mówisz mi, że chciałabyś przelecieć komendanta policji. Nawet jeśli ładnie to opakujesz i przewiążesz wstążeczką, Charlene, to nadal będzie ordynarne. Ja po prostu nie zawracam sobie głowy wstążeczkami.
- Jesteś taka jak twój ojciec.
- Zawsze to powtarzasz – mruknęła Meg, gdy Charlene zsunęła się ze stołka. Jej miejsce zajęła Hopp.
- Potraficie się kłócić o to, ile deszczu spadło podczas ostatniej ulewy.
- Lubimy czasem trochę pofilozofować. Co pijesz?
- Chyba wezmę następny kieliszek tego kiepskiego szampana, – Obsłużę cię.
- Meg obeszła bar, napełniła kieliszek pani burmistrz i uzupełniła swój.
- Mama ostrzy sobie pazurki na Burke'a.
- Hopp zerknęła na Nate'a. Zauważyła, że udało mu się wywinąć Hawbakerom, niestety chwilę później wpadł w ręce Joego i Lary Wise'ów. :
- To ich sprawa.
- Taak, to ich sprawa – zgodziła się Meg, stukając się z Hopp.
- Natomiast fakt, że Nate chyba bardziej ostrzy sobie pazurki na ciebie niż na Charlene, nie poprawi twoich stosunków z matką.
- Nie poprawi. – Meg przez chwilę zastanawiała się nad słowami Hopp, niespiesznie sącząc szampana. – Za to powinno, jak sądzę, wnieść w nasze życie

odrobinę dodatkowej podniety.

Hopp wywróciła oczami i wybuchnęła śmiechem.

– Nic na to nie poradzę – dodała Meg. – Lubię kłopoty.

– On chyba też. – Hopp odwróciła się na stołku i patrzyła jak Charlene wyciąga Nate'a na parkiet. – Nie wierzę w opowiastki o cichej wodzie, bla, bla. Czasami najtrudniej sobie poradzić z ponurymi typkami. To chyba najsmutniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam. Smutniejszy niż tułacz, który pojawił się tu kilka lat temu. Jak on się nazywał? McKinnon. Strzelił sobie w głowę w komórce Hawleya.

– Czy to cię nie przeraża Ignatious może być wystarczająco smutny, żeby wsadzić sobie czterdziestkępiątkę do ust, chociaż z pewnością jest zbyt rozsądnym człowiekiem żeby pociągnąć za spust. Poza tym jest zbyt uprzejmy.

– Na to właśnie liczysz?

– Taak. Na to właśnie liczę. No cóż, do diabła. Chyba spełnię ostatni dobry uczynek w starym roku i wybawię go od Charlene.

Smutni, uprzejmi mężczyźni wcale nie są w moim typie – pomyślała Meg. Woląla beztróskich, wesołych facetów. Facetów, którzy nie liczą na nic więcej niż jedną noc. Z takim kimś można wypić kilka drinków, przy dobrym nastroju pomiać nieco pościel, a potem iść dalej.

Żadnych wpadek, żadnych ran.

Jak podejść do kogoś w rodzaju Ignatiousa Burke'a? Bliższa znajomość może oznaczać sporą wpadkę, zostawić kilka ran. Może mimo to warto spróbować?

Tak czy inaczej lubiła z nim rozmawiać, a należała do osób, które bardzo sobie cenią dobrą rozmowę. Bez problemów potrafiła dniami, tygodniami obejść się bez żadnej wymiany zdań, dlatego wykorzystywała każdą możliwość, zwłaszcza jeśli zapowiadała się interesująco. Lubiła też obserwować smutek, który to pojawiał się w jego oczach, to znów znikał. Widziała to kilka razy. Gdy stał przed jej domem tego ranka i słuchał Loreeny McKennit, i zaledwie kilka minut temu, gdy tańczyli.

Siedząc przy barze, przy muzyce, w ciepłe stłoczonych ciał, nagle zdała sobie sprawę, że chciałaby znów zobaczyć, jak smutek znika z oczu Nate'a. Miała dobry pomysł, jak do tego doprowadzić.

Weszła za bar, znalazła otwartą butelkę i dwa kieliszki. Trzymając je tuż przy udzie, wyszła na zewnątrz.

Hopp poklepała Charlene po ramieniu.

– Przepraszam, Charlene, chcę porozmawiać z panem komendantem. To ważna sprawa urzędowa.

Charlene jedynie mocniej przytuliła się do Nate'a. Zastanawiał się, czy za chwilę jej piersi nie wyskoczą mu na plecach..?

– Ratusz jest zamknięty, Hopp.

– Ratusz nigdy nie jest zamknięty. Daj spokój, puść go.

– No dobrze. Liczę na to, że później dokończymy nasz taniec, przystojniaczku.

– Chodźmy do jakiegoś cichego kąta, Ignatiouisie.

Hopp odsunęła na bok ludzi i przecisnęła się przez tłum.

Usiadła przy stoliku, który ktoś ustawił przy stole bilardowym., – Napijesz się czegoś?

– Nie, dzięki. Chyba raczej powinienem poszukać tylnych drzwi.

– Możesz uciec, ale w tak małej mieścinie nie zdołasz się ukryć. Wcześniej czy później będziesz musiał stawić czoło Charlene.

– W takim razie wolę później.

Marzył o tym, żeby pójść na piętro i wrócić w ciemność. Pulsowało mu w głowie, czuł ucisk w żołądku z powodu stresu i wysiłku, jakiego wymagało zwyczajne bycie.

– Nie odciągnęłam cię na bok tylko po to, żebyś mógł się uwolnić z objęć matki Meg. Wkurzyłeś mojego zastępcę.

– Wiem. Podszedłem do całej sprawy z dużą rozwagą i rozwiązałem problem zgodnie z prawem.

– Nie kwestionuję sposobu, w jaki wykonujesz swoją robotę, Ignatiouisie. – Lekceważąco machnęła ręką. – Tylko podaję ci fakty. Ed jest pompatycznym, zadufanym w sobie wrzodem na dupie. Niemniej to dobry człowiek, który robi dla miasta wiele dobrego.

– I dlatego może jeździć, jak mu się podoba?; Uśmiechnęła się.

– Zawsze był beznadziejnym kierowcą. Niemniej jest to człowiek wpływowy, bogaty i długo żywi urazę. Nie zapomni ci, że w tej sprawie postąpiłeś wbrew jego oczekiwaniom. Pewnie w porównaniu ze sprawami, z którymi dotychczas miewałeś do czynienia, to nieistotny drobiazg, ale w Lunacy takie rzeczy się liczą.

– Niemożliwe, żebym był pierwszym człowiekiem, który postąpił wbrew jego oczekiwaniom.

– Nie jesteś pierwszym. Ed i ja bez przerwy się ścieramy, ale patrząc na to z jego punktu widzenia, on i ja jesteśmy sobie równi. Być może nawet ja do pewnego stopnia nad nim góruję. Ty jesteś przybyszem z zewnątrz, dlatego Ed liczy na to, że będzie mógł wodzić cię za nos. Z drugiej strony, gdybyś pozwolił mu się wodzić za nos, byłabym bardzo zawiedziona, tak więc jesteś między młotem a kowadłem.

– Nie pierwszy raz, nie ostatni. Zresztą, jeśli ktokolwiek będzie chciał wodzić mnie za nos, zawsze może się nieco pobrudzić.

Przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona, potem wybuchnęła gromkim śmiechem.

– W taki oto uprzejmy i podstępny sposób dałeś mi do zrozumienia, że nie powinnam się wtrącać. Zanim zastosuję się do twojej rady, pozwól, że powiem ci jeszcze jedno. Ponieważ jakimś cudem znalazłeś się między Charlene i Meg, to ani na chwilę nie zapominaj, że w tym konkretnym przypadku zarówno młot, jak i kowadło są bardzo twarde, bardzo gorące i, prawdę mówiąc, z piekła rodem.

– W takim razie lepiej, żebym między nimi nie utknął.

– Dobrze mówisz.

Zmarszczyła czoło, gdy usłyszała sygnał telefonu.

– Jeśli ktoś dzwoni na posturunek, rozmowa jest przełączana na moją komórkę – wyjaśnił, wyjmując aparat z kieszeni. – Burkę przy telefonie.

– Weź kurtkę – powiedziała Meg – i za pięć minut spotkaj się ze mną przed wejściem. Coś ci pokażę.

– Jasne. W porządku. – Schował telefon z powrotem do kieszeni, nie zważając na to, że Hopp bacznie mu się przygląda. – Nic ważnego. Chyba stąd zwięję.

– Hmm... Proponuję, żebyś skorzystał z tylnych drzwi i wyszedł przez kuchnię.

– Dzięki. Szczęśliwego Nowego Roku!

– Wzajemnie.

Gdy się oddalił, Hopp potrząsnęła głową.

– Oj, będą kłopoty.

Potrzebował nieco więcej niż pięć minut, żeby dotrzeć do swojego pokoju, zabrać kurtkę, wymknąć się i obejść cały hotel. Dopiero w połowie drogi zdał sobie sprawę, że tym razem nawet go nie kusilo, żeby po prostu zamknąć za sobą drzwi i zagrzebać się w ciemności.;

Może to już jakiś postęp? A może pożądanie jest silniejsze od depresji?

Meg czekała, siedząc na jednym z dwóch składanych krzesel, które ustawiła na środku ulicy.

Obok z zaspą sterczała wetknięta tam butelka. Meg sączyła alkohol, a gruby koc okrywał jej kolana.

– Nie możesz siedzieć tu w sukience, nawet jeśli zarzuciłaś na nią kurtkę i koc...

– Przebrałam się. Zawsze wożę w samochodzie ubranie na zmianę.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że znów zobaczę cię w tej kiece.

– Kiedy indziej, w innym miejscu. Siadaj.

– W porządku. Dlaczego dziesięć minut przed północą... siedzimy na środku ulicy?

– Nie przepadam za tłumem. A ty?

– Też nie bardzo.

– Ludzie są zabawni, ale tylko przez chwilę i przy specjalnych okazjach. Po kilku godzinach mam tego dosyć. Poza tym... – wręczyła mu kieliszek – to jest lepsze.

Nie mógł się nadziwić, że szampan nie zamarzł.

– Czy nie lepiej by nam było w środku, gdzie nie grożą odmrożenia?

– Wcale nie jest tu tak zimno. Nie ma wiatru. Może być około minus piętnastu stopni. No i gdybyś pozostał w środku, nie zobaczyłbyś tego.

– Czego?

– Spójrz do góry, przybyszu z terenów położonych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika.

Spojrzał tam, gdzie wskazała... i zaparło mu dech w piersiach.

– Boże jedyny!

– Taak, zawsze uważałam, że jest w tym coś świętego. Naturalne zjawisko nieodłącznie związane z szerokością geograficzną, plamami na słońcu i tak dalej. Na szczęście naukowe wyjaśnienie nie odbiera mu uroku ani magii.

Na niebie płonęły zielone światła ze złocistym poblaskiem i plamkami czerwieni. Drugie, niesamowite smugi pulsowały i oddychały, ożywiając ciemność.

– Zorza polarna najpiękniejsza jest zimą, tyle że wtedy zazwyczaj jest zbyt niska temperatura, żeby ją podziwiać. Moim zdaniem noc sylwestrowa nadaje się do tego, aby zrobić wyjątek.

– Słyszałem coś o zorzy. Widziałem ją nawet na zdjęciach, ale rzeczywistość przekracza wszelkie oczekiwania.

– Tak jest w przypadku wszystkich najwspanialszych rzeczy. Lepiej widać zorzę poza miastem. Jeszcze lepiej ogląda się ją z obozowiska na którymś z lodowców. Pewnej nocy, gdy miałam jakieś siedem lat, ojciec i ja powędrowaliśmy w góry i rozbiliśmy tam obóz, żeby obserwować zorzę polarną. Godzinami leżeliśmy na plecach, przemarznięci do szpiku kości, i po prostu patrzyliśmy w niebo.

Nieziemska, zielona kurtyna przesuwiała się, błyszczała, rozprzestrzeniała się i pulsowała. Przypominała deszcz kolorowych klejnotów.

– Co się z nim stało?

– Mówiąc w dużym skrócie, pewnego dnia wybrał się na następną wyprawę i postanowił już z niej nie wrócić. Masz rodzinę?

– Coś w tym rodzaju.:

– No cóż, nie będziemy psuć chwili opowiadaniem sobie smutnych historii. Po prostu podziwiamy przedstawienie.

Siedzieli w milczeniu na środku ulicy, rozkładane krzesła kołysały się na zwałach śniegu, a tymczasem niebo płonęło.

Zorza poruszyła coś w głębi duszy Nate'a, pokonała napięcie i ból głowy, sprawiła, że górę wziął zachwyty. Jakimś cudem zaczął nawet swobodnie oddychać.

Gdy hałasy dobiegające z Lodge przybrały na sile, Meg zerknęła w tamtą stronę. Zaczęło się odliczanie ostatnich sekund starego roku.

– Wygląda na to, że jesteśmy tu tylko my, ty i ja.

– To lepszy koniec roku, niż się spodziewałem. Czy chcesz, żebym udał, iż cię całuję, ponieważ tak każe tradycja?

– Pieprzyć tradycję.

Chwyła go za włosy i gwałtownym ruchem przyciągnęła do siebie.

Miała zimne wargi, mimo to poczuł dziwny, potężny dreszcz pod wpływem ciepła tego dotyku. Pocałunek Meg niczym potężny cios poruszył go do głębi, wywołał burczenie w brzuchu, przyspieszył tętno.

Kiedy zegar wybił północ, usłyszał ryk, chociaż był on przytłumiony, odległy i słaby. Odezwały się dzwony, zatrąbiły klaksony, rozległy się wiwaty. Przez wszystkie te dźwięki Nate słyszał wyraźnie bicie swojego serca.

Odstawił kieliszek, odsunął koc, żeby móc po nią sięgnąć.

Burknął sfrustrowany, kiedy natknął się na grube ubranie. Pragnął jej krępego, pełnego wypukłości ciała, chciał poznać kształty i zapachy.

Nagle do rzeczywistości przywróciły go odgłosy wystrzałów.

– Ludzie strzelają na powitanie Nowego Roku – wyjaśniła.

Z jej ust unosiły się kłęby pary, kiedy próbowała przyciągnąć go z powrotem do siebie. Nowy komendant policji naprawdę umiał całować, dlatego chciała wydłużyć działanie tego dziwnego uczucia, które do pewnego stopnia przypominało upojenie alkoholowe albo potężny cios. Coś takiego powodowały u niej jego wargi, jego język i jego zęby.

Po co komu tani szampan?

– Możliwe, ale... muszę sprawdzić.

Roześmiała się niepewnie, potem sięgnęła po kieliszki.

– Taak, rzeczywiście musisz.

– Meg...

– Niech pan idzie, panie komendancie.

Po przyjacielsku poklepała go po kolanie i uśmiechnęła się do fascynujących, smutnych, szarych oczu.

– Praca to praca.

– To nie potrwa długo.

Była tego pewna. Kilka strzałów w powietrze to całkiem normalna rzecz przy okazji Nowego Roku, wesela, urodzin... nawet pogrzebu, w zależności od tego, jak ktoś podchodzi do śmierci.

Po chwili uznała, że dalsze czekanie nie ma sensu. Zniosła więc na werandę składane krzesła, butelkę i kieliszki. Koc wrzuciła do samochodu.

Potem pojechała do domu, nie zwracając uwagi na migotliwe, zielone niebo. Wiedziała, że Hopp miała rację. Nate Burkę sprawi sporo kłopotów.

„The Lunatic” Kronika policyjna Poniedziałek, 5 stycznia, 8.03. Z werandy domu Hansa Finklego zniknęły rakiety śnieżne. Sprawą zajął się zastępca komendanta Peter Notti. Nie udało mu się potwierdzić oskarżenia Finklego, że „ten... (opuszczamy kilka barwnych określeń) Trilby znów wrócił do swoich starych numerów”. Nieco później rakiety śnieżne odnalazły się w samochodzie Finklego.

9.22. Wypadek samochodowy na Rancor Road. Na miejsce pojechał komendant policji, Burkę, i jego zastępca Otto Gruber. Jak się okazało, uczestnikami wypadku byli Brett Trooper i Virginia Mann. Nikt nie odniósł

żadnych obrażeń, z wyjątkiem stłuczonego palca u nogi Troopera, który kopał ze złością zniekształcony zderzak swojego samochodu. Nie wniesiono żadnych oskarżeń.

11.56. Konfrontacja między Dexterem Trilbym i Hansem Finklem w Lodge. Kłótnia, podczas której padły następne barwne określenia, wyraźnie została sprowokowana przez wcześniejszy wypadek z raketami śnieżnymi. Sprawą zajął się komendant Burkę. Po długich rozważaniach zaproponował, aby zainteresowani rozstrzygnęli nieporozumienie przy stoliku warcubowym. Po określonym czasie wynik meczu wynosił 10:2 dla Trilby'ego. Nie wniesiono żadnych oskarżeń.

13.45. Sygnał, że w Caribou ktoś zbyt szybko jeździ i puszcza głośną muzykę. Na miejsce zdarzenia pojechali komendant Burkę i zastępca Peter Notti. Okazało się, że James i William Mackie urządzili sobie wyścigi skuterami śnieżnymi przy głośnym akompaniamencie Born to Be Wild. Po krótkim i zdaniem świadków zabawnym pościgu, a potem głośnej konfrontacji z wyżej wymienionymi oficerami, doszło do skonfiskowania odtwarzacza kompaktowego, a James Mackie stwierdził: „W Lunacy, do jasnej cholery, przestaje być zabawnie!”. Obaj bracia Mackie musieli zapłacić mandaty za przekroczenie dozwolonej prędkości.

15.12. Sygnał, że w pobliżu Rancor Wood, trzy i pół kilometra od granicy miasta, słychać jakieś krzyki. Sprawą zajął się Notti. Jak się okazało, była to kłótnia między szesnastoletnią kobietą a szesnastoletnim mężczyzną o rzekome flirtowanie przez nią z innym, również szesnastoletnim mężczyzną. Nieporozumienie zażegnano. Nie wniesiono żadnych oskarżeń.

17.15. Szesnastoletni mężczyzna otrzymał mandat za nie ostrożną jazdę po Moose i ciągle trąbienie.

19.12. W związku z licznymi prośbami komendant Burkę usunął Michaela Sullivana z krawężnika na rogu Lunacy i Moose, gdzie głośno i podobno bardzo nieczysto wyśpiewywał Whiskey in the Jar. Sullivan ze względu na własne bezpieczeństwo spędził całą noc w areszcie. Nie wniesiono żadnych oskarżeń.

Nate przeczytał w „The Lunatic” relację z jednego dnia, a potem z pozostałej części drugiego tygodnia swojej pracy. Kiedy w gazecie po raz pierwszy pojawiła się kronika policyjna, obawiał się skarg. Niepotrzebnie. Ludzie najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu, żeby w tygodniku zamieszczano ich nazwiska, nawet jeśli doniesienia miały w sobie coś z niedyskrecji.

Włożył gazetę do szuflady biurka. Przepracowałem w Lunacy dwa tygodnie – pomyślał.

I wciąż tu jestem.

Sarrie Parkes oparła się o ladę w „Sklepie na Rogu”. Zostawiła przy drzwiach kurtkę i futerkowe botki, po czym wyjęła z gablotki paczuszkę gumy do żucia.

Przyszła na plotki, nie na zakupy, a guma do żucia stanowiła najmniej kosztowny pretekst. Poklepała po głowie spaniela Dęb, Cecila, który, jak zwykle, wylegiwał się w swoim wyściełanym koszu na ladzie.

– Rzadko widuję komendanta Burke’a w Lodge.

Dęb układała na półkach papierosy i tytoń do żucia. Jej sklep był wylegarnią wszelkich miejscowych plotek. Jeśli o czymś nie wiedziała, to znaczy, że jeszcze się nie wydarzyło.

– Tutaj też rzadko przychodzi. Trzyma się na dystans.

– Codziennie rano je śniadanie z synkiem Rosę i przeważnie również w Lodge jada kolację. Moim zdaniem nie ma zbyt wielkiego apetytu – zdradziła Sarrie.

Ponieważ trzymała w ręce paczuszkę gumy do żucia, otworzyła ją.

– Co rano sprzątam jego pokój, ale właściwie robię to całkiem niepotrzebnie. Ten człowiek ma jedynie ubranie i przybory do golenia. Żadnego zdjęcia, żadnej książki.

Sarrie od lat sprzątała w Lodge, dlatego uważała się za eksperta w dziedzinie ludzkich zachowań.

– Może dopiero coś przyjdzie pocztą?

– Nie myśl, że nie pytałam.

Sarrie pomachała gumą, dopiero potem włożyła ją do ust.

– Bardzo się starałam. Powiedziałam tak: „No więc, panie komendancie, kiedy przybędzie reszta pańskich rzeczy?”. A on odparł: „Wszystko przywiozłem ze sobą”. Nigdzie nie dzwoni, przynajmniej ze swojego pokoju. I właściwie nie tam nie robi. Chyba tylko sypia.

Chociaż w tym momencie w sklepie nie było nikogo innego, Sarrie nachyliła się nad ladą i obniżyła głos.

– Co więcej, sypia sam, chociaż Charlene nieustannie rzuca mu się w ramiona.

– Dla podkreślenia prawdziwości swoich słów gwałtownie kiwnęła głową. – Kobieta, która zmienia prześcieradła mężczyzny, wie, co w trawie piszczy.

– Może zabawiają się pod prysznicem albo na podłodze? Twarz Sarrie bardzo przypominała pyszczek wiewiórki ziemnej. Dęb z prawdziwą przyjemnością

obserwowała zabawne oblicze swojej rozmówczyni, która nie kryła doznanego szoku.

– Przecież nigdzie nie jest napisane, że pieprzyć można się tylko w łóżku.

Sanie była profesjonalną plotkarką, dlatego szybko odzyskała rezon.

– Gdyby Charlene zdołała go dopaść, nie uganiałaby się za nim jak pies myśliwski za królikiem, nie sądzisz?

Dęb przez chwilę drapała Cecila za jedwabistymi uszami. W końcu musiała przyznać Sanie rację.

– Pewnie tak.

– Jeśli jakiś mężczyzna przyjeżdża do Lunacy, ma właściwie tylko to, co na grzbiecie, godzinami przesiaduje w swoim pokoju, obchodzi szerokim łukiem kobietę, która wyraźnie na niego leci, i prawie się nie odzywa, chyba że ktoś ostro przyprze go do muru... no cóż, sama przyznasz, że to trochę dziwne. Przynajmniej ja tak uważam.

– Widocznie nie jest typem człowieka, który lubi być obiektem zainteresowania wszystkich.

– Może, ale w końcu to komendant policji.

Sanie wciąż była na niego trochę zła za dwudziestopięciodolarowy mandat, który wlepił jej tydzień temu. Jakby banknoty rosły na drzewach.

– Myślę, że ten człowiek coś ukrywa – dokończyła.

– Na litość boską, Sarrie. Czy znasz tu kogoś, kto by czegoś nie ukrywał?

– Nie obchodzi mnie, co kto ukrywa, chyba że jest to człowiek, który ma władzę i może wpakować do paki mnie i moich bliskich.

Dęb ze zniecierpliwieniem włożyła kluczyk do kasy.

– Nie grozi ci to, chyba że masz zamiar wyjść stąd, nie płacąc za gumę.

Obiekt owych plotek wciąż siedział przy swoim biurku. Tym razem został przyparty do muru. Przez dwa tygodnie udawało mu się zbywać albo obchodzić szerokim łukiem Maxa Hawbakera. W ten sposób Nate unikał wywiadu. W jego przekonaniu prasa to prasa, niezależnie od tego, czy jest to tygodnik wydawany w maleńkiej miejscinie, czy „Baltimore Sun”.

Może mieszkańcy Lunacy nie mieli nic przeciwko temu, żeby w gazecie pojawiały się ich nazwiska, ale on wciąż jeszcze odczuwał niesmak, który spowodowały kontakty z prasą po strzelaninie.

Gdy Hopp weszła do jego biura z Maxem u boku, Nate wiedział, że dalsze uniki są już niemożliwe.

– Max chce przeprowadzić z tobą wywiad. Mieszkańcy miasteczka mają prawo dowiedzieć się czegoś o człowieku, który stoi na straży prawa i porządku. Zależy na tym nie tylko redaktorom „The Lunatic”, ale i mnie. Więc... po prostu udziel mu wywiadu, i już.

Wyszła energicznym krokiem, zdecydowanie zamykając za sobą drzwi.

Max uśmiechnął się odważnie.

– Wpadłem na panią burmistrz, gdy szedłem na posterunek, żeby sprawdzić, czy znajdzie pan dla mnie wolną chwilę.

– Uhm.

Ponieważ Nate jeszcze przed chwilą zastanawiał się, czy pograć w komputerowego pasjansa, czy przyjąć propozycję Petera i wziąć następną lekcję poruszania się na rakietach śnieżnych, nie mógł powiedzieć, że nie ma czasu.

Od razu przyczepił Maxowi etykietkę gorliwego tępaka, człowieka, który niemal cały pobyt w szkole średniej poświęcił na wkuwanie. Redaktor „The Lunatic” miał okrągłą, sympatyczną twarz, przerzedzone jasnobrązowe włosy, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i niezłą nadwagę, czyli spory brzuszek.

– Kawy?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Nate wstał i napełnił dwa kubki.

– Co panu do niej dodać?

– Dwie śmietanki, dwie torebki cukru. Co pan sądzi o naszej nowej rubryce? Mam na myśli kronikę policyjną.

– To dla mnie nowość. Skrupulatnie podajecie wszystkie fakty.

– Carrie naprawdę stara się zawrzeć tam wszystko. Czy mogę nagrywać naszą rozmowę? Będę robił notatki, ale lubię też mieć nagranie.

– Świetnie.

Nate zamieszał kawę Maxa i podał mu ją.

– Co chce pan wiedzieć?

Max usadowił się wygodnie na krześle i wyjął z płóciennej torby mały magnetofon. Postawił go na biurku, odnotował czas i włączył. Potem wyjął z kieszeni notes i ołówek.

– Myślę, że nasi czytelnicy chętnie dowiedzieliby się czegoś więcej o mężczyźnie, który nosi odznakę.

– „Mężczyzna, który nosi odznakę”. To zabrzmiało jak tytuł filmu.

Przepraszam – powiedział, gdy Max zmarszczył czoło. – Nie mam właściwie nic do opowiadania.

– Zacznijmy w takim razie od podstawowych danych. Może mi pan podać swój wiek?

– Mam trzydzieści dwa lata.

– Pracował pan w komendzie policji w Baltimore?

– Tak.

– Żonaty?

– Rozwiedziony.

– Zdarza się nawet najlepszym. Ma pan dzieci?

– Nie.

– Czy pochodzi pan z Baltimore?

– Tak. Tam spędziłem całe życie, jeśli nie liczyć ostatnich dwóch tygodni.

– W takim razie jak to się stało, że gliniarz z Baltimore nagle został komendantem policji w Lunacy na Alasce?

– Tutaj dostałem pracę.

Twarz Maxa nadal była przyjazna, ton również.

– Musiał pan jej szukać?

– Potrzebowałem odmiany.

Szansy na rozpoczęcie nowego życia.

– Niektórzy mogliby uznać, że to dość drastyczna odmiana.

– Jeśli naprawdę chce się coś zmienić, czemu nie poszukać czegoś całkiem odmiennego? Podoba mi się moja nowa praca i Lunacy. Z drugiej strony mogę robić to, na czym się znam, tyle że w innym otoczeniu i w innym tempie.

– Rozmawialiśmy o kronice policyjnej. Chyba przypadki, z którymi ma pan tu do czynienia, znacznie się różnią od tych z Baltimore. Nie boi się pan, że to może pana znudzić? W końcu przyjechał pan z wielkiego miasta, w którym tyle się dzieje, do miejsciny liczącej mniej niż siedmiuset mieszkańców?

Uwaga! – pomyślał Nate. Jeszcze przed chwilą siedziałem za biurkiem i serdecznie się nudziłem. A może cierpiałem na depresję? Trudno odróżnić jedno od drugiego. Bywało, że nie potrafił jednoznacznie określić, co go dręczy w danej chwili, ponieważ i po jednym, i po drugim pozostawał jakiś dziwny ciężar na sercu i poczucie bezużyteczności.

– Baltimore to właściwie duża miejscina, ale, wykonując swoją pracę, człowiek pozostaje anonimowy. Jeden gliniarz nie różni się niczym od drugiego,

każda następna sprawa goni poprzednią.

Co więcej, nigdy nie wystarcza czasu, żeby zamknąć je wszystkie – pomyślał Nate. Niezależnie od tego, ile godzin się temu poświęci, jest to fizycznie niemożliwe, dlatego koniec końców zaczynają człowieka prześladować sprawy otwarte i w toku.

– Jeśli ktoś dzwoni w Lunacy na komendę – ciągnął – wie, że albo ja, albo któryś z moich zastępców przyjedzie, porozmawia, pomoże rozwiązać problem. Z kolei ja za jakiś czas sam będę doskonale wiedział, kto może naprawdę potrzebować mojej pomocy. Nie będę miał do czynienia z kolejną martwą kartoteką, nic nie mówiącym mi nazwiskiem, ale z osobą, którą znam. Uważam, że to w przyszłości da mi dużo satysfakcji z pracy, którą obecnie wykonuję.

Ku własnemu zaskoczeniu nagle zdał sobie sprawę, że nieświadomie powiedział szczerą prawdę.

– Poluje pan?

– Nie.

– Łowi pan ryby?

– Na razie nie.

Max wydał usta.

– Hokej? Jazda na nartach? Wspinaczka wysokogórska?

– Nie. Peter uczy mnie używać rakiet śnieżnych. Twierdzi, że może mi się to przydać.

– Ma rację. Pańskie hobby, zainteresowania? Co pan robi w wolnym czasie?

Dotychczas praca pochłaniała go bez reszty. Och – poprawił się – pozwoliłem, żeby praca pochłonęła mnie bez reszty. Czyż nie dlatego Rachel zaczęła spoglądać w inną stronę?

– Wydaje mi się, że tutaj mam przed sobą wiele możliwości. Zacznę od rakiet śnieżnych i zobaczę, co będzie potem. A jak pan się tu znalazł? – Ja?

– Chciałbym wiedzieć coś o człowieku, który zadaje mi pytania.

– Ma pan prawo – przyznał Max po chwili. – W latach sześćdziesiątych studiowałem w Berkeley. Seks, narkotyki; i rock and roli. Spotkałem tam pewną dziewczynę – w końcu to normalne, że na studiach człowiek spotyka jakąś dziewczynę – i razem przyjechaliśmy na północ. Trochę czasu spędzaliśmy w Seattle, gdzie zaprzyjaźniłem się z facetem, który uwielbiał wspinaczkę. Zaraził mnie swoim bakcylem, więc moja pani i ja często odwiedzaliśmy tamte okolice. Para obrońców środowiska, wegetarian, intelektualistów.

Otyły, łysiejący mężczyzna w średnim wieku uśmiechnął się, jakby nie mógł uwierzyć w to, kim był niegdyś i kim jest obecnie.

– Ona miała zamiar zostać malarką, ja chciałem pisać powieści, w których ukazywałbym prawdziwe oblicze człowieka. Po ślubie czar prysnął. Ona została w Seattle, ja przyjechałem tutaj.

– I zamiast zająć się pisaniem książek wydaje pan gazetę.

– Och, wciąż nad nimi pracuję.

Przestał się uśmiechać, sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego.

– Co jakiś czas coś w nich poprawiam. To głupio zabrzmiało, ale wciąż nad nimi pracuję. Nadal nie jem mięsa i należę do „zielonych” – no, wie pan, walczę o ochronę środowiska – co irytuje wielu ludzi. Mniej więcej piętnaście lat temu spotkałem Carrie. Wzięliśmy ślub. – Wrócił uśmiech. – Wygląda na to, że tym razem to działa.

– Dzieci?

– Mamy dziewczynkę i chłopca. Dwanaście i dziesięć lat. Teraz wróćmy do pana. Przez jedenaście lat pracował pan na policji w Baltimore. Gdy rozmawiałem z porucznikiem Fosterem...

– Rozmawiał pan z moim porucznikiem?

– Pańskim byłym porucznikiem. Dowiedziałem się od niego paru rzeczy. Powiedział mi, że był pan sumiennym, upartym i miłym gliniarzem. Wiem, że doprowadzał pan sprawy do końca i doskonale spisywał się w najtrudniejszych sytuacjach. Trudno, aby ktoś z nas mógł mieć coś przeciwko temu, że nasz komendant policji jest człowiekiem o sporej ilości zalet, ale między nami mówiąc, wydaje mi się, że ma pan zbyt wysokie kwalifikacje do tej pracy.

– To mój problem – powiedział Nate spokojnie. – Myślę, że poświęciłem panu tyle czasu, ile mogłem.

– Jeszcze chwileczkę. Nie tak dawno był pan przez dwa miesiące na zwolnieniu lekarskim. Działo się to po wypadku, który wydarzył się w kwietniu ubiegłego roku. Podczas ulicznej strzelaniny zginął przestępca i pański partner, Jack Behan, a pan został ranny. Wrócił pan do pracy na cztery miesiące, a potem zrezygnował. Przypuszczam, że to wydarzenie miało ogromny wpływ na pańską decyzję o przyjęciu pracy w naszym mieście. Czy mam rację?

– Powiedziałem panu, dlaczego przyjąłem tę pracę. Śmierć mojego partnera nie ma z tym nic wspólnego.

Na twarzy Maxa pojawił się upór. W tym momencie Nate zdał sobie sprawę,

że nie docenił swojego rozmówcy. Dziennikarz to dziennikarz, niezależnie od miejsca, a ten wyraźnie wyczuł pismo nosem.

– Ma dużo wspólnego z panem, panie komendancie. Wiąże się z pańskimi doświadczeniami i motywacją, z pańską przeszłością zawodową.

– „Przeszłość” to bardzo wieloznaczne słowo.

– „The Lunatic” rzeczywiście ma jedynie lokalny zasięg, ale jako jej wydawca muszę zrobić co do mnie należy, to znaczy zaprezentować czytelnikom wszystkie fakty. Wiem, że po tamtej strzelaninie przeprowadzono dochodzenie. Udowodniono, że użycie przez pana broni było uzasadnione, jednak zabił pan wówczas człowieka. To musiało być dla pana ciężkie przeżycie.

– Myśli pan, że policjanci noszą odznaki i pistolety dla zabawy? Myśli pan, że i jedno, i drugie jest tylko na pokaz? Gliniarz, ilekroć bierze broń do ręki, wie, że być może właśnie tego dnia będzie musiał jej użyć. Tak, to jest ciężkie przeżycie.

Pod wpływem złości jego głos stał się chłodny jak styczniowy wiatr, który uderzał o szyby.

– Każdemu z nas bardzo ciężko... broń i to, że być może trzeba będzie jej użyć. Czy żałuję, że strzelałem? Nie. Żałuję, że nie byłem szybszy. Gdybym był szybszy, nie zginąłby naprawdę dobry człowiek. Pewna kobieta nie byłaby wdową, a dwójka dzieci nadal miałaby ojca.

Max poprawił się na krześle i kilkakrotnie oblizał wargi, mimo to zdecydowanie parł do przodu.

– Bierze pan całą winę na siebie?

– Jestem jedynym człowiekiem, który wyszedł z tego zaułka z życiem. – Miejsce złości w jego oczach zajęła pustka i zmęczenie. – Kogo innego mógłbym winić? Proszę wyłączyć magnetofon. Koniec rozmowy.

Max wychylił się do przodu i wyłączył urządzenie.

– Przepraszam, że dotknąłem otwartej rany. Nie mamy zbyt wielu czytelników, ale i tak mają prawo wiedzieć.

– Zawsze tak mówicie. Chciałbym wrócić do pracy. Max schował magnetofon i wstał.

– Och, do tego artykułu będzie mi potrzebne pańskie zdjęcie.

Nate spojrzął bez słowa, Max tylko odchrząknął.

– Może Carrie zrobi je nieco później? Ona jest naszym fotografem. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. I... życzę powodzenia w chodzeniu na raketach

śnieżnych.

Gdy Nate został sam, przez dobrą chwilę siedział w całkowitym bezruchu. Czekał na złość. Tym razem nie wróciła. Z prawdziwą radością powitałby wściekłą, ślepą furie, tymczasem był całkiem spokojny.

Wiedział, co się stanie, jeśli jak najszybciej nie zmusi się do działania. Powoli się podniósł, bacznie kontrolując każdy ruch. Wychodząc, zabrał krótkofalówkę.

– Przez jakiś czas mnie nie będzie – powiedział do Peach. – Gdyby coś się działo, łap mnie przez krótkofalówkę albo komórkę.

– Pogoda się psuje – ostrzegła. – Może być źle. Nie odchodź za daleko, bo chciałabym zdążyć na kolację.

– Wrócę.

Wyszedł do przedsiionka i ubrał się. Nie myśląc o niczym, wsiadł do samochodu. Podjechał pod dom Hopp, podszedł do jej drzwi i zapukał.

– Cześć, Ignatiouse. Proszę, wejdź.

– Nie, dzięki. Nigdy więcej nie wciągaj mnie w taką zasadzkę.

Poprawiła okulary i bacznie przyjrzała się jego twarzy.

– Wejdź. Porozmawiamy.

– To wszystko, co miałem do powiedzenia. Odwrócił się i zostawił ją w drzwiach.

Wyjechał z miasta, kierując się tam, gdzie nie było zabudowań. Na jeziorze kilka osób jeździło na łyżwach. Przypuszczalnie pojawili się, gdy tylko zrobiło się jasno. Nieco dalej stała na lodzie czyjaś mocno zniszczona chatka do łowienia ryb.

Nigdzie nie było samolotu Meg. Nie widział jej od chwili, kiedy razem podziwiali zorzę polarną.

Powinien wrócić i robić to, za co mu tu płacą. Nawet jeśli nie płacili mu zbyt dużo. Mimo to jechał dalej.

Dotarwszy do domu Meg, zauważył, że psy pilnują obejścia. Wsiadł i zaczekał, jak zareagują na nieoczekiwane towarzystwo.

Niemal jednocześnie uniosły głowy, a potem z przyjacielskim ujadaniem wyrwały się do przodu. Po kilku podskokach i kólkach jeden z nich pobiegł do budy, wdrapał się po stopniach i wszedł do środka. Po chwili wrócił z ogromną kością w pysku.

– Czyja to kość? Mastodonta?

Była już bardzo pogryziona, mimo to, domyślając się, że pies chce się bawić,

Nate wziął ją do ręki i rzucił najdalej, jak potrafił.

Pobiegły po nią oba, wpadając na siebie i odpychając się jak dwaj zawodnicy, którzy walczą na boisku o piłkę. Zanurkowały w śniegu. Po chwili były nim okryte od stóp do głów. Kość tkwiła w obu pyskach jednocześnie. Po krótkiej szarpaninie przyniosły ją razem, jakby były szczepione w jednym zaprzęgu.

– Praca zespołowa, co?

Ponownie wziął kość do ręki, rzucił ją i przyglądał się powtórce poprzedniej akcji.

Gdy rzucił kość po raz czwarty, psy nagle zostawiły go i pobiegły zygzakami w stronę jeziora. Kilka sekund później Nate usłyszał to samo, co one. Gdy warkot silnika stał się wyraźniejszy, Nate powędrował za psami nad jezioro.

Zobaczył czerwoną plamę i odbicie zachodzącego słońca od szyby. Miał wrażenie, że Meg leci zbyt szybko i zbyt nisko. Bał się, że w najlepszym przypadku zahaczy płozami o czubki drzew, w najgorszym – zaryje dziobem w lodzie.

Hałas zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Nate ze zdenerwowaniem obserwował, jak Meg zatacza kółka, obniża lot i siada na lodzie. Potem zapadła tak kompletna cisza, że słyszał, jak poruszone przez nią powietrze wraca na swoje miejsce.

Stojące obok niego psy zadrżały, podskoczyły, a potem wpadły na lód. Ślizgały się, upadały i radośnie czekały. Meg wyskoczyła z kabiny i stuknęła butami o lód. Przymrużyła oczy, pozwoliła się polizać, jednocześnie energicznie przeczesując ręką futro psiaków. Potem wyprostowała się i wyjęła z samolotu pakunek. Dopiero wtedy spojrzała na Nate'a.

– Ktoś znów zdeformował sobie błotniki?! – zawołała.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Nie zważając na skaczące wokół niej psy, pokonała niewielką przestrzeń lodu i wdrapała się na ośnieżony brzeg.

– Od dawna tu jesteś?

– Od kilku minut.

– Wciąż masz za rzadką krew, żeby tak długo przebywać na chłodzie.

Wejdzmy do środka.

– Gdzie byłeś?

– Tu i tam. Kilka dni temu zabrałam niewielką grupkę. Polowali na karibu... ale tylko z obiektywami. Dzisiaj zawiozłam ich z powrotem do Anchorage.

W samą porę – dodała, zerkając w stronę nieba. – Zbliża się burza śnieżna. Z góry widać ciekawe rzeczy.

– Czyżbyś się przestraszyła?

– Nie, po prostu od czasu do czasu ciekawość bierze górę. W przedśionku zdjęła kurtkę.

– Zdarzyła ci się kiedyś jakaś kraksa?

– Można powiedzieć, że pewnego razu miałam przymusowe lądowanie.

Zdjęła botki, potem wyjęła z pudła ręcznik, przykucnęła i wytarła psom łapy.

– Wejdz do środka. To chwilę potrwa, a tu jest za ciasno dla nas wszystkich.

Wszedł do jej domu i tak jak go uczono, zamknął za sobą wewnętrzne drzwi, żeby utrzymać ciepło.

W oknach odbijały się ostatnie promienie słońca. Kończył się krótki dzień, a w pokoju pełno było światła i cieni. Nate wyczuł zapach kwiatów – nie róż, czegoś prostszego, bardziej przyziemnego. Towarzyszyła mu woń psów i płonących bierwion. Było to dziwne i urocze połączenie.

Wcześniej przypuszczał, że Meg urządziła swój dom w stylu rustykalnym. Okazało się, że miał rację.

Jasnożółte ściany w przestronnym salonie przypuszczalnie miały naśladować słońce i rozproszyć ciemność. Kominek był zbudowany z polerowanych kamieni o złocistej barwie, dzięki czemu płonące drewno migotało w pięknej oprawie. Na gzymsie stały żółte i ciemnoniebieskie świece. Na drugiej sofie w różnych odcieniach błękitu leżały typowo kobiece, różowe poduszki. Całość przykrywała gruba narzuta w ulubionych kolorach Meg.

Były też lampy o malowanych abażurach, błyszczące stoły, dywan we wzorek i dwa ogromne fotele.

Na ścianach wisiały akwarele, obrazy olejne i pastele. Wszystkie przedstawiały Alaskę.

Po lewej stronie znajdowały się schody, które prowadziły na piętro. Nate uśmiechnął się, widząc słupek wyrzeźbiony na kształt totemu.

Nagle drzwi się otworzyły. Psy wpadły do środka, każdy podbiegł do jednego fotela i usadowił się w nim.

– Nie tego się spodziewałem – wyznał Nate.

– Zbyt wyraźne oczekiwania prowadzą do nudy. Przeszła przez pokój, otworzyła dużą, rzeźbioną skrzynię i wyjęła z niej kawałki porąbanego drewna.

– Pozwól, że się tym zajmę.

– Już zrobione.

Pochyliła się, włożyła bierwiona, potem odwróciła się do Nate'a i stanęła plecami do kominka.

– Zjesz coś?

– Nie, dzięki.

– Masz ochotę na drinka.

– Raczej nie, dziękuję. Podeszła i zapaliła jedną z lamp.

– Pozostał w takim razie seks.

– Ja...

– Może rozbierzesz się pierwszy. Drugie drzwi na lewo na piętrze. Chciałabym jeszcze dać psom jedzenie i wodę.

Wyszła, zostawiając go z psami, które spoglądały na niego kryształowymi oczami. Mógłby przysiąc, że na ich pyskach dostrzega zarozumiałe uśmieški.

Kiedy Meg wróciła, Nate stał dokładnie w tym samym miejscu.

– Nie możesz znaleźć schodów? Jaki z ciebie gliniarz?

– Posłuchaj, Meg... Tylko wyjechałem z miasta, żeby... Przeczesał palcami włosy, zdając sobie sprawę, że nie wie, dlaczego właściwie wyjechał z miasta. Prawdę mówiąc, uciekł, ponieważ czuł, że rozwiera się pod nim dobrze znana czarna dziura, potem jednak w trakcie zabawy z psami dziura się zamknęła.

– Nie masz ochoty na seks?

– Nie zadawaj podchwytliwych pytań.

– W takim razie dobrze. Może w czasie, kiedy ty będziesz się zastanawiał nad odpowiedzią, pójdę na piętro i rozbiorę się do naga. – Potrząsnęła włosami. – Mogę cię zapewnić, że bardzo dobrze wyglądam bez ubrania.

– Już do tego doszedłem.

– Jesteś trochę za chudy, ale nie mam nic przeciwko temu. Podeszła do schodów i przekrzywiła głowę. Z uśmiechem na ustach kiwnęła na niego palcem.

– Chodź, spryciarzu.

– Tak po prostu?

– Czemu nie? Przecież prawo tego nie zabrania. Seks jest prosty, Nate. Cała otoczka jest skomplikowana. Więc na razie poprzestańmy na tym, co proste.

Ruszyła schodami na piętro. Nate zerknął na psy i głęboko odetchnął.

– Ciekawe, czy jeszcze pamiętam, jak wygląda prostota. Wszedł na piętro i zatrzymał się przy pierwszych drzwiach.

Ściany pomieszczenia pomalowane były na jaskrawoczerwony kolor, wyjątek stanowiła tylko ta, na której wisiało lustro.

Naprzeciwko lustra stała półka z telewizorem, DVD i wieżą stereo. Resztę pomieszczenia zajmował sprzęt treningowy.

Nate wyobraził sobie, że w niewielkiej lodówce są buteleczki z wodą, a może nawet jakimiś napojami dla sportowców.

Teraz wiedział już, że wygląd ciała, które zaraz zobaczy nagie, to wynik ciężkiej pracy.

Zostawiła drzwi sypialni otwarte, a sama kucnęła przed następnym kominkiem, rozpalając w nim ogień. Duże łóżko wykonane było z ciemnego drewna. Znajdowały się tu też następne dzieła sztuki i następne lampki z abażurami w kolorach zieleni oraz kości słoniowej.

– Widziałem twój sprzęt. Uśmiechnęła się do niego przez ramię.

– Jeszcze nie.

– Miałem na myśli twoją prywatną siłownię w pokoju obok.

– Ćwiczy pan, panie komendancie?

– Kiedyś ćwiczyłem. – „Przed Jackiem”. – Ostatnio trochę się zaniedbałem.

– Lubię wyciskać z siebie siódme poty i pobudzać do życia endorfiny.

– Ja też.

– No cóż, w takim razie będziesz musiał do tego wrócić.

– Taak. Ładny masz domek.

– Urządzałam go przez cztery lata. Potrzebuję dużo wolnej przestrzeni, bo inaczej dostaję szału. Wyłączyć światło czy je zostawić?

Kiedy nie odpowiedział, wyprostowała się i ponownie spojrzała przez ramię.

– Niech się pan rozluźni, panie komendancie. Nie wyrządę ci krzywdy... chyba że o to poprosisz.

Podeszła do szafki nocnej i wysunęła szufladę.

– Najpierw bezpieczeństwo – oświadczyła, rzucając mu prezerwatywę. – Zbyt dużo myślisz – zawyrokowała, gdy nadal stał zdezorientowany na środku pokoju.

Uznała, że jest cudowny z tą rozczochną kasztanową czupryną i oczami zranionego bohatera.

– Idę o zakład, że sobie poradzimy. Może potrzebujesz odpowiedniej atmosfery? Nie mam nic przeciwko temu.

Zapaliła świecę, po czym obeszła pokój i zaświeciła pozostałe.

– Odrobina muzyki?

Otworzyła szafkę, włączyła odtwarzacz kompaktowy i wyciszyła go. Tym razem puściła Alanis Morissette, która dziwnie pięknym głosem śpiewała o strachu przed rozkoszą.

– A może najpierw powinnam cię nieco spać, no, ale teraz jest już na to za późno.

– Ale z ciebie oryginał! – mruknął Nate.

– Jasne.

Zdjęła sweter i rzuciła go na krzesło.

– Z powodu ciepłej bielizny striptiz jest może mniej podniecający, ale w ostatecznym rozrachunku i tak powinno się opłacić.

Już był niesamowicie podniecony.

– Masz zamiar zostać w pewnych częściach garderoby czy chcesz, żebym się nimi zajęła?

– Jestem zdenerwowany, a przyznając się do tego, czuję się jak idiota.

O tak – pomyślała. To naprawdę godne podziwu. Szczerść u mężczyzny zawsze zasługuje na podziw.

– Jesteś zdenerwowany tylko dlatego, że myślisz. Zsunęła na ziemię spodnie. Usiadła na łóżku i zdjęła skarpetki.

– Gdyby nie twoje obowiązki, już w sylwestra wylądowalibyśmy w łóżku.

– Nie było cię, gdy wróciłem.

– Ponieważ zaczęłam myśleć. A to jest naprawdę śmiertelnie niebezpieczne.

Odsunęła wełnianą narzutę i kołdrę. Położył koszulę na jej swetrze. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i ze wzruszeniem ramion odłożył go na bok.

– Jestem na służbie.

– No cóż, w takim razie pozostaje nam mieć nadzieję, że ludzie przez jakiś czas będą grzeczni.

Zdjęła ocieplany podkoszulek. Każdy mięsień jej ciała pięknie poruszał się pod skórą.

Była jak z porcelany – miała delikatną, białą skórę i wspaniałe kształty, ale ani cienia kruchości, jedynie dramatyzm i pewność siebie, czarno-białe zdjęcie ze złocistym blaskiem.

Kiedy odwróciła się, żeby wyłączyć światło i zostawić tylko świece, ku własnemu zaskoczeniu i ogromnemu podnieceniu zauważył, że ma na krzyżu maleńki tatuaż – czerwone skrzydła.

– Połowa myśli już wyparowała z mojej głowy. Wybuchnęła gromkim śmiechem.

– W takim razie muszę się zająć drugą połową. Niech pan rozepnie spodnie, panie Burkę.

– Tak jest, psze pani.

Rozpiął sprzączkę pasa, potem zdrętwiałymi palcami zdjął ocieplaną bieliznę. Poczul, że mu zaschło w ustach.

– Miałaś rację. Naprawdę dobrze wyglądasz bez ubrania.

– Chętnie powiem to samo, gdy się rozbierzesz. Wyciągnęła się w łóżku.

– Chodź do mnie, spryciarzu. Kiedy się rozbierał, musnęła palcem swoją pierś.

– Hmm, nieźle. Górna część ciała jest całkiem, całkiem, jak na kogoś, kto od jakiegoś czasu nie ćwiczy. A...

Gdy zdjął slipy, z uśmiechem na twarzy uniosła się na łokciach.

– No, no, widzę, że już całkiem przestałeś myśleć. Osłoń tego żołnierza i wyruszajmy na wojnę.

Wykonał polecenie, gdy jednak usiadł na łóżku, jedynie musnął jej ramię koniuszkami palców.

– Daj mi minutkę, żebym najpierw przygotował strategię przed czekającą mnie bitwą. Nigdy nie widziałem takiej skóry jak twoja. Takiej czystej.

– Nie można oceniać książki na podstawie jej okładki.

Uniosła się, chwyciła go za włosy i pociągnęła w dół, do siebie.

– Daj mi te usta. Poprzednio nie mogłam się nimi nasycić.

Zalała go potężna fala, wszystkie pragnienia, desperacja, gorączkowy pośpiech połączyły się ze ślepą żądzą. Smak Meg i jej pełen pożądania żar rozpały w nim krew. Wpił się ustami w jej wargi, sycił się nimi, póki nie odżył głód, o istnieniu którego Nate dawno już zapomniał.

Nie mógł się nacieszyć jej ustami, jej szyją, jej piersiami. Jej posapywaniami, jękami i krzykami, które działały na niego jak pejcze, zmuszając go, by brał coraz więcej i więcej.

Wsunął dłoń między jej uda, zakręciło mu się w głowie, gdy poczul, że jest wilgotna, ciepła. Tak szybko, tak gwałtownie doprowadził ją na szczyt, że oboje zadrżeli.

Wszystko przypominało wspinaczkę na spokojne, zielone wzgórze, które okazało się wulkanem. Meg zdała sobie sprawę, że Nate jest takim właśnie

wulkanem. Pragnęła go, jego smutnych oczu i spokojnego sposobu bycia. Nie wiedziała jednak, co kryje się pod tą maską i co od niego dostanie.

Przywarła do niego, czując, że żar przenika jej ciało. Potem krzyknęła z czystej rozkoszy. Wczepiła się paznokciami w plecy Nate'a, skubała go zębami, wędrowała rękami po lekko spoconej skórze.

Przy każdym oddechu paliło ją w płucach.

Chciał ją pożreć, rozerwać na kawałki, zdominować. Wsunąwszy się w nią, ukrył twarz w jej włosach. Uniosła jego głowę i przyglądała mu się bacznie dzikimi, błękitnymi oczami, kiedy się w niej poruszał, kiedy się w niej zatracił. Obserwowała go, póki nie osiągnął szczytu.

Czuł się jak nadmuchany balon, jego skóra była jedynie cienką powłoką wypełnioną powietrzem. Nie pamiętał już, jak to jest, kiedy rozkosz pozbawia człowieka zdolności myślenia i tak pobudza ciało, że rankiem samo wyfruwa z łóżka, jakby miało skrzydła.

Był ślepy, głuchy i syty. Gdyby mu pozwoliła przefrunąć resztę drogi do nieświadomości, nie wydałby pomruku niezadowolenia.

– Nie zasypiaj na mnie.

– Hm? Co takiego?

– Napnij jeszcze raz mięśnie, spryciarzu.

Potem odzyskał wzrok. Widział światło, cień i kształt. Nic nie miało sensu, ale i tak wszystko widział. Nie słyszał zbyt wyraźnie, ponieważ jakiś głos – jej głos – przedzierał się przez potężny szum w uszach.

Czuł, jak miękkie, wysportowane, zgrabne ciało, wilgotne od potu, na który tak ciężko zapracowali, pachnące mydłem, seksem i kobiecością, ustępuje pod jego naporem.

– Lepiej mnie zepchnij z siebie – zaproponował po chwili. – Chyba mnie sparaliżowało.

– Nie czuję, żebyś był sparaliżowany.

Mimo to położyła rękę na jego ramieniu i mocno go odepchnęła. Potem głęboko odetchnęła i jęknęła:

– O mój Boże!

– Rzeczywiście, przez sekundę wydawało mi się, że widzę Jego niewyraźny zarys. Uśmiechał się.

– Och!

Brakowało jej sił, żeby się wyprostować, więc tylko ziewnęła.

– Ktoś tu był bardzo wygłodzony. Hmm. Szczęściara ze mnie.

Obwody w jego mózgu powoli i stopniowo podejmowały swoją pracę. Niemal słyszał ich iskrzenie, gdy się podłączały.

– Trochę czasu minęło od ostatniego razu. Zaciekawiona obróciła się na bok. Zobaczyła ślady po swoich paznokciach. A także blizny po kuli na boku i udzie.

– „Trochę czasu”, to znaczy?

Nie otwierając oczu, wykrzywił usta.

– Dwa? Jezu, więcej? Trzy?

– Chyba bliżej roku.

– Cholera jasna! Nic dziwnego, że widziałam wszystkie gwiazdy.

– Zrobiłem ci krzywdę?

– Nie bądź palantem.

– Może nie jestem, ale, do jasnej cholery, na pewno cię wykorzystałem.

Rozmyślnie musnęła palcem bliznę na jego boku. Nie skrzywił się, poczuła jednak, że mocno napiął mięśnie, uznała więc, że na razie chyba lepiej nie poruszać poważnych tematów.

– Powiedziałabym, że wykorzystaliśmy się nawzajem, i to tak dobrze, tak dokładnie, że każdy w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od mojego łóżka leży teraz na plecach i pali papierosy.

– Nie przeszkadza ci to?

– Masz pan krótką pamięć, panie Burkę? Przeciągnęła się, a potem szturchnęła go łokciem w plecy.

– Czyj to był pomysł? Przez chwilę milczał.

– Przez pięć lat byłem żonaty. Ani razu jej nie zdradziłem. Ostatnie dwa lata małżeństwa przypominały istne piekło, a ostatni rok był kompletną porażką. Seks stał się problemem numer jeden. Polem bitwy. Bronią. Wszystkim, z wyjątkiem czystej przyjemności. Nieco zardzewiałem, dlatego nie bardzo wiem, czego potrzebują kobiety.

To znaczy, że jednak nie obejdzie się bez poruszenia nieco poważniejszych tematów – pomyślała.

– Nie jestem kobietą. Jestem sobą. Przykro mi, że twoja była żona próbowała urwać ci jaja, ale z tego, co mogę stwierdzić, twoje przyrodzenie całkiem nieźle działa i może w takim razie pora z tym skończyć.

– To już przeszłość.

Poruszył się i wsunął pod nią rękę. Poczuł, że trochę zeszywniała, zawahała

się, dopiero po chwili rozluźniła mięśnie i pozwoliła, by położył jej głowę na swoim ramieniu.

- Nie chcę, żeby to był koniec. Między nami.
- Zobaczymy, co strzeli nam do głowy po następnym razie.
- Chciałbym zostać, ale muszę wracać. Przepraszam.
- Wcale cię nie prosiłam, żebyś został.

Odwrócił głowę, żeby ujrzeć jej twarz. Wciąż miała zarumienione policzki i senne oczy, ale był zbyt dobrym gliniarzem, żeby nie dostrzec znużenia, ukrytego pod beztróską.

– Chciałbym usłyszeć z twoich ust prośbę, żebym został, ale ponieważ i tak musiałbym ci odmówić, jest to tylko płonne marzenie. Zapewniam jednak, że chętnie wrócę.

– Nie możesz tego zrobić dziś wieczorem. Nadchodzi burza śnieżna. Gdyby się zaczęła, nie mógłbyś stąd wyjechać. Zawierucha może potrwać kilka dni. Nie byłabym zbyt szczęśliwa.

- Skoro ma być aż tak źle, jedź ze mną do miasta.
- Nie. Tam też nie byłoby mi dobrze.

Znów się rozluźniła, musnęła go koniuszkami palców po klatce piersiowej, pogłaskała po szczęce, wsunęła palce w jego włosy.

– Poradzę sobie tutaj. Mam zapasy, drewno, psy. Lubię porządne burze i związaną z nimi samotność.

- A gdy zamieć minie?

Meg wzruszyła ramionami i się odwróciła. Potem wstała i nago podeszła do szafy. Blask z kominka tańczył na jej białej skórze i wytatuowanych błyszczących, rozpostartych skrzydłach, póki nie wyjęła grubego flanelowego szlafroka.

– Możesz zadzwonić, a jeśli będę, przywieziesz mi pizzę. Zarzuciła szlafrok i z uśmiechem na ustach zawiązała pasek.

- Dam ci naprawdę dobry napiwek.

Gdy wracał do miasta, w powietrzu zaczynały wirować pierwsze płatki śniegu. Były duże i miękkie, dzięki czemu nie wyglądały zbyt groźnie. Prawdę mówiąc, Nate uznał, że są malownicze. Przypominały mu dzieciństwo i śnieg, który padał przez całą noc i rano wciąż jeszcze prószył, w związku z tym, gdy po przebudzeniu wyjrzało się z okien sypialni, ogarniało człowieka podniecenie.

Nie będzie szkoły!

Przypomniał sobie, że niegdyś śnieg był w stanie wywołać u niego radość, a nie obawy przed ewentualnymi uciążliwościami czy zagrożeniami, Nate lekko się uśmiechnął. Może warto byłoby przynajmniej do pewnego stopnia przypomnieć sobie tamten dziecięcy zachwyty?

Gdy rozejrzał się dookoła, zobaczył oceany i rzeki bieli. Zaczął rozważać ewentualne możliwości. Uczył się poruszać na raketach śnieżnych, więc równie dobrze może nauczyć się jeździć na nartach. Pokonywanie na biegówkach dużych przestrzeni mogłoby być interesujące. Co więcej, w ciągu ostatnich miesięcy stracił zbyt dużo na wadze. Taki rodzaj ćwiczeń w połączeniu z regularnymi posiłkami, które przed nim stawiano, mógł pomóc w odzyskaniu formy i sylwetki.

Może kupi sobie skuter śnieżny i trochę na nim poszaleje? Na litość boską, z pewnością nie zaszkodzi mu trochę zabawy! A przy okazji zobaczy okolicę z innej perspektywy niż zza szyby terenówki.

Zatrzymał się i obserwował niewielkie stadko reniferów, które wędrowało wśród drzew na lewo od drogi. Ich sierść na tle śniegu sprawiała wrażenie ciemnej i poprzecieranej, włosie zwisało im do kolan. O ile zwierzyna płowa ma coś takiego jak kolana.

Doszedł do wniosku, że dla takiego mieszczucha jak on to zupełnie nowy świat, zwłaszcza iż jego bezpośredni kontakt z przyrodą dotychczas ograniczał się jedynie do letnich wycieczek pod namiot do zachodniej części Marylandu.

Zaparkował przed posterunkiem, podłączył ogrzewacz swojego silnika, a potem przez chwilę patrzył, jak Otto i Peter zawiązują na chodniku grubą linę, mocując ją mniej więcej na wysokości pasa. Włożył grube rękawiczki i podszedł do nich.

– Co robicie?

– Przygotujemy linę przewodniczkę – wyjaśnił Otto, obwiązując ją wokół słupka lampy.

– Po co?

– Podczas zawieruchy człowiek może się zgubić trzydzieści centymetrów od drzwi.

– Nie wygląda tak źle.

Nate zerknął na ulicę. Nie zauważył, że Otto i Peter wymienili spojrzenia.

– Co zapowiadają?

– Około stu dwudziestu centymetrów śniegu. Nate gwałtownie się odwrócił.

– Podpuszczasz mnie.

– Nadchodzi wiatr, więc przyniesie spore opady – wyjaśnił Otto z prawdziwym zadowoleniem w głosie, nie przerywając wiązania liny. – To nie będzie zadymka, jaka czasami zdarza się poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika.

Nate przypomniał sobie, że w Baltimore dziesięć centymetrów białego puchu potrafiło niemal całkowicie sparaliżować miasto.

– W takim razie dopilnujcie, żeby usunięto z ulicy wszystkie zaparkowane samochody i sprawdzono sprzęt do odśnieżania.

– Ludzie przeważnie zostawiają auta gdzie popadnie – wyjaśnił Peter. – Potem je odkopują.

Nate zastanawiał się, czy nie dostosować się do zasady „Kiedy wejdiesz między wrony...”, potem jednak potrząsnął głową. Płacą mu za wprowadzanie porządku, więc, na Boga wprowadzi go, przynajmniej częściowo.

– Każ im zabrać samochody z ulicy. Jeśli za godzinę coś tu jeszcze będzie stało, zostanie odholowane. Niezależnie od tego, czy to Alaska, czy tereny położone poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika, sto dwadzieścia centymetrów śniegu to zawsze sto dwadzieścia centymetrów śniegu. Do końca burzy śnieżnej obowiązuje instrukcja numer dwadzieścia cztery łamane przez siedem. Nikt z nas nie ma prawa opuścić posterunku bez krótkofalówki. Co robimy w takiej sytuacji z ludźmi spoza miasta?

Otto podrapał się po brodzie.

– Nic.

– Niech Peach przejrzy ich listę i do każdego z nich zadzwoni. Zorganizujemy schronienie dla wszystkich, którzy będą chcieli przyjechać do miasta.

Tym razem dostrzegł wymianę spojrzeń. Peter uśmiechnął się łagodnie.

– Nikt nie przyjedzie.

– Może nie, ale przynajmniej będą mieli jakiś wybór.

Pomyślał o Meg, praktycznie odciętej od świata w drewnianym domku dziewięć kilometrów za miastem. Na pewno nie ruszy się z miejsca, tyle już o niej wiedział.

– Ile liny będziemy potrzebować?

– Dużo. Ludzie przed domami przeważnie wiążą swoje.

– Dopilnujemy, żeby tak się stało.

Wszedł na posterunek i zlecił Peach dodatkowe zajęcie.

Potrzebował godziny, by wszystko zorganizować, następne dziesięć minut zajęło mu uporanie się z Carrie Hawbaker, która wpadła na posterunek z cyfrowym aparatem fotograficznym. W przeciwieństwie do męża sprawiała wrażenie bystrej i szybkiej. Jedyne machnęła mu ręką, żeby sobie nie przerywał, a ona po prostu robi mu zdjęcia przy pracy.

Pozwolił jej popstrykać i wypytać Peach o plany na nadchodzącą burzę. Na razie nie miał czasu martwić się ani zastanawiać nad tym, jak wypadł jego wywiad z Maxem.

– Skontaktowałaś się ze wszystkimi ludźmi spoza miasta? – spytał Peach.

– Zostało mi jeszcze dwanaście osób.

– Kto przyjeżdża?

– Na razie nikt. – Postukała w listę. – Ludzie mieszkają poza miastem, Nate, bo to im odpowiada.

Przytaknął.

– Mimo to skontaktuj się z nimi. A potem idź do domu i zadzwoń do mnie, gdy dotrzesz na miejsce.

Jej okrągłe policzki zadrżały pod wpływem śmiechu.

– Zachowujesz się jak kwoka.

– Bezpieczeństwo publiczne to moje życie.

– W dodatku, jak widzę, jesteś weselszy niż poprzednio. – Wyjęła ołówek z koka i pomachała nim Nate'owi przed nosem. – Miło to widzieć.

– Sądzę, że burza pobudziła mnie do działania.

Zerknął w stronę drzwi, zaskoczony, że znów się otworzyły. Czy podczas burzy śnieżnej mieszkańcy Lunacy nie powinni siedzieć w domach?

Hopp poprawiła włosy.

– Nieźle sypie – oznajmiła. – Słyszałam, że oczyścił pan ulicę z samochodów, panie komendancie.

– Wkrótce pług śnieżny zacznie odgarniać pierwszą warstwę.

– Będzie ich sporo.

– Sądzę, że tak. Przytaknęła.

– Masz chwilę czasu?

– Niewielką. – Gestem ręki wskazał drzwi swojego biura. – Powinna pani być w domu, pani burmistrz. Jeśli rzeczywiście spadnie sto dwadzieścia centymetrów śniegu, będzie ci sięgał po pachy.

– Jestem niska, ale zdrowa, a jeśli podczas burzy śnieżnej nie wyjdę chociaż

na chwilę z domu, dostanę ataku klaustrofobii. Mamy styczeń, Ignatiou sie. W styczniu zawsze nas zasypuje.

– Mimo to jest po piątej, wokół panują egipskie ciemności, wkrótce będziemy mieli trzydzieści centymetrów śniegu, a wiatr w porywach wieje z całkiem niezłą prędkością.

– Widzę, że trzymasz rękę na pulsie.

– Dzięki lokalnej rozgłośni. – Wskazał na przenośny odbiornik radiowy. – Obiecują, że podczas śnieżycy będą podawać prognozę pogody przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Zawsze to robią. A propos mediów...

Udzieliłem wywiadu. Carrie zrobiła zdjęcia.

Ale wciąż jesteś zły. – Uniosła głowę, żeby mu się przyjrzeć. – Miasto po raz pierwszy ma własną policję i sprowadza z zewnątrz komendanta. To nowość, Ignatiou sie.

– Nie będę się na ten temat kłócił.

– Unikałeś Maxa.

– Więcej niż unikałem. Uciekałem przed nim.

– Nieważne, tak czy inaczej przerwałam wam zabawę w kotka i myszkę. Tym samym pewnie nadepnęłam ci na odcisk. Przepraszam.

– Przyjmuję przeprosiny.

Kiedy wyciągnęła rękę, zaskoczył ją przyjacielskim uściskiem.

– Idź do domu, Hopp.

– Ty też.

– Nie mogę. Wcześniej chcę spełnić swoje dziecięce marzenie. Pojeździć sprzętem do odśnieżania.

Każdy oddech przypominał wciąganie w płuca odłamków szkła. Te same odłamki przenikały przez gogle i wdzierały się do oczu. Każdy kawałek ciała był dwu-, a nawet trzykrotnie owinięty ciepłym materiałem, mimo to Nate'owi wciąż było potwornie zimno.

Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Potworny wiatr, dudniący silnik maszyny, biała ściana, której nie były w stanie przebić przednie światła. Od czasu do czasu Nate dostrzegał błysk lampy za szybą, ale przeważnie świat ograniczał się do kilkunastu centymetrów przed kanarkowo-żółtą maszyną.

Nate nawet nie próbował rozmawiać. Zresztą Bing z pewnością też nie miał zbyt wielkiej ochoty na prowadzenie konwersacji, ale hałas i tak wykluczał

jakąkolwiek wymianę zdań.

Trzeba przyznać, że Bing kierował ciężkim sprzętem z precyzją i delikatnością chirurga. Nie było to zwyczajne odwalanie śniegu, jakiego spodziewał się Nate. Bing oczyszczał drogi i zatoczki, odgrzebywał krawężniki, odśnieżał podjazdy, a wszystko wykonywał niemal na pamięć i z taką prędkością, że Nate co chwila musiał się powstrzymywać przed głośnym protestem.

Bez wątpienia Bing z przyjemnością usłyszałby, jak komendant policji popiskuje jak dziewczyna, ale Nate zaciskał zęby, by nie wydać jakiegoś dziwnego dźwięku.

Po zrzuceniu następnego ładunku śniegu Bing wyjął spod siedzenia brązową butelkę, odkręcił korek i pociągnął spory łyk. Mocny zapach sprawił, że Nate'owi łzy napłynęły do oczu.

Ponieważ stali nad rosnącą hałdą śniegu, Nate zaryzykował komentarz:

- Słyszałem, że alkohol obniża temperaturę ciała! – krzyknął.
- Pieprzona propaganda.

By to udowodnić, Bing pociągnął następny spory łyk.

Siedzieli we dwóch w całkowitej ciemności. Bing był cięższy od Nate'a o jakieś trzydzieści, trzydzieści parę kilogramów i prawdopodobnie z prawdziwą przyjemnością zakopałby komendanta policji pod zwałami śniegu, dzięki czemu zimne, sztywne ciało zostałoby znalezione dopiero podczas wiosennych roztopów. Biorąc to wszystko pod uwagę, Nate postanowił się nie sprzeczać. Nie wspomniał również, że prawo zabrania przewożenia w samochodzie otwartych pojemników z alkoholem, nie wymienił niebezpiecznych konsekwencji, jakie może za sobą pociągać picie podczas prowadzenia ciężkiego sprzętu.

Bing się odwrócił. Nate widział tylko jego oczy, które błysnęły między czapką a szalikiem.

- Niech pan sam sprawdzi. Wcisnął butelkę Nate'owi do ręki.

To nie był odpowiedni moment, by przypominać, że on właściwie nie pije. Uznał, że postąpi uprzejmiej i bardziej po przyjacielsku, jeśli pociągnie z butelki. Gdy to zrobił, miał wrażenie, że w głowie eksplodował mu granat, a gardło i żołądek spłonęły na popiół.

- Matko miłosierna!

Zakrztusił się. Kiedy w końcu udało mu się nabrać powietrza w płuca, tym

razem dostały się tam płomienie, a nie okruchy lodu. Dzwonienie w uszach zagłuszył śmiech. A może wycie jakiegoś gigantycznego, szalonego wilka.

– Co to jest, do jasnej cholery?

Z trudem oddychał, łzy strumieniami płynęły mu z oczu i zamarzały na twarzy.

– Elektrolit? Pluton? Płynny ogień z piekła rodem?; Bing odebrał Nate'owi butelkę, upił łyk i zakręcił ją.

– Whisky z końskiego łajna.

– Świetnie.

– Mężczyzna, który nie potrafi jej wypić, to żaden mężczyzna.

– Jeśli to ma być kryterium, wolę być kobietą.

– Odwiozę cię, Mary, do domu. Zrobiłem wszystko, co było do zrobienia.

– Niech Bogu będą dzięki.

Wokół oczu Binga pojawiły się zmarszczki, które mogły oznaczać uśmiech. Odwrócił się.

– Postawiłem dwadzieścia dolców na to, że przed końcem miesiąca spakuje pan manatki.

Nate siedział nieruchomo. Paliło go w gardle, szczypały go oczy, a stopy, pomimo dwóch par ciepłych skarpetek i ciepłych butów, przypominały dwie góry lodowe.

– Kto przyjmuje zakłady?

– Chudy Jim. Barman z Lodge. Nate jedynie przytaknął.

Nie wiedział, skąd Bing ma tak wspaniałą orientację w terenie, uznał jednak, że ten człowiek mógłby prowadzić Magellana. Pomimo gęstej kurtyny zacinającego śniegu podjechał prosto do krawężnika przy Lodge.

Kiedy Nate wyskoczył na chodnik, poczuł potworny ból w kolanach i kostkach. Śnieg na trotuarze sięgał do zmarzniętych kolan, bezlitosny wiatr dmuchał prosto w oczy. Nate chwycił rękami za linę i podciągnął się w stronę drzwi.

W środku panował niemal bolesny upał. Z szafy grającej dochodził Clint Black. No cóż, lepsze to niż potworny warkot silnika. Kilkunastu ludzi siedziało przy barze albo przy stolikach. Pili, jedli, rozmawiali, podczas gdy za oknami Bóg zasypywał świat białym puchem.

Szaleńcy z szalonego miasta – pomyślał. Wszyscy, co do jednego.

Miał ochotę na kawę – tak gorącą, żeby aż parzyła – i czerwone mięso.

Z radością zjadłby je surowe.

Kilkoma kiwnięciami głowy odpowiedział na pozdrowienia ludzi, potem zaczął walczyć z guzikami i zamkami. Charlene spiesznie ruszyła w jego stronę.

– Moje biedactwo! Musiałeś zamarznąć na śmierć. Pozwól, że pomogę ci zdjąć kurtkę.

– Poradzę sobie. Tylko...

– Masz sztywne palce.

Ogarnęło go niesamowite, surrealistyczne uczucie, kiedy matka kobiety, z którą niedawno się przespał, rozpięła mu pokrytą śniegiem kurtkę.

– Poradzę z tym sobie, Charlene. Natomiast bardzo chętnie napiłbym się mocnej kawy. Byłbym ci za nią niezmiernie wdzięczny.

– Zaraz ci ją przyniosę. – Poklepała go po zimnym policzku. – Siadaj.

Gdy w końcu udało mu się rozebrać, podszedł do baru. Wyjął portfel i machnął na mężczyznę zwanego Chudym Jimem.

– Masz tu stówę – powiedział głośno, żeby wszyscy go słyszeli. – Dołącz ją do ogólnej puli. Stawiam na to, że zostanę.

Schował portfel do kieszeni, potem usiadł obok Johna.

– Witam, Profesorze.

– Witam, panie komendancie.

Nate przekrzywił głowę i odczytał tytuł nowej książki.

– Cannery Row. Dobra. Dzięki, Charlene.

– Nie ma za co. – Postawiła przed nim kawę. – Dzisiaj mamy bardzo dobry gulasz. Rozgrzeje cię. Chyba że chcesz, abym osobiście się tym zajęła.

– Wolę gulasz. Masz pokoje na wypadek, gdyby twoi klienci musieli zostać tu na noc?

– W Lodge zawsze są pokoje. Przyniosę ci gulasz.

Nate obrócił się na stołku i sącząc kawę, przyglądał się sali. Ktoś tym razem puścił w szafie grającej jakiś kawałek Springsteena. „Boss” śpiewał o wspaniałych dniach, a kule bilardowe stukały w łuzach. Nate rozpoznawał już wszystkie twarze – byli to stali bywalcy, ludzie, których widywał niemal każdego wieczoru. Ze swojego miejsca nie widział graczy przy stole bilardowym, ale rozpoznawał głosy, które należały do braci Mackie.

– Czy istnieje możliwość, że ktoś z tych ludzi najpierw się spije, a potem nietrzeźwy będzie próbował wrócić do domu? – spytał Johna.

– Chyba tylko bracia Mackie, ale Charlene wybije im to z głowy. Większość

wyjdzie stąd za jakąś godzinę, twardziele zostaną do rana.

– Do którego obozu należysz?

– Wszystko zależy od ciebie – John uniósł piwo.

– To znaczy?

– Jeśli skorzystasz z propozycji Charlene, powędruję do swojego pokoju. Jeśli nie, spędzę noc u niej.

– Wybrałem gulasz.

– W takim razie dzisiejszą noc spędzę u niej.

– Johnie, czy taka sytuacja cię nie martwi? John wbił wzrok w swoje piwo.

– Nawet jeśli będę się martwił, niczego w ten sposób nie jestem w stanie zmienić. Charlene już taka jest. Romantycy często mówią, że miłość nie daje nam wyboru. Nie zgadzam się z tą tezą. Każdy z nas dokonuje jakiegoś wyboru. Ja też to zrobiłem.

Charlene przyniosła gulasz, koszyczek z kromkami świeżego chleba i duży kawał szarlotki.

– Człowiek, który przy takiej pogodzie ciężko się napracuje, musi dobrze zjeść. Pokaż, na co cię stać, Nate.

– Pokażę. Miałaś jakieś wieści od Meg?

Charlene zamrugała oczami, jakby tłumaczyła sobie słowa Nate' a z innego języka.

– Nie, a dlaczego miałabym mieć?

– Po prostu myślałem, że kontaktujecie się ze sobą. – Czekając, aż gulasz nieco przestygnie, zaczął od chleba. – Że, na przykład, czasami sprawdzasz, jak twoja córka radzi sobie w swojej samotni.

– Nikt nie umie radzić sobie lepiej niż Meg. Ona nikogo nie potrzebuje. Ani żadnego mężczyzny, ani matki.

Oddaliła się i głośno trzasnęła drzwiami kuchennymi.

– Drażliwy temat – skomentował Nate.

– Czułe miejsce. Tym boleśniesz, że w jej przekonaniu bardziej interesujesz się córką niż nią.

– Przykro mi, ale tak właśnie jest.

Skosztował gulaszu. Znalazł w nim ziemniaki, marchewkę, fasolkę i cebulę. Było też twarde mięso, raczej jakaś dziczyzna niż wołowina.

Gdy gulasz dotarł do żołądka, Nate zapomniał o chłodzie.

– Co to za mięso?

– Z łosia.

Nate nabrał więcej gulaszu na łyżkę i dobrze mu się przyjrzał.

– W porządku – powiedział i zjadł.

Śnieg padał przez całą noc, a Nate całą tę noc przespał kamiennym snem. Gdy się obudził, jego okno przypominało ekran telewizyjny. Słyszał wycie wiatru, czuł, jak masy powietrza napierają na szybę.

Nie było prądu, w związku z tym zapalił świece, co wywołało wspomnienia o Meg.

Ubrał się i spojrzął na telefon. Prawdopodobnie też nie działał. Poza tym nikt nie dzwoni do kobiety o wpół do siódmej rano tylko dlatego, że się z nią przespał. Nie musiał się o nią martwić. Meg mieszka tu od urodzenia. Na pewno zagrzebała się w swoim domu z dwoma psami i dużym zapasem drewna na opał.

Po raz pierwszy Nate zobaczył, że hotel jest pusty. Stoliki były uprzątnięte, bar starty. W powietrzu nie unosił się zapach parzonej kawy ani smażonego boczku. Nikt nie stukał talerzami, nikt nie rozmawiał. Przy stoliku nie było małego chłopca, który zazwyczaj promiennie uśmiechał się na widok Nate'a.

Nate wszedł do kuchni i po długich poszukiwaniach znalazł muffina. Wsadził go do kieszeni, ubrał się i otworzył drzwi.

Wiatr był tak silny, że niemal go przewrócił. Śnieg pakował się do oczu, do ust, do nosa. Nate z trudem wyszedł za drzwi.

Latarka okazała się prawie bezużyteczna, mimo to włączył ją i ruszył za jej nikłym światłem wzdłuż liny. Po chwili wsunął latarkę do kieszeni, chwycił sznur obiema rękami i zaczął powoli posuwać się do przodu.

Na chodniku śnieg sięgał do ud. Przyszło mu na myśl, że człowiek mógłby się utopić w białym puchu, zanim zdążyłby zamarznąć.

Zdołał wyjść na ulicę, gdzie dzięki pługowi Binga i whisky z końskiego łajna śnieg sięgał jedynie do kostek, oczywiście pod warunkiem, że człowiek nie wpakował się w zaspę.

Nate musiał po omacku i bez liny przejść na drugą stronę ulicy, jeśli chciał dotrzeć na posterunek. Zamknął oczy, wyobraził sobie ulicę i przypomniał sobie rozmieszczenie poszczególnych budynków, potem pochylił głowę, żeby uchronić się przed ostrymi porywami wiatru, puścił linę, ponownie wziął do ręki latarkę i zaczął przechodzić przez jezdnię.

Czuł się tak, jakby znajdował się w dziczy, a nie w mieście, w którym są asfaltowe drogi i chodniki, a za kamiennymi i ceglanymi ścianami śpią ludzie.

Wiatr huczał mu w uszach jak rozszalałe, sztormowe morze i próbował odepchnąć go do tyłu, jednak Nate powoli torował sobie drogę na drugą stronę ulicy.

Zdawał sobie sprawę, że ludzie często giną, przechodząc na drugą stronę ulicy. W życiu nie brakuje niebezpiecznych pułapek, przykrych niespodzianek. Dwóch facetów może wyjść z baru, a chwilę później jeden z nich może zginąć w zaułku.

Jakiś idiota może wyjść z domu podczas burzy śnieżnej, próbować przejść przez ulicę, a potem godzinami wędrować bez celu, póki nie zamarznie metr od schronienia.

Zaklął, gdy stuknął butami o coś twardego. Doszedł do wniosku, że to krawężnik, dlatego na oślep wysunął przed siebie ręce i machał nimi tak długo, póki nie natrafił na linę.

– Następny zdumiewający wyczyn – mruknął, wciągając się na zasypany śniegiem chodnik.

Szedł wzdłuż liny, aż trafił na następną, zawiązaną pod kątem prostym do poprzedniej, wówczas zmienił kierunek i jak pług zaczął się przesuwać w stronę posterunku.

Zastanawiając się, po kiego czorta zamykał drzwi, wyjął z kieszeni klucze i za pomocą latarki odszukał zamek. W przedsionku otrząsnął się ze śniegu, ale się nie rozbierał. Tak jak przypuszczał, na posterunku panował potworny chłód. Było tak zimno, że szybę od wewnątrz pokrywała warstewka lodu.

Ktoś bardziej przewidujący niż on ułożył drewno w piecu. Nate podpalił, a potem stał z rękami wyciągniętymi nad ogniem. Kiedy przestał ciężko dyszeć, zamknął drzwiczki pieca.

Zapalił świeczki, potem lampkę na baterię i uznał, że może zacząć pracować.

Znalazł odbiornik radiowy, także na baterię, i ustawił go na lokalną radiostację. Zgodnie z obietnicą KLUN nie przerwał nadawania programu. Właśnie teraz ktoś z dość dziwnym poczuciem humoru puszczał jakiś kawałek zespołu Beach Boys.

Nate siedział przy biurku, słuchał KLUN-u i innych rozgłośni. Żałując, że nie ma kawy, zjadł muffina.

O wpół do dziewiątej wciąż był sam. Uznał, że to już rozsądna pora, usadowił się więc przy krótkofalówce. Wcześniej wziął kilka podstawowych lekcji od Peach i teraz postanowił sprawdzić, czego się nauczył.

– KLPD wzywa KUNA. Odezwił się, KUNA. Meg, jesteś tam? Podnieś słuchawkę, odezwij się, czy co tam trzeba zrobić. – Usłyszał trzaski, szum i kilka pisków. – Tu KLPD, wzywam KUNA. Odezwił się, Galloway.

– Tu KUNA. Ma pan licencję na obsługę krótkofalówki, panie Burkę? Odbiór. Wiedział, że to śmieszne, ale słysząc jej głos, poczuł ogromną ulgę. I przyjemność.

– Mam. Dali mi ją razem z odznaką.

– Powiedz „odbiór”.

– W porządku. Odbiór. Nie, czy u ciebie wszystko w porządku? Odbiór.

– Tak. Jest nam miło i przytulnie. Zaszyci w domu słuchamy podmuchów taku. A co u ciebie? Odbiór.

– Przeżyłem przeprawę na drugą stronę ulicy. Co to jest taku? Grupa rockowa? Odbiór.

– Cholerny, złośliwy wiatr, panie Burkę. Ten, od którego w tej chwili aż drżą szyby. Co ty, do diabła, robisz na posterunku? Odbiór.

– Pełnię służbę.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Zauważył, że z jego ust unosi się obłoczek pary.

– Masz energię? Odczekała chwilę.

– Właściwie powinnam powiedzieć, że dla ciebie zawsze, ale przy takiej śnieżycy rzeczywiście zawsze brakuje prądu. Uruchomiłam generator. Radzimy sobie, panie komendancie. Nie musisz się o nas martwić. Odbiór.

– Odezwił się co jakiś czas, wtedy nie będę musiał cię zadzierać. Hej, wiesz, jakiego wyczynu wczoraj dokonałem? Odbiór.

– Oprócz przespania się ze mną? Odbiór.

– Ha!

Boże, jakie to cudowne uczucie! Nawet mu nie przeszkadzało, że jest zimno jak diabli.

– Taak, oprócz. Piłem whisky z końskiego łajna i jadłem gulasz z łosia. Odbiór.

Śmiała się długo i głośno.

– Może jeszcze będą z ciebie ludzie, Burkę. Muszę nakarmić psy i dołożyć do kominka. Bez odbioru.

– Bez odbioru – mruknął.

Zrobiło się wystarczająco ciepło, żeby zdjąć kurtkę, chociaż został w czapce

i ciepłej kamizelce. Przeglądał kartoteki, szukając sobie zajęcia, kiedy w drzwiach pojawiła się Peach.

– Zastanawiałam się, czy ktokolwiek jest tak szalony, żeby dzisiaj przyjść – powiedziała.

– Jak widać, jestem szalony. Jak tu, do diabła, doszłaś?

– Och, Bing podrzucił mnie swoją piekielną maszyną. Otrzeпаła dłonią błękitne kosmyki wełnianego swetra.

– Pług do odśnieżania w roli taksówki. Hej, daj mi to. – Podbiegł i wyjął jej z rąk ogromną torbę. – Nie musiałaś przychodzić.

– Praca to praca.

– Taak, ale... Kawa? Czy tu jest kawa? – dopytywał się, wyjmując z torby termos.

– Nie byłam pewna, czy zdążyłeś włączyć generator.

– Nie tylko nie zdążyłem, ale nawet nie wiem, czy zdołałbym go znaleźć, a ponieważ obsługa urządzeń mechanicznych nie jest moją mocną stroną, nawet gdybym go znalazł, nie wiem, czy umiałbym go włączyć. Hurra! To naprawdę kawa! Bądź tak dobra i zostań matką moich dzieci.

Chichocząc jak nastolatka, poklepała go po ramieniu.

– Uważaj z rzucaniem takich propozycji. Co prawda trzykrotnie byłam mężatką, ale nie mam nic przeciwko czwartemu podejściu. Pójdę przygotować kawę i bułeczki cynamonowe.

– Może moglibyśmy żyć na kocią łapę?

Postawił torbę na blacie i natychmiast nalał sobie kawy. Przez chwilę rozkoszował się cudownym zapachem.

– Długo i szczęśliwie.

– Uśmiechaj się do mnie częściej w taki sposób, a być może wezmę cię za słowo... Patrzcie tylko, kogo przywiął nam toku – dodała, gdy do środka chwiejnym krokiem wpadł Peter.

– Jasna cholera! Ale śnieżycą! Rozmawiałem z Ottonem, jest w drodze.

– Czy ciebie też przywiózł tu Bing?

– Nie. Jakoś udało nam się tu przeryć razem z ojcem.: „Przeryć się”. Następne warte zapamiętania słowo. Co za świat! – pomyślał Nate. Niemniej Peach miała rację, praca to praca.

– W takim razie w porządku, Peterze. Spróbujmy uruchomić generator. Peach, skontaktuj się ze strażą pożarną. Niech zbiorą ludzi i odśnieżą chodniki,

oczywiście, gdy zrobi się jasno. Dzięki temu w razie potrzeby ludzie będą mogli się poruszać. Najważniejsze jest najbliższe otoczenie przychodni i posterunku. Gdy Otto tu dotrze, powiedz mu, że bracia Mackie padli pod stół bilardowy w Lodge. Niech dopilnuje, by dotarli do domu w jednym kawałku.

Założył kurtkę, w myślach przeglądając listę spraw do załatwienia.

– Może uda nam się dowiedzieć, kiedy znów będzie prąd. Ludzi z pewnością bardzo to interesuje. I kiedy uruchomią telefony. Gdy wrócę, napiszemy komunikat i poprosimy radiostację, żeby go nadała. Poinformujemy o tym, co wiemy i kiedy ewentualnie będziemy wiedzieć coś więcej. Chcę, żeby mieszkańcy miasteczka mieli świadomość, iż jesteśmy do ich dyspozycji, gdyby potrzebowali pomocy.

Nate odkrył, że temu, co mówi, towarzyszy przyjemne uczucie.

– Peterze?

– Już idę.

Zapiski z wyprawy, 18 lutego 1988 r.

Dzisiaj niewiele brakowało, a Hań wpadłby w szczelinę. Wszystko stało się tak szybko. Wspinaliśmy się jak zwykle, na haju. Do szczytu zostało nam zaledwie kilka godzin drogi. Byliśmy zmarznięci, głodni i źli, ale za to nieźle nabuzowani.

Tylko prawdziwy alpinista zrozumie smaczek takiego połączenia. Darth na czele. To obecnie jedyny sposób, żeby go powstrzymać przed następnymi awanturami. Za nim Hań. Ja zamykałem szyki.

Nie pamiętam, co było wczoraj. Dni zaczynają się rozmazywać, jedne zimne, białe drzwi otwierają się na następne zimne, białe drzwi.

Całkowicie zatraciłem się w rytmie, który bez przerwy dudni w mojej głowie, w odgłosach wspinaczki, w białej ścianie. Klnąc na czym świat stoi, drapaliśmy się w górę, na skalisty szczyt, posuwaliśmy się w niezłym tempie, uparcie zmierzając do nieba.

Nagle usłyszałem, że Darth krzyknął: „Kamień!”. Wtedy z długiego komina wypadł ogromny głaz i z gwizdem przeleciał tuż obok głowy Hana. W ułamku sekundy pomyślałem: „Nie, nie chcę zginąć w taki sposób, zmiażdżony przez pięć niewidzialnego Boga, jak palant, który odpadł od ściany”. Głaz przeleciał obok mnie równie blisko jak koło Hana, to znaczy zaledwie o kilka centymetrów. Minął nas, pociągając za sobą deszcz drobnych kamyczków.

Skleiliśmy Dartha, chociaż teraz już przeklinamy się nawzajem dosłownie

o wszystko. Większość naszych obelg rzucamy w dobrym, przyjacielskim nastroju. To wzmacnia produkcję adrenaliny na ogromnych wysokościach, tam gdzie powietrze jest już tak rzadkie, że oddychanie sprawia ból.

Wiedziałem, że Hań nieco osłabł, mimo to pchaliśmy się dalej. Wspinaliśmy się popędzani własną obsesją i obelgami Dartha.

Jego oczy wyglądają na szalone. Szalone i obłąkane. Kiedy myślę o tej górze jak o suce, kiedy wbijam czekan w jej brzuch i wczepiam się w nią zmarzniętymi palcami, jest to suka, którą kocham. Przypuszczam, że dla Dartha góra jest demonem, którego postanowił za wszelką cenę pokonać.

Ostatniej nocy, układając się do snu, musieliśmy przywiązać się do haków. Czarna czeluść była pod nami, czarne niebo nad nami.

Obserwowałem światła, rozmazane klejnoty na czarnym lustrze.

Dziś Darth znów objął prowadzenie. To chyba stało się jego następną obsesją i wszelkie kłótnie są jedynie stratą czasu. Tak czy inaczej poważnie niepokoiłem się o Hana, dlatego bez szemrania wędrowałem na szarym końcu, gdyż dzięki temu najsłabszy z nas znajdował się w środku.

Uparte prowadzenie Bartna i fakt, że to właśnie ja zamykałem szyki, uratowały życie jednemu z naszej trójki.

Znów w dobrym tempie posuwaliśmy się do przodu, wykorzystując krótki dzień, a nasze głośnie przekleństwa zagłuszały wycie wiatru.

Nagle zauważyłem, że Hań się potknął i zaczął zjeżdżać w dół. Tak jakby grunt osunął mu się pod nogami.

Chwila nieuwagi, odrobina nawianego śniegu i oto zbliżał się w moją stronę. Słowo daję, nie wiem, czy go złapałem, czy może rozwinął skrzydła i przefrunął kawałek w powietrzu, tak czy inaczej nasze ręce szczepiły się, a ja wbiłem czekan w lód, modląc się, żeby wytrzymał, modląc się, żeby ta cholerna suka nie zrzuciła nas obu w przepaść. Przez całą wieczność leżałem na brzuchu i trzymałem za ręce Hana, który wisiał nad przepaścią. Obaj krzyczeliśmy jak opętani. Próbowałem wbić stopy w lód, mimo to się osuwaliśmy. Jeszcze kilka sekund, a musiałbym go puścić albo obaj polecilibyśmy w otchłań.

Wtedy tuż obok mnie – dwa centymetry od mojego ramienia – wbił się czekan Dartha. Szybki łomot mojego serca zamienił się w dudnienie. Darth wykorzystał czekan jako punkt oparcia i chwycił Hana za ramię. Ciężar, który podtrzymywały moje napięte do granic możliwości mięśnie, nieco zelżał, dzięki czemu zdołałem wbić stopy w śnieg i przesunąć się na brzuchu kilka

centymetrów do tyłu. Obaj powoli odsuwaliśmy się od przepaści, ciągnąc Hana, nie zważając na to, że krew kipi nam w uszach, a serca chcą wyskoczyć z piersi.

Potem leżeliśmy na śniegu, trzęsąc się pod zimnym, żółtym słońcem. Dygotaliśmy tak chyba godzinami, o trzydzieści centymetrów od śmierci i nieszczęścia.

Nie potrafiliśmy się z tego śmiać. Nawet już po fakcie żaden z nas nie miał dość siły, żeby obrócić krótki koszmar w żart. Byliśmy zbyt roztrzęsieni, by wspinać się dalej, a z kostką Hana naprawdę jest kiepsko. Nie dojdzie do szczytu – wszyscy dobrze o tym wiemy.

Nie mając wyboru, musieliśmy wyrąbać w lodzie kawałek równej powierzchni i rozłożyć obozowisko. Obaj z Darthem wrzuciliśmy na ząb następną część naszych topniejących zapasów, Hań połknął garść tabletek przeciwbólowych. Jest słaby, mimo to wywraca oczami ze strachu, ilekroć wiatr morderczymi pięściami uderza w cienkie ścianki namiotu.

Powinniśmy wracać.

Naprawdę powinniśmy wracać, ale kiedy wysunąłem taką propozycję, Darth zaczął przeklinać Hana piskliwym, niemal kobiecym głosem. Sprawiał wrażenie szaleńca, wręcz obłąkańca, gdy miotał się w ciemności jak olbrzym z kryształkami lodu przymarzniętymi do brody i dziwnym blaskiem w oczach..

– Przez wypadek Hana straciliśmy dzień – powiedział ale niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę, żeby to przeszkodziło mi w zdobyciu szczytu.

Nie mogę zaprzeczyć, że do pewnego stopnia miał nawet rację. Jesteśmy tak blisko celu. Może po nocnym odpoczynku Hań się nieco wzmocni?

Postanowiliśmy, że wyruszymy jutro, a jeśli Hań nadal będzie taki słaby, zostawimy go, sami zdobędziemy górę, i zabierzemy go w drodze powrotnej.

Oczywiście, to czyste szaleństwo, zwłaszcza że Hań nawet pomimo narkotyków sprawia wrażenie wyczerpanego i przerażonego. Niestety, dałem się w to wszystko wciągnąć. Znalazłem się w punkcie, z którego nie ma odwrotu.

Wiatr wyje jak sto diabłów. Już samo to może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Przez trzydzieści godzin sypał gęsty śnieg i hulał porywisty wiatr. Natura zamieniła się w zimną, białą bestię, która z odsłoniętymi kłami i wysuniętymi pazurami siała spustoszenie dzień i noc, gotowa zagryźć i rozdrapać każdego, kto byłby tak odważny lub głupi, żeby wyjść na zewnątrz i próbować stawić jej czoło.

Generatory pomrukiwały i warkotały, a łączność ze światem zapewniały jedynie odbiorniki radiowe. Jakakolwiek podróż była niemożliwa, jako że bestia wędrowała przez cały kontynent i południowo-wschodnią Alaskę. Samochody i ciężarówki tkwiły w zaspach, samoloty nie mogły wzbić się w powietrze. Nawet psy zaprzęgowe czekały, aż śnieżycy minie.

Niewielkie Lunacy zostało całkowicie odcięte od świata, stanowiło zamarzną wyspę na oszalałym białym morzu.

Nate, zbyt zajęty, by się nad czymkolwiek zastanawiać, i zbyt zdziwiony, by kłać, starał się nieść ludziom pomoc w nagłych wypadkach: zawiózł do szpitala dziecko, które przewróciło się w domu i wymagało założenia kilku szwów, mężczyznę, który dostał ataku serca, próbując odkopać swoją ciężarówkę. Zażegnał również pożar komina i rodzinną awanturę.

W otwartej celi Pijany Mike – nazywany tak w przeciwieństwie do kucharza, Wielkiego Mike’a – odsypiał tęgą popijawę, a w zamkniętej celi Manny Ozenburger zastanawiał się, czy warto było wjeżdżać samochodem w śnieżny skuter sąsiada.

Nate sprawdził, czy odpowiednie służby usuwają śnieg z głównych ulic, po czym wyruszył wykopany w śniegu wózkiem w stronę „Sklepu na Rogu”.

Harry i Dęb siedzieli przy stoliku karcianym, który ustawili pod regałem z jedzeniem w puszkach. Grali w remika, tymczasem Cecil wylegiwał się w swoim koszyku.

– Piekielna zawierucha! – zawołał Harry.

– To już nie piekielna zawierucha, ale prawdziwe piekło. Nate zsunął z głowy kaptur i podrapał Cecila za uszami.

Nie mógł złapać tchu. Gdzieś w głębi duszy dziwił się, że wciąż żyje.

– Muszę uzupełnić zapasy, jeśli chcę przetrwać na posterunku, dopóki to nie minie.

Oczy Dęb błysnęły.

– Och? Czy coś złego stało się w Lodge?

– Nie.

Nate zdjął rękawiczki i sięgnął na półki po podstawowe artykuły dla ciała i ducha.

– Ktoś musi obsługiwać radiostację... poza tym mamy dwóch gości.

– Słyszałem, że jedną z cel zajmuje Pijany Mike. Wygrałem.

– Wygrałeś? Niech cię diabli, Harry!

– Rzeczywiście go zapuszkowałem – przyznał Nate, rzucając na ladę chleb, konserwę mięsną i chipsy. – Chodzi po celi chwiejnym krokiem i wyśpiewuje piosenki Boba Segera. Ekipa odśnieżająca znalazła go w zaspie śnieżnej na samym środku ulicy i przyprowadziła do mnie.

Nate dorzucił do zakupów sześciopak coli.

– Gdyby go nie zauważyli i nie odholowali na posterunek, być może znaleźlibyśmy go w kwietniu martwego jak Elvis.

– Podliczę to wszystko, panie komendancie. – Harry wyjął swoją księgę i wpisał do niej wartość zakupów. – Prawdę mówiąc, nie jestem do końca przekonany co do tego, że Elvis zmarł. Czy to wszystko?

– Chętnie wziąłbym więcej, ale nie mogę. Doniesienie tego z powrotem na posterunek będzie stanowiło poważne wyzwanie.

– Może usiądzie pan na chwilę i napije się kawy? – Dęb już wstawała. – Zrobię panu kanapkę.

Nate przez chwilę patrzył na nią szczerze zdziwiony. Ludzie rzadko traktują gliniarzy w taki sposób.

– Dzięki, ale muszę wracać. Gdybyście czegoś potrzebowali... niech to diabli, odpalcie racę.

Włożył rękawiczki, wciągnął kaptur, a potem dźwignął torbę z zakupami.

Za drzwiami było tak samo wstrętne jak przed pięcioma minutami. Czuł na ciele kły i pazury bestii, kiedy korzystając z liny i kierując się instynktem, torował sobie drogę w stronę posterunku.

Zostawił zapalone wszystkie światła, licząc, że dzięki temu będzie miał przynajmniej jakiś znak nawigacyjny.

Słyszał przytłumiony pomruk pługu Binga. Miał nadzieję – słodki Boże! – że Bing nie kieruje się w jego stronę i nie przejedzie go przez przypadek... albo rozmyślnie. Bestia, jak nazywał burzę, dokładała wszelkich starań, żeby zadrwić z wysiłków ekipy odśnieżającej, mimo to całkiem nieźle się spisywali.

Dzięki temu, zamiast płynąć przez śnieg, Nate teraz w nim tylko brodził.

Usłyszał trzy krótkie wystrzały. Zatrzymał się i wyprostował, pragnąc określić kierunek, potem potrząsnął głową i powędrował przed siebie. Miał ogromną nadzieję, że nikt nie leży w śniegu z ranami postrzałowymi, ponieważ, do jasnej cholery, nie mógłby mu w żaden sposób pomóc.

Był mniej więcej trzy metry od posterunku, koncentrował się na rozmażanej plamie światła i pocieszał myślą o ciepłe, gdy nagle tuż obok niego wyłoniła się

maszyna Binga.

Serce zamarło Nate'owi w piersi. Naprawdę słyszał, że przestało pracować, i czuł, jak krew odpływa mu z mózgu. Gigantyczny pług posuwał się w jego stronę.

Zatrzymał się mniej więcej o trzydzieści centymetrów od czubków butów Nate'a.

Bing wychylił się z kabiny. Dzięki zaśniewanej drodze przypominał świętego Mikołaja.

– Spacerek?

– Taak. To teraz taka przyjemność, że nie mogę się nią nacieszyć. Słyszałeś strzały?

– Taak. I co?

– Nic. Może zrobiłbyś sobie przerwę. Na posterunku jest ciepło. Mamy nawet kanapki.

– Dlaczego zamknął pan Manny'ego? Tim Bower, jeśli tylko ma szansę, prowadzi swój pieprzony skuter śnieżny jak zwariowany nastolatek. Zakłóca porządek publiczny.

Nate był przemarznięty do szpiku kości, dlatego pominął milczeniem sprawę niszczenia prywatnej własności i bezmyślnej jazdy.

– Problem polega na tym, że Manny wjechał w ten cholerny skuter w czasie, kiedy siedział na nim Tim Bower.

– Nie mógł dać dyla?

Na przekór wszystkiemu na twarzy Nate'a pojawił się uśmiech.

– Wpadł głową w zaspę. Chudy Jim wszystko widział. Mówi, że wyglądało to jak skok z trampoliny.

Bing jedynie burknął coś pod nosem, cofnął głowę do kabiny i odjechał.

Na posterunku Nate zrobił kanapki, zaniósł jedną z nich rozgoryczonemu Manny'emu, po czym sprawdził, jak się miewa Pijany Mike.

Sam postanowił się posilić przy krótkofalówce. Lubił słuchać głosu Meg i czuć tę dziwną, podniecającą więź. Sporo czasu minęło od chwili, kiedy mógł opowiedzieć komuś o swoim dniu, prawdę mówiąc, od chwili, kiedy w ogóle chciał z kimś pogadać. Rozmowa dodała nieco smaku posiłkowi i sprawiła, że nie czuł się taki samotny.

– Tim rozwał swój skuter śnieżny więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć – zdradziła, gdy Nate powiedział jej o poważnych zniszczeniach. – Manny jedynie

wyświadczył wszystkim ogromną przysługę. Odbiór.

– Prawdopodobnie tak. Może uda mi się namówić Tima, żeby wycofał oskarżenie, ale oczywiście pod warunkiem, że Manny zapłaci za szkody. Planujesz przyjazd do miasta, gdy burza ucichnie? Odbiór.

– Nie jestem mocna w układaniu planów. Odbiór.

– Zbliża się wieczór filmowy. Miałem nadzieję, że uda mi się skosztować twojej prażonej kukurydzy. Odbiór.

– Nie wykluczam takiej możliwości. Gdy burza minie i będę mogła latać, czeka mnie trochę pracy, ale lubię filmy. Odbiór.

Upił łyk coki i wyobraził sobie Meg przy krótkofalówce z psami u stóp i płonącym kominkiem za plecami.

– Może uznalibyśmy tę wyprawę za randkę? Odbiór.

– Nie chodzę na randki. Odbiór.

– Nigdy? Odbiór.

– Zazwyczaj zakładam, że po prostu będzie, co ma być. Ponieważ oboje lubimy seks, jest szansa, że będzie, co ma być.

Ponieważ nie powiedziała: „Odbiór”, założył, że Meg jeszcze się nad czymś zastanawia. On właśnie to robił.

– Coś panu powiem, panie Burke. Gdy następnym razem będzie, co ma być, opowiesz mi swoją długą, smutną historię. Odbiór.

Wyobraził sobie czerwony tatuaż na jej krzyżu.

– Dlaczego uważasz, że mam coś do opowiadania? Odbiór.

– Spryciarzu, jesteś najsmutniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam. Opowiesz mi wszystko o sobie, a wtedy zobaczymy, co będzie. Odbiór.

– Jeśli... Cholera jasna!

– Co to za hałas? Odbiór.

– Wygląda na to, że Pijany Mike właśnie się obudził i „haftuje” w swojej celi. Manny zgłasza uzasadnione obiekcje – dodał, słysząc odgłosy wymiotów i oburzenia. – Muszę iść. Odbiór.

– Widzę, że życie gliniarza jest naprawdę pełne niebezpieczeństw. Bez odbioru.

Nate pozwolił swoim więźniom na powrót do domu. Dopilnował, żeby Bing zawiózł ich pod drzwi, a potem, stawiając czoło żywiołom, wyszedł na zewnątrz, by dolać paliwa do generatora.

Wróciwszy, po krótkim zastanowieniu wyjął jedno ze składanych łóżek

i ustawił je w pobliżu krótkofalówki. Potem przeszukał szufladę Peach i wyjął jeden z jej romansów, przy okazji starając się jak najdokładniej zapamiętać jego położenie, żeby po przeczytaniu odłożyć romans dokładnie tam, gdzie był.

Usadowił się z książką i colą w towarzystwie odgłosów burzy.

Lektura była lepsza, niż się spodziewał, i zawiodła go na bujne, zielone pola średniowiecznej Irlandii. Było tam dużo magii i niecodziennych wydarzeń. Nate z pewnym zainteresowaniem zapoznawał się z losami czarownicy Moiry i księcia Liama.

Pierwsza scena miłosna zaskoczyła go, zwłaszcza gdy wyobraził sobie, jak zaawansowana wiekiem Peach w przerwach między odbieraniem telefonów i rozdawaniem słodkich bułeczek czyta o seksie. Niemniej książka go wciągnęła.

Zasnął przy zapalonym świetle z otwartą książką ułożoną na klatce piersiowej.

Czarownica miała twarz Meg. Jej czarne jak atrament włosy fruwały w powietrzu jak skrzydła. Stała na białym wzniesieniu w jasnych promieniach słońca, które przenikały przez jej cienką, czerwoną sukienkę.

Uniosła rękę, a wtedy sukienka sama zsunęła jej się z ramion. Naga podeszła do Nate'a. Jej oczy przypominały błękitny lód. Otworzyła ramiona i go objęła.

Poczuł jej gorące, nienasycone wargi na swoich ustach. Nagle znalazł się pod nią, otaczała go ze wszystkich stron. Kiedy się unosiła, mocny podmuch wiatru rozwiewał jej włosy. Przy każdym opuszczeniu czuł, jak parzy go żar jej ciała.

– Dlaczego jesteś taki smutny? – spytała.

Nagle przez rozkosz przebił się ból – niespodziewany, przeszywający ból. Nate syknął, zamarł w bezruchu. Poczuł palenie kuł w ciele.

Mimo to czarownica tylko się uśmiechnęła.

– Żyjesz, prawda? – Uniosła rękę zaplamioną jego krwią. – Skoro krwawisz, to znaczy, że żyjesz.

– Zostałem postrzelony. Jezu, ten sukinsyn mnie trafił!

– Ale żyjesz – przypomniała, patrząc, jak jego krew kapie z jej ręki na twarz Nate'a.

Teraz znajdował się w ciemnym zaułku, czuł zapach krwi i prochu. Czuł zapach śmieci i śmierci. Wilgotnego powietrza tuż po deszczu. Było zimno, bardzo zimno jak na kwiecień. Zimno, mokro i ciemno. Wszystko rozmazało się w niewyraźną plamę: strzały, krzyki i ból, kiedy kula trafiła go w nogę.

Upadł. Tylko dlatego Jack go wyprzedził.

Nie powinno ich tam być. Po jakiego diabła wpakowali się w ten ciemny zaułek?

Następne strzały, błyski światła w ciemności. Łomot. Czy to stal uderzająca o ciało? Pod wpływem zaskakującego, przeszywającego bólu Nate ponownie upadł. Dlatego musiał się czołgać, pełzać w wilgotnym błocie, żeby dotrzeć do miejsca, w którym leżał i umierał jego partner, jego przyjaciel.

Tym razem jednak Jack odwrócił głowę, a jego oczy były czerwone od krwi, która płynęła z jego piersi.

– Zabiłeś mnie. Ty głupi sukinsynu. To ty powinieneś zginąć, nie ja. Teraz zobaczymy, czy potrafisz żyć z tą świadomością.

Obudził się, zlany zimnym potem. Głos partnera wciąż dudnił mu w uszach. Nate usiadł na brzegu składanego łóżka i schował twarz w dłoniach.

Na razie kiepsko mi idzie życie z tą świadomością – pomyślał.

Zmusił się do tego, żeby wstać i odnieść łóżko do celi. Przypomniawszy sobie o tabletkach, które trzymał w szufladzie, ale ominął swoje biuro i powędrował, by dolać resztę paliwa do generatora.

Dopiero gdy wracał, zdał sobie sprawę, że przestało padać.

Na zewnątrz było spokojnie i cicho. Blask księżyca odbijał się od hałd i stert śniegu, nadając bieli delikatny, niebieskawy odcień. Nate stał nieruchomo, a jego oddech tworzył białe kłęby. Czuł się jak mucha, tyle że uwięziona w kawałku kryształu, a nie bursztynu.

Burza śnieżna minęła, a on wciąż żył.

Zobaczymy, czy potrafisz żyć z tą świadomością. No cóż zobaczy. Wciąż sprawdza, czy potrafi.

Po powrocie na posterunek zaparzył kawę i włączył radio; Zaspany mężczyzna – który przedstawił się jako Mitch Dauber, głos Lunacy – podawał lokalne wiadomości, komunikaty i prognozę pogody.

Ludzie zaczęli wychodzić z domów, niedźwiedzie wypelzały z gawr. Mieszkańcy miasteczka usuwali śnieg szufladami i pługami. Zatrzymywali się, by ze sobą porozmawiać, jedli, spacerowali i spali.

Żyli.

„The Lunatic”

Kronika policyjna Środa, 15 stycznia

9.12. Zgłoszono pożar komina w posiadłości Berta Mayersa. Zajęli się tym: członek ochotniczej straży pożarnej Manny Ozenburger i komendant policji,

Ignatious Burkę. Ogień powstał z powodu zbyt dużej ilości krezotolu. Mayers lekko poparzył sobie rękę, gdy usiłował wyjąć z kominka płonące polana. Ozenburger określił tę akcję jako „głupią i niepotrzebną”.

12.15. Pięcioletni Jay Finkle został ranny, gdy spadł w swojej sypialni z trójkołowego rowerka. Komendant Burkę pomógł Paulowi Finklemu, ojcu Jaya, odtransportować rannego chłopca do przychodni. Jay wzbogacił się o cztery szwy i lizaka. Dziecięcy pojazd nie uległ zniszczeniu, a Jay obiecuje, że w przyszłości będzie jeździł nieco ostrożniej.

14.00. Skarga wniesiona przez Timothy’ego Bowera przeciwko Manny’emu Ozenburgerowi. Świadkowie potwierdzają, że Ozenburger wjechał swoim samochodem w skuter śnieżny Bowera w czasie, kiedy Bower kierował rzeczonym pojazdem. Nieformalne badanie opinii publicznej wykazuje, że w przekonaniu 52 procent mieszkańców miasta Bower musiał widzieć nadjeżdżający samochód, mimo to Ozenburger trafił do celi. Bower wniósł przeciw niemu oskarżenie. Członkowie ochotniczej straży pożarnej organizują bufet w celu zgromadzenia funduszy na wpłacenie kaucji za Manny’ego.

14.55. Kate D. Ingleberry zawiadomiła policję, że została napadnięta przez swojego partnera, Davida Buncha, w ich rezydencji przy Rancor Road. Jednocześnie Bunch twierdzi, że był napastowany przez Ingleberry. Na miejsce zgłoszenia pojechał komendant Burkę wraz ze swoim zastępcą Ottonem Gruberem. Obie strony przedstawiły dowody w postaci siniaków na twarzy i ciele, a w przypadku Buncha – ślad po ugryzieniu na lewym pośladku. Nie wniesiono żadnych oskarżeń.

15.40. James i William Mackie dostali mandat za nieostrożną jazdę i przekroczenie prędkości na skuterach śnieżnych. William Mackie twierdzi, że „skutery śnieżne to, do cholery, nie pojazdy” i jako sprzęt rekreacyjny nie powinny podlegać żadnym ograniczeniom. Will ma zamiar poruszyć tę sprawę podczas najbliższego zebrania na ratuszu.

17.29. Grupa usuwająca śnieg zauważyła mężczyznę, który z pewną dezorientacją spacerował środkiem ulicy w pobliżu południowej części Rancor Woods. Słyszano, jak śpiewał A Nation Once Again. Został zidentyfikowany jako Michael Sullivan. Ekipa odtransportowała go na posterunek policji i przekazała komendantowi, Ignatiousowi Burke’owi.

Nate przejrzał dalszy ciąg kroniki policyjnej. Były tam doniesienia o pijatykach, zakłócaniu porządku publicznego, zaginięciu i odnalezieniu psa,

wzewaniu od mężczyzny, który zamknięty z powodu śnieżycy w domu nieco zbzikował i twierdził, że wilki grają w pokera na jego werandzie.

Przy każdej sprawie podawano nazwiska, i to niezależnie od tego, jak bardzo mogło to zawstydzić samych zainteresowanych. Nate zastanawiał się, co by to było, gdyby na przykład w „Baltimore Sun” równie skrupulatnie i bezwzględnie podawano wszystkie zgłoszenia, nazwiska i akcje podjęte przez miejscowych policjantów.

Musiał przyznać, że było to wyjątkowo zabawne.

Max i Carrie musieli zakończyć składanie tekstu i wydrukować gazetę, zanim burza śnieżna dobiegła końca. Zdjęcia zamieci i jej skutków były naprawdę bardzo dobre, a oto wieść Maxa o komendancie policji – niemal poetycka.

Nate’owi, wbrew wcześniejszym oczekiwaniom, spodobał się artykuł na jego temat. Prawdę mówiąc, miał zamiar zatrzymać ten egzemplarz wraz z dwoma pierwszymi numerami! „The Lunatic”.

Gdy tylko będzie mógł wybrać się do Meg, zawiezie jej najświeższe wydanie gazety.

Tydzień po śnieżycy drogi były już wystarczająco przetarte. Uznał, iż jeśli wstąpi do niej, żeby podrzucić „The Lunatic”, nie będzie mogła powiedzieć, że to randka.

Jeśli zadzwoni, żeby sprawdzić, czy Meg jest, czy gdzieś nie poleciała, wcale nie będzie to oznaczało, że układa jakieś plany.

Tak nakazywał zwykły rozsądek.

Spodiewając się, że lada chwila pojawią się pozostali pracownicy komendy, Nate schował gazetę do szuflady biurka i wstał, żeby dołożyć drewna do kominka.

Nagle w drzwiach pojawiła się Hopp.

– Mamy problem – powiedziała bez żadnych wstępów.

– Większy niż półtora metra śniegu? i Zdjęła kaptur. Jej twarz była blada jak ściana.

– Zaginęło trzech chłopców.

– Podaj mi szczegóły. To znaczy: kto, kiedy i gdzie był po raz ostatni widziany – uściślił.

– Steve Wise, syn Joego i Lary, jego kuzyn Scott z Talkeetny i ich kolega ze studiów. Joe i Lara byli przekonani, że Steven i Scott spędzają przerwę zimową w Prince William. Rodzice Scotta myśleli tak samo. Wczoraj wieczorem Lara

i matka Scotta połączyły się za pomocą krótkofalówki, żeby przekazać sobie najnowsze wiadomości. Wtedy dostrzegły pewne sprzeczności w ostatnich informacjach od obu chłopców. Były nieco zaniepokojone, w związku z tym Lara zadzwoniła do Stevena na uczelnię. Nie wrócił. Ani on, ani Scott.

– Gdzie studiuja, Hopp?

– W Anchorage. Przetarła ręką twarz.

– W takim razie powinny zawiadomić o ich zaginięciu komendę policji w Anchorage.

– Nie, nie. Lara skontaktowała się z dziewczyną Stevena. Ci kretyni wybrali się na zimową wspinaczkę po południowej ścianie No Name.

– Co to jest No Name?

– Francowata góra, Ignatiouse. – W jej oczach pojawił się strach. – Cholernie duża. Nie ma ich od sześciu dni. Lara odchodzi od zmysłów.

Nate wszedł do swojego biura i wyjął mapę.

– Pokaż mi tę górę.

– Jest tutaj – wskazała palcem. – To ulubione miejsce mieszkańców Alaski. Wspina się na nią również wielu alpinistów z głębi kraju, czy to dla rozrywki, czy też w formie przygotowań przed wyprawą na Denali. Niestety, zdobywanie No Name w styczniu to czysty idiotyzm, zwłaszcza w przypadku trzech niedoświadczonych chłopców. Musimy wezwać ratowników wysokogórskich i gdy tylko wszędzie słońce – wysłać w góry samoloty.

– W takim razie zostały nam jeszcze trzy godziny. Skontaktuję się za pomocą krótkofalówki z ratownikami, ściągnę Ottona, Petera i Peach. Chcę również wiedzieć, kto tu lata oprócz Meg.

Przejrzał numery telefonów, starannie wypisane przez Peach.

– Jakie są szanse, że oni jeszcze żyją? Hopp ciężko opadła na krzesło.

– To musiałby być cud.

Pięć minut po otrzymaniu informacji Meg była już ubrana i pakowała sprzęt. Korciło ją, żeby nie odpowiadać na wezwanie krótkofalówki z komendy policji w Lunacy, doszła jednak do wniosku, że może usłyszy najświeższe wiadomości na temat zaginionych alpinistów.

– Tu KUNA. Odbiór.

– Lecę z tobą. Czekam przy rzece. Odbiór.

Wsadzając do torby dodatkowe środki opatrunkowe i lekarstwa, poczuła złość.

– Nie potrzebuję drugiego pilota, panie Burkę. Poza tym nie będę miała czasu

na pokazywanie ci widoków. Skontaktuję się z tobą, gdy ich znajdę. Odbiór.

– Lecę z tobą. Ci chłopcy zasługują na dodatkową parę oczu, a ja mam naprawdę dobry wzrok. Czekam. Bez odbioru.

– Cholera jasna! Jak ja nienawidzę bohaterów! Dźwignęła torbę i wyszła na zewnątrz w towarzystwie psów. Zabrała resztę sprzętu i korzystając z latarki, powędrowała na raketach śnieżnych w stronę jeziora.

Zdażyła zrobić dwie rundy, nim zaczęło się rozjaśniać i mogła pomyśleć o starcie. Dziękowała Bogu, że nie musiała przez godzinę odkopywać samolotu spod śniegu. Za nic w świecie nie chciała myśleć o chłopcach, o tym, czy żyją, czy są martwi gdzieś na stoku góry. Po prostu robiła po kolei wszystko, co trzeba było zrobić.

Zdjęła osłony ze skrzydeł i starannie je złożyła. Była to ciężka praca, ale i tak lżejsza niż zeszkrobывanie grubej warstwy szronu. Opróżniwszy pojemniki na wodę pod zbiornikami na skrzydłach, wdrapała się, by sprawdzić poziom benzyny. Napełniła baki do pełna.

Obeszła samolot, sprawdziła klapy, usterzenie poziome, każdą ruchomą część samolotu, by upewnić się, że wszystko dobrze działa.

Czasami ludzie giną – pomyślała – z powodu poluzowanych sworzni.

Myślała tylko o bezpieczeństwie lotu, dlatego kilkakrotnie poruszyła śmigłem, żeby usunąć nadmiar oleju.

Włożyła sprzęt do samolotu i dokładnie wszystko przymocowała. Zapуściła silnik. Śmigło obróciło się nierówno, potem silnik kaszlnął, jakby mu się czymś odbiło. Rozgrzewając go, Meg sprawdziła przyrządy pomiarowe.

Tutaj to ona decydowała o wszystkim, jeśli ktokolwiek, gdziekolwiek, o czymkolwiek może decydować.

Kiedy poluzowała hamulce, na niebie pojawiły się pierwsze jasne smugi.

Odpowiednio wszystko poustawiała, postukała w kontrolki, sprawdziła, czy lotki się poruszają i czy działają dźwignie. Zadowolona, wyprostowała się.

Pocałowała palce, dotknęła nimi przyczepionego magnesami do tablicy rozdzielczej zdjęcia Buddy'ego Holly'ego i powoli ruszyła do przodu.

Jeszcze nie zadecydowała, czy po drodze wstąpi do Lunacy, czy nie. Gdy zataczała kręgi po powierzchni jeziora, żeby набrać prędkości i móc wznieść się w przestworza, odłożyła decyzję na później.

Może to zrobi, może nie.

Wzbiła się, gdy na wschodzie zaczęło świtać. Po chwili wzruszyła ramionami

i wzięła kierunek na Lunacy.

Nate był tam, gdzie powiedział. Stał na brzegu rzeki, a za jego plecami wznosiły się wysokie hałdy śniegu. Miał przerzuconą przez ramię torbę. Meg liczyła na to, że ktoś powiedział temu cheechako, co trzeba zabrać ze sobą na tego typu akcję ratunkową. Zobaczywszy, że obok Nate'a stoi Hopp, Meg poczuła ucisk w żołądku, tym bardziej że dostrzegła z nimi Joego i Larę.

Ten obrazek w końcu zmusił ją do zastanowienia, jak może wyglądać finał akcji. Przypomniała sobie martwych alpinistów, których już niegdyś zwoziła z gór. I tych, których może zwieźć dzisiaj.

Wylądowała na rzece i zaczęła, aż Nate dojdzie do samolotu po łodzie.;

Podmuch od śmigła uderzył go w twarz, zmierzwił włosy. Nate wsiadł i przywiązał swój pakunek.

– Mam nadzieję, że wiesz, co cię czeka – powiedziała.

– Nie mam pojęcia.:

– Może to i lepiej.

Pocałowała palce i dotknęła zdjęcia Buddy'ego. Nie patrząc na przerażone twarze po swojej prawej stronie, wzbila się w powietrze.

Skontaktowała się z kontrolą lotów w Talkeetnie i podała im swoje zamiary. Byli w przestworzach, nad drzewami i samochodami, a na północny wschód od nich wschodziło blade słońce.

– Stanowi pan dodatkową parę oczu, ale i balast, panie Burkę. Gdyby nie to, że Jacob pojechał do Nome w odwiedziny do syna, nie zabrałabym cię ze sobą.

– Kapuję. Kim jest Jacob?

– Jacob Itu. Najlepszy pilot, jakiego znam. To on uczył mnie latać.

– Czy to człowiek, z którym jadłaś prażoną kukurydzę na zebraniu w ratuszu?

– Tak.

Zaczęło nimi rzucać. Meg zauważyła, że podczas gwałtownych podskoków Nate zaciska pięści.

– Wolałabym, żebyś nie dostał choroby morskiej.

– Nie dostanę. Po prostu nie cierpię latać.

– Dlaczego?

– Z powodu grawitacji.

Uśmiechnęła się, chociaż nadal nimi rzucało.

– Skoro tak bardzo przeszkadzają ci turbulencje, czeka cię naprawdę zły dzień. Jest jeszcze czas, żeby zawrócić.

– Powiedz to trójce dzieciaków, których szukamy. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała na ostre zarysy gór. Poniżej płynęły obłoki, a szczegóły rozmazywały się w jednolitą plamę.

– Dlatego zostałeś gliniarzem? Czy twoją misją jest ratowanie ludzi?

– Nie. – Przez chwilę milczał, ponieważ znów wpadli w turbulencje. – Dlaczego pilot taki jak ty trzyma w kabinie zdjęcie Buddy’ego Holly’ego?

– Ponieważ dzięki temu pamiętam, że wszystko może się zdarzyć.

Gdy słońce wyłoniło się zza horyzontu, wyjęła z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i włożyła je na nos. W dole widziała wijące się ślady psich zaprzęgów, obłoczki dymów z kominów, kępy drzew, wzniesienia. Korzystała nie tylko z przyrządów, lecz również z punktów orientacyjnych.

– W schowku jest lornetka – powiedziała. Zmieniła nieco pozycję samolotu i wyrównała lot.

– Zabrałem swoją.

Rozpiął kurtkę i wyjął na wierzch lornetkę, która wisiała mu na szyi.

– Powiedz mi, gdzie mam patrzeć.

– Jeśli próbowali zdobywać szczyt od strony południowej, z pewnością zostali wyrzuceni na Sun Glacier.

– Wyrzuceni? Przez kogo?

– To dopiero tajemnica, prawda? – Zacisnęła zęby. – Przez jakiegoś matoła zbyt zainteresowanego pieniędzmi, żeby oddać ich część fiskusowi. Wielu ludzi ma samoloty i wielu nimi lata. To nie znaczy, że są pilotami. Niezależnie od tego, kto to był, nie zgłosił ich wyprawy, gdy zaczęła się burza śnieżna, a już z całą pewnością nie zabrał ich z powrotem.

– To czyste szaleństwo.

– Można być szaleńcem, ale nie można być głupcem, a to, niestety, można uznać tylko za głupotę. Gdy wpadniemy między góry, będzie jeszcze bardziej kołysało.

– Nie używaj słów „wpadniemy” i „góry” w tym samym zdaniu.

Spojrząwszy w dół, ujrzał kępki drzew, morze śniegu, zamarznąłą powierzchnię jeziora i kilka chat. Wszystko pojawiało się i znikało w chmurach. Surowy, pusty krajobraz był zdumiewająco piękny. Niebo już nabierało ciemnej niebieskiej barwy, a na jego tle widać było wyrzeźbione góry.

Pomyślał o trzech chłopcach uwięzionych od sześciu dni w tej okrutnej pułapce.

Meg gwałtownie przechyliła samolot i skręciła w prawo. Nate z największą determinacją, na jaką było go stać, starał się nie zamknąć oczu. Nagle cały widok przesłoniły biało-błękitne monstrualne góry. Meg wleciała między strome grzbiety, a wówczas po obu stronach widać było tylko skały, lód i śmierć.

Poprzez wycie silników usłyszał coś, co przypominało grzmot. Potem zobaczył potężną falę śniegu, tryskającą z gór.

– Co to...?

– Lawina.

Głos Meg był niesłychanie spokojny, chociaż samolot zaczął się kołysać i podrygiwać.

– Lepiej będzie, jeśli się czegoś przytrzymasz.

Ze wszystkich stron ogarnął ich potężny podmuch, białe piekło, wybuch lodowego wulkanu. W powietrzu huczało, jakby mijali tysiąc rozpedzonych pociągów. Samolot podskakiwał jak ping-pong w prawo, w lewo, w górę, w dół.

Nate'owi wydawało się, że Meg zaklęła, gdy w samolot uderzyło coś, co przypominało pianę do gaszenia pożaru. Burza śnieżna z wnętrza gór zarzuciła przednią szybę skalnymi odłamkami, ale to nie strach go ogarnął, lecz podziw.

Metal brzęczał i skrzypiał, gdy samolot znalazł się pod ostrzałem kul z lodu i kamienia. Wiatr miotał nim, podrzucał i kołysał. Chwilami wydawało się, że lada moment uderzą o zbocze albo po prostu rozpadną się na kawałki jak szrapnel.

Potem przelecieli między lodowymi ścianami, nad wąską, zamarzną doliną i dotarli do błękitu.

– Pocałuj mnie w dupę! – Meg zawiwatowała, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. – Ale przejażdżka!

– Niesamowita – zgodził się Nate.

Poprawił się na siedzeniu, tak by się odwrócić i jeszcze przez chwilę obserwować przedstawienie.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego.

– Góry są wyjątkowo kapryśne. Nigdy nie wiadomo, co nas może spotkać. – Zerknęła w jego stronę. – Jest pan bardzo opanowany w trudnej sytuacji, panie komendancie.

– Ty też. – Ponownie rozsiadł się w fotelu i w głębi duszy zastanawiał się, czy łomocące serce nie połamało mu żeber. – Często tu przylatujesz?

– Kiedy tylko mogę. Może zacznij robić użytek z lornetki. Mamy do

sprawdzenia duży obszar, poza tym nie będziemy tu jedyni. Wypatruj przez cały czas. – Poprawiła słuchawki. – Ja będę utrzymywać kontakt z kontrolą lotów.

– Gdzie mam szukać?

– Tam – wskazała brodą. – Na pierwszej.

W porównaniu z Denali góra wyglądała na niemal całkiem niegroźną, nie zachwycała również surowym pięknem, tak typowym dla pozostałych wierzchołków. Między No Name a Denali widać było inne, mniejsze i większe szczyty, które sterczały na tle nieba jak poszarpana, ostra ściana.

– Ile ma wysokości?

– Ponad trzy i pół tysiąca metrów. W maju i kwietniu stanowi niezłe wyzwanie dla alpinistów, zimą jest trudniejsza, ale możliwa do zdobycia. Chyba że grupka dzieciaków wybiera się na nią dla kawału. Wtedy to samobójstwo. Dowiemy się, kto zabrał w styczniu niepełnoletnich chłopców i wyrzucił ich na lodowiec. Wtedy będzie musiał za to zapłacić.

Znał ten ton – spokojny, bez emocji.

– Myślisz, że nie żyją.

– Raczej tak.

– Nie odmówiłaś jednak udziału w akcji.

– Nie po raz pierwszy szukam zwłok... albo je znajduję.

Pomyślała o zapasach w samolocie, o sprzęcie ratowniczym, lekarstwach, ciepłych kocach. I modliła się, żeby można ich było użyć.

– Szukaj śmieci. Namiotów, sprzętu... ciał. Nie brak tu rozpadlin. Podlecę tak blisko, jak to możliwe.

Nate chciał, żeby chłopcy żyli. Miał dość śmierci, dość strat. Nie przyleciał szukać zwłok, ale chłopców. Przerażonych, zagubionych, może nawet rannych, ale żywych.

Sprawdzał teren przez lornetkę. Widział gwałtowne uskoki, maleńkie półki skalne, pionowe ściany czystego lodu. Nawet nie próbował się zastanawiać, dlaczego ktoś ryzykuje utratę życia lub kończyn, zmaga się z koszmarnymi warunkami, głoduje i cierpi, byle tylko dotrzeć na szczyt. Ludzie dla zabawy robią bardziej szalone rzeczy.

Wyczuł potężne podmuchy wiatru, dostrzegł, jak niebezpiecznie mała odległość dzieli niewielki samolocik od bezlitosnych ścian. Odsunął od siebie strach.

Wpatrywał się w biel, aż zaczęły go szczypać oczy, potem opuścił lornetkę

i zamrugał.

– Na razie nic nie widzę.

– To duża góra. Meg krążyła, Nate szukał. Kiedy Meg omawiała szczegóły z kontrolą lotów, Nate zauważył, że nieco na zachód od nich unosi się w powietrzu drugi samolot, który przypomina małego żółtego ptaka, a za nim na tle bieli odcina się krępa sylwetka helikoptera. W porównaniu z górą wszystko miało rozmiary karła. Teraz nie wydawała się już taka mała.

Widział elementy nadające jej kształt: płyty lodowca, połacie śniegu, czarną skałę, wystającą kawałek od zbocza i pokrytą kolejną porcją lodu niczym błyszczącym lukrem.

Widział miejsca, gdzie, jak przypuszczał, nigdy nie docierało słońce, i ogromne uskoki. W jednej z przepaści dostrzegł jakiś błysk, jakby promienie słońca odbijały się od lustra.

– Coś jest tam w dole! – zawołał. – Metal albo szkło. Coś co odbija światło. W tej szczelinie.

– Zawrócę.

Opuścił lornetkę i przetarł oczy, żałując, że nie zabrał swoich okularów przeciwsłonecznych. Odblask był morderczy.

Meg wzniosła samolot, a potem zawróciła. Wtedy Nate dostrzegł barwną plamę na śniegu.

– Zaczekaj! Tam! Co to takiego? Mniej więcej na czwartej. Jezu, Meg, na czwartej.

– Sukinsyn! Jeden z nich żyje!

Teraz już go widział. Błękitną plamę, ruch, coś, co miało kształt człowieka i jak szalone machało rękami, żeby dać im znak. Meg zatoczyła kilka kręgów i obniżyła lot.

– Tu Bóbr Niner-Zulu-Niner-Alfa-Tango. Mam jednego – powiedziała do słuchawek. – Żyje, jest tuż nad Sun Glacier, Lecę po niego.

– Chcesz lądować? – spytał Burkę, kiedy powtórzyła meldunek. – Na czymś takim?

– Masz lepszy pomysł? – spytała. – To ty tam zejdziesz. Ja nie mogę zostawić samolotu. Wieje zbyt mocny wiatr, a nie ma czasu ani miejsca, żeby się do czegoś przywiązać.

Spojrząwszy w dół, zobaczył, że postać potknęła się, upadła, ześlizgnęła się po lodzie, po czym zamarła w bezruchu. Teraz prawie w ogóle nie było jej

widać w białym puchu.

– Lepiej udziel mi lekcji, i to szybko.

– Wyląduję, ty wyskoczysz, dotrzesz do chłopaka, zabierzesz go i przyprowadzisz do samolotu. Potem będziemy mogli wrócić do domu i strzelić sobie naprawdę duże piwo.

– Krótka lekcja.

– Nie ma czasu na dłuższą. Spróbuj go zmusić, żeby pokonał ten kawałek na własnych nogach. Jeśli nie będzie mógł iść, ciągnij go. Weź okulary. Przydadzą ci się. To nie będzie zabawne. Czeka cię coś w rodzaju przejścia przez zamrznięty staw i drobna wspinaczka.

– A wszystko to na wysokości kilku tysięcy metrów nad poziomem morza. Żadna sprawa.

Pokazała zęby w uśmiechu, przez cały czas starając się utrzymać samolot na jednym poziomie.

– To się nazywa hart ducha.

Wiatr miotał nimi, kiedy obniżała lot. Podeszła do lądowania, wysunęła płozy i przydławiła przepustnicę.

Nate postanowił, że tym razem nie będzie wstrzymywał oddechu, ponieważ wkrótce i tak będzie mu brakowało powietrza. Meg osadziła samolot na lodowcu, między przepaścią a pionową ścianą.

– Ruszaj! – rozkazała, ale Nate już odpinał pas bezpieczeństwa.

– Tam w dole jest prawdopodobnie około trzydziestu stopni poniżej zera, więc pospiesz się. Nie próbuj udzielać mu pomocy lekarskiej, póki nie dotransportujesz go do samolotu, chyba że będę musiała odlecieć. Po prostu przyciągnij go tutaj i wrzuć do samolotu.

– Kapuję.

– Jeszcze jedno! – krzyknęła, gdy otwierał drzwi, wpuszczając do środka mocny podmuch wiatru. – Gdybym musiała odlecieć, nie panikuj. Wrócę po was.

Wyskoczył na śnieg. Nie miał czasu na zadawanie pytań ani zastanawianie się. Zimno cięło jak noże, a powietrze było tak rzadkie, że raniło krtań. Miał przed sobą ciągnące się bez końca pagórki, pomarszczone morze, połacie cienia, ocean bieli.

Wędrował przez lodowiec, z ogromnym trudem posuwał się do przodu, chociaż wcześniej liczył, że uda mu się przebiec dystans, który dzielił go od

chłopca.

Kiedy dotarł do skały, zdał się na instynkt. Podciągnął się w górę, becząc jak koza, a potem opadł na kolana, gdy krótka ściana zaczęła mu się wydłużać w oczach.

Słyszał wycie silników, wiatru i własny ciężki oddech.

Opadł na śnieg tuż obok chłopca i pomimo zaleceń Meg sprawdził puls. Na szarej twarzy młodzieńca, na policzkach i brodzie dostrzegł szorstkie płyty czegoś, co wyglądało jak wysuszona skóra., Chłopiec otworzył oczy.

– Udało się – wychrypiał. – Udało się.

– Taak. Do diabła, spadajmy stąd.

– Są tam, wysoko, w pieczarze. Nie mogą stamtąd zejść. Scott jest chory, a Brad... ma chyba złamaną nogę. Wybrałem się po pomoc. Przeszedłem...

– Ściągnąłeś ją. Kiedy będziemy w samolocie, pokażesz nam, gdzie jest reszta. Możesz iść?

– Nie wiem. Spróbuję.

Nate z trudem postawił chłopca na nogi, biorąc na siebie jego ciężar.

– Chodź, Stevenie. Stawiaj jedną nogę przed drugą. Tak daleko już zaszedłeś.

– Nie czuję stóp.

– Po prostu unosz po kolei nogi. Stopy podążą za resztą. Musimy zejść kawałek w dół.

Nate czuł, że ziąb przenika przez rękawiczki. Żałował, że nie włożył dwóch par.

– Nie dam rady cię nieść. Trzymaj się mnie, spróbuję cię podtrzymywać. Musimy zejść w dół, żeby pomóc twoim przyjaciółom.

– Musiałem ich zostawić, sprowadzić pomoc. Musiałem ich zostawić z trupem.

– Już wszystko w porządku. Wrócimy do nich. Teraz schodzimy. Jesteś gotowy?

– Poradzę sobie.

Nate szedł pierwszy, na wypadek gdyby chłopak upadł, zemdłał albo poślizgnął się. Krzyczał na niego, gdy schodzili po lodowcu. Podnosił głos, żeby Steven się nie zatrzymywał, żeby nie zemdłał. Zadawał pytania, chcąc, by chłopiec ani na chwilę nie przestawał myśleć.

– Jak dawno zostawiłeś przyjaciół?

– Nie wiem. Dwa dni temu? Może trzy? Hartborne nie wrócił. A może...

wydawało mi się, że go widziałem, ale potem... sam nie wiem.

– W porządku. Już jesteśmy prawie na miejscu. Za kilka minut pokażesz nam, gdzie są twoi przyjaciele.

– W lodowej grocie, z nieboszczykiem.

– Co to za nieboszczyk? – Nate zszedł z lodowca. – Kto to taki?

– Nie wiem – powiedział sennie Steven, osuwając się w rozłożone ramiona Nate'a. – Znaleźliśmy go w grocie. To Człowiek Lodu. Patrzy. Po prostu siedzi i patrzy. Ma czekan wbity w klatkę piersiową. Jest przerażający.

– Domyślam się.

Nate w połowie dociągnął, w połowie doniósł Stevena do dygocącego samolotu.;

– On wie, gdzie jest reszta.

Wsiadł do samolotu, potem wciągnął Stevena. Może nam pokazać.

– Połóż go z tyłu i okryj kocami. Apteczka jest w torbie. Gorąca kawa w termosie. Nie pozwól mu za dużo pić.

– Czyja wciąż żyję?

Teraz chłopak trząśł się z zimna.

– Taak, żyjesz.

Nate położył go na podłodze między fotelami i przykrył grubą warstwą koców. Meg wystartowała.

Słyszając wycie silników i wiatru, zastanawiał się, czy teraz, gdy jest już po wszystkim, nie rozpadną się na kawałki.

– Musisz nam powiedzieć, gdzie są twoi przyjaciele.

– Pokażę wam.

Dzwoniąc zębami, chłopak usiłował wypić kawę, którą nalał mu Nate.

– Pomogę ci. Pij.

Kiedy Steven sączył gorący napój, łzy zaczęły mu płynąć po policzkach.

– Myślałem, że mi się nie uda. Że umrą tam tylko dlatego, iż ja nie zdołam zejść do samolotu.

– Udało ci się.

– Ale samolotu nie było. Po prostu go nie było.

– Za to my byliśmy. Byliśmy tam.

Starając się dostosować do przechyłów samolotu, Nate ostrożnie nalał następny kubek kawy.

– Prawie dotarliśmy na szczyt, ale Scott się rozchorował, a Brad upadł i zranił

się w nogę. Wtedy znaleźliśmy jaskinię. Zdążyliśmy się w niej ukryć, nim nadeszła burza śnieżna. To w niej spędziliśmy cały ten czas. Jest tam jakiś nieboszczyk.

– Już o tym mówiłeś.

– Naprawdę nie zmyślam. Nate przytaknął.

– Pokażesz nam.

Nate nienawidził szpitali. Był to jeden z czynników, które spychały go w ciemność. Nie tak dawno temu zbyt wiele czasu spędził w szpitalu. Wystarczająco dużo czasu, by ból, żal i poczucie winy przeobraziły się w bezdenną przepaść depresji.

Nie mógł przed nią uciec. Marzył o spokojnym śnie, ale sen przynosił koszmary, a owe koszmary były gorsze od ciemności.

Gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że umrze. Po prostu odejdzie w ciszy i milczeniu. Nie myślał jednak o samobójstwie. To wymagałoby zbyt dużo wysiłku, podjęcia zbyt wyczerpujących działań.

Nikt nie winił go o śmierć Jacka. Nate chciał, żeby to robili, tymczasem koledzy i znajomi przychodzili z kwiatami i serdecznie mu współczuli, wręcz go podziwiali. To mu ciążyło jak ołów.

Nic nie pomagało: ani terapia, ani rozmowy z psychoterapeutą, ani leki antydepresyjne. Zaczął więc udawać, choćby dlatego, żeby po prostu mieć z głowy lekarzy i zmartwionych przyjaciół.

Od wielu miesięcy nie przestawał udawać.

Teraz, kiedy był zmuszony wejść do szpitala, czuł na sobie delikatne, lepkie palce beznadziei. Łatwiej, znacznie łatwiej byłoby się poddać i po prostu pogrążyć w ciemności.

– Komendant Burkę?

Nate nie odrywał wzroku od kawy. Czarnej kawy. Nie chciał jej, co więcej, nie bardzo mógł sobie przypomnieć, jakim cudem trafiła do jego rąk. Był zbyt zmęczony, żeby pić kawę. Zbyt zmęczony, żeby wstać i ją wylać.

– Komendant Burkę?

Uniósł wzrok i skupił go na twarzy. Szukała go mniej więcej pięćdziesięciopięcioletnia kobieta o brązowych oczach, które zerkały zza szkieł w czarnych oprawkach. Nate nie bardzo mógł sobie przypomnieć, kto to taki.

– Taak? Przepraszam.

– Steven chce się z panem zobaczyć. Jest przytomny. Wszystko stanowiło

niewyraźną plamę, podobnie jak rozważania nad kubkiem kawy. Trzej chłopcy, góra.

– Jak on się czuje? – To młody, zdrowy mężczyzna. Jest trochę odwodniony i być może przyplaci całą przygodę kilkoma palcami u nóg, ale równie dobrze może się okazać, że zdoła zachować wszystkie. Tak czy inaczej można uznać, że dopisało mu szczęście. Pozostali dwaj są w drodze do szpitala. Mam nadzieję, że i im też nic się nie stało.

– Zabierają ich. Z gór – To właśnie powiedziałam. Może pan porozmawiać kilka minut ze Stevenem.

– Dzięki.

Idąc za nią, czuł szpitalne zapachy, słyszał szpitalne dźwięki. Głosy, brzęki, niespokojny płacz niemowląt.

Wszedł na salę i zobaczył chłopca w łóżku. Skóra na jego policzkach była lekko zaróżowiona. Miał zmierzwiłone jasne włosy i pochmurne, zmartwione oczy.

– To pan mnie przywiózł.

– Nazywam się Nate Burkę. Jestem nowym komendantem policji w Lunacy.

Ponieważ Steven wyciągnął rękę, Nate ją ujął, chociaż zrobił to bardzo ostrożnie, żeby nie poruszyć igły wbitej w zagięcie łokcia.

– Twoi przyjaciele są już w drodze do szpitala.

– Słyszałem, ale nikt mi nie powiedział, w jakim są stanie.

– Dowiemy się, gdy tu dotrą. Nie znaleziono by ich, gdybyś nie powiedział nam, gdzie się znajdują, Stevenie. Można uznać, że to prawie równoważy głupotę, która kazała wam się tam wybrać.

– Wydawało nam się, że to dobry pomysł. – Bezskutecznie próbował się uśmiechnąć. – Wszystko poszło na opak. Poza tym przypuszczam, że coś złego przytrafiło się Hartborne'owi. Daliśmy mu tylko połowę pieniędzy, chcąc mieć pewność, że po nas wróci.

– Sprawdzimy to. Może podasz mi jego pełne imię, nazwisko i resztę informacji.

– Brad go znał. Prawdę mówiąc, Brad znał faceta, który znał Hartborne'a.

– W porządku. Porozmawiamy z Bradem.

– Rodzice mnie zabijają.

Och! Mieć dwadzieścia lat – pomyślał Nate – i bać się gniewu rodziców, pomimo faktu, że właśnie ledwo uszło się z życiem!

– Możesz na to liczyć. Powiedz mi więcej o martwym człowieku z jaskini, Stevenie.

– Nie zmyśliłem sobie tego.

– Wcale tak nie twierdzę.

– Widzieliśmy go wszyscy. Nie mogliśmy opuścić pieczary z powodu nogi Brada. W końcu postanowiliśmy, że ja zejść na dół, aby spotkać się z Hartborne'em i sprowadzić pomoc. Oni musieli zostać z Człowiekiem Lodu, który po prostu siedział tam i patrzył. Z czekanem w piersi. Nawet go sfotografowałem.

Oczy zrobiły mu się okrągłe, kiedy starał się nieco unieść na łokciach.

– Sfotografowałem go – powtórzył. – Mój aparat fotograficzny... Wydaje mi się, że jest... w kieszeni mojej ocieplanej kamizelki. Powinien tam być. Może pan sprawdzić.

– Zaczekaj chwilę.

Nate podszedł do sterty ubrania, przeszukał ją i znalazł kamizelkę. W wewnętrznej kieszeni zamykanej na zamek błyskawiczny znalazł maleńki aparat cyfrowy, niewiele większy od karty kredytowej.

– Nie umiem tego obsługiwać.

– Pokażę panu, jak to się robi. Musi pan tu włączyć, a potem... Widzi pan?... Tu jest ekran. Może pan wywołać zdjęcia z pamięci. Ostatnie zdjęcia, jakie robiłem, to właśnie fotki tego nieboszczyka. Pstryknąłem go trzy razy, ponieważ... To on!

Nate bacznie przyjrzał się zbliżeniu twarzy. Mężczyzna mógł być brunetem albo ciemnym szatynem, trudno powiedzieć, ponieważ jego sięgające niemal do ramion włosy były srebrne od szronu i lodu. Okrywała je naciągnięta na czoło wełniana czapka. Miał pociągłą twarz i oblodzone brwi. Nate wystarczająco często widywał śmierć, by dostrzec ją w błękitnych, szeroko otwartych oczach.

Zerknął na następne zdjęcie.

Były na nim zwłoki człowieka, który mógł mieć od dwudziestu do czterdziestu lat. Siedział z wyprostowanymi nogami, oparty plecami o lodową ścianę. Miał na sobie czarno-żółtą kurtkę, grube spodnie, buty do wspinaczki i grube rękawice.

W jego piersi tkwił mały czekan.

– Dotykałeś tego ciała?

– Nie. To znaczy... trochę je szturchnąłem. Jest zamrożone na kamień.

– W porządku, Stevenie. Zabiorę twój aparat. Potem ci go oddam.

– Jasne. Nie ma sprawy. Wie pan co? Ten człowiek mógł tam być od lat, dziesięcioleci czy coś w tym stylu. Na tę myśl dostawialiśmy gęziej skórki, słowo daję, ale dzięki temu nie myśleliśmy o gównie, w które sami wdepnęliśmy. Jak pan sądzi, wiedzą już coś na temat Brada i Scotta?

– Dowiem się. Pójdę do lekarza. Myślę, że później jeszcze pogadamy.

– O każdej porze. Poważnie. Dzięki za uratowanie mi życia.

– Spróbuj bardziej o nie dbać.

Wędrując w stronę drzwi, Nate wsunął aparat fotograficzny do kieszeni. Doszedł do wniosku, że będzie musiał skontaktować się z policją stanową. Morderstwo w górach podlegało ich jurysdykcji. To jednak wcale nie oznaczało, że nie może wcześniej zrobić kilku odbitek dla własnych potrzeb.

Kim był ten człowiek? Jak tam się znalazł? Jak długo przebywał w pieczarze? Dlaczego zginął? Zadając sobie te pytania, Nate pokonał całą długość korytarza i dotarł do dyżurki pielęgniarek. Znalazł się tam w chwili, kiedy ekipa ratownicza przywiozła dwóch pozostałych chłopców.

Uznał, że najlepiej zrobi, schodząc ratownikom z drogi. Kiedy dostrzegł za ich plecami Meg, podszedł do niej.

– To ich szczęśliwy dzień – powiedziała.

Nate przez ułamek sekundy widział twarz jednego z chłopców. Potrząsnął głową.

– Nie byłbym taki pewien.

– Każdy dzień, w którym góry mogły człowieka zabić, a tego nie zrobiły, należy uznać za szczęśliwy.

Zwłaszcza że udało się zwieźć na dół żywych ludzi, a nie zwłoki, tak jak przypuszczała.

– Prawdopodobnie stracą kilka palców, a tego dzieciaka, który ma złamaną nogę, czeka nieco bólu i długie leczenie, ale żyje. Słońce zaszło, to znaczy, że jest za późno na powrót do domu. Dziś już nigdzie nie polecimy. Mam zamiar wynająć dla nas pokój w The Wayfarer. Opłaty są rozsądne, jedzenie dobre. Masz coś przeciwko temu?

– Nie, ale wcześniej chciałbym jeszcze załatwić kilka spraw.

– Jeśli to potrwa dłużej niż dwadzieścia minut, znajdziesz mnie w barze. Potrzebny mi alkohol, jedzenie i seks. – Uśmiechnęła się do niego wymownie. – Mniej więcej w takiej kolejności.

– To całkiem rozsądne. Przyjdę. Zapięła kurtkę.

– Och, pamiętasz odbłask, który w pewnym momencie zauważyłeś? To wrak samolotu. Prawdopodobnie faceta, który zawiózł naszych milusińskich na lodowiec. Góry mimo wszystko zdołały kogoś dopaść.

Nie było go półtorej godziny. Meg, zgodnie z umową, czekała w barze.

Gęsty dym unosił się w lokalu wyłożonym drewnianą boazerią i ozdobionym głowami zwierząt. Meg siedziała przy stoliku, na którym stało piwo, kieliszek jakiegoś mocniejszego alkoholu i talerz czegoś, co wyglądało na nachos. Trzymała nogi na drugim krześle. Zsunęła je w chwili, gdy Nate podszedł do stolika.

– Widzę, że już wszystko załatwiłeś. Hej, Stu! To samo dla przyjaciela.

– Samo piwo – poprawił Nate. – Czy to da się jeść? – spytał, niepewnie zerkając na nacho.

– Jedynie zaspokaja pierwszy apetyt. Kiedy należycie zaszumi ci w głowie, zamówimy stek. Czy nie było cię tak długo, ponieważ chciałeś dopilnować tych chłopców?

– Tak, ale miałem jeszcze do załatwienia kilka innych spraw. – Zdjął czapkę i przeczesał palcami włosy. – Czy ratownicy wchodzili do jaskini?

– Nie, chłopcy sami wyczołgali się na zewnątrz, gdy usłyszeli, że z powietrza nadchodzi pomoc. – Nabrała na frytkę nieco sera, mięsa i ostrego sosu. – Najważniejsze było to, żeby jak najszybciej zwieźć ich na dół i udzielić im pomocy medycznej. Koniec końców ktoś tam wróci po sprzęt, który zostawili.

– I nieboszczyka. Zmarszczyła czoło.

– Kupiłeś tę opowiadkę?

– Taak. Zwłaszcza że Steven zrobił mu zdjęcia.

Wydęła wargi, potem wzięła do ust następną obładowaną frytkę.

– Nie bujasz?

– Piwo! – zawołał ktoś od strony baru.

– Zaczekaj – powiedziała do Nate'a. – Przyniosę ci je.

– Chcesz następną kolejkę, Meg? – spytał Stu.

– Na razie zaczekam, aż mój kompan nadrobi zaległości. Zabrała brązową butelkę i przyniosła ją do stolika.

– Zrobił zdjęcia?

Nate przytaknął i upił łyk piwa.

– Aparatem cyfrowym, który miał w kieszeni. Poprosiłem kogoś, żeby mi je

wydrukował. – Poklepał dłonią brązową kopertę, którą rzucił na stół. – Potem musiałem przekazać aparat chłopcom z policji stanowej. Może będą chcieli włączyć mnie do dochodzenia, może nie. – Wzruszył ramionami.

– Chciałbyś wziąć w nim udział?

– Sam nie wiem. – Ponownie wzruszył ramionami i poklepał dłonią kopertę. – Nie wiem.

Naprawdę, bardzo ci na tym zależy – pomyślała. Niemal widziała, jak Nate w myślach dokonuje przeglądu sytuacji. Jak każdy gliniarz. Chciała, żeby stanowi pozwolili mu wziąć udział w tej grze, ponieważ liczyła, że dzięki temu w jego smutnych, szarych oczach pojawi się błysk.

– Prawdopodobnie nie był tam długo. Uniosła szklanke.

– Dlaczego tak uważasz? – spytała.

– Ktoś by go znalazł. Potrząsnęła głową i upiła łyk whisky.

– Niekoniecznie. Taką jaskinię może zasypać burza śnieżna albo schodząca lawina, wtedy żaden alpinista jej nie wypatrzy. Potem obok przechodzi następna lawina i odsłania wlot do pieczary. Zależy również, jak głęboko siedział w tej grocie. Mógł w niej spędzić jeden sezon albo pięćdziesiąt lat.

– I tak z pewnością przeprowadzą sekcję. Prawdopodobnie określą datę śmierci i zidentyfikują człowieka.

– Widzę, że już pracujesz nad rozwiązaniem sprawy. – Rozbawiona machnęła ręką w stronę koperty. – Pokaż mi go. Może będziemy jak Nick i Nora Charles.

– To nie film, Meg, poza tym śmierć nigdy nie jest ładna.

– Tak samo jak patroszenie łosia. – Pochłonęła następną porcję nacho, potem przyciągnęła do siebie kopertę i otworzyła ją. – Jeśli to tutejszy, jest szansa, że ktoś go rozpozna. Chociaż rokrocznie na No Name wspina się wielu przybyszów z zewnątrz. Sądząc po ubraniu, jakie ma na sobie...

Zobaczył, że krew odpłynęła jej z twarzy, a do oczu napłynęły łzy. Zaklął na siebie, ale kiedy zaczął jej odbierać zdjęcia, wyszarpnęła mu kopertę i wolną ręką odepchnęła jego wyciągniętą dłoń.

– Nie musisz ich oglądać. Odłóżmy tę sprawę na bok.

Musiała je obejrzeć... Powietrze uwięzło jej w płucach, żołądek ciążył jak kamień, mimo to musiała patrzeć. Z pełnym rozmysłem przejrzała pozostałe zdjęcia, a potem ułożyła je na stole. Następnie wzięła whisky i jednym haustem opróżniła kieliszek.

– Wiem, kto to jest.

– Rozpoznasz go?

Nate bez zastanowienia przyciągnął bliżej krzesło, dzięki czemu teraz oboje mogli patrzeć na zdjęcia.

– Jesteś pewna?

– O tak, jestem pewna. To mój ojciec.

Odsunęła się od stolika. Była blada jak ściana, chociaż nie drżała.

– Niech pan zapłaci za drinki, panie komendancie, dobrze? Stek będzie musiał poczekać.

Szybkimi ruchami schował zdjęcia z powrotem do koperty i położył pieniądze na stoliku, ale udało mu się dogonić Meg dopiero na górnym podejściu schodów.

– Meg!

– Zostaw mnie na chwilę.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Przyjdź do pokoju za godzinę. Numer dwieście trzydzieści dwa. Proszę, Ignatiousie.

Szła po schodach, nie dopuszczając do siebie żadnych myśli, żadnych uczuć. Myśli i uczucia muszą poczekać, aż znajdzie się za zamkniętymi drzwiami. Meg pewnymi rzeczami nie lubiła się z nikim dzielić.

Nate nie ruszył za nią. Podświadomie odnotowała ten fakt i przyznała mu duży plus za powściągliwość i być może wrażliwość. Weszła do pokoju, do którego wcześniej zdążyła już przenieść sprzęt, zamknęła drzwi i dla pewności zasunęła łańcuch.

Potem skierowała się prosto do łazienki i długo wymiotowała.

Kiedy było po wszystkim, usiadła na lodowatej podłodze i oparła czoło na kolanach. Nie płakała. Miała nadzieję, że się rozplacze, miała nadzieję, że w którymś momencie jej się to uda, ale nie teraz. Na razie była zaszokowana, roztrzęsiona i – dzięki Bogu – zła.

Ktoś zabił jej ojca i zostawił go w górach. Na tyle lat! Tymczasem ona przez cały ten czas żyła bez niego. Co więcej, była przekonana, że po prostu bez zastanowienia od niej odszedł. Wmawiała sobie, że nie była dla niego wystarczająco dobra, wystarczająco ważna. Wystarczająco inteligentna, wystarczająco ładna. W zależności od tego, co jej w danej chwili pasowało, kiedy za nim tęskniła i odczuwała potworną pustkę.

Tymczasem okazuje się, że ojciec wcale jej nie opuścił. Poszedł w góry, rzecz dla niego tak naturalna jak oddychanie. I tam zginął. Chociaż to nie góra go

zabiła. Gdyby to góra była odpowiedzialna za śmierć ojca, Meg mogłaby się z tym pogodzić, uznając, że widocznie takie było jego przeznaczenie. Tymczasem zabił go człowiek. Z tym za nic w świecie nie przyjmie tego spokojnie. Nie może tego wybaczyć ani pozostawić bez kary.

Wstała, rozebrała się, puściła zimną wodę i weszła pod prysznic. Strugi spływały po jej ciele tak długo, aż oprzytomniała. Potem ubrała się, nie zapalając światła, weszła do łóżka i wróciła myślami do dnia, kiedy po raz ostatni widziała ojca.

Przyszedł do jej pokoju, kiedy przygotowywała się do testu z historii. Przynajmniej teoretycznie. Dopóki udawała, że się uczy, rodzice zwalniali ją z wykonywania obowiązków domowych, których miała po dziurki w nosie.

Jeszcze dziś pamiętała przyspieszone bicie serca, gdy zorientowała się, że to ojciec przyszedł ją odwiedzić, nie matka. On nigdy nie zmuszał jej do nauki ani wykonywania obowiązków.

Uważała, że tata jest najprzystojniejszym facetem na świecie. Zawsze podziwiała jego ciemne włosy i szczerzy uśmiech. Zapoznał ją z wszystkim, co naprawdę się liczyło. Przekazał jej wiedzę o gwiazdach i wspinaczce, nauczył, jak przetrwać w nieprzyjaznym terenie. Pokazał, jak rozpalić ognisko, jak łowić ryby – jak potem czyścić i przyrządzać zdobycz.

Zabierał Meg na wyprawy z Jacobem, który w tajemnicy uczył ją latać.

Kiedy wtedy do niej przyszedł, spojrzął na otwartą książkę, z którą leżała na łóżku, i wywrócił oczami.

– Nudy.

– Nienawidzę, historii. Jutro mam test.

– Poradzisz sobie. Zawsze sobie radzisz. – Usiadł na łóżku i połaskotał ją. – Muszę odmeldować się na jakiś czas, dziecinko.

– Dlaczego?

Uniósł dłoń i potarł kciukiem o palec wskazujący.

– Dlaczego potrzebujemy pieniędzy właśnie teraz?

– Bo tak twierdzi twoja mama. Ona wie najlepiej.

– Słyszałam dziś rano waszą kłótnię.

– Drobiazg. Lubimy się kłócić. Zarobię kilka dolarów, zasile trochę kasę. Wszyscy będą szczęśliwi. Dwa tygodnie, Meg. Może trzy.

– Jak cię nie ma, potwornie się nudzę.

– Znajdziesz sobie jakieś zajęcie.

Chociaż miała zaledwie trzynaście lat, wiedziała, że ojciec jest już myślami gdzie indziej. Poklepał ją po głowie, ale zrobił to bezmyślnie, jak dobry wujaszek.

– Jak wrócę, wybierzemy się na połów ryb w przereblu.

– Jasne.

Nadała się, gotowa go odtrącić, nim on odtrąci ją.

– Do zobaczenia, skarbie.

Musiała się powstrzymać, żeby nie poderwać się z łóżka, nie pobiec za nim, nie przytulić się ostatni raz.

Od tego popołudnia często żałowała, że wtedy tego nie zrobiła, że nie podarowała ojcu i sobie jeszcze jednej chwili, jeszcze jednego uścisku.

Żałowała tego i teraz, gdy w ciemności wracała do tamtych chwil.

Leżała, póki nie usłyszała pukania do drzwi. Zrezygnowana wstała, włączyła światło i przeczesła palcami włosy, które jeszcze nie do końca wyschły po prysznicu.

Kiedy otworzyła drzwi, Nate wniósł do pokoju tacę. Druga czekała na podłodze przy drzwiach.

– Musimy coś zjeść.

Nienawidził, gdy ludzie zmuszali go do jedzenia albo czegośkolwiek innego, co ich zdaniem w najtrudniejszych chwilach powinno dodać mu otuchy, ale wiedział, że to działa.

– Świetnie.

Gestem ręki wskazała na łóżko, jedyną wystarczająco dużą powierzchnię, która mogła zastąpić stół dla dwojga. Potem zabrała drugą tacę.

– Jeśli po zjedzeniu nadal będziesz chciała zostać sama, mogę wziąć drugi pokój.

– Nie ma takiej potrzeby.

Usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i ignorując sałatkę, wbiła widelec w stek.

– To mój. – Zamienił tace. – W restauracji powiedziano mi, że lubisz krwisty. Ja nie.

– O wszystkim pomyślałeś, prawda? Szkoda tylko, że wzięłeś kawę zamiast whisky.

– Jak będziesz chciała butelkę, przyniosę ci ją. Z westchnieniem ukroiła kawałek mięsa.

– Idę o zakład, że naprawdę jesteś gotów to zrobić. Jak to się stało, że jestem w tej chwili w Anchorage i jem stek w towarzystwie miłego faceta?

– Nie jestem wcale taki miły. Dałem ci godzinę, żebyś mogła się pozbierać. Przyniosłem ci jedzenie, żebyś miała siły i mogła opowiedzieć mi wszystko o swoim ojcu. Serdecznie ci współczuję, Meg, to dla ciebie ciężki cios. Kiedy pogadamy, będziemy musieli powiedzieć o wszystkim inspektorowi, który dostanie tę sprawę.

Odkroiła następny kawałek i wbiła w niego widelec.

– Powiedz mi coś. Czy tam, skąd przyjechałeś, byłeś dobrym gliniarzem?

– To chyba jedyna rzecz, w której byłem dobry.

– Zajmowałeś się morderstwami?

– Taak.

– Porozmawiam z człowiekiem, który dostanie tę sprawę, niezależnie od tego, kto to taki, chciałabym jednak, żebyś ty się nią zajął.

– Niewiele mogę zrobić.

– Zawsze jest coś. Zapłacę ci. Jadł pogrążony w zadumie.

– Taaak, przeżyłaś ciężki cios – powtórzył. – Tylko dlatego nie dołożę ci za obelgę.

– Nie znam zbyt wielu ludzi, którzy traktują pieniądze jak obelgę. Nieważne. Chcę, żeby ktoś, kogo znam, poszukał sukinsyna, który zabił mojego ojca.

– Prawie mnie nie znasz.

– Wiem, że jesteś dobry w łóżku. – Delikatnie się uśmiechnęła. – Owszem, facet może być strasznym dupkiem, a jednocześnie całkiem niezłym ogierem, ale wiem również, że nie tracisz głowy w trudnej sytuacji i jesteś wystarczająco głupi albo oddany sprawie, żeby wdrapać się na lodowiec i ratować dzieciaka, którego nigdy wcześniej nie widziałeś na oczy. Co więcej, myślisz z takim wyprzedzeniem, że nawet spytałeś w hotelowej restauracji, jakie steki lubi Meg. Moje psy cię lubią. Niech mi pan pomoże, panie komendancie.

Dotknął jej włosów, delikatnie pogłaskał wilgotne pasemko...?.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– W lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Szósteo lutego.

– Wiesz, dokąd się wybierał?

– Powiedział, że ma zamiar poszukać jakiejś pracy. Przypuszczam, że tu, w Anchorage albo w Fairbanks. Tego dnia on i moja mama pokłócili się o pieniądze i nie tylko. Normalka. Powiedział, że znika na dwa tygodnie albo

coś koło tego. Nigdy nie wrócił.

– Czy twoja mama zgłosiła na policji jego zaginięcie?

– Nie. – Meg zmarszczyła czoło. – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Zakładałyśmy... to znaczy wszyscy zakładali, że po prostu odszedł. Pokłócili się – ciągnęła – może bardziej niż zazwyczaj. Był niespokojny. Nawet ja to widziałam. Mój tata nie był chodzącym ideałem, Nate. Nie należał niestety do ludzi odpowiedzialnych, chociaż zawsze był dla mnie dobry i nigdy nie brakowało nam niczego naprawdę ważnego. To jednak nie wystarczało Charlene, dlatego się ciągle kłócili.

Uspokoiała się, jedząc to, co podsunęto jej pod nos.

– Pił, palił trawkę, grał, kiedy miał na to ochotę, pracował, kiedy miał na to ochotę, i pieprzył się, kiedy miał na to ochotę. Kochałam go... może właśnie dlatego. Tego popołudnia, kiedy zniknął, miał trzydzieści trzy lata, a ja teraz, po fakcie, jako dorosła kobieta domyślam się, że przeżywał kryzys związany z wiekiem. Był ojcem nastoletniej córki i od wielu lat przebywał u boku tej samej kobiety. Może w pewnym sensie znajdował się wtedy na rozstaju dróg? Może postanowił potraktować zimową wspinaczkę jako swego rodzaju ostatni wybryk młodości? Może i tak nigdy by nie wrócił? Jednak ktoś inny podjął decyzję za niego.

– Miał wrogów?

– Trudno to wykluczyć, ale nie umiałabym wskazać, kto mógłby go skrzywdzić. Owszem, wkurzał ludzi, ale nie było to nic wielkiego.

– Co powiesz o swoim ojczymie? Wbiła widelec w sałatkę.

– Co chcesz o nim wiedzieć?

– Ile czasu minęło od zniknięcia twojego ojca do ślubu Charlene? Jak zdobyła rozwód?

– Przede wszystkim nie musiała się rozwodzić. Ona i mój ojciec nie mieli ślubu. Tata nie wierzył w instytucję małżeństwa, bla, bla, bla. Mniej więcej rok później wyszła za mąż za Starego Hidela. Jeśli myślisz, że Karl Hidel wdrapał się na No Name i wbił czekan w pierś mojego ojca, to możesz o tym zapomnieć. Miał sześćdziesiąt osiem lat i dwadzieścia kilka kilogramów nadwagi, gdy Charlene złapała go na haczyk.

Po chwili zastanowienia wzięła do ręki miseczkę z sałatką i zaczęła ją jeść.

– Palił jak komin. Z trudem wchodził po schodach, więc co tu mówić o górze!

– Kto mógł wybrać się na taką wyprawę z twoim ojcem?

– Jezu, Nate! Każdy. Każdy, kto lubił mocne przeżycia. Przypomnij sobie dzisiejszych chłopców. Za jakiś czas będą opowiadać o tym, co się stało, jakby to było najbardziej podniecające wydarzenie w ich życiu. Alpinisci są bardziej szaleni niż alascy piloci.

Kiedy Nate nic nie powiedział, ciężko westchnęła i zjadła jeszcze trochę sałatki.

– Był świetnym alpinistą, cieszył się dobrą opinią. Może zatrudnił się w charakterze przewodnika i poprowadził jakąś grupę na zimową wspinaczkę. Albo dobrał sobie dwóch kumpli, takich jak on lekkoduchów, i postanowił pierdnąć śmierci w twarz.

– Czy kiedykolwiek używał czegoś mocniejszego od marihuany?

– Może. Prawdopodobnie. Charlene powinna wiedzieć. – Przetarła oczy. – Cholera! Muszę jej powiedzieć.

– Meg, czy któreś z nich miało kogoś innego w czasie, kiedy byli razem?

– Jeżeli w taki oto delikatny sposób pytasz, czy pieprzyli się z kim popadnie, nie wiem. Zapytaj ją.

Widział, że Meg się od niego odsuwa. Za minutę lub dwie jej złość i zniecierpliwienie uniemożliwią dalsze przepytывanie.

– Wspomniałaś, że grał. Poważnie?

– Nie. Nie wiem. Przynajmniej o tym nie słyszałam. Być może nie spłacił jakiegoś czeku. Albo uzbierał stosik skryptów dłużnych, ponieważ nie wygrywał zbyt często. Nie było jednak tego dużo. Przynajmniej na miejscu. Nigdy nie słyszałam, żeby popełnił jakieś poważniejsze przestępstwo niż podpalanie trawki dla rozrywki. Gdyby się w coś wplątał, wielu ludzi z prawdziwą przyjemnością by mi o tym powiedziało. Nie dlatego, że go nie lubili. Lubili go. Tylko po prostu ludzie chętnie mówią innym takie rzeczy.

– W porządku. – Poglaskał ją po udzie. – Spróbuję trochę popytać i będę bardzo miły dla gliniarza, który dostanie tę sprawę. Może dzięki temu zechce informować mnie na bieżąco.

– No cóż. Chodźmy stąd.

Przeturlała się przez łóżko, zostawiając niedokończoną kolację, i zaczęła wystukiwać dłońmi rytm na udach.

– Znam pewien lokal z dobrą muzyką. Może uda nam się wypić kilka drinków, a potem wrócimy i pouprawiamy ostry seks pod żyrandolem.

Zamiast komentować jej zmianę nastroju jedynie spojrział na starą, brudną

lampę na suficie.

– To ma być żyrandol?! Poza tym może nie wytrzymać naszych ekscesów.

Wybuchnęła śmiechem.

– Kocham ryzyko!

Kiedy się obudził, sen zniknął, zostawiając jedynie gorzkosłony smak w gardle. Jakby połykał łyżę. Słyszał obok siebie delikatny i równomierny oddech Meg. Gdzieś w głębi duszy, w chwili kiedy walczył z rozpaczą, chciał się do niej odwrócić. Poszukać u niej pociechy, znaleźć zapomnienie w seksie.

Byłaby ciepła, ożyłaby pod jego rękami.

Zamiast tego odwrócił się. Wiedział, doskonale wiedział, że oszukuje sam siebie, że z własnej woli rezygnuje z przyjemności, mimo to wstał w ciemności z łóżka, znalazł swoją odzież, ubrał się i zostawił śpiącą Meg.

We śnie wspinał się na szczyt góry. Z trudem torował sobie drogę wśród lodu i skał, tysiące metrów nad poziomem morza. W pozbawionym powietrza niebie, gdzie każdy oddech sprawia potworny ból, musiał piąć się w górę, musiał posuwać się przed siebie o następny centymetr, dwa, kolejny metr, podczas gdy poniżej była tylko pustka i rozkołysane białe morze. Gdyby odpadł od ściany, utonąłby w nim, nie wydając przy okazji żadnego dźwięku.

Piął się zatem z wysiłkiem do góry, póki palce nie zaczęły mu krwawić, a na lodzie i skałach nie zauważył czerwonych smug.

Wyczerpany, podniecony, podciągnął się na występ skalny. Wtedy ujrzał wejście do jaskini. Pulsowało w niej światło, które rozbudziło w nim nadzieję.

Wczołgawszy się do środka, znalazł się w dużej, wysokiej pieczarze, która przypominała baśniowy pałac z lodu. Ze sklepienia zwisały ogromne sople, inne wznosiły się z podłoża, tworząc białe i niebieskie kolumny oraz łuki. Kawalki lodu lśniły jak tysiące brylantów. Delikatne i gładkie ściany błyszczały jak lustra, wielokrotnie odbijając jego postać.

Wstał, obszedł wspaniałe pomieszczenie, oszołomiony blaskiem, przestrzenią i połyskiem.

Mógłby tu żyć. Sam. W swojej fortecy i samotności. Tu, w ciszy, pięknie i samotności, odnalazłby spokój ducha.

Potem nagle zorientował się, że wcale nie jest sam.

Czyjeś zwłoki opierały się o błyszczącą ścianę, przymarznięte do niej pod wpływem wieloletniego zimna. Z klatki piersiowej mężczyzny sterczał trzonek czekanu, a na czarnej kurtce widać było zamarznąłą czerwoną, bardzo, bardzo

czerwoną krew.

Serce zamarło Nate'owi w piersiach, kiedy zrozumiał, że nie przyszedł tu w poszukiwaniu spokoju ducha, ale z obowiązku.

Jak zniesie zwłoki na dół? Jak wytrzyma długą, szaleńczą drogę powrotną do normalnego świata? Nie znał drogi ani sposobu. Brakowało mu odpowiednich umiejętności, nie miał narzędzi ani siły.

Kiedy szedł w stronę ciała, ściany i kolumny odbijały jego postać. Było stu Nate'ów i stu zamarzniętych mężczyzn. Wszędzie, gdzie spojrzał, otaczała go śmierć.

Lód zaczął skrzypieć. Ściany zadrżały. Rozległ się grzmot. Nate przyklęknął o trzydzieści centymetrów od zamarzniętego mężczyzny. Martwa twarz Gallowaya odwróciła się w jego stronę i odsłoniła zęby w krwawym grymasie.

Była to twarz Jacka, która przemówiła głosem Jacka, aż zadrżały lodowe kolumny, a wraz z nimi podłoga pieczary.

– Żaden z nas nie wyjdzie stąd żywy.

Nate obudził się w chwili, gdy jaskinia pochłonęła go żywcem.

Meg wcale nie była zaskoczona, że Nate zniknął. Kiedy się obudziła, było po ósmej, uznała więc, że mu się nudziło albo zgłodniał, dlatego nie czekał na jej przebudzenie.

Była mu wdzięczna za to, że dotrzymał jej towarzystwa i potrafił tak szczerze okazać swoje współczucie. Pozwolił jej na wyrażenie szoku, żalu i wszelkich innych uczuć w taki sposób, jaki jej odpowiadał. Uważała to za cenną cechę u przyjaciela i kochanka.

Była pewna, że Nate jest jednym i drugim.

Wiedziała, że w najbliższym czasie będzie musiała stanąć oko w oko... z samą sobą, matką i mieszkańcami miasteczka. A także gliniarzami.

Na razie nie miała zamiaru się nad tym zastanawiać. Wystarczy, że pomyśli o tym po powrocie do Lunacy.

Doszła do wniosku, że nim nadejdzie pora powrotu, albo ona znajdzie Nate'a, albo Nate znajdzie ją. Tymczasem miała ochotę na kawę.

W jadalni nakrywano stoliki na śniadanie dla sporej liczby osób. Tanie pokoje, dobre jedzenie zwabiały tu wielu pilotów i przewodników, którzy traktowali Anchorage jako bazę wypadową. Ujrzała sporo znajomych twarzy.

Między innymi Nate'a.

Siedział sam w boksie z tyłu lokalu. Ponieważ było to cenne miejsce, musiał

je zajmować już od dłuższego czasu. Miał kubek kawy i gazetę, ale nie pił ani nie czytał. Był zatopiony we własnych myślach. Posepnych, smutnych rozważaniach.

Spoglądając na niego przez całą długość gwarnej sali, Meg doszła do wniosku, że nigdy nie widziała nikogo aż tak samotnego.

Przyszło jej na myśl, że niezależnie od tego, ile przeżył, musi to być długa, smutna i mordercza historia.

Kiedy szła w jego stronę, ktoś nagle zawołał ją po imieniu. Machając w odpowiedzi ręką, zauważyła, że Nate ocknął się z odrętwienia. Widziała, jak jej kochanek przez chwilę zbierał myśli, następnie z pełną rozwagą wziął do ręki kawę i poprawił się na stołku, a dopiero potem rozejrzał się wokół siebie. Uśmiechnął się do niej.

Był to sympatyczny, bezpośredni uśmiech.

– Dobrze spałaś?

– Dość dobrze. – Usiadła naprzeciwko niego. – Jadłeś?

– Jeszcze nie. Wiedziałaś, że ludzie przyjeżdżają tu aż z Montany, żeby pracować w fabrykach konserw?

Spojrzała w dół, na gazetę i artykuł.

– Wiedziałam. Dobrze na tym zarabiają.

– Taak, poza tym nie muszą codziennie przedzierać się przez zatłoczone ulice w godzinach szczytu. Wydawało mi się jednak, że jeśli ktoś mieszka w Montanie, to hoduje konie albo bydło. Albo zakłada obóz paramilitarny. Wiem, że to ogromne uogólnienie, ale jednak.

– Jesteś prawdziwym chłopcem ze wschodniego wybrzeża. Cześć, Wando.

– Witaj, Meg.

Pełna życia kelnerka, która mogła mieć jakieś dwadzieścia lat, postawiła na stoliku kubek z kawą i wyjęła notes.

– Co mogę podać?

– Dwa jajka na lekko podrumienionym kanadyjskim bekonie, kluseczki, pszenny tost. Co u Jacka?

– Rzuciłam go.

– Mówiłam ci, że to ofiara losu. Co pan chce, panie Burkę?

– Hm...

Zastanawiał się, na co ma ochotę, potem doszedł do wniosku, że może wygląd i zapach pomogą mu się zdecydować.

– Omlet z szynką i serem i pszenny tost.

– Zapisałam. Teraz spotykam się z facetem o imieniu Byron – powiedziała do Meg. – Pisze wiersze.

– Teraz może być już tylko lepiej.

Gdy Wanda odeszła, Meg odwróciła się do Nate'a.

– Gdy Wanda była dzieckiem, jej rodzice przyjeżdżali tu jako pracownicy sezonowi. W lecie pracowali w fabrykach konserw. Spodobały jej się te okolice, dlatego w ubiegłym roku przeprowadziła się tu na stałe. Z przyzwyczajenia wybiera sobie chłopców spośród największych dupków, ale oprócz tego jest w porządku. O czym myślałeś, zanim przyszedłam?

– O niczym. Przeglądałem gazetę.

– Nieprawda, ale ponieważ wczoraj wieczorem wyświadczyłeś mi przysługę, nie będę naciskać.

Nie zaprzeczył. Ona się nie upierała, jedynie pod wpływem nagłego impulsu pogłaskała go po policzku. Kiedy była pogrążona w myślach, wcale nie potrzebowała pocieszenia, więc dała mu to samo, czego oczekiwała dla siebie.

– Czy coś jeszcze mamy tu do zrobienia, nim wyruszymy w drogę powrotną? Gdybyśmy mieli zostać na dłużej, musiałabym dopilnować, żeby ktoś zajął się moimi psami.

– Dzwoniłem do policji stanowej. Sprawę prowadzi sierżant Coben, przynajmniej na razie. Prawdopodobnie będzie chciał porozmawiać z tobą, a później również z twoją matką. Przypuszczalnie sprawa nie posunie się do przodu, póki nie wyślą ludzi w góry i nie zwiozą twojego ojca na dół. Dzwoniłem do szpitala. Wszyscy trzej chłopcy są w zadowalającym stanie.

– Widzę, że nie próżnowałeś. Niech mi pan powie, panie komendancie, czy zawsze troszczy się pan o wszystkich.

– Nie, jedynie zajmuję się szczegółami.

Słyszała w życiu większe bzdury, ale z drugiej strony mieszkała w Lunacy.

– Wycięła ci niezły numer, co? Mam na myśli twoją byłą żonę.

Poruszył się niespokojnie.

– Może.

– Chcesz to wyrzucić z siebie? Przeżuć razem ze śniadaniem?

– Niespecjalnie.

Meg odczekała, aż Wanda poda jedzenie i rozleje kawę, a potem nacięła żółtko i dopilnowała, żeby wypłynęło tam, gdzie chciała.

– Po raz pierwszy przespałam się z facetem podczas studiów – zaczęła. – Był niesamowicie przystojny. Trochę głupi, za to potwornie uparty. Po jakimś czasie zaczął mnie ustawiać. Twierdził, że powinnam mocniej się malować, lepiej się ubierać, rzadziej kłócić się z ludźmi. Bla, bla, bla. Co prawda – zaznaczyła, machając widelcem – uważał, że jestem wspaniała, seksowna i bystra, ale gdybym się jeszcze bardziej postarała, była łatwiejsza we współżyciu...

– Wcale nie jesteś wspaniała. Wybuchnęła śmiechem, potem ugryzła kawałek tostu.

– Zamknij się. Teraz ja opowiadam o sobie.

– Wspaniała to mało. To, że człowiek jest wspaniały, zawdzięcza dobremu DNA. Przepelnia cię pasja życia – zadecydował. – Nie do odparcia. To cechy, które pochodzą z wnętrza, a więc biją na głowę wspaniałość. Oczywiście, jeśli interesuje cię moja opinia.

– O kurczę!

Jego słowa tak ją zaskoczyły, że całkowicie zapomniała o śniadaniu.

– Gdybym była kimś innym, po takim komentarzu zabrakłoby mi słów. A tak, po prostu zgubiłam wątek. O czym to ja, do diabła, mówiłam?

Tym razem jego uśmiech dotarł do oczu i rozgrzał szarość.

– O dupku, z którym sypiałaś podczas studiów.

– Tak. Oczywiście. – Wbiła widelec w kluskę. – Miałam dwadzieścia lat. Pasywno-agresywne obelgi tego palanta w końcu zaszły mi głęboko za skórę, zwłaszcza gdy odkryłam, że pieprzy się z pozbawioną mózgu lalunią z furą pieniędzy i implantami zamiast piersi.

Zamilkła i skoncentrowała się na śniadaniu.

– Co zrobiłaś?

– Co zrobiłam? – Upiła trochę kawy. – Gdy następnym razem poszliśmy do łóżka, całkowicie wydrenowałam mu mózg, a potem dałam mu kilka tabletek nasennych.

– Naszpikowałaś go prochami?

– Taak, a co?

– Nic. Nic.

– Zapłaciłam dwóm chłopcom, żeby znieśli go do jednej z sal wykładowych. Ubrałam go w seksowną damską bieliznę: stanik, podwiązki, czarne pończochy. To dopiero było wyzwanie! Zrobiłam mu makijaż, zakreśliłam włosy. Pstryknęłam kilka zdjęć, żeby umieścić je w Internecie. Gdy o ósmej studenci

zaczęli się schodzić na pierwszy wykład, on jeszcze spał. – Zjadła kawałek jajka. – To było fantastyczne przedstawienie, zwłaszcza kiedy po przebudzeniu zorientował się w sytuacji i zaczął piszczeć jak dziewczyna.

Nate był pełen podziwu dla zdecydowania i pomysłowości Meg. Zadowolony, że sprawa tak się zakończyła, uniósł kubek z kawą jak w toaście.

– Możesz być pewna, że nie będę zgłaszał zastrzeżeń do twojego stroju.

– Wracając do mojej opowieści. Wierzę w zemstę. Za drobiazgi i za duże rzeczy. Za wszystko, co mieści się między jednym i drugim. Nie można ludziom pozwalać, żeby nas krzywdzili. To oznacza jedynie lenistwo i brak wyobraźni.

– Nie kochałaś go.

– Do diabła, nie! Gdybym go kochała, nie ośmieszałabym go. Po prostu dołożyłabym wszelkich starań, żeby nieco pocierpiał.

Nate bawił się resztką swojego omletu.

– Pozwól, że cię o coś spytam. Czy jesteśmy wyjątkowi?

– Uważam się za wyjątkową niemal pod każdym względem.

– A to, co razem robimy – pytał cierpliwie. – Czy jest to wyjątkowy związek?

– Czy tego właśnie szukałeś?

– Niczego nie szukałem. Mimo to pojawiłaś się na mojej drodze.

– Oho! – głęboko westchnęła. – Punkt dla ciebie. Wygląda na to, że zarobiłeś już u mnie sporo punktów. Nie mam zamiaru ograniczać się tylko do ostrego seksu pod starą lampą w funkcji żyrandola, przynajmniej dopóty, dopóki obojgu nam będzie to sprawiać przyjemność.

– Słusznie.

– Czy ona oszukała pana, panie Burke?

– Taak. Taak, oszukała. Meg przytaknęła i jadła dalej.

– Ja nie oszukuję. No, może czasem w kartach, ale do diabła z tym! I czasami kłamię, ale tylko wtedy, kiedy jest to wskazane albo gdy kłamstwo jest bardziej zabawne niż prawda. Potrafię też być złośliwa, jeśli mam na to ochotę, co często mi się zdarza.

Urwała, dotknęła jego ręki, żeby lepiej się w niego wczuć.

– Nigdy natomiast nie kopię leżącego mężczyzny, chyba że to ja go przewróciłam. Nie wywracam go, chyba że na to zasługuje. Nie łamię słowa, jeśli je komuś dam. Więc daję ci słowo: nie oszukam cię.

– Chyba że w kartach.

– To możliwe. Wkrótce zrobi się jasno. Powinniśmy wracać.

Meg nie wiedziała, jak powiedzieć o wszystkim Charlene. Niezależnie od tego, z której strony na to patrzyła, wiedziała, że wynik będzie taki sam: histeria, oskarżenia, wściekłość, łzy. Zawsze trudno rozmawiało się z Charlene.

Być może Nate czytał w jej myślach, bo zatrzymał Meg w przedsionku Lodge.

– Może ja jej o tym powiem? Zdarzało mi się wcześniej przekazywać takie wiadomości członkom rodziny. – Mówiłeś już jakiejś kobiecie, że jej kochanek przez piętnaście lat tkwił martwy w lodowej pieczarze?

– Okoliczności nie mają aż tak ogromnego wpływu na ogólny sens samej informacji.

Jego łagodny głos wyraźnie kontrastował z szorstkimi słowami Meg. To ją uspokoiło. Nie tylko uspokoiło. Sprawilo, że chciała skorzystać z zaoferowanej pomocy.

– Bardzo chętnie zostawiłabym ci tę przyjemność, ale lepiej będzie, jeśli osobiście poinformuję ją o wszystkim. Natomiast liczę na to, że gdy skończę, pomożesz jej się jakoś pozbierać.

Weszli do środka. Kilka osób siedziało przy kawie albo jadło wczesny lunch. Meg rozpięła kurtkę i machnęła do Rose.

– Gdzie jest Charlene?

– W biurze. Słyszałam, że Stevenowi i jego kolegom nic nie będzie. Drogi wciąż są nieprzejezdne, ale Palant dziś rano przyleciał po Joego i Larę. Nalać ci kawy?

Nate patrzył, jak Meg kieruje się w stronę biura Charlene.:

– Jasne.

Pokonała całe foyer, obeszła ladę i bez pukania weszła do biura.

Charlene siedziała przy biurku i rozmawiała przez telefon. Ze zniecierpliwieniem machnęła ręką, wypraszając Meg.

– Posłuchaj, Billy, jeśli masz zamiar sprawić mi taki zawód, to oczekuję, że najpierw zabierzesz mnie do jakiegoś lokalu na kolację.

Meg odwróciła głowę. Jeśli matka targuje się o cenę zamówionych towarów, trzeba jej na to pozwolić. Biuro wcale nie wyglądało na biuro, bardziej przypominało Charlene – było kobiece, krzykliwe i głupie. Dużo cukierkowego różu, masa głupich bibelotów, na których jedynie osiadał kurz. Na ścianach obrazy z kwiatami w złotych ramach, na aksamitnej sofie jedwabne poduszki.

W pomieszczeniu pachniało różanym odświeżaczem powietrza, który

Charlene rozpryskiwała, ilekroć wchodziła do swojego biura. Biurko było repliką antyku. Charlene zamówiła je z katalogu i całkiem nieźle przepłaciła. Miało wygięte nóżki i dużo rzeźbień.

Leżał na nim różowy zestaw biurkowy, różowe papeterie i notesy. Wszystkie miały nagłówek „Charlene”, napisany ozdobnym, niemal nieczytelnym pismem.

Obok sofy stała lampa. Miała złotą nóżkę i różowy abażur z koralikami. W przekonaniu Meg bardziej pasowała do burdelu niż do biura.

Meg często zastanawiała się, jak to możliwe, że jej matką jest osoba, która ma tak odmienny gust, sposób myślenia i sposób postępowania. Chociaż, z drugiej strony, możliwe, że jej życie to jedynie nieustanny bunt przeciwko rodzicielce.

Meg odwróciła się, usłyszawszy, że Charlene żegna się ze swoim rozmówcą.

– Próbował mnie naciągnąć.

Charlene ze śmiechem wzięła z biurka karafkę i nalała sobie do szklanki wody.

Nie wygląda na dobrą właścicielkę hotelu – pomyślała Meg – ale wygląd często myli. Jeśli chodzi o interesy, Charlene potrafiła o każdej porze dnia i nocy co do centa obliczyć swoje zyski i straty.

– Słyszałam, że zostałam bohaterką. – Charlene bacznie przyjrzała się córce, sącząc wodę. – Razem z tym seksownym komendantem policji. Zostaliście w Anchorage, żeby to uczcić?

– Zrobiło się ciemno.

– Jasne. Pozwól, że coś ci doradzę. Mężczyzna taki jak Nate dźwiga ze sobą bagaż, i to ciężki. Ty jesteś przyzwyczajona do szybkiego i łatwego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Nie pasujecie do siebie.

– Zapamiętam to sobie. Muszę z tobą porozmawiać.

– Czekają mnie jeszcze telefony i praca papierkowa. Wiesz, że to właśnie ta pora.

– Chodzi o mojego ojca.

Charlene odstawiła szklankę z wodą. Meg obserwowała, jak twarz matki zamarła w bezruchu. Najpierw zbladła, potem na jej policzki gwałtownie wystąpiły rumieńce. Cukierkowo-różowe, takie jak całe pomieszczenie.

– Dostałaś od niego list? Spotkałaś go w Anchorage? A to sukinsyn! Lepiej niech nie liczy na to, że może wrócić. Nic u mnie nie wskóra, a i ty, jeśli masz choć odrobinę, oleju w głowie, też powinnaś odprawić go z kwitkiem.

Odsunęła się od biurka i wstała, a jej policzki z różowych stały się pąsowe.

– Nikt, naprawdę nikt nie ma prawa tak po prostu ode mnie odejść, a potem wrócić. Nigdy w życiu. Pat Galloway może się pocałować w dupę.

– On nie żyje.

– Prawdopodobnie opowiedział ci jakąś łzawą historyjkę. Zawsze był w tym dobry... Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie żyje? – Wyglądała bardziej na złą niż zaszokowaną. Odrzuciła do tyłu skręcone włosy. – To śmieszne. Kto ci przekazał tak głupie kłamstwo?

– Nie żyje. Co więcej, prawdopodobnie zmarł dawno temu. Może nawet kilka dni po wyjeździe z Lunacy.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy?! Dlaczego mówisz mi takie rzeczy?!

Czerwone rumieńce zniknęły, twarz Charlene stała się biała, potwornie biała i nagle dziwnie stara.

– To niemożliwe, żebyś aż tak bardzo mnie nienawidziła.

– Nie nienawidzę cię. Jeśli o to chodzi, zawsze byłaś w błędzie. Przeważnie mam wobec ciebie ambiwalentne uczucia, ale nie jest to nienawiść. Chłopcy, którzy zaginęli w górach, natknęli się na lodową pieczarę i schronili się w niej podczas burzy śnieżnej. On tam był. To znaczy wciąż tam jest.

– To czyste szaleństwo. Chcę, żebyś stąd wyszła. – Głos Charlene zamienił się w zachrypnięty pisk. – Do diabła, wynoś się stąd!

– Zrobili zdjęcia – ciągnęła Meg, chociaż jej matka chwyciła jeden z przycisków do papieru i rzuciła nim o ścianę. – Widziałam je. Rozpoznałam go.

– Wcale go nie rozpoznałaś! – Charlene odwróciła się, zgarnęła z półki jakieś świecidełko i rozbiła je. – Zmyślasz, żeby się na mnie odegrać.

– Za co?

Meg zignorowała rzeźby i szkło, które rozbiły się o ścianę i upadały na podłogę, chociaż jakiś odłamek trafił ją w policzek. Charlene zazwyczaj w taki właśnie sposób wyładowywała złość.

Niszczyła, rozbiła. Potem sprzątała. I kupowała nowe drobiazgi.

– Za to, że byłaś beznadziejną matką, czy za to, że byłaś bohaterką? Że sypiałaś z tymi samymi facetami co ja, byle tylko dowieść, iż nie jesteś zbyt stara, żeby mi ich ukraść? A może za to, że niemal przez całe życie powtarzałaś mi, jak bardzo cię zawiodłam jako córka? Którą z obelg mam tym razem wyjąć z kapelusza?

– Wychowałam cię sama, samiuteńka. Musiałam się poświęcać, żebyś miała

wszystko, czego zapragniesz.

– Szkoda, że nie dawałaś mi lekcji skrzypiec. Teraz by mi się przydały. Tylko wiesz co, Charlene? Nie chodzi o ciebie ani o mnie. Chodzi o niego. On nie żyje.

– Nie wierzę ci.

– Ktoś go zabił. Zamordował. Ktoś wbił mu czekan w pierś i zostawił go w górach.

– Nie! Nie, nie i nie!

Teraz twarz Charlene zamarła w bezruchu, była tak nieruchoma i zimna jak niebo za jej plecami. Potem matka Meg jak szmaciana lalka osunęła się na podłogę, między kawałki rozbitego szkła i porcelany.

– O mój Boże, nie! Pat! Pat!

– Na litość boską, wstań! Pokaleczysz się.

Meg, wciąż zła, obeszła biurko, ujęła matkę pod pachy i podniosła ją.

– Meg. Megan.

Charlene z trudem oddychała, wdech, wydech, wdech, wydech. Jej ogromne, błękitne oczy były pełne łez.

– On naprawdę nie żyje?

– Naprawdę.

Z oczu Charlene popłynęły łzy, potoczyły się po policzkach.

Łkając, opuściła głowę na ramię Meg i przywarła kurczowo do córki.

Meg pokonała pierwszy odruch, który kazał jej odepchnąć matkę. Pozwoliła jej płakać, trzymać się kurczowo, szlochać. Potem zdała sobie sprawę, że jest to pierwszy szczerzy uścisk od wielu, bardzo wielu lat.

Kiedy matka nieco się uspokoiła, Meg zaprowadziła Charlene na piętro, do jej pokoju. Zdejmując z matki ubranie, doszła do wniosku, że to zajęcie przypomina rozbieranie lalki. Opatrzyła drobne rany i ubrała Charlene w nocną koszulę.

– Wcale mnie nie opuścił.

– Nie.

Meg powędrowała do łazienki i przejrzała apteczkę matki. Zawsze było w niej mnóstwo pigułek. Znalazszy kilka xanaksów, nalała wodę do szklanki.

– Nienawidziłam go za to, że mnie opuścił.

– Wiem.

– A ty nienawidziłaś za to mnie.

- Może. Weź to.
- Został zamordowany?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem.

Kiedy Charlene łyknęła tabletkę, Meg odstawiła szklanę.

- Połóż się.
- Kochałam go.
- Może.
- Naprawdę go kochałam – zapewniła Charlene, gdy Meg przykrywała ją kołdrą. – Nienawidziłam go za to, że zostawił mnie samą. Nie znoszę samotności.

- Prześpij się trochę.
- Zostaniesz?
- Nie.

Meg zaciągnęła kotary i przemówiła, stojąc w ich cieniu:

- Ja nie mam nic przeciwko samotności. Potrzebuję jej.
- Zresztą, jak się obudzisz, i tak nie będziesz chciała mnie widzieć.
Zaczekała jednak, aż Charlene zaśnie.

Potem, wędrując schodami na parter, zatrzymała Sanie Parker.

- Pozwól matce spać. W jej biurze jest potworny bałagan.
- Słyszałam. – Sanie zmarszczyła czoło. – Musiałas jej powiedzieć coś, co potwornie ją wkurzyło.
- Po prostu spróbuj tam posprzątać, nim Charlene wróci. Nie zatrzymując się, zabrała swoją kurtkę i zajrzała do restauracji.

- Idę – powiedziała do Nate'a. Wstał od baru i dogonił ją w drzwiach.
- Dokąd?
- Do domu. Muszę jechać do domu.

Z przyjemnością powitała zimny, lekki podmuch powietrza.

- Jak ona się czuje?
- Dałam jej środek uspokajający. Kiedy się obudzi, zaatakuje ciebie. Przykro mi. – Wciągnęła rękawiczki, potem przetarła ręką oczy. – Boże. Boże. Było dokładnie tak, jak się spodziewałam. Histeria, wściekłość, gadki typu: „Dlaczego mnie nienawidzisz”. Jak zwykle.
- Masz poranioną twarz.

– To tylko zadrapania. Odpryski z porcelanowego szrapnela. Mama rzuca czym popadnie.

Ostrożnie oddychając, szła w stronę rzeki. Patrzyła, jak obłoczek z jej ust unosi się w powietrzu i znika.

– Kiedy w końcu do niej dotarło, gdy zrozumiała, że się z nią nie drażnię, załamała się. Nie spodziewałam się tego, co zobaczyłam. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek ujrzę coś takiego na jej twarzy. Kochała go. Nigdy nie brałam tego pod uwagę. Nigdy nie przypuszczałam.

– Moim zdaniem to nieodpowiednia chwila, by którakolwiek z was była sama.

– Ona nie będzie. Ja muszę. Daj mi kilka dni. Zresztą i tak będziesz miał ręce pełne roboty. Kilka dni powinno mi wystarczyć. Potem wpadnij do mnie. Przyrządę ci posiłek, wezmę cię do łóżka.

– Telefony już działają. Możesz do mnie zadzwonić, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Taak, mogę. Nie zadzwonię. Niech się pan o mnie nie troszczy, panie komendancie. – Włożyła okulary przeciwsłoneczne. – Niech się pan po prostu zajmie szczegółami.

Odwróciła się, przyciągnęła jego głowę do swojej i namiętnie go pocałowała. Potem odsunęła się i nie zdejmując rękawiczek, poklepała go po policzku.

– Tylko kilka dni – powtórzyła, potem ruszyła w stronę samolotu.

Nie obejrzała się za siebie, wiedziała jednak, że Nate stoi na brzegu rzeki, czuła, że obserwuje jej odlot. Wymazała go z pamięci, jego i wszystko inne, po czym wzbijała się nad wierzchołki drzew, w kierunku nieba.

Dopiero gdy dostrzegła dym, który unosił się z komina jej domu, i psy mknące przez śnieg jak dwie srebrne strzały w kierunku jeziora, poczuła potworny ucisk w gardle.

Dopiero gdy dostrzegła postać, która wyszła z jej domu i ruszyła w ślad za psami, poczuła, że w oczach zbierają jej się łzy.

Ręce zaczęły jej się trząść tak bardzo, że na siłę musiała je uspokoić, by wylądować. Czekał na nią mężczyzna, który przejął rolę jej ojca, gdy prawdziwy ją opuścił.

Wyskoczyła z samolotu i dołożyła wszelkich starań, żeby jej głos był spokojny.

– Wydawało mi się, że masz wrócić dopiero za jakiś dzień lub dwa.

– Coś mi kazało wrócić wcześniej.: Bacznie przyjrzał się jej twarzy.

– Coś się stało?

– Tak – przytaknęła i pochyliła się, by przywitać zadowolone psy. – Coś się stało.

– Wejdz do domu i opowiedz mi.

Dopiero gdy znalazła się w ciepłym wnętrzu, kiedy on zaparzył jej kawę i napił psy, kiedy bez słowa komentarza wysłuchał całej opowieści, załamała się i zaczęła płakać.

Zapiski z wyprawy, 18 lutego 1988 r.

Stałem nad chmurami. To dla mnie najważniejsza chwila wspinaczki. Całe zmęczenie, ból, nieszczęścia spowodowane przez zimno znikają, kiedy człowiek staje na szczycie. Rodzi się na nowo z niewinnością, która nie zna strachu przed życiem ani śmiercią. Nie istnieje złość, smutek, nie ma żadnej przeszłości ani przyszłości. Liczy się tylko chwila obecna.

Dokonałeś tego. Żyjesz.

Tańczyliśmy na dziewiczym śniegu, niemal cztery tysiące metrów nad poziomem morza, słońce świeciło nam prosto w oczy, a wiatr śpiewał razem z nami. Nasze krzyki odbijały się od nieba, a ocean obłoków potęgował zawroty głowy.

Kiedy Darth powiedział, że powinniśmy skoczyć w dół, niewiele brakowało, a byłbym to zrobił. Co tam, do diabła! Tutaj jesteśmy bogami.

Okazało się jednak, że on naprawdę chciał to zrobić. Gdy zdałem sobie sprawę, że powiedział to całkiem poważnie, byłem bardziej zaskoczony niż przestraszony. Skoczmy! Pofruńmy! Mój kumpel chyba za bardzo się naszprycował. Wziął za dużo prochów na pokonanie ostatniego odcinka.

Prawdę mówiąc, dla zachęty chwycił mnie nawet za ramię. Musiałem odciągnąć i siebie, i jego od krawędzi. Sklął mnie z tego powodu, ale potem wybuchnął śmiechem. Obaj śmialiśmy się do rozpuku. Jak para wariatów.

Powiedział coś trochę dziwnego, ale można by uznać, że to całkiem odpowiednie miejsce na takie gadki. Z histerycznym śmiechem przeklinał mnie i moje szczęście. Że uczepliłem się najseksowniejszej babki w Lunacy i że tylko siedzę, sikam i nic nie robię całymi dniami, podczas gdy ona pracuje. Robię, co chcę, jestem wolny i w każdej chwili mogę nie tylko przelecieć jakąś kurewkę, nie tylko wykręcić numerek czy dwa w pokoju na tyłach, ale jeszcze na dodatek stoję na szczycie świata tylko dlatego, że miałem taką pieprzoną ochotę.

Tylko nie chcę skoczyć.

Wszystko się zmieni – powiedział. Wszystko. Teraz to on będzie miał kobietę, której pragną inni mężczyźni, on będzie wielki. On będzie wiódł wspaniałe życie.

Pozwoliłem mu stać na szczycie i gadać, co mu ślina na język przyniesie. To była zbyt wspaniała chwila na małośćkowość.

Potem miejsce szalonej radości zajął całkowity i kompletny spokój. Wiem, że nie jesteśmy bogami, jedynie mężczyznami, którzy z trudem pokonali drogę na kolejny szczyt. Wiem, że tysiące rzeczy, które zrobiłem dotychczas, może nie mieć znaczenia. Tylko nie to. To w jakiś sposób mnie naznacza...

Nie zdobyliśmy góry, połączyliśmy się z nią.

Myślę, że dzięki temu, czego dokonałem, teraz będę lepszym człowiekiem. Lepszym partnerem, lepszym ojcem. Wiem, że w słowach Dartha jest trochę prawdy. Nie zasłużyłem na to wszystko, co mam, nie zasłużyłem sobie na to tak, jak zasłużyłem na tę chwilę. Gdy stałem w smagającym wietrze ponad światem pełnym bólu i piękna, przesłoniętym przez chmury, które kusily mnie, by w nich zanurkować, ogarnęła mnie chęć, by być kimś lepszym, by szybko wrócić do tego bólu i piękna.

To dziwne, że gdy stałem w miejscu, w którym tak rozpaczliwie chciałem stanąć, zatęskniłem za tym, co zostawiłem na dole.

Nate bacznie przyglądał się zdjęciom z lodowej pieczary. Nie dostrzegł nic nowego, zwłaszcza że od trzech dni oglądał je w każdej wolnej chwili i wszystkie szczegóły zdążyły się już wyryć w jego mózgu.

Otrzymał kilka krótkich wiadomości od policji stanowej. Jeśli tylko pozwoli na to pogoda, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wyślą w góry koronera i grupę ratowników. Nate wiedział, że dokładnie przepytali chłopców, ale większość pytań i odpowiedzi dotarła do niego pocztą pantoflową, a nie oficjalnymi kanałami.

Chciał opracować plan działania, ale to nie była jego sprawa.

Nie pozwolą mu przyjrzeć się z bliska jaskini, nie pozwolą uczestniczyć w sekcji zwłok, gdy ciało zostanie już sprowadzone z gór, a to, czy przekażą mu na ten temat mniej, czy więcej informacji, będzie zależało od dyskrekcji grupy dochodzeniowej.

Może gdy zidentyfikują zwłoki i potwierdzą, że jest to Patrick Galloway, Nate będzie miał trochę więcej możliwości, był jednak pewien, że nie dopuszczą go do sprawy.

Nie mógł uwierzyć, że tak bardzo zależy mu, by wziąć udział w tym dochodzeniu, że tak bardzo chce pracować nad tym morderstwem. Może częściowo dlatego, iż wiązało się ono z Meg, ale przede wszystkim z powodu zdjęć. Z powodu mężczyzny, którego na nich zobaczył.

Mężczyzny, który zamarzył szesnaście lat temu. Jego ciało zachowało się w idealnym stanie, a wraz z nim w idealnym, stanie zachowały się wszystkie szczegóły jego śmierci. Śmierci, która zawiera odpowiedzi, trzeba było tylko wiedzieć gdzie ich szukać.

Czy walczył? Czy został zaskoczony? Czy znał swojego zabójcę? A może zabójców?

Dlaczego zginął?

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Nate wsunął do szuflady kartotekę, którą właśnie założył.

W drzwiach pojawiła się Peach.

– Dęb przyłapała w sklepie dwójkę dzieciaków, które coś kradły. Peter jest wolny. Chcesz, żeby się tym zajął?

– Tak. Powiadom rodziców i ściągnij ich tutaj. Co zabrali?

– Próbowali zwędzić kilka komiksów, batonów i sześciopak millera. Powinni wiedzieć, że im się to nie uda. Dęb ma sokoli wzrok. Przyszedł Jacob Itu. Jeśli masz czas, chciałby z tobą porozmawiać.

– Jasne. Przyślij go.

Nate wstał i podszedł do ekspresu. Obliczył, że chociaż dzień jest ponury i wilgotny, została jeszcze godzina do zachodu słońca. Zerknął w okno, na No Name, i sącząc kawę, bacznie jej się przyglądał.

Odwrócił się, gdy usłyszał kroki Jacoba. Jacob był klasycznym przedstawicielem rdzennej ludności Alaski. Miał kościstą twarz i ciemne, wyraziste oczy. Szpakowate włosy splótł w pojedynczy warkocz. Miał na sobie mocne buty, zniszczone ubranie i długą, brązową kamizelkę, zarzuconą na flanelę i wełnę.

Według oceny Nate'a Jacob mógł się zbliżać do sześćdziesiątki, ale wyglądał na zdrowego, wysportowanego i silnego.

– Witam, panie Itu. – Nate wskazał krzesło. – Co mogę dla pana zrobić?

– Patrick Galioway był moim przyjacielem. Nate kiwnął głową.

– Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję.

– Ciało nie zostało jeszcze sprowadzone z gór, zbadane ani ostatecznie zidentyfikowane.

Nate usiadł za biurkiem. To samo powtarzał każdemu, kto w ciągu minionych dni przyszedł na posterunek albo złapał go na ulicy czy w Lodge.

– Dochodzenie będzie prowadziła policja stanowa. Po zidentyfikowaniu zwłok oficjalnie zawiadomią członków najbliższej rodziny.

– Meg nie pomyliłaby swojego ojca.

– Zgadza się.

– Nie może pan czekać, aż sprawą zajmą się inni.

Niegdyś tak brzmiało credo Nate'a. Credo, z powodu którego on i jego partner wpakowali się w Baltimore w pewien ciemny zaułek.

– To nie ja prowadzę tę sprawę. Nie podlega ona mojej jurysdykcji, to nie mój teren.

– Patrick był jednym z nas, a jego córka wciąż tu mieszka. Kiedy pan tu przyjechał, obiecał pan mieszkańcom miasteczka, że wypełni pan wobec nich swój obowiązek.

– Obiecałem. Wypełnię. Nie spuszczę z oka również tej sprawy, chociaż niewiele mam w niej do powiedzenia.

Jacob podszedł bliżej. Był to jedyny ruch, jaki wykonał od wejścia do pomieszczenia.

– Kiedy był pan w Baltimore, zajmował się pan morderstwami, – Tak, ale już nie jestem w Baltimore. Widział się pan z Meg?

– Tak. Jest silna. Pokona swój smutek. Nie pozwoli, żeby smutek pokonał ją.

Tak jak ja na to pozwalałam – pomyślał Nate. Miał nadzieję, że ten człowiek o przenikliwym spojrzeniu i mocno trzymanym w ryzach gniewie nie wie, co dzieje się w duszy komendanta policji.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie o Gallowayu. Z kim mógł się wybrać w góry?

– Z ludźmi, których znał.

– Ludźmi?

– Aby wybrać się na zimową wspinaczkę na No Name, potrzeba przynajmniej trzech osób. Pat był lekkomyślny i impulsywny, ale na pewno nie wyruszyłby na taką eskapadę w grupie mniejszej niż trzy osoby. Nie wspinałby się z ludźmi obcymi. Albo tylko obcymi. – Jacob delikatnie się uśmiechnął. – Chociaż, z drugiej strony, łatwo zawierał przyjaźnie.

- Czy równie łatwo robił sobie wrogów?
- Mężczyzna, który ma to, czego pożądamy inni, musi mieć wrogów.
- A co takiego miał?
- Piękną kobietę. Inteligentną córkę. Bezpośredni sposób bycia i ani krztyny ambicji, dzięki czemu przez większość czasu mógł robić to, na co miał ochotę...

Kobieta, która należy do innego mężczyzny, często staje się przyczyną morderstwa.

- Czy Charlene miała kogoś innego?
- Myślę, że nie.
- A on?
- Przypuszczam, że tak jak niektórzy mężczyźni od czasu do czasu zabawiał się z jakąś inną kobietą, zwłaszcza gdy przebywał z dala od domu. Jeśli miał w Lunacy jakąś kochankę, nic mi o tym nie powiedział.
- Ale nawet gdyby panu o tym nie powiedział – dodał Nate – wiedziałby pan.
- Tak.
- Tak samo jak i inni. W miasteczku takim jak Lunacy ludzie mogą mieć swoje tajemnice, ale nigdy nie da się ich długo zachować. – Przez chwilę się nad czymś zastanawiał. – A co pan powie o narkotykach?
- Czasami palił marihuanę, ale jej nie rozprowadzał. Nate uniósł brew.
- Poprzestawał na trawce?

Widząc na twarzy Jacoba wyraźne wahanie, Nate oparł się wygodnie w krześle.

- Teraz już nikt go o to nie oskarży.
- Przede wszystkim palił trawkę, ale nie należał do ludzi, którzy odpychają coś, co samo wpada im w ręce.
- Czy korzystał z usług jakiegoś dealera? Powiedzmy: w Anchorage?
- Nie sądzę. Rzadko miał pieniądze na tego typu zachcianki. To Charlene trzymała kasę, i trzymała ją mocną ręką. Pat lubił się wspinać, łowić ryby i podróżować. Lubił też latać, chociaż nie interesowała go nauka pilotażu. Pracował, gdy potrzebował pieniędzy. Nie uznawał żadnych ograniczeń, zakazów ani nakazów. Jak wielu mieszkańców Alaski. On by pana nie zrozumiał.

Nate uznał, że ważniejsze jest, by to on zrozumiał Patricka Gallowaya.

Zadał jeszcze sporo pytań, a potem, po wyjściu Jacoba, sporządził z rozmowy dokładną notatkę.

Następnie zajął się bardziej przyziemną sprawą, to znaczy dwoma nastoletnimi złodziejczkami sklepowymi.

Po jej załatwieniu postanowił wziąć sobie wolny wieczór i zostawić na posterunku Petera i Ottona. Dzięki temu do rana miał czas tylko dla siebie, chyba że doszłoby do masowego mordy.

Dał Meg kilka dni. Miał nadzieję, że już na niego czeka.

Wstąpił do Lodge, żeby zabrać ubranie na zmianę, na wypadek gdyby chciał zatrzymać się na noc u Meg. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że popełnił poważny błąd.

Charlene złapała Nate'a w jego pokoju.

– Chcę z tobą porozmawiać.

Obeszła go i usiadła na łóżku. Od stóp do głów była ubrana na czarno – miała na sobie obcisły sweter i jeszcze bardziej obcisłe spodnie, do tego niesamowicie wysokie obcasy, którymi tak lubiła stukać po całym hotelu.

– Jasne. Może w takim razie zejdziemy na dół i napijemy się kawy?

– To prywatna sprawa. Mógłbyś zamknąć drzwi?

– W porządku. Mimo to stał przy nich, ot tak, na wszelki wypadek.

– Chcę, żebyś coś zrobił. Chcę, żebyś pojechał do Anchorage i powiedział tym ludziom, aby oddali mi ciało Pata.

– Charlene, oni jeszcze nie zwieźli jego zwłok z gór.

– Wiem o tym. Jak myślisz, po co dzień po dniu wiszę na telefonie i rozmawiam z biurokratami i niewrażliwymi gburami? Wiem, że na razie zostawili go tam w górach.

Kiedy jej oczy napęłniły się łzami, Nate poczuł ucisk w żołądku.

– Charlene.

Rozejrzał się dookoła, rozpaczliwie szukając jakichś chusteczek, ręcznika czy starego podkoszulka. W końcu poszedł do łazienki. Wrócił z rolką papieru toaletowego i wcisnął ją Charlene do ręki.

– To wcale nie jest takie proste – wysłać ludzi w góry, żeby zwieźli Pata.

Nie chciał dodawać, że kilka dni w tą lub tamtą stronę właściwie nie stanowi już żadnej różnicy.

– Wysoko w górach są burze śnieżne i mocno wieje wiatr, ale rozmawiałem dzisiaj osobiście z sierżantem Cobenem. Jeśli pogoda dopisze, mają nadzieję, że jutro rano uda im się wysłać ekipę.

– Mówią mi, że nie jestem jego najbliższą krewną, bo nie mieliśmy ślubu.

Urwała kilka kawałków papieru i ukryła w nich twarz.

– Och!

Wydał policzki, a potem westchnął.

– Meg...

– Nie jest legalnym dzieckiem. – Głos Charlene się załamał. Pomachała wilgotnym papierem. – Dlaczego mieliby go jej oddawać? Odeślą go do jego rodziców, na wschód. Tyle że to byłoby niesprawiedliwe! I głupie! Ich kiedyś opuścił, prawda? Mnie nie. Przynajmniej nie zrobił tego celowo, ale oni mnie nienawidzą i nigdy mi go nie oddadzą.

Widował wcześniej ludzi, którzy toczyli ostrą walkę nad zwłokami. Nigdy nie był to miły widok.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Nie – warknęła, a jej oczy błyskawicznie wyschły i stały się zimne. – Nigdy mnie nie uznali. Och, kilkakrotnie kontaktowali się z Meg, a gdy ukończyła dwadzieścia jeden lat, dali jej nawet trochę pieniędzy. Odrobinę, chociaż sami mają ich furę. Nie przejmowali się Patem, gdy żył, ale idę o zakład, że teraz, po jego śmierci, będą chcieli go zabrać. Chcę go odzyskać. Chcę go odzyskać.

– W porządku, może zaczniemy załatwiać wszystko po kolei.

Usiadł obok niej i otoczył ramieniem, żeby mogła się wypłakać.

– Będę w kontakcie z Cobenem. Zapewniam cię, że przez jakiś czas ciało będzie u nich. To może trochę potrwać. Poza tym wydaje mi się, że Meg jako córka ma takie samo prawo jak jego rodzice.

– Ona nie będzie o niego walczyć. Meg nie przejmuje się takimi drobiazgami.

– Porozmawiam z nią.

– Dlaczego ktoś zabił Pata? On nigdy nikogo nie skrzywdził. Oprócz mnie. – Wybuchnęła smutnym, pełnym żalu śmiechem. – Chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. Nigdy nie próbował rozmyślnie doprowadzić kogoś do łez czy do szaleństwa.

– Wielu ludzi doprowadzał do szaleństwa?

– Głównie mnie. – Westchnęła. – Kochałam go jak wariatka.

– Gdybym poprosił cię, żebyś cofnęła się pamięcią do tamtych czasów, żebyś dokładnie przypomniała sobie kilka tygodni przed jego wyjazdem i kilka tygodni po, byłabyś w stanie to zrobić? Przypomnieć sobie szczegóły, nawet te drobne?

– Chyba mogłabym spróbować. Chociaż to było tak dawno temu, że czasami

wydaje się już nierealne.

– Chcę, żebyś spróbowała, żebyś poświęciła temu kilka dni i postarała się przypomnieć sobie tamten okres, a potem spisała wszystko, co pamiętasz. Co powiedział, co zrobił, z jakimi ludźmi przebywał, wszystko, co wydawało ci się niecodzienne. Porozmawiamy o tym.

– Był tam przez tyle czasu – szepnęła. – Sam w takim chłdzie. Tyle razy w ciągu minionych lat spoglądałam na tę górę. Teraz, ilekroć to robię, widzę Pata. Łatwiej mi było, gdy go nienawidziłam, wiesz?

– Taak. Przypuszczam. Pociągnęła nosem i wyprostowała się.

– Chcę, żeby przywieziono jego zwłoki do Lunacy. Chcę go tu pochować. On też tego by chciał.

– Zrobimy wszystko, co możliwe, aby tak się stało. Ponieważ tonęła we łzach i ani nie myślała o atakowaniu, Nate uznał, że może jest to odpowiednia chwila, by wycisnąć z niej jakieś informacje.

– Charlene, powiedz mi coś o Jacobie Itu. Zamrugła rzęsami.

– Co cię interesuje?

– Wszystko, co wiesz. Jak zaprzyjaźnił się z Patem? To mi pomoże lepiej zorientować się w sytuacji.

– Żeby dojść do tego, co przytrafiło się Patowi?

– Mniej więcej. On i Jacob byli przyjaciółmi, prawda?

– Taak. – Znów pociągnęła nosem, chociaż trochę delikatniej. – Jacob jest trochę... tajemniczy. Przynajmniej ja nigdy go nie rozumiałam.

Sądząc po nadąsanej minie Charlene, należało przypuszczać, że nigdy nie udało jej się zaciągnąć Jacoba do łóżka. Ciekawe – uznał Nate.

– Sprawia na mnie wrażenie samotnika.

– Bo chyba nim jest. – Wzruszyła ramionami. – On i Pat bardzo przypadli sobie do gustu... Myślę, że... sama nie wiem... Pat często śmieszył Jacoba. Obaj lubili polowania, wyprawy na ryby, włóczęgę. Pat był dobry we wszelkich zajęciach na świeżym powietrzu. On i Jacob wspinali się po górach, a ja musiałam zajmować się dzieckiem, urabiać sobie ręce po łokcie i...

– To znaczy, że istniała między nimi bliska więź – przerwał jej Nate.

– No cóż, obaj nienawidzili jakiegokolwiek władzy, ale to samo można powiedzieć o każdym mieszkańcu tych okolic. On i Pat lubili przebywać na łonie natury, ale obu głównie chodziło o Meg.

– Co ona miała z tym wspólnego?

– No cóż...

Charlene, zdaniem Nate'a, wpadła w plotkarski nastrój. Nie ruszał się. Siedział na łóżku w intymnej bliskości z Charlene, nie chcąc niczego zmieniać, póki nie dowie się wszystkiego, co chce wiedzieć.

– Jacob był niegdyś żonaty.

– Tak?

– Całe wieki temu. Miliony lat. Kiedy miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat i mieszkał w małej osadzie nieopodal Nome.

Charlene wyraźnie się ożywiła, odczesywała kosmyki, które opadały jej na twarz.

– Wiem to od Pata... ale potem usłyszałam też tu i ówdzie kilka rzeczy. Jacob nigdy nie miał mi zbyt dużo do powiedzenia.

Znów zaczęła się dąsać, trzeba ją było szturchnąć.

– To znaczy, że miał żonę – podpowiedział Nate.

– Jakaś młodziutką dziewczynę ze swojego plemienia. Dorastali razem i w ogóle... no wiesz, jedna z tych historyjek o bratnich duszach. Zmarła przy porodzie. Ona i dziecko... dziewczynka. Poród zaczął się dwa miesiące przed czasem, nastąpiły pewne komplikacje. Nie pamiętam dokładnie, co się stało, ale nie mogli dowieźć jej do szpitala, a przynajmniej nie zdążyli zrobić tego na czas. To smutne – dodała po chwili, a jej oczy, twarz i głos złagodniały pod wpływem współczucia. – Naprawdę smutne.

– Tak.

– Pat wyjaśnił mi, że dlatego właśnie Jacob został pilotem. Żeby pewnego dnia komuś pomóc... Przeprowadził się tutaj. Twierdził, że tam nie mógł zostać, ponieważ jego życie już dobiegło końca, czy coś w tym stylu. Tak czy inaczej, gdy się tu pojawił i zobaczył Meg, powiedział, że jej duch przemawia do jego ducha. Nawet nie był naćpany – zastrzegła, wywracając oczami. – Jacob nie używa narkotyków, chociaż czasami mówi dziwne rzeczy. Ku mojemu zdziwieniu powiedział Patowi, że Meg jest jego duchowym dzieckiem, a Pat nie miał nic przeciwko temu, wręcz był zachwycony. Uważał, że dzięki temu on i Jacob są niemal braćmi.

– Czy on i Pat kiedykolwiek o cokolwiek się kłócili? Na przykład o Meg?

– Nigdy nie słyszałam. Jacob w ogóle się nie kłóci. Po prostu przewierca człowieka tym długim... jak by to powiedzieć... nieprzeniknionym – zdecydowała – tak, nieprzeniknionym spojrzeniem. Sądzę, że po odejściu Pata

przejął w stosunku do Meg rolę ojca. Tyle że Pat wcale nie oszedł. – W jej oczach znów pojawiły się łzy. – Zginął.

– Przykro mi. Dziękuję za informacje. W takich sytuacjach zawsze warto wszystko wiedzieć.

– Możesz porozmawiać z Meg. – Charlene wstała. – Powiedz jej, żeby wytłumaczyła tym głupim bostończykom, iż miejsce Pata jest tutaj. Ciebie posłucha. Mnie nie będzie chciała. Nigdy nie chciała i nigdy nie będzie. Liczę na ciebie, Nate.

– Zrobię, co będę mógł.

Wyraźnie zadowolona, zostawiła Nate'a na skraju łóżka. W końcu zdał sobie sprawę, że wpakował się między dwie trudne kobiety.

Nie zadzwonił do Meg. Bał się, że mu odmówi albo po prostu nie odbierze telefonu. Zobaczywszy go w drzwiach, będzie mogła najwyżej odesłać go z powrotem do Lunacy, ale nim to nastąpi, on zdąży przekonać się na własne oczy, czy u niej wszystko w porządku.

Jechał tunelem wśród wysokich zwałów śniegu. Tak jak przewidywał, niebo trochę się przejaśniło, a nawet od czasu do czasu można było zobaczyć słaby blask księżyca i gwiazd. Nikłe światło połyskiwało na rzece i odbijało się od gór, które wypełniały pole widzenia Nate'a.

Zanim skręcił do domu Meg, usłyszał muzykę. Wypełniała ciemność, przebijała się przez nią, pochłaniała ją. Tak samo jak światła pokonywała mrok. Meg zapaliła wszystkie lampy, dzięki czemu dom, otaczający go teren i drzewa jaśniały, jakby stały w ogniu. A wszystko to tonęło w muzyce.

Nate doszedł do wniosku, że to chyba jakaś opera, chociaż poważna muzyka nie była jego mocną stroną. Jakiś rozpaczliwie smutny kawałek, z tych, które łamią serce, choć jednocześnie w jakiś sposób podnoszą na duchu.

Odśnieżona ścieżka, która prowadziła do domu, miała prawie metr szerokości. Nate wyobrażał sobie, ile to musiało kosztować Meg czasu i wysiłku. Weranda również była oczyszczona ze śniegu, a skrzynie z drewnem przy drzwiach – pełne.

Zapukał, potem uznał, że przy tak głośnej muzyce nikt go nie usłyszy, w związku z tym nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte.

Psy, które na przekór muzyce smacznie spały, poderwały się z dywanu. Kilka razy ostrzegawczo zaszczekały, a potem zaczęły machać ogonami. Ku uldze Nate'a wyraźnie go pamiętały i podbiegły się przywitać.

– Dobrze, świetnie. Gdzie wasza pani?

Kilka razy krzyknął, potem przeszukał cały parter. W obu salonach i kuchni ogień radośnie buzował w kominkach, a na piecu gotowało się coś, co pachniało jak kolacja.

Nate miał zamiar zajrzeć pod pokrywkę – może nawet skosztować – kiedy dostrzegł za oknem jakiś ruch.

Podszedł bliżej. Dzięki ogromnej ilości światła widział Meg całkiem wyraźnie. Była okutana od stóp do głów i chodziła po śniegu na raketach śnieżnych, które na Alasce nazywają niedźwiedzimi pazurami. Nagle zatrzymała się i spojrzała w niebo. Przez dobrą chwilę stała z uniesioną głową, otoczona dźwiękami muzyki. Potem wyrzuciła ręce na boki i upadła na plecy.

Nate w ułamku sekundy znalazł się przy drzwiach. Szarpnął je, wypadł na zewnątrz, zbiegł po schodach i poślizgnął się na oblodzonej ścieżce, którą Meg tak starannie oczyściła.

Poderwała się, gdy zawołał jej imię.

– Co się dzieje? Cześć, skąd przybywasz?

– Co się stało? Jesteś ranna?

– Nie, po prostu chciałam przez minutę poleżeć na śniegu. Niebo się rozjaśnia. Skoro już tu jesteś, daj mi rękę.

Kiedy zaczął ją podciągać, psy wypadły z domu i rzuciły się na oboje.

– Zostawiłeś drzwi otwarte – wydusiła z siebie Meg, gdy oba husky turlały się z nią w śniegu.

– Przepraszam. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby je zamykać. Myślałem, że dostałaś jakiegoś ataku. – Podciągnął ją. – Co ty tu robisz?

– Byłam w szopie, dłużyłam przy starym skuterze śnieżnym, który kupiłam kilka miesięcy temu. Co jakiś czas próbuję zrobić przy nim to i owo.

– Umiesz naprawić skuter śnieżny?

– Mam bardzo dużo różnorodnych talentów.

– Chyba tak.

Patrząc na nią, zapomniał o ciężkim dniu.

– Zastanawiałem się nad kupnem skutera śnieżnego.

– Naprawdę? Jak uruchomię ten, może ci go odsprzedam. Chodźmy do domu. Chętnie wypiję drinka. – Gdy ruszyli w stronę domu, zerknęła na niego ukradkiem. – Byłeś w sąsiedztwie?

– Nie.

– Chcesz mnie przesłuchać?

– Taak. A przy okazji liczę na darmowy posiłek.

– To wszystko, na co liczysz?, – Nie.

– Świetnie, ponieważ na to też mam ochotę. – Wzięła do ręki miotłę, która stała przy drzwiach. – Otrzep mnie trochę, dobrze?

Kiedy zrobił, co mógł, zdjęła rakiety.

– Rozbierz się i zostań na chwilę – zaprosiła i sama również zaczęła się rozbierać.

– Hej, co się stało z twoimi włosami?

Przezesłała je palcami, potem powiesiła kurtkę i czapkę.

– Co się miało z nimi stać?

– Jest ich o wiele mniej.

Teraz sięgały nieco poniżej szczęki, były proste, gęste i trochę rozczochrane od jej rąk.

– Chciałam coś zmienić. Więc zmieniłam.

Powędrowała do spiżarni i przyniosła z niej butelkę. Stawiając kieliszki, obejrzała się i zobaczyła na jego ustach uśmiech.

– O co chodzi?

– Podobają mi się. Wyglądasz... sam nie wiem... młodo i śliczniutko.

Przekrzywiła głowę.

– Tak młodo i śliczniutko, że chciałbyś, abym nosiła bezrękawnik i mówiła do ciebie: tatusiu?

– Nie wiem, co to jest bezrękawnik, chociaż jeśli bardzo chcesz, możesz go nosić, pozwól natomiast, że kwestię tatusia pominę milczeniem.

– Bezrękawnik zastępuje sukienkę. – Wzruszywszy ramionami, zaczęła rozlewać ciemnoczerwone wino do kieliszków. – Cieszę się, że pana widzę, panie Burkę.

Podszedł, wziął kieliszki z rąk Meg i postawił na ladzie. Potem odsunął od jej twarzy gęste włosy, powoli pochylił się, nie zamykając oczu, i pocałował ją. Delikatnie i spokojnie, póki ciepło nie zamieniło się w żar. Widział, że podczas pocałunku Meg cały czas go obserwuje, zauważył, że jej błękitne oczy mrugnęły tylko raz.

Kiedy odsunął ją od siebie, ponownie wziął do ręki kieliszki i podał jej jeden z nich.

– Lubię cię całować.

Rozmasowała wargi, zaskoczona, że nie zaiskrzyły.

– Cóż mogę na to powiedzieć?

– Martwiłem się o ciebie. Wiem, że nie chcesz tego słyszeć i od razu sztywniejesz, ale tak jest. Jeśli ci to nie odpowiada, nie musimy na ten temat rozmawiać.

Upiła łyk, potem drugi. Uznała, że Nate ma dużo cierpliwości. A kuzynką cierpliwości jest nieustępliwość.

– Równie dobrze mogę przyjąć to do wiadomości. Umiesz robić sałatkę?

– Hm... Otwiera się jedno z opakowań sałatki, którą można kupić w każdym sklepie, i wyrzuca całość na miskę?

– Nie lubisz zajęć w kuchni, co?

– Nie lubię.

– Mimo to, skoro się do mnie palisz, będziesz musiał się nauczyć bez skargi kroić warzywa. Nawet skrobać marchewkę.

Czy kiedykolwiek w życiu skrobałeś marchewkę? – spytała, podchodząc do lodówki.

– Tak, tak. Skrobałem.

– W takim razie, proszę, zacznij od tego.

Ułożyła produkty na blacie, wręczyła mu marchewkę i skrobaczkę.

– Obierz ją.

Kiedy zajął się marchewką, Meg zaczęła myć sałatę.

– W niektórych kulturach kobiety obcinają włosy na znak żałoby. Ja jednak nie dlatego to zrobiłam. Ojciec odszedł dawno temu i... na swój sposób zdążyłam się z tym pogodzić. Chociaż teraz sprawa wygląda nieco inaczej.

– Morderstwo wszystko zmienia.

– Bardziej niż zwykła śmierć – zgodziła się. – Śmierć jest czymś naturalnym. Może człowieka wkurzać, bo, do diabła, kto chce umierać, ale jest to pewien naturalny proces i nikt nie robi z tego powodu żadnych afer.

Osuszyła sałatę, potem szybko i energicznie porozrywała ją długimi palcami o krótkich paznokciach.

– Mogłam pogodzić się z jego śmiercią. Nie mam zamiaru pogodzić się z morderstwem. Dlatego będę naciskać gliniarzy stanowych, będę naciskać ciebie, póki nie osiągnę tego, na czym mi zależy. To może nieco ostudzić twoje pożądanie w stosunku do mnie, ale tak wygląda prawda.

– Nie sędzę, by ostudziło. Przez dobrą chwilę nie ciągnęło mnie do żadnej

kobiety, więc teraz muszę nadrobić zaległości.

– Dlaczego nie?

Wręczył jej marchewkę do sprawdzenia.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego nie ciągnęło cię do żadnej kobiety?

– Hm...

– Miałeś jakieś problemy w łóżku? Zamrugał, zdołał opanować śmiech.

– Jezu! Też pytanie. Chociaż to zbyt dziwna rozmowa, żeby odbywać ją przy sałacie.

– W takim razie wróćmy do morderstwa – zaproponowała.

– Kto ich zawiózł? – spytał.

– Co takiego?

– Musieli mieć jakiegoś pilota, prawda? Człowieka, który podrzucił ich do bazy, czy jak to się tam nazywa.

– Och!

Zamarła w bezruchu i postukała nożem w deseczkę.

– To ty jesteś gliniarzem, prawda? Nie wiem, a po tylu latach sprawdzenie tego może okazać się bardzo trudne. Chociaż jeśli Jacob mi pomoże, powinno nam się udać.

– Niezależnie od tego, kto to taki, przywiózł z gór przynajmniej o jedną osobę mniej, mimo to niczego nie zgłosił. Dlaczego?

– Tego też musimy się dowiedzieć. Dobrze. To już jakiś ślad.

– Detektywi, którzy będą zajmować się tą sprawą, z pewnością skierują śledztwo właśnie w tę stronę. Ty może zechcesz poświęcić czas na bardziej osobiste sprawy.

– Masz na myśli wojnę o zwłoki i pogrzeb, który planuje Charlene. – Zaczęła wycinać z główki czerwonej kapusty cienkie wstążeczki. – Bolał mnie już od tego uszy, dlatego wczoraj przestałam odbierać telefony. Walka o zwłoki to dla mnie głupota. Zwłaszcza że Charlene nie wie, czy rodzina ojca będzie miała coś przeciwko pochowaniu go tutaj.

– Znasz ich? Wyjęła garnek i zaczęła nalewać do niego wodę na makaron.

– Taak. Kilkakrotnie rozmawiałam z jego matką. Potem powiedziała, że jeśli chcę poznać rodzinę, może opłacić mi samolot. Byłam wystarczająco zaintrygowana, żeby skorzystać z jej propozycji. Miałam wtedy osiemnaście lat. Charlene cholernie się wkurzyła, więc tym bardziej zależało mi na wyprawie do

Bostonu.

Kiedy garnek stał już na palniku, wymieszała sos, potem wróciła do przygotowywania sałatki.

– Są w porządku, chociaż nieco przemądrzali i zarozumiali. Osobiście nie przepadam za towarzystwem takich ludzi, sądzę również, że i oni nie chcieliby zbyt długo mieć mnie przy sobie, ale byli dla mnie dobrzy. Dali mi pieniądze, czym zyskali u mnie kilka punktów.

Sięgnęła po butelkę, uzupełniła swój kieliszek i spojrzała pytająco na Nate'a.

– Dziękuję, jeszcze mam.

– Za ich pieniądze kupiłam sobie samolot i ten dom, więc sporo im zawdzięczam.

Przez chwilę w zadumie sączyła wino.

– Nie sądzę, żeby chcieli walczyć z Charlene i na siłę ściągać zwłoki ojca na wschód. Charlene kurczowo trzyma się tej myśli, ponieważ ich nienawidzi. Oni z kolei ją lekceważą. Dzięki temu mogą udawać, że mój ojciec był kimś ważniejszym niż w rzeczywistości.

Wyjęła talerze i podała je Nate'owi, żeby nakrył do stołu.

– Czy milczenie jest jedną z technik przesłuchiwania?

– Czasami. Można ją również nazwać słuchaniem.

– Znam tylko jednego człowieka... z którym chętnie spędzam czas... i który słucha tak jak ty. Jest nim Jacob. To wspaniała cecha. Mój ojciec też czasami mnie słuchał. Niekiedy jednak dosłownie widziałam, jak jego myśli odfruwają, zwłaszcza jeśli moja wypowiedź trwała zbyt długo jak na jego oczekiwania. Potrafił siedzieć i niczego nie słyszeć. Jacob zawsze mnie słucha.

Ciężko westchnęła.

– Wróćmy zatem do sprawy – kontynuowała po krótkiej przerwie. – Do Patricka Gallowaya. Był draniem, który nie liczył się z innymi. Kochałam go, może dlatego jakimś cudem ze mną zawsze się liczył, ale już, na przykład, nie liczył się z rodzicami, którzy, niezależnie od swoich wad, nie zasługiwali na to, żeby ich syn bez słowa zniknął z domu przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Nie liczył się też z Charlene, pozwalał, żeby to ona głównie zarabiała na życie i zajmowała się wszystkimi trudnymi sprawami. Chyba go kochała, i ta miłość była... a może wciąż jest... jej krzyżem. Nie wiem natomiast, czy on kochał ją.

Wyjęła z szafki szklany pojemnik z rotini, wrzuciła odrobinę do wrzącej

wody, wyregulowała gaz i mieszając, ciągnęła swój wywód.

– Nie sądzę również, by z nami został. Przypuszczam, że gdyby ktoś go nie zabił, wcześniej czy później ojciec i tak by odszedł, ale nie wiem tego na pewno, a on nigdy nie miał szansy, by dokonać wyboru. To jest dla mnie ważne. Ważne jest też, że ktoś go wykończył. Dlatego skupiam się właśnie na tym, a nie na miejscu jego ostatecznego spoczynku.

– To dość rozsądne.

– Nie jestem wcale rozsądną kobietą, panie Burke. Raczej egoistką. Wkrótce sam się o tym przekonasz.

Wyjęła z lodówki plastikowy pojemniczek, potem wlała jego zawartość do sałatki.

– Tam, w tamtej szufladzie, jest pieczywo. Świeże, z dzisiejszego ranka.

Otworzył szufladę i znalazł chleb.

– Nie wiedziałem, że byłaś w mieście.

– Nie byłam. Zaszłam się tu na kilka dni. – Po rozpakowaniu chleba ucięła kilka kromek. – Kiedy zaszywam się w swoim domu, jedną z rzeczy, które naprawdę chętnie robię, jest pieczenie. Dzięki temu nie mam czasu na pogrążanie się w smutku.

– Pieczesz chleb. – Powąchał go. – Nigdy nie znałem nikogo, kto by piekł chleb. Albo pilotował samolot. Czy naprawiał silnik skutera śnieżnego.

– Jak powiedziałam, mam wiele dziwnych i różnorodnych talentów. Po kolacji zaprezentuję ci jeden z nich. W łożku. Dolej wina, dobrze? Już prawie skończyłam.

Może powodem była miła atmosfera albo ta niezwykła kobieta, w każdym razie Nate nie pamiętał, by kiedykolwiek jadł równie spokojnie posiłek.

Powiedziała, że nie jest rozsądna, mimo to dostrzegał dużo zdrowego rozsądku w jej sposobie życia i prowadzenia domu, a także radzenia sobie z szokiem i żalem, nawet złością.

Jacob powiedział, że jest silna. Nate zaczynał wierzyć, że Meg jest silniejsza niż ktokolwiek, kogo dotychczas znał.

Co więcej, najbardziej pogodzona z samą sobą.

Spytała, jak mu minął dzień. Trochę czasu potrzebował, by się rozkręcić. W trakcie małżeństwa przyzwyczyił się do zostawiania pracy za progiem domu.

Tymczasem Meg chciała słuchać, komentować, plotkować, śmiać się.

Mimo to pod swobodą, jaką w jej obecności odczuwał, krył się dreszczyk

podniecenia, oczekiwania i seksualnego podminowania, które rozpałało mu krew, ilekroć znajdował się blisko niej.

Chciał wsunąć rękę w jej włosy, skubnąć zębami niewielką odsłoniętą część karku. Myśląc o tym, wyobrażając sobie, że to robi, czuł, jak maleje ucisk w brzuchu, a z barków zsuwa się ciężar dnia.

W pewnym momencie przeciągnęła się, oparła stopy na jego udach, odchyliła się do tyłu i upiła następny łyk wina. Zaszło mu w gardle, zakręciło się w głowie.

– Niegdyś sama lubiłam wynieść ze sklepu to i owo.

Rzuciła po kawałku chleba każdemu z psów. Nate pomyślał w tej chwili, jak bardzo zachowanie Meg nie spodobałoby się jego matce.

Tymczasem on z przyjemnością obserwował psy bawiące się chlebem, niczym para zawodników na boisku.

– To znaczy... że kradłaś?

– W moim przekonaniu zabieranie pewnych rzeczy z półek wcale nie było jednoznaczne z kradzieżą.

– Zabieranie rzeczy i niepłacenie za nie – uściślił.

– Dobrze, już dobrze. – Wywróciła oczami. – Traktowałam to raczej jak rytuał związany z młodzieńczym przełomem. Poza tym byłam zbyt sprytna, żeby wpaść jak te dzieciaki, które dzisiaj upolowałeś. Nigdy nie zabierałam niczego, co mogłoby mi się przydać. Co więcej, zawsze myślałam:

„Hmm, ciekawe, czy mi się upiecze?”. Potem ukrywałam łup w swoim pokoju, wyjmowałam go nocami i rozkoszowałam się zdobyczą. Po kilku dniach odnosiłam wszystko do sklepu, co było niemal tak samo niebezpieczne i podniecające. Myślę, że gdybym mieszkała gdzie indziej, byłabym dobrym przestępcą, ponieważ rozumiem, że nie tyle liczy się to, co człowiek potem z tym zrobi, ile fakt, że coś w ogóle wyniósł.

– Ale teraz...

– Skończyłam z tym, chociaż czasami dochodzę do wniosku, że chętnie sprawdziłabym, czy wciąż mam tę zdolność. Poza tym, gdyby mnie przyłapano, miałabym do czynienia z komendantem policji.

Opuściła stopy i poklepała go po udach, rozbawiona baczным spojrzeniem poważnych, szarych oczu Nate'a.

– Nie przejmuj się. Wszyscy w mieście widzą, że jestem szalona, i na pewno darowaliby mi drobny wyskok.

Wstała.

– Umyję naczynia. Może w tym czasie wypuścilibyś psy na zewnątrz? Lubią o tej porze dobrze się nabiegać.

Kiedy kuchnia była już uprzątnięta, a psy usadowiły się na podłodze z dużymi kośćmi, Meg powędrowała do salonu i przejrzała płyty kompaktowe.

– Nie sądzę, by Puccini stanowił odpowiednią oprawę dla pozostałej części wieczoru.

– Czy to jego właśnie puszczałaś, gdy przyjechałem? Bo chyba była to jakaś opera.

– No cóż, w taki oto sposób poznałam twoją opinię na temat poważnej muzyki.

– Po prostu nic o niej nie wiem. Podobało mi się to, co słyszałem na zewnątrz. Dziwna muzyka, która łamie serce.

– To znaczy, że jest jeszcze dla ciebie jakaś nadzieja. Hmm, może być Barry White, ale to chyba zbyt oczywiste. Co sądzisz o Billie Holiday?

– Och, o tej nieżyjącej piosenkarce bluesowej? Meg odwróciła się do niego.

– W porządku. Co w ogóle wiesz na temat muzyki?

– Coś tam wiem. Znam to, co puszczają w radiu albo, no wiesz, na teledyskach. – Widząc jej rozbawione spojrzenie, wcisnął ręce do kieszeni. – Lubię Norah Jones.

– W takim razie może być Norah Jones. Znalazła płytę i włożyła ją do odtwarzacza.

– I Black Crowes – ciągnął defensywnie. – Prawdę mówiąc, nowe kawałki Jewel też są całkiem niezłe. Springsteen wciąż jest Bossem. Poza tym...

– Nie musisz się już tak wysilać. – Roześmiała się i chwyciła go za rękę. – Może być Jones. – Zaczęła go ciągnąć w stronę schodów. – Jeśli dobrze się postarasz, będę słyszała tylko swoją własną muzykę.

– Nie próbuj mnie naciskać.

– Idę o zakład, że sobie poradzisz. – Na górnym podejściu schodów odwróciła się i pchnęła go w kierunku drzwi. – Niech się pan mną zajmie, panie komendancie. Bardzo tego chcę.

– Myślę o tym przez cały czas. W najbardziej nieodpowiednich chwilach.

Objęła go w pasie. Potrzebowała go, pragnęła. To dziwne, bo nigdy wcześniej nie potrzebowała i nie pragnęła nikogo konkretnego.

– Na przykład?

– Na przykład wyobrażałem sobie ciebie naga, opracowując z Peach tygodniowy harmonogram dyżurów. To mnie trochę rozpraszało.

– Cieszę się, że wyobrażasz sobie mnie naga, zwłaszcza w nieodpowiednich chwilach. – Skubnęła zębami jego szczękę. – Może byś mnie rozebrał?

– Lubię cię również ubraną. To tak dla twojej wiadomości – powiedział, zdejmując jej sweter.

Lubił czuć pod rękami jej ciało. Odpowiadało mu również, że trzeba zdejmować ubranie warstwa po warstwie, nim dotrze się do gołej skóry. Cieszyło go, że jej skóra jest taka ciepła i gładka. Pomimo wełny i bawełny, na przekór wszystkiemu, pod spodem ukrywał się tajemniczy, seksowny zapach Meg.

Dotknęła go bez skrepowania i z zapalem zaczęła go rozbierać warstwa po warstwie, tak jak on ją. Zapaliła w nim coś więcej niż pożądanie. Coś, co od zbyt dawna tkwiło w stanie hibernacji.

Mógł się w niej zatracić, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, nawet nie martwiąc się, czy potem znajdzie drogę powrotną. Kiedy przywarł ustami do jej warg, poczuł zarówno uległość, jak i pożądanie, czyli wszystko, czego potrzebował.

Opadli na łóżko. Usłyszawszy westchnienie Meg, zastanawiał się, czy ona odczuwa taką samą ulgę i pożądanie jak on. Pociągnęła go za sobą w dół, wygięła plecy w łuk i przywarła do niego całym ciałem, tymczasem jego usta wędrowały po jej szyi, a zęby torowały sobie drogę w stronę ucha. Czuł, jak tuż przy jego sercu lekko i zdecydowanie bije jej serce, z radością powitał ręce Meg na swoich plecach.

Meg chciała, żeby Nate wziął to, czego pragnie. Była zdziwiona, ponieważ dotychczas przeważnie wołała najpierw zaspokoić własne potrzeby. Mimo to chciała dać mu wszystko, wyzwolić go od smutku, który widziała w jego udreńczonych oczach. Jakimś cudem zyskała pewność, że spokojnie może mu to dać, bo on nie zostawi jej spragnionej i niezaspokojonej.

W żarze jego ust, w zapale jego rąk było coś więcej niż samo dążenie do satysfakcji. Jeżeli gdzieś w głębi duszy ją to martwiło, odsunęła sprawę na bok. Wiedziała, że później będzie dużo czasu na zmartwienia i żale.

Uniosła się w jego stronę, odnalazła ustami jego twarz i pozwoliła, żeby czułość zawróciła jej w głowie.

Poruszał się wraz z nią, powodując delikatne dreszcze, podpalając niewielkie

ogniska. W końcu powstrzymał jej ręce, nie chcąc, by podnieciła go za bardzo, za wcześnie.

Chciał jej skosztować. Jej ramion, jej piersi, cudownych smukłych kształtów. Gdy wędrował wargami po jej ciele, zadrżała, jęknęła i wbiła palce w jego plecy.

Musnął ją językiem, wsunął go delikatnie i doprowadził do szaleństwa.

Galopowała, jej ciało było rozpalone i wilgotne, czuła, że ogarnia ją rozkosz. Pragnęła ulgi, potem rozpaczliwie wołała o więcej.

Dawał jej więcej, coraz więcej, aż zaczęła go drapać i gryźć, żeby go mieć, aż jej ciało zmiękło jak wosk pod wpływem narkotyku, który wpompował w jej krew.

– Meg.

Przycisnął usta do jej brzucha, tuż pod sercem.

Chwyciła go za biodra.

W końcu wsunął się w nią. Teraz byli połączeni. Wsparł swoje czoło o czoło Meg, z trudem łapał oddech i czekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie, żeby mógł zapamiętać każdą sekundę, każdą chwilę, każdy dreszcz.

Trzymała go, trzymała go blisko siebie, gdy ciała zlewały się w jedno, a umysły przestawały pracować. W ostatniej chwili jeszcze raz powtórzył jej imię.

Cień

Jeśli podążysz za cieniem, wciąż będzie ci się wymykał;
Udawaj, że przed nim uciekasz, wtedy zacznie cię ścigać...

BEN JONSON

Nadchodzące wydarzenia wcześniej rzucają swoje cienie.

THOMAS CAMPBELL I

Z przyjemnością leżała w ciemności. Prawdę mówiąc, podobało jej się to, zwłaszcza że jej ciało było cudownie rozluźnione po seksie.

Słyszała, jak psy wchodzą do pokoju i usadawiają się w swojej płataninie koców na podłodze w nogach łóżka.

Stojący w jej biurze, kilka pokoi dalej, stary zegar babci wybił dziewiątą.

Za wcześniej, żeby iść spać – pomyślała. Była jednak zbyt rozluźniona, by się poruszyć.

Uznała, że to idealna pora, aby zaspokoić swoją ciekawość i dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, który leży obok niej.

– Dlaczego cię oszukała?

– Słucham?

– Twoja żona. Dlaczego cię zdradziła?

Poczuła, że Nate drgnął i delikatnie się od niej odsunął. Przypuszczała, że psychoanalityk bez trudu wyjaśniłby takie zachowanie.

– Prawdopodobnie nie dawałem jej tego, czego szukała.

– Jesteś dobry w łóżku. Więcej niż dobry. Zaczekaj chwileczkę.

Odwróciła się, a ponieważ bardzo zależało jej na zdobyciu pewnych informacji, sięgnęła po szlafrok.

– Zaraz wracam – powiedziała.

Powędrowała na parter po wino i czyste kieliszki. Nim wróciła, Nate zdążył wstać, włożyć spodnie i dorzucić świeże szczapy do kominka w sypialni.

– Może powinienem...

– Jeśli następnym słowem jest „pójść”, zapomnij o tym. Jeszcze z tobą nie skończyłam.

Usiadła na łóżku i napełniła kieliszki.

– Pora na pańską długą, smutną historię, panie Burkę. Możesz zacząć od żony, ponieważ prawdopodobnie to ona jest głównym powodem wszelkich nieszczęść.

– Sam nie wiem.

– Byłeś żonaty – podpowiedziała Meg. – Żona cię zdradziła.

– Właściwie to wszystko. Meg jedynie uniosła głowę i wyciągnęła kieliszek. Nate zawahał się, ale podszedł do łóżka. Przyjął wino i usiadł obok Meg.

– Nie dałem jej szczęścia, ot co. Nie jest łatwo być żoną gliniarza.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – Pozwól, że ci wyliczę, pomyślał. – Ta praca pochłania mnóstwo czasu. Nie liczy się godzin. Jeśli coś zaplanujesz, szybko musisz to

odwoływać. Wracasz do domu późno, a twoje myśli wciąż krążą wokół sprawy. Kiedy pracujesz nad morderstwem, ciągniesz za sobą śmierć nawet wtedy, kiedy nie chcesz.

– Przypuszczam, że to prawda. – Upiła wina. – W takim razie powiedz mi, czy byłeś już gliniarzem, kiedy za ciebie wychodziła.

– Taak, ale...

– Nie, nie, to ja zadaję tu pytania. Jak długo znaliście się przed podjęciem ostatecznej decyzji?

– Nie wiem. Rok. – Sącząc wino, patrzył w ogień. – Może dwa.

– Czy była ociążała umysłowo? Głupia?

– Nie. Jezu, Meg!

– Po prostu próbuję ci zwrócić uwagę na fakt, że chodząc z gliniarzem przez rok czy dwa, nie da się nie zauważyć pewnych rzeczy.

– Taak, możliwe. Co wcale nie oznacza, że muszą ci się podobać.

– Jasne, w końcu ludzie mają prawo zmieniać zdanie. To nie jest sprzeczne z prawem. Mówię tylko, że wychodząc za męża, wiedziała, co ją czeka. Dlatego takie uzasadnianie zdrady albo obwinianie cię, że to przez ciebie małżeństwo źle funkcjonuje, było bezsensowne.

– Wyszła za męża za sukinsyna, z którym mnie zdradziła, myślę więc, że to nie ma znaczenia.

– W porządku, zakochała się w kimś innym. Różne rzeczy się zdarzają. Tyle że to jej wina, nie twoja. Zwalanie na ciebie winy za to, co zrobiła, jest po prostu draństwem i tanim chwytem.

Nate spojrzał na Meg.

– Skąd wiedziałaś, że to zrobiła?

– Ponieważ patrzę na ciebie, spryciarzu. Czyżbym się myliła?

Upił łyk wina.

– Nie..

– A ty jej na to pozwoliłeś.

– Kochałem ją.

Mgiełka współczucia przesłoniła cudowne oczy Meg. Pogłaskała Nate'a po policzku i przeczesła zmierzwiłone włosy.

– Biedny Nate. Złamała ci serce i kopnęła w jaja. Co się stało?

– Czuję, że dzieje się coś złego. Ignorowałem to, brałem winę na siebie. Myślałem, że jakoś uda mi się załagodzić sytuację. Powinienem bardziej nad

tym popracować.

– Mogłeś, powinieneś, bla, bla, bla. Roześmiał się niewesoło.

– Jesteś twarda. Pocałowała go w policzek.

– Rozumiem, nie zwróciłeś należytej uwagi na to, że lód trzeszczy, chociaż we własnym mniemaniu powinieneś to zrobić. Co dalej?

– Lód zaczął trzeszczeć jeszcze bardziej. Myślałem, że jeśli wezmę dłuższy urlop, uda nam się wyjechać z miasta i odkryć się na nowo. Obojętne, jak to określisz. Nie była zainteresowana. Chciałem mieć dzieci. Rozmawialiśmy na ten temat przed ślubem, ale za nic w świecie nie chciała się na to zgodzić. Zresztą sprzeczałyśmy się o wiele rzeczy. To nie była tylko jej wina, Meg.

– W takiej sytuacji nigdy wina nie leży tylko po jednej stronie.

– Pewnego dnia przyszedłem do domu po bardzo ciężkim dniu. Przydzielono mi nową sprawę: strzały z przejeżdżającego samochodu. Zginęła kobieta i dwoje dzieci. Żona już na mnie czekała. Powiedziała, że chce się rozwieść i że robi jej się niedobrze od czekania, kiedy w końcu postanowię wrócić do domu. Nie ma zamiaru dłużej godzić się na to, że jej potrzeby, pragnienia i plany spychane są na drugie miejsce i zawsze muszą ustąpić moim, i tak dalej, i tak dalej. Wybuchnąłem, ona też. Wtedy wyszło na jaw, że kocha kogoś innego... faceta, który, jak się okazało, był pieprzonym prawnikiem. Spotykała się z nim od miesięcy. Wyłożyła mi kawę na ławę. Że ją zaniedbywałem emocjonalnie, że nigdy nie brałem pod uwagę jej potrzeb ani pragnień, że oczekuję, iż w ułamku sekundy zmieni swoje plany. I tak nigdy mnie nie ma, gdy jestem potrzebny, w związku z tym chce, żebym się wyniósł. Wcześniej spakowała moje rzeczy.

– Co zrobiłeś?

– Wyszedłem. Właśnie wróciłem do domu po zmaganiu się z bezsensowną śmiercią dwudziestosześcioletniej kobiety i jej dziesięcio – i ośmioletniego dziecka. Po godzinnej głośnej kłótni z Rachel nie zostało mi już nic innego. Zapakowałem rzeczy do samochodu, przez chwilę jeździłem po mieście, a potem wylądowałem u swojego partnera. Przez kilka nocy spałem na jego kanapie.

To Rachel powinna spać na kanapie przyjaciółki, a wcześniej Nate powinien jej skopać tyłek i wywalić ją za drzwi – pomyślała Meg. Pominęła to jednak milczeniem.

– Co dalej?

– Zasypała mnie papierami, więc poszedłem z nią porozmawiać. Była już

zdecydowana. Dała mi to wyraźnie do zrozumienia. Nie chce dłużej być moją żoną. Podzielmy majątek i niech każde idzie w swoją stronę. Zresztą i tak wzięłam ślub z pracą, więc nie potrzebuję żony. Tak przynajmniej powiedziała. Koniec historii.

– Nie sędzę. Facetowi takiemu jak ty można złamać serce, wtedy przez jakiś czas będzie chodził z nosem na kwintę, ale potem się wkurzy. Dlaczego ty się nie wkurzyłeś?

– A kto ci powiedział, że się nie wkurzyłem?

Wstał, odstawił na bok wino i podszedł do kominka. Potem do okna.

– Posłuchaj. To był zły rok. Długi, zły rok. Może nawet dwa. Kiedy moja matka usłyszała, że się rozwodzę, potwornie na mnie napadła.

– Dlaczego?

– Lubiła Rachel, ale przede wszystkim nigdy nie chciała, żebym został gliniarzem. Mój ojciec zginął na służbie, gdy miałem siedemnaście lat, matka nigdy się po jego śmierci nie otrząsnęła. Całkiem dobrze sobie radziła jako żona gliniarza, ale nie jako wdowa po gliniarzu. I nigdy nie wybaczyła mi, że chciałem być tym, kim ojciec. Gdzieś w głębi duszy liczyła, że Rachel i małżeństwo z nią zmienią moje zdanie. Nie zmieniły, dlatego w przekonaniu matki to ja byłem odpowiedzialny za rozpad małżeństwa. To mnie wkurzyło, przynajmniej na chwilę, dlatego zagrzebałem się po uszy w pracy.

– A potem?

Odszedł od okna i z powrotem usiadł na łóżku.

– Rachel wyszła za mąż. Nie wiem, dlaczego tak zareagowałem, ale odebrałem to jak potworny policzek i chyba było to po mnie widać. Pewnego dnia mój partner, Jack, zaproponował, żebyśmy się gdzieś wybrali na drinka. Jack bardzo kochał swoją rodzinę. Powinien iść do domu, do żony i dzieci, ale ponieważ widział, że jestem przygnębiony, usiadł ze mną przy paru piwach i pozwolił mi się wyżalić. Powinien być w domu, a nie wychodzić ze mną z knajpy w środku nocy. Powinien być w łóżku z żoną. Nie był. Po wyjściu zauważyliśmy, że kilkadziesiąt metrów od nas coś się dzieje. Sprzedawca narkotyków rzucił się do ucieczki. Jakiś facet zaczął krzyczeć, więc pobiegliśmy za nim. Wpadliśmy w zaułek. Gość, którego goniliśmy, zaczął strzelać. Oberwałem. To wszystko wyjaśnia – pomyślała.

– To te rany na nodze i w prawym boku.

– Upadłem, ponieważ dostałem w nogę, ale powiedziałem Jackowi, że nic mi

nie będzie. Wezwałem przez telefon komórkowy pomoc. Wstałem, wtedy ten drań zaczął strzelać do Jacka. Trafił go w klatkę piersiową, w brzuch. Jezu! Nie mogłem go dopaść. Nie mogłem. Tymczasem facet, który strzelał, zawrócił. Idiota, kompletnie skretyniał. Zamiast uciekać zawrócił. Znowu mnie trafił, ale właściwie było to tylko muśnięcie. Tuż pod żebrami. Wtedy opróżniłem cały magazynek, strzelając w jego stronę. Nie pamiętam tego, ale tak mi powiedziano. Przypominam sobie tylko, że doczołgałem się do Jacka. Widziałem, jak mój kumpel umiera. Pamiętam, jak na mnie patrzył. Uścisnął moją dłoń i wymówił moje imię i... co tam, do diabła! Kiedy już wiedział, że umrze, wymówił imię żony. Ta scena wraca do mnie co noc.

– I o wszystko winisz siebie.

– Gdyby nie ja, nie byłoby go tam.

– Ja widzę to inaczej.

Chciała go objąć, ukołysać jak dziecko. Wiedziała, że w ten sposób spełniłaby swoją zachciankę, ale bardzo zraniła Nate'a. Dlatego siedziała obok niego i jedynie położyła dłoń na jego udzie.

– Każdy z nas w każdej sytuacji dokonuje pewnych wyborów, a każdy wybór do czegoś prowadzi. Gdyby twoja żona czekała na ciebie w domu, ciebie też by tam nie było, więc równie dobrze możesz winić ją i prawnika, z którym się spotykała. Możesz również winić faceta, który do was strzelał, ponieważ wiesz, gdzieś w głębi duszy dobrze wiesz, że to przede wszystkim jego wina.

– Taaak, wiem. Słyszałem to już wcześniej, jednak zupełnie co innego czuję o trzeciej nad ranem albo o trzeciej po południu. O każdej porze, kiedy to do mnie wraca.

Skoro zabrnął już tak daleko, równie dobrze może opowiedzieć jej wszystko do końca.

– Wpadłem w dziurę, Meg, ogromną, czarną, paskudną dziurę. Próbuję z niej wyjść i czasami niemal udaje mi się wdrapać na krawędź. Potem coś z powrotem ściąga mnie w czarną otchłań.

– Miałeś psychoterapeutę?

– Tak, załatwili mi go.

– Brałeś jakieś lekarstwa? Ponownie się poruszył.

– Nie lubię ich.

– Czasem lepiej wpakować w siebie nieco chemii – powiedziała bez uśmiechu.

– Pod wpływem prochów byłem wściekły, zdenerwowany, albo w ogóle czułem się tak, jakbym był kimś innym. Będąc na prochach, nie mogłem wykonywać żadnej pracy, a skoro nie mogłem wykonywać żadnej pracy, cała zabawa nie miała sensu. Nie mogłem też zostać w Baltimore. Nie umiałem stawiać czoła nadchodzącym dniom. Następnym zwłokom, kolejnym sprawom. Próbowałem zamknąć te, którymi zajmowaliśmy się razem z Jackiem, ale ktoś inny siedział za jego biurkiem. Wiedziałem, że zostawił żonę i dzieciaki, które go kochały, i że nikt nie zostałby sam, gdybym to ja zginął zamiast niego.

– Dlatego przyjechałeś tutaj.

– Żeby tu się zagrzebać, ale, jak sama powiedziałaś, różne rzeczy się zdarzają. Zobaczyłem góry. Zobaczyłem zorzę. Dostrzegłem światełko w tunelu.

Spojrzał na nią, a widząc jej delikatny uśmiech, zdał sobie sprawę, że go zrozumiała. Nie musiał mówić nic więcej, ale mógł to zrobić.

– I zobaczyłem ciebie. Zareagowałem chyba tak jak wszyscy. Coś w głębi duszy obudziło się do życia. Nie wiem, co będzie dalej ani czy jestem dla ciebie dobry. Nie potrafię tego powiedzieć.

– Lubię szansę na przyszłość. Zobaczymy, co się stanie.

– Muszę już iść.

– Czy ci nie mówiłam, że jeszcze z tobą nie skończyłam? Powiem ci, co teraz zrobimy. Wyjdziemy na zewnątrz i weźmiemy gorącą kąpiel, a potem wrócimy do łóżka i jeszcze trochę się zabawimy.

– Mamy wyjść na zewnątrz? Wziąć gorącą kąpiel na zewnątrz, przy temperaturze około minus dwudziestu pięciu stopni?

– W wodzie nie będzie minus dwadzieścia pięć stopni. Chodź. To będzie naprawdę podniecające.

– Nie możemy zostać tutaj, w łóżku? To dopiero byłoby podniecające!

Meg już wstała.

– Spodoba ci się to – obiecała i poderwała go z łóżka.

Miała rację. Rzeczywiście mu się to spodobało. Szaleństwo, jakim było bieganie po mrozie, bolesne zanurzenie się w gorącej wodzie, absurdalnie podniecające uczucie bycia nagim pod niebem, na którym lśniło mnóstwo gwiazd i tętniła życiem magiczna zorza.

Nad powierzchnią wody unosiły się obłoki pary, a psy znów biegały jak szalone. Jedynym minusem, jaki Nate dostrzegał, była konieczność wyjścia i przebiegnięcia w lodowatym powietrzu do domu, a także możliwość ataku

serca.

- Często to robisz?
- Kilka razy tygodniowo. Porusza krew.
- Pewnie.

Zanurzył się nieco głębiej i uniósł głowę. Jego pole widzenia wypełniła zorza polarna.

– O kurczę! Czy można nasycić się tym widokiem? Albo się do niego przyzwyczaić?

Przyjęła identyczną pozycję, ciesząc się z chłodu, który czuła na twarzy, i żaru, który ogarniał jej ciało.

– Do pewnego stopnia, dzięki czemu człowiek czuje się trochę jak właściciel... Jakby zorza do mnie należała i jakbym tylko dzieliła się nią z innymi szczęśliwcami. Często w nocy wychodzę na zewnątrz. Nikogo wokół nie ma, panuje cisza. Tak, wtedy zorza należy do mnie.

Tym razem pojawiły się smugi koloru lawendowego, wiry ciemnego błękitu, plamki czerwieni. Michelle Branch śpiewała namiętnie o świetle w ciemności.

Nate poruszył się, odnalazł w gorącej wodzie dłoń Meg i splótł z nią palce.

- Mam wrażenie, jakbym nagle znalazł się w idealnym świecie – mruknął.
- Bo to jest idealny świat.

Zanurzył się w zorzy i muzyce, w ciepłe i muzyce.

– Czy bardzo będziesz się złościła, jeśli się w tobie zakocham?

Przez chwilę milczała.

– Nie wiem. Może.

– Jestem w stanie się w tobie zakochać, chociaż trudno mi w to uwierzyć. W to, że zostało we mnie jeszcze coś, co popycha mnie w tym kierunku.

– Powiedziałabym, że dużo w tobie zostało. Z drugiej strony nie wiem, ponieważ być może sama też pójde tą drogą.

Spojrzał na nią z uśmiechem na ustach.

– Myślę, że z czasem wszystkiego się dowiemy.

– Może powinieneś po prostu skupić się na chwili obecnej, cieszyć się tym, co masz, żyć chwilą.

– Czy to właśnie robisz? Żyjesz chwilą?

Czerwień pociemniała, przytłaczając łagodniejszy, słodszy kolor lawendowy.

– Jasne.

– Nie wierzę. Nie można prowadzić interesu, nie patrząc przed siebie, nie

snując planów na przyszłość.

Ruch jej ramion zmarszczył powierzchnię wody.

– Biznes to biznes. Życie to życie.

– Uhm. Nie dla ludzi takich jak ty i ja. Praca jest życiem. To nasz problem, a może jedna z cnót? Zależy od punktu widzenia.

Ze zmarszczonym czołem przyjrzała się jego twarzy.

– No cóż, to myśl filozoficzna, która może powstać tylko podczas gorącej kąpieli.

Pobiegł za jej wzrokiem, tam gdzie psy zaciekle szczekały wśród drzew.

– Zawsze tak się zachowują?

– Nie. Może wyczuły lisa albo łosia. – Mimo to jej czoło wygładziło się dopiero wtedy, gdy psy ucichły. – Zbyt wcześnie na niedźwiedzia. Poza tym Rock i Buli potrafią sobie poradzić ze wszystkim. Zaraz je zawołam.

Przyniósł kilka kawałków świeżego mięsa. Psy go znały, więc nie miał się czego obawiać, ale zawsze lepiej być przygotowanym na wszystko. Obserwował dom spomiędzy drzew, ponieważ wierzył, że zawsze warto być przygotowanym na wszystko.

Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, że gliniarz i córka jego starego przyjaciela zabawiali się w gorącej kąpieli. Może dobrze. Romans powinien na chwilę odwrócić ich uwagę od innych rzeczy.

Na wszelki wypadek nie myślał zbyt dużo o gliniarzu. Traktował go jak marionetkę, kogoś, kto pilnuje bezpieczeństwa pijaków i przerywa bijatyki. Nie miał się o co martwić.

Chociaż, z drugiej strony, dawno już przestał się niepokoić, że ktoś znajdzie ciało. Od wielu lat nie wracał myślami w góry i niemal całkiem zapomniał o owej paskudnej sprawie. Jakby to wszystko zdarzyło się komuś innemu. Jakby w ogóle nigdy się nie zdarzyło.

Problem właściwie nie istniał. Aż do teraz.

Poradzi sobie z nim.

Obecnie jest starszy, rozważniejszy. Ostrożniejszy.

Istnieją stare sprawy, którym trzeba ukrećić łeb. Jeśli jedną z nich okaże się Meg Galloway, będzie mu przykro, ale przede wszystkim musi chronić siebie.

Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli zajmie się tym od razu.

Zarzucił strzelbę na ramię i pozwolił psom pożreć ostatni kawałek mięsa.

Wszystko przygotował. Stojąc w ciemnym biurze, niczego nie widział,

wiedział jednak, że niczego nie przeoczył. Oczywiście, musieli porozmawiać. To było jedyne słuszne i sprawiedliwe rozwiązanie. Przecież był sprawiedliwym człowiekiem.

Mimo to ryzykował, przychodząc tu tak późno w nocy. Gdyby ktoś go zobaczył, musiałby podać powód, wytłumaczyć się. Zaprezentować jakieś logiczne uzasadnienie – pomyślał i niemal się uśmiechnął.

Od tak dawna nie narażał się na żadne ryzyko. Tyle czasu minęło, odkąd był człowiekiem, który wspinał się po górach i wiódł beztrudne życie. Na to wspomnienie ogarnęło go stare podniecenie.

To dlatego niegdyś mówili na niego Darth. Z powodu jego bezwzględności i zamiłowania do złych uczynków. Miał wówczas skłonność do robienia rzeczy lekkomyślnych i wzniosłych. Zabił nawet przyjaciela.

Tyle że tamto wszystko zrobił inny człowiek – przypomniał sobie. Potem stał się kimś innym. Tego, co w tej chwili przedsięwziął, nie robił dla przyjemności ani z ciekawości. Robił to, by chronić niewinnego człowieka, którym się stał.

Miał do tego prawo.

Dlatego, gdy stary przyjaciel wszedł tylnymi drzwiami, czekał cicho, spokojny jak sopel lodu.

Max Hawbaker drgnął, gdy dostrzegł mężczyznę, który siedział za biurkiem.

– Jak tu wszedłeś?

– Zapomniałeś, że niemal zawsze zostawiasz otwarte tylne drzwi?

Wstał, rozluźniony i spokojny.

– Nie mogłem czekać na ciebie na zewnątrz. Ktoś mógłby mnie zobaczyć.

– Dobrze, już dobrze.

Max zdjął kurtkę i rzucił ją na bok.

– To czyste szaleństwo – spotykać się tutaj, w redakcji, w środku nocy. Mogłeś przyjść do domu.

– Carrie mogłaby nas usłyszeć. Mam nadzieję, że jej o niczym nie powiedziałaś. Przyrzekłaś.

– O niczym jej nie powiedziałem. – Max przetarł dłonią twarz. – Matko Boska, zapewniałaś mi wtedy, że spadł w przepaść. Zaklinałaś się, że zwariował i odciął linę. Że zginął w jakiejś rozpadlinie.

– Pamiętam, co ci wtedy powiedziałem. Nie mogłem wyznać prawdy. Była wystarczająco potworna, nie sądzisz? Kiedy wróciłem, byłeś ranny i majaczyłeś. Uratowałem ci życie, Max. Sprowadziłem cię na dół.

- Tak, ale...
- Uratowałem ci życie. W porządku, uratowałeś.
- Wszystko ci wyjaśnię. Wyjmij butelkę, którą trzymasz; w szufladzie. Przyda nam się łyk czegoś mocniejszego.
- Tyle lat. Tyle lat był tam, w górach. Najzwyczajniej pod słońcem siedział sobie w pieczarze – mruknął Max.
- Tak, rzeczywiście, potrzebował czegoś mocniejszego, dlatego wziął dwa kubki na kawę i wyjął z szuflady butelkę whisky.
- Co mam o tym sądzić? Co powinienem zrobić?
- Próbował mnie zabić. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Logiczne uzasadnienie – pomyślał ponownie.
- Pat? Próbował cię...
- Luke, pamiętasz? Skywalker, rycerz Jedi. Im więcej prochów brał, tym bardziej świrował. W końcu przestało to być dla niego zabawą. Gdy dotarliśmy na wierzchołek, chciał skoczyć i cholernie niewiele brakowało, by ściągnął nas obu w dół.
- Mój Boże! Mój Boże!
- Potem powiedział, że to był żart, ja jednak wiedziałem, że naprawdę miał taki zamiar. Kiedy schodziliśmy w dół, odepchnął się od ściany i wyjął nóż. Chryste, z iście diabelskim śmiechem zaczął nacinać moją linę. Ledwo dotarłem do półki skalnej, kiedy ją odciął.
- Nie wierzę. Max upił spory łyk whisky i nalał następną porcję.
- Nie mogę w to uwierzyć.
- Ja też nie wierzyłem, gdy to się działo. Postradał rozum. Prochy, wysokość, do diabła, sam nie wiem co jeszcze. Dotarłem do lodowej jaskini. Byłem przerażony. Byłem wściekły. Przyszedł za mną.
- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?
- Przypuszczałem, że mi nie uwierzysz. Wybrałem prostsze rozwiązanie. Zrobiłbyś to samo.
- Nie wiem. – Max przeczesał palcami przerzedzone włosy.
- Też byś tak zrobił. Trzymałeś buzię na kłódkę, bo myślałeś, że wpadł w przepaść. Zgodziłeś się nikomu o niczym nie mówić. Patrick Galloway odszedł, nikt nie wie, co się z nim stało. Koniec, kropka. JL – Nie wiem, dlaczego się zgodziłem.
- Przydały ci się trzy tysiące na twoją gazetę, prawda? Max zarumienił się

i wbił wzrok w kubek.

– Może źle zrobiłem, że je przyjąłem. Myślę, że tak. Po prostu chciałem wtedy o wszystkim zapomnieć. Próbowałem od czegoś tu zacząć. Nie znałem go zbyt dobrze. Odszedł, nim zdążyłem go poznać. Nie mogliśmy tego zmienić, więc właściwie nie było sprawy. Na dodatek powiedziałaś, iż jeśli przyznamy się komuś, że byliśmy w górach i że on tam umarł, będzie dochodzenie.

– Bo byłoby. Wyszłoby wtedy na jaw, że braliśmy prochy. Dobrze o tym wiesz, Max. Nie mogłeś sobie pozwolić na następną wpadkę. Nie mogłeś sobie pozwolić na to, by gliniarze zastanawiali się, czy ty... albo któryś z nas... nie jest odpowiedzialny za śmierć Pata. On nie żył, i to nadal jest prawdą, nie sądzisz?

– Tak, ale teraz...

– Musiałem się bronić. Wszedł za mną z nożem. Wszedł za mną do jaskini. Powiedział, że góra żąda ofiary. Próbowałem uciec, nie mogłem. Chwyciłem czekan i... – Objął palcami kubek i udał, że pije. – O Boże!

– Działałeś w obronie własnej. Potwierdzę twoje zeznania.

– Jak? Przecież cię tam nie było.

Max wypił whisky do dna, a na jego skroni pojawiły się kropelki potu.

– Odkryją, że byliśmy w górach. Wszczęli dochodzenie. Teraz zajmują się tym gliniarze, którzy wcześniej czy później odkryją prawdę. Sprawdzą każdy szczegół. Może odnajdą pilota, który nas tam zawiózł.

– Nie sądzę.

– Wszystko wskazuje na morderstwo, dlatego będą grzebać. Tak długo będą grzebać, aż nas zidentyfikują. Ludzie widzieli nas razem z nim w Anchorage. Mogą sobie przypomnieć. Lepiej będzie, jeśli sami się przyznamy, opowiemy całą historię, wyjaśnimy, co się stało. Zanim oskarżą jednego albo obu z nas o morderstwo. Cieszymy się dobrą reputacją, mamy odpowiednią pozycję społeczną, pracę. Jezu, muszę myśleć o Carrie i dzieciach. Muszę powiedzieć Carrie, wyjaśnić jej wszystko, nim pójdziemy na policję.

– Jak sądzisz, co się stanie z naszą reputacją i naszą pozycją, gdy ta sprawa wyjdzie na jaw?

– Możemy to przetrwać, jeśli sami zgłosimy się na policję i wszystko im opowiemy.

– Tak chcesz to rozegrać?

– Tak musimy to rozegrać – powiedział Max z naciskiem. – Myślą o tym, odkąd go znaleźli. Wszystko już sobie ułożyłem. Musimy iść na policję, nim

zaczną nas szukać.

– Może masz rację. Może.

Odstawił kubek i wstał, jakby chciał przejść się tam i z powrotem za plecami Maxa. Przy okazji wyjął z kieszeni rękawiczkę, po czym wsunął ją na prawą rękę.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Żeby pomyśleć. Żeby wszystko sobie poukładać, na wypadek...

– Zaczekajmy jeszcze dzień. – Max ponownie sięgnął po butelkę. – Nie musimy się aż tak bardzo spieszyć. Najpierw pójdziemy do komendanta Burke'a, żeby mieć go po swojej stronie.

– Myślisz, że to pomoże? Teraz w jego łagodnym głosie słychać było lekkie rozbawienie.

– Tak. Naprawdę. – Ja wolę inne rozwiązanie.

Stojąc za plecami Maxa, chwycił jego prawą rękę, włożył w nią rewolwer i zacisnął na niej palce. Obejmując lewą ręką szyję przyjaciela, przystawił mu lufę do skroni. Max, zaszokowany, gwałtownie odsunął się do tyłu i usiłował nabrać powietrza w płuca. Wtedy on pociągnął za spust.

Strzał odbił się echem w małym pomieszczeniu. Poczł drżenie ręki, mimo to dociskał nadal mdlejące palce Maxa do spustu. Odciski palców – pomyślał. Jego myśli były przejrzyste jak szkło, pomimo faktu, że drżał. Poczł w ustach smak prochu. Rozluźnił uścisk, wtedy głowa Maxa opadła na biurko, a rewolwer stuknął o podłogę obok krzesła.

Ostrożnie, nie zdejmując rękawiczki, włączył komputer i otworzył dokument, który napisał, czekając na przyjaciela.

Nie mogę dłużej żyć z tą świadomością. Jego duch wciąż mnie prześladowa i co noc wraca w snach. Żałuję tego, co zrobiłem. Przepraszam wszystkich, których przy okazji skrzywdziłem.

Wybaczcie mi.

Zabiłem Patricka Gallowaya, pora, żebym poszedł za nim do piekła.

Maxwell Hawbaker Proste i jasne. Wprowadził ostatnie poprawki i zostawił włączony komputer. Światło z ekranu i blask lampki biurkowej odbijały się od krwi i mózgu.

Schował zabrudzoną rękawiczkę do plastikowej torebki, wsunął ją do kieszeni kurtki i ubrał się. Włożył czyste rękawiczki, czapkę, szalik, potem zabrał kubek do kawy – jedyną rzecz w tym pomieszczeniu, której dotykał bez rękawiczek.

Wszedł do łazienki, wylał whisky do umywalki i splukał kubek wodą. Potem wytarł go do sucha, odniósł z powrotem do biura i postawił na miejsce.

Na widok Maxa klucha uwięzła mu w gardle, ale przełknął ją i jeszcze przez chwilę stał spokojnie, sprawdzając wszystkie szczegóły. Zadowolony, że niczego nie przeoczył, oddalił się drogą, którą się tu dostał.

Wędrował bocznymi uliczkami, ukrywając twarz za szalikiem, opuścił też nisko czapkę, na wypadek gdyby ktoś wyjrzał przez okno.

Na niebie mieniła się zorza polarna.

Wmawiał sobie, że zrobił to, co musiał. Teraz sprawa była zakończona.

Kiedy dotarł do domu, zmył z siebie zapach prochu i krwi, po czym wypił małą whisky, obserwując, jak w kominku płonie stara rękawiczka.

Zlikwidował ostatni ślad, mógł więc zapomnieć o całej sprawie.

Spał snem niewiniątka.

Carrie po drodze do redakcji wstąpiła do Lodge i kupiła dwie bułki z bekonem i jajkami. Po przebudzeniu się, ku własnemu zaskoczeniu i pewnemu zdenerwowaniu, zauważyła, że Max już wyszedł. Co prawda często zdarzało się, że wieczorem wracał do redakcji i tam spędzał noc albo wychodził wczesnym rankiem, zanim ona i dzieci zdążyli się pobudzić.

Zawsze jednak w takich wypadkach zostawiał na poduszce jakiś słodki albo głupawy liścik.

Tego ranka nic jej nie napisał, a kiedy dzwoniła do redakcji, nie podnosił słuchawki.

To do niego niepodobne. Chociaż, z drugiej strony, od kilku dni był jakiś nieswój. To też zaczynało ją drażnić.

Od chwili, kiedy znaleziono zwłoki Patricka Gallowaya, szykowała się wielka afera. Rzekome zwłoki Patricka Gallowaya – przypomniała sobie. Ona i Max musieli podjąć decyzję, w jaki sposób to wszystko opisać, ile miejsca poświęcić najnowszym wydarzeniom... i czy aby przez przypadek nie powinni ruszyć tyłków i pojechać do Anchorage, gdy tylko ciało Pata zostanie zwiezione z gór.

Carrie przejrzała już stare zdjęcia i odłożyła kilka, na których był Pat. Będą potrzebne do artykułu.

Miała również gotowe fotografie trzech chłopców, którzy odnaleźli zwłoki. Trzeba będzie przeprowadzić z nimi wywiad, a przynajmniej porozmawiać ze Stevenem Wise'em, który pochodził przecież z Lunacy. Woląaby, żeby zrobił to Max, ponieważ lepiej prowadził wywiady niż ona.

Max nie chciał w ogóle dyskutować z nią na ten temat. Nawet warknął, gdy próbowała coś powiedzieć.

Pora, żeby poszedł do szpitala i przeprowadził badania. Ostatnio miał jakieś kłopoty z żołądkiem, kiepsko jadł i sypiał. Niegdyś nie miał takich problemów. Jeśli dobrze sobie przypominała, wszystko zaczęło się, gdy do miasteczka dotarła wiadomość o Gallowayu.

Może dlatego, że obaj panowie byli w tym samym wieku – rozważała, zatrzymując się przy krawężniku obok redakcji „The Lunatic”. I że trochę się znali. Prawdę mówiąc, zdążyli się zaprzyjaźnić, chociaż Max przyjechał do Lunacy zaledwie kilka miesięcy wcześniej, nim Pat... odszedł. Lepiej odłożyć tę sprawę na później, póki nie będą znali wszystkich faktów.

Nie rozumiała tylko, dlaczego Max miałby się na niej odgrywać za to, że właśnie wszedł w smugę cienia, czy jak to się tam nazywa.

Prawdę mówiąc, Carrie знаła Pata dłużej niż Max i wcale nie wpada z tego powodu w panikę. Oczywiście, było jej przykro z powodu Charlene i Meg (z nimi też trzeba będzie przeprowadzić wywiad). Miała zamiar osobiście złożyć obu paniom kondolencje, gdy tylko będzie ku temu okazja.

Trzeba jednak przyznać, że historia Pata to prawdziwa sensacja. Sensacja, którą ona i Max powinni starannie rozpracować i dokładnie opisać w gazecie. Na litość boską, mają przecież ogromny atut – Pat był mieszkańcem ich miasteczka. Jeśli się dobrze spiszą, ich artykuły zostaną podchwyczone przez inne środki masowego przekazu.

No cóż, sama umówi Maxa na wizytę kontrolną u lekarza, a potem dopilnuje, żeby mąż na nią poszedł. Czeka ich mnóstwo pracy, zwłaszcza że oprócz historii Gallowaya wkrótce czeka ich Iditarod. Boże, już luty, zbliża się pierwszy marca. Muszą zacząć się przygotowywać, jeśli chcą przekazywać naprawdę ciekawe relacje z dorocznego alaskiego wyścigu psich zaprzęgów.

Do tego czasu Max musi być w idealnej formie, a jeśli będzie to konieczne, gotowa przypominać mu o tym, nie szczędząc gardła ani płuc.

Wysiadła z samochodu. Z torby unosiły się wspaniałe zapachy, a na papierze zaczęły się już pojawiać tłuste plamy. Potrząsnęła głową, widząc nikłą smugę światła w głębi pomieszczeń redakcyjnych. Mogła się założyć, że Max znów zasnął przy biurku. Cześć, Carrie!

– Cześć, Jim!

Zatrzymała się na chodniku, żeby porozmawiać z barmanem.

– Tak wcześniej, a ty już na nogach??’

– Musiałem zrobić zakupy. – Kiwnięciem głowy wskazał „Sklep na Rogu”. – Zapowiadają dobrą pogodę, więc chciałbym wybrać się na ryby. – Zerknął na okna redakcji i dochodzące stamtąd światło. – Wygląda na to, że ktoś wstał jeszcze wcześniej niż ja.

– Znasz Maxa.

– Poluje na sensację – powiedział, porozumiewawczo mrugając okiem. – Cześć, Profesorze. Tak wcześniej do szkoły?

John podszedł do nich.

– Wcale nie tak wcześniej, poza tym przyszło mi na myśl, że przejdę się trochę, póki jeszcze można. Zapowiadają na dzisiaj poniżej minus trzydziestu pięciu stopni.

– Wiosna się zbliża – oznajmiła Carrie. – Wystygnie nam śniadanie. Chyba lepiej pójde obudzić Maxa.

– Macie coś ciekawego na temat Gallowaya? – spytał John.

Wyjęła klucze.

– Jeśli dowiemy się czegoś interesującego, zamieścimy w następnym numerze. Powinien być dobry.

Weszła do środka i włączyła światło.

– Max! Wstawaj!

Chcąc uwolnić ręce, chwyciła torbę z jedzeniem w zęby.. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na kołku, po czym rękawiczki wsunęła do jednej kieszeni, a czapkę do drugiej.

Z przyzwyczajenia poprawiła włosy.

– Max! – zawołała ponownie, zatrzymując się przy swoim biurku, żeby włączyć komputer. – Mam śniadanie. Sama nie wiem, czemu jestem dla ciebie taka dobra, zwłaszcza że ostatnio zachowujesz się jak wkurzony niedźwiedź, którego boli brzuch.

Odstawiła torbę, podeszła do ekspresu, wyjęła dzbanek i powędrowała z nim do łazienki, żeby napełnić go wodą.

– Mam kanapki z bekonem i jajkami. Właśnie spotkałam na ulicy Chudego Jima i Profesora. Prawdę mówiąc, wcześniej spotkałam Profesora w Lodge, gdzie zajadał płatki owsiane. Sprawia wrażenie znacznie weselszego. Ciekawe, czy liczy na to, że teraz Charlene rzuci mu się w ramiona, bo nie może już liczyć na powrót swojego dawnego ukochanego? Biedny John.

Włączyła ekspres, potem wyjęła serwetki i papierowe talerze na kanapki. Po cichu nuciła Tiny Dancer Eltona Johna, piosenkę, którą słyszała w radiu w samochodzie.

– Maxwellu Hawbakerze, nie wiem czemu wciąż cię toleruję. Jeśli dalej będziesz taki niemiły i naburmuszony, poszukam sobie szczęśliwszego, młodszego faceta. Zobaczysz, że to zrobię.

Trzymając w każdej ręce talerzyk z kanapką, ruszyła w stronę biura Maxa na tyłach redakcji.

– Ale zanim cię porzucę i wdam się w szalony, namiętny romans z jakimś dwudziestopięcioletnim ogierem, mam zamiar zawlec twój głupi tyłek do przychodni na...

Zatrzymała się w drzwiach, bezwładne ręce opadły, a kanapki zsunęły się z talerzyków na ziemię. Poprzez potworny huk w uszach usłyszała własny krzyk.

Nate pił drugą filiżankę kawy i zastanawiał się z Jesse'em, jakich klocków lego użyć do dalszej budowy zamku, który tego ranka wspólnie wznosili. Pierwszą kawę wypił u Meg i myślami wciąż był przy niej.

Miała lecieć dzisiaj na pomoc, zawieźć jakiś towar, potem zatrzymać się w Fairbanks i zrobić zakupy dla mieszkańców miasteczka. Płacili jej pięć procent od wartości zakupów, dzięki czemu mogli sobie oszczędzić wyprawy do któregoś z dużych miast – co zimą nie zawsze było możliwe – i mieli zapewniony dowóz towaru pod drzwi.

Meg wyjaśniła, że pieniądze te stanowią niewielki, ale regularny dochód w jej interesie.

Tego ranka zajrzał do jej biura. Było równie stylowe jak jej dom, wygodne i funkcjonalne.

Mocne, podobne do paki biurko, masywny, czarny komputer z dużym, płaskim ekranem. Skóra, wygodne krzesło i staroświecki zegar z wahadłem, a na ścianie dużo ołówkowych szkiców w czarnych ramkach.

Stała tam też ogromna roślina, której liście przypominały długie, zielone języki. Lśniącą, czerwoną doniczką kontrastowała ze śnieżnobiałymi szafkami na dokumenty, a w oknie wisiała kryształowa ozdóbka w kształcie gwiazdy.

Nate uznał, że biuro Meg jest kobiece, a jednocześnie bardzo praktyczne.

Nie robili żadnych planów na później. Meg nie chciała niczego planować, a Nate niczego nie forsował. Zresztą sam potrzebował nieco czasu, by wszystko

przemyśleć. Zastanowić się, w jakim kierunku zmierzają albo mogą zmierzać.

Jego wiedza na temat kobiet była żałośnie mała. Może teraz miał szansę nieco ją poszerzyć. Może właśnie nadeszła odpowiednia pora. Czuł, że coś budzi się w nim z długiego, ponurego snu. Skąd miał wiedzieć, czy to coś jest realne? A jeśli nawet tak, jak długo zdoła to wszystko utrzymać w takim stanie?

Czy chce utrzymać to w takim stanie?

Lepiej na razie wypić kawę, zjeść śniadanie i zbudować zamek z klocków z dzieckiem, które po prostu cieszy się, że ma towarzystwo.

– Każdy zamek powinien mieć most – oznajmił Jesse. – Taki most, który się podnosi i opuszcza.

– Zwodzony? – Nate wrócił myślami do budowy zamku. – Może uda nam się go zrobić. Potrzebny byłby tylko kawałek żyłki.

Chłopiec spojrzał na Nate'a i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– W porządku! Się robi, szefie.

Obok pojawiła się Rose i postawiła na stole talerz. Nate zauważył, że przy okazji lekko się skrzywiła.

– Dobrze się czujesz?

– Trochę pobolewają mnie krzyże. Tak samo było przy nim. – Rozczochrała czuprynę syna.

– Może powinnaś iść do lekarza?

– Mam dzisiaj wizytę kontrolną. Jesse, pozwól panu komendantowi zjeść śniadanie, póki jest jeszcze ciepłe.

– Potrzebna nam żyłka na most zwodzony. Jeszcze przez chwilę trzymała dłoń na głowie malca.

– Znajdzie się.

Uniosła głowę, ponieważ nagle w drzwiach pojawił się Chudy Jim.

– Co się stało, Jim?

– Panie komendancie! Panie komendancie! Proszę ze mną. Szybko! Do redakcji. Max. O mój Boże!

– Co się stało?

W tym samym momencie wyciągnął rękę. Dostrzegł kredowobiałą twarz Jima i jego oszalałe z przerażenia, błyszczące oczy. Musiało się stać coś naprawdę złego – pomyślał Nate. Tymczasem u jego boku siedział rozkoszny malec z rozchylonymi różowymi usteczkami w kształcie litery „o”.

– Zaczekaj!

Błyskawicznie wstał i porwał z wieszaka kurtkę.

– Chodźmy na zewnątrz.

Chwycił rozdygotanego Jima i wyciągnął go za drzwi.

– O co chodzi?

– On nie żyje. Słodki Jezu! Max nie żyje! Zastrzelony. Nie ma... nie ma sporej części głowy.

Nate podtrzymał Jima, pod którym ugięły się nogi.

– Max Hawbaker? To ty go znalazłeś?

– Tak. Nie. To znaczy tak, Max. Nie ja, Carrie. Carrie go znalazła. Usłyszeliśmy jej krzyk. Weszła do środka, a Profesor i ja staliśmy jeszcze przez chwilę na chodniku. Nagle zaczęła krzyczeć, jakby ktoś ją mordował. Wbiegliśmy i... i...

Nate ciągnął go ulicą.

– Dotykałeś czegokolwiek?

– Słucham? Chyba nie. Nie. Profesor kazał mi iść do Lodge i jak najszybciej pana przyprowadzić. Tak też zrobiłem. – Szybko i często przełykał ślinę. – Chyba zaraz zwymiotuję.

– Nie, nic z tego. Pójdiesz na posterunek i sprowadzisz Ottona. Powiesz mu dokładnie to samo, co mnie. Kazesz mu zabrać aparat fotograficzny, kilka torebek na dowody, plastikowe rękawiczki i żółtą taśmę. Po prostu powiedz mu, że potrzebne jest całe wyposażenie, jakiego normalnie używa się na miejscu wypadku. Zapamiętasz?

– Ja... tak. Tak, tak. Już biegnę.

– Potem zostań na posterunku. Nie ruszaj się stamtąd, póki nie przyjdę, żeby spisać twoje zeznania. Nie rozmawiaj z nikim innym. Idź już.

Nate skręcił w stronę redakcji i przyspieszył kroku. Działał jak automat, zdając sobie sprawę, że w tym momencie najważniejsze jest to, by zabezpieczyć miejsce całego wydarzenia. Z tego, co wiedział, w obecnej chwili w redakcji znajdowały się dwie osoby, co oznaczało, że ktoś mógł już coś ruszyć, czegoś dotknąć.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi. John klęczał na podłodze obok szlochającej Carrie. Profesor wciąż miał na sobie kurtkę, zdążył jedynie zdjąć rękawiczki, i właśnie przyciskał do ust Carrie szklanekę z wodą. Uniósł głowę. Na widok Nate przez jego twarz przemknął cień ulgi.

– Dzięki Bogu – westchnął. – Max. Jest tam, na tyłach.

– Zostańcie tutaj. Przypilnuj, żeby Carrie nigdzie się stąd nie ruszała.

Wędrując w stronę biura na tyłach, Nate czuł zapach śmierci. Zawsze go wyczuwał. Nie – poprawił się – to nieprawda. W lodowej grocie Gallowaya nie będzie żadnego zapachu. Wszystkim zajęła się tam matka natura.

Jednak w przypadku śmierci Maxa Hawbakera Nate najpierw wyczuł jej zapach, nim cokolwiek zobaczył. W powietrzu unosiła się również woń smażonego jajka i bekonu. Tuż przy progu leżały na podłodze dwie bułki.

Nate stanął w drzwiach i uważnie zlustrował cały pokój, następnie ułożenie ciała, rewolweru i wygląd rany. Wszystko wskazywało na samobójstwo. Wiedział jednak, że pierwszy podszept na miejscu wypadku często nie ma nic wspólnego z prawdą.

Wszedł do środka i przesuwiał się ostrożnie wzdłuż ścian. Starał się dokładnie zapamiętać wygląd plam krwi na krześle, ekranie komputera i klawiaturze. Kałużę z rany w głowie, krew, która wypłynęła na biurko, a z niego na podłogę, nim śmierć ostatecznie wstrzymała pracę serca.

Zauważył ślady po prochu. Broń kalibru dwadzieścia dwa prawdopodobnie została przystawiona bezpośrednio do skroni. Kula nie wyleciała drugą stroną. I w przeciwieństwie do tego, co powiedział Jim, głowa wcale nie została tak bardzo uszkodzona. Wlot był stosunkowo niewielki, a potem pocisk wyraźnie przeszył mózg i przez jakiś czas obijał się po czaszce jak bila, nim wpadnie do łuzi.

Prawdopodobnie Max nie żył już w chwili, kiedy jego głowa opadła na biurko.

Zauważywszy na ekranie kolorowy wzór wygaszacza, Nate wyjął z kieszeni długopis, podszedł bliżej i szturchnął myszkę.

Na ekranie pojawił się dokument.

Czytając go, Nate przymrużył oczy, potem spojrzał z góry na człowieka, który twierdził, że zabił Patricka Gallowaya.

Kiedy Otto pojawił się w drzwiach redakcji, Nate kazał mu zaczekać, potem podszedł do Carrie i przykucnął przy niej podobnie jak John.

– Carrie.

– Max! Max! – Uniosła czerwone, pełne przerażenia oczy. – Max nie żyje. Ktoś...

– Wiem. Bardzo mi przykro. – Zacisnął dłoń na jej palcach. – Muszę się nim zająć. Idź na posterunek i czekaj tam na mnie.

– Ale Max! Nie mogę zostawić Maxa.

– Zostanie ze mną. Zajmę się nim. John pomoże ci włożyć kurtkę, a potem on i Otto zaprowadzą cię na posterunek. Ja przyjdę tam tak szybko, jak będę mógł. Idź i zaczekaj na mnie.

Patrzyła na niego tępo. W jej oczach wciąż było widać szok.

– Mam na ciebie poczekać.

– Tak.

Carrie na razie wykonała polecenie Nate'a. Pod wpływem szoku i przerażenia była posłuszna. Przynajmniej przez chwilę.

– Otto?

Nate wstał i wrócił na tyły.

– Dobry Boże! – szepnął Otto.

– Chcę, żebyś zabrał Carrie i Johna na posterunek. Jim już tam jest, prawda?

– Taak. – Otto głośno przełknął ślinę. – Jezu, panie komendancie.

– Nie wypuszczaj ich z posterunku, ale trzymaj ich osobno. Niech Peach zajmie się Carrie. Zadzwoń do Petera i każ mu przyjść prosto tutaj.

– Po co? Przecież ja już tu jestem, a Peter może odprowadzić całe stadko na posterunek...

– Chcę, żebyś zaczął spisywać ich zeznania. Ty poradzisz sobie z tym lepiej niż Peter. Zaczynaj od Jima. Jeszcze jedno, przyślij mi tu doktora. Skontaktuj się z Kenem i każ mu przyjść prosto tutaj. Jest mi potrzebny. Nie chcę żadnych pomyłek, no i zależy mi na tym, żeby utrzymać całą sprawę w tajemnicy, dopóki miejsce wypadku nie zostanie odpowiednio zabezpieczone, a zeznania nie znajdą się w teczce. Wykorzystaj w tym celu magnetofon. Podaj datę i czas, notatki rób tylko pomocniczo. Trzymaj całą trójkę na posterunku, byle osobno. Niech zaczekają, aż wrócę. Zrozumiałeś?

– Taak. – Przetarł ręką usta. – Dlaczego, do diabła, Max popełnił samobójstwo? Bo to właśnie zrobił, prawda? Palnął sobie w łeb.

– Najpierw musimy sprawdzić wszystko na miejscu wypadku i zebrać zeznania świadków, Otto. Róbmy wszystko po kolei.

Kiedy został sam, wziął do ręki aparat, który przyniósł Otto, i zaczął fotografować gabinet Maxa. Kiedy skończył mu się film, wymienił go i pstrykał dalej.

Potem wyjął notes i zapisał wszystkie szczegóły, a więc że tylne drzwi były otwarte, kaliber rewolweru, tekst na ekranie. Z grubsza wykonał szkic pokoju,

zaznaczył pozycję, w jakiej znajdowało się ciało, miejsce, gdzie leżał rewolwer, stała lampka, butelka whisky i kubek na kawę.

Właśnie wachał butelkę oraz kubek, gdy pojawił się Peter.

– Weź taśmę, Peterze. Chcę, żebyś okleił nią drzwi wejściowe i tylne.

– Przyszedłem tak szybko, jak mogłem. Otto powiedział... Urwał i jak wryty stanął w drzwiach.

Gdy jego twarz zrobiła się zielona, Nate warknął na niego.

– Tylko nie próbuj mi tu wymiotować. Jeśli musisz, zrób to na zewnątrz i zabierz taśmę ze sobą.

Peter odchylił się do tyłu, wbił wzrok w ścianę i przez chwilę głośno oddychał.

– Otto powiedział mi, że Max popełnił samobójstwo, ale nie przypuszczałem...

– Jeszcze nie określiliśmy rodzaju śmierci. Na razie wiemy tylko, że Max nie żyje. Musimy zabezpieczyć miejsce całego zdarzenia. Nikt nie może tu wejść oprócz lekarza. Jasne?

– Tak jest, sir.

Peter wyjął żółtą taśmę z torby, do której Otto wrzucił mu wszystkie potrzebne rzeczy, i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

– Na pewno będzie się chciała tobą zająć policja stanowa, Max – mruknął Nate. – Wszystko wygląda tak, jakbyś przygotował dla nich prezent z pieprzoną kokardką na wierzchu. Może to właśnie zrobiłeś, ale ja nie bardzo wierzę w kokardki.

Wyszedł i nadal nie zdejmując rękawiczek, zadzwonił do Anchorage, do sierżanta Cobena.

– Nikomu nie oddam zwłok, póki nie przyleci pan z Anchorage – powiedział po zrelacjonowaniu Cobenowi całego wydarzenia. – Do tego czasu może się pan zdać na mnie. Wie pan dobrze, że mam odpowiednie kwalifikacje. Zabezpieczyłem miejsce zdarzenia i wezwałem lekarza. Zbieram dowody i wkrótce każę odtransportować zwłoki do przychodni. Wszystko będzie do waszej dyspozycji, gdy tylko tu przybędziecie.

Kiedy Ken pojawił się w drzwiach, Nate machnął ręką, żeby wszedł.

– W zamian za to oczekuję, że potraktuje mnie pan dokładnie tak samo, jeśli chodzi o dochodzenie w sprawie Gallowaya. To moje miasto, panie sierżancie. Obaj chcemy rozwiązać tę trudną zagadkę., ale żeby nam się to udało, musimy dzielić się informacjami. Będę na pana czekał. Odłożył słuchawkę.

– Chcę, żebyś rzucił okiem na ciało. Czy potrafisz chociaż w przybliżeniu określić czas śmierci?

– A więc to prawda. Max nie żyje. – Ken podsunął okulary na nosie. – Nigdy wcześniej nie robiłem niczego takiego, ale powinno mi się udać określić orientacyjny czas.

– To mi wystarczy. Załóż je – powiedział, podając lekarzowi rękawiczki. – To nie wygląda ładnie – uprzedził.

Ken przekroczył próg, potem przez chwilę stał w bezruchu i próbował nad sobą zapanować.

– Miałem wcześniej do czynienia z ranami postrzałowymi, ale nie z takimi i nie u osoby, którą znałem. Dlaczego, do diabła, on to zrobił? Wiem, że ludzie z trudem znoszą tutejsze zimy, ale Max przeżył ich już tyle. Gorsze niż ta. Nie cierpiał na depresję. Carrie na pewno by mi coś powiedziała albo sam bym to zauważył.

Zerknął na Nate'a.

– Nigdy nie myślałem o samobójstwie. Zbyt duży wysiłek. Jeśli zmienię zdanie, powiem ci.

– Lepiej się czujesz?

– Od kilku dni. Gotowy? Ken wyprostował plecy.

– Tak, dzięki. – Wszedł głębiej. – Mogę go dotknąć? Poruszyć?

Nate miał zdjęcia, a z braku kredy obrysował ciało taśmą, dlatego przytaknął.

Ken pochylił się i unióśł jedną z rąk Maxa. Szczypnął skórę.

– Powiedziałbym więcej, gdybym mógł zabrać go do przychodni, a tam rozebrać i wykonać dokładniejsze badanie.

– Będiesz mógł to zrobić. Na razie podaj mi przybliżony czas.

– No cóż, biorąc pod uwagę to, czego nauczyłem się na studiach, uwzględniając temperaturę w pomieszczeniu i stopień zeszywnienia ciała, jakieś osiem do dwunastu godzin. To naprawdę brzydko wygląda, Nate.

– Czyli gdzieś między dziewiątą wieczorem a pierwszą w nocy. To mi wystarczy. Może zeznania Carrie uściślą nieco czas. Wyślę Petera po worek na zwłoki. Chcę, żebyś umieścił je w jakimś bezpiecznym i... zimnym miejscu.

– Mam pomieszczenie, którego używamy jako prowizorycznej kostnicy, gdy ktoś umrze.

– To dobrze. Chcę, żebyś z nikim na ten temat nie rozmawiał. Trzymaj go pod kluczem, póki tam nie przyjdę.

Dopilnował transportu zwłok, skopiował notatkę na komputerze i dopiero potem go wyłączył. Zamknawszy drzwi redakcji, skierował kroki prosto na posterunek.

Po drodze wpadła na niego Hopp.

– Chcę wiedzieć, co się tu, do diabła, dzieje!

– Wciąż nad tym pracuję. Mogę ci tylko powiedzieć, że Max Hawbaker nie żyje. Znalaziono go dziś rano w jego biurze w redakcji. Powodem śmierci był strzał w głowę. Możliwe, że zrobił to sam.

– O Boże! Cholera jasna! Możliwe?

Niemal biegła, żeby dotrzymać mu kroku. Kiedy Nate za bardzo zaczął ją wyprzedzać, pociągała go za rękaw.

– Co to znaczy „możliwe”? Podejrzewasz, że został zamordowany?

– Nie powiedziałem tego. Na razie badam sprawę, Hopp. Zawiadomiłem policję stanową. Przyjadą za kilka godzin. Kiedy będę wiedział, co się stało, powiem ci. Pozwól mi robić to, co do mnie należy.

Otworzył drzwi posterunku i zamknął je przed nosem pani burmistrz.

W arktycznym przedsionku przez dobrą chwilę się rozbierał, próbując uporządkować myśli. Słońce już wstało. Zgodnie z przewidywaniami meteorologów zaczął się słoneczny dzień.

Dzisiaj zwiozą z gór Gallowaya – pomyślał. I być może przylecą po zwłoki jego mordercy.

Otworzył wewnętrzne drzwi. John siedział na jednym z krzeseł i czytał kieszonkowe wydanie Watership Down. Na widok Nate'a poderwał się na równe nogi i wsunął książkę do tylnej kieszeni, nawet nie zaznaczając miejsca, w którym przerwał czytanie.

– Peach zabrała Carrie do twojego biura. Otto siedzi w celi z Jimem. Nie, nie zamykali się – dodał szybko. Potem westchnął. – Mam problemy z myśleniem.

– Otto spisał już twoje zeznanie?

– Tak. Nie miałem mu zbyt dużo do powiedzenia. Po wyjściu z Lodge na piechotę szedłem do szkoły. Zobaczyłem Jima i Carrie, więc zatrzymałem się na chwilę, żeby z nimi porozmawiać. Carrie miała w torbie śniadanie. W biurze Maxa świeciło się światło. Przez okno widać było lekki odblask. Kiedy weszła do środka, obaj z Jimem jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy na chodniku. Mówił, że ma zamiar kupić przynętę i wybrać się na ryby. Lubi się ze mną przekomarzać, ponieważ ani nie poluje, ani nie łowię.

Zaczął pocierać lewy policzek, jakby go bolał.

– Nagle usłyszeliśmy krzyk Carrie. Wbiegliśmy do środka. Wtedy go zobaczyliśmy. To znaczy zobaczyliśmy Maxa.

Zamknął oczy, wziął kilka wdechów.

– Przepraszam. Nigdy wcześniej nie widziałem nieboszczyka... to znaczy widziałem, ale zawsze był już wcześniej... odpowiednio przygotowany.

– Nie musisz się spieszyć.

– Odciągnąłem Carrie do tyłu. Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić. Potem powiedziałem: „Jim, komendant jest w Lodge. Idź po niego”. Carrie wpadła w histerię. Posadziłem ją i początkowo mocno trzymałem, ponieważ wrywała się i chciała wrócić do Maxa. Potem przyniosłem jej trochę wody i siedziałem przy niej, póki nie przyszedłeś. To wszystko.

– Czy ktoś z was wchodził do biura Maxa?

– Nie. To znaczy Carrie przez chwilę tam była. Stała... sam nie wiem... krok, może dwa od drzwi. W każdej ręce trzymała papierowy talerz. Bułki upadły na podłogę, a ona stała, krzycząc, z talerzem w każdej ręce.

– Ile czasu zajęło wam dotarcie do Carrie?

– Może trzydzieści sekund, Nate. Krzyczała, jakby ktoś kroił ją nożem na kawałki. Obaj zareagowaliśmy natychmiast. Jednocześnie wpadliśmy w drzwi. Myślę, że nie trwało to nawet trzydziestu sekund.

– W porządku. Możliwe, że jeszcze będę chciał z tobą porozmawiać, może również będą chcieli cię przesłuchać gliniarze z policji stanowej. Bądź pod ręką. Chciałbym na razie zachować to w tajemnicy. Chyba nie ma na to żadnych szans, ale chciałbym.

– Idę do szkoły. – Bezwiednie zerknął na zegarek. – Już jestem spóźniony, ale może uda mi się chociaż na chwilę zapomnieć o wszystkim. Będę tam przez większość dnia.

– Jestem ci wdzięczny za pomoc.

– Zawsze sprawiał wrażenie nieszkodliwego – powiedział John, sięgając po kurtkę. – Dobrodusznego, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Lubił sensacje. Plotki, dziwactwa. Interesowało go, kto się urodził. Kto umarł. Powiedziałbym, że był szczęśliwym człowiekiem, pochłoniętym redagowaniem gazety i wychowywaniem dzieci.

– Czasami trudno dostrzec, co kryje się pod powierzchnią.

– Bez wątplenia.

Jim potwierdził opowieść Johna. Kiedy Nate odesłał barmana z Lodge, usiadł na pryczy obok Ottona.

– Wysłałem Petera do szpitala. Zależy mi na tym, żeby został tam przez jakiś czas. Jest trochę roztrzęsiony. To było dla niego ciężkie przeżycie. Chcę, żebyś zaczął rozpytywać się wśród mieszkańców. Zacznij od budynku redakcji, porozmawiaj z ludźmi, którzy mieszkają w pobliżu. Spytaj, czy ktoś słyszał w nocy strzał. Na razie przyjmujemy, że śmierć nastąpiła między dziewiątą wieczorem a pierwszą w nocy. Chcę wiedzieć, czy ktoś widział Maxa w pobliżu budynku albo może kogoś innego. Kto? Gdzie? Kiedy? Czy słyszeli samochód albo jakieś głosy, czy w ogóle coś słyszeli albo widzieli. Chcę to wiedzieć.

– Przyjadą stanowi?

– Taak.

Twarz Ottona nagle upodobniła się do pyska buldoga.

– Myślę, że to źle.

– Źle czy dobrze, nic na to nie poradzimy. Tego wymaga procedura. Pozwól Peterowi godzinę odetchnąć, potem wciągnij go do swojej pracy. Ken na pewno będzie trzymał ciało pod kluczem. Rozmawiałeś z Carrie?

– Próbowałem. Niewiele z niej wyciągnąłem.

– W porządku. Porozmawiam z nią. – Wstał. – Otto, czy Max znał Patricka Gallowaya?

– Nie wiem. – Zmarszczył czoło. – Taak, jasne. Trudno sobie przypomnieć to, co działo się tak dawno temu, ale wydaje mi się, że Max przyjechał do Lunacy w tym samym roku, w którym zniknął Pat. W którym został zamordowany – poprawił się. – Max pracował w jakiejś gazecie w Anchorage. Potem doszedł do wniosku, że chce w jakimś małym miasteczku wydawać własne pismo. Tak czy inaczej to już historia.

– W porządku. Zacznij pytać ludzi.

Podchodząc do drzwi swojego biura, Nate usłyszał śpiew. Raczej gruchanie – poprawił się – odgłosy, jakie wydaje się nad niemowlęciem. Kiedy wszedł, zobaczył, że Carrie leży na kocu na podłodze z głową na kolanach Peach. Peach głaskała żonę Maxa po włosach i cicho pomrukiwała.

Gdy Nate wszedł, uniosła głowę.

– Robiłam, co mogłam – mruknęła. – Biedaczka jest trochę załamana. Teraz śpi. Och, przez przypadek znalazłam w twojej szufladzie xanax. Dałam jej połówkę.

Ukrył zażenowanie.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Wolałabym jej nie budzić, ale powinna być nieco spokojniejsza niż podczas rozmowy z Ottonem. Mam zostać?

– Nie, ale bądź w pobliżu.

Kiedy usiadł na podłodze, Peach zacisnęła palce na jego nadgarstku.

– Chyba nie muszę ci przypominać, żebyś był delikatny.

Masz to w sobie. Mimo to... – Urwała i pogłaskała Carrie po policzku. – Carrie? Kochanie? Obudź się.

Carrie otworzyła oczy, ale były otępiałe i rozbiegane.

– O co chodzi?

– Nate chce z tobą porozmawiać, dziecinko. Możesz usiąść?

– Nie rozumiem. – Przetarła oczy jak dziecko. – Miałam sen... – Kiedy spojrzała na Nate'a, jej oczy zasnuły się łzami. – To nie był sen. Max. Mój Max.

Głos jej się załamał. Nate wziął ją za rękę. Przykro mi, Carrie. Wiem, że to trudne, i naprawdę serdecznie ci współczuję. Napijesz się wody? Chcesz czegoś?

– Nie. Nie. Niczego mi nie potrzeba. – Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. – Niczego.

Nate wstał i pomógł Peach się podnieść.

– Gdybyś mnie potrzebował, będę tuż obok – powiedziała i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Dać ci krzesło czy wolisz siedzieć na podłodze?

– Czuję się, jakbym wciąż śniła. Wszystko wydaje się takie nierealne.

Uznał, że na podłodze będzie bliżej niej, więc usiadł obok Carrie.

– Carrie, muszę ci zadać kilka pytań. Spójrz na mnie. O której wczoraj wieczorem Max wyszedł z domu?

– Nie wiem. Nawet nie wiedziałam, że wyszedł. Zorientowałam się dopiero dzisiaj rano. Byłam nawet na niego zła. Zawsze, gdy wieczorem albo wczesnym rankiem wychodzi do pracy, zostawia mi na poduszce jakiś liścik.

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Dziś... dziś rano... dziś...

– Nie.

Ponownie wziął ją za rękę, próbując odsunąć od niej tę wizję.

– Wcześniej. Był w domu na kolacji?

– Tak. Jedliśmy chili. Max je przyrządził. Robi bardzo dobre chili. Wszyscy razem zjedliśmy kolację.

– Co robiliście potem?

– Oglądaliśmy telewizję. To znaczy ja ją oglądałam. Dzieciaki przez jakiś czas siedziały ze mną, potem Stella poszła zadzwonić do jednej ze swoich przyjaciółek, a Alex usiadł do komputera. Max był niespokojny. Powiedział, że ma zamiar poczytać książkę” ale nawet jej nie otworzył. Spytałam, o co chodzi, wtedy się na mnie zdenerwował.

Łzy popłynęły jej po policzku.

– Powiedział, że nad czymś pracuje i że mogłabym, do jasnej cholery, dać mu święty spokój. Pokłóciliśmy się. Później, gdy dzieci poszły do łóżek, Max mnie przeprosił. Miał jakiś problem, ale ja wciąż byłam na niego zła, więc nie potraktowałam go najmiej. Poszliśmy do łóżka, prawie się do siebie nie odzywając.

– Która była godzina?

– Chyba koło wpół do jedenastej. Nie, źle mówię. To ja poszłam do łóżka. Max mruknął, że chce jeszcze pooglądać CNN czy coś w tym stylu. Nie zwracałam na to uwagi, bo byłam na niego wściekła. Położyłam się wcześniej i zostawiłam go samego. Teraz go nie ma. Odszedł.

– Czyli o wpół do jedenastej wciąż był w domu. Nie słyszałaś, kiedy wyszedł?

– Od razu zasnęłam. Gdy wstałam dziś rano, zauważyłam, że nawet się nie kładł. Zawsze jakimś cudem wyciąga prześcieradło spod materaca. To doprowadza mnie do szaleństwa. Myślałam, że się obraził i spał na kanapie, ale nie było go tam. Odprowadziłam dzieci do Ginny. Dzisiaj to ona miała podrzucić wszystkie nasze pociechy do szkoły. O mój Boże! O mój Boże, dzieci!

– Nie martw się o nie. Ktoś się nimi zajmie. Jak skończę, odwiozę was wszystkich do domu. Więc przyjechałaś do miasta.

– Postanowiłam mu wybaczyć. Nie można długo gniewać się na Maxa. Przyszło mi tylko na myśl, że załatwię mu wizytę kontrolną. Od kilku dni kiepsko jadł. Zatrzymałam się, kupiłam kanapki i pojechałam do redakcji. Przez chwilę rozmawiałam z Jimem i Johnem, potem weszłam do środka i wtedy go znalazłam. Znalazłam go. Jak ktoś mógł tak skrzywdzić Maxa?

– Carrie, czy Max kiedykolwiek zostawiał tylne drzwi budynku redakcji otwarte?

– Zawsze. Po prostu zapominał ich zamknąć. „Po co się przejmować – mawiał. – Jeśli ktoś naprawdę będzie chciał wejść, po prostu wyważy drzwi”.

– Czy miał rewolwer?

– Jasne. Nawet kilka. Wszyscy tu mają broń.

– Czy miał dwudziestkędwójkę? Browninga dwudziestkędwójkę?

– Tak. Tak. Muszę odebrać dzieci.

– Jeszcze chwileczkę. Gdzie go trzymał?

– W skrytce w samochodzie. Lubił strzelać z niego do celu. Czasem w drodze z pracy do domu zatrzymywał się i strzelał do puszek. Mówił, że w ten sposób pracuje nad następnym artykułem.

– Czy kiedykolwiek mówił coś o Patricku Gallowayu?

– Oczywiście. Od kilku dni wszyscy mówią o Patricku Gallowayu.

– Nie o to mi chodzi. Czy mówił o sobie i o Gallowayu.

– Dlaczego miałby coś mówić? Znali się tylko przez jakiś czas, nim Pat zniknął.

Nate przez chwilę się zastanawiał. Była najbliższą krewną Maxa. I tak kiedyś trzeba będzie jej to powiedzieć, a skoro tak, nie ma na co czekać.

– Zostawił na ekranie komputera list.

– Jaki list?

Nate wstał i otworzył teczkę, którą położył na swoim biurku.

– Dam ci go przeczytać, ale to nie będzie łatwe, Carrie.

– Chcę go zobaczyć.

Nate wręczył jej kartkę i czekał. Zauważył, że twarz Carrie ponownie zbladła, tym razem jednak jej oczy nie były już otępiełe od szoku, ale płonął w nich ogień.

– To bzdura! Czyste szaleństwo! Kłamstwo!

Chcąc to udowodnić, poderwała się na równe nogi i podarła wydruk na kawałki.

– To wierutne kłamstwo. Powinieneś się wstydzić. Max nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził. Jak śmiesz! Jak śmiesz twierdzić, że Max kogoś zabił, a potem popełnił samobójstwo?

– Pokazuję ci tylko to, co znalazłem w jego komputerze w redakcji.

– A ja ci mówię, że to kłamstwo. Ktoś zabił mojego męża, a ty powinieneś jak najszybciej zacząć szukać mordercy, który napisał te bzdury. Jeśli w nie wierzysz, niech cię piekło pochłonie!

Wybiegła z pokoju. Kilka sekund później Nate usłyszał jej płacz.

Kiedy wychylił się ze swojego gabinetu, zobaczył Carrie w ramionach Peach.

– Dopilnuj, żeby ona i dzieci dotarli do domu – powiedział cicho, potem cofnął się w głąb swojego biura.

Przez jakiś czas stał i bacznie przyglądał się podartym kawałkom papieru na podłodze.

Hopp miała swoje biuro na ratuszu. Było niewiele większe od szafy na miotły i urządzone równie niedbale, ale ponieważ Nate chciał, żeby ich spotkanie miało charakter formalny, umówił się z nią właśnie tam.

Widząc makijaż i ciemny kostium pani burmistrz, Nate uznał, że oboje podchodzą do sprawy równie poważnie.

– Witam pana, panie komendancie.

Jej słowa przypominały warknięcia. Szorstkim gestem ręki wskazała mu krzesło.

Czuł zapach kawy unoszący się z kubka, który stał na jej biurku, i niemal pełnego dzbanka na ladzie, jednak Hopp nie zaproponowała mu poczęstunku.

– Chcę przeprosić, że dziś rano byłem wobec ciebie taki szorstki – zaczął – ale w nieodpowiednim momencie weszłaś mi w drogę.

– Przypominam ci, że pracujesz dla mnie.

– Pracuję dla mieszkańców tego miasta, a jeden z nich leży sztywny w pomieszczeniu, które od czasu do czasu pełni funkcję kostnicy. Dlatego obecnie to on jest dla mnie najważniejszy, pani burmistrz. Nie pani.

Zacisnęła wymalowane na czerwono usta. Słyszał, jak z sykiem wciągnęła powietrze w płuca.

– Tak się składa, że to ja jestem burmistrzem tego miasta i dobro jego mieszkańców leży na sercu również i mnie. Nie chodziło mi o plotki, dlatego czuję się urażona, że zostałam nieodpowiednio potraktowana.

– Kiedy zarzuciłaś mnie swoimi pytaniami, miałem do wykonania o wiele ważniejszą robotę. Między innymi ciężko pracowałem nad tym, żeby bezpośrednio po zakończeniu wstępnego dochodzenia przedstawić ci raport. Teraz mogę go już zaprezentować.

– Nie lubię, gdy jesteś taki szorstki.

– Wzajemnie.

Otworzyła usta i zamrugała powiekami.

– Widocznie twoja matka nie nauczyła cię szacunku dla starszych.

– Chyba nie chciałem się tego nauczyć. Z drugiej strony ona też mnie nie lubi.

Hopp zastukała palcami o biurko. Miała krótko obcięte, nie pomalowane paznokcie, które nie pasowały do czerwonych ust i eleganckiego kostiumu.

– Wiesz, co w tej chwili wkurza mnie najbardziej?

– Na pewno mi powiesz.

– Fakt, że już wcale nie jestem na ciebie zła. Lubię długo się na kogoś wściekać. Niestety, przed chwilą zdobyłeś punkt, mówiąc, że najważniejsi są dla ciebie mieszkańcy tego miasta.

Szanuję to, ponieważ dobrze wiem, o czym mówisz. Max był moim przyjacielem, Ignatiouse. Dobrym przyjacielem. Jestem zrozpaczona jego śmiercią.

– Wiem. Przykro mi z tego powodu, i jeszcze raz przepraszam, że nie byłem bardziej...

– Wrażliwy, uprzejmy, rozmowny?

– Wybierz to, co wolisz.

– W porządku. W takim razie możemy ustalić, co robić dalej. – Wyjęła chusteczkę i głośno wytarła nos. – Nalej sobie kawy i powiedz mi, co jest grane.

– Dzięki, ale od rana nie robię nic innego, tylko piję kawę. Z tego, co udało mi się ustalić, Max wyszedł wczoraj z domu po wpół do jedenastej wieczorem. Posprzeczał się z żoną. Nic poważnego, ale Carrie twierdzi, że Max od kilku dni był nieswój. Podobno od czasu, kiedy w miasteczku rozeszła się wieść o znalezieniu zwłok Patricka Gallowaya.

Hopp uniosła brwi, zmarszczki wokół jej ust pogłębiły się.

– Ciekawe, dlaczego. Z tego, co pamiętam, nie znali się wtedy aż tak dobrze. Owszem, wydaje mi się, że przypadli sobie do gustu, ale Max pojawił się w Lunacy zaledwie kilka miesięcy przed zniknięciem Pata.

– Nie mam żadnych dowodów, przynajmniej na razie, że Max w drodze do redakcji gdzieś się zatrzymywał. Przed pierwszą w nocy – jeśli szacunki Kena są precyzyjne – Max wpakował sobie kulkę w łeb. Mogła to również zrobić jakaś nieznana osoba albo kilka osób. Niezależnie od tego, kto był sprawcą, najnormalniej pod słońcem przyłożył lufę bezpośrednio do skroni.

– Dlaczego ktoś miałby... – Urwała gwałtownie i machnęła ręką. – Przepraszam, kontynuuj.

– Zmarły siedział przy biurku. Tylne drzwi były otwarte, ale dowiedziałem się, że nigdy ich nie zamykał. Komputer był włączony, lampka się świeciła. Na

biurku stała częściowo opróżniona butelka whisky i niemal pełen kubek z tymże alkoholem. Whisky zostanie oddana do analizy, ale nie wyczułem w niej żadnych innych substancji.

– Boże! Widziałam się z nim wczoraj rano.

– Czy sprawiał na tobie wrażenie podenerwowanego?

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie zwracałam uwagi. Ścisnęła palcami nasadę nosa, trzymała ją przez chwilę, potem puściła.

– Patrząc na to z perspektywy czasu, wydaje mi się, że był trochę zdekoncentrowany. Nie rozumiem jednak, dlaczego miałby popełnić samobójstwo. On i Carrie byli dobrym małżeństwem. Dzieci nie sprawiają im więcej kłopotu niż ich rówieśnicy. Kochał swoją gazetę. Może był chory? Może dowiedział się, że ma raka czy coś w tym rodzaju, i nie mógł się z tym pogodzić?

– Ken sześć miesięcy temu robił mu badania kontrolne. Wszystko było w porządku. Broń znaleziona na miejscu wydarzenia należała do niego i była zarejestrowana. Zdaniem jego żony przeważnie trzymał ją w schowku w samochodzie. Strzelał do celu. Żadnych śladów walki.

– Biedny Max.

Hopp wzięła następną chusteczkę, ale nie skorzystała z niej, tylko zmięła ją w kulkę.

– Co mogło doprowadzić do tego, że postanowił rozstać się z życiem, dlaczego zrobił coś takiego nie tylko sobie, ale i rodzinie?

– Na ekranie komputera zostawił list. Twierdzi w nim, że zabił Patricka Gallowaya.

– Co takiego?

Hopp tak energicznie odstawiła kubek, że kawa prysnęła na boki.

– Ignatioucie, to szaleństwo. Max?! Nie, to czyste szaleństwo.

– Niegdyś uprawiał wspinaczkę wysokogórską, prawda? Piętnaście, szesnaście lat temu.

– Tak. Tak, ale połowa mieszkańców tego miasteczka niegdyś to robiła albo obecnie robi. – Położyła dłoń płasko na biurku. – Nie wierzę, że Max kogokolwiek zabił.

– Ale byłaś gotowa uwierzyć, że popełnił samobójstwo.

– Ponieważ on nie żyje. Ponieważ, z tego co słyszałam, wszystko na to wskazuje. Ale morderstwo? To nonsens.

– Przy pomocy odpowiednich testów sprawdzimy, czy rzeczywiście użyta została dwudziestkadwójka. Zbadane zostaną odciski palców, resztki prochu. Między nami mówiąc, jestem przekonany, że badania potwierdzą samobójstwo, dlatego istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że taki właśnie będzie ostateczny wynik dochodzenia. Pozwoli to stanowczo zamknąć sprawę Maxa... i Gallowaya.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Chcę ci również powiedzieć, że ta wersja mnie nie przekonuje.

– Ignatiousie. – Przycisnęła rękę do skroni. – Sama nie wiem, co myśleć.

– To takie ładne, nieprawdaz? List pozostawiony na ekranie komputera. Każdy mógł nacisnąć kilka klawiszy. Po tylu latach poczucie winy nagle miałoby go zabić? No cóż, dotychczas całkiem nieźle sobie z nim radził. Carrie powiedziała, że ilekroć późnym wieczorem albo wczesnym rankiem wychodził do pracy, zostawiał jej na poduszce liścik. Czy człowiek, który zawsze tak robił, nie zostawiłby dla niej prywatnego listu, gdyby postanowił popełnić samobójstwo?

– Twierdzisz...

– Łatwo wyjąć rewolwer ze schowka w samochodzie, jeśli się wie, że on tam jest. Żadnego problemu nie stanowi również upozorowanie samobójstwa, pod warunkiem, że wcześniej wszystko dokładnie się przemyśli, a potem zachowa zimną krew.

– Myślisz... Boże, myślisz, że Max został zamordowany?

– Tego również nie powiedziałem. Powiedziałem, że nie ufam pozorom. Więc jeśli śmierć Maxa zostanie uznana za samobójstwo i sprawa Gallowaya zamknięta, a wynik dochodzenia nie zdoła mnie przekonać, będę starał się rozwiązać swoje wątpliwości. Ty mi płacisz, więc powinnaś wiedzieć, że być może w godzinach pracy zacznę szukać dziury w całym.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, potem jeszcze raz głośno nabrała powietrza w płuca.

– W jaki sposób mogę ci pomóc?

Na pierwszy rzut oka Nate uznał, że sierżant Roland Coben to dobry gliniarz o mniej więcej dwudziestoletnim stażu, człowiek, który niejedno już widział. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, na głowie jasnego języka, niewielki brzusek, a wokół oczu pierwsze oznaki zmęczenia. Żuł wiśniową gumę.

Przywiózł ze sobą dwuosobową grupę dochodzeniową. Obaj jego oficerowie starannie przeczesali biuro Maxa, a w tym czasie Coben uważnie oglądał zdjęcia, które zrobił Nate.

– Kto wchodził do tego pomieszczenia od chwili znalezienia zwłok?

– Ja, tutejszy lekarz i jeden z moich zastępców. Zanim ich tu wpuściłem, zrobiłem zdjęcia, obrysowałem ciało i włożyłem dowody rzeczowe do plastikowych woreczków. Wszystko robiłem w rękawiczkach. Miejsce wypadku zostało dobrze zabezpieczone, panie sierżancie.

Coben spojrzął na tłuste plamy, które było widać na dywanie tuż za progiem biura. Nate do woreczków włożył również kanapki.

– Rozumiem, że żona dotarła do tego miejsca?

– Według niej i dwóch świadków – tak. Nikt poza mną nie dotykał niczego oprócz ciała.

Coben mruknął niewyraźnie i przeczytał list z komputera.

– Zabierzemy komputer ze sobą, a także inne dowody, które pan zebrał. Chciałbym zobaczyć ciało.

Nate wyprowadził go na zewnątrz.

– Pracował pan w wydziale zabójstw, prawda?

– Tak.

Coben bez trudu wsiadł do terenówki Nate'a.

– Teraz to się panu przydaje. Słyszałem, że stracił pan partnera.

– Owszem.

– I sam dostał kilka kulek.

– Wciąż żyję.

Coben grzecznie zapiął pas bezpieczeństwa.

– Długie zwolnienie lekarskie, powrót do pracy, a potem znów sporo przerw. Tak wyglądał pański ostatni rok w Baltimore.

Nate spojrzął na niego spokojnie.

– W tej chwili nie jestem na zwolnieniu lekarskim.

– Pański porucznik powiedział mi, że jest pan dobrym gliniarzem, choć być może po śmierci partnera stracił pan nieco spokoju ducha i pewności siebie. Jesienią oddał pan odznakę i przestał korzystać z pomocy policyjnego psychoanalityka.

Nate zatrzymał się przed przychodnią.

– Czy kiedykolwiek stracił pan partnera?

– Nie. – Coben odczekał chwilę. – Ale kilku moich przyjaciół zginęło na służbie. Jedyne staram się pana zrozumieć, panie komendancie. Gliniarz z wielkiego miasta z głębi kraju, na dodatek z pańskim doświadczeniem, może niechętnie przekazywać taką sprawę policjantowi stanowemu.

– Może. Z kolei policjant stanowy może znacznie mniej wiedzieć o Lunacy i o tym, co się tutaj dzieje, niż tutejszy komendant policji.

– Jest pan tu komendantem od niedawna. – Wsiadł z auta. – Chociaż może rzeczywiście obaj mamy rację. Mój wydział ma na karku prasę, która zainteresowała się Człowiekiem Lodu. Koniecznie chcą znać jego nazwisko.

– Zawsze są natrętni.

– No cóż, na razie udaje nam się unikać rozgłosu, ale będzie to niemożliwe, gdy grupa ratowników zwiezie go z gór. Szykuje się wielka sensacja, panie komendancie. Takie sensacje chętnie przechwytyją ogólnokrajowe środki masowego przekazu. Tymczasem pan ma ciało człowieka, który twierdzi, że zabił tamtego, co stanowi następny smakowity kąsek. Im szybciej i ładniej załatwimy tę sprawę, tym lepiej dla wszystkich.

Nate stał po przeciwnej stronie samochodu.

– Obawia się pan, że pójdę do dziennikarzy i spróbuję zrobić reklamę sobie i miastu?

– Skomentowałem tylko sytuację, to wszystko. Dużo było w prasie szumu wokół tamtej strzelaniny w Baltimore. Oczywiście, pan znajdował się w centrum zainteresowania.

Nate czuł, że ogarnia go złość.

– Dlatego doszedł pan do wniosku, że bardzo lubię, gdy moje nazwisko pojawia się w gazetach, a twarz w telewizji. Pańskim zdaniem dwóch denatów daje mi teraz szansę na to, żeby o sobie przypomnieć.

– Mógłby pan zyskać kilka punktów, tak przynajmniej mi się wydaje, gdyby na przykład planował pan powrót do Baltimore.

– I miałem cholerne szczęście, że właśnie tu i teraz wydarzyło się coś takiego.

– Nigdy nie zaszkodzi, jeśli człowiek znajdzie się w odpowiednim czasie we właściwym miejscu.

– Próbuje mnie pan sprowokować czy po prostu jest pan potwornym dupkiem?

Coben lekko się uśmiechnął.

– Może i jedno, i drugie. Przede wszystkim próbuję ocenić sytuację.

– Wyjaśnijmy sobie zatem wszystko, żeby nie było dalszych nieporozumień. Zgodnie z procedurą to pańskie dochodzenie. Niemniej wciąż jest to moje miasto, moi ludzie. Tak wyglądają fakty. I niezależnie od tego, czy mi pan ufa, czy nie, czy mnie pan lubi, czy chętnie zabrałby mnie pan na kolację lub do kina, mam zamiar robić, co do mnie należy.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli przyjrzymy się ciału. Coben wszedł do środka, a Nate, tłumiąc złość, ruszył jego śladem.

W poczekalni była tylko jedna osoba. Bing wyglądał na zażenowanego, a potem poirytowanego faktem, że ktoś zobaczył go siedzącego na jednym z plastikowych krzeseł.

– Cześć, Bing – powiedział Nate, kiwając mu głową.

Bing tylko niewyraźnie burknął, po czym ukrył twarz w starym numerze „Alaski”.

– Doktor w tej chwili przyjmuje pacjentkę – wyjaśniła Joanna, bacznie przyglądając się Cobenowi. – Sal Cushaw zacięła się piłą do metalu. Rana wymaga kilku szwów. Potrzebny jest również zastrzyk przeciwtężcowy.

– Chciałbym dostać klucze do kostnicy – powiedział Nate. Joanna przeniosła spojrzenie na Cobena.

– Ma je pan doktor. Powiedział, że nikomu nie wolno tam wchodzić oprócz pana.

– To sierżant Coben z policji stanowej. Weźmiesz klucze od Kena?

– Oczywiście. W porządku. Kiedy zniknęła, Bing zaczął burczeć.

– W Lunacy nie potrzebujemy gliniarzy z wielkiego miasta. Umiemy sami zatroszczyć się o siebie.

Coben obejrzał się przez ramię.

– Niech się pan nim nie przejmuje – mruknął Nate, kiwając głową. – Coś ci dolega, Bing? – Nate oparł się o ladę. – Czy tylko przyszedłeś tu dla zabicia czasu?

– To moja sprawa. A jeśli ktoś ma ochotę palnąć sobie w łeb, to też jego sprawa. Tylko gliny, nie wiedzieć po co, muszą we wszystko wtykać nos.

– Masz rację. Gliniarze to potworne wrzody na dupie, tyle że noszą odznaki. Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z Maxem?

– Nigdy nie miałem mu zbyt dużo do powiedzenia.

– Słyszałem, że strasznie na ciebie kłął, gdy odśnieżyłeś mu podjazd. Podobno zebrany tam śnieg wywaliliś na dach jego samochodu.

Bing uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Może. Chociaż nie sądzę, by strzelił sobie w łeb z tego właśnie powodu.

– Złośliwy z ciebie drań, Bing.

– Cholerna racja.

– Panie komendancie? – Joanna wróciła z kluczykami. -

Ten z złotym znaczkiem. Doktor powiedział, że przyjdzie, gdy tylko skończy z Sal.

– Hej, ja jestem następny w kolejce. – Bing walnął gazetą w krzesło. – Jeśli Hawbaker zaczeka chwilę dłużej, na pewno nie ożyje.

Joanna zacisnęła usta.

– Nie masz ani odrobiny szacunku, Bing.

– Za to mam hemoroidy.

– Powiedz panu doktorowi, żeby przyjął wszystkich pacjentów – powiedział Nate. – Gdzie to jest?

– Och, przepraszam. Prosto, potem pierwsze drzwi na lewo.

Szli w milczeniu korytarzem. Nate otworzył kluczem drzwi. Weszli do pomieszczenia, w którym wzdłuż ścian stały metalowe półki, a na środku dwa metalowe stoły. Nate włączył światło nad głową. Wtedy zauważył, że oba stoły przypominają stoły używane podczas autopsji albo przygotowań do pogrzebu.

– Doktor powiedział mi, że od czasu do czasu wykorzystują to pomieszczenie jako kostnicę. W mieście nie ma firmy pogrzebowej. W razie potrzeby sprowadzają przedsiębiorcę pogrzebowego z zewnątrz, a on tutaj właśnie przygotowuje ciało do pochówku.

Podszedł do stołu, na którym leżał Max. Zgodnie z poleceniem Nate'a Ken nie przykrywał zwłok, żeby zachować wszelkie ewentualne ślady. Dłonie były dodatkowo zabezpieczone plastikowymi torebkami.

– Paznokcie prawej ręki są dokładnie obgryzione – wskazał Nate. – Na dolnej wardze widać drobne zacięcie. Jakby się ugryzł.

– Żadnych śladów, które świadczyłyby o tym, że się bronił. Pozostałości prochu wokół rany. Czy możemy potwierdzić, że był praworęczny?

– Możemy. Był.

Dłonie zabezpieczono torebkami, żeby można było poszukać na nich ewentualnych resztek materiałów czy substancji chemicznych. Były też zdjęcia zwłok, zdjęcia z miejsca całego wydarzenia, nawet drzwi zewnętrzne zostały sfotografowane pod każdym możliwym kątem. Spisano zeznania świadków

i potwierdzono je, gdy przesłuchiwani nieco odpoczęli. Budynek był zamknięty na głucho, drzwi zabezpieczone i oklejone taśmą.

Burkę dobrze zabezpieczył miejsce – pomyślał Coben – i oszczędził mi sporo roboty.

– Zbadamy go dokładnie w poszukiwaniu ewentualnych dowodów. Sprawdzał pan jego kieszenie?

– Tak. Był tam portfel, otwarta paczka gumy do żucia, pudełko zapalek, notes, ołówek. W portfelu miał prawo jazdy, karty kredytowe, około trzydziestu dolarów w gotówce i zdjęcia członków rodziny. W kieszeniach kurtki w biurze znalazłem telefon komórkowy, następne zapalki i parę wełnianych rękawiczek.

Nate wsunął ręce do kieszeni i nadal bacznie przyglądał się ciału.

– Przeszukałem również samochód zaparkowany przed budynkiem redakcji. W schowku znalazłem dowód rejestracyjny na nazwisko ofiary i jego żony. Mapy, narzędzia, otwarte opakowanie amunicji do dwudziestkidwójki, miętową gumę do żucia, kilka długopisów i ołówków, następny notes. W notesach mnóstwo karteczek z odręcznymi notatkami, pomysłami artykułów do gazety, spostrzeżeniami, numerami telefonów. W tylnej części kabiny znajdowała się apteczka i zestaw pierwszej pomocy. Samochód był otwarty, kluczyki w stacyjce.

– Kluczyki w stacyjce?

– Taak. Według zeznań znajomych miał niedobry zwyczaj zostawiania kluczyków w stacyjce i niezmiernie rzadko zamykał samochód. Znalezione przedmioty są opisane i wszystkie pogrupowane w torebkach, osobno sporządziłem też listę dowodów. Wszystko znajduje się pod kluczem na komisariacie.

– Zabierzemy zwłoki i wszystkie dowody. Zaczekamy, co ustali ekspert medycyny sądowej, ale raczej wygląda to na samobójstwo. Chciałbym porozmawiać z żoną denata, dwoma świadkami i wszystkimi osobami, które mogą coś powiedzieć na temat jego znajomości z Patrickiem Gallowayem.

– Nie napisał listu do żony.

– Słucham?

– Nie zostawił jej żadnej osobistej notatki. W komputerze również.

W oczach Cobena pojawiła się irytacja.

– Niech pan posłucha, panie Burkę, obaj wiemy, że samobójcy wcale nie piszą tak często listów, jak sugerują to ludzie z Hollywoodu. Ekspert medycyny

sądowej wyrazi swoją opinię, ale dla mnie wygląda to na samobójstwo. List wiąże denata z Gallowayem. Podążymy tym śladem, zobaczymy, czy uda nam się to potwierdzić. Nie mam zamiaru iść na skróty ani w tej sprawie, ani w sprawie Gallowaya, ale nie będę płakał, jeśli obie uda się szybko zamknąć.

– Ja się z tego wcale nie będę cieszył.

– To już pańskie zmartwienie.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym zajął się sprawą? Nieoficjalnie – dodał z naciskiem. – Przyjrzał się jej pod innym kątem?

– To tylko strata czasu. Może pan to robić, ale pod warunkiem, że nie będzie mi pan wchodził w drogę.

– Jeszcze pamiętam, na czym polega ta zabawa, panie Coben.

Trudno było zapukać do drzwi Carrie. Wtargnięcie do domu kobiety pogrążonej w żałobie wydawało się czymś potwornie bezdusznym. Nate aż za dobrze pamiętał, jak Bem się załamała, gdy po raz pierwszy spotkał się z nią po śmierci Jacka.

Był wówczas całkiem bezradny, najpierw przykuty do łóżka szpitalnego, potem otumaniony po operacji, pogrążony w smutku, wyrzutach sumienia i wściekłości.

Teraz nie odczuwał smutku, jedynie niewielkie wyrzuty sumienia z powodu tego, jak poprzednio potraktował Carrie. Obca mu również była wściekłość. Tym razem był po prostu gliniarzem.

– Jest na mnie zła – uprzedził Cobena. – Jeśli pan to wykorzysta, może uda się panu wyciągnąć z niej coś więcej.

Zapukał do drzwi dwukondygnacyjnego drewnianego domu. Kiedy pojawiła się w nich rudowłosa kobieta, musiał szybko przejrzeć w myślach swoją kartotekę.

– Ginny Mann – przedstawiła się szybko. – Jestem przyjaciółką rodziny. Sąsiadką. Carrie odpoczywa na piętrze.

– Sierżant Coben, proszę pani. – Coben wyjął legitymację. – Bardzo chciałbym porozmawiać z panią Hawbaker.

– Tylko proszę nie męczyć jej zbyt długo.

Artystka – przypomniał sobie Nate. Maluje krajobrazy i wykonuje szkice dzikich zwierząt. Jej prace sprzedawane są w miejscowych galeriach, a także w głębi kraju, poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika. Przez trzy dni w tygodniu uczy w szkole plastyki.

– Arlene Woolcott i ja siedzimy z dziećmi w kuchni. Próbuujemy czymś je zająć. Może pójdę na piętro i sprawdzę, czy Carrie jest na nogach?

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni. – Coben wszedł do środka. – Zaczekamy tutaj.

Nate zauważył wygodną sofę, dwa duże fotele i sporo kolorystycznych akcentów. Obraz, który przedstawiał wiosenną łąkę, a z tyłu białe góry i błękitne niebo. Przymuszczałnie dzieło rudowłosej artystki. Zdjęcia dzieci, rodzinne fotografie; wszystko, co można zobaczyć w każdym przeciętnym domu.

– Wydaje mi się, że pobrali się mniej więcej piętnaście lat temu. On pracował niegdyś w jakiejś gazecie w Anchorage, ale przeprowadził się do Lunacy i tu założył lokalny tygodnik. Ona pracowała z nim. Była to właściwie dwuosobowa firma, która tylko dorywczo korzystała z... jak się to nazywa?... nadesłanych materiałów. Publikowali artykuły napisane przez mieszkańców Lunacy, różne zdjęcia, przedrukowywali artykuły z prasy ogólnokrajowej. Ich starsza pociecha to dziewczynka. Ma około dwunastu lat i gra na pikolo. Młodszy, dziesięcioletni chłopiec ma bzika na punkcie hokeja.

– Dużo pan wie jak na człowieka, który mieszka tu zaledwie od kilku tygodni.

– Sporo dowiedziałem się dzisiejszego ranka. To jej pierwsze, a jego drugie małżeństwo. Ona mieszka tu o kilka lat dłużej niż on. Przyjechała w ramach jednego z programów edukacyjnych. Kiedy on założył gazetę, zrezygnowała z pracy w szkole i zaczęła mu pomagać, wciąż jednak w razie potrzeby zastępuje swoje koleżanki.

– Dlaczego się tu przeprowadził?

– Próbuję się tego dowiedzieć.

Nate zamilkł, gdy Ginny zaczęła sprowadzać po schodach Carrie.

– Witam panią, pani Hawbaker – powiedział ponurym głosem Coben, robiąc krok do przodu. – Sierżant Coben z policji stanowej. Serdecznie pani współczuję.

– Czego pan chce? – Przesunęła pełne złości i ognia spojrzenie na Nate'a. – Jesteśmy pogrążeni w żałobie.

– Wiem, że w tej chwili jest pani bardzo ciężko, ale muszę zadać kilka pytań.

– Coben zerknął na Ginny. – Chce pani podczas tej rozmowy mieć przy sobie przyjaciółkę?

Carrie potrząsnęła przecząco głową.

– Ginny, mogłabyś przypilnować dzieci? Trzymaj je tam, z dala od

wszystkiego.

– Oczywiście. Zawołaj, gdybyś mnie potrzebowała. Carrie weszła do salonu i opadła na jeden z foteli.

– Proszę powiedzieć, co pana interesuje, a potem wyjść stąd. Nie mam ochoty tu pana widzieć.

– Przede wszystkim chcę panią poinformować, że zabieramy zwłoki pani męża do Anchorage na autopsję. Oddamy go pani tak szybko, jak to możliwe.

– To dobrze. Na pewno przekonacie się, że wcale nie popełnił samobójstwa. Niezależnie od tego, co on mówi – dodała, z rozgoryczeniem zerkając na Nate'a – dobrze znam mojego męża. Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego ani mnie, ani swoim dzieciom.

– Mogę usiąść? Wzruszyła ramionami.

Coben zajął miejsce na sofie, odwrócił się twarzą do Carrie i delikatnie wychylił się w jej stronę. Dobrze – pomyślał Nate. Stary wyga stara się okazać współczucie i ograniczyć krąg do nich dwojga. Zaczął od standardowych pytań. Po kilku pierwszych odpowiedziach Carrie się cofnęła.

– Już mu to mówiłam. Dlaczego pyta pan o to samo? Odpowiedzi nie będą inne. Zamiast zawracać mi głowę lepiej by pan zrobił, próbując odnaleźć człowieka, który zamordował Maxa.

– Czy wie pani, kto mógłby wyrządzić krzywdę pani mężowi?

– Tak. – Na jej twarzy pojawiła się jakaś niesamowita radość. – Ten, kto zabił Patricka Gallowaya. Powiem panu dokładnie, co się stało. Max musiał coś odkryć. Fakt, że wydawał małomiasteczkowy tygodnik, wcale nie oznacza, że nie był dobrym reporterem. Wpadł na jakiś trop, ale zanim zdecydował, co z tym zrobić, ktoś go zabił.

– Czy rozmawiał z panią na ten temat?

– Nie, ale był podenerwowany. Zmartwiony. Nie był sobą. To jednak wcale nie oznacza, że popełnił samobójstwo albo że zabił kogokolwiek innego. Był dobrym człowiekiem. – Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. – Sypiałam u jego boku przez prawie szesnaście lat. Pracowałam z nim dzień po dniu. Miałam z nim dwójkę dzieci. Nie sądzi pan, że mogę jednoznacznie stwierdzić, czy był zdolny do czegoś takiego, czy nie?

Coben zmienił taktykę.

– Czy jest pani pewna, że wczoraj wieczorem wyszedł o tej godzinie, którą pani podała?

Westchnęła. Otarła łzy.

– Wiem, że widziałam go jeszcze o wpół do jedenastej. Wiem, że rano go nie było. Czego jeszcze pan chce?

– Powiedziała pani, że trzymał rewolwer w schowku w samochodzie. Kto jeszcze o tym wiedział?

– Wszyscy.

– Czy schowek był zamknięty? Czy zamknął auto?

– Max bardzo często zapominał nawet o zamknięciu drzwi łazienki, więc o czym my tu mówimy? To ja trzymam broń w domu pod kluczem i to ja mam klucz, ponieważ Max był zbyt roztrzepany, żeby pamiętać o takich drobiazgach. Każdy mógł wziąć ten rewolwer. I ktoś to naprawdę zrobił.

– Czy wie pani, kiedy ostatni raz pani mąż używał tej broni?

– Nie. Przynajmniej nie mam pewności.

– Pani Hawbaker, czy pani mąż prowadził pamiętnik albo jakieś inne zapiski?

– Nie. Po prostu to, co mu przyszło na myśl, zapisywał na kartce, którą miał pod ręką. Teraz wolałabym, żebyście panowie już sobie poszli. Jestem zmęczona i chcę pobyć z dziećmi.

Po wyjściu od Carrie Coben zatrzymał się przy samochodzie.

– Zostało jeszcze kilka szczegółów, które należałoby sprawdzić. Dobrze by było przeszukać jego rzeczy, papiery, upewnić się, czy nie ma tam czegoś, co dotyczyłoby Gallowaya.

– Jakiegoś motywu?

– Tak – potwierdził. – Czy mógłby się pan tym zająć?

– Oczywiście.

– Chcę zabrać zwłoki do Anchorage i oddać je ekspertom. Wolałbym również być na miejscu, gdy przywiozą ciało Gallowaya.

– Byłbym wdzięczny za telefon, kiedy znajdzie się w waszych rękach. Jego córka na pewno będzie chciała go zobaczyć. Z kolei jej matce bardzo zależy, żeby ciało oddano jej.

– Taak, już do mnie dzwoniła. Kiedy ściągną go z gór i ostatecznie zidentyfikują, zaproponujemy, żeby rodzina uzgodniła to między sobą. Córka może przylecieć i potwierdzić jego tożsamość, ale mamy w kartotece jego odciski.

Galloway kilkakrotnie był karany za używanie narkotyków. Gdy tylko będziemy mieli jego ciało, dowiemy się, czy to on.

– Dotrę z córką do pana, a tu, na miejscu, sprawdzę, czy ktoś nie ma jakichś ukrytych motywów, i spróbuję poprowadzić mediacje między członkami rodziny zmarłego. W zamian za to chcę otrzymywać kopie każdej notatki w obu sprawach. Łącznie z oficjalnymi dokumentami.

Coben spojrział na ładny domek przykryty grubą warstwą śniegu.

– Poważnie pan myśli, że ktoś upozorował to samobójstwo, aby ukryć przestępstwo sprzed szesnastu lat?

– Chcę mieć kopie.

– Świetnie. – Coben otworzył drzwi od strony pasażera. – Pański porucznik powiedział, że ma pan dobrego nosa.

Nate usiadł za kółkiem.

– Tylko?

– Dobry nos nie zawsze oznacza, że ma się słuszość.

Musiał pracować z takim zespołem, jaki miał do dyspozycji, to znaczy z dwoma zastępcami i sekretarką. Zaprosił ich do swojego biura i kazał im przynieść ze sobą dodatkowe krzesła.

Na jego biurku stał talerz z ciasteczkami z masłem orzechowym i dzbanek świeżej kawy. Oczywiście, zawdzięczał to Peach. Pomyślał: „Dlaczego tego nie wykorzystać?”.

Wziął ciasteczko, gestem ręki zachęcił swoich zastępców, a potem ugryzł swoje.

– Na początek chcę usłyszeć, czego udało się wam dowiedzieć.

– Pierre’owi Letreckowi wydaje się, że słyszał jakiś dźwięk podobny do strzału z broni palnej. – Otto wyjął swój notes i teatralnym gestem zaczął przerzucać jego strony. – Oglądał na kablówce film. Początkowo twierdził, że był to Angielski pacjent, ale mu powiedziałem: „Pierre, nie wciskaj mi kitu. Nigdy nie oglądasz takich rzeczy”. A on spytał: „Skąd, do diabła, wiesz, co oglądam u siebie w domu, Otto?”. Na co odpowiedziałem...

– Powiedz nam, Otto, czego się dowiedziałeś.

Otto spojrział wilkiem, oderwał wzrok od notesu i swojego starannego pisma.

– Tylko staram się być dokładny. Po długim przesłuchaniu w końcu przyznał się, że oglądał jakieś porno. Wydawało mu się, że słyszał strzał mniej więcej koło północy, kiedy znajdował się w łazience i si... opróżniał pęcherz – poprawił się, słysząc głośne chrząknięcie Peach. – Ponieważ jest z natury bardzo wścibskim człowiekiem, wyjrzał przez okno łazienki. Nikogo nie zauważył,

odnotował jednak, że samochód Maxa... denata stał przed budynkiem redakcji. Potem dokończył to, co miał do zrobienia, i poszedł spać.

– Twierdzi, że działo się to mniej więcej koło północy?

– Mogę coś powiedzieć, panie komendancie? – spytał Peter, unosząc rękę. – Sprawdziłem program. Ten konkretny film skończył się piętnaście minut po północy. Pan Letreck twierdzi, że poszedł prosto do łazienki i niemal natychmiast usłyszał strzał. – Czy zauważył coś jeszcze? Jakiś inny pojazd?

– Nie, sir. Otto przepytывał go kilkakrotnie, ale Pierre trzymał się swego.

– Czy ktoś jeszcze coś słyszał albo widział?

– Jennifer Welch wydaje się, że słyszała coś dziwnego. – Otto przerzucił kilka kartek. – Ona i Lany, jej mąż, spali, ale ją obudził jakiś hałas. Mają ośmiomiesięczną córeczkę, która podobno bardzo kiepsko sypia. W chwili, kiedy Jennifer się obudziła, jej córeczka zaczęła płakać, więc nie jest pewna, czy obudziło ją dziecko, czy jakiś hałas z zewnątrz, ale podaje czas podobny do tego, o którym mówił Pierre. Wstając do małej, spojrzała na zegarek. Było mniej więcej dwadzieścia po dwunastej.

– Jakie jest położenie obu domów w stosunku do biura na tyłach redakcji „The Lunatic”? – Nate wskazał tablicę, którą kupił w „Sklepie na Rogu” i zawiesił na ścianie. – Narysuj mi, Otto.

– Ja to zrobię. – Peach z trudem dźwignęła się z krzesła. – Żaden z nich nie ma pojęcia o rysowaniu.

– Dzięki, Peach. – Nate spojrział na swoich zastępców. – Czy tylko oni dwoje coś słyszeli?

– Tak – potwierdził Otto. – To znaczy jest jeszcze Hans Finkle, który twierdzi, że w nocy jego pies zaczął szczekać, ale rzucił w niego butem i nie popatrzył na zegarek. Faktem jest, że w tych okolicach większość ludzi nie zwraca uwagi na strzały.

– Czy ktokolwiek wspomniał, że Max ostatnio z kimś się pokłócił?

Po negatywnych odpowiedziach Nate spojrział na tablicę. Jak zauważył, Peach potraktowała jego słowa dosłownie. Zamiast naszkicować prosty schemat z zacięciem rysowała budynki i drzewa. W tle widać było nawet zarys gór.

– Nate? – Otto poruszył się na stołku. – Nie uznaj moich słów za krytykę czy coś w tym stylu, ale po co tyle zamieszania, skoro wszystko wskazuje wyraźnie, że było to samobójstwo, a na dodatek stanowi zabrali ciało i z pewnością zrobią wszystko, żeby jak najszybciej zamknąć sprawę?

– Może masz rację. – Nate otworzył teczkę. – To, co zostanie powiedziane w tym pomieszczeniu, nie ma prawa wydostać się na zewnątrz, chyba że zmienię rozkazy. Zrozumiano?! Oto co znalazłem na ekranie komputera Maxa.

Kiedy odczytał list, w pomieszczeniu zapadła pełna zaskoczenia cisza.

– Jakież komentarze?

– To nielogiczne – powiedziała Peach cicho, wciąż trzymając w palcach kredę. – Wiem, że jestem tu tylko wychwalaną pod niebiosa sekretarką, ale to jest nielogiczne.

– Dlaczego?

– Nie sądzę, żeby Max mógł kogoś skrzywdzić. To jest w ogóle nie do pomyślenia. Poza tym, z tego co pamiętam, podziwiał Pata, traktował go trochę jak swego rodzaju bohatera.

– Naprawdę? Ludzie, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że prawie się nie znali.

– To prawda. Wcale nie twierdzą, że byli najlepszymi przyjaciółmi, ale Pat w jakiś sposób zdołał sobie zjednać Maxa. Ojciec Meg był przystojny i jeśli tylko chciał, umiał być czarujący, a często chciał. Grał na gitarze, jeździł motocyklem, wspinał się po górach, a gdy dopadała go chandra, znikał na wiele dni w lesie. Łóżko ogrzewała mu najseksowniejsza kobieta w mieście. Miał też małą córeczkę, która go uwielbiała.

Odłożyła kredę i strzepnęła pył z dłoni.

– Niestety, nie przywiązywał do tego wszystkiego żadnej wagi. Miał też talent: potrafił dobrze pisać. Z tego, co wiem, Max chciał zatrudnić Pata w swojej gazecie. Miał redagować część poświęconą podróży i przygodzie. Wiem to od Carrie. Ona i Max właśnie zaczynali na poważnie ze sobą chodzić. Carrie trochę się martwiła, ponieważ Pat był nieujarzmiony.

Kiedy Nate machnięciem ręki zachęcił ją, żeby mówiła dalej, podeszła do jego biurka i naląła sobie kawy.

– Ja w tym czasie toczyłam ostatnią rundę walki z moim trzecim mężem. Carrie serdecznie mi współczuła i stała po mojej stronie. Dużo wtedy rozmawiałyśmy. Martwiła się, że Pat może namówić Maxa na jakieś szaleństwo. Dla niego Pat był kwintesencją Alaski. Żył z dużym rozmachem, robił to, co chciał, i buntował się, jeśli ktoś próbował narzucić mu jakieś ograniczenia.

– Niekiedy podziw zamienia się w zazdrość, a zazdrość czasami zabija.

– Może. – Peach bezmyślnie wzięła do ręki ciastko i ugryzła je. – Ale ja nie

wierzę, by tak było. Powiedziałeś, że wszystko ma zostać w tych ścianach, ale Carrie będzie teraz potrzebowała przyjaciół. Muszę do niej iść.

– Zgoda, tylko nie mów, o czym tu rozmawialiśmy. Wstał i podszedł do tablicy.

Peach narysowała drogę, która przebiegała na tyłach redakcji, umieściła nawet znak drogowy i napisała na nim Moose Lane. Dom Letrecka bardziej przypominał warsztat. Pierre początkowo naprawiał tam samochody, dopiero później dobudował część mieszkalną. Znajdowała się ona po przeciwnej stronie niż redakcja, o dwa domy na wschód.

Drewniany domek Welchów stał dokładnie na wprost redakcji. Dwukondygnacyjny dom Hansa Finklego położony był tuż za warsztatem Letrecka.

Peach naszkicowała inne domy, sklepy i warsztaty, na budynkach wpisała swoim starannym pismem odpowiednie nazwiska.

– Dobra robota, Peach. Na tym kończymy naradę. Zabrał swoją teczkę i podszedł do korkowej tablicy, którą wypożyczył z ratusza.

– Wszystko, co dotyczy Gallowaya albo Hawbakera, będziemy kopiować i przyczepiać do tej tablicy. Stanowi przeszukali już redakcję, ale chciałbym, Otto, żebyśmy we dwóch przejrzyli tam wszystko jeszcze raz, na wypadek gdyby coś przeoczyli. Peach, chciałbym dostać się do domu Hawbakera i przeszukać rzeczy Maxa. Carrie najprawdopodobniej nie będzie się chciała zgodzić na to, przynajmniej na razie. Może zdołałabyś uzyskać od niej dla mnie taką zgodę?

– W porządku. Najwyraźniej nie wierzysz w to, co zostało napisane w ostatnim liście Maxa. A skoro tak...

– Lepiej nie wierzyć w nic, póki nie zna się wszystkich szczegółów – przerwał jej. – Peterze, chcę, żebyś zadzwonił do Anchorage i skontaktował się z gazetą, w której pracował niegdyś Max. Dowiedz się, co on tam robił, dla kogo i z kim pracował, a przede wszystkim dlaczego opuścił tamtejszą redakcję. Potem napisz raport. W dwóch kopiach. Jedną chcę mieć na biurku jeszcze dziś, nim wyjdiesz z pracy.

– Tak jest, sir.

– Wszyscy troje dostaniecie również pracę domową. Byliście tu w czasie, kiedy zniknął Pat. Spróbujcie poświęcić nieco czasu, by przypomnieć sobie, co się działo na kilka tygodni przed jego zniknięciem i w kilka tygodni po.

Zapiszcie wszystko, co sobie przypomnicie, nawet jeśli może się wam wydawać, że nie ma to nic wspólnego z całą sprawą. Co słyszeliście, co widzieliście, co myśleliście. Peterze, zdaję sobie sprawę, że byłeś wtedy małym dzieckiem, ale czasami ludzie nie dostrzegają dzieci, dlatego mówią przy nich i robią pewne rzeczy, nie zwracając uwagi, że ktoś słyszy czy widzi.

Skończył przyczepiać zdjęcia do tablicy. Po jednej stronie umieścił Gallowaya, po drugiej – Hawbakera.

– Bardzo zależy mi na zdobyciu jednej, ważnej informacji. Gdzie był Max Hawbaker, gdy Pat opuścił miasto?

– To nie będzie takie proste. Trudno odtworzyć pewne wydarzenia po tak długim czasie – powiedział Otto. – Poza tym Galloway mógł zostać zabity wiele tygodni po opuszczeniu miasta. Albo miesięcy. Nawet po pół roku.

– Wszystko po kolei.

– Trudno sobie przypomnieć, kiedy piło się z kimś piwo albo łowiło z nim ryby w przeręblu, a skoro Max przyznał się do morderstwa, a potem popełnił samobójstwo, to co właściwie próbujemy udowodnić? – pytał z naciskiem Otto.

– To są tylko podejrzenia, Otto, nie fakty. Fakty wyglądają tak: mamy dwóch denatów, których śmierć dzieli mniej więcej szesnaście lat. Zaczniemy od tego.

Nate nawet nie wstępował do swojego pokoju. Po prostu wyjechał z miasta. W Lodge czekało na niego zbyt wiele pytań, na które nie mógł albo nie chciał odpowiedzieć. Lepiej przed nimi uciec, póki nie wypracuje się oficjalnej wersji.

Tak czy inaczej marzył o otwartej przestrzeni, mroźnej ciemności i lodowatym blasku gwiazd. Doszedł do wniosku, że ciemność zaczyna mu odpowiadać. Nie mógł sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy zaczyna się lub kończy pracę przy świetle dziennym.

Nie chciał słońca. Chciał Meg.

Chciał być pierwszą osobą, która jej o wszystkim powie, która po raz drugi wstrząśnie jej światem w posadach. Jeśli tak jak poprzednim razem będzie próbowała zamknąć przed nim drzwi, postoi na zewnątrz.

Przy odrobinie wysiłku udało mu się na wiele miesięcy odciąć od ludzi. Nie był całkiem pewien, czy spokój, jaki odnalazł, ukrywając się w samotności, był wynikiem tego, że nie słyszał ludzi, którzy próbowali rozbić otaczające go ściany, czy po prostu nie był dla nich aż tak ważny, żeby próbowali to robić.

Tak czy inaczej wiedział, jak bolesny jest powrót. Doskonale pamiętał, z jakim trudem skarłałe uczucia i wypalone, wypaczone emocje próbują wrócić

do życia. Meg była dla niego wystarczająco ważna, żeby próbował ją przed tym wszystkim uchronić.

Było coś jeszcze. Mógł się do tego przyznać, siedząc samotnie we wnętrzu swojego samochodu, gdy ciszę przerywał tylko cichy pomruk włączonego ogrzewania. Potrzebował jej wiedzy, jej wspomnień o ojcu, żeby wypełnić luki w obrazie, który tworzył.

Wszystko dlatego, że marzył o ciężkiej, wyczerpującej, frustrującej pracy policjanta. Bardzo jej potrzebował. Obawiał się, że bez niej znów po cichutku popadnie w odrętwienie.

W domu Meg światła były pozapalane, ale nie widział jej samolotu. Zaparkowany przed domem samochód należał do Jacoba. Wysiadając z auta, Nate zaczął się martwić.

Drzwi domu zastał otwarte. Dostrzegł Jacoba w jasnej smudze światła moment wcześniej, nim wypadły psy. Zagłuszając ich hałaśliwe powitanie, zawołał:

- Gdzie jest Meg?!
- Pracuje. Dziś nocuje w lesie z grupą myśliwych, których tam zawiozła.
- Często tak robi? – spytał Nate, gdy dotarł do werandy.
- Tak. Przyszedłem nakarmić psy i sprawdzić ogrzewacz w jej samochodzie.

To też norma.

- Dzwoniła do pana?
- Skontaktowała się ze mną przez krótkofalówkę. Jeśli jest pan głodny, mam gulasz.
- Chętnie zjem.

Jacob wszedł do kuchni, pozostawiając Nate'owi zamknięcie drzwi. Radio było włączone na KLUN. Spiker zapowiadał następny przebój. Nate zdjął kurtkę i przerzucił ją przez oparcie krzesła.

- Miał pan długi dzień – skomentował Jacob, nakładając gulasz.
- To znaczy, że pan już słyszał.
- Nic nie rozchodzi się szybciej niż złe wiadomości. Trzeba być potwornym egoistą, żeby tak brutalnie odebrać sobie życie i pozwolić, aby żona znalazła zwłoki. Gulasz jest gorący, chleb dobry.
- Dzięki – powiedział Nate. – To znaczy, że Max był egoistą?
- Wszyscy jesteśmy egoistami, zwłaszcza w chwilach rozpacz.
- Rozpacz to bardzo osobista sprawa i niekoniecznie jednoznaczna

z egoizmem. Pamięta pan może, kiedy Max przyjechał tutaj, żeby rozruszać gazetę?

– Był młody i zapalony. Uparty – dodał Jacob, rozlewając kawę.

– Przyjechał tu sam.

– Jak wielu innych.

– Ale znalazł przyjaciół.

– Niektórzy ich znajdują – powiedział Jacob z uśmiechem. – Nie należałem do nich, chociaż nie byliśmy też wrogami. Carrie łąziła za nim krok w krok. Wpadł jej w oko, więc zagięła na niego parol. Nie był wcale przystojny, bogaty ani szczególnie błyskotliwy, ale dostrzegła w nim coś, na czym jej zależało. Kobiety często widzą to, czego nikt nie dostrzega., – Miał kumpli?

Jacob ze zmarszczonym czołem powoli sączył kawę.

– Wyglądało na to, że dobrze się czuł w obecności wielu osób.

– Słyszałem, że niegdyś się wspinał. Zabierał go pan kiedyś w góry?

– Tak. Na letnie wspinaczki na Denali i Deborah, o ile dobrze pamiętam, niedługo po jego przyjeździe. Był dobrym alpinistą. Raz lub dwa zawiozłem jego i innych na polowanie, chociaż on sam nie polował. Pisał książkę i robił zdjęcia. Często latał również w poszukiwaniu tematów do artykułów, niekiedy po to, żeby zrobić zdjęcia. Tuż przed obydwoma porodami Carrie zawoziłem ich do Anchorage. Dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości. Czy kiedykolwiek wspinał się z Gallowayem?

– Nigdy nie zawoziłem ich razem. – Jacob przyjrzał się Nate'owi z natężeniem. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Po prostu jestem ciekaw. A ponieważ jestem ciekaw, czy powiedziałby pan, że Patrick Galloway był egoistą?

– Tak.

– Tylko „tak”? – spytał Nate po chwili. – Bez żadnego komentarza?

Jacob nie przerywał picia kawy.

– Nie prosił pan o komentarz.

– Jak by go pan ocenił jako męża i ojca?

– W najlepszym przypadku był kiepskim mężem. – Jacob dokończył swoją kawę i odwrócił się do zlewu, by wymyć kubek. – Chociaż, z drugiej strony, niektórzy mogliby powiedzieć, że miał trudną żonę.

– Pan też?

– Ja powiedziałbym raczej, że łączyła ich mocna więź, ale oboje ciągnęli

i wykręcali łączącą ich linę w przeciwnych kierunkach, dążąc do własnych celów.

– Czy tą liną była Meg? Jacob ostrożnie odłożył myjkę na ladę, a kubek na suszarkę.

– Każde dziecko to swego rodzaju lina łącząca rodziców. Nie dorastali jej do pięt.

– To znaczy?

– Była bystrzejsza, silniejsza, lepiej się przystosowywała, była też hojniejsza w porównaniu z którymkolwiek z nich.

– Bardziej podobna do pana?

Jacob odwrócił się, ale w jego oczach niczego nie można było wyczytać.

– Meg jest podobna do samej siebie. Zostawię, pana.

– Czy Meg już wie, co się stało z Maxem?

– Nic mi na ten temat nie mówiła. Ja też o niczym nie wspomniałem.

– Powiedziała, kiedy wraca?

– Jeśli pogoda pozwoli, pojutrze ma odwieźć myśliwych tam, skąd przylecieli.

– Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym został tu dzisiaj na noc?

– A Meg by miała?

– Myślę, że nie.

– W takim razie dlaczego ja miałbym zgłaszać jakieś obiekcje?

Pobawił się z psami i skorzystał z jej sprzętu do ćwiczeń. Dobrze się czuł, lepiej, niż przypuszczał, mogąc znów podnieść sztangi.

Nie miał zamiaru przeszukiwać jej rzeczy, ale gdy został sam, mimo woli zaczął snuć się po domu, grzebać w szafach i zaglądać do szuflad.

Wiedział, czego szuka – zdjęć, listów, pamiątek po ojcu. Wmówił sobie, że gdyby Meg tu była, sama by mu je dała.

Na najwyższej półce w szafie w jej sypialni znalazł albumy ze zdjęciami. Były za bielizną, wśród fascynującej mieszanki flaneli i jedwabiu. Oprócz albumów było też pudło po butach, a w nim luźne zdjęcia, których Meg jeszcze nie poukładała.

Nate natychmiast rozpoznał Patricka Gallowaya. Był młodszy niż na zdjęciach cyfrowych. Długowłose, zarosnięty, w dzinsach, podkoszulku i z przepaską we włosach, tak typową dla końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych.

Baczenie przyglądał się fotografii, na której Pat opierał się o motocykl. W tle

miał ocean, po prawej stronie palmę, a palce uniesionej ręki układały się w znak pokoju.

Nim przyjechał na Alaskę – pomyślał Nate. Może gdzieś w Kalifornii.

Na kilku innych zdjęciach też był sam, na jednym z nich z rozmarzoną twarzą siedział przy ognisku, a w ręce trzymał gitarę. Na następnych fotkach pojawiła się młoda Charlene. Miała długie, jasne, kręcone włosy, a jej oczy śmiały się zza zabarwionych na niebiesko okularów przeciwsłonecznych.

Była piękna, naprawdę piękna. Miała wspaniałe kształty, gładkie policzki, pełne, zmysłowe usta. Według oceny Nate'a nie ukończyła jeszcze osiemnastu lat.

Nate znalazł także inne zdjęcia: z podróży, z obozowiska. Zazwyczaj było na nich któreś z nich albo inni młodzi ludzie. Znalazł kilka fotografii z wielkiego miasta, prawdopodobnie z Seattle. Niektóre – Galloway nie miał na nich brody – zostały wykonane w jakimś mieszkaniu albo małym domku.

Potem Nate natknął się na fotografię samotnego Gallowaya. Wyraźnie z powrotem zapuścił brodę. Stał oparty o znak drogowy z napisem: „Witamy na Alasce”.

Na podstawie zdjęć Nate mógł prześledzić trasę, jaką pokonali Pat i Charlene. W południowo-wschodniej części stanu prawdopodobnie pracowali w fabryce konserw.

Po raz pierwszy dostrzegł Meg – przynajmniej tak można powiedzieć – na zdjęciu, które przedstawiało Charlene pod koniec ciąży.

Miała na sobie skąpy podkoszulek na ramiączkach i dżinsy obcięte pod ogromnym, nagim brzuchem. W ochronnym geście trzymała dłonie na brzuchu. Miała najśłodszy wyraz twarzy, boleśnie młodej twarzy – pomyślał Nate – która promieniała nadzieją i szczęściem.

Na następnym zdjęciu Patrick malował pokój, chyba pokoik dziecienny, na innym robił coś, co wyglądało na kołyskę.

Potem z ogromnym zaskoczeniem Nate patrzył na serię zdjęć, które drobiazgowo przedstawiały poszczególne fazy porodu.

Pracował w wydziale zabójstw i wydawało mu się, że widział już dosłownie wszystko, ale na widok niektórych przybliżeń gulasz niebezpiecznie poruszył mu się w żołądku.

Pominał je.

Żołądek uspokoił się na widok maleńkiej Meg. Nate uśmiechnął się. Przyszło

mu na myśl, że może traci czas, a może nie, przeglądając zdjęcia, na których jedno ze świeżo upieczonych rodziców albo oboje bawili się z maleństwem. Ściskali się.

Widział kolejne pory roku, a także mijające lata. Potem przeszedł do następnego albumu. Zobaczył, jak młoda, piękna twarz Charlene stwardniała, zeszczupełała, a z jej oczu zniknął blask.

Z biegiem lat było coraz mniej zdjęć. Przeważnie zostały wykonane z racji świąt, urodzin i specjalnych okazji. Mała Meg z radosnym uśmiechem na ustach przytula szczeniaczka z czerwoną wstążeczką na szyi. Ona i jej ojciec pod niedbale ozdobioną choinką, Meg nad rzeką, z rybą niemal tak dużą jak ona.

Jedno zdjęcie przedstawiało Patricka i Jacoba. Obejmowali się jak kumple. Zdjęcie było niewyraźne i źle wykadrowane, w związku z tym Nate doszedł do wniosku, że prawdopodobnie robiła je Meg.

Gdy skończył przeglądać album, wyrzucił zawartość pudła i zajął się luźnymi fotkami. Znalazł kilka zdjęć grupowych, które z pewnością zostały wykonane tego samego dnia.

Lato – pomyślał – ponieważ zamiast śniegu wokół jest zieleń. Czy w ogóle bywa tu taka zieleń? – zastanawiał się. Takie ciepło i tyle światła? W oddali rysowały się góry, szczyty białeły w promieniach słońca, a poniżej nich widać było srebro i błękit upstrzone cętkami zieleni.

Jakieś przyjęcie na wolnym powietrzu – pomyślał Nate. Albo piknik. Widział stoły, ławki, składane krzesła i kilka grillów. Talerze z jedzeniem, beczułki piwa.

Znalazł Gallowaya. Znów nie miał brody i nosił nieco krótsze włosy, chociaż nadal niemal sięgały mu ramion. Wyglądał na silnego, wysportowanego i przystojnego. Miał oczy, kości policzkowe i usta dokładnie takie same jak Meg.

Była tam też Charlene, w obcisłej bluzeczce, która niemal całkowicie obnażała jej piersi, i w krótkich spodenkach, ukazujących długie nogi. Nawet na zdjęciu widać było, że Charlene ma na twarzy grubą warstwę makijażu. Zniknęła gdzieś świeża, pełna życia dziewczyna, która śmiała się z za zabarwionych szkielec. Tutaj była już kobietą – piękną, szorstką kobietą, świadomą swojej urody.

Tylko czy szczęśliwą? Na każdej fotce śmiała się albo uśmiechała, najwyraźniej pozowała. Na jednej z nich usadowiła się prowokacyjnie na

kolanach staruszka, który sprawiał wrażenie zaskoczono i zachwyconego słodkim ciężarem.

Nate znalazł też i Hopp. Siedziała obok chudego, siwowłosego mężczyzny. Oboje pili piwo i trzymali się za ręce.

Ed Woolcott, bankier i zastępca burmistrza, był szczuplejszy, miał elegancki wąsik i krótką bródkę. Wychylał się w stronę obiektywu razem z siwowłosym mężczyzną, którego Nate uznał za zmarłego męża Hopp.

Po kolei odszukiwał ludzi, których znał. Bing wyglądał tak samo kwaśno i ponuro jak obecnie, ale ważył o pięć, może sześć kilogramów mniej. Rose – musiała to być piękna Rose, świeża i młoda jak kwiat, od którego nadano jej imię – trzymała za rękę małego Petera.

Max, z większą ilością włosów na głowie i mniejszym brzuchem, siedział obok Gallowaya. Obaj właśnie mieli zamiar wbić zęby w ogromny kawał arbuza.

Dęb, Harry i – Jezu! – o dwadzieścia kilogramów lżejsza Peach, wszyscy objęci, uśmiechający się do obiektywu.

Ponownie przeglądając zdjęcia, Nate skoncentrował się na Gallowayu. Był prawie na każdej fotografii. Jadł, pił, rozmawiał, śmiał się, grał na gitarze, leżał na trawie z dziećmi.

Nate podzielił zdjęcia mężczyzn. Niektórych nie znał, inni już wówczas wyglądali za staro, żeby móc się wybrać na żmudną zimową wspinaczkę. Część z nich była za młoda.

Przenosząc wzrok z twarzy na twarz, Nate zastanawiał się, czy to może być jeden z nich. Czy możliwe, aby jeden z mężczyzn, którzy świętowali w pewien letni słoneczny dzień, którzy jedli i śmiali się z Patrickiem Gallowayem i Maxem Hawbakerem, zabił ich obu?

Pozostałe zdjęcia przedstawiały pojedyncze osoby, grupy, święta. Następne Boże Narodzenie i kolejne zdjęcie Maxa z Gallowayem. Obaj z Jacobem albo Edem, albo też Bingiem, lub z Harrym czy panią Hopp.

Ed Woolcott, wciąż z wąsikiem i bródką, otwierał butelkę szampana. Harry miał na sobie hawajską koszulę. Max sznur koralu. Po następnej godzinie oglądania zdjęć Nate odłożył je na swoje miejsce, dokładnie tak, jak je znalazł.

Będzie musiał wymyślić, w jaki sposób przyznać się Meg, że myszkował w jej rzeczach. Albo namówić ją, żeby pokazała mu te zdjęcia, nie przyznając się, że już je widział.

Zdecyduje później.

Teraz postanowił wyprowadzić niespokojne psy na ostatni spacer, a ponieważ sam też był lekko podenerwowany, zdecydował, że potrenuje chodzenie na raketach śnieżnych.

Wyszedł z psami na zewnątrz. Zamiast pobiec trzymały się jego boku, kiedy wędrował do samochodu po swoje rakietki.

Peter pokazał mu podstawy. Jak się okazało, był cierpliwym nauczycielem. Nate wciąż od czasu do czasu upadał na twarz albo do tyłu, niekiedy plątały mu się nogi, ale powoli robił postępy.

Przypiął rakietki i zrobił kilka próbnych kroków.

– Wciąż czuję się jak idiota – wyznał psom. – Więc nie mówcie nikomu o mojej dzisiejszej lekcji.

Jakby na sygnał, psy wbiegły do lasu. To będzie wspaniała wyprawa – pomyślał Nate, wsuwając latarkę do kieszeni. Ćwiczenie pomogło mu pokonać depresję, a teraz, jeśli dopisze mu szczęście, tak się zmęczy, że prześpi spokojnie całą noc bez żadnych koszmarnych snów.

Przy blasku gwiazd i światła, które docierało z domu, doszedł na skraj lasu. Posuwał się do przodu bardzo powoli, jego ruchom zdecydowanie brakowało gracji, ale dotarł do celu i był zadowolony, że miał tylko lekką zadyszkę.

– Powoli wracam do formy, chociaż wciąż ze sobą rozmawiam, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Uniósł głowę, żeby spojrzeć na zorzę polarną, na wspaniałą, magiczną kurtynę: „Proszę, oto on, Ignatious Burke z Baltimore, chodził na raketach śnieżnych na Alasce, a nad jego głową płonęła zorza polarna”.

Co więcej, był z tego bardzo zadowolony.

Słyszał psy, które biegały dookoła i od czasu do czasu szczekały.

– Już idę, chłopcy. Wyjął latarkę.

„Zbyt wcześnie na niedźwiedzie” – przypomniał sobie słowa Meg. Chyba że w okolicy kręci się jakiś miś, który cierpi na bezsenność.

To go uspokoiło. Poklepał się po bokach i poczuł pod kurtką służbową broń.

Ruszył przed siebie, próbując wypracować spokojny rytm, zamiast: krok – zapadnięcie się – krok, co mu się często zdarzało, zwłaszcza gdy przestawał się pilnować. Psy wróciły i zaczęły biegać wokół niego. Nate był niemal pewien, że się z niego śmieją.

– Jak będziecie stroić sobie ze mnie żarty, nie dostaniecie pysznych

herbatników dla psów. Idźcie sobie i róbcie to, co psy powinny robić. Ja muszę się skupić.

Wędrując tak, by po lewej stronie przez cały czas mieć między drzewami oświetlony dom, poszedł za psami. Czuł zapach drzew – świerku kanadyjskiego, który nauczył się już rozpoznawać – i śniegu.

Jak mu powiedziano, nieco dalej na północ i na zachód nie ma już tyłu drzew. Jest tylko bezkresne morze śniegu i lodu. Niektórych terenów tego białego morza nie przecinają nawet żadne drogi.

Tutaj, czując zapach lasu, Nate nie mógł sobie tego wyobrazić. Z trudem przyjmował do wiadomości, że Meg, która miała w szafie seksowną, czerwoną sukienkę, a zaszywając się w domu, piekła chleb, była gdzieś tam, właśnie na tym białym morzu.

Zastanawiał się, czy Meg spogląda na zorzę polarną tak samo jak on. I czy o nim myśli.

Z opuszczoną głową w świetle latarki wędrował równomiernym krokiem, rozmyślając o zdjęciach, które upamiętniały pewien słoneczny letni dzień.

Ile miesięcy po owym pikniku Patrick Galloway zmarł wśród wiecznych lodów? Sześć? Siedem?

Czy zdjęcia przy choince ukazywały jego ostatnie święta?

Czy jeden z mężczyzn, którzy uśmiechali się do obiektywu albo robili głupie miny, już wtedy miał na twarzy maskę?

Czyżby potem działał pod wpływem impulsu, w przypływie szaleństwa, złości, i tylko dlatego wbił czekan w pierś przyjaciela?

Niemniej nic, naprawdę nic nie tłumaczyło faktu, że morderca pozostawił zwłoki w pieczarze na tyle lat, świetnie zachowane w lodzie i zmarzlinie.

Do tego potrzebne jest wyrachowanie. I jaja.

Tak samo jak wyrachowania i jaj wymaga staranne upozorowanie samobójstwa.

Możliwe też, że to tylko czcze domysły – przyznał Nate – a pozostawiony list zawiera najświętszą prawdę.

Max mógł ukrywać pewne sprawy przed żoną i przyjaciółmi. Mógł je wręcz ukrywać przed samym sobą. Przynajmniej do czasu, kiedy rozpacz, wyrzuty sumienia i strach nie zacisnęły mu pętli wokół szyi i go nie udusiły.

Czyż on sam z identycznego powodu nie śledzi dokładnie tej sprawy i w ciemności nie łązi po lesie z ponadwymiarowymi raketami tenisowymi na

nogach? Ponieważ znów chce być normalny. Chce się dowiedzieć, kim był, nim zawałił mu się świat. Musi rozerwać swój lodowy kokon i zacząć znów żyć.

Wszystkie fakty wskazywały na samobójstwo. Przeciw niemu przemawiała tylko intuicja Nate'a. Tylko jak temu ufać, skoro od tak dawna z niej nie korzystał?

Prawie od roku nie pracował nad żadnym morderstwem, przez ostatni miesiąc w komendzie policji w Baltimore właściwie tylko siedział za biurkiem. Może teraz widzi morderstwo w samobójstwie tylko dlatego, że chce się czuć potrzebny?

Ogromny ciężar przygniół mu klatkę piersiową, kiedy przypomniał sobie, jak próbował narzucić swoją opinię Cobenowi, jak wydawał rozkazy, pomimo wątpliwości w oczach zastępców. Przeszukał rzeczy Meg, nie mając ku temu żadnego konkretnego powodu.

Był w stanie radzić sobie jedynie z drobnymi wykroczeniami, takimi jak nadmierna prędkość czy niszczenie znaków drogowych. Tymczasem nagle zakwestionował niemal podręcznikowe samobójstwo i próbował wcielić się w postać wielkiego, złego gliny, chcąc rozwiązać zagadkę morderstwa, do którego doszło szesnaście lat temu.

Taak, jasne, wytropi bezimiennego, pozbawionego twarzy mordercę, wydusi z niego przyznanie się do winy i przekaże go Cobenowi, wszystko pięknie zapakowane i przewiązane różową wstążeczką.

– Co za gówno! Obecnie ledwo można cię uznać za gliniarza, dlaczego więc sądzisz...

Urwał, wpatrując się tępo w śnieg, który połyskiwał w świetle latarki, a raczej w ślady na jego powierzchni.

– Zabawne. Widocznie jakimś cudem musiałem zatoczyć koło.

Prawdę mówiąc, nie miał nic przeciwko temu. Mógł bez celu krążyć dookoła przez całą noc, tak jak bez celu kręcił się w kółko przez większość dni.

– Nie!

Zamknął oczy i nawet lekko się spocił, usiłując wydostać się z przepaści.

– Nie wrócę tam! To straszne gówno. Nie wrócę do czarnej dziury!

Jeśli będzie musiał, zacznie zażywać antydepresanty. Będzie ćwiczył jogę. Podnosił ciężary. Zrobi wszystko, co będzie konieczne, ale już tam nie wróci. Jeśli teraz do niej wpadnie, już nigdy stamtąd nie wyjdzie.

Zaczął głęboko oddychać, a potem otworzył oczy i obserwował, jak z jego ust

wydobywają się obłoczki pary.

– Wciąż tu są – mruknął, ponownie spoglądając na śnieg.

Miał przed sobą ślady rakiet śnieżnych. Z ciekawości cofnął się i porównał swoje ślady z tymi, na które się natknął. Wyglądały tak samo, ale w świetle latarki trudno dostrzec niewielkie różnice, poza tym należało wziąć pod uwagę, że Nate nigdy wcześniej nie interesował się tropieniem śladów.

Był jednak pewien, że nie zatoczył w lesie pełnego koła i że to nie są jego ślady, zwłaszcza iż prowadzą w przeciwnym kierunku.

– Mogła je zostawić Meg – mruknął. – Mogła w którymś momencie przechodzić tędy tak jak ja.

Psy wróciły, pokręciły się przy śladach i ruszyły w stronę domu. Chcąc zaspokoić własną ciekawość, Nate zmienił kierunek. Niewiele brakowało, a przypłaciłby ten manewr pacnięciem w śnieg, na szczęście udało mu się odzyskać równowagę i ruszyć po śladach.

Wcale nie prowadziły przez las. Poczuł ucisk w żołądku, gdy znalazł miejsce, gdzie ten ktoś się zatrzymał i wyraźnie przez jakiś czas obserwował tyły domu... oraz miejsce, gdzie Nate i Meg poprzedniego wieczoru brali gorącą kąpiel.

Przypomniał sobie, że w którymś momencie psy czekały w lesie.

Cofnął się i poszedł ich śladem. Dostrzegł jakieś inne tropy. Łosia albo sarny? Skąd miałby to wiedzieć? Jednak obiecał sobie, że się tego, do jasnej cholery, dowie.

Dostrzegłszy zagłębienie w śniegu, wyobraził sobie, że psy w tym miejscu przewracały się na plecy, a ślady, po których szedł, wskazywały, że intruz stał tu z szeroko rozstawionymi nogami, jakby obserwował oba husky.

Krążąc po lesie, Nate szybko się domyślił, dokąd prowadzą owe ślady. Do drogi, kawałek za domem Meg.

Kiedy tam dotarł, brakowało mu tchu, ale bez trudu zinterpretował to, co zobaczył. Ktoś wędrował albo jechał drogą. W miejscu, którego nie było widać z domu, wszedł w las i zdaniem Nate'a z rozmysłem ruszył prosto w stronę domu Meg.

Trudno uznać, że to któryś z sąsiadów postanowił złożyć jej wizytę albo że ktoś szukał pomocy, ponieważ na drodze zdarzył się jakiś wypadek. Nie, intruz po prostu obserwował dom.

Nate próbował sobie przypomnieć, o której godzinie poprzedniego wieczoru urządzili sobie kąpiel. Nie później niż o dziesiątej.

Stał na poboczu drogi, a psy obwąchiwały teren wokół jego stóp.

Zastanawiał się, ile czasu zajmuje powrót do drogi. On sam potrzebował na pokonanie tego odcinka ponad dwudziestu minut, był jednak święcie przekonany, że gdyby wiedział, dokąd zmierza, trwałoby to o połowę krócej. Następne dziesięć minut, nie więcej, wystarczyło, żeby dotrzeć do domu Maxa i zabrać ze schowka rewolwer. Pięć – by dojechać do miasta.

Zostawało jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby wejść przez niezamknięte drzwi i napisać list na komputerze.

Wystarczająco dużo czasu, żeby popełnić morderstwo.

Nate nie był zaskoczony, gdy odkrył, że Bing Karlovsky był notowany w kartotece policyjnej. Nie zaszokowało go również, kiedy znalazł pod jego nazwiskiem oskarżenia o napad, napad z pobiciem, areszt za opieranie się władzy, pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego.

Sprawdzanie nazwisk, niezależnie od tego, czy się oficjalnie prowadzi jakąś sprawę, czy nie, stanowiło podstawową procedurę. Co prawda Patrick Galloway zginął, gdy Nate uczył się prowadzić swój pierwszy samochód, ale Max zmarł teraz.

W związku z tym Nate sprawdził Binga. Odszukał również Patricka Gallowaya, który kilkakrotnie wpadł z powodu narkotyków, włóczęgostwa i wtargnięcia na teren prywatny.

Po kolei przeglądając swoją listę ewentualnych podejrzanych, Nate dowiedział się, że Harry Miner zakłócał porządek publiczny i niszczył cudzą własność. Ed Woolcott w młodości siedział w areszcie za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu. Max miał na sumieniu kilka wtargnięć na teren prywatny, zakłócanie porządku publicznego i dwukrotnie został przyłapany z narkotykami.

John Malmont popełnił dwa drobne wykroczenia, Jacob Itu ani razu nie wszedł w kolizję z prawem, Mackie Senior wielokrotnie wpadał na drobnych wykroczeniach, mniej lub bardziej groźnych napadach i przywłaszczeniu sobie prywatnej własności.

Nate nie pominął również swoich zastępców. Otto w młodości popełnił kilka grzeszków, takich jak zakłócanie porządku publicznego i napaść z pobiciem, ale oskarżenia wycofano. Peter, tak jak Nate przypuszczał, był czysty jak świeży śnieg.

Nate sporządził listy, porobił notatki i wszystko włożył do swojej teczki.

Starał się w miarę możliwości postępować tak, jak zalecano w podręcznikach.

Ale w jego sytuacji problem polegał jednak na tym, że nigdy nie miał w rękach podręcznika, który zostałby napisany z myślą o komendancie policji z małego miasteczka, prowadzącym na własną rękę dochodzenie za plecami policji stanowej.

Uważał, że mądrość albo przynajmniej uprzejmość nakazuje, żeby przekazać wyniki swojego dochodzenia Cobenowi. Nieważne – pomyślał, wsłuchując się w głos telefonu, którego nikt nie odbierał. Przynajmniej na razie.

Anchorage to duże miasto, dochodzenie musiało zatem wyglądać tak jak w każdym dużym mieście. Wyniki autopsji – jeszcze nieznane. Wyniki badań laboratoryjnych – na razie nie przyszły.

Fakt, że komendant policji z Lunacy czuje w kościach, iż Max Hawbaker został zamordowany, nie ma dla nich zbyt wielkiego znaczenia.

Nate mógł pójść na łatwiznę, i zostawić sprawę swojemu biegowi, uznał jednak, że zbyt długo szedł na łatwiznę. Lepiej zrobi, jeśli w tym przypadku wykorzysta cichą zgodę na prowadzenie własnego dochodzenia.

Siedząc przy biurku i nie zważając na równomiernie padający za oknem śnieg, nie bardzo wiedział, jaką obrać drogę.

Miał ograniczony dostęp do informacji, ograniczoną autonomię, współpracowników zielonych jak szczypierek na wiosnę i konkretny ślad, który wyraźnie wskazywał na samobójstwo.

Co wcale nie oznaczało, że jest kompletnie bezradny – przypomniał sobie, wstając i zaczynając niespokojnie krążyć tam i z powrotem po swoim gabinecie. Baczenie przyjrzał się tablicy. I kryształowym oczom Patricka Gallowaya.

– Ty dobrze wiesz, kto to zrobił – mruknął Nate. – Sprawdźmy zatem, co zdołasz mi powiedzieć.

Zdecydował się na równoległe dochodzenia. Tak, tak właśnie postąpi. Jakby on i Coben prowadzili dwie niezależne sprawy, które będą tymi samymi torami.

Zamiast wystawiać głowę przez drzwi wrócił do biurka i skorzystał z interkomu.

– Peach, zadzwoń do Lodge i powiedz Charlene, że chętnie bym z nią porozmawiał.

– Chcesz, żeby tu przyszła?

– Tak, chcę, żeby tu przyszła.

– Nate, jest pora śniadania, a Charlene odesłała dzisiaj Rosę do domu. Ken

twierdzi, że dziecko może się urodzić wcześniej, niż przewidywał.

– Powiedz jej, że chcę się z nią zobaczyć tak szybko, jak to możliwe, i że nie zajmę jej dużo czasu.

– Jasne, Nate, ale może prościej by było, gdybyś poszedł tam osobiście i...

– Peach, chcę, żeby przyszła tutaj, i to jeszcze przed lunchem. Zrozumiałaś?

– Dobrze, już dobrze. Nie musisz na mnie warczeć.

– Daj mi znać, gdy Peter wróci z patrolu. Chcę zamienić z nim kilka słów.

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo rozmowny.

Wyłączyła się, nim zdążył skomentować jej słowa.

Żałował, że nie ma lepszych zdjęć śladów rakiet śnieżnych. Nim przyjechał do miasta, wziął aparat i wrócił do domu Meg, zaczął padać śnieg. Nate nie wiedział, co ślady rakiet śnieżnych mogły mu powiedzieć, dlatego wahał się, czy przypiąć ich zdjęcia do tablicy.

Chociaż w końcu to jego tablica, nawet jeśli jest niewiele warta.

Błądził w ciemności, tak samo jak poprzedniego wieczoru po ciemku krążył po lesie, uważał jednak, że póki człowiek się rusza, ma szansę koniec końców gdzieś dotrzeć. Chwytał zatem kilka pinezek i przypiął zdjęcia do tablicy.

– Panie komendancie. – Peach wyraźnie była na niego wkurzona, ponieważ jej głos zabrzmiał w interkomie bardzo oficjalnie. – Przyszedł sędzia Royce. Jeśli nie jest pan zbyt zajęty, chciałby z panem porozmawiać.

– Jasne.

Chwytał gruby koc, którego używał w charakterze tymczasowej zasłony.

– Przyślij go tutaj – powiedział, przykrywając tablicę czerwono-czarną kratką.

Sędzia Royce był prawie łysy, jedynie długi, biały kosmyk włosów otaczał jego czaszkę. Na długim, haczykowatym nosie miał szkła grube jak butelka z coli. Bardziej uprzejmi powiedzieliby, iż budowa jego ciała świadczy o tym, że dobrze mu się powodzi. Mówiąc wprost: miał szeroką klatkę piersiową i duży brzuch. Pomimo siedemdziesięciu dziewięciu lat jego głos brzmiał z taką samą siłą i skutkiem jak kilkadziesiąt lat temu na sali sądowej.

Jego grube, ciemne sztruksowe spodnie zaszeleściły, gdy wszedł do biura Nate'a. Sędzia miał na sobie dopasowaną kolorem do spodni, również sztruksową, kamizelkę i ciemną koszulę. W prawym uchu nosił niepasujące do niczego złote kółko.

– Witam, panie sędzio. Napije się pan kawy?

– Nigdy nie odmawiam. – Starszy pan z głośnym sapnięciem opadł na krzesło.

– Ma pan niezły orzech do zgryzienia.

– Powiedziałbym raczej, że to władze stanowe mają sobie na czym łamać zęby.

– Niech pan nie próbuje oszukiwać starego oszusta. Proszę dodać do kawy dwie torebki cukru. Bez śmietanki. Wczoraj wieczorem była u mnie Carrie Hawbaker.

– Przeżywa bardzo trudny okres.

– Gdy czyjś mąż kończy z kulą w głowie, trudno nie przeżywać ciężkich chwil. Jest na pana wkurzona.

Nate podał mu kawę.

– To nie ja wpakowałem mu kulę w łeb.

– Raczej nie, ale kobieta w takim stanie jak Carrie nie ma nic przeciwko zastrzeleniu posłańca, który przynosi złą wiadomość. Chce, żebym, wykorzystując swoje wpływy, doprowadził do usunięcia pana z zajmowanego stanowiska i, jak ma nadzieję, wydalenia pana z miasta.

Nate w milczeniu przyglądał się swojej kawie.

– Ma pan aż takie wpływy?

– Może. Gdybym bardzo naciskał. Mieszkam tu od dwudziestu sześciu lat. Mogę powiedzieć, że byłem wśród pierwszych szaleńców, którzy założyli Lunacy. – Dmuchał na parującą powierzchnię kawy i upił łyk. – Nigdy w życiu nie piłem porządnej policyjnej kawy.

– Ja też. Próbuje mnie pan namówić, żebym sam zrezygnował!

– Jestem starym zrzędą. Każdy, kto kończy osiemdziesiąt lat, musi umieć porządnie zrzędzić, więc po prostu ćwiczę. Niemniej nie jestem głupi. To nie pańska wina, że Max nie żyje. Biedny fujara. I nie pan zawinił, że zostawił w komputerze list, w którym twierdzi, że zabił Patricka Gallowaya.

Jego oczy za grubymi szklami bacznie przyglądały się Nate'owi.

– Taak, właśnie mi to powiedziała i sama sobie próbuje wmówić, że pan to wszystko spreparował, aby szybko i łatwo zamknąć sprawę. Kiedyś zmądrzeje. To rozsądna kobieta.

– A pan mówi mi o tym, ponieważ...?

– Trochę czasu minie, nim Carrie przypomni sobie, że jest rozsądna. Tymczasem może przysporzyć panu trochę kłopotów. To jej pomoże pokonać smutek. Mam ochotę na cygaro. – Wyjął je z kieszeni koszuli. – Jeśli pan chce, może mi pan wypisać mandat.

Nate otworzył szufladę i wyrzucił na biurko zawartość puszki z pinezkami, po czym podał ją sędziemu jako popielniczkę.

– Znał pan Gallowaya?

– Jasne.

Sędzia zapalił cygaro. Powietrze wypełnił subtelny zapach.

– Nawet go lubiłem. Większość ludzi go lubiła. Jak się okazuje, nie wszyscy.

– Zerknął w stronę koca na tablicy. – Jest pod nim pańska tablica?

Kiedy Nate nie odpowiedział, sędzia na zmianę wypuszczał dym i pił kawę.

– Przed wielu, wielu laty prowadziłem sprawy na Kapitolu. Zasiadałem w ławie w sędziowskich szatach, więc może mnie pan skreślić z listy podejrzanych, chyba że zakłada pan, iż dobrze po sześćdziesiątce wspinałem się na No Name i wykończyłem tam faceta o połowę młodszego ode mnie.

Nate rozsiadł się w krześle.

– Miał pan kilka spraw o napad. Royce wydał wargi.

– Widzę, że odrobił pan zadanie domowe. Człowiek, który żyje tak długo jak ja, mieszka tutaj tak długo jak ja i nie dał się w nic wplątać, nie jest zbyt ciekawą postacią.

– Możliwe, ale też człowiek, który mieszka tutaj tak długo jak pan, mógłby prawdopodobnie poradzić sobie ze wspinaczką, gdyby tylko mu na tym zależało. Co więcej, czekan wobec człowieka całkowicie pozbawionego jakiegokolwiek broni niweluje ewentualną różnicę wieku. Przynajmniej teoretycznie.

Royce uśmiechnął się, nie wyjmując cygara z ust.

– Punkt dla pana. Lubię polować i raz czy dwa spędziłem trochę czasu z Patem w lesie, ale nie chodzę po górach. Może pan to sprawdzić, jeśli popyta pan ludzi.

Wystarczyło wybrać się w nie tylko raz – pomyślał Nate, ale zachował to stwierdzenie dla siebie.

– Kto to robił? Kto się z nim wspinał?

– Max, z tego, co pamiętam, podczas pierwszego sezonu, który tu spędził. Prawdopodobnie Ed, a także raz lub dwa Hopp – on i ona – ale była to łatwa letnia wspinaczka. Harry i Dęb. Oboje chętnie uprawiają alpinizm. Bing też kilka razy tam był. Jacob i Pat często razem się wspinali, dużo się włóczyli i razem biwakowali... albo pracowali jako zespół przewodników i prowadzili w góry klientów. Ludzi, którzy przyjeżdżali tu i wyjeżdżali. Z tego, co

słyszałem, Pat był dobrym alpinistą. Zarabiał częściowo na życie, zabierając ludzi w góry.

– A zimowa wspinaczka? Kto z tutejszych mieszkańców był w stanie wejść zimą na szczyt?

– Może nie tyle był w stanie, ile chciał stawić czoło żywiołom. – Sędzia znów wypuścił dym i upił łyk kawy. – Pokaże mi pan tablicę?

Nate nie widział powodu, dla którego nie miałby tego zrobić, dlatego wstał i zdjął koc. Sędzia przez chwilę siedział nieruchomo z zaciśniętymi ustami. Potem podniósł swoje cielsko z krzesła i podszedł bliżej.

– Śmierć przeważnie okrada z młodości. Nie można oczekiwać, że ją zachowa. Pat miał naprawdę ogromne możliwości. Większość z nich przegapił, ale nadal mógł zostać kimś. Miał ładną, ambitną kobietę, bystrą, czarującą córeczkę. Był mądry, miał talent. Problem polegał na tym, że lubił odgrywać buntownika, więc sporo pary szło w gwizdek. Trzeba podejść bardzo blisko, żeby w taki sposób wpakować czekan w czyjaś pierś, prawda?

– Tak mi się wydaje.

– Pat nie był człowiekiem wojowniczym. Pokój, miłość i rock and roll. Jest pan zbyt młody, żeby pamiętać tamten okres, ale Pat święcie wierzył w całe to gówno. Miłość, pokój, kwiaty we włosach i trawka w kieszeni. – Sędzia prychnął. – Nie wyobrażam sobie jednak, żeby stał w pieczarze i cytował Dylana czy kogokolwiek innego, gdy ktoś podchodził do niego z czekanem.

– Mógł, jeśli znał tego człowieka, ufał mu i nie traktował go zbyt poważnie. Istnieje sporo możliwości.

– Max był jedną z nich. – Sędzia potrząsnął głową i przeniósł wzrok na zdjęcie Maxa Hawbakera. – Nie pomyślałbym. W moim wieku właściwie nic już nie powinno człowieka zaskakiwać, ale nie pomyślałbym, że Max może zrobić coś takiego. Pat miał nad nim taką przewagę fizyczną, że mógł pacnąć go jak muchę. Muchę, od której się człowiek opędza – dodał sędzia po chwili.

– Trudniej pacnąć muchę, która ma śmiertelną broń.

– Punkt dla pana. Max był dobrym alpinistą, ale nie wiem, czy wystarczająco dobrym, żeby zejść w lutym w dół bez pomocy kogoś o umiejętnościach Pata. Zastanawiam się, jak mu się to udało i jak potem z tym żył. Jak mógł poślubić Carrie i wychować dzieci, wiedząc, że Pat jest tam, wysoko... a on odpowiada za jego śmierć.

– Wygląda na to, że nie mógł z tym żyć.

– To z pewnością jest wygodne wyjaśnienie, prawda? Najpierw przez przypadek znaleziono w górach ciało Pata, a kilka dni później Max sam się przyznaje, że go zabił. Co więcej, niczego nie wyjaśnia. Tylko „ja to zrobiłem”. Przykro mi. Bang.

– Tak, to jest bardzo wygodne – zgodził się Nate.

– Tyle że pan tego nie kupuje.

– Na razie się powstrzymuję.

Kiedy sędzia wyszedł, Nate spisał notatkę. Musiał porozmawiać z kilkoma dodatkowymi ludźmi, łącznie z panią burmistrz, zastępcą burmistrza i niektórymi ważniejszymi mieszkańcami miasteczka.

Na pierwszej kartce swojego notesu napisał słowo PILOT i otoczył je kółkiem.

Podobno Galloway wyjechał do Anchorage, by podjąć jakąś zimową pracę. Czy ją znalazł?

Jeśli Pat powiedział Charlene prawdę, jeśli rzeczywiście miał zamiar wrócić po dwóch, trzech tygodniach, to musiał zostać zamordowany jeszcze w lutym.

Potwierdzenie tego jest ważne, ale pracując nad tą teorią, koniecznie trzeba było sprawdzić – co oznaczało sporą ilość pracy i wiele wyjazdów – czy mniej więcej w tym samym czasie Max również wyjeżdżał z Lunacy.

Jeśli tak, to w jakim celu?

Jeśli tak, to czy wyjechał sam? Jak długo go nie było? Czy wrócił sam, czy w jakimś towarzystwie?

Nate miał zamiar pogrzebać w pamięci Carrie i poszukać tam odpowiedzi. Na razie nie będzie dla niego zbyt miła. Może zgodziłaby się porozmawiać z Cobenem, ale jeśli ekspert medycyny sądowej uzna śmierć Maxa za samobójstwo, czy Coben zechce badać dalej tę sprawę?

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy Nate wstał, żeby ponownie okryć tablicę, do jego gabinetu wszedł Peter.

– Chciał się pan ze mną widzieć.

– Taak. Zamknij drzwi. Mam pytanie.

– Tak jest, sir.

– Czy umiałbyś mi wyjaśnić, dlaczego ktoś po ciemku spacerował na raketach śnieżnych po lesie w pobliżu domu Meg?

– Słucham?

– To tylko przypuszczenie, ale nie sędzę, by wielu ludzi dla przyjemności

spacerowało po ciemku na raketach śnieżnych po lesie.

– No cóż, pan mógłby to zrobić, gdyby miał pan zamiar złożyć Meg wizytę czy coś w tym stylu albo nie mógł spać. Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Nate wskazał na tablicę.

– Wczoraj wieczorem, kiedy wyszedłem trochę poćwiczyć i zabrać psy na spacer, znalazłem w lesie dziwne ślady. Prowadziły od drogi, jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Meg, na skraj lasu na tyłach jej domu.

– Jest pan pewien, że to nie były pańskie ślady?

– Jestem pewien.

– Skąd pan wie, że zostały zrobione poprzedniego wieczoru? Ktoś mógł tamtędy przechodzić o każdej porze, nawet kilka dni temu. Wybrał się na polowanie albo spacer nad jeziorem.

Słuszne argumenty, przyznał Nate.

– Meg i ja byliśmy na zewnątrz tego wieczoru, kiedy zmarł Max. Braliśmy gorącą kąpiel.

Peter uprzejmie wbił wzrok w ścianę i odchrząknął.

– I co?

– Kiedy kąpaliśmy się, nagle psy dostały szału. Pobiegły w las. Szczekały, jakby coś wyczuły, i trwało to tak długo, że Meg chciała je zawołać z powrotem, ale w końcu się uspokoiły. Jeszcze jedno. Zanim powiesz, że mogły wyczuć wiewiórkę albo pobiec za łośmiem, muszę ci powiedzieć, że znalazłem miejsce, gdzie bawiły się w śniegu, a ślady raket śnieżnych wskazują na to, że ktoś tam właśnie się zatrzymał i przez chwilę stał. Nie jestem Danielem Boone'em, Peterze, ale potrafię połączyć kropki.

Postukał palcem w zdjęcia.

– Ktoś wszedł do lasu, wystarczająco daleko od domu Meg, żeby nie było go widać. Potem stosunkowo prostą drogą – jak ktoś, kto zna położenie i ma określony cel – powędrował na tyły jej domu. Zachowanie psów wskazuje na to, że go rozpoznały i uznały za przyjaciela. Ten ktoś zatrzymał się na skraju lasu i stał pod osłoną drzew.

– Gdybym... hmmm... spacerował i przez przypadek zobaczył pana i Meg... biorących gorącą kąpiel, prawdopodobnie... no wie pan... zawahałbym się, czy zdradzić swoją obecność. Przypuszczalnie wycofałbym się, mając szczerą nadzieję, że żadne z was mnie nie zauważyło. Inaczej czułbym się zażenowany.

– Moim zdaniem mniej zenujące byłoby, gdyby ten ktoś nie kręcił się wokół

domu.

– Byłoby. – Peter przyjrzał się zdjęciom, skubiąc dolną wargę. – Może ktoś zastawiał albo sprawdzał sidła. Teren wokół domu Meg stanowi jej własność, ale może ktoś tam kłusował. Na pewno nie byłaby z tego zadowolona ze względu na psy. Idę o zakład, że puściła muzykę.

– Tak.

– W takim razie ktoś mógł spokojnie podejść bliżej domu, zwłaszcza jeśli sprawdzał sidła.

– W porządku. – To było rozsądne wyjaśnienie. – Może ty i Otto sprawdzilibyście, czy uda wam się znaleźć jakieś wnyki? Jeśli tak, chcę wiedzieć, kto je zastawił. Nie dopuszczę do tego, żeby któremuś z psów coś się stało.

– Zaraz tam pojedziemy.

Peter zerknął ponownie na tablicę. Mógł być zielony, ale nie był głupi.

– Myśli pan, że ktoś ją śledził? Ktoś związany z całą tą sprawą?

– Myślę, że warto sprawdzić.

– Rock i Buli nie pozwoliłyby jej skrzywdzić. Nawet gdyby uważały... tę osobę za przyjaciela, wystarczyłoby, żeby wykonała jakiś niebezpieczny ruch, zaatakowałyby.

– Dobrze wiedzieć. Tak szybko, jak to możliwe, daj mi znać, co z tymi sidłami.

– Jeszcze jedno, panie komendancie. Chyba powinien pan wiedzieć, że Carrie Hawbaker bez przerwy wydzwaniała do różnych ludzi i opowiada im dziwne rzeczy. Jej zdaniem próbuje pan oczernić Maxa, żeby zdobyć dla siebie dodatkowe punkty. Większość mieszkańców miasteczka wie, że Carrie jest w tej chwili bardzo zdenerwowana i trochę świruje, ale... no cóż... niektórzy z nich, zwłaszcza tacy, którym nie podobał się pomysł sprowadzenia tu człowieka z zewnątrz, bardzo się gorączkują.

– Poradzę sobie, ale jestem wdzięczny, że mnie uprzedziłeś.

W ciemnych oczach Petera pojawiło się zmartwienie, a na twarzy lekka złość.

– Gdyby ludzie wiedzieli, że pan tak ciężko pracuje, aby poznać całą prawdę, na pewno by się uspokoili.

– Róbmy, co do nas należy, Peterze. Jeszcze żaden gliniarz nie wygrał konkursu popularności.

Nate wiedział, że nie wygra go również u Charlene, która godzinę później

wpadła jak burza do jego biura.

– Jestem po łokcie urobiona w Lodge – zaczęła. – Rosę nie może obsługiwać klientów przy stolikach, prawdę mówiąc, w ogóle do niczego się nie nadaje. Nie jestem więc ci wdzięczna, że wezwałeś mnie tutaj, jakbym była zwykłym przestępcą. Do jasnej cholery, jestem w żałobie! Mógłbyś okazać mi odrobinę szacunku.

– Okazuję ci tylko szacunek, Charlene. Jeśli to jakoś pomoże, możesz nie sprzątać mojego pokoju, póki to wszystko się nie uspokoi. Posprzątam sobie sam.

– To żadna różnica, gdy wszyscy mieszkańcy miasteczka przychodzą poplotkować, dowiedzieć się czegoś o moim Pacie, porozmawiać o biednej Carrie. Myślisz, że ona jest bardziej pogrążona w smutku niż ja, ponieważ Max popełnił samobójstwo?

– Nie sędzę, żeby to był konkurs.

Odrzuciła głowę do tyłu i wysunęła do przodu brodę. Nate myślał, że Charlene zaraz tupnie nogą, ale ona tylko założyła rękę na rękę.

– Jeśli będziesz rozmawiał ze mną w taki sposób, nic ci nie powiem. Nie myśl, iż masz prawo tak mnie traktować tylko dlatego, że sypiasz z Meg.

– Może zechciałabyś usiąść i łaskawie zamknąć buzię? Otworzyła usta i oblała się pąsem.

– Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?!

– Że jestem komendantem policji. Jeśli nie przestaniesz być wrzodem na dupie i nie zaczniesz ze mną współpracować, zamknę cię w celi i zaczekam, aż zmięknie.

Przez chwilę jak ryba otwierała i zamykała usta pomalowane krzykliwą czerwoną pomadką.

– Nie zrobiłbyś tego.

Może nie – pomyślał Nate, ale groźba wyraźnie poskutkowała.

– Chcesz siedzieć, dąsać się i udawać urażoną? Znam tę śpiewkę. Jest stara i nudna dla każdego, kto musi jej słuchać. Może lepiej będzie, jeśli spróbujesz coś zrobić? Na przykład pomóc mi złapać człowieka, który zabił twojego ukochanego, jak twierdzisz, Pata?

– Naprawdę go kochałam! Chociaż był głupim draniem i egoistą.

Opadła na krzesło i zalała się łzami.

Przez pięć sekund zastanawiał się, jak do niej podejść. Wyszedł i nie zważając

na zaokrąglone oczy Peach, zabrał z jej biurka pudełko chusteczek higienicznych. Po powrocie rzucił je na kolana Charlene.

– Dobrze, popłacz. Potem wytrzyj nos, pozbieraj się i odpowiedz na moje pytania.

– Nie wiem, dlaczego jesteś wobec mnie taki złośliwy. Jeśli tak samo potraktowałeś Carrie, nic dziwnego, że opowiada o tobie okropne rzeczy. Żałuję, że przyjechałeś do Lunacy.

– Nie będziesz jedyna, zwłaszcza gdy znajdę człowieka, który zabił Patricka Gallowaya.

Słyszając to, uniosła zapłakane oczy.

– Przecież to nie twoja sprawa. Zajmuje się nią kto inny.

– Ale to jest moje biuro. I moje miasto.

Podobała mu się kipiąca w nim złość. Złość gliniarza. Dawno jej nie czuł.

– A ty w tej chwili znajdujesz się w moim biurze. Czy Pat Galloway wyjechał z miasta sam?

– Jesteś głupim osiłkiem. Jesteś...

– Do jasnej cholery, odpowiedz na moje pytanie!

– Tak! Spakował torbę, zarzucił ją na plecy i zniknął. Nigdy więcej go nie widziałam. Samotnie wychowałam naszą córkę, która nigdy nie okazała mi wdzięczności za...

– Czy miał się z kimś spotkać?

– Nie wiem. Nie powiedział. Mówił tylko, że chce poszukać jakiejś pracy. Brakowało nam pieniędzy. Byłam zmęczona życiem z dnia na dzień. Jego rodzina miała kupę szmalu, ale Pat nawet nie brał pod uwagę...

– Charlene. Na jak długo się wybierał?

Z westchnieniem zaczęła miąć wilgotną chusteczkę. Uspokaja się – pomyślał Nate.

– Dwa tygodnie, może miesiąc.

– Nigdy więcej nie zadzwonił, nie skontaktował się z tobą?

– Nie. Byłam wściekła również i o to. Mógł zadzwonić po tygodniu lub dwóch i powiedzieć, co jest grane.

– Próbowowałaś się z nim skontaktować?

– Jak? – spytała, ale łzy już wyraźnie wyschły. – Wierciłam dziurę w brzuchu Jacobowi. Pat zawsze mówił mu więcej niż mnie, ale Jacob twierdził, że nie wie, gdzie jest Pat. Równie dobrze mógł go kryć.

– Czy Jacob w tamtych czasach regularnie latał?

– To znaczy?

– Czy wykonywał loty tak, jak teraz robi to Meg? Charlene jedynie wzruszyła ramionami, więc Nate dopytywał się dalej.

– Czy w lutym tamtego roku on albo ktokolwiek inny, kto przychodzi ci na myśl, wyjeżdżał z miasta na... powiedzmy... tydzień albo dziesięć dni?

– Skąd ja mam to, do diabła, wiedzieć?! Nie prowadzę zapisków na temat ludzi, nie pamiętam, co się działo szesnaście lat temu. W tym miesiącu minie dokładnie szesnaście lat – dodała.

Obserwując jej twarz, Nate zorientował się, że Charlene dokładnie w tym momencie zdała sobie sprawę, iż to swego rodzaju rocznica.

– Patrick Galloway zniknął szesnaście lat temu. Idę o zakład, że jeśli tylko się postarasz, przypomnisz sobie wiele szczegółów z tamtego okresu.

– Jak zawsze szamotałam się, żeby zapłacić czynsz.

Musiałam poprosić Karla, żeby dał mi więcej godzin w Lodge. Bardziej myślałam o sobie niż o innych ludziach.

Na przekór tym słowom oparła się o krzesło i zamknęła oczy.

– Nie wiem. Prawie w tym samym czasie wyjechał gdzieś Jacob. Pamiętam, ponieważ wpadł, żeby zobaczyć się z Patem, dokładnie tego samego dnia, kiedy Pat wyjechał. Jacob powiedział nawet, że gdyby o tym wiedział, zabrałby Pata samolotem do Anchorage. O ile dobrze pamiętam, z Jacobem był wtedy Max i jeszcze jakieś dwie osoby. Harry. Harry wyjeżdżał w tym czasie do Anchorage, żeby poszukać nowego dostawcy czy coś podobnego. Choć może to było rok później albo wcześniej. Nie jestem pewna, wydaje mi się, że to było wtedy.

– Dobrze. – Nate odnotował wszystko na żółtych kartkach. – Ktoś jeszcze?

– To była długa zima. Ostra i długa. Dlatego Pat wybrał się w poszukiwaniu jakiejś pracy. Miasteczko było wymarłe. Nie mogliśmy ściągnąć turystów. Lodge świeciło pustkami, Karl dał mi dodatkową pracę tylko dlatego, żebym u niego została i żeby mi pomóc. Był słodkim człowiekiem. Miał do mnie słabość. Niektórzy ludzie polowali, inni zakopali się w swoich domach i czekali na wiosnę. Max próbował rozkręcić gazetę i szukał reklamodawców, męczył ludzi o opowieści. W tamtym okresie chyba nikt nie traktował go poważnie.

– Czy był w mieście przez cały miesiąc?

– Nie wiem. Spytaj Carrie. Latała za nim jak pies myśliwski za królikiem.

Czemu pytasz?

– Ponieważ to moje biuro, moje miasto.

– Nawet nie znałeś Pata. Może rzeczywiście jest tak, jak mówią niektórzy. Po prostu chcesz wywołać wielkie zamieszanie, trafić do gazet, a potem wrócić tam, skąd przyjechałeś.

– Teraz jestem stąd.

Odebrał kilka wezwań, między innymi do kolejnego pożaru w kominie i skargę, że bracia Mackie blokują drogę przewróconym dżipem.

– Nie zrobiliśmy tego celowo.

Jim Mackie stał w gęsto padającym śniegu, drapał się po brodzie i ponuro spoglądał na dżipa, który leżał na boku jak drzemiący stary mężczyzna.

– Kupiliśmy go tanio i postanowiliśmy odholować do domu. Mieliśmy zamiar wyremontować silnik, pomalować całość i komuś odsprzedać.

– Chyba że doszlibyśmy do wniosku, iż warto go zatrzymać – wtrącił brat – doczepić do niego pług i zrobić Bingowi konkurencję.

Nate stał w śniegu, w potwornym zimnie, i przyglądał się bałaganowi.

– Nie macie standardowego sprzętu do holowania. Myśleliście, że przetransportujecie tę kupę złomu na odległość trzydziestu kilku kilometrów za pomocą zardzewiałych łańcuchów przyczepionych do waszej ciężarówki... Co to właściwie jest?... Linka od spadochronu?

– To całkiem niezłe działało. – Bili zmarszczył czoło. – Póki nie wpadliśmy w koleinę. Wtedy nasz dżip przewrócił się jak lalka udająca trupa. Wcześniej to naprawdę działało.

– Właśnie zastanawiamy się, jak go wyciągnąć. Nie rozumiem, czemu wszyscy wpadli z tego powodu w taką złość.

Z ponurego mroku dotarło niesamowite wycie jakiegoś zwierzęcia, prawdopodobnie wilka. To przypomniało Nate'owi, że stoi z dwoma półgłówkami na zaśnieżonej wiejskiej drodze na Alasce.

– Blokujecie ruch. Pług nie może odśnieżyć drogi, żeby mogli korzystać z niej ludzie, którzy mają wystarczającą ilość oleju w głowie, żeby nie utrudniać innym ruchu. Gdyby coś takiego zdarzyło się siedem kilometrów dalej, zablokowalibyście straż pożarną, która właśnie pojechała do pożaru. Bing wyciągnie dżipa z zasy i odholuje go do waszego domu. Płacicie standardowy mandat...

– Sukinsyn!

– I karę za holowanie pojazdu bez odpowiedniego wyposażenia oraz oznakowania.

Bili zrobił tak zboląłą minę, że Nate wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył w jego oczach łzy.

– Skąd my mamy, do diabła, wytrzasnąć tyle pieniędzy, skoro sypie nam pan mandat za mandatem i jeszcze każe płacić za holowanie temu sknerze, Bingowi?!

– To rzeczywiście zagadka.

– Do diabła! – Jim kopnął łysą tylną oponę dżipa. – Wtedy to wyglądało na dobry pomysł. – Potem dodał z uśmiechem na ustach: – Wyszukujemy go na cacy. Może kupić go pan dla komendy policji? Przyczepi do niego jakiś tani pług? Przyda się do czegoś?

– Pogadajcie na ten temat z panią burmistrz, a na razie trzeba usunąć go z drogi.

Okazało się, że aby to zrobić, potrzebny był Bing, jego pomocnik Pargo, obaj bracia i Nate. Kiedy było po wszystkim, a Bing zabrał dżipa, Nate próbował rozsypać liny.

– Ile daliście za niego?

– Dwa tysiące – powiedział Bili z błyskiem w oku. – W gotówce.

Nate obliczył z grubszą, ile będzie kosztowało doprowadzenie dżipa do użytku i jakiej opłaty zażąda od nich Bing.

– Teraz poprzestanę na ostrzeżeniu, ale jeśli jeszcze kiedyś, chłopcy, zwietrzycie dobry interes, zabierzcie ze sobą drążek holowniczy.

– Klawy z pana facet, panie komendancie.

Obaj bracia Mackie pokleпали go po plecach. Niewiele brakowało, a zaryłyby twarzą w śniegu.

– Wkurza nas, że mamy teraz w mieście gliny, ale pan jest w porządku.

– Dziękuję.

Wrócił do miasta. Gdy podjeżdżał do krawężnika, zauważył, że przed przychodnią David pomaga Rosę wysiąść z ich pikapu.

– Wszystko w porządku?! – zawołał.

– Poród się zaczyna! – odkrzyknął David.

Nate wyskoczył i chwycił Rosę pod pachy. Wykonywała wolne, równomierne oddechy, ale gdy spojrzała na Nate'a, w jej oczach w kolorze topionej czekolady pojawił się uśmiech.

– Wszystko w porządku. Będzie dobrze.

Wsparała się na mężu, w tym czasie Nate otworzył drzwi.

– Nie chciałam jechać do szpitala w Anchorage. Zależało mi, żeby poród odebrał doktor Ken. Wszystko będzie dobrze.

– Moja mama zabrała Jesse’ego – wyjaśnił David Nate’owi.

Jest trochę blady – pomyślał Nate. Sam też czuł się tak, jakby krew odpłynęła mu z twarzy.

– Chcecie, żebym został? Pomógł w czymś? – Proszę, powiedzcie „nie”. – Zadzwoił do kogoś?

– Moja mama już tu idzie. – Rosę pozwoliła, żeby David pomógł jej zdjąć kurtkę. – Pan doktor podczas ostatniej wizyty kontrolnej uprzedził mnie, że poród może się zacząć w każdej chwili. Wygląda na to, że miał rację. Skurcze mam co cztery minuty – powiedziała Joannie, która wybiegła do niej z przychodni. – Są równomierne i silne. Wody odeszły jakieś dwadzieścia minut temu.

Nate uznał, że usłyszał już wszystko, co powinien usłyszeć mężczyzna, nawet jeśli nosi odznakę.

– W takim razie zostawię was. – Odebrał od Davida kurtkę Rosę i zawiesił ją.

– Dzwoncie... gdybyście czegoś potrzebowali. Peter coś właśnie dla mnie sprawdza, ale jeśli chcecie, mogę po niego zadzwonić.

– Dziękujemy.

Weszli do przychodni, żeby zrobić coś, o czym Nate nawet nie chciał myśleć. Wyjął telefon z kieszeni. Komórka zadzwoniła mu w rękę.

– Burkę.

– Panie komendancie, mówi Peter. Nie znaleźliśmy żadnych śladów ani śladów po nich. Jeśli pan chce, możemy przeszukać dalszy teren.

– Nie, to mi wystarczy. Wracajcie. Twoja siostra właśnie postanowiła po raz drugi zrobić z ciebie wujka.

– Rosę? Rodzi? Dobrze się czuje? Czy...

– Moim zdaniem wyglądała całkiem nieźle. Jest teraz w przychodni. Z Davidem. Jesse został u jego mamy, a wasza mama jest już w drodze.

– Ja też.

Nate wetknął telefon z powrotem do kieszeni. Prawdopodobnie powinien być w pogotowiu, przynajmniej póki nie pojawi się reszta rodziny. Poczekalnia przychodni tak samo jak każde inne miejsce nadaje się do siedzenia

i zastanawiania się, co mogły oznaczać ślady na śniegu.

I co powinien powiedzieć Meg po jej powrocie do Lunacy.

Na świat przyszła dziewczynka. Ważyła trzy kilogramy, miała wszystkie paluszki i gęstą, czarną czuprynę. Na imię dano jej Willow Louise i była naprawdę piękna. Wszystkie te informacje pochodziły od Petera, który cztery godziny spędził w przychodni, a potem wpadł na posterunek.

Nate po drodze do pracy wstąpił do „Sklepu na Rogu” i kupił cygara. Przy okazji wybrał dla siebie również duży segregator i chociaż był on ciemnozielony, a nie czarny, Nate wziął go na rachunek komendy policji w Lunacy.

Miał zamiar wpiąć do niego swoje notatki oraz kopie wszystkich raportów i zdjęć. Jednym słowem, trzymać w nim całą dokumentację związaną z morderstwem.

Z wielkim namaszczeniem przekazał cygara obu zastępcom i zaskoczonej Peach. Ten gest ocieplił nieco nadwerężone stosunki między nim a jego sekretarką, na którą nie tak dawno warknął.

Po kilku klepnięciach po plecach i wypełnieniu powietrza łagodnym zapachem cygar zwolnił Petera na resztę dnia.

Nate z powrotem usiadł w swoim biurze i korzystając z pomocy dziurkacza i kopiarki, uporządkował dokumenty związane z morderstwem. Cieszył się, że ma segregator i tablicę, typowe akcesoria związane z pracą policjanta.

Z jego pracą.

Miał zamiar pozostałą część swojej zmiany poświęcić na wydzwanianie do Anchorage, gdy weszła Peach. Zamknęła za sobą drzwi, usiadła i złożyła ręce na kolanach.

– O co chodzi?

– Uważasz, że ślady w pobliżu domu Meg to powód do zmartwienia?

– No cóż...

– Otto mi o nich powiedział.

– To...

– Jeśli będziesz mi mówił, co się tutaj dzieje, nie będę się wkurzała.

– Tak jest, proszę pani.

Na te słowa kąciki jej ust lekko drgnęły.

– I nie myśl, że cię nie znam, Ignatiouzie. Zaczynasz mówić grzecznym tonem, gdy chcesz zmienić temat albo sprawić, by ktoś miał wrażenie, że się

z nim zgadzasz, chociaż myślisz wręcz przeciwnie.?

– Trafiony, zatopiony. Uznałem, że warto je sprawdzić, to wszystko.

– I nie wspomniałeś o niczym swojej sekretarce, bo uważasz ją za idiotkę, która nie wie, że mnóstwo czasu poświęcasz na przytulanki z Meg Galloway.

– Nieprawda. – Nie odrywając wzroku od Peach, stuknął palcem w jeden róg segregatora, potem w drugi. – Raczej nie chciałem rozmawiać na temat tychże przytulank z kobietą, która przynosi mi słodkie bułeczki, ponieważ mogłaby dojść do błędnych wniosków.

– A Peter i Otto do nich nie dojdą?

– To faceci. A faceci na ogół wyciągają tylko jeden wniosek, jeśli chodzi o... przytulanki, więc nie ma to znaczenia. Przykro mi, że byłem dla ciebie szorstki. Przepraszam również, że nie informowałem na bieżąco swojej cennej i godnej szacunku sekretarki.

– Potrafisz być miły – powiedziała po chwili. – Martwisz się o Meg?

– Zastanawiam się, w jakim celu ktoś węszył wokół jej domu, to wszystko.

– Meg pierwsza by ci powiedziała, że sobie poradzi, i rzeczywiście, zawsze sobie radziła. Ja jednak uważam, że nigdy nie zaszkodzi, jeśli dobry mężczyzna troszczy się o kobietę. Tutejsi ludzie nie wyrządzają sobie nawzajem krzywdy. Och, czasem jeden drugiego zdzieli pięścią albo podbije mu oko, co sam widziałeś. Niemniej jest to miejsce, w którym człowiek czuje się bezpiecznie i wie, że jeśli wpakuje się w tarapaty, zawsze ktoś wyciągnie do niego pomocną dłoń.

Wyjęła ołówek z koka i przesunęła go między palcami.

– Teraz, po najświeższych wydarzeniach, zaczynam się zastanawiać, czy nasze poczucie bezpieczeństwa nie jest tylko zwykłą iluzją. Mieszkańcy Lunacy są zdenerwowani. Przestraszeni, wręcz przerażeni.

– A sporo z nich ma broń, część nawet służyła niegdyś w wojsku.

– Co więcej, są nieco szaleni – dodała, kiwając głową. – Musisz być ostrożny.

– Powiedz mi, Peach, komu Max mógł wystarczająco ufać, żeby pozwolić mu podejść tak blisko siebie. Tak blisko, że ten ktoś bez trudu przystawił mu lufę do skroni.

Peach przez chwilę bawiła się ołówkiem, potem zdecydowanie wetknęła go z powrotem w kok.

– Nie chcesz, żeby śmierć Maxa uznano za samobójstwo.

– Nie chcę, żeby śmierć Maxa uznano za to, czym nie jest. Dwukrotnie

westchnęła.

– Nie umiem znaleźć nikogo, komu by nie zaufała. To samo dotyczy chyba wszystkich mieszkańców Lunacy. Jesteśmy przecież niewielką społecznością. Możemy się kłócić i nie zgadzać między sobą, od czasu do czasu skopać nawet komuś tyłek, ale nadal jesteśmy niewielką społecznością. Co więcej, niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka są bliższymi lub dalszymi sąsiadami.

– Postawmy sprawę tak. Z kim Max mógł zejść z gór, kiedy Galloway zniknął, i komu aż do śmierci ufał?

– Boże wszechmogący! – Spojrzała na niego zaokrąglonymi oczami i przycisnęła pięść do serca. – Trochę mnie przerażasz. Stawiając sprawę w taki sposób, zmuszasz mnie do zastanowienia się, który z moich sąsiadów, moich przyjaciół byłby w stanie popełnić morderstwo i zachować przy tym zimną krew.

– Wcale nie jestem pewien, czy rzeczywiście umiał ją zachować.

Za to ty to potrafisz – pomyślała nagle. Jeśli o to chodzi, jesteś mistrzem.

– Bing, Jacob, Harry albo Dęb. Dobry Boże! Ach, Hopp albo Ed, chociaż Hopp nigdy nie przepadała zbytnio za wspinaczką wysokogórską. Mackie Senior, Pijany Mike, ale pod warunkiem, że był trzeźwy. Nawet Profesor był kilka razy w górach. Chociaż z tego, co wiem, wolał krótkie letnie wyprawy.

– Czy John zawsze miał słabość do Charlene?

– Niech cię diabli, Nate!

– Tylko próbuję zorientować się w sytuacji, Peach.

– Rozumiem. Z tego, co pamiętam, od dawna. Chociaż ona nigdy na niego nie spojrzała... No cóż, prawdę mówiąc, gdy była z Patem, w ogóle nie zwracała uwagi na innych mężczyzn. Potem, jakieś sześć miesięcy po zniknięciu Pata, wyszła za męża za Karla Hidela. Wszyscy, łącznie ze starym Hidelem, wiedzieli, że wyszła za niego dla pieniędzy i Lodge, ale była dla niego dobra.

– W porządku.

Peach zerknęła na tablicę, potem odwróciła wzrok.

– Jak mam teraz patrzeć ludziom prosto w oczy?

– Na tym polega problem każdego gliniarza. Sprawiała wrażenie lekko oszołomionej, może nieco rozgoryczonej faktem, że została uznana za „gliniarza”. Pewnie tak.

Podniosła się z krzesła i przez chwilę stała, skubiąc swój czerwony sweter w walentynkowe serduszka.

– Zanim skończę, chcę ci powiedzieć, że lubię Meg. Darzę ją ogromnym uczuciem i szacunkiem, ale ogromnym uczuciem i szacunkiem darzę również ciebie, dlatego po cichutku liczę na to, że Meg nie złamie ci serca.

– Zapamiętam to sobie.

Kiedy wyszła, odwrócił się na krześle i spojrzał na śnieg. Kilka tygodni temu nawet by nie pomyślał, że zostało mu jeszcze tyle serca, by ktoś mógł je złamać. Teraz nie wiedział, czy się cieszyć, czy złościć z najnowszego odkrycia.

Czyżby to oznaczało powrót do zdrowia? – zastanawiał się. Albo głupotę? A może jedno i drugie jednocześnie?

Odwrócił się i podniósł słuchawkę telefonu.

Meg nie wróciła na noc. Nate spędził ten czas w jej domu, z jej psami. Wypocił w siłowni nieco frustracji i rosnącą złość. Rankiem, kiedy z nieba padał już tylko drobny, biały puch, pojechał do pracy.

Nie skontaktowała się z nim, co więcej, zrobiła to celowo. To czysty egoizm – przyznała, wsiadając do taksówki na lotnisku w Anchorage. Prawdopodobnie trochę się o nią martwił. Przypuszczała, że Nate ma zakodowane w genach zamartwianie się o kobiety. Będzie nieszczęśliwy i wściekły, ale to też zrobiła z pełną rozwagą.

Ten człowiek ją przerażał.

Wsiadając do samolotu, dostrzegła spojrzenie Nate'a. Jeszcze bardziej wkurzało ją uczucie, które to spojrzenie wywołało w głębi jej duszy.

Nie szukała takiej mocnej więzi, uczucia i bliskości. Dlaczego ludzie, do diabła, nie potrafią cieszyć się dobrym, zwyczajnym seksem, bez angażowania w to... obojętne czego? Nie była Charlene, nie wskakiwała do łóżka z każdym mężczyzną, który pojawił się na horyzoncie. Lojalność to jedno, i Meg jej przestrzegała... przynajmniej tak długo, jak długo w jej żyłach krążyła gorąca krew. Nie miała jednak zamiaru dzielić z nikim domu i domowego ogniska, zwłaszcza gdyby ich romans miał trwać nieco dłużej.

Tymczasem doskonale wiedziała, że Nate się nad tym zastanawia. Domyśliła się, co ukrywa się za jego smutnymi, nieszczęśliwymi oczami, gdy po raz pierwszy w nie spojrzała. Nie miała zamiaru sypiać z facetem, który liczy na coś więcej niż seks.

Jej życie w tej chwili było wystarczająco skomplikowane, nawet jeśli nie brała pod uwagę konieczności dostosowywania się do kogokolwiek innego. Zwłaszcza do mężczyzny, na litość boską!

Była wystarczająco mądra, żeby znaleźć sobie dodatkową pracę, i bardzo się z tego cieszyła. Ta sama mądrość kazała jej przez następne dwa dni trzymać się z daleka od Nate'a i Lunacy. Wykorzystać ten czas na uspokojenie się.

Bóg świadkiem, musiała się uspokoić, ponieważ czekało ją ciężkie przeżycie.

Nie zadzwoniła do Nate'a, natomiast skontaktowała się z Cobenem.

Ciało zwieziono z gór i umieszczono w kostnicy w Anchorage.

Teraz miała zidentyfikować zwłoki ojca.

Sama. Następne rozmyślne posunięcie. Odkąd sięgała pamięcią, żyła po swojemu, sama radziła sobie ze swoimi problemami i sama załatwiała swoje sprawy.

Nie miała zamiaru tego teraz zmieniać.

Jeśli człowiek w kostnicy to jej ojciec – a czuła w kościach, że tak – była to jej sprawa, jej smutek i w jakiś dziwny sposób ulga. I nie miała zamiaru tego dzielić nawet z Jacobem. Jediną osobą, którą naprawdę kochała.

To, co właśnie miała zamiar zrobić, traktowała bardziej jak formalność, przysługę. Coben postawił sprawę jasno – spokojnym, uprzejmym głosem powiedział jej to, o czym wiedziała.

Patrick Galloway był notowany, w związku z tym w policyjnej kartotece znajdowały się jego odciski. Oficjalnie już go zidentyfikowano.

Ponieważ Meg była jego najbliższą krewną, pozwolono jej go zobaczyć, potwierdzić jego tożsamość, podpisać papiery, złożyć zeznanie. Załatwić konieczne formalności.

Przyjechawszy na miejsce, zapłaciła taksówkarzowi. Przygotowała się na ciężkie przeżycie.

Coben już na nią czekał.

– Panna Galloway?

– Witam, panie sierzancie. Wyciągnęła rękę. Jego dłoń była zimna i sucha.

– Wiem, że to trudne, dlatego dziękuję, że zechciała pani przybyć.

– Co mam zrobić?

– Podpisać kilka dokumentów. Dopilnujemy, żeby wszelkie formalności zostały załatwione tak szybko, jak to możliwe.

Poprowadził ją korytarzem. Westchnęła, gdy poczuła taką potrzebę; nie protestowała, gdy przyczepiono jej plaketkę odwiedzającego.

Kiedy Coben prowadził ją szerokim, białym korytarzem starała się o niczym nie myśleć ani nie czuć niewyraźnego, ale uporczywego odoru, który unosił się

w powietrzu.

Coben wprowadził ją do małego pokoiku, w którym stały dwa krzesła i telewizor. Było też okno zasłonięte od zewnątrz białymi okiennicami. Meg przygotowała się i weszła do środka.

– Panno Galloway – dotknął lekko jej ramienia – gdyby zechciała pani spojrzeć na monitor.

– Monitor? – Zdezorientowana odwróciła się i wbiła wzrok w gładki, szary ekran. – Telewizor? Chce mi pan pokazać ojca na ekranie telewizora? Chryste, nie sądzi pan, że to bardziej makabryczne niż...

– Tego wymaga procedura. Tak jest lepiej. Proszę powiedzieć, kiedy będzie pani gotowa.

Meg zaschło w ustach, czuła się tak, jakby miała w nich cuchnący piasek. Bała się, że jeśli przełknie ślinę, zacznie wymiotować.

– Jestem gotowa.

Coben zdjął ze ściany słuchawkę telefonu i coś cicho powiedział. Potem wziął do ręki pilota, wycelował w ekran i nacisnął guzik.

Widziała ojca tylko od szczytów ramion w górę. Nie zamknęli mu powiek – pomyślała w przyptywie paniki. Czy nie powinni zamknąć mu powiek? Spoglądały na nią lodowo-błękitne oczy, które tak dobrze pamiętała. Włosy, wąsik i kilkudniowy zarost ojca były tak samo czarne jak we wspomnieniach Meg.

Nie było na nich lodu ani szronu, który posrebrzyłby je i dodał blasku twarzy Pata. Czy wciąż był zamarznęty? – zastanawiała się tępo. Czy miał zamarznęte wnętrzności? Ile czasu trzeba, żeby serce, wątroba i nerki odmarzły, gdy ważący sześćdziesiąt kilka kilogramów mężczyzna zamarźnie na kamień?

Czy to ma jakieś znaczenie?

Poczuła niepokój w żołądku, zdrętwiały jej koniuszki palców u rąk i nóg.

– Czy może pani zidentyfikować zmarłego, panno Galloway?

– Tak. – W pokoju nie było żadnego pogłosu. Usłyszała swoje ciche słowa: – To Patrick Galloway. Mój ojciec.

Coben wyłączył ekran.

– Serdecznie pani współczuję.

– Jeszcze nie skończyłam. Proszę to włączyć.

– Panno Galloway...

– Proszę to włączyć!

Po chwili wahania Coben spełnił jej prośbę.

– Chciałbym panią ostrzec, panno Galloway, media...

– Nie przejmuję się mediami. Niezależnie od tego, czy będę się nimi przejmować, czy nie, i tak wszędzie opublikują jego nazwisko. Poza tym ojcu pewnie by się to podobało.

Chciała dotknąć ojca, nastawiła się na to, że go dotknie. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego tak bardzo zależało jej na fizycznym kontakcie – zwykłym dotyku skóry. Chociaż z drugiej strony mogła z tym poczekać, aż zrobią wszystko, co konieczne. Potem dotknie ojca po raz ostatni, zrobi to, czego nie zrobiła przed laty w przypływie urażonej dziecięcej dumy.

– W porządku. Może pan wyłączyć.

– Zostawić panią na chwile.? Przynieść pani wody?

– Nie. Chcę uzyskać informacje. Zależy mi na informacjach.

Niestety, w tym momencie nogi odmówiły jej posłuszeństwa, ugięły się pod nią kolana, i opadła na składane krzesło.

– Chcę wiedzieć, na jakim etapie jest pańskie dochodzenie i w jaki sposób ma pan zamiar znaleźć człowieka, który go zabił.

– Może lepiej by było, gdybyśmy porozmawiali na ten temat w moim biurze. Gdyby zechciała pani...

Urwał, ponieważ do pokoju wszedł Nate.

– Witam pana, panie komendancie.

– Dzień dobry, panie sierzancie. Chodź ze mną, Meg. Jacob czeka na piętrze.

– Jacob?

– Tak. To on mnie tu przywiózł.

Nie czekając na zgodę, Nate ujął Meg za ramię. Podciągnął ją na nogi i wyprowadził z pokoju.

– Przyprawdzą pannę Galloway na posterunek, panie sierzancie.

Wszystko rozmazało się wokół niej, chociaż nagle zdała sobie sprawę, że nie pod wpływem szoku ani łez. Raczej dlatego, że zobaczyła zmarłego ojca na ekranie, w telewizji, jakby jego życie i śmierć były swego rodzaju odcinkiem serialu, i dreszczowca – pomyślała niemal ze śmiechem. Cholerne go dreszczowca.

Pozwoliła się prowadzić. Nie odezwała się ani słowem do Nate'a, nie odezwała się ani słowem do Jacoba, milczała jak głaz, póki nie znaleźli się na ulicy.

– Potrzebuję świeżego powietrza. Potrzebuję odrobiny czasu.

Uwolniła ramię i oddaliła się od obu panów. Docierały do niej odgłosy ruchu ulicznego, warkot autobusów, typowe dźwięki wielkiego miasta. Dostrzegąca rozmazane barwne plamy – ludzi, którzy przechodzili chodnikiem obok niej.

Czuła na policzkach chłód i słabe promienie słońca, które przesączały się przez grubą warstwę chmur i pieściły jej skórę.

Zdjęła rękawiczki, założyła okulary przeciwsłoneczne i zawróciła.

– Coben się z tobą skontaktował? – spytała Nate’a.

– Tak. Ponieważ przez cały czas byłeś poza zasięgiem, muszę powiedzieć ci o pewnych rzeczach, zanim udasz się na dalszą rozmowę z Cobenem.

– O jakich rzeczach?

– Takich, o których, do jasnej cholery, nie chcę mówić na chodniku. Wsiądź do samochodu.

– Samochodu? – spytała Jacoba, gdy Nate się oddalił.

– Wypożyczył na lotnisku auto. Nie chciał, żebyś korzystała z taksówki. Próbował zapewnić ci odrobinę prywatności.

– Taki miły i tak troszczy się o innych. Czego nie można powiedzieć o mnie. Nie musisz tego mówić – ciągnęła, chociaż Jacob stał bez słowa. – Widzę wyrzut w twoich oczach.

– Kiedy cię nie było, zajmował się twoimi psami.

– Wcale go o to nie prosiłam. – Usłyszawszy w swoim głosie złośliwość, zaklęła. – Cholera jasna! Niech to wszyscy diabli wezmą, Jacobie! Chyba zacznę mieć wyrzuty sumienia z powodu swojego dotychczasowego stylu życia.

– Wcale cię o to nie prosiłem.

Uśmiechnął się niewyraźnie i delikatnie poklepał ją po ramieniu, co niemal zburzyło wysoką zapórę, którą zbudowała, chcąc powstrzymać łzy.

– Pokazali mi go na ekranie telewizora. Nawet nie mogłam tak naprawdę mu się przyjrzeć.

Gdy Nate podjechał chevroletem blazerem, podeszła do krawężnika, wsiadła do samochodu i wyprostowała plecy.

– Co powinnam wiedzieć?

Nate spokojnym głosem opowiedział jej wszystko o Maksie. Używał prostych słów, jakby informował cywila, o co chodzi w danej sprawie. Jechał, nie odrywając wzroku od drogi, nawet gdy Meg odwróciła głowę w jego stronę.

– Max nie żyje? To on zabił mojego ojca?

– Max nie żyje. Tak wygląda fakt. Ekspert medycyny sądowej uznał, że to było samobójstwo. W liście pozostawionym na ekranie komputera Max przyznał się do zabicia Patricka Gallowaya.

– Nie wierzę w to.

Zbyt wiele uczuć kotłowało się w jej wnętrzu, zbyt wiele myśli uderzało o mur obronny.

– Twierdzisz, że Max Hawbaker nagle ni z tego, ni z owego popełnił morderstwo, wbijając czekan w pierś mojego ojca? Chrzanienie. Głupie chrzanienie gliniarza, który chce zamknąć sprawę i szybko o niej zapomnieć.

– Mówię tylko, że Max Hawbaker nie żyje, że ekspert medycyny sądowej uznał jego śmierć za samobójstwo i że to samo potwierdza dowód w postaci listu na ekranie komputera, ozdobionego krwią i mózgiem Maxa. Gdybyś w ciągu ostatnich dni zadała sobie choć odrobinę trudu i skontaktowała się z kimkolwiek, wiedziałabyś o wszystkim.

Meg zauważyła, że głos Nate'a jest spokojny, jego oczy również. Nic, kompletnie nic nie było w nich widać. To znaczy, że nie tylko ona umiała budować mury.

– Bardzo pan uważa, panie komendancie, żeby nie wyrazić własnej opinii.

– To sprawa Cobena.

Bez dalszych komentarzy podjechał na parking pod komendę policji.

– Uznano, że Hawbaker popełnił samobójstwo – stwierdził Coben.

Zebrali się w niewielkiej sali konferencyjnej. Coben przez cały czas trzymał ręce złożone na teczce.

– Broń należała do niego, co więcej, znaleziono na niej jego i tylko jego odciski palców. Na prawej ręce miał resztki prochu. Nie znaleziono śladów włamania ani walki. Na jego biurku stała butelka z whisky i kubek z resztką alkoholu. Wyniki sekcji dowodzą, że tuż przed śmiercią wypił około stu pięćdziesięciu mililitrów. Na klawiaturze komputera również znaleziono tylko jego odciski. Rana, układ ciała, położenie broni – wszystko wskazuje na samobójstwo.

Przerwał.

– Czy Hawbaker dobrze znał pani ojca, panno Galloway?

– Tak.

– I wie pani, że od czasu do czasu chodzili razem w góry.

– Tak.

– Czy słyszała pani o jakiejś kłótni między nimi?

– Nie.

– Może nie słyszała pani również, że Hawbaker został wylany z redakcji w Anchorage za używanie narkotyków. Z mojego dochodzenia jasno wynika, że Patrick Galloway często używał narkotyków dla rozrywki. Nie znalazłem natomiast żadnego dowodu, że pani ojciec szukał albo miał jakąś pracę zarobkową w Anchorage czy gdziekolwiek indziej, chociaż podobno wyjechał z Lunacy po to, żeby zarobić kilka dolarów.

Zerknęła na niego.

– Nie wszyscy zgłaszają, że podejmują pracę.

– To prawda. Prawdopodobnie Hawbaker, którego miejsce pobytu w pierwszym i drugim tygodniu lutego na razie nie jest znane, spotkał Patricka Gallowaya i razem postanowili wdrapać się od strony południowej na szczyt No Name. Istnieją podejrzenia, że podczas wspinaczki, działając pod wpływem narkotyków i wyczerpania fizycznego, zamordował swojego współtowarzysza i zostawił jego ciało w lodowej grocie.

– Istnieją również podejrzenia, że różowe świnki mogą fruwać – wypaliła Meg. – Mój ojciec rozwaliby Maxa na kawałki i nawet by się przy tym nie spocił.

– Przewaga fizyczna nie ma żadnego znaczenia, gdy w grę wchodzi czekan, zwłaszcza jeśli atak następuje z zaskoczenia. W grocie nic nie wskazywało na walkę. Oczywiście, będziemy kontynuować dochodzenie i badać wszystkie dowody, ale czasami, panno Galloway, to, co oczywiste, jest oczywiste dlatego, że to prawda.

– Chrzanienie. – Wstała. – Ludzie zawsze mówią, że samobójstwo to ucieczka tchórza. Może, ale wydaje mi się, że trzeba mieć dużo odwagi, by przystawić sobie do skroni lufę rewolweru i nacisnąć spust. Tak czy inaczej Max nie pasuje do tego obrazka, ponieważ każdy ze sposobów jest ekstremalny, a Max po prostu taki nie był. Max był zwyczajnym, szarym człowiekiem, panie sierzancie.

– Zwyczajni, szarzy ludzie każdego dnia robią okropne rzeczy. Bardzo mi przykro z powodu pani ojca, panno Galloway, i daję słowo, że będę kontynuował dochodzenie, póki nie znajdę rozwiązania. Niestety, to wszystko, co mogę pani na razie na ten temat powiedzieć.

– Jeszcze minutkę, panie sierzancie. – Nate zwrócił się do Meg i Jacoba: – Zaczekajcie na mnie na zewnątrz. – Zamknął za nimi drzwi. – Co jeszcze pan

ma? Czego pan jej nie mówi?

– Czy łączy pana coś osobistego z Meg Galloway?

– Sam nie wiem, zresztą to nie ma żadnego znaczenia dla sprawy. Zawrzyjmy kompromis, panie sierzancie. Mogę panu powiedzieć, że w Lunacy wciąż żyje około sześciu osób, które mogły tamtej zimy wybrać się w góry z Gallowayem, ludzi, których Max uważał za przyjaciół i sąsiadów. Każdy z nich mógł siedzieć z nim w jego biurze tej nocy, kiedy zmarł. Ocena eksperta medycyny sądowej została oparta na faktach, ale on nie zna tego miasteczka ani jego mieszkańców. Nie znał Maxa Hawbakera.

– Pan też prawie ich nie zna. – Coben uniósł rękę do góry. – Mam jednak dowód, że w okresie, w którym zginął Galloway, prawdopodobnie na No Name wspinało się trzech mężczyzn. Dowód na to, że w pieczarze było ich tylko dwóch. Dowód, który w moim przekonaniu został dostarczony przez samego Gallowaya.

Pchnął teczkę w stronę Nate'a.

– To jego zapiski z wyprawy w góry. Było ich trzech, panie Burkę, i jestem przekonany, że Hawbaker był jednym z nich. Nie jestem natomiast pewien, czy był drugim mężczyzną w pieczarze. W tej teczce jest kopia zapisków. Poproszę eksperta, żeby na podstawie innej próbki sprawdził, czy to na pewno pismo Gallowaya, ale na oko to jego ręka. Od pana zależy, czy zechce się pan podzielić tą wiadomością z jego córką.

– Pan by tego nie zrobił.

– Równie niechętnie dzielę się nią z panem. Muszę jednak przyznać, że ma pan większe doświadczenie, jeśli chodzi o rozwiązywanie morderstw, niż ja, i lepiej potrafi pan sobie radzić z mieszkańcami miasteczka. Musimy skupić się na Lunacy, panie Burkę, ponieważ powiedziałbym, że pod pańskim nosem żyje przynajmniej jeden prawdziwy szaleniec.

Nate wrócił samolotem z Meg, trzymając teczkę pod kurtką. Gdy przeczyta, zadecyduje, czy jej o wszystkim powiedzieć. Zadecyduje, czy powiedzieć komukolwiek.

Ponieważ znajdował się w powietrzu, zrobił wszystko, co możliwe, żeby cieszyć się widokiem.

Śnieg. Dużo śniegu. Zamarznięta woda. Lodowa piękność. Z niebezpiecznymi zakamarkami. Zupełnie jak jego obecny pilot.

– Czy Coben jest dupkiem? – spytała nagle.

– Nie powiedziałbym.

– Czy dlatego, że wy, gliniarze, trzymacie się razem, czy jest to obiektywna opinia?

– Może wszystkiego po trochu. Gdyby był dupkiem, nie zawracałby sobie głowy sprawdzaniem dowodów.

– Jest nim, jeśli naprawdę wierzy, że Max zaatakował mojego ojca czekaniem. To samo dotyczy ciebie. Myślałam, że jesteś mądrzejszy.

– I do czego cię to doprowadziło?

Obniżyła gwałtownie lot, tak gwałtownie, że żołądek Nate'a poszybował w stronę gardła. Nim zdążył zaprotestować, ostro skręciła w prawo.

– Jeśli chcesz, żebym zarzygał ciabinę, rób tak dalej.

– Gliniarz powinien mieć silniejszy żołądek.

Zaczęła pikować w dół z taką prędkością, że Nate widział tylko, jak świat pędzi w ich stronę. Jego ciało wiło się jak w płomieniach, a jego gwałtowne, ostre przekleństwo wywołało jedynie śmiech Meg. Poderwała samolot do góry.

– Masz jakieś ostatnie życzenie? – rzucił.

– Nie. A ty?

– Miałem, ale mi się odechciało. Zrób to jeszcze raz, Galloway, a kiedy wylądujemy, skopię twój szalony tyłek.

– Nie skopiesz. Faceci tacy jak ty nie biją kobiet.

– Chcesz sprawdzić?

Kusiło ją, była tak wściekła, że ją kusiło.

– Czy kiedykolwiek dołożyłeś Rachel za to, że cię zdradziła?

Spojrzał na nią. W jej oczach dostrzegł coś dzikiego, a na twarzy szalone emocje.

– Nigdy nawet się nad tym nie zastanawiałem, ale z dnia na dzień robię ogromne postępy.

– Jesteś na mnie wściekły. Biedny i zrozpaczony, ponieważ nie kontaktowałam się z tobą co godzinę, żeby ci przesłać całusy.

– Lepiej pilnuj sterów. Mój samochód stoi przy twoim domu. To stamtąd zabrał mnie Jacob.

– Nie zapraszałam cię tam. Nie prosiłam, żebyś przychodził i trzymał mnie za rękę.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie proponowałam ci, że będę cię trzymał za rękę. – Odczekał chwilę. – Rosę i David mają córeczkę. Waży trzy kilo. Dali jej na imię

Willow.

– Tak? – Z jej twarzy zniknęło nieco złości. – Rosę urodziła dziewczynkę?

Dobrze się czują?

– Świetnie. Peach mówi, że mała jest śliczna, ale kiedy poszedłem zobaczyć, wyglądała jak wkurzony głupik z czarnymi włoskami.

– Dlaczego jesteś taki rozmowny, skoro najchętniej zdzieliłbyś mnie między oczy?

– Staram się, żeby wszystko było neutralne jak Szwajcaria, póki nie posadzisz tego cholernego samolotu na ziemi.

– W porządku.

Gdy to zrobiła, chwyciła sprzęt i wyskoczyła. Zrzuciwszy na ramię wszystko, co tylko zdołała, pochyliła się, by powitać rozradowane psy.

– Cześć, pieseczki! Tęskniłyście za mną? – Obejrzała się na Nate'a. – Masz zamiar od razu rozłożyć mnie na deski?

– Gdybym to zrobił, twoje psy rozerwałyby mi gardło.

– To prawda. Widzę, że jesteś rozsądnym człowiekiem.

– Nie zawsze – mruknął pod nosem, idąc za nią w stronę domu.

W środku rzuciła swój sprzęt, po czym podeszła prosto do kominka, żeby w nim zapalić. Musiała zająć się samolotem. Spuścić paliwo i zanieść je do szopy, żeby było ciepłe. Przykryć skrzydła.

– Dziękuję, że zajmowałeś się Rockiem i Bullem, gdy mnie nie było.

– Nie ma za co. – Odwrócił się plecami, starannie układając teczkę pod kurtkę. – Byłaś zajęta?

– Korzystałam z okazji. Kiedy jakaś robota sama wpada mi w ręce, biorę ją. Dzięki temu teraz mam do zrealizowania w banku kilka całkiem niezłych czeków.

– To dobrze.

Opadła na fotel i oparła nogę o oparcie, przyjmując bezczelną pozę. – Wróciłam. Cieszę się, że cię widzę. Jeśli masz czas, możemy iść na piętro i pokochać się na powitanie. – Z uśmiechem na ustach zaczęła rozpinąć koszulę. – Idę o zakład, że zdołam cię na to namówić.

– Kiepsko imitujesz Charlene, Meg. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nie chcesz się pieprzyć, nie ma sprawy, ale przy okazji nie musisz mnie obrażać.

– Wyczuwam, że masz ochotę wyrządzić mi krzywdę, doprowadzić mnie do

szaleństwa. O co chodzi?

– To twój problem.

Wstała i zaczęła ocierać się o Nate'a, ale on chwycił ją za rękę i odsunął od siebie.

– Nie mój – powiedział, ignorując ostrzegawcze warknięcia psów. – Wygląda raczej na twój. Chcę wiedzieć, o co chodzi.

– Nie wiem! – Rozpacz w jej głosie zamieniła warknięcia w szczekanie. – Rock, Buli, spokój! Spokój – powiedziała nieco ciszej. – To przyjaciel.

Przyklękła, objęła każdego psa jedną ręką i zaczęła się do nich łąsić.

– Cholera jasna! Dlaczego się na mnie nie wydzierasz, nie wyzywasz, nie mówisz, że jestem zimną, pozbawioną serca suką? Dlaczego ze mną nie zerwiesz?

– Dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś? Dlaczego, odkąd mnie zobaczyłaś, tracisz czas na walkę?

– Zaczekaj chwileczkę.

Wstała i pstryknęła palcami na psy, żeby poszły za nią do kuchni. Wygrzebała kości i rzuciła każdemu po jednej. Potem oparła się o blat i spojrzała na Nate'a.

Już nie jest taki wymizerowany – pomyślała. W ciągu ostatniego miesiąca przybył trochę na wadze, ale nie za dużo, dzięki czemu dobrze wyglądał, sprawiał wrażenie wysportowanego. Jego włosy były lekko zmierzwione i seksowne, chociaż trochę za długie. Co więcej, spokojnie jej się przyglądał tymi swoimi potwornie smutnymi i pociągającymi oczami.

– Nie lubię się z nikim liczyć. Nie jestem do tego przyzwyczajona. Sama zbudowałam ten dom, sama rozkręciłam interes. W pewien określony sposób ułożyłam sobie życie, ponieważ to mi odpowiada.

– Boisz się, że będziesz musiała się ze mną liczyć? Że dla mnie będziesz musiała zmienić swój sposób życia?

– A ty?

– Nie wiem. Może po prostu dostrzegam różnicę między liczeniem się z kimś a troską? Martwiłem się o ciebie. I nie tylko twoje psy za tobą tęskniły. A skoro mowa o sposobie życia, wciąż jeszcze pracuję na swoje utrzymanie.

– Powiedz mi coś. Tylko nie bujaj. Zaczynasz się we mnie zakochiwać?

– Wygląda na to, że tak.

– Jakie to uczucie?

– Jakby coś wracało we mnie do życia. Ogrzewało się i próbowało odnaleźć

swój rytm. To przerażające – powiedział, podchodząc do niej. – i miłe. Tak, miłe i przerażające.

– Nie jestem pewna, czy tego chcę. Nie wiem, czy to w sobie mam.

– Ja też, ale jestem zmęczony własnym zmęczeniem i pustką, dlatego mam zamiar udawać, że chcę się od nich uwolnić. Gdy jestem z tobą, Meg, zaczynam coś odczuwać, chociaż część z tych odczuć jest dosyć bolesna. Na razie się nie zrażam.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Może ty też powinnaś spróbować? Nie zrażać się? Ujęła go za nadgarstki.

– Może.

Zapiski z wyprawy, 19 lutego 1988 r.

Darth naprawdę zwariował. Popieprzyło go. Postradał zmysły. Za dużo prochów i Bóg jeden raczy wiedzieć, czego jeszcze. Zbyt duża wysokość. Mam nadzieję, że udało mi się go uspokoić. W drodze powrotnej zaskoczyła nas burza śnieżna, więc schroniliśmy się w lodowej grocie. Cholerna dziura. Coś w rodzaju miniaturowego zamku z lodowymi kolumnami, łukami i gwałtownymi uskokami. Żałuję, że nie ma tu z nami Hana. Przydałaby mi się pomoc w sprowadzeniu starego Dartha na ziemię.

Ubzdurał sobie, że próbowałem go zabić. Pokłóciliśmy się, a wtedy zaczął krzyczeć, że czyham na jego życie. Napadł na mnie jak szaleniec, musiałem go odepchnąć. Kiedy się uspokoił, przeprosił mnie i śmiał się z całego wydarzenia.

Zrobiliśmy sobie przerwę, żeby złapać oddech i nabrać trochę sił. Przy okazji bawiliśmy się w „Od czego zacznę zaraz po powrocie do normalnego świata”. Okazało się, że Darth marzy o steku, a ja o kobiecie. Potem obaj zgodziliśmy się, że chcemy i jednego, i drugiego.

Widzę, że wciąż jest roztrzęsiony, ale, do diabła, ta góra potrafi nieźle zamieszać człowiekowi w głowie. Musimy dotrzeć do Hana i sprowadzić go na dół. Wrócić do Lunacy.

Niebo się przejaśnia, ale czuję w powietrzu coś dziwnego. Coś się zbliża. Pora się stąd wynosić.

Nate siedział w swoim biurze za zamkniętymi drzwiami i czytał ostatnie zapiski z wyprawy Patricka Gallowaya.

Potrzebowałeś następnych szesnastu lat, żeby zejść z gór – pomyślał Nate. Miałeś rację, czując, że coś się zbliża.

Trzech mężczyzn powędrowało na szczyt, zeszło z niego tylko dwóch. Co

więcej, obydwaj milczeli przez szesnaście lat.

Niemniej w tej pieczarze było ich tylko dwóch: Galloway i jego morderca. Nate był przekonany, że to nie Max zamordował Gallowaya.

Dlaczego zatem morderca pozwolił Maxowi tak długo żyć?

Jeśli to właśnie Max nosił przydomek Hań, to znaczy, że był ranny. Co prawda niezbyt poważnie, jednak czekały go kłopoty z zejściem z gór. Był najmniej doświadczony i odporny z całej trójki, jeśli oczywiście Nate wyciągnął z zapisków Gallowaya słuszne wnioski.

Mimo to morderca sprowadził go na dół i pozwolił mu żyć przez następne szesnaście lat.

Co więcej, Max dochował tajemnicy.

Dlaczego?

Co było powodem? Ambicja, szantaż, lojalność? A może strach?

Nate przypomniał sobie o pilocie. Musi znaleźć pilota i wysłuchać, co ten człowiek ma do powiedzenia.

Zamknął kopię zapisków w szufladzie biurka razem z całą dokumentacją morderstwa i wsunął klucze do kieszeni.

Kiedy wyszedł, natknął się na Ottona, który właśnie wracał z patrolu.

– Ed Woolcott twierdzi, że ktoś włamał się do jego chaty na lodzie, zabrał stamtąd dwie wędki, świder elektryczny i butelkę whisky, a ściany wymalował farbą.

Otto podszedł do ekspresu. Miał twarz zaróżowioną od chłodu.

– Prawdopodobnie jakieś dzieciaki. Powiedziałem mu, że tylko on jeden zamyka swoją chatę na lodzie, zachęcając tym samym małolátów do włamania.

– Ile wynoszą straty? Plus minus.

– Ed twierdzi, że osiemset dolarów. Świder elektryczny Strike Master kosztuje koło czterech stówek. – Na twarzy Ottona pojawiło się obrzydzenie i drwina. – Cały Ed. Już za czterdzieści dolarów można dostać zwyczajny, ręczny świder, ale ten bufon musi mieć wszystko, co najlepsze.

– Mamy opis jego własności?

– Taak, taak. Każdy dzieciak wystarczająco głupi, żeby pokazać się z wędką, która ma mosiężną plakietkę z nazwiskiem Eda, zasługuje na to, żeby go zamknąć. Whisky? Prawdopodobnie się po niej pochorują. Przypuszczalnie wywiercą gdzieś świdrem otwór w lodzie, będą łowić ryby i opróżnią butelkę. Potem wszystko gdzieś podrzucą albo spróbują odnieść z powrotem do jego

chaty.

– Co nie zmienia faktu, że mamy do czynienia z włamaniem, wtargnięciem na cudzy teren i kradzieżą, więc musimy się tym zająć.

– Mogę dać głowę, że wszystkie skradzione rzeczy są ubezpieczone, i to na więcej, niż Ed za nie zapłacił. Słyszałeś już, że rozmawiał z adwokatem, czy nie wnieść przeciwko Hawleyowi oskarżenia o spowodowanie wypadku przed pierwszym styczniem? Zawraca głowę adwokatowi. Jezu Chryste!

– Pogadam z nim. – Życzę szczęścia.

Otto zabrał kawę, usiadł przy swoim biurku i ponuro spojrzął na ekran komputera.

– Teraz muszę jeszcze o tym wszystkim napisać.

– Wychodzę. Chcę coś sprawdzić... – Nate urwał. – Czy często się wspinasz?

– Po jasną cholerę miałbym drapać się po francowatej górze? Całkiem nieźle widzę ją z okna.

– Ale kiedyś to robiłeś.

– Kiedyś również szedłem w tango z rozwiązłymi kobietami.

– Taak? – Nate rozbawiony usiadł na rogu biurka Ottona. – Przypominasz głęboki staw, Otto. Czy te kobiety nosiły obcisłe sukienki i buty na wysokich obcasach?

Rozbawienie wzięło górę nad niezadowoleniem.

– Owszem.

– I miały seksowne rozcięcia po bokach, tak że przy każdym ruchu widać było ich obłędnie długie nogi?

Zły nastrój prysnął, a na twarzy Ottona pojawił się uśmiech.

– To były czasy – westchnął z rozmarzeniem.

– Z pewnością. Nigdy nie umiałem tańczyć tanga ani wspiąć się po górach. Może powinienem spróbować?

– Niech pan lepiej poprzestanie na tangu, panie komendancie. Łatwiej to przeżyć.

– Niektórzy ludzie mówią o wspinaczce jak o swego rodzaju obrzędzie religijnym. Czemu zrezygnowałeś?

– Zmęczyło mnie flirtowanie z odmrożeniami i połamanymi kończynami. – Jego oczy spochmurniały, wbił wzrok w kawę. – Po raz ostatni byłem w górach podczas akcji ratunkowej. Lawina porwała sześciuosobową grupę. Znaleźliśmy dwójkę. Ciała. Nigdy nie widziałeś człowieka, którego porwała lawina?

– Nie.

– Nie masz czego żałować. W przyszłym miesiącu minie od tego wydarzenia dziewięć lat. Nigdy więcej nie poszedłem w góry. Nigdy nie pójdę.

– Czy kiedykolwiek wspinałeś się z Gallowayem?

– Parę razy. Był dobrym alpinistą. Cholernie dobrym, jak na takiego dupka.

– Nie lubiłeś go?

Otto zaczął się bawić jakąś grą komputerową.

– Gdybym nie lubił każdego dupka, którego znam, nie zostałoby zbyt wielu. Facet po prostu wciąż tkwił w latach sześćdziesiątych. Pokój, miłość, narkotyki. Łatwy sposób ucieczki, przynajmniej moim zdaniem.

W latach sześćdziesiątych – pomyślał Nate – Otto pocił się w dżungli w Wietnamie. Tarcie między żołnierzem a hipisem mogło doprowadzić do wybuchu przy mniejszym stresie niż zimowa wspinaczka.

– Bez przerwy powtarzał, że powinniśmy żyć w zgodzie z naturą i ratować ginące wieloryby – ciągnął Otto, naciskając klawisze. – Tymczasem był na utrzymaniu rządu, na który niemal bez ustanku kłął. Nie okazywał ani odrobiny szacunku czy wdzięczności.

– Chyba nie mieliście ze sobą zbyt wiele wspólnego, zwłaszcza że byłeś niegdyś w wojsku.

– Nie byliśmy kumplami od kieliszka. – Przestał stukać w klawisze i spojrzał na Nate'a. – O co ci chodzi?

– Po prostu próbuję sobie stworzyć pełny obraz człowieka. – Wstając, zapytał od niechcienia: – Kto był waszym pilotem, kiedy wybieraliście się razem w góry?

– Najczęściej Jacob. Mieliśmy go pod ręką.

– Myślałem, że Jacob też się wspinał. Czy kiedykolwiek byłeś z nim?

– Jasne. Wtedy zawoził nas Hank Fielding z Talkeetny, Two-Toes z Anchorage albo Stokey Loukes, pod warunkiem, że był trzeźwy. – Wzruszył ramionami. – Nie brakuje tu pilotów gotowych zawieźć grupkę alpinistów, którzy mają pieniądze. Jeżeli naprawdę chcesz wybrać się w góry, każ się zawieźć Meg i weź sobie zawodowego przewodnika, nie jakiegoś kretyna, który tylko leci na forszę.

– Zrobię to, chociaż poważnie się zastanawiam, czy nie poprzestać na widoku z okna.

– To mądrzejsze.

Przesłuchiwanie własnego zastępcy nie sprawiło Nate'owi przyjemności, mimo to sporządził notatkę z odbytej rozmowy. Nie wyobrażał sobie, żeby Otto wpadł w szal i zaatakował kogoś czekaniem. Chociaż, z drugiej strony, nie umiał sobie również wyobrazić, jak jego zastępca idzie w tango z kobietami w obcisłych sukienkach.

W ciągu piętnastu lat ludzie mogą bardzo się zmienić.

Poszedł do Lodge, gdzie Charlene i Cissy podawały tłumom klientów wczesną kolację. Chudy Jim pracował przy barze, a Profesor siedział na swoim stołku, piścił whisky i tym razem czytał Trollope'a.

– Zaczynam przyjmować zakłady na Iditarod – poinformował Jim. – Wchodzisz?

Nate usiadł przy barze.

– Na kogo stawiasz?

– Coraz bardziej przechylam się na stronę młodego Triplehorna. Z Aleutów.

– Jest niesamowicie przystojny – westchnęła Cissy, pojawiając się obok z pustymi naczyniami.

– Nie ma znaczenia, jak on wygląda, Cissy.

– Dla mnie ma. Poproszę głowę łosia i podwójną wódkę z lodem.

– Większość z sentymentu stawia na Kanadyjczyka, Tony'ego Keetona.

– Czyżbyśmy darzyli Kanadyjczyków jakimś sentymentem? – dziwił się Nate, gdy Jim nalewał wódkę.

– Nie. Raczej psy. Pochodzą z hodowli Walta Nottiego.

– W takim razie stawiam dwudziestkę na Kanadyjczyka.

– Piwo?

– Poproszę kawę.

Jim i Cissy przyrządzali drinki, jednocześnie kłócąc się o swoich ulubionych poganiaczy zaprzęgów. Nate odwrócił się do Profesora.

– Jak ci się wiedzie, Johnie?

– Nie sypiam zbyt dobrze. Przynajmniej na razie. – John zaznaczył stronę i odłożył książkę. – Wciąż mam przed oczami tamtą scenę.

– To ciężkie przeżycie. Znałeś dość dobrze Maxa, prawda? Napisałeś do jego gazety kilka artykułów.

– Pisywałem comiesięczne recenzje książek, a od czasu do czasu jakiś dłuższy artykuł. Nie bardzo się opłacało, ale lubiłem to robić. Nie wiem, czy Carrie będzie dalej redagowała gazetę. Mam nadzieję, że tak.

– Ktoś powiedział mi, że zaraz na samym początku Galloway napisał kilka artykułów do „The Lunatic”.

– Miał bardzo lekkie pióro. Pisałby jeszcze lepiej, gdyby się do tego bardziej przyłożył.

– Sądzę, że tak samo było w wielu innych sprawach.

– Rzeczywiście miał talent w paru dziedzinach. – John obejrzał się przez ramię i zerknął w stronę Charlene. – Ale nigdy do niczego się nie przykładał. Marnował możliwości, ot co.

– Łącznie ze swoją kobietą?

– Wolałbym pominąć ten temat milczeniem. Moim zdaniem nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do swojego związku ani niczego, co robił. Miał kilka zaczętych powieści, dziesiątki napisanych do połowy tekstów piosenek, nieco rozpoczętych rzeźb. Był bardzo utalentowany, nie tyle brakowało mu inwencji twórczej, ile dyscypliny i ambicji.

Nate przez chwilę zastanawiał się nad dziwnym układem. Trzech mężczyzn łączyło to samo miejsce zamieszkania, zajęcie, czyli pisanie, i zamiłowanie do wspinaczki. Co więcej, dwóch z nich kochało się w tej samej kobiecie.

– Może z czasem by się zmienił?

John kiwnięciem głowy poprosił Jima o uzupełnienie kieliszka.

– Może.

– Czytałeś jego rzeczy?

– Tak. Czasami siadaliśmy przy piwie, dla rozrywki wypalaliśmy jakąś trawkę – dodał John z półuśmiechem. – Rozmawialiśmy o filozofii, polityce, pisarstwie i przywarach ludzkości. Jak na młodych intelektualistów przystało. – John uniósł kieliszek w toaście. – Intelektualistów, którzy absolutnie donikąd nie zmierzają.

– Wspinałeś się z nim?

– Och, traktowałem to jak przygodę. Młodzi intelektualiści nie przyjeżdżają na Alaskę, jeśli nie pociąga ich przygoda. To były wspaniałe dni i nie wymieniałbym ich nawet na Pulitzera.

Uśmiechając się jak mężczyzna, który wspomina dni dawnej chwały, sączył świeżą whisky.

– Byliście przyjaciółmi?

– Tak. Byliśmy przyjaciółmi, przynajmniej na poziomie intelektualnym. Zazdrościłem mu Charlene, co dla nikogo nie było tajemnicą. Przypuszczam, że

taki układ serdecznie Pata bawił. Dzięki temu czuł się nieco lepszy ode mnie. Ja byłem wykształcony, on nie zrobił studiów, ale w czymś miał nade mną przewagę.

John zamyślił się nad swoim drinkiem.

– Prawdopodobnie byłby rozbawiony, wiedząc, że nadal zazdroszczę mu Charlene.

Nate przez chwilę sącył kawę.

– Czy byliście w górach we dwóch, czy z grupą?

– Słucham?

John zamrugał, jak człowiek wyrwany ze snu. Może wspomnienia do pewnego stopnia przypominają sny – pomyślał Nate. Albo koszmary senne.

– Z grupą. W przypadku takiego szaleństwa potrzebne jest większe towarzystwo. Najmilej wspominam letnią wyprawę na Denali. Grupki i pojedyncze osoby snuły się po lodowatym monstrum jak mrówki na gigantycznym placku. Nasza baza trochę przypominała małe miasteczko. Byliśmy samowystarczalni i stanowiliśmy nieco zwariowaną grupę.

– Ty, Pat i kto?

– Hmm... Jacob, Otto, Dęb i Hany, Ed, Bing, Max, Hoppowie, Sam Beaver, który zmarł dwa lata temu na zator płucny. Kto jeszcze? Z tego, co pamiętam, był też Mackie Senior. On i Bing zaczęli się o coś bić, a Hopp – nieżyjący Hopp – przerwał im awanturę. Był tam również Hawley, ale po pijanemu uderzył się w głowę, więc nie pozwoliliśmy mu na wspinaczkę. Towarzyszyła nam też Missy Jacobson, fotograficzka, z którą miałem krótki, burzliwy romans, nim przeprowadziła się z powrotem do Portlandu i wyszła za mąż za hydraulika.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– O tak, Missy o dużych, brązowych oczach i sprytnych rękach. Uczestnicy z Lunacy traktowali tę wyprawę jak wakacje. Mieliśmy nawet małą flagę, którą chcieliśmy zatknąć na szczycie i zrobić zdjęcia do gazety. Tyle że nikt z nas nie dotarł na wierzchołek.

– Naprawdę nikt?

– Naprawdę. Przynajmniej nie wtedy. O ile dobrze pamiętam, Pat wdrapał się tam później, ale podczas tej konkretnej wspinaczki prześladował nas prawdziwy pech. Ostatni wieczór w bazie był wspaniały. Nic nie zapowiadało późniejszej porażki. Śpiewy, przekleństwa, tańce pod świecącym na okrągło słońcem. Chyba nigdy nikt z nas nie był tak szczęśliwy jak wtedy.

– Co się potem stało?

– Najpierw rozchorował się Harry. Rano dostał gorączki. Złapał grypę. Powiedział, że dobrze się czuje, a nikt z nas nie chciał się z nim kłócić. Wystarczyło mu sił na pięć godzin. Dęb i Hopp musiały sprowadzić go do bazy. Sam upadł i złamał sobie rękę. Missy zrobiło się niedobrze, więc następna grupka schodząca w dół sprowadziła ją do obozowiska. Potem nastąpiła gwałtowna zmiana pogody, więc rozbiliśmy namioty i skuleni modliliśmy się, żeby burza śnieżna jak najszybciej minęła. Nie minęła, było coraz gorzej. Najpierw Ed się rozchorował, potem ja. W nasze ślady poszli następni, aż w końcu musieliśmy odwołać wyprawę i wrócić. Było to smutne zakończenie małomiasteczkowych wakacji..

– Kto przywiózł was z powrotem do miasta?

– Słucham?

– Mieliście jakiegoś pilota?;

– Och, pamiętam, jak tłoczyliśmy się w samolocie, każdy chory, wkurzony albo nadąsany. Nie przypominam sobie, kto siedział za sterami. Chyba jakiś przyjaciel Jacoba. Z tego, co pamiętam, potwornie wymiotowałem. W którymś momencie nawet coś o tym napisałem. Próbowałem zrelacjonować naszą przygodę na wesoło w artykule dla „The Lunatic”.

Dokończył whisky.

– Zawsze żałowałem, że nie udało nam się zatknąć flagi. Nate porzucił ten temat i odwrócił się do Charlene.

– Możesz sobie zrobić przerwę?

– Jasne. Jak Rosę wróci.

– Pięć minut. W tej chwili nie masz wcale tak wielu ludzi. Wsunęła notes do kieszeni.

– Pięć minut. Jeśli nie będziemy sprawnie działać, ludzie przeniosą się do Italian Place. Nie mogę stracić stałych klientów.

Przeszła z restauracji do pustego foyer. Słyszac stukot jej obcasów, Nate pomyślał o tangu i zastanawiał się, co za próżność każe kobietom na kilka godzin całkowicie zapomnieć o wygodzie i biegać w takich niewygodnych butach.

– Patrick Galloway pojechał do Anchorage w poszukiwaniu pracy.

– Już to przerabialiśmy.

– Spróbuj zaspokoić moją ciekawość. Jeśli będąc tam, nagle nabrał szalonej

ochoty na wspinaczkę, kogo mógł zatrudnić, żeby go zawiózł na Sun Glacier?

– Skąd ja to mam, do diabła, wiedzieć? Nie wspominał o wyprawie w góry, pojechał szukać pracy.

– Żyłas z nim prawie przez czternaście lat, Charlene. Znałas go.

– Jeśli nie mógł skorzystać z usług Jacoba, prawdopodobnie wziął TwoToesa albo Stokeya. Natomiast jeśli nie było pod ręką żadnego z nich, mógł zapłacić komukolwiek. Albo wymienić coś na lot. Nie miał zbyt wielu pieniędzy. Dałam mu na wyjazd zaledwie sto dolarów. Wiedziałam, że jeśli będzie miał więcej, i tak to zmarnotrawi.

– Wiesz, gdzie mogę znaleźć któregoś z tych pilotów?

– Spytaj Jacoba albo Meg. To ich świętek, nie mój. Powinieneś mi powiedzieć, Nate, że zwieźli go z gór. Powinieneś zabrać mnie ze sobą, żebym mogła go zobaczyć.

– Nie było sensu, żebyś przez to przechodziła. Naprawdę – powiedział, nim zdążyła zaprotestować.

Pchnął ją na krzesło i usiadł obok niej.

– Posłuchaj mnie. Gdybyś go zobaczyła w takim stanie, nie pomogłabyś ani sobie, ani jemu.

– Meg go widziała.

– I była potem potwornie roztrzęsiona. Widziałem to na własne oczy. Chcesz zrobić coś dla mnie i dla siebie? Chcesz znaleźć rozwiązanie tej zagadki? Poświęć odrobinę czasu córce. Bądź matką, Charlene. Pociesz ją.

– Ona nie potrzebuje mojego pocieszenia. Ona niczego ode mnie nie potrzebuje.

– Może nie, ale jeśli jej to zaproponujesz, najprawdopodobniej pomożesz sobie samej. – Wstał. – Idę się z nią zobaczyć. Czy mam jej coś od ciebie przekazać?

– Powiedz jej, że przez kilka najbliższych dni przydałaby mi się pomoc, chyba że ma coś ważniejszego do roboty.

– W porządku.

Gdy dotarł do domu Meg, było już całkiem ciemno. Zauważył, że jest spokojniejsza, bardziej rozluźniona i wypoczęta. Sądząc po poduszkach i narzucie na kanapie, Meg w którymś momencie ucięła sobie drzemkę przed kominkiem.

Uznał, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie wręczenie jej wiązanki

chryzantem i stokrotek, które kupił po drodze w „Sklepie na Rogu”. Nie były zbyt świeże, ale co kwiaty, to kwiaty.

– Po co to?

– Wiesz, doszedłem do wniosku, że powinniśmy się trochę cofnąć i skorzystać z bardziej tradycyjnych metod. Wciągnęliśmy się nawzajem do łóżka, więc ten etap mamy już za sobą. Teraz moglibyśmy się trochę do siebie pozalecać.

– Naprawdę?

Powąchała kwiaty. Może to staroświeckie i oklepane, ale miała słabość do kwiatów i mężczyzn, którzy je dają.

– W takim razie jaki będzie następny krok? Podryw przy barze?

– Raczej miałem na myśli jakąś tradycyjną randkę, powiedzmy kolację, ale jeśli chcesz, możesz poderwać mnie przy barze. To mi też odpowiada. Na razie chcę, żebyś spakowała kilka rzeczy i pojechała ze mną na noc do Lodge.

– Och, czy to znaczy, że podczas zalotów będziemy mogli się kochać?

– Jeśli chcesz, możesz wziąć dla siebie osobny pokój, ale wolałbym kochanie się. Możesz zabrać też kwiaty. I psy.

– Dlaczego miałabym rezygnować z wygody, jaką zapewnia mi mój dom, żeby pokochać się z tobą w pokoju hotelowym? – Odwróciła kwiaty i spojrzała znad nich na Nate’a. – Och, dla dreszczyku emocji w naszym zacofanym związku? To zbyt głupie, żeby do mnie przemawiało, panie Burkę. Proponuję, abyśmy zostali tutaj i udawali, że jesteśmy w jakimś tanim pokoju hotelowym. Możemy nawet sprawdzić, czy na kablówce nie leci jakieś porno.

– Świetny pomysł, ale chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Lunacy. Tej nocy, kiedy braliśmy gorącą kąpiel, ktoś kręcił się po lesie za twoim domem.

– O czym ty mówisz? Opowiedział jej o śladach.

– Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mi tego, gdy było jasno? Wtedy mogłabym sama zobaczyć.

Rzuciła kwiaty na stół i ruszyła po kurtkę.

– Zaczekaj! Potem spadło przynajmniej dziewięć centymetrów śniegu. Niczego nie zobaczysz. Zresztą Otto i Peter dokładnie sprawdzili ślady. Nie wspomniałem ci o tym wcześniej, ponieważ miałaś dość wrażeń. Dzięki temu trochę odpoczęłaś i nawet zdążyłaś się zdrzemnąć. Spakuj wszystko, co będzie ci potrzebne, Meg.

– Nie dam się wykurzyć ze swojego domu tylko dlatego, że ktoś krąży dookoła po lesie. Nawet jeśli uwierzę w tę paranoję i uznam, że ktoś mnie

szpieguje albo ma wobec mnie jakieś nieczne plany, nie ruszę się stąd. Mogę...

– Poradzić sobie sama. Wiem.

– Myślisz, że nie umiem?

Odwróciła się na pięcie i wpadła do kuchni. Kiedy Nate wszedł tam za nią, wyjmowała strzelbę z szafki na miotły.

– Meg!

– Zamknij się.

Sprawdziła komorę. Ku swojej rozpaczy zauważył, że strzelba jest nabita.

– Czy wiesz, ile wypadków zdarza się tylko dlatego, że ludzie trzymają w domu nabitą broń?

– Nie strzelałem do nikogo przez przypadek. Wyjdź. Otworzyła drzwi.

Było ciemno, zimno, ale to nic w porównaniu z poirytowaną kobietą mającą w ręku naładowaną broń.

– Może weszłabyś do środka i...

– Tamta gałąź, godzina druga, dwa metry nad ziemią, dwanaście metrów od pnia.

– Meg...

Przyłożyła strzelbę do ramienia, wycelowała, wypaliła. Huk rozszedł się echem. Gałąź eksplodowała, upadła na śnieg.:

– W porządku, umiesz posługiwać się strzelbą. Przyznaję ci złoty medal w strzelaniu. Wejdź do środka.

Znów wypaliła, gałąź podskoczyła na śniegu jak królik.

Para unosiła się jej z ust, kiedy strzeliła jeszcze raz i wyrównała to, co zostało.

Potem zebrała puste łuski, wróciła do domu i schowała strzelbę.

– Duży plus za umiejętności strzeleckie – skomentował Nate. – Chcę ci jednak przypomnieć, że odstrzelenie kawałka gałęzi to nie to samo, co celowanie do żywego człowieka.

– Nie jestem jedną z twoich eleganckich damulek, jakich pełno poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika. Zastrzeliłam łosia, bizona, karibiu, niedźwiedzia...

– A czy kiedykolwiek zastrzeliłaś człowieka? To nie to samo, Meg. Uwierz mi, to ogromna różnica. Wiem, że jesteś bystra, silna i dużo możesz, ale proszę cię, żebyś dziś na noc wróciła ze mną do miasta. Jeśli tego nie zrobisz, zostanę tutaj. Chociaż, z drugiej strony, twojej matce przydałby się ktoś, kto zastąpiłby Rosę. Charlene jest przepracowana i załamana z powodu twojego ojca.

– Charlene i ja...

– Wiem, sam też nie mogę dogadać się ze swoją matką. Prawie się do mnie nie odzywa, a moja siostra trzyma się od nas obojga z daleka, ponieważ zależy jej na spokojnym, normalnym życiu. Nie mam do niej o to pretensji.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Jest o dwa lata starsza ode mnie. Obecnie mieszka w Kentucky. Nie widziałem jej od... pięciu lat. Burke'owie nie lubią wielkich spotkań rodzinnych..

– Nie przyjechała do ciebie, gdy leżałeś ranny?

– Zadzwoiła. Nie mieliśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia. Kiedy Jack został zabity, a ja postrzelony, mama odwiedziła mnie w szpitalu. Myślałem, że może z tego horroru wyniknie coś dobrego. Miałem nadzieję, że jakoś się dogadamy. Niestety, matka spytała tylko, czy teraz zrezygnuję z pracy gliniarza, czy też za jakiś czas będzie musiała odwiedzić mnie na cmentarzu. Powiedziałem jej, że została mi tylko praca. Zacisnęła usta i wyszła w milczeniu. Od tego czasu wymieniliśmy ze sobą najwyżej dziesięć słów. Z powodu pracy straciłem najlepszego przyjaciela, żonę i rodzinę.

– Nie, wcale nie.

Nie mogła się powstrzymać, więc ujęła jego dłoń i uniosła ją do swojego policzka. Potarła skórę.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Zależy, jak się na to popatrzy. Nie zrezygnowałem. Jestem tutaj, ponieważ praca to jedyna rzecz, która trzymała mnie przy życiu. Może to właśnie ona uchroniła mnie przed pójściem na dno, sam nie wiem. Wiem natomiast, że ty masz szansę przynajmniej do pewnego stopnia pogodzić się z matką. Powinnaś z niej skorzystać.

– Na pewno nie prosiła mnie o pomoc.

– Prosiła. Ja tylko przekazuję jej słowa.

Meg odwróciła się, westchnęła i kopnęła szafkę pod zlewem.

– Pomogę jej, ale nie sądzę, byśmy potem żyły razem długo i szczęśliwie, Nate.

– „Długo i szczęśliwie” to zbyt odległa perspektywa, by się o nią martwić.

Podrzucił ją do Lodge, a sam wrócił na posterunek.

Trochę czasu spędził, sporządzając notatki z rozmów z Ottonem i Johnem, a potem zaczął sprawdzać nazwiska pilotów, których podał mu Otto.

Na koncie Stokeya Loukesa nie znalazł żadnych poważniejszych wykroczeń, zaledwie kilka mandatów za złamanie przepisów drogowych. Obecnie mieszkał w Fairbanks i pracował dla Alaska Wild, biura podróży, które na stronie internetowej zapewniało, że jest w stanie pokazać klientom prawdziwą Alaskę, pomóc w upolowaniu grubego zwierzka, wyłowieniu taaakiej ryby i uwiecznieniu najwspanialszych szczytów, wszystko w zależności od wybranego pakietu. Możliwe zniżki dla grup.

Fielding w dziewięćdziesiątym trzecim roku przeprowadził się do Australii i cztery lata później zmarł śmiercią naturalną.

Całkiem inaczej wyglądała sprawa Thomasa Kijńskiego, pseudonim Two-Toes. Nate znalazł kilka wyroków za posiadanie środków halucynogennych, opium i innych zakazanych substancji, podejrzenie o dystrybucję, oskarżenia o pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego, drobne kradzieże.

Twoo-Toes został wydalony z Kanady, dwukrotnie zawieszano mu licencję pilota.

Ósmego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku znaleziono jego ciało w koszu na śmieci w porcie w Anchorage. Zginął od ran zadanych nożem. Nie miał portfela ani zegarka. Wniosek – napad uliczny. Przesiępcy albo przesiępców nigdy nie znaleziono.

Gdyby spojrzeć na to z innej strony – pomyślał Nate, drukując dane – można by dojść do wniosku, że ktoś w ten sposób usunął po prostu niewygodnego świadka. Pilot zabrał w góry trzech mężczyzn, przywiózł z powrotem dwóch. Dwa tygodnie później został znaleziony w pojemniku na śmieci z ranami zadanyimi nożem.

Nad tym wszystkim trzeba się dobrze zastanowić.

Ponieważ na posterunku panowała całkowita cisza, Nate odkrył swoją tablicę. Zaparzył świeżą kawę i wyjął puszkę prasowanej szynki, by zrobić sobie coś, co miało uchodzić za kanapkę.

Potem usiadł przy biurku, studiował tablicę, przeglądał notatki, czytał zapiski Patricka Gallowaya.

I długo myślał.

Nie powiedział Meg o zapiskach ojca. Gdy kobieta pod koniec dnia jest zmęczona i poirytowana, głupotą byłoby dodawanie jej jeszcze jednego powodu do zmartwień.

Natomiast ze szczerym podziwem obserwował, jak zakasała rękawy i zabrała

się do roboty w Lodge. Dodatkowe punkty przyznał jej za to, że nazajutrz wczesnym rankiem wstała z łóżka i podała klientom śniadanie. Zwłaszcza że napięcie między nią a Charlene wyczuwali chyba wszyscy.

Gdy usiadł przy stoliku, podeszła z gotowym dzbankiem kawy.

– Cześć. Mam na imię Meg. Dziś rano to ja będę pana obsługiwać. Ponieważ spodziewam się naprawdę sutego napiwku, zaczekam, aż pan zje, a dopiero potem rozwalę ten dzbanek na głowie Charlene.

– Doceniam twoje starania. Jak myślisz, kiedy Rosę będzie mogła wrócić?

– Może za jakiś tydzień, dwa, ale nawet wtedy Charlene z pewnością pozwoli jej na ustalenie własnego harmonogramu, póki nie będzie mogła przejąć wszystkich swoich obowiązków.

– Można powiedzieć, że to ładnie z jej strony.

– Och, Charlene zawsze jest miła dla Rosę. – Meg rzuciła w stronę matki krótkie, szorstkie spojrzenie. – Wręcz ją kocha. Tylko mnie nie jest w stanie tolerować. Zjesz coś, przystojniaczku?

– Czy rozbijesz mi dzbanek na głowie, jeśli ci powiem, że prawdopodobnie obie szukacie tego samego, tylko każda z was w inny sposób?

– Możliwe. – A w takim razie poproszę o owsiankę.

– Jesz owsiankę? – Zmarszczyła seksownie garbaty nosek. – Bez przystawiania noża do gardła?

– A tobie trzeba go przystawiać?

– Taak, tygodniami.

Ze wzruszeniem ramion powędrowała, by przyjąć zamówienia od innych klientów i dolać im kawy.

Lubił patrzeć, jak Meg się porusza. Szybko, ale bez pośpiechu, seksownie, chociaż bez specjalnego rzucania się w oczy. Miała na sobie obowiązkową na Alasce flanelową koszulę, spod której było widać białą, ciepłą bieliznę. Między piersiami Meg delikatnie kołysał się srebrny wisiołek.

„Pacnęła” twarz makijażem; wiedział o tym, ponieważ ją obserwował. „Pacnęła” było jak najbardziej odpowiednim określeniem, bo zrobiła to szybko, umiejętnie i bezmyślnie; wystarczyło jej zaledwie kilka ruchów, żeby pokryć policzki cieniutką warstewką różu, położyć cienie na powiekach i musnąć tuszem długie, ciemne rzęsy.

Mężczyzna, który choć raz zobaczył, co kobieta robi z tuszem, przepadł z kretesem.

Gdy Charlene wyszła z zaplecza z zamówionymi daniami, Meg zniknęła na tyłach ze swoim notesem. Nawet nie kiwnęły sobie głowami, jedynie w pomieszczeniu na moment gwałtownie obniżyła się temperatura.

Nate udał, że pije kawę, potem wyjął notes, chcąc się za nim ukryć, mimo to Charlene ruszyła w jego stronę. Nawet mężczyzna, który przepadł z kretesem, ma dość instynktu samozachowawczego, żeby trzymać się z daleka od dwóch warczących na siebie kobiet.

– Dolać ci? Przyjęła od ciebie zamówienie? Nie wiem, dlaczego Meg nie może być nieco miłsza dla klientów.

– Nie, dzięki. Tak, przyjęła. Jest bardzo miła.

– Może dla ciebie, ponieważ się z nią pieprzysz.

– Charlene!

Nate usłyszał przytłumiony chichot z boksu, w którym zazwyczaj siadywali Hans i Dexter.

– Wielki Boże!

– Przecież to żaden sekret, prawda?

– Już nie – mruknął.

– Spędziła noc w twoim pokoju, prawda? i odstawił kawę.

– Jeśli to ci w jakiś sposób przeszkadza, mogę się do niej przeprowadzić.

– Dlaczego to miałoby mi przeszkadzać? i automatycznie dołała mu kawy, chociaż podziękował.

– Dlaczego cokolwiek miałoby mi przeszkadzać?

Ku ogromnemu przerażeniu Nate'a oczy Charlene wypełniły się łzami. Nim zdążył wymyślić, jak sobie z nią poradzić, wybiegła z sali, rozlewając po drodze kawę.

– Ach, te kobiety – mruknął Bing, który siedział w sąsiednim boksie za plecami Nate'a. – Same kłopoty.

Nate odwrócił się. Bing wymiatał z talerza jajka, kiełbasę i frytki. Na jego ustach błąkał się złośliwy uśmiezek, ale jeśli Nate się nie mylił, w oczach Binga widać było współczucie.

– Byłeś kiedykolwiek żonaty, Bing?

– Raz. Nic z tego nie wyszło.

– Nie rozumiem, dlaczego.

– Zastanawiam się, czy nie zrobić tego ponownie. Może podobnie jak Johnny Trivani zamówię sobie przez Internet jakąś Rosjankę.

– Naprawdę się na to zdecydował?

– Jasne. Ostatnio słyszałem, że wysłał propozycję do dwóch pań. Chcę jednak najpierw przekonać się na własne oczy, jak to się sprawdzi w jego przypadku, potem pomyślę.

– Uhm.

Ponieważ wdali się w coś, co mogło uchodzić za rozmowę, Nate postanowił wykorzystać sytuację.

– Chodzisz czasami po górach, Bing?

– Kiedyś trochę się wspinałem, ale nie bardzo to lubię. Jeśli mam trochę wolnego czasu, wolę wybrać się na polowanie. Szuka pan jakiejś rozrywki?

– Może. Dni robią się coraz dłuższe.

– Jest pan za chudy. Od razu widać, że pochodzi pan z wielkiego miasta. Radzę panu, niech się pan trzyma miasta, panie komendancie. Zajmie się robótkami na drutach albo jakimś innym gównem.

– Zawsze interesowały mnie makramy. – Widząc obojętne spojrzenie Binga, Nate tylko się uśmiechnął. – Jak to się stało, że nie masz samolotu, Bing? Facet taki jak ty, człowiek, który kocha niezależność i zna się na maszynach, powinien latać. To chyba byłoby całkiem naturalne.

– Za dużo roboty. Jeśli mam pracować, wolę pracować na ziemi. Poza tym trzeba być w połowie szalonym, żeby zostać pilotem.

– Tak słyszałem. Ktoś wspominał mi nawet o całkiem szalonym pilocie. Miał zabawną ksywkę. Six-Toes czy coś w tym stylu.

– Two-Toes. Z powodu odmrożenia czy czegoś takiego stracił trzy palce u nogi. Tak, to był prawdziwy wariat. Nie żyje.

– Rozbił się?

– Nie. Wdał się w jakąś bijatykę. Nie, nie... – Bing zmarszczył czoło. – Został zadźgany nożem. Gdzieś w wielkim mieście. Trzeba umieć żyć w takim tłumie.

– No proszę. Czy kiedykolwiek z nim leciałeś?

– Raz. To szaleniec. Podrzucał nas na polowanie na karibu. Nie wiedziałem, że leci wyżej niż pieprzony księżyc, póki niemal nas nie zabił. Podbiłem mu potem oko – pochwalił się Bing z ogromnym zadowoleniem. – Tak, to był prawdziwy wariat.

Nate miał zamiar coś odpowiedzieć, ale w tym momencie Meg wyłoniła się z kuchni... Jednocześnie drzwi wejściowe otworzyły się z wielkim hukiem.

– Panie komendancie!

Do środka wpadł Jesse, kilka kroków za nim szedł David.

– Jest pan tutaj.

– Ty też. – Nate musnął chłopca palcem po nosie. – Witaj, Davidzie. Jak miewa się Rose? I dziecko?

– Dobrze. Naprawdę dobrze. Postanowiliśmy dać jej odpocząć i zjeść w Lodge męskie śniadanie.

– Możemy usiąść obok pana? – spytał Jesse. – Bo przecież wszyscy jesteśmy mężczyznami.

– Jasne.

– I to najprzystojniejszymi w Lunacy. – Meg postawiła przed Nate'em owsiankę, talerz z tostami i miseczkę z owocami. – Masz już prawo jazdy, Jesse?

Roześmiał się i usiadł w boksie obok Nate'a.

– Jeszcze nie. – Podskoczył. – Czy mogę przelecieć się twoim samolotem?

– Jak nogami sięgniesz do pedałów. Napijesz się kawy, Davidzie?

– Dzięki. Jesteś pewien, że możemy się dosiąść? – spytał Nate'a.

– Jasne. Brakowało mi mojego stałego towarzysza śniadań. Jak się czujesz jako starszy brat?

– Sam nie wiem. Ona płacze. Głośno. I śpi. Dużo śpi. Ale chwyta mnie za palec. Ssie mamusi cycuszki, żeby dostać mleko.

– Naprawdę?

Nate nie był w stanie wymyślić niczego innego.

– Przynieść ci szklanekę mleka? – spytała Meg, nalewając Davidowi kawę.

– Rose wie, że ją zastępujesz. – David wsypał cukier do swojej filiżanki. – Mam ci w jej imieniu gorąco podziękować. Wszyscy gorąco dziękujemy.

– Nie ma za co.

Gdy Charlene pojawiła się na sali, Meg obejrzała się przez ramię.

– Przyniosę mleko, a wy zastanówcie się, co zjecie na męskie śniadanie.

Nate zostawił swój samochód do dyspozycji Meg i na piechotę poszedł na posterunek. Światło słoneczne było słabe, ale jednak było. Góry spowijała gruba warstwa chmur. Nate już wiedział, że takie właśnie chmury zwykle przynoszą śnieg. Na szczęście mocny wiatr i chłód nieco zelżały. Dzięki spacerowi rozruszał nieco mięśnie i odetchnął świeżym powietrzem.

Mijał dobrze znane twarze, prawie bezwiednie pozdrawiał ludzi, którzy widywali się niemal każdego dnia.

Ze zdumieniem doszedł do wniosku, że znalazł tu miejsce dla siebie, i wcale nie była to kryjówka czy tymczasowe schronienie, ale miejsce, w którym powoli zaczynał dobrze się czuć.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni myślał o tym, by stąd wyjechać albo uciec do jakiegoś innego miasta, poszukać innej pracy. Minęło wiele dni, odkąd po raz ostatni na siłę podniósł się rankiem z łóżka albo siedział godzinami w ciemności, bojąc się zasnąć, bojąc się snów i tego, co mogą ze sobą przynieść.

Owszem, zdarzało mu się jeszcze, że spory ciężar przygniatał mu plecy, głowę, ramiona i wnętrzności, ale nie był on już tak przytłaczający jak niegdyś.

Ponownie zerknął na góry. Zdawał sobie sprawę, jak wiele zawdzięcza Patrickowi Gallowayowi. To głównie dzięki niemu udało mu się wyrwać z ciemności, dlatego nie mógł i nie chciał zrezygnować z odkrycia prawdy.

Przy krawężniku zatrzymał się samochód Hopp. Pani burmistrz opuściła szybę.

– Jadę zobaczyć się z Rosę i maleństwem.

– Pozdrów ich ode mnie.

– Powinieneś osobiście ich odwiedzić. Tymczasem mam dla ciebie kilka spraw. Pojutrze federalni mają zamiar wywołać lawinę, w związku z tym droga z Lunacy do Anchorage będzie zablokowana.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Federalni od czasu do czasu celowo wywołują lawinę, żeby oczyścić nieco góry. Tym razem chcą to zrobić pojutrze koło dziesiątej. Peach właśnie dostała zawiadomienie i przekazała mi informację na ten temat. Dobrze by było, gdybyś wydał specjalny komunikat.

– Zajmę się tym.

– No i jest jeszcze ten cholerny, ogromny łoś, który snuje się w pobliżu boiska szkolnego. Kiedy dwójka dzieciaków postanowiła go przepędzić, zaatakował znajdujące się w pobliżu samochody, a potem wrócił pod szkołę. Dzieci są w tej chwili zamknięte w budynku, ale łoś jest naprawdę wkurzony. Z czego się śmiejesz? – spytała. – Widziałeś kiedykolwiek wkurzonego łośia?

– Nie, psze pani, ale przypuszczalnie zobaczę.

– Jeśli nie uda ci się go przepędzić z miasta, będziesz musiał go zastrzelić. – Kiwnęła głową, widząc, że uśmiech zniknął z jego twarzy. – Zwierzę może kogoś zranić.

– Zajmę się tym.

Przyspieszył kroku. Nie miał zamiaru strzelać do głupiego łosia, zwłaszcza na terenie szkoły. Może dzięki temu już do końca życia będzie uchodził za przybysza z zewnątrz, ale tego nie robi. I już.

Kiedy wszedł na posterunek, jego ludzie toczyli ostrą walkę z Edem Woolcottom. Twarz Ottona poczerwieniała ze złości, a jego nos i nos Eda niemal się stykały.

Lawina, wkurzony łos, wkurzony zastępca, wkurzony bankier. Dobry początek dnia.

– Do jasnej cholery, najwyższy czas – warknął Ed na widok Nate’a. – Chciałbym zamienić z panem słówko, panie komendancie. W pańskim biurze.

– Będzie pan musiał poczekać. Peach, przekaz lokalnej radiostacji informacje na temat spodziewanej lawiny. Chcę, aby przez cały dzień powtarzano tę wiadomość co pół godziny. Zrób kilka plakatów i porozlepiaj je po mieście. Peterze, chcę, żebyś pojechał i osobiście poinformował wszystkich, którzy mieszkają na południe od Wolverine Cut, co ich czeka. Muszą wiedzieć, że będą odcięci, póki drogi nie zostaną oczyszczone.

– Tak jest, sir.

– Panie komendancie...

– Chwileczkę – powiedział do Eda. – Otto, po boisku szkolnym płacze się podenerwowany łos. Już zniszczył jakieś samochody. – Mówiąc to, podszedł do szafki z bronią. – Chcę, żebyś wybrał się tam razem ze mną. Może uda nam się go przepędzić.

Otworzył szafkę i wybrał broń, modląc się w głębi duszy, żeby nie musiał z niej korzystać.

– Czekam od dziesięciu minut – poskarżył się Ed. – Pańscy zastępcy z pewnością poradzą sobie bez pana z dziką zwierzyną.

– Może pan tu poczekać albo przyjdę do banku, gdy tylko zrobię porządek.

– Jako zastępca burmistrza...

– Jest pan prawdziwym wrzodem na dupie – dokończył Nate. – Otto, będzie nam potrzebny twój samochód. Mój został przy Lodge. Idziemy.

– Wyglądał jak wyrzucony na brzeg pstrąg, który chwyta powietrze – skomentował Otto, kiedy znaleźli się na zewnątrz. – Będzie chciał urwać ci za to głowę, Nate, bez dwóch zdań. Ed nie lubi, gdy ktoś go lekceważy.

– Mam ważniejsze sprawy do załatwienia. Pani burmistrz kazała mi

przepędzić łosia, więc muszę go przepędzić. – Wsiadł do samochodu Ottona. – Nie będziemy do niego strzelać.

– Po co w takim razie zabrałeś broń?

– Żeby spróbować go przestraszyć.

Szkoła składała się z trzech małych, niskich, długich budyneczków. Na lewo od nich rosła pełna uroku kępka drzew, po przeciwnej stronie znajdowało się małe, kwadratowe boisko. Nate wiedział, że jeśli tylko pozwala na to pogoda, młodsze dzieci dwa razy w ciągu dnia wypuszczane są na zewnątrz na coś w rodzaju przerwy.

Ponieważ większość uczniów urodziła się na Alasce, przerwy odwoływano tylko przy naprawdę fatalnych warunkach.

Uczniowie szkoły średniej często przed lekcjami i po nich przesiadywali wśród drzew. Może palili papierosy albo się wygłupiali.

Przed szkołą stał maszt. O tej porze dnia powinny wisieć na nim dwie flagi: Stanów Zjednoczonych i Alaski, obie jednak były wciągnięte zaledwie do połowy i nawet nie powiewały z powodu braku wiatru.

– Dzieciaki musiały łosia zauważyć, wciągając flagę – mruknął Nate. – Wtedy postanowiły go przepędzić.

– Tymczasem jedynie go zdenerwowały.

Nate zerknął na dwa samochody z wgnieceniami na maleńkim parkingu.

– Na to wygląda.

Dostrzegł również łosia. Stał na skraju zagajnika i pocierał rogami o korę. Widać było również cienką smużkę krwi. Ponieważ nikt nie zgłaszał, że są ranni, Nate założył, że obrażenia odniósł tylko łoś.

– W tej chwili raczej nie stwarza żadnych problemów.

– Moim zdaniem skaleczył się, atakując samochody, więc na pewno nie jest w najlepszym nastroju. Jeśli zechce tu zostać, może stanowić poważne zagrożenie, zwłaszcza gdyby jakieś niezbyt mądre dziecko wymknęło się nauczycielom i postanowiło przepędzić zwierzę albo pobiegło do domu po broń, żeby je zastrzelić.

– Cholera. Podjedźmy tak blisko, jak się da. Może wtedy się ruszy.

– Raczej zaatakuje.

– Nie mam zamiaru strzelać do łosia, który drapie się o drzewo, Otto.

– Ktoś inny to zrobi, zwłaszcza jeśli zwierzę będzie się trzymało blisko miasta. Mięso łosia jest bardzo smaczne.

– To nie będę ja, i cholera, nie dopuszczę, żeby coś takiego się stało w granicach miasta.

Kiedy zaczęli się zbliżać, łoś odwrócił się, a jego ciemne oczy bardziej wyglądały na złe niż tępe.

– Do licha, niech to wszyscy diabli, pieprzony łoś! Naciśnij klakson.

Łoś wcale nie był powolny. Skąd wzięło się przekonanie, że to takie flegmatyczne zwierzę? Ruszył galopem w ich stronę. Najwyraźniej warkot silnika i klakson bardziej go rozdrażniły, niż przstraszyły. Wciąż klnąc na czym świat stoi, Nate wysunął się przez okno, wycelował w niebo i wypalił. Łoś nadal zbliżał się w ich stronę, a Otto, dodając swoje przekleństwa do wiązanki Nate'a, skręcił, żeby uniknąć kolizji.

Nate naładował broń i ponownie wypalił w powietrze.

– Zastrzel tego sukinsyna – warknął Otto, tak gwałtownie skręcając, że niewiele brakowało, a Nate wypadłby przez okno.

– Nie zrobię tego.

Nate ponownie załadował broń i strzelił w śnieg, jakieś trzydzieści centymetrów przed łośiem.

Tym razem to zwierzę skręciło i swoim pozbawionym wdzięku klusem ruszyło w stronę drzew.

Nate strzelił jeszcze dwa razy, nie chcąc, żeby łoś gdzieś się zatrzymał.

Potem opadł na siedzenie i odetchnął. Zza ich pleców dotarły wycia, wiwaty i śmiech. Po chwili dzieci wybiegły ze szkoły.

– Jesteś szalony. – Otto zdjął rękawiczkę i przeczesał palcami włosy. – Musisz być szalony. Wiem, że w Baltimore strzelałeś do człowieka i wyprawileś drania do piekła. Nie mogłeś wpakować kilku kulek w łośia?

Nate wziął głęboki wdech i odsunął od siebie wspomnienie ciemnego zaułka.

– Łoś był nieuzbrojony. Jedziemy, Otto. Pora rozprawić się z zastępcą burmistrza. Ty po powrocie napiszesz raport.

Zastępca burmistrza wcale nie miał zamiaru czekać. W rzeczywistości, jak zameldowała Peach, najpierw wygłosił krótką tyradę, dlaczego poważnym błędem było zatrudnienie leniwego, bufoniastego przybysza z zewnątrz, po czym jak bomba wypadł z posterunku.

Nate podszedł do tego spokojnie. Oddał strzelbę zastępcy, zabrał krótkofalówkę i wyruszył piechotą do banku.

Przypuszczał, że gdzieś w dalekim, szerokim świecie jest zimniej niż w lutym

w Lunacy. Miał nadzieję, że, na Boga, nigdy się tam nie znajdzie.

Niebo się przejaśniło, w związku z tym resztki ciepła uniosły się w górę i przepadły. Na szczęście pojawiło się słońce, więc być może koło południa temperatura wzrośnie do cudownych minus dwudziestu pięciu stopni. Słońce otaczał tęczy pierścień, kolorowa aureola czerwieni, błękitów i złota. Jak mówił Peter, nazywano to psim słońcem.

Ludzie snuli się po ulicach, wykorzystując ładny poranek, by pozłatwiać swoje sprawy. Niektórzy pozdrawiali go głośno, inni machali rękami.

Zobaczył, jak Johnny Trivani, ewentualny przyszedły pan młody, rozmawia na chodniku z Bess Mackie. Dęb myła okna sklepowe od zewnątrz, jakby był piękny wiosenny dzień.

Machnięciem ręki pozdrowił Mitcha Daubera, który siedział przy oknie radiostacji KLUN, puszczając nagrania i obserwując życie miasteczka. Nate przypuszczał, że nim dzień dobiegnie końca, Mitch wygłosi jakiś filozoficzny komentarz na temat przygody z łosiem.

Mamy luty. Nate uświadomił to sobie, gdy stał na rogu Lunatic i Denali. Jakimś cudem upłynęła już tak znaczna część lutego, że lada chwila zacznie się marzec. Wkrótce minie sześćdziesiąt dni, a wraz z nimi ostatnia możliwość odwrotu. Tymczasem Nate wciąż tu był.

Nie tylko był. Zaczynał się zadomawiać.

Pogrążony w zadumie, przeszedł na drugą stronę ulicy i otworzył drzwi banku.

Przy okienku dwaj klienci załatwiali swoje sprawy, następny odbierał korespondencję z poczty. Sądząc po sposobie, w jaki wszyscy obecni spojrzeli na swojego komendanta, łatwo było się domyślić, że wchodząc tutaj, Ed wciąż był wściekły.

W całkowitej ciszy Nate pokonał wahadłowe drzwi, które oddzielały część dla klientów od biur. Nie było tu marmurów ani bankomatów, ale na podłodze leżał ładny dywan, na ścianie wisiało kilka obrazów, jednym słowem panowała atmosfera typowa dla tego rodzaju instytucji.

Nate podszedł do drzwi z błyszczącą mosiężną tabliczką Eda Woolcotta i zapukał.

Ed osobiście mu otworzył, po czym zeszywniał.

– Będzie pan musiał poczekać. Rozmawiam przez telefon.

– Nie ma sprawy.

Kiedy drzwi zamknęły się Nate'owi tuż przed nosem, spokojnie wsunął rękę do kieszeni i zaczął oglądać obrazy.

Zauważył, że jeden z nich – totem w zasypanym śniegiem lesie – podpisany był przez Ernesta Nottiego. Czyżby jakiś krewny Petera? – zastanawiał się. Wciąż jeszcze nie wszystko wiedział o mieszkańcach Lunacy.

Rozejrzał się wokół siebie. Kasjerek od klientów nie oddzielało szkło ochronne, w pomieszczeniu były jednak zainstalowane kamery. Nate sprawdził wszystko, zanim otworzył swój rachunek.

Klienci i urzędniczki wrócili do przerwanych rozmów. Do Nate'a zaczęły docierać urywki zdań. Wieczór filmowy, zbliżająca się sprzedaż wypieków w ramach zbiórki pieniędzy na szkolny zespół muzyczny, pogoda, Iditarod. Normalne małomiasteczkowe rozmowy, których nie usłyszałby w żadnym oddziale banku w Baltimore.

Ed kazał mu czekać dziesięć minut. Kiedy w końcu otworzył drzwi, był nieco spięty, a na kamiennej twarzy widać było delikatne rumieńce.

– Chcę pana poinformować, że złożyłem oficjalną skargę na ręce pani burmistrz.

– W porządku.

– Nie podoba mi się pańskie podejście, panie komendancie.

– Przyjąłem do wiadomości, panie Woolcott. Jeśli to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia, muszę wracać na posterunek.

– Nie wszystko. Chcę wiedzieć, co pan zrobił w sprawie kradzieży mojej własności.

– Zajmuje się tym Otto.

– Ktoś zagrabił i zniszczył moje mienie. Skradziono mi drogi sprzęt rybacki. Uważam, że mam prawo liczyć na pomoc komendanta policji.

– Ma pan prawo. Raport został napisany, a wyznaczony oficer bada sprawę. Kradzież nie zostanie zlekceważona ani przeze mnie, ani przez moich ludzi. Mamy szczegółowy opis skradzionego sprzętu i jeśli złodziej będzie tak głupi, by z niego skorzystać, mówić o nim albo spróbować go sprzedać na terenie, który podlega mojej władzy, zaaresztujemy go i odzyskamy pańską własność.

Pod wpływem złości oczy Eda zamieniły się w szparki.

– Może gdybym był kobietą, bardziej zainteresowałby się pan moją sprawą?

– Prawdę mówiąc, nie sądzę, by nawet jako kobieta był pan w moim typie, panie Woolcott – skwitował jego słowa Nate. – Jest pan zdenerwowany i zły.

Ma pan do tego prawo. Ktoś pana okradł. Niczego nie zmieni fakt, że mogły to zrobić jakieś głupie małolaty. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby odzyskać pańską własność. Jeśli to pomoże, przepraszam, że wcześniej byłem wobec pana nieco szorstki. Nie chciałem, żeby dzieciom stało się coś złego. Uznałem, że ich bezpieczeństwo jest najważniejsze. Do tej szkoły chodzą również pańskie pociechy, prawda? Zakładam, że ich bezpieczeństwo jest ważniejsze niż najświeższe informacje na temat pańskich skradzionych rzeczy.

Rumieniec zniknął. Sądząc po długim westchnieniu, kryzys minął.

– Niezależnie od wszystkiego był pan niegrzeczny.

– Byłem. Myślałem o czymś innym. Prawdę mówiąc, prowadzę sporo spraw. Morderstwo Patricka Gallowaya, samobójstwo Maxa. – Potrząsnął głową, jakby był tym wszystkim przytłoczony. – Przyjmując tę pracę, zakładałem, że będę miał do czynienia... no cóż... w najgorszym razie z kradzieżą, jaka się panu przytrafiła.

– Tak, to tragiczne. – Ed usiadł i łaskawym gestem wskazał Nate'owi krzesło.

– Cholernie tragiczne i szokujące. Max był moim przyjacielem, i to dobrym.

Potarł kark dłonią.

– Wydawało mi się, że go znam, tymczasem nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, że myśli o samobójstwie. Zostawieniu żony i dzieciaków. – Uniósł do góry ręce na znak swego rodzaju milczących przeprosin. – Sądzę, że jestem bardziej podenerwowany, niż chciałbym się przyznać, że gdzieś od środka śmierć Maxa mnie potwornie gryzie. Jestem panu winien przeprosiny.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Pozwoliłem, żeby ta kradzież przesłoniła mi wszystko. Odruch obronny. Łatwiej złościć się z byle powodu niż myśleć o Maksie. Próbowałem pomóc Carrie w przygotowaniach do pogrzebu i uporządkowaniu spraw finansowych. Śmierć pociąga za sobą mnóstwo roboty papierkowej. Trudno, naprawdę trudno sobie z tym wszystkim poradzić.

– Nie ma nic trudniejszego niż pochowanie przyjaciela. Długo go pan znał?

– Bardzo długo. Stare, dobre czasy. Nasze dzieci razem rosły. A tu jeszcze Pat...

– Jego też pan znał?

Ed uśmiechnął się.

– Tak, nim ożeniłem się z Arlene. Albo, jak ona by powiedziała, nim ona mnie ugłaskała. Nie zawsze byłem porządnym, oddanym rodzinie człowiekiem tak

jak teraz. Pat kojarzył mi się z wielką przygodą. Też stare, dobre czasy. Na swój sposób.

Rozejrzał się po obszernym biurze, jakby należało do kogoś innego i nie mógł sobie przypomnieć, jakim cudem się tu znalazł.

– To wydaje się niemożliwe. I jedno, i drugie.

– Wszyscy byli zaszokowani, gdy dowiedzieli się o Gallowayu.

– Myślałem, że wyjechał... wszyscy tak sądzili... i wcale mnie to nie zaskoczyło. Naprawdę. Był niespokojny, lekkomyślny. Może właśnie dlatego taki pociągający.

– Chodził pan z nim w góry?

– Boże! – Ed oparł się o krzesło. – Jak ja kiedyś kochałem wspinaczkę... Ten dreszczyk emocji i wszelkie niedogodności. Wciąż ją kocham, ale rzadko mam na to czas. Uczę syna.

– Słyszałem, że Galloway był w tym dobry.

– Bardzo. Chociaż zbyt lekkomyślny. Tak sądziłem, nawet gdy miałem trzydzieści lat.

– Jak pan przypuszcza, kto mógł się z nim wspinać tamtej zimy?

– Nie wiem, chociaż zastanawiam się nad tym, odkąd usłyszałem hiobową wieść. Przypuszczam, że mógł zabrać kogoś na zimową wspinaczkę albo pójść tam z jakąś większą grupą. Mógł to zrobić pod wpływem impulsu, żeby dostać nieco pieniędzy, ale i dla dreszczyku emocji. Potem jeden z nich zabił Pata, Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. – Potrząsnął głową. – Czy to nie policja stanowa prowadzi dochodzenie w tej sprawie?

– Owszem. Ja po prostu jestem ciekawy, dlatego pytam nieoficjalnie.

– Wątpię, by kiedykolwiek odkryli, kto to zrobił lub dlaczego. Szesnaście lat. Boże, jak wszystko się zmienia – mruknął.

A człowiek ledwo to dostrzeża. Uwierzy pan, że na początku jednoosobowo zajmowałem się bankiem i w nim mieszkałem? Trzymałem pieniądze w tym sejfie. Wskazał czarny sejf w podłodze.

– Nie wiedziałem o tym.

– Wylądowałem tu, gdy miałem dwadzieścia siedem lat. Chciałem znaleźć dla siebie miejsce w dzikiej głuszy, a potem ucywilizować ją i dostosować do swoich potrzeb. – Tym razem na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Chyba mi się udało. Wie pan, moimi pierwszymi klientami byli Hoppowie i sędzia Royce. Wykazali wówczas sporo odwagi, lokując swoje oszczędności w moich rękach.

Nigdy tego nie zapomniałem. Chociaż, z drugiej strony, mieliśmy pewną wizję i zgodnie z nią stworzyliśmy to miasto.

– To dobre miasto.

– Tak, dobre, a ja jestem dumny, że brałem udział w jego tworzeniu. Był tu stary Hidel i jego Lodge. Po jakimś czasie on też stał się klientem mojego banku. Potem pojawili się inni ludzie. Peach ze swoim trzecim mężem... nie, to był jej drugi mąż. Przez jakiś czas mieszkali za miastem, przyjeżdżali tu na zakupy i od czasu do czasu na jakieś spotkanie towarzyskie. Kiedy on zmarł, Peach sprowadziła się do miasta na dobre Otto, Bing, Dęb i Harry. Trzeba mieć siłę, charakter i sporo wyobraźni, żeby tu żyć.

– Tak.

– No cóż... – westchnął. – Pat miał niezłą wyobraźnię i nie brakowało mu charakteru. Nic nie wiem o sile. Chociaż trzeba przyznać, że był bardzo rozrywkowy. Mam nadzieję, że wszystko się uspokoi. Jak pan sądzi, czy kiedykolwiek się dowiemy, co tak naprawdę wydarzyło się tam, w górach?

– Jest bardzo mała szansa, sądzę jednak, że Coben poświęci tej sprawie tyle czasu i wysiłku, ile będzie trzeba. Poszuka pilota i każdego, kto mógł widzieć Gallowaya tuż przed jego ostatnią wyprawą w góry. Może będzie chciał porozmawiać też i z panem. Spytać, jaki pilot najczęściej zawoził Pata w góry.

– Przeważnie Jacob. Tylko gdyby to Jacob zawiózł go w góry, z pewnością zameldowałby, że Pat nie wrócił, Wzruszył ramionami. – Należy więc przypuszczać, że musiał to być ktoś inny. Niech pomyślę...

Wziął srebrny długopis i bezwiednie stukał nim o suszarkę na swoim biurku.

– Kiedy wybieraliśmy się w góry z Jacobem, czasami zawoził nas... Jak on się nazywał...? Weteran z Wietnamu; Lakes... Loukes. Tak. No i był jeszcze ten wariat. Mówili na niego Two-Toes. Jak pan sądzi, czy powinienem zadzwonić do Cobena i powiedzieć mu o wszystkim?

– Z pewnością nie zaszkodzi. Muszę już wracać. – Nate wstał i wyciągnął rękę. – Mam nadzieję, że spór między nami został zażegnany, panie Woolcott.

– Mów mi Ed. Tak, tak. Cholerny świder. Znacznie go przeplącałem, stąd podwójna złość. Jest ubezpieczony, tak samo jak wędkę, ale w końcu chodzi o zasady.

– Rozumiem. Posłuchaj, może pojedę do twojej chaty na lodzie i trochę się w niej rozejrzę?

Na twarzy Eda pojawiło się zadowolenie.

– Byłbym wdzięczny. Zmieniłem zamek. Zaraz dam ci kluczyki.

Uporawszy się z łosiem i zastępcą burmistrza, Nate poszedł odwiedzić Rosę. Wydawał nad dzieckiem odpowiednie dźwięki, tak przynajmniej sądził. Mała wyglądała jak czarnogłowy żółw owinięty w różowy kocyk.

Potem wpadł na posterunek i powiedział Peach, że jedzie nad jezioro ponownie sprawdzić chatę Eda. Działając pod wpływem impulsu, zatrzymał się przy wybiegu dla psów przy Lodge i zabrał ze sobą Rocka i Bulla, żeby przy okazji mogły się nieco wyhasać.

To była miła wyprawa. W radiu, na ulubionej stacji Ottona, puszczano piosenki country, więc Nate szybko przełączył kanał na rock, dzięki czemu w drodze nad jezioro towarzyszyły mu żywsze rytmy.

Chata Eda stała na nierównym kawałku lodu z dala od innych domków. Według szacunków Nate'a miała rozmiary dwóch sporych budynków gospodarczych i została wykonana z czegoś, co przypominało odpadki z drewna cedrowego. Była o wiele porządniejsza, niż można się było spodziewać, miała zniszczone srebrnawe ściany i spadzisty dach.

Co więcej, znajdowała się w sporej odległości od pozostałych chat.

Nate z rozbawieniem uznał, że wygląda jak rezydencja albo domek wiejski.

Psy biegały po lodzie jak para dzieciaków podczas ferii, tymczasem komendant z dużym trudem, ślizgając się i potykając, szedł w stronę chaty.

Wokół panowała zdumiewająca cisza – jak w kościele – jedynie lekki wiatr cicho poszeptywał w przysypanych śniegiem drzewach. Słońce świeciło na lodowatobłękitnym niebie, a zamrożone jezioro błyszczało jak lustro.

Poczucie ciszy i odosobnienia było tak silne, że usłyszawszy nad głową dziwny, długi krzyk, Nate drgnął niespokojnie i sięgnął po broń.

Złocisto-brązowy, wspaniały orzeł krążył wysoko na niebie. Psy bawiły się bez troski, potem zaczęły ryc w zaspie na brzegu jeziora.

Nate zdał sobie sprawę, że z tego miejsca widać samolot Meg. Czerwoną plamę na skraju zamrożonej wody. Gdy się trochę postarał, dostrzegał i inne drobne znaki cywilizacji. O tam, dym z komina, przebłysk domu zza gęstych drzew, własny oddech.

Roześmiał się. Może powinien zastanowić się nad łowieniem ryb w przeręblu? Z pewnością coś musi tłumaczyć dziwny pęd do zanurzania żyłki w dziurze w lodzie i czekania w ciszy na kawałku zamrożonej wody.

Gdy zbliżył się do chaty, zauważył obelgę wymalowaną niezdarnie na

drzwiach jaskrawożółtym sprayem: PIEPRZONY KUTAS!

Następna oznaka cywilizacji – pomyślał Nate, wyjmując z kieszeni klucze.

Ed zamontował dwie nowe kłódki. Każda miała gruby, błyszczący łańcuch.

Nate otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wyraźnie zwolennicy graffiti nie poprzestali na ozdobieniu ścian na zewnątrz. Tutaj też było mnóstwo wulgaryzmów. Nate w końcu zrozumiał zdenerwowanie Eda. On sam także byłby nieźle wkurzony, gdyby znalazł takie kwiatki w swoim sanktuarium.

Dostrzegł stojak, w którym niegdyś były wędkę, i następne ślady wandalizmu.

Pozostały sprzęt wędkarski, piecyk i krzesła pozostały nietknięte, ale szafka, w której prawdopodobnie znajdowała się whisky – według raportu Ottona glenfiddich – i jakieś zapasy żywności, była otwarta i pusta.

Znalazłszy metalowe nakładki na buty, Nate doszedł do wniosku, że powinien sobie coś takiego kupić. W chacie był też zestaw pierwszej pomocy, zapasowe rękawiczki, czapka, stara, zniszczona kurtka i kilka ciepłych koców.

Na ścianie, tuż nad żółtym napisem DUPEK, wisiały rakiety śnieżne. Nate nie umiał powiedzieć, czy były ostatnio używane.

Dostrzegł też opał do pieca i kilka niebezpiecznie wyglądających noży. Kolorowe czasopisma, przenośne radio. Zapasowe baterie.

Wszystko, czego należałoby się spodziewać w chacie do łowienia ryb na lodzie, na Alasce.

Po wyjściu Nate przez chwilę krążył w najbliższej okolicy. Spojrzał w stronę samolotu Meg, potem na miejsce, gdzie zaczynał się las.

Próbował sobie wyobrazić, jak Ed Woolcott – pompatyczny, ale twardy – skrada się w lesie z rakietami śnieżnymi na nogach.

Przez znaczną część tygodnia głównym tematem rozmów był łoś. W zależności od źródła komendanta albo ganiono, albo chwalono za sposób przepędzenia zwierzęcia.

Nate uznał, że łoś był swego rodzaju błogosławieństwem. Dzięki niemu ludzie przynajmniej na chwilę przestali myśleć o morderstwie i śmierci.

Bardzo zależało mu na rozmowie z Carrie, dlatego obmyślał strategię na wypadek, gdyby próbowała zamknąć mu drzwi przed nosem. Jego zamiary zmieniło zawiadomienie, że ciało zostało poddane kremacji i jest już do dyspozycji rodziny. Meg miała zamiar lecieć z Carrie do Anchorage po prochy.

– Wybieram się z tobą – oznajmił.

– Niech pan posłucha, panie komendancie, to będzie dla Carrie wystarczająco ciężkie przeżycie. Swoją obecnością jedynie będziesz przypominał jej wszystkie przykre okoliczności.

– Nie mam zamiaru niczego jej przypominać. Właśnie do niej idę. Spotkamy się na rzece.

– Nate! – Skończyła wciągać buty. – Może uważasz, że z takiego czy innego powodu ktoś powinien reprezentować tam komendę policji, ale nawet jeśli tak, lepiej wyślij Ottona albo Petera. Niezależnie od tego, czy to sprawiedliwe, czy nie, jesteś ostatnią osobą, z którą Carrie chciałaby mieć dzisiaj do czynienia.

– Spotkamy się na rzece.

Zbliżając się do drzwi pokoju, który obecnie razem zajmowali, nagle doznał olśnienia. Odwrócił się z uśmiechem na ustach.

– Rock i Buli. Jestem tępy, ale w końcu pokapowałem. Wszystko przez łosia. Rocky i Bullwinkle.

– Rzeczywiście jesteś tępy albo miałeś trudne dzieciństwo.

– Nie. Po prostu myślałem, że to imiona jakichś macho, sam nie wiem, na przykład bokserów. The Rock, Raging Buli, czy coś w tym stylu.

Uśmiechnęła się. Jak to możliwe, że umiał ją oczarować nawet wtedy, gdy była na niego zła?

– The Rock to zapaśnik, nie bokser.

– I tak blisko. Zobaczymy się za godzinę.

Wcześniej poinformował już swoich ludzi – którzy podzielali pesymizm Meg – że tego ranka leci do Anchorage, pojechał więc prosto do Carrie.

Drzwi się otworzyły, nim pokonał połowę drogi od ulicy. Żona Maxa stała w czarnym swetrze i spodniach, blokując wejście.

– Proponuję, żebyś odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i powędrował z powrotem do swojego samochodu. Nie muszę z tobą rozmawiać ani wpuszczać cię do domu.

– Pięć minut, Carrie. Nie chcę stać pod zamkniętymi drzwiami i wykrzykiwać tego wszystkiego, co mam ci do powiedzenia. Sądzę, że tobie też by się to nie podobało. Lepiej więc będzie, jeśli wpuścisz mnie do domu na pięć minut, zwłaszcza że za godzinę lecę wraz z tobą samolotem do Anchorage.

– Nie chcę, żebyś ze mną leciał.

– Wiem o tym. Jeśli po wysłuchaniu mnie nie zmienisz zdania, wyślę Petera.

Przez chwilę było widać, że Carrie toczy wewnętrzną walkę. Potem odwróciła

się i weszła do środka, zostawiając otwarte drzwi. Ręce tak mocno zaciskała na klatce piersiowej, że aż pobielwały jej kostki palców.

– Czy w domu są dzieci?

– Nie, wysłałam je do szkoły. Lepiej dla nich, jeśli robią to, co zawsze, i są wśród swoich przyjaciół. Potrzebują odrobiny normalności. Jak mogłeś tak po prostu tu przyjść? – Odwróciła się. – Jak możesz przychodzić i nękać mnie w dniu, w którym mam sprowadzić prochy męża? Nie masz serca ani odrobiny wyrozumiałości!

– Jestem tu urzędowo, a to, co chcę ci powiedzieć, jest poufne.

– Urzędowo? – Niemal plunęła tym słowem. – Czego chcesz? Mój mąż nie żyje. Nie żyje i nie może się bronić przed twoimi potwornymi kłamstwami. Nie pozwolę, żebyś powtarzał je w tym domu. To dom Maxa i nie pozwolę ci tu źle o nim mówić.

– Widzę, że go kochałaś. Czy kochałaś go wystarczająco mocno, żeby mi przyrzec, iż nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem? Nikomu. Naprawdę nikomu, Carrie.

– Jak śmiesz pytać mnie, czy kochałam...

– Tak czy nie. Muszę mieć twoje słowo.

– Nie interesuje mnie powtarzanie kłamstw. Powiedz, co masz mi do powiedzenia, i wyjdź. Obiecuję, że w ogóle zapomnę o twojej wizycie.

To musiało mu wystarczyć.

– Jestem przekonany, że Max był w górach z Patrickiem Gallowayem w czasie, kiedy Pat zmarł.

– Idź do diabła!

– Ale mam całkowitą pewność, że razem z nimi był ktoś trzeci.

Wargi jej zadrżały.

– Co masz na myśli, mówiąc „ktoś trzeci”?

– W góry poszły trzy osoby, wróciły dwie. W moim przekonaniu to trzeci uczestnik wyprawy jest odpowiedzialny za śmierć Gallowaya. I to on zamordował twój mąż albo zmusił go do popełnienia samobójstwa.

Patrzyła na Nate'a zaokrąglonymi oczami, a jednocześnie szukała ręką oparcia krzesła. Gdy je znalazła, bezwładnie opadła na jego siedzenie.

– Nie rozumiem.

– Nie mogę podać ci wszystkich szczegółów, ale potrzebna mi twoja współpraca... twoja pomoc – poprawił się – by udowodnić to, w co wierzę. Była

tam trzecia osoba, Carrie. Kto to był?

– Nie wiem. Boże, nie wiem. Mów... mówiłam ci, że ktoś zabił Maxa. Mówiłam ci, że mój mąż wcale nie popełnił samobójstwa. Powiedziałam to sierżantowi Cobenowi. Wciąż mu to powtarzam.

– Wiem. Wierzę ci.

– Wierzysz mi. – Łzy popłynęły jej z oczu, potoczyły się po policzkach. – Wierzysz mi.

– Tak. Niemniej ekspert medycyny sądowej uznał śmierć Maxa za samobójstwo. Coben może mieć wątpliwości, przecucia, nawet pewną ilość poszlak, ale nie ma takich możliwości jak my. On nie ma szans na to, żeby iść drogą, którą ja obecnie podążam. Będziemy musieli cofnąć się w czasie. Chciałbym, żebyś spróbowała przypomnieć sobie szczegóły, odczucia, rozmowy. To nie będzie łatwe. Co więcej, będziesz musiała zachować wszystko tylko dla siebie. Proszę cię jednak, spróbuj zaryzykować.

Otarła łzy.

– Nie rozumiem.

– Jeśli oboje słusznie przypuszczamy, że ktoś zabił Maxa z powodu tego, co wydarzyło się w górach, morderca może cię obserwować. Może się wręcz zastanawiać, co wiesz, co pamiętasz, co Max mógł ci powiedzieć.

– Myślisz, że może mi grozić jakieś niebezpieczeństwo?

– Powiedzmy raczej, że chcę, abyś była bardzo ostrożna. Żebyś nie rozmawiała na ten temat z nikim, nawet z dziećmi. Nawet z najlepszą przyjaciółką ani księdzem. Z nikim. Chciałbym też, żebyś pozwoliła mi przeszukać osobiste rzeczy Maxa, jego papiery. Wszystko – tu i w redakcji. Zależy mi również, żeby nikt o tym nie wiedział. Spróbuj cofnąć się pamięcią do tamtych czasów. Co wtedy robiłaś? Co robił Max? Z kim spędzał czas? Jak się zachowywał? Zapisz wszystko.

Na jej twarzy wyraźnie widać było walkę nadziei ze smutkiem.

– Masz zamiar odkryć, kto go tak skrzywdził? Kto nas tak skrzywdził?

– Mam zamiar zrobić wszystko, co będę mógł. Otarła policzki.

– Mówiłam o tobie okropne rzeczy. Mówiłam to każdemu... każdemu, kto chciał mnie słuchać.

– Część z nich pewnie była prawdziwa.

– Nie. – Przycisnęła palce do oczu. – Jestem taka zdezorientowana. Taka obolała. Mam obolałe serce i głowę. Prosiłam Meg, żeby zawiozła mnie do

Anchorage i potem przywiozła nas z powrotem, bo chciałam udowodnić, że nie wierzę... że niczego się nie wstydzę, ale gdzieś w głębi duszy było mi wstyd. – Opuściła ręce, nie otworzyła jednak oczu. – Przecież, jeśli tam był, musiał wiedzieć...

– Dowiemy się wszystkiego. Może odpowiedzi na niektóre pytania bardzo trudno będzie nam znaleźć, Carrie, ale to lepsze niż poprzestanie na samych pytaniach.

– Chciałabym, żebyś miał rację. – Wstała. – Muszę się trochę doprowadzić do porządku. – Ruszyła w stronę drzwi, potem zatrzymała się i obejrzała przez ramię. – Podoba mi się historia z łosiem koło szkoły. Max byłby nią zachwycony. Z przyjemnością napisałby coś w rodzaju: „Łoś zawałidroga przepędzony z boiska szkolnego”. Takie historie zawsze serdecznie go bawiły. Taki już był. Nie sądzisz, że mężczyzna, który znajdował przyjemność w podobnych głupstwach, nie mógłby w taki sposób zabić Pata Gallowaya?

– Niemal od samego początku naszej znajomości chciałam wyjść za niego za mąż. Uwielbiałam, gdy bez końca mówił o założeniu lokalnej gazety, o tym, jakie to ważne, żeby odnotowywać zarówno wielkie, jak i drobne wydarzenia.

Carrie, która siedziała obok Meg, wyjrzała przez okno. Nate zauważył, że żona Maxa przeczesuje wzrokiem góry.

– Przyjechałam do Lunacy, żeby uczyć, a zostałam, ponieważ mi się tu spodobało. Wcale nie byłam dobrą nauczycielką, naprawdę, natomiast koniecznie chciałam w tym miasteczku zostać. Odpowiadało mi, że jest tu znacznie więcej mężczyzn niż kobiet i że Lunacy daje mi więcej szans. Szukałam dla siebie mężczyzny.

Zerknęła z ukosa na Meg.

– Kto nie szuka?

Carrie roześmiała się cicho, ale był to lekko zachrypnięty dźwięk.

– Chciałam wyjść za mąż i mieć dzieci. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Maxa, by uznać, że ten mężczyzna spełnia wszystkie moje oczekiwania. Był bystry, ale nie za bardzo, ładny, ale nie aż tak przystojny, żebym musiała się martwić o inne kobiety. Był nieokiełznany – trochę bardziej, niż chciał – ale liczyłam na to, że przy odrobinie wysiłku z czasem się ustakuje.

Urwała, a jej niespokojny oddech zdradzał, że próbuje pokonać łzy.

– Czy kobiety naprawdę robią listy pożądanых cech? No wiesz, tak jak listę zakupów: po pierwsze zorganizowany, po drugie solidne fundamenty, ale trzeba

jeszcze nad nim popracować? – spytał Nate.

Carrie roześmiała się przez łzy, po czym przycisnęła rękę do ust.

– Tak. Przynajmniej ja zaczęłam ją robić, gdy coraz bliżej mi było do trzydziestki. Nie zakochałam się w nim od razu, to znaczy nie był to jakiś gwałtowny wybuch namiętności. Mimo to wzięłam go do łóżka i okazało się, że jest w nim całkiem niezły. Następny plus na mojej liście.

Nastąpiła chwila ciszy, potem Nate odchrząknął.

– Och, a czy mogą być mniejsze i większe plusy?

– Niech się pan nie martwi, panie Burkę, pan też ma na tej liście duży plus – wtrąciła Meg.

Co chwila zerkąca na niego ze sporym uznaniem i podziwem. Wyraźnie robił wszystko, co mógł, żeby ułatwić wdowie wyprawę po prochy męża. Spojrzała na Carrie.

– Zawsze dobrze wyglądaliście razem. Jak dobry, zgrany duet.

– Bo byliśmy dobrym, zgranym duetem. Co prawda nie zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia, ale powiem wam, kiedy poczułam, że go kocham – naprawdę, absolutnie i bez odwołania. Kiedy po raz pierwszy wziął na ręce naszą córeczkę. Gdybyście widzieli wyraz jego twarzy, kiedy uniósł ją w górę, sposób, w jaki potem zerknął na mnie. Było tam wszystko: szok i zdumienie, dreszczyk emocji i przerażenie, wszystko malowało się na jego obliczu. Nie była to zatem wielka eksplozja, ale ciepłe, spokojne i prawdziwe uczucie. On nie zabił twojego ojca, Meg. Znowu wyjrzała za okno.

– Mężczyzna, który trzymał niemowlę tak jak on, nie mógłby nikogo zabić. Wiem, że masz prawo myśleć inaczej, chcę również, żebyś wiedziała, jak bardzo sobie cenię twoją uprzejmość i fakt, że chciałaś mnie dzisiaj zabrać.

– Obie straciłyśmy kogoś, kogo kochałyśmy. Niczego byśmy nie dowiodły, bijąc się po twarzach.

Nate doszedł do wniosku, że kobiety są mocniejsze i bardziej przystosowane, niż przypuszczają mężczyźni. Łącznie z nim samym.

Gdy tylko wylądowali, złapał Cobena, i chociaż to mogło wyglądać na bezdusność, zostawił Meg i Carrie wszystkie formalności związane z odebraniem prochów. Thomas Kijinski, pseudonim Two-Toes. Najprawdopodobniej to on podrzucił ich na lodowiec. Mógł to też zrobić Loukes, który teraz pracuje w Fairbanks, albo któryś z pilotów, z których Galloway od czasu do czasu korzystał. – Nate położył na biurku Cobena

przygotowaną przez siebie listę. – Ale mnie najbardziej pasuje tu Kijinski. Zwłaszcza że rozstał się z tym światem kilka tygodni po Gallowayu.

– Został zadźgany nożem. Sprawa była wówczas starannie badana, ale uznano, że to napad. – Coben nabrał powietrza. – Kijinski zadawał się z niegrzecznymi chłopcami. Ostro grał, był też podejrzewany o rozprowadzanie narkotyków. Miał około dziesięciu głębokich ran, z których każda mogła spowodować śmierć. Inspektor, który zajmował się tą sprawą, był przekonany, że ktoś osobiście odebrał dług, chociaż niczego nie udało się udowodnić.

– I kupuje pan taką wersję? Taki zbieg okoliczności?

– Niczego nie kupuję. Faktem jest, że Kijinski źle się prowadził i marnie skończył. Jeśli przez przypadek to on zawiózł Gallowaya w góry, niczego nam już nie powie.

– Czy w takim razie mogę prosić, żeby dał mi pan kopię jego kartoteki?

Coben ponownie powoli zaczerpnął powietrza.

– Mam prasę na karku, panie Burkę.

– Taak, widziałem kilka artykułów. Wydałem w związku z tym oficjalne oświadczenie.

– A widział pan to gównno?

Wyciągnął z szuflady egzemplarz jakiegoś brukowca i rzucił go na biurko. Na tytułowej stronie można było przeczytać:

CZŁOWIEK LODU WYDOBYTY Z LODOWEGO GROBU. Pod krzykliwym nagłówkiem znajdowało się zdjęcie, które ktoś zrobił Gallowayowi jeszcze w pieczarze, a potem ostro podkolorował.

– Właściwie należało się tego spodziewać – zauważył Nate.

– Zdjęcie musiał zrobić któryś z ratowników. Potem je po prostu zamienił na gotówkę, zarobił kilka dolców, sprzedając fotkę do brukowców. Mój zwierzchnik wisi mi na karku. Nie chcę, żeby pan robił to samo.

– Tam, w górach, był trzeci mężczyzna.

– Taak, z zapisków Gallowaya wynika, że rzeczywiście był tam ktoś trzeci. Oczywiście, nie możemy udowodnić, że nasz Człowiek Lodu zmarł zaraz po ostatnim wpisie. Szesnaście lat po śmierci nikt nie jest w stanie tak precyzyjnie określić, kiedy ona nastąpiła. Mógł zginąć wtedy albo miesiąc później. Nawet pół roku później.

– Wie pan, jak wygląda prawda.

– Co ja wiem? – Coben uniósł jedną rękę. – Czego mogę dowieść? – Potem

drugą. – Ekspert medycyny sądowej orzekł, że było to samobójstwo, i moim zwierzchnikom ta wersja bardzo się podoba. Cholerna szkoda, że Hawbaker w swoim liście nie podał nazwisk.

– Niech mi pan da tę kartotekę, a ja odnajdę panu nazwiska. Czuje pan dokładnie to samo, co ja, panie Coben. Jeśli chce pan zamknąć tę sprawę, żeby nie było smrodu, może pan to spokojnie zrobić. Tymczasem ja muszę wybrać się na pogrzeb i spojrzeć w oczy kobiecie, która powinna poznać prawdę, gdyż tylko wtedy będzie mogła z nią żyć. Mogę wziąć kilkudniowy urlop i poszukać informacji tu, w Anchorage, albo może mi pan dać te materiały i pozwolić, żebym wrócił z nimi do Lunacy.

– Gdybym chciał zamknąć sprawę, nie dawałbym panu zapisków Gallowaya. – Niemal wyraźnie było widać frustrację Cobena. – Moi zwierzchnicy niecierpliwie czekają na odpowiedź i chcą jak najszybciej ukrećć sprawie łeb. Przeważa opinia, że Hawbaker zabił Gallowaya i trzeciego człowieka, który według zapisków był ranny. Jeśli tak się na to spojrzy, wtedy wszystko gra. Dlaczego zabójca Gallowaya miałby oszczędzać rannego człowieka, potencjalnego świadka? Hawbaker załatwił ich obu. Potem zaczął go dręczyć strach, że prawda wyjdzie na jaw, dołączyły się wyrzuty sumienia, więc skończył sam ze sobą.

– Jakie to ładne. – i Coben zacisnął wargi.

– Niektórzy lubią ładne opowiadki. Dam panu tę teczkę panie Burkę, ale proszę prowadzić swoje dochodzenie cicho. Jak najciszej. Jeśli prasa, mój zwierzchnik albo ktokolwiek inny zwietrzy pismo nosem, zorientuje się, że pan węszy tu i ówdzie, a ja panu pomagam, nieźle oberwę po uszach.

– Ma pan na to moje słowo.

Meg była tak przytłoczona smutkiem Carrie, że bez szemrania przez następny wieczór obsługiwała klientów w Lodge. Gdyby jednak mogła wybierać, wolałaby zapakować psy do samolotu i polecieć w teren. Gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie mogłaby spędzić kilka dni w całkowitym spokoju, z dala od wszelkich nacisków.

Wchodząc do przegrzanej kuchni w Lodge, uznała, że w ten sposób odzywają się w niej geny Gallowaya. Zwiewaj stąd, zostaw wszystko, nie przejmuj się nikim ani niczym. Życie jest zbyt krótkie, żeby zawracać sobie głowę takimi bzdurami.

Jak się okazało, było w niej też coś innego – Chryste, Meg miała nadzieję, że

to nie po Charlene. To coś kazało jej zostać i wszystko dokładnie sprawdzić.

Przekazała zamówienie Wielkiemu Mike'owi. Dwa zrazy, wegetariańskie danie specjalne i łosoś-niespodzianka.

Zabrała gotowe dania, które poprzednio zamówiła, i z taką łatwością złapała równowagę, że aż się skrzywiła. Nie miała nic przeciwko kelnerkom, Boże broń, ale wolałaby nie być w tym taka dobra. To zajęcie nigdy jej nie pociągało i nie robiłaby tego, nawet gdyby nie udało jej się zostać pilotem.

Boże, potrzebowała powietrza, odrobiny ciszy. Swoich psów. Muzyki. Seksu. Jeśli nie, lada chwila wybuchnie.

Pracowała jeszcze przez dwie godziny, wśród brzęku naczyń, skarg, plotek, głupich kawałów. Czuła, jak napięcie w jej wnętrzu wzrasta, jak coraz rozpaczliwiej szuka ujścia. Kiedy tłum klientów nieco zmaleł, złapała Charlene w drzwiach kuchennych.

– Mam dosyć na dzisiejszy wieczór. Robię sobie wolne.

– Musisz...

– Spróbuj zatrudnić kogoś innego. Myślę, że nie będziesz miała z tym problemów.

Ruszyła w stronę schodów. Chciała wziąć prysznic, spakować się i, na Boga, wrócić do domu. Tym razem to Charlene ją złapała.

– Za godzinę znów będzie tu tłum. Ludzie przyjdą na drinka i...

– Guzik mnie to obchodzi.

Najchętniej zamknęłaby matce drzwi przed nosem, ale Charlene zdążyła już wejść do środka i osobiście głośno je zatrzasnąć.

– Zawsze guzik cię obchodziło. Guzik mnie obchodzi, że ciebie guzik to obchodzi, ale masz wobec mnie dług wdzięczności.

Zapomnij o prysznicu, po prostu spakuj się – pomyślała Meg.

– Wystaw mi rachunek.

– Potrzebuję pomocy, Megan. Dlaczego nigdy nie możesz po prostu mi pomóc i nie wkurzać się jak suka.

– Odziedziczyłam to po tobie. Nie moja wina.

Jednym szarpnięciem otworzyła szafę, wyciągnęła to, co do niej należało, i rzuciła wszystko na łóżko.

– Rozkręcałam tu niezły interes. Skorzystałaś na nim.

– Gównu mnie obchodzą twoje pieniądze.

– Nie mówię o pieniądzach. Charlene chwyciła z łóżka ubrania Meg

i wyrzuciła je w powietrze.

– Mówię o tym miejscu, o tym hotelu. To coś, co się liczy. Nigdy cię to nie obchodziło. Nie mogłaś się doczekać, kiedy będziesz mogła stąd uciec, wyrwać się spod moich skrzydeł, ale hotel naprawdę się liczy. Pisano o nim w gazetach, w magazynach, w przewodnikach turystycznych. Pracują u mnie ludzie, którzy dzięki wynagrodzeniu mają co włożyć do garnka i na grzbiet swoich dzieci. Mam klientów, którzy, do jasnej cholery, przychodzą co wieczór, ponieważ ten lokal coś dla nich znaczy!

– To twój hotel – przyznała Meg. – Nie mój.

– On też podobnie mówił. – Wściekła kopnęła parę dżinsów na podłodze. – Przypominasz go, mówisz jak on.

– To też nie moja wina.

– Nic nigdy nie było jego winą. „Podczas gry w pokera tym razem po prostu prześladował mnie pech. Jakieś tysiąc dolarów. Przypuszczam, że w tym tygodniu nie będzie pieniędzy. Potrzebuję trochę przestrzeni, Charley. Wiesz, jak to jest. Wrócę za dwa dni. Coś się znajdzie. Przestań mnie dręczyć”. Tymczasem ktoś musiał zapłacić rachunki, prawda? – spytała Charlene. – Ktoś musiał kupić lekarstwa, gdy byłaś chora, albo wyłożyć gotówkę na twoje buty. Pat mógł mi przynosić wszystkie kwiaty, które udało mu się latem zerwać na łące, albo napisać ładną piosenkę czy wiersz, tyle że za nie nikt nie postawiłby jedzenia na stole.

– Sama zapewniam sobie jedzenie. Kupuję buty. – Mimo to Meg nieco się uspokoiła. – Nie twierdzę, że nie pracowałaś. Rzeczywiście dużo zdziałałaś, ale to twoje życie. Masz, czego chciałaś.

– Chciałam jego. Niech to wszyscy diabli. Najbardziej zależało mi na nim.

– Mnie też, czyli obie dużo straciłyśmy. Nic nie możemy na to poradzić.

Wrócę po swoje rzeczy później – pomyślała Meg. Teraz po prostu koniecznie musiała stąd wyjść. Podeszła do drzwi i zawahała się.

– Dzwoniłam do Bostonu, rozmawiałam z jego matką. Nie... nie ma nic przeciwko temu, żebyś zabrała ciało i pochowała je tutaj.

– Dzwoniłaś do niej?

– Taak. Wszystko załatwione. Otworzyła drzwi.

– Meg. Megan, proszę. Zaczekaj chwileczkę.

Charlene usiadła na skraju łóżka. Wokół niej na podłodze leżały porzrzucone ubrania.

– Dziękuję.

Cholera! Niech to jasna cholera!

– Ja tylko do niej zadzwoniłam.

– Jestem ci wdzięczna.

Charlene zacisnęła ręce na podolku i wbiła w nie wzrok.

– Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna. Byłam wściekła, że pojechałaś do Anchorage i że... że go widziałas. Że mnie od tego w jakiś sposób odsunęłaś.

Meg zamknęła drzwi i oparła się o nie.

– Wcale cię nie odsuwałam.

– Nie byłam dobrą matką. Początkowo bardzo się starałam. Próbowalam. Niestety, zawsze miałam tyle do zrobienia. Nie przypuszczałam, że przy dziecku jest tak dużo pracy.

– Byłaś bardzo młoda.

– Chyba za młoda. Pat bardzo chciał mieć więcej dzieci. – Uniosła wzrok i wzruszyła ramionami. – Po prostu niesamowicie cię kochał i chciał, żebyś miała rodzeństwo. Nie dopuściłam do tego. Po prostu nie chciałam ponownie przez to wszystko przechodzić: duży brzuch, zmęczenie, ból. Zwłaszcza że to pociągało za sobą niesamowitą ilość obowiązków. Tymczasem wiecznie brakowało pieniędzy, a najbardziej wtedy, gdy były potrzebne albo kiedy po prostu chciałoby się je mieć. Pat namawiał mnie na więcej dzieci, ja pragnęłam czego innego, aż w końcu można było odnieść wrażenie, że niemal przez cały czas próbujemy nawzajem się zmieniać. Byłam też zazdrosna, ponieważ miał na twoim punkcie bzika, a mnie traktował jak kogoś obcego. Jakoś tak było, że zawsze to ja musiałam mówić „nie”.

– Sądzę, że ktoś musiał to zrobić.

– Nie wiem, czy nasz związek by przetrwał. Nawet gdyby Pat wrócił. Byliśmy już na takim etapie, na którym każde z nas pragnęło czego innego. Wiedziałam jednak, że jeśli się rozstaniemy, Pat zabierze cię ze sobą.

Chcąc koniecznie dać rękom jakieś zajęcie, wygładziła narzutę wokół siebie.

– Taak, na pewno by cię zabrał – powtórzyła. – A ja bym mu na to pozwoliła. Powinnaś o tym wiedzieć. Kochał cię bardziej niż ja.

Meg nie pamiętała, czy kiedykolwiek w życiu musiała dokonać czegoś trudniejszego, mimo to podeszła do łóżka i usiadła.

– Wystarczająco, żeby zdobyć skądś pieniądze i kupić mi buty?

– Może nie, ale wystarczająco, żeby zabrać cię w góry pod namiot i razem

z tobą oglądać gwiazdy. Wystarczająco, żeby siedzieć przy ognisku i opowiadać ci różne historie.

– Zawsze miałam nadzieję, że jeśli wróci, uda wam się jakoś ułożyć dalsze życie.

Charlene uniosła głowę i zamrugła.

– Naprawdę?

– Tak. Wierzę, że znaleźlibyście sposób, aby wasz związek się utrzymał. W końcu byliście razem bardzo długo. Dłużej niż inni ludzie. Chcę cię o coś spytać.

– To chyba odpowiednia chwila.

– Czy gdy po raz pierwszy go spotkałaś, był to od razu gwałtowny wybuch namiętności? Mam na myśli ten dzień, kiedy się w nim zakochałaś.

– O Boże, tak. Niemal spłonęłam. Co więcej, to nigdy nie ustało. Czasami, kiedy byłam zła i zmęczona, wydawało mi się, że wszystko minęło, że uczucie osłabło, umarło. Potem wystarczało, że Pat na mnie spojrział, i wszystko wracało do normy. Nigdy nie zdarzyło mi się coś takiego z innym mężczyzną. Czekam na to, ale nic z tego.

– Może nadszedł już czas, aby poszukać czegoś innego? Ktoś ostatnio opowiadał mi o zaletach dobrego, spokojnego uczucia.

Wstała i pozbierała porozrzucane ubrania.

– Dziś wieczorem nie jestem już w stanie wrócić na parter i pracować jeszcze przez kilka godzin.

– W porządku.

– Pomogę ci przy śniadaniu, ale musisz poszukać kogoś, kto zastąpi Rosę. Chciałabym wrócić do swojego domu, swojego życia.

Charlene przytaknęła i wstała.

– Zabierzesz ze sobą seksownego glinę?

– To zależy od niego.

Pakując się i porządkując pokój, Meg zastanawiała się, czy nie zostawić Nate'owi karteczki, uznała jednak, że to byłoby zbyt niegrzeczne, niestosowne, nawet jak na nią.

Zresztą i tak nie miała w Lunacy swojego samochodu, co nie oznacza, że nie mogłaby „pożyczyć” sobie od niego. Albo od kogoś innego. I powiedzieć o tym później.

W końcu przerzuciła plecak przez ramię i powędrowała na posterunek, po

drodze wstępując do Italian Place.

Powiedział, że będzie pracował do późna, ponieważ musi coś uporządkować. Samochód Nate'a był zamknięty, Meg przez chwilę głęboko się zastanawiała. Mogła wygrzebać swój pęczek kluczy i na pewno coś by pasowało, ale nie byłby wdzięczny, zwłaszcza jeśli zostawił włączony alarm.

A jako przybysz z wielkiego miasta mógł to zrobić.

Wniosła swoje rzeczy i dużą pizzę na posterunek.

Jaka cisza – pomyślała. Jak ten człowiek może pracować bez muzyki? Rzuciła torbę na biurko Peach i właśnie miała zamiar zawołać, gdy Nate pojawił się w drzwiach.

Trzymał dłoń na kolbie pistoletu. Na widok Meg puścił broń i promiennie się uśmiechnął.

– Czuję jedzenie... i kobietę. Chyba odezwał się we mnie instynkt jaskiniowca.

– Pizza z pepperoni. Doszłam do wniosku, że dobrze ci zrobi coś gorącego, łącznie ze mną.

– Zdecydowanie. Po co ten plecak?

Nie zauważyła, kiedy Nate zerknął w tamtą stronę.

– Uciekam. Jedziesz ze mną?

– Pokłóciłaś się z Charlene?

– Tak, ale nie o to chodzi. Prawdę mówiąc, można uznać, że przynajmniej do pewnego stopnia udało się nam pogodzić. Po prostu muszę się stąd wyrwać. Zbyt wielu ludzi przez zbyt długi okres. To mnie denerwuje. Przyszło mi na myśl, że dzięki pizzie i odrobinie seksu w moim domu nikogo nie skrzywdzę i nie będziesz musiał mnie aresztować.

– Niezły plan.

– Miałam zamiar po cichutku zniknąć, ale tego nie zrobiłam. Proszę o dodatkowe punkty za to, że postąpiłam tak, a nie inaczej.

– Wynik został skorygowany. Może wniesiesz to wszystko do mnie? Poszukam czegoś, na czym moglibyśmy zjeść.

– Przyniosłam jeszcze i to. – Meg sięgnęła do torby i wyciągnęła butelkę czerwonego wina. – Zwędziłam ją z baru w Lodge. Będziemy musieli wypić całą, żeby zniszczyć dowód rzeczowy.

Przechodząc obok Nate'a, podała mu butelkę.

Kiedy usłyszał, że otwierają się zewnętrzne drzwi, pozamykał wszystkie pliki,

wyłączył komputer i zakrył tablicę kocem.

– Masz jakieś serwetki? – spytała.

Nie postąpił jak dżentelmen, ale nie mógł zostawić jej samej w swoim biurze.

– Znajdziesz je w biurku Peach.

Wyjął wojskowy nóż i wysunął korkociąg.

– Nigdy wcześniej go nie używałem. Cholernie dużo roboty, ale, hej! – Gdy wróciła, wyciągnął na siłę korek. – Udało się!

Rzuciła na biurko serwetki. Przy okazji przyniosła dwa kubki, które stały przy ekspresie do kawy.

– Co to?

Szturchnęła palcem róg koca.

– Nie ruszaj. – Ku jej zaskoczeniu potrząsnął głową. – Po prostu nie ruszaj. Zjedzmy coś.

Usiedli przy winie i pizze.

– Dlaczego pracujesz do tak późna, i to sam? Próbowalesz zabić czas, póki dziś wieczorem nie przestanę dorabiać na boku?

– Częściowo. Powiedz mi, o co pokłóciłaś się z Charlene.

– Zmieniasz temat.

– Tak.

– O to, że ona jest taka wymagająca, ja niewdzięczna, i tak dalej, i tak dalej. Potem jakimś cudem doszliśmy do mojego ojca i... innych spraw, a wtedy pewne rzeczy zaczęły mieć dla mnie sens. W końcu musiałam przyznać, że wcale nie był łatwy we współżyciu, że nie miała w nim oparcia i na swój dziwny, czasem wkurzający sposób robiła wszystko, co mogła. Że obie kochałyśmy go bardziej, niż kochamy się nawzajem.

Chociaż czuła ucisk w żołądku, dołała sobie wina i z pełną rozwagą wzięła drugi kawałek pizzy.

– Pod tym kocem jest wszystko, co dotyczy mojego ojca, prawda? Widziałam wystarczająco dużo filmów o gliniarzach, panie Burkę, żeby wiedzieć, iż przyczepiacie do tablicy zdjęcia, raporty i dokumenty związane ze sprawą, nad którą pracujecie.

– Nie pracuję nad niczym, przynajmniej oficjalnie. Tak, to rzeczywiście dotyczy twojego ojca, ale nie chcę, żebyś zaglądała pod koc.

– Mówiłam ci już, że nie lubię nikogo słuchać.

– A ja próbuję ci właśnie powiedzieć, że pewnymi rzeczami nie lubię się

dzielić. I nigdy nie będę się nimi dzielił.

W milczeniu bacznie przyglądała się pizzie.

– Czy to właśnie takie stwierdzenie pchnęło twoją żonę w ramiona innego mężczyzny?

– Nie – powiedział spokojnie. – Ona w ogóle nie interesowała się moją pracą.

Meg zamknęła na chwilę oczy, potem otworzyła je i popatrzyła na Nate'a.

– To był chwyt poniżej pasa. Czasami stosuję chwyt poniżej pasa. – Odłożyła pizzę. – Dziś wieczorem nie bardzo lubię samą siebie. To dlatego musiałam wyjść, uciec, wrócić do osoby, którą jestem, kiedy się lubię.

– Ale wcześniej przyszedłeś tutaj, żeby przynieść mi pizzę i wino.

– Widać masz na mnie jakiś haczyk. Nie wiem, czy tak będzie zawsze, ale na razie to działa.

– Kocham cię, Megan.

– O Jezus, nie mów tego właśnie teraz! Poderwała się na równe nogi i zaczęła krążyć po biurze Nate'a, rwąc włosy z głowy.

– Kiedy jestem taka wkurzona i zachowuję się jak suka. Czy lubisz obrywać po twarzy od kobiet, Ignatiousie? Szukasz kogoś, kto ponownie złamałby ci serce?

– To był dla mnie gwałtowny wybuch namiętności – ciągnął spokojnie. – Jak sądzę, potrzebny był wielki wybuch, żeby coś do mnie dotarło, ponieważ przez ostatni rok zbyt chętnie pogrążałem się w smutku. Teraz moje uczucie płonie raczej niewielkim, spokojnym ogniem. Łatwiej żyć przy spokojnym ogniu niż w niepokoju. Chociaż od czasu do czasu wybucha to na nowo. Przeszywa mnie jak kula.

Zatrzymała się i usiadła, czując, że jej zaciśnięty żołądek zaczyna wywracać fikołki.

– Niech Bóg ma cię w swojej pieczy.

– Taak, doszedłem już do tego. Co nie zmienia faktu, że naprawdę cię kocham i że jest to zupełnie inne uczucie niż w przypadku Rachel. Wtedy wszystko zaplanowałem, był to miły, spokojny, rozsądny, normalny krok, podjęty w całkiem normalnej sytuacji.

– Ale we mnie nie szukasz rozsądnej i normalnej kobiety?

– To byłaby strata czasu.

– Nie rób mi tego. Masz na tyłku wytatuowany dom i ognisko domowe.

– Nie. Jeśli dobrze pamiętam, to ty masz na tyłku tatuaż, który, nawiasem

mówiąc, uważam za niesamowicie seksowny. Może, jeśli kiedyś dojdiesz do wniosku, że jesteś we mnie zakochana, będziemy mogli obmyślić, co dalej, a na razie...

– Jeśli kiedyś dojdę do takiego wniosku.

– Taak, jeśli. Jestem cierpliwy, Meg, i nieustępliwy na swój sposób. Zaczynam odzyskiwać swoje dawne umiejętności. Od jakiegoś czasu były mocno przytępione, ale powoli wracają. Będziesz musiała się z tym pogodzić.

– Ciekawe. Trochę bardziej przerażające, niż się spodziewałam, ale ciekawe.

– A ponieważ cię kocham i całkowicie ci ufam, coś ci pokażę.

Otworzył teczkę, która leżała na biurku. Wyjął skopiowane zapiski Patricka Gallowaya i podał je Meg.

Zauważył, że od razu rozpoznała pismo – zeszywniała, zamarła w bezruchu, cicho, niemal bezgłośnie zaczerpnęła powietrza. Raz na niego zerknęła, potem całkowicie skupiła się na kartkach.

Czytając je, nie odezwała się ani słowem. Nie płakała, nie wpadła w złość, jak być może zrobiłaby inna kobieta. Natomiast spokojnie wzięła do ręki wino i powoli je sączyła, dokładnie czytając tekst.

– Skąd to masz?

– To kopia kartek z notesu, który znaleziono w jego kurtce. Cohen mi je dał.

– Kiedy?

– Kilka dni temu. Poczula ucisk w brzuchu.

– I nie powiedziałeś mi o nich. Nie pokazałeś.

– Nie.

– Ponieważ?

– Chciałem wcześniej sam ocenić ich wartość, czekałem też, aż trochę się uspokoisz.

– Czy to jedna z twoich powracających umiejętności, panie komendancie? Podejmowanie jednostronnych decyzji?

– Raczej sprawa mojej odpowiedzialności zawodowej i osobistych odczuć. Nie możesz rozmawiać o tym z nikim innym, póki ci nie pozwolę.

– Pokazałeś mi notatki właśnie teraz, bo oceniłeś już ich wartość, a ja się uspokołam, tak?

– Coś w tym rodzaju. Zamknęła oczy.

– Troszczysz się, prawda? Zawodowo i osobiście. Najważniejsza jest dla ciebie troska.

Nie odezwał się ani słowem. Otworzyła oczy.

– Nie będę obrzucać cię stekiem wyzwisk, skoro zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne. Zresztą prawdopodobnie było słuszne.

Wiedząc, że dalej nie pójdzie jej tak łatwo, odstawiła wino.

– Co sądzi Coben?

– W tym momencie ważniejsze jest, co sądzą jego zwierzchnicy. Stworzyli teorię, że Max najpierw zabił Gallowaya, a potem trzeciego uczestnika wyprawy. Kiedy odkryto ciało twojego ojca, strach przed wpadką i wyrzuty sumienia doprowadziły go do samobójstwa.

– Tak właśnie napiszą i zamkną sprawę, czy jak to tam mówią gliniarze.

– Myślę, że tak.

– Biedna Carrie. – Wychyliła się do przodu i położyła kartki na biurku. – Biedny Max. Z pewnością to nie on zabił Patricka Gallowaya.

– Nie on – zapewnił Nate, zamykając teczkę.

Ludzie tłumnie przyszedli na ratusz, by wziąć udział w pogrzebie Maxa Hawbakera. Było to jedyne miejsce wystarczająco duże, żeby zmieścić taką cizbę. Nate był zdziwiony, jak wielu ludzi pojawiło się w ubraniach roboczych, eleganckich strojach, alaskich smokingach czy futerkowych butach. Przyszli, ponieważ Max był jednym z nich, a jego żona i dzieci nadal należeli do małej społeczności. Zdaniem Nate'a przyszedli niezależnie od tego, czy uważali Hawbakera za małomiasteczkowego bohatera, czy mordercę.

Wielu wierzyło w to ostatnie. Nate widział to w ich oczach i słyszał w urywkach rozmów. Nie wtrącał się.

Maxa żegnano ciepło i z poczuciem humoru... nazwisko Patricka Gallowaya we wszystkich oficjalnych wypowiedziach ominięto szerokim łukiem.

Kiedy było już po wszystkim, część uczestników wróciła do pracy, inni poszli do domu Carrie na coś, co Nate zawsze uważał za powtórkę pogrzebu.

Nate wrócił do pracy.

Charlene złapała Meg podczas wyładowywania zakupów z samolotu. Chwyliła ją za ramię i odciągnęła od Jacoba.

– Muszę go zobaczyć.

– Kogo?

– Wiesz, kogo. Chcę, żebyś zawiozła mnie samolotem do Anchorage, do domu pogrzebowego, w którym mają zamiar trzymać jego ciało aż do wiosny. Mam prawo.

Meg bacznie przyjrzała się twarzy Charlene.

– Nie mogę. Dzisiaj jest już za późno na lot do Anchorage, a na potem mam pozapisywanych klientów. Wkrótce zaczyna się Iditarod. Ludzie lubią latać wzdłuż trasy i robić zdjęcia.

– Mam prawo...

– Skąd ci się to nagle wzięło?

– Fakt, że nie mieliśmy ślubu, wcale nie oznacza, że nie byłam jego żoną. Jego prawdziwą żoną, tak samo jak Carrie była żoną Maxa.

– O cholera! – Meg obróciła się wokół własnej osi. – Wiesz, uznałam, że okazałaś ogromną klasę, idąc na pogrzeb, patrząc Carrie prosto w oczy i składając jej kondolencje. Tymczasem wygląda na to, że jesteś wściekła, ponieważ to na niej skupiła się cała uwaga miasteczka.

– Nie o to chodzi. – A przynajmniej nie tylko o to, przyznała Charlene w głębi duszy. – Chcę go zobaczyć. Muszę go zobaczyć. Jeśli ty mnie tam nie zawieziesz, zadzwonię do Palanta z Talkeetny i zapłacę mu, żeby zabrał mnie do Anchorage.

– Myślisz o tym od pogrzebu Maxa, prawda? Bez przerwy o tym myślisz i nakręcasz się. O co chodzi, Charlene?

– Ty go widziałaś.

– Punkt dla mnie.

– Skąd mam wiedzieć, czy on naprawdę nie żyje? Skąd mam wiedzieć, że to on, jeśli nie mogę osobiście tego sprawdzić? Tak jak Carrie widziała Maxa.

– Nie mogę cię zabrać.

– Chcesz, żebym leciała z kimś obcym?

Meg spojrzała na rzekę. Poziom wody wyraźnie się podniósł. W poruszającym się lodzie pojawiły się szczeliny i szpary, a woda, która spod spodu próbowała wydostać się na powierzchnię, pokrywała się cieniutką warstewką lodu. Niebezpieczna sprawa, ponieważ świeży lód wyglądał tak samo jak reszta, a mógł się załamać i wciągnąć człowieka na dno.

Często to, co uważa się za bezpieczne, może stanowić śmiertelną pułapkę.

Wszędzie były ręcznie napisane znaki ostrzegawcze – dzieło Nate'a. Wyraźnie wiedział wszystko na temat cienkiego lodu i zagrożenia, jakie kryje się za tym, co wygląda na bezpieczne i normalne.

– Wystarczy ci zdjęcie? Fotografia?

– Nie rozumiem. Odwróciła się.

- Wystarczy, jeśli przyniosę ci jego zdjęcie?
- Jeśli możesz pojechać do Anchorage i zrobić mu zdjęcie, dlaczego...
- Nie muszę. Nate ma zdjęcia. Mogę przynieść ci jedno z nich.
- Teraz?
- Nie, nie teraz.

Jednym szarpnięciem zsunęła z głowy kapuzę i przeczesła palcami włosy.

– Na pewno by mu się to nie spodobało. Zdjęcie stanowi dowód rzeczowy czy coś w tym stylu. Przyniosę ci je dziś wieczorem. Przyjrzyj mu się, zaspokoisz swoją ciekawość, a potem odniosę je z powrotem.

Meg stanęła przed posterunkiem, przerzuciła klucze i znalazła oznaczony napisem „Komenda policji”. Zostawiła Nate’a w łóżku. Miała nadzieję, że będzie spał do jej powrotu. Nie chciała mu wyjaśniać pewnej drobnej niedorzeczności.

Po wejściu do środka wyjęła latarkę wielkości ołówka. W głębi duszy bardzo chciała rozejrzeć się dookoła, by nacieszyć się faktem, że jest tam, gdzie nie powinna. Z drugiej jednak strony bardziej zależało jej na spełnieniu pewnej obietnicy i powrocie do łóżka.

Poszła prosto do biura Nate’a. Tu zaryzykowała, zapaliła lampę i podeszła do tablicy z korka.

Ostrożnie zdjęła koc. Wypadł z jej bezwładnych rąk; chwiejąc się, wykonała krok do tyłu.

Widowała wcześniej śmierć i nigdy nie uważała jej za ładną, ale na widok czarno-białych zdjęć Maxa Hawbakera zabrakło jej powietrza w płucach.

Lepiej o tym nie myśleć, przynajmniej na razie. Lepiej wziąć zdjęcie ojca... o ileż „czystsza” wydawała się jego śmierć... i zanieść je Charlene.

Wsunęła zdjęcie pod kurtkę, wyłączyła światło i wróciła drogą, którą przyszła.

Charlene czekała w swoim pokoju. Otworzyła drzwi w koralowo-czerwonym szlafroku. Wokół niej unosił się zapach whisky, dymu papierosowego i perfum.

- Lepiej, żebyś była sama – powiedziała Meg.
- Jestem. Odesłałam go. Gdzie je masz? Przyniosłaś?
- Przyjrzyj się, a potem zabiorę zdjęcie z powrotem i nie chcę więcej o tym słyszeć.

– Pokaż mi go. Pozwól mi go zobaczyć. Meg wyjęła zdjęcie i pokazała matce.

– Och! Och!

Charlene cofnęła się, niemal tak samo jak Meg, gdy zobaczyła zawartość

tablicy z korka.

– Boże! Nie!

Gwałtownym ruchem wyciągnęła rękę, chcąc powstrzymać Meg przed schowaniem zdjęcia.

– Muszę...

Zrobiła krok do przodu, ale pod wpływem ostrzegawczego spojrzenia Meg zacisnęła ręce za plecami.

– On... on wygląda dokładnie tak samo jak wtedy. Jak to możliwe? On naprawdę wygląda tak samo. Minęło tyle lat, a on ani trochę się nie zmienił.

– Nie miał szansy się zestarzeć.

– To była szybka śmierć, prawda? Bardzo szybka.

– Tak.

– Gdy odjeżdżał, miał na sobie właśnie tę kurtkę. Miał ją na sobie, gdy go po raz ostatni widziałam. – Odwróciła się, splotła ręce na brzuchu. – Idź już. – Zadrżała, potem przycisnęła ręce do ust. – Meg... – zaczęła, odwracając się gwałtownie.

Niestety, Meg już nie było.

Charlene w samotności weszła do łazienki, włączyła światło i bacznie się sobie przyjrzała.

Wyglądał tak samo – pomyślała ponownie. Tak młodo.

Tymczasem ona nie była już wcale młoda. Nigdy nie będzie.

Zaczął się marzec, ale dłuższe dni na Alasce nie skłaniały Nate'a do myślenia o zbliżającej się wiosnie, niezależnie od tego, jak bliski był jej pierwszy dzień.

Gdy Nate obecnie budził się – najczęściej po lewej stronie łóżka Meg – było już jasno. Wędrując przez miasteczko, widział więcej ludzkich twarzy, a mniej nasuniętych na oczy kapturów.

Na gałęziach obsypanych śniegiem drzew wisały plastikowe jajka, na białych trawnikach kucaly plastikowe króliczki, to jednak również nie skłaniało go do zastanawiania się, czy naprawdę nadchodzi wiosna.

Skłonił go do tego dopiero pękający lód.

Z bezgranicznym zdumieniem patrzył na drobne rysy na lodowej wstążce rzeki. Przypominały zwariowane zamki błyskawiczne. W przeciwieństwie do wcześniejszego wylewu obecne szczeliny nie wypełniały się wodą i nie zamarzały. To tak bardzo zafrapowało Nate'a, że przez dwadzieścia minut stał i patrzył, dopiero potem wrócił do biura.

– Lód zaczyna pękać – powiedział do Ottona.

– Tak? Trochę wcześniej na roztopy, ale ostatnio mamy ocieplenie.

Nate doszedł do wniosku, że może gdyby mieszkał w Lunacy jakiegoś... hmmm... sto lat, pewnie też uznaliby za ocieplenie kilka dni z temperaturą oscylującą w pobliżu zera.

– Trzeba porozmieszczać znaki. Nie chcę, żeby banda dzieciaków, grając w hokeja, wpadła pod lód.

– Dzieci są za mądre, żeby...

– Chcę rozmieścić znaki podobne do tych, które postawiliśmy podczas wylewu, ale powinno ich być znacznie więcej. Sprawdź w „Sklepie na Rogu”, czy mają jakieś tabliczki. Dobrze by było, gdyby napis wykonała Peach albo Peter. Coś w rodzaju: „Nie jeździć na łyżwach. Cienki lód”.

– On nie tyle jest cienki, ile...

– Otto, idź i po prostu załatw mi sześć tablic.

Otto burknął niezadowolony, ale wykonał rozkaz. Nate zauważył, że Peach zaciska mocno wargi, próbując ukryć uśmiech.

– O co chodzi?

– O nic. Naprawdę o nic. Uważam, że to dobry pomysł. Dzięki temu widać, że troszczymy się o obywateli i pilnujemy porządku. Myślę jednak, że wystarczyłoby napisać „Ostrożnie, roztopy”.

– Napisz to, co uważasz za stosowne. Po prostu napisz. – Ruszył w stronę tylnych drzwi, żeby sprawdzić, z czego może zrobić słupki. – Byle nie robił tego Otto.

Kiedy praca nad znakami ostrzegawczymi była w toku, Nate napisał i wydrukował na komputerze ulotki, po czym zaczął rozklejać je po mieście.

Przyczepił je na pocztę, w banku, w szkole i ruszył w stronę Lodge.

Gdy tam był, nagle pojawił się Bing. Stanął za plecami Nate’a, przeczytał ulotkę i... prychnął.

Nate w milczeniu spojrzał na własne słowa.

UWAGA, ROZTOPY!

NIE JEŹDZIĆ PO RZECE NA ŁYŻWACH!

NIE CHODZIĆ, NIE PODEJMOWAĆ INNYCH DZIAŁAŃ!

KOMENDA POLICJI W LUNACY – Coś źle napisałem, Bing?

– Nie. Po prostu zastanawiam się, kto pańskim zdaniem jest tak głupi, żeby jeździć po rzece na łyżwach w czasie roztopów.

– Ci sami ludzie, którzy po przeczytaniu kilku komiksów z Supermanem skaczą z dachu, żeby sprawdzić, czy potrafią latać. Jak długo trwają roztopy?

– Różnie. Zima zaczęła się w tym roku dość wcześnie, wiosna wyraźnie idzie w jej ślady. Zobaczymy. Rzeka odmarza co roku, jezioro również. Nic nowego.

– Wystarczy, że jakiś dzieciak przyjdzie się tu powyglupiać, wpadnie pod lód i będziemy mieli następny pogrzeb.

Bing z zamyśleniem zacisnął usta, patrząc za oddalającym się komendantem.

Nate wciąż trzymał w ręce ulotki, gdy dostrzegł ruch za szybą „The Lunatic”. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że drzwi są zamknięte. Zapukał. Carrie przez minutę bacznie przyglądała mu się przez szybę, potem otworzyła.

– Carrie, chciałbym jeden z tych plakatów przykleić w twoim oknie.

Wzięła kartkę, przeczytała ją, potem podeszła do biurka i wyjęła z szuflady taśmę.

– Przykleję go.

– Będę wdzięczny. – Rozejrzał się. – Jesteś sama?

– Tak.

Od pogrzebu rozmawiał z nią dwukrotnie. Za każdym razem jej odpowiedzi były nieuporządkowane i wymijające. Próbował dać jej czas, ale mijały dni.

– Czy przypomniałaś sobie coś nowego sprzed szesnastu lat?

– Próbowałam w domu się nad tym zastanowić, zapisać wszystko, jak mówiłeś. – Pomachała plakatem, obróciła go literami na zewnątrz. – Nic mi z tego nie wychodziło. Nie potrafiłam się też zmusić u swoich rodziców, kiedy zawiozłam do nich dzieci na dwa tygodnie. Nie wiem, dlaczego. Po prostu nie mogłam zebrać myśli, sklecić dwóch zdań. Dlatego przyszłam tutaj. Myślałam, że może...

– To dobrze.

– Nie byłam pewna, czy powinnam tu przychodzić. Wiedziałam, że Hopp i kilka innych kobiet... trochę tu posprzątało... kiedy pozwolono im wejść, ale nie byłam pewna, czy powinnam tu przychodzić.

– To w takiej sytuacji trudne.

Nate nagle znów znalazł się w ciemnym zaułku, z ogromnym trudem wrócił do Lunacy. Czuł jedynie rozpacz.

– Musiałam tu wrócić. Gazeta... nie ukazuje się już od tak dawna. Max poświęcił jej mnóstwo energii, tyle dla niego znaczyła...

Odwróciła się i starając się kontrolować oddech, rozejrzała się po

pomieszczeniu.

– To miejsce wcale nie wygląda na redakcję. Nie wygląda nawet na redakcję lokalnej gazety. Max i ja byliśmy w Anchorage, Fairbanks, nawet Juneau, widzieliśmy pokoje redakcji informacyjnej z prawdziwego zdarzenia. Na ich widok błyszczały mu oczy. Tak, to miejsce w niczym nie przypomina redakcji, ale Max był z niego taki dumny.

– Nie zgadzam się z tobą. Myślę, że to normalne pomieszczenia redakcyjne.

Z trudem uśmiechnęła się, energicznie kiwnęła głową.

– Mam zamiar nadal wydawać gazetę. Dzisiaj podjęłam taką właśnie decyzję. Tuż przed twoim przyjściem. Myślałam, że zrezygnuję, że po prostu nie będę mogła tego robić bez niego, ale gdy tu dziś weszłam, wiedziałam, że muszę kontynuować jego dzieło. Mam zamiar złożyć numer, sprawdzić, czy Profesor będzie miał czas, żeby mi pomóc. Chcę go też spytać, czy nie zna jakichś dzieciaków, które zgodziłyby się dla mnie popracować, zdobyć odrobinę dziennikarskiego doświadczenia.

– Wspaniale, Carrie. Cieszę się, że to słyszę.

– Napiszę coś dla ciebie, Nate, obiecuję. Cofnę się pamięcią do tamtych dni i zapiszę wszystko, co sobie przypomnę. Wiem, że chciałeś przejrzeć jego papiery i nie tylko. Jeszcze nie byłam na tyłach.

Nie musiała oglądać się za siebie, by Nate wiedział, że Carrie ma na myśli pokój, w którym został znaleziony Max.

– Jeśli chcesz, możesz tam wejść.

Nate wiedział, że policja stanowa starannie przeszukała całe pomieszczenie. Sam też chciał do niego zajrzeć, ale innym razem. Teraz wszyscy ludzie, którzy przechodzą ulicą, z pewnością widzą, że komendant policji jest w środku, i zaczynają się zastanawiać, co on tam robi.

– Przyjdę kiedy indziej. Czy Max miał w domu jakiś gabinet?

– Malutki. Nie przeszukiwałam jego rzeczy. Wciąż odkładam to na później.

– Czy ktokolwiek jest teraz u ciebie w domu?

– Nie. Dzieci poszły do szkoły.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby tam poszedł i trochę się rozejrzył? Jeśli będę chciał coś zabrać, zostawię pokwitowanie.

– Idź. – Sięgnęła do torebki, wyjęła pęczek kluczy i odpięła jeden z nich. – To klucz od tylnych drzwi. Możesz go zatrzymać tak długo, jak będziesz chciał.

Nie chciał parkować przed domem Hawbakerów. Zbyt dużo ludzi mogło go

zauważyć.

Zatrzymał się nieco dalej, przy zakolu rzeki. Ponieważ nie dostrzegł żadnych pęknięć na lodzie, zastanawiał się, czy nie pospieszył się zbyt z działaniem. Cofnął się, wędrując przez las. Tu jest zimniej – pomyślał – o wiele zimniej, słońce nie prześwieca przez konary drzew. Dostrzegł ślady pozostawione przez rakiety śnieżne i narty. Doszedł do wniosku, że wędrowała tędy wycieczka uczniów szkoły średniej. Były też ślady zwierząt. Nate miał nadzieję, że nie będzie musiał stawić czoła łosiowi, którego przepędził z miasta.

Zbyt mało czytał i słyszał na temat tych zwierząt, żeby wiedzieć, jak długo zachowują wszelkie urazy.

Śnieg był tu głębszy, niż Nate się spodziewał, w związku z tym żałował, że nie założył rakiet śnieżnych. Nie miał innej rady – musiał iść po śladach pozostawionych przez innych ludzi.

Dostrzegł trop – prawdopodobnie lisa – a kiedy się zatrzymał, by złapać dech, zauważył stado saren. Spacerowały spokojnie niecałe pięć metrów na północ od niego. Przypuszczalnie Nate stał pod wiatr, bo nawet nie spojrzały w jego stronę. Zatrzymał się więc i obserwował je, póki nie powędrowały dalej i nie zniknęły mu z pola widzenia.

Wędrując na tyły domu Carrie, minął coś, co przypuszczalnie było komórką na normalne narzędzia albo narzędzia ogrodnicze, a potem niewielki budynek na palach – najprawdopodobniej spiżarnię. Ktoś odrzucił śnieg na tyłach domu, przy drzwiach leżał pod brezentem stos drewna na opał.

Nate skorzystał z klucza i wszedł do środka przez pomieszczenie, które stanowiło swego rodzaju połączenie przebieralni i pralni. Ponieważ jego buty były mokre i pokryte grubą warstwą śniegu, zdjął je i zostawił razem z kurtką.

Kuchnia była czysta, niemal lśniła. Doszedł do wniosku, że może tak właśnie postępują kobiety, przynajmniej niektóre, gdy są pogrążone w smutku. Chwytają za miotłę i środki czystości. Szmatkę do polerowania i odkurzacz. Trudno było znaleźć drobinę pyłu. Żadnego bałaganu, który świadczyłby, że ktoś tu mieszka i żyje.

Może o to właśnie chodziło. Widocznie Carrie nie była jeszcze gotowa, by wrócić do normalnego życia.

Powędrował na piętro. Pokoje dzieci poznał po plakatach na ścianach i nieporządku na podłodze. W końcu dotarł do sypialni pana domu. Stało tam starannie zasłane łóżko, a na oparciu krzesła wisiała patchworkowa narzuta.

Czyżby Carrie sypiała teraz właśnie tutaj, nie chcąc, nie mogąc położyć się do łóżka, które dzieliła z mężem?

Za sypialnią Maxa znajdował się jego gabinet. W pomieszczeniu panował bałagan, wszędzie widać było kurz i tradycyjne śmieci. Jedno ze spojeń na krzesło przy biurku zostało sklezione taśmą – tak mógł je naprawić każdy. Samo biurko było podrapane i zniszczone, wyraźnie zostało od kogoś odkupione. Niemniej stojący na nim komputer sprawiał wrażenie nowego i zadbanego.

Typowy kalendarz biurowy w całości poświęcony był jednemu tematowi – wędkarstwu. Kartka na każdy dzień opatrzona była ilustracją i jakąś sentencją dotyczącą pasji Maxa. Na widocznej kartce stał mężczyzna rodem z komiksów, trzymał w ręce płótkę i twierdził, że gdy ją wyłowił, była naprawdę o wiele, wiele większa.

Na kartce widniała data 19 stycznia. Max nie wrócił tego dnia do domu, nie oderwał kartki i nie odsłonił kawału na następny dzień.

Na kartce nie zapisał żadnej wiadomości, żadnej notatki, na przykład: Spotkanie o północy z... i tu nazwisko mordercy.

Nate pochylił się i przejrzał zawartość kosza na śmieci pod biurkiem. Znalazł kilka innych kartek z kalendarza. Na niektórych były zapiski:

IDITAROD – ZDJĘCIA PSÓW KAPIE Z KRANU W ŁAZIENCIE. CARRIE JEST WKURZONA. NAPRAWIĆ!

Na kartce z dnia poprzedzającego śmierć Maxa było tylko jedno słowo: PAT.

Nate wyjął ją i położył na biurku.

Znalazł kilka kopert, które świadczyły o tym, że Max krótko przed śmiercią regulował rachunki. Było też kilka opakowań po cukierkach.

Przeszukał szuflady biurka i znalazł książeczkę czekową. Po opłaceniu rachunków było na niej dwieście pięćdziesiąt dolarów i sześć centów. Wyciągi podawały wysokość rachunków oszczędnościowych. Po jednym rachunku dla każdego z dzieci i wspólny jego i żony. On i Carrie mieli zgromadzone sześć tysięcy dziesięć dolarów.

Były też koperty, naklejki z adresem zwrotnym, gumki aptekarskie, spinacze, pudełko zszywek. Nic, co mogłoby dziwić.

W najniższej szufladzie Nate znalazł cztery rozdziały rękopisu ze stroną tytułową:

NAGŁE OCHŁODZENIE Powieść napisał: Max T. Hawbaker Położył rękopis na biurku i nadal przeszukiwał szufladę, póki nie dotarł do dna. Do

swojej stertki dodał pudełeczko dyskietek i wycinki artykułów prasowych.

Potem usiadł, by sprawdzić swoje umiejętności komputerowe.

Nie było żadnego hasła, które zabezpieczałoby zawartość plików, co oznaczało, że Max nie miał nic do ukrycia. Przeglądając dokumenty, Nate odnalazł arkusz kalkulacyjny, do którego Max precyzyjnie wpisywał dług hipoteczny i terminy spłat. Typowy domator – pomyślał Nate – człowiek, który w odpowiedzialny sposób gospodaruje pieniędzmi.

W finansach nigdzie nie było ani śladu po jakichś większych sumach, niczego, co mogłoby dziwić. Jeśli Max Hawbaker szantażował swojego mordercę, nie wpisywał dodatkowych dochodów do comiesięcznych rozliczeń.

Nate znalazł na twardym dysku dalszy ciąg powieści i początki dwóch następnych. Po przejrzaniu zawartości dyskietek zorientował się, że Max sumiennie robił zapasowe kopie. Było też kilka stron internetowych – głównie dotyczących łowienia ryb.

Hawbaker zachował kilka e-maili – od innych wędkarzy, a także odpowiedzi paru osób na temat psów zaprzęgowych. Nate przypuszczał, że Max gromadził materiały do artykułu na temat Iditarodu.

Szukał w pokoju jeszcze przez następną godzinę, ale nic nie wyskoczyło i nie krzyknęło: Uwaga, wskazówka!

Zebrawszy to, co go interesowało, zniósł wszystko do przebieralni, tam skonfiskował puste pudełko i wrzucił do niego swój łup.

Wrócił do kuchni. Na kalendarzu kuchennym zobaczył zdjęcia ptaków. Wyraźnie nikt nawet nie pomyślał ani nie zadał sobie trudu, żeby przewrócić kartkę na luty, nie wspominając już o marcu.

W ponad połowie kwadracików znajdowały się jakieś zapiski. Spotkanie komitetu rodzicielskiego, trening hokejowy, wizyta u dentysty. Normalne w każdej rodzinie. Nate zauważył, że Max wybierał się do dentysty. Wizyta była zaplanowana na dwa dni po jego śmierci.

Uniósł kartki, zerknął na luty i marzec. Tu też było sporo zapisków, a przy drugim weekendzie marca widniał duży napis: WYPRAWA NA RYBY.

Nate opuścił kartki. Codziennosc.

Najdziwniejsza była jednak pojedyncza kartka z kalendarza na piętrze z imieniem PAT. W przebieralni wisały cztery pary rakiet śnieżnych.

Przyglądając się im, Nate założył buty i kurtkę, po czym zabrał pudełko i wyruszył w drogę powrotną.

Wędrował przez las, przy każdym kroku zapadając się w śniegu. Nagle ciszę zakłócił wystrzał z broni palnej. Instynktownie odrzucił pudełko i sięgnął pod kurtkę po broń. Gdy ją wyjmował, echo niesło po lesie huk. W zasięgu wzroku Nate'a pojawił się spory jeleń z ogromnymi rogami. Przebiegł w pobliżu i popędził dalej.

Z walącym sercem Nate ruszył w stronę, z której przybiegło zwierzę. Po pokonaniu mniej więcej dwudziestu metrów dostrzegł wśród drzew mężczyznę z długą strzelbą.

Obaj stali przez chwilę w głuchej ciszy, nie wypuszczając broni z ręki. Potem mężczyzna uniósł lewą rękę i zsunął do tyłu kaptur.

– Wyczuł pana – powiedział Jacob. – Przestraszył się i uciekł, nim zdążyłem wypalić. Dlatego spudłowałem.

– Spudłował pan – powtórzył Nate.

– Miałem nadzieję, że zaniosę Rose trochę dziczyzny. David ostatnio nie miał kiedy wybrać się na polowanie. – Powoli, rozmyślnie przeniósł wzrok na prawą dłoń Nate'a. – Poluje pan, panie komendancie?

– Nie, ale gdy słyszę strzał i biegnę sprawdzić, kto robi tyle hałasu, nie lubię być nieuzbrojony.

Jacob teatralnym gestem zabezpieczył broń.

– Znalazł pan sprawcę hałasu, a ja wracam do domu bez mięsa.

– Przepraszam.

– Widocznie był to dzień szczęśliwy dla jelenia, nie dla mnie. Wie pan, jak stąd wrócić?

– Poradzę sobie.

– To dobrze.

Jacob skinął głową, odwrócił się, po czym poruszając się na raketach śnieżnych z ogromną łatwością i gracją, zniknął wśród drzew.

Wracając, Nate nie schował broni, nie włożył jej również do kabury, nawet gdy zabrał pudło. Zrobił to dopiero wtedy, gdy wrócił do auta.

Pojechał do domu Meg i włożył pudło na dno szafy.

Będzie musiał zajrzeć do niego w jakiejś wolnej chwili. Ponieważ miał spodnie mokre do kolan, przebrał się, a potem poszedł z psami nad jezioro, żeby poszukać śladów roztopów przed powrotem do miasta.

– Znaki porozstawiane – zameldował Otto.

– Widzę.

– Dwie osoby zwróciły nam uwagę, żebyśmy się zajęli ważniejszymi sprawami.

– Czy to ktoś, z kim powinienem porozmawiać?

– Nie.

– Dzwoniło do ciebie dwóch dziennikarzy. – Peach stuknęła w różowe kartki, na których zapisywała sprawy podczas nieobecności Nate'a. – Badają sprawę Pata Gallowaya i Maxa.

– Będą musieli najpierw mnie złapać. Peter wciąż na patrolu?

– Wysłaliśmy go po lunch. Dziś jego kolej. – Otto podrapał się po brodzie. – Zamówiłem dla ciebie coś z kuchni włoskiej.

– Świetnie, dzięki. Czy to możliwe, żeby człowiek polował trzy, cztery kilometry od swojego domu, jeśli wokół niego ma ogromne tereny łowieckie?

– To zależy. – Od czego?

– Na co poluje.

– Taak. Przypuszczam, że to rzeczywiście może być ważne.

Ponieważ utrzymywała się temperatura nieco powyżej zera, pęknięcia na lodzie wydłużyły się i poszerzyły. Stojąc na brzegu, Nate dostrzegł między lśniąca białą pierwszą, zimny błysk błękitnej wody. Zafascynowany patrzył, jak szczelina się powiększa. Nagle usłyszał coś, co przypominało ogień artyleryjski. Albo miażdżącą pięść Boga.

Lód wybrzuszył się, powoli ustępował coraz większej ilości błękitu, a potem zamienił się w płynące spokojnie białe wyspy., – Kiedy człowiek po raz pierwszy obserwuje, jak rozpada się lód, traktuje to niemal jak jakiś obrzęd religijny – skomentowała Hopp, stając za jego plecami.

– Po raz pierwszy obserwowałem, jak coś się rozpada, kiedy rzuciła mnie Pixie Newburry, ale tamto przeżycie miało w sobie więcej z traumy niż obrzędu religijnego.

Hopp stała w milczeniu, podczas gdy lód trzeszczał i huczał.

– Pixie?

– Taak. Miała duże oczy w kształcie migdałów, więc wszyscy mówili na nią Pixie. Rzuciła mnie dla chłopaka, którego ojciec kupił właśnie żaglówkę. To była pierwsza fala morza złamanych serc w moim życiu.

– Moim zdaniem musiała być bardzo płytka. Lepiej dla ciebie, że to się tak skończyło.

– Mając dwanaście lat, myślałem całkiem inaczej. Nie przypuszczałem, że

zerwanie nastąpi tak szybko.

– Kiedy natura przystępuje do działania, nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Możesz być jednak pewien, że nim zima odejdzie na dobre, spróbuje jeszcze kilka razy wrócić. Okres pękania lodów jest w naszych okolicach okazją do świętowania. Dziś wieczorem organizujemy w Lodge nieoficjalne przyjęcie z okazji roztopów. Jeśli chcesz, możesz przyjść.

– W porządku.

– Podobno częściej sypiasz w domu Meg niż w Lodge. – Uśmiechnęła się, gdy tylko na nią zerknął. – Mówi się o tym tu i ówdzie.

– Czy to, gdzie sypiam, stanowi jakiś problem, jeśli chodzi o sprawy służbowe?

– Nie, naprawdę nie. – Osłoniła dłońmi papierosa i podpałała go za pomocą srebrnej zapalniczki Zippo. – Osobiście uważam, że Meg Galloway to nie Pixie Newburry. Tu i ówdzie mówi się również, że u Meg wieczorami długo palą się światła.

– Może oboje cierpimy na bezsenność.

Nate przypomniał sobie, że Hopp pełni funkcję burmistrza, a w zapiskach Gallowaya nie było mowy o kobiecie, która wędrowałaby z nimi na szczyt.

– Siedzę trochę nad sprawą Gallowaya.

– Rozumiem. – Patrzyła na rzekę, na walkę błękitnej wody z białą krą. – Większość ludzi w wolnym czasie wyjeżdża na ryby, czyta dobre książki albo ogląda telewizję.

– Gliniarze to nie większość ludzi.

– Możesz robić, co zechcesz, Ignatiousie. Wiem, że Charlene ma zamiar sprowadzić zwłoki Pata, gdy tylko będzie to możliwe, i pochować go w Lunacy. Chce zorganizować mu normalny pogrzeb. Do czerwca ziemia powinna roztajać, chyba że w tym roku będą długie mrozy.

Wydmuchnęła dym i westchnęła.

– Gdzieś w głębi duszy chciałabym, żeby tak się stało. By zmarli zostali pochowani, a żywi mogli dalej prowadzić spokojny żywot. Wiem, że to trudne dla Carrie, ale fakt, że badasz tę sprawę, nie przywróci życia jej mężowi.

– Nie wierzę, że zabił Gallowaya. Nie wierzę również, że popełnił samobójstwo.

Z kamienną twarzą wpatrywała się w niespokojną rzekę.

– Nie to chciałam usłyszeć. Niech Bóg ma w swej pieczy Carrie, ale nie to

chciałam usłyszeć.

– Nikt nie chce słyszeć, że być może jego najbliższy sąsiad jest dwukrotnym mordercą.

Tym razem mocno zadrżała i włożyła papierosa do ust. Przez chwilę zaciągała się głęboko i wydmuchiwała kłęby dymu.

– Znam swoich najbliższych sąsiadów, znam też tych, którzy mieszkają dwa, a nawet pięć kilometrów dalej. Znam ich twarze, nazwiska i przyzwyczajenia. Nie znam mordercy, Ignatiouisie.

– Znałaś Maxa.

– O Boże!

– Chodziłaś w góry z Gallowayem. Niespokojnie spojrzała mu w oczy.

– Czy to przesłuchanie?

– Nie. Tylko komentarz.

Cieężko oddychała przy akompaniamencie trzeszczącego lodu.

– Tak, chodziłam. Razem z mężem. Lubiłam związane z tym wyzwanie i dreszczyk emocji. Oczywiście, gdy byłam młodsza. Pod koniec życia Bo ograniczaliśmy się do długich wędrówek i sypiania pod namiotem, jeśli tylko pozwoliła na to pogoda. Póki żył – powiedziała.

– Komu najbardziej ufał, gdy był w górach. Komu mógł tam zaufać Galloway?

– Sobie. To pierwsza zasada alpinizmu. Najlepiej ufać przede wszystkim sobie samemu.

– W tamtych czasach twój mąż był burmistrzem Lunacy.

– Wtedy był to tytuł bardziej honorowy niż oficjalny.

– Ale znał ludzi. Zwracał na wszystko uwagę. Idę o zakład, że ty również.

– Do czego zmierzasz?

– Chciałbym, żebyś się przez chwilę zastanowiła, wróciła pamięcią do lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku i spróbowała sobie przypomnieć, kogo nie było wtedy w Lunacy oprócz Gallowaya. Kto wyjechał na tydzień lub dłużej.

Rzuciła niedopałek na śnieg – przez chwilę cicho skwierczał. Potem zakopała go nogą.

– Za bardzo wierzysz w moją pamięć, Ignatiouisie, ale pomyślę.

– Dobrze. Jeśli sobie coś przypomnisz, przyjdź do mnie. Tylko do mnie, Hopp.

– Wiosna się zbliża – powiedziała Hopp. – A wiosna potrafi dać się tu nieźle we znaki.

Oddaliła się, zostawiając go nad rzeką. Stał, nie zważając na zimne podmuchy wiatru i patrząc, jak rzeka budzi się do życia.

Podczas roztopów pękał nie tylko lód na rzece. Na ulicach zamarzniętych podczas długiej zimy pojawiły się szczeliny o rozmiarach kanionów i dziury tak duże, że były w stanie pochłonąć pikapa.

Nate nie dziwił się, że naprawa i utrzymanie dróg należały do Binga. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego nikt zbytnio nie przejmuje się faktem, iż prace drogowe posuwają się do przodu w tempie powolnego ślimaka.

Miał jednak inne powody do zmartwień.

Jak się okazało, ludzie również odtajali. Ci, którzy w ciemności i nieubłaganym chłódzie zachowywali zdrowy rozsądek, z nadejściem wiosny wyraźnie o nim zapomnieli.

Przez cele posterunku przewijały się osoby, które nadużywały alkoholu, zakłócały porządek publiczny, wywoływały burdy domowe albo popełniały zwyczajne głupstwa.

Tuż po nastaniu świtu Nate podszedł do okna, zwabiony rykiem klaksonów i gwizdami. W nocy spadł niewielki śnieg, na ulicach i chodnikach leżała cieniutka warstewka białego puchu, który błyszczał w promieniach wschodzącego słońca.

Wciąż jeszcze mrugały żółte i pomarańczowe światełka barierek ustawionych wokół głębokiej na sześćdziesiąt centymetrów dziury, którą Nate nazwał Kraterem z Lunacy. Wokół migocących lampek jakiś mężczyzna tańczył coś, co wyglądało na gigę. Już samo to należało uznać za dość egzotyczne powitanie wschodzącego słońca, ale dodatkowego smaczku całemu wydarzeniu dodawał fakt, że człowiek ów był kompletnie nagi.

Wokół niego zebrał się spory tłum. Ktoś klaskał. Może podaje rytm? – pomyślał Nate. Pozostali wykrzykiwali słowa zachęty albo szyderstwa.

Nate z westchnieniem wytarł do sucha ogoloną w połowie twarz, włożył koszulę, buty i zszedł na parter.

W jadalni było pusto, kilka opróżnionych do połowy talerzy dobitnie świadczyło, że śniadanie przegrało rywalizację z nagim facetem, który tańczył na Lunatic Street.

Nate zdjął z kołka marynarkę i trzymając ją w ręce, wyszedł na ulicę w samej

koszuli.

Słysząc było gwizdy i przytupywanie. Temperatura o wschodzie słońca, według szacunków Nate'a, nie dotarła jeszcze do zera. Kiedy przebił się przez tłum, natychmiast rozpoznał tancerza. Był nim Tobias Simpsky, sprzedawca, który pracował na pół etatu w „Sklepie na Rogu”, na pół etatu jako zmywacz naczyń w Lodge i dodatkowo dorabiał jako disc jockey w lokalnej rozgłośni radiowej.

Zamienił gigę na westernowy taniec wojenny Indian.

– Dzień dobry, panie komendancie.

Rosę trzymała za rączkę Jesse'ego, a do piersi przytulała jego siostrzyczkę.

– Miły poranek – powiedziała z uśmiechem na ustach.

– Tak. Czy to jakiś szczególny dzień? Może jakieś pogańskie święto, o którym nic mi nie wiadomo?

– Nie. Zwyczajna środa.

– W porządku. Wysunął się przed gapiów.

– Hej, Toby? Zapomniałeś dzisiaj o czapce?

Nie przerywając tańca, Toby odgarnął do tyłu długie, brązowe włosy i wyrzucił ręce na bok.

– Ubranie symbolizuje jedynie wyparcie się przez człowieka natury, jest zgodą na wszelkie ograniczenia i utratę niewinności. Dzisiaj łączę się z naturą. Dzisiaj odzyskuję niewinność. Jestem mężczyzną!

– Czy aby na pewno?! – zawołał ktoś, na co tłum zareagował salwą śmiechu.

– Może porozmawialibyśmy na ten temat?

Nate ujął Toby'ego za rękę i zarzucił mu wokół bioder swoją marynarkę.

– Człowiek jest dzieckiem, a dziecko przychodzi na świat nago.

– Słyszałem coś na ten temat. Koniec przedstawienia! – zawołał Nate.

Prowadząc Toby'ego ulicą, próbował poprawić marynarkę. We wszystkich miejscach, w których mężczyzna miał odsłoniętą skórę, pojawiła się gęsia skórka wielkości grejpfrutów.

– Zresztą i tak niewiele jest tu do zobaczenia – mruknął Nate pod nosem.

– Piję tylko wodę – zapewnił go Toby. – Jem tylko to, co zbiorę własnymi rękami.

– Rozumiem. Nie chcesz kawy ani pączków.

– Jeśli nie będziemy tańczyć, ciemność powróci, a wraz z nią lodowata zima. Śnieg. – Rozejrzał się dookoła lekko obłąkanym wzrokiem. – Jest wszędzie.

Wszędzie.

– Wiem.

Nate wprowadził go na posterunek, a potem prosto do celi. Dochodząc do wniosku, że w Lunacy osobą najbliższą psychoanalitykowi jest Ken, skontaktował się z nim i zamówił wizytę.

W sąsiedniej celi Pijany Mikę głośno chrapał, odsypiając popijawę, po której poprzedniej nocy wszedł do domu sąsiada zamiast do swojego.

Między jedenastą a drugą Nate miał sześć wezwań, łącznie z Pijanym Mikiem. Poprzecinane opony w ciężarówce Hawleya, przenośne radio włączone na pełny regulator i pozostawione na progu domu Sarrie Parker, wybita szyba w oknie, żółte graffiti na nowym skuterze śnieżnym „finia Bowera i fordzie bronco Charlene.

Wyraźnie sama myśl o wiosnie pobudzała mieszkańców miasteczka do działania.

Marząc o kawie i niezjedzonym śniadaniu, Nate zastanawiał się, co mogło skłonić mężczyznę do tańczenia nago na ośnieżonej ulicy. Nagle na posterunek wszedł Bing i głośno trzasnął drzwiami. Był ogromny jak czołg wyglądał tak, jakby lada chwila miał zamiar kogoś zabić.

– Znalazłem to w swoich rzeczach.

Rzucił na ladę dwie wędki, potem dodał do nich świder, który wyglądał jak poskręcany miecz.

– Nie jestem złodziejem, więc lepiej będzie, jeśli dojdzie pan do tego, kto tak bardzo chciał, żebym wyszedł na złodzieja.

– Czy to rzeczy Eda Woolcotta?

– Mają wygrawerowane jego nazwisko. Trzeba być cholernym palantem, żeby przyczepiać plakietki ze swoim nazwiskiem do wędek, które się nieźle przepłaciło. Mówię wprost, nie pozwolę, żeby Ed oskarżył mnie o kradzież. Jeśli to zrobi, zmuszę go, żeby odszczekał swoje słowa.

– Gdzie to znalazłeś?

Bing zacisnął dłonie w pięści.

– Jeśli uzna pan, że ja to zabrałem, też będzie pan musiał odszczekać swoje słowa.

– Nie powiedziałem, że je zabrałeś, pytałem tylko, gdzie je znalazłeś.

– W swojej chacie na lodzie. Wybrałem się do niej wczoraj wieczorem. Uznałem, że pora przygotować ją do sezonu. Tam to wszystko znalazłem. Długo

zastanawiałem się, co z tym fantem zrobić, w końcu postanowiłem przynieść te rzeczy do pana. – Wskazał palcem na Nate'a. – Teraz niech pan zrobi, co do pana należy.

– Kiedy po raz ostatni byłeś w swojej chacie, nie licząc wczorajszego wieczoru?

– Ostatnio mam dużo roboty. Może wpadłem tam jakieś dwa tygodnie temu? Gdyby były, od razu bym je zauważył, tak jak zauważyłem je wczoraj. Nie używam wielkopańskiego sprzętu.

– Może wejdiesz, Bing, do mojego biura i na chwilę usiądziesz?

Bing ponownie zacisnął ogromne łapska w pięści i odsłonił zęby.

– A po co?

– Żeby spisać oficjalne oświadczenie. Chcę, żebyś odpowiedział mi na kilka pytań, na przykład: czy ten ktoś coś ruszył, czy pojawiło się coś nowego albo zniknął jakiś twój sprzęt, czy twoja chata była zamknięta i kto mógłby próbować zrobić cię w takie gówno? Bing spojrzał wilkiem.

– Uwierzy pan w to, co powiem?

– Tak.

Bing wysunął do przodu zarośniętą brodę.

– W takim razie w porządku, ale musimy zrobić to szybko. Naprawdę mam masę roboty.

– Nie zajmie nam to dużo czasu. A tak przy okazji, może naprawiłbyś ten krater na Lunatic, nim pochłonie pięcioosobową rodzinę?

Ponieważ Bing był raczej dość małomówny, zeznanie zostało spisane w dziesięć minut.

– Czy ciebie i Eda łączy coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Trzymam pieniądze w jego banku, wyjmuję je, gdy jest taka potrzeba.

– Czy spotykacie się towarzysko? W odpowiedzi Bing tylko prychnął.

– Nie bywam zapraszany na kolacje do jego domu, a nawet gdyby tak było, nie poszedłbym.

– Dlaczego? Czyżby jego żona była kiepską kucharką?

– Lubi zadzierać nosa... oboje lubią zadzierać nosa... jakby byli lepsi od nas wszystkich. On jest strasznym dupkiem; ale to samo można powiedzieć o ponad połowie ludzi.

Wzruszył masywnymi ramionami. Wyglądało to trochę tak, jakby góra się przeciągała.!

– Chociaż osobiście nie mam nic przeciw niemu.

– Czy potrafisz powiedzieć, kto oprócz niego mógłby mieć coś przeciw tobie? Kogo tak wkurzyłeś, żeby próbował przysporzyć ci kłopotów?

– Robię, co do mnie należy, i liczę na to, że ludzie będą postępować tak samo. Jeśli ktoś ma z tym problemy, zmuszę go, żeby...

– Odszczekał swoje słowa – dokończył Nate. – Dopilnuję, żeby Ed dostał z powrotem swoją własność. Jestem wdzięczny, że przyniosłeś to na posterunek.

Bing siedział przez chwilę w milczeniu i bębnił palcami po masywnych udach.

– Nie uznaję kradzieży.

– Ja również.

– Nie rozumiem, dlaczego zamyka pan faceta, który strzelił sobie kilka głębszych albo stłukł kogoś, kto zaszedł mu za skórę, ale kradzież to całkiem inna sprawa.

Nate wierzył Bingowi. W jego kartotece odnotowano akty przemocy, ale nie było żadnej kradzieży.

– Do czego zmierzasz?

– Ktoś skradł z mojego samochodu nóż myśliwski i zapasowe rękawiczki.

Nate wywołał na ekran następny formularz.

– Podaj mi opis.

– To był cholernie dobry nóż – syknął przez zęby, widząc że Nate czeka. – Miał dwunastocentymetrowe ostrze i drewnianą rękojeść z niewielkim schowkiem. Typowy nóż myśliwski.

– A rękawiczki? – podpytywał Nate, wystukując odpowiedź Binga na klawiaturze.

– Zwykle rękawice robocze. Z bydlęcej skóry, z kozuszką w środku. Czarne.

– Kiedy zauważyłeś, że ich nie ma?

– W ubiegłym tygodniu.

– A zgłaszasz mi o tym dopiero dzisiaj, ponieważ...? Bing przez minutę milczał, potem ponownie wzruszył potężnymi ramionami.

– Może nie jest pan wcale takim całkowitym dupkiem.

– Jestem wzruszony. Pozwól, że otrę łzy. Zamykasz swojego pikapa?

– Nie. Dotychczas nikt nie był tak głupi, żeby grzebać w moich rzeczach.

– Zawsze musi być pierwszy raz – powiedział Nate.

Po wyjściu Binga Nate czekał na pojawienie się lekarza, który miał ocenić stan psychiczny Toby'ego. W pewnym momencie bacznie przyjrzał się raportom, które leżały na jego biurku. Zebrał się całkiem niezły stosik – pomyślał. Może nie tak wielki, do jakiego przywykł, pracując w Baltimore, ale jednak. Do tego należy jeszcze dodać drobną kradzież i akt wandalizmu, które właśnie zgłosił Bing.

Wystarczająco dużo, żeby komendant policji miał zajęcie przynajmniej przez dwa tygodnie.

Może to wcale nie był przypadek? Może wszechświat nie próbował przypomnieć mu w ten sposób, że już nie pracuje w wydziale zabójstw?

Może komuś puszczają nerwy?

Nate wezwał Eda na komisariat. Twarz bankiera rozjaśniła się na widok wędek i świdra.

– Zakładam, że to twoje.

– Oczywiście. Już myślałem, że się nie znajdują, że jakimś cudem wylądują w lombardzie w Anchorage. Dobra robota, panie komendancie. Aresztowałeś kogoś?

– Nie. Bing wczoraj wieczorem znalazł to wszystko wśród swojego sprzętu w chacie na lodzie. Dziś zaraz z rana mi to przyniósł.

– Ale...

– Powiedz, dlaczego Bing miałby włamać się do twojej chaty, zbezczeszczyć ją, zabrać twój sprzęt, a dzisiaj przynieść na posterunek?

– Nie wiem. – Ed musnął palcami odzyskane wędki. – Nie, myślę, że to nie byłoby zbyt mądre, ale pozostaje faktem, że on je miał.

– Jedynym faktem jest to, że je znalazł i zwrócił. Czy chcesz go za to ukarać?

Ed westchnął i przez chwilę stał nieruchomo, a na jego twarzy widać było wewnętrzną walkę.

– No cóż... naprawdę nie wiem, dlaczego Bing miałby mi sam wszystko zwrócić, gdyby dokonał kradzieży. Odzyskałem swoje rzeczy i to jest dla mnie najważniejsze. Pozostał jeszcze akt wandalizmu i kradzież pół litra whisky.

– Na razie nie zamykam sprawy.

– To dobrze. To dobrze. – Kiwnięciem głowy wskazał na okno i na błękitną rzekę, po której płynęła biała kra. – Przeżyłeś pierwszą zimę.

– Chyba tak.

– Niektórzy sądzą, że nie będziesz chciał jej przeżywać po raz drugi. Sam się

czasem zastanawiam, czy po wygaśnięciu kontraktu nie będziesz chciał wrócić tam, skąd przyjechałeś.

– Prawdopodobnie wszystko będzie zależało od tego, czy rada miejska zaproponuje mi przedłużenie umowy.

– Nie słyszałem żadnych skarg, a przynajmniej niczego, co miałoby jakieś większe znaczenie. – Wziął wędki i świder. – Będę musiał zawieźć je do chaty.

– Chcę, żebyś pokwitował ich odbiór. – Nate podsunął mu formularz. – Załatwmy wszystko jak należy.

– Och, oczywiście. – Postawił parafkę w odpowiednim miejscu. – Dziękuję, panie komendancie. Cieszę się, że odzyskałem swoją własność.

Komendant zauważył, że Ed zerknął na tablicę osłoniętą kocem. Poprzednio zrobił to już dwukrotnie, niemniej o nic nie spytał ani nie wygłosił żadnego komentarza.

Nate wstał, zamknął za nim drzwi, a potem podszedł do tablicy i odkrył ją. Na liście nazwisk zaznaczył ołówkiem linię, która łączyła Binga z Edem. Obok dopisał znak zapytania.

Po południu chmury zasnuły niebo, a Nate dostrzegł na ich tle samolot Meg. Wracał właśnie z patrolu, ponieważ ktoś zgłosił, że przy strumieniu w Rancor Woods leżą czyjeś zwłoki. Jak się okazało, była to para starych butów, które wystawały ze śniegu. Buty dostrzegli przez lornetkę turyści, którzy przyjechali podglądać ptaki.

Ach, ci turyści – pomyślał Nate, rzucając na tył samochodu buty prawdopodobnie pozostawione przez innych turystów.

Potem usłyszał dobrze znany warkot samolotu i zobaczył, jak Meg wyłania się z chmur.

Nim dotarł do wąskiego pomostu na rzece, zdążyła już wylądować. Pływaki pod jej samolotem były następną oznaką wiosny. Szedł po kołyszącym się pomoście, patrząc, jak Meg i Jacob wyladowują zaopatrzenie.

– Cześć, przystojniaczku. – Postawiła pudło na pomoście. – Widziałam cię przy Rancor Woods. Serce mocniej zabiło mi w piersi, prawda, Jacobie?

Cicho zachichotał, po czym zabrał duże pudło i powędrował z nim do swojego samochodu.

– Kupiłam ci prezent.

– Taak? Pokaż.

Sięgnęła do następnego pudła, pogrzebała w nim i wyjęła paczuszkę

prezerwatyw.

– Doszłam do wniosku, że możesz się wstydzić poprosić o takie rzeczy w „Sklepie na Rogu”.

– Ale nie powinienem się wstydzić, że dajesz mi je w prezencie na pomoście w centrum miasta.

Wyrwał jej pakiecik z ręki i wsunął do kieszeni kurtki.

– Mam dla ciebie trzy pudełeczka, ale pozostałe dwa na razie będę trzymać w bezpiecznym miejscu.

Puściła do niego perskie oko i pochyliła się, by podnieść pudło.

– Zaniosę je.

– Tylko uważaj. Jest tam zabytkowy komplet do herbaty. Babcia Joanny ofiarowała go jej na trzydzieste urodziny. – Podniosła następne pudło i ruszyła za Nate’em. – Dlaczego snujesz się w pobliżu rzeki. Szukasz rozwiązłych kobiet?

– Jedną już znalazłem, nie sądzisz?

Wybuchnęła śmiechem i lekko szturchnęła go łokciem.

– Później sprawdzimy, czy dzięki tobie mogę stać się jeszcze bardziej rozwiązła.

– Dziś mamy wieczór filmowy.

– Wieczór filmowy jest w sobotę.

– Nie, przesunęli go, pamiętasz? Pokrywał się z wiosennym wieczorkiem w szkole średniej.

– Tak, masz rację. Mam w tych pudłach kilka sukienek na tę okazję. Co puszczają?

– Dwa filmy. Zawrót głowy i Okno na podwórze.

– Przyniosę popcorn.

Załadowała pudło do samochodu i bacznie przyglądała się Nate’owi, który wkładał swoje.

– Wygląda pan na zmęczonego, panie komendancie.

– Odnoszę wrażenie, że ludzie dostali wiosennej gorączki. Mam sporo roboty. Tak dużo, że pewnym sprawom nie mogę poświęcić tyle czasu, ile bym chciał.

– Chyba nie mówisz o moim nagim ciele, prawda? – Obejrzała się za siebie, na samolot, z którego Jacob wyładowywał ostatnie pudła. – Bo ciało mojego ojca jest martwe od szesnastu lat. Czas to sprawa względna.

– Chcę zamknąć dochodzenie. Ze względu na ciebie. Ze względu na niego.

I na siebie.

Owinęła wokół palca kosmyk jego włosów. Pozwolił, żeby go podstrzygła. Uznała, że wykazał sporą odwagę. Albo jest beznadziejnie zakochany.

– Coś ci zaproponuję. Zróbmy sobie po prostu wolny, naprawdę wolny wieczór. Obejrzymy filmy, zjedzmy popcorn i zabawmy się.

– Mam więcej pytań niż odpowiedzi. Kilka z nich będę musiał zadać również i tobie. Mogą ci się nie spodobać.

– Tym bardziej zróbmy sobie wolny wieczór. Na razie musimy z Jacobem dostarczyć ludziom zamówiony towar. Zobaczymy się później.

Wskoczyła do pikapu i gdy Jacob ruszył z miejsca, pomachała Nate'owi. Potem obserwowała go w bocznym lusterku, póki nie skręcili.

– Sprawia wrażenie zmartwionego – skomentował Jacob.

– Należy do ludzi, którzy zawsze się o coś martwią. Czy dlatego tak mi się podoba?

– Lubi cię osłaniać. Nikt nigdy wcześniej tego nie robił. – Uśmiechnął się, gdy odwróciła się w jego stronę. – Ja cię uczyłem, wysłuchiwałem, troszczyłem się o ciebie, ale nigdy cię nie osłaniałem.

– Nie potrzebuję ani nie chcę, żeby ktoś mnie osłaniał.

– Nie, ale świadomość tego, że on to robi, bardzo cię do niego przyciąga.

– Może. Może. – Będzie musiała później się nad tym zastanowić. – Niemniej wkrótce dojdzie do ostrej kolizji naszych pragnień. Co wtedy?

– To zależy, czyje pragnienia przetrwają ową kolizję. Z cichym śmiechem wyprostowała nogi.

– Na pewno nie jego.

Miała nadzieję, że zdąży pojechać do domu, wymyć się, przebrać i przygotować wszystko na nocny maraton seksu. Właśnie dzięki takiemu podejściu do sprawy ich związek wciąż wyglądał interesująco, nie pociągał za sobą żadnych komplikacji i nie wymagał myślenia. Meg wierzyła, że odrobina prostoty i bezmyślności jeszcze przez jakiś czas nie zaszkodzą Nate'owi.

Nate zdecydowanie za dużo myślał i to było zaraźliwe.

Niestety, po dostarczeniu towarów i pobraniu opłat nie została jej już ani odrobina czasu. Skończyło się na tym, że wpadła do Lodge, gdzie przy okazji wysłuchiwała piosenek musicalowych w wykonaniu Wielkiego Mike'a.

Miło było słuchać Wielkiego Mike'a, który często śpiewał przy pracy. Meg zapoznała się też z najświeższymi plotkami, gdy Rosę wchodziła i wychodziła

z kuchni, potem trochę pocmokała nad zdjęciami Willow i najnowszymi fotkami córeczki Wielkiego Mike'a.

Przyszło jej na myśl, że siedząc w ciepłej kuchni, słuchając pogaduszek i muzyki, czuje się jak w domu. Dodatkową atrakcją była możliwość zwędzenia kawałka wspaniałego jabłecznika Mike'a.

– Umów się z nim na randkę do kina – powiedział Mike między jedną a drugą piosenką. – To będzie romantyczne.

Meg ukryła się za piecem i zjadła placek.

– Może to zrobię, ale wtedy zje mi cały popcorn.

– Widzę w twoich oczach gwiazdki i serduszka. – Uhm – wydusiła z pełnymi ustami.

– Jasne. U niego też.

Zacmokał, jakby kogoś całował. To dziwny dźwięk – pomyślała Meg ze śmiechem – zwłaszcza gdy wydaje go potężny, łysy, czarnoskóry mężczyzna.

– Ja też je miałem, gdy po raz pierwszy zobaczyłem swoją Julię. Wciąż je mam.

– Dlatego jesteś tutaj i pieczesz wspaniały jabłecznik dla bandy ponuraków.

– Lubię piec.

Nałożył na talerz pieczoną rybę, czerwone ziemniaczki i zielony groszek.

– Dla Julii i mojej małej księżniczki Annie gotów jestem zrobić dosłownie wszystko. Dobrze jest tu mieszkać i pracować, bo jeśli człowiek kocha, to każde miejsce na ziemi jest dla niego dobre.

Zamienił melodie musicalowe na piosenki Beatlesów. Zaśpiewał Ali You Need Is Love. Meg kończyła ciasto. Rosę weszła do kuchni zabrać zamówione dania.

Dobrze jest tu mieszkać i pracować – rozmyślała Meg, wsypując popcorn do papierowej torby i potrząsając nią, żeby rozprowadzić masło i sól. Musiała jeszcze tylko wymyślić, co zrobić z miłością.

Gdy szła na ratusz, wyczuła w powietrzu wilgoć. Zanosiło się na deszcz.

Nate się spóźnił, co ją zdziwiło. Wpadł, gdy już gaszono światła.

– Przepraszam. Miałem wezwanie. Jeżozwierz. Powiem ci później.

Próbował zainteresować się filmem, dostosować się do ogólnie panującej atmosfery, ale jego myśli krążyły gdzie indziej. Tego ranka na swojej tablicy połączył Eda z Bingiem. Wspólną nicią był skradziony sprzęt wędkarski. Coś, co bardziej wyglądało na głupi żart albo szczeniacką przygodę. Między

poszczególnymi osobami było znacznie więcej różnorodnych powiązań.

Wszyscy oni siedzieli wokół niego w ciemności i podziwiali Jimmy'ego Stewarta w roli gliniarza, który przeszedł załamanie.

Znam to z własnego doświadczenia – pomyślał Nate. Stewart też będzie staczał się w dół. Będzie cierpiał i coraz bardziej popadał w obsesję.

Miał dziewczynę, stracił dziewczynę, znalazł dziewczynę, stracił dziewczynę. Nieustanna spirala bólu i przyjemności.

Dziewczyna stanowiła klucz.

Czy Meg również nim jest? Jedyne dziecko Patricka Gallowaya, żywy symbol. Jeśli nie jest kluczem, to może przynajmniej następnym ogniwiem?

– Jak długo masz zamiar bujać w obłokach, zanim wylądujesz?

– Słucham?

– Wygląda na to, że często to robisz.

Meg przekrzywiła głowę. W tym momencie Nate zdał sobie sprawę, że włączono światła i zaczęła się przerwa między filmami.

– Przepraszam. Wyłączyłem się.

– Zauważyłam. Nie zjadłeś nawet połowy swojej części popcornu. – Zamknęła torebkę i postawiła ją na siedzeniu. – Chodź, zaczerpnijmy nieco powietrza przed drugim filmem.

Jak większość kinomanów utknęli w otwartych drzwiach. Gdzieś w trakcie przeobrażania się Kim Novak z ciemnych chmur lunął deszcz. Deszcz, który Meg czuła wysoko w górze.

– Będzie powódź – powiedziała.

Marszcząc czoło, próbowała wypatrzeć coś przez grubą warstwę dymu wydmuchiwanego przez odważne i przemoczone duszyczki, które stały na zewnątrz i osłaniały dłońmi papierosy przed deszczem.

– A jeśli temperatura jeszcze trochę spadnie, na drogach zrobi się gołoledź.

– Jeśli chcesz jechać do domu, zawiozę cię. Będę musiał jednak wrócić i przypilnować tu wszystkiego.

– Nie, zostanę na drugi film, potem zobaczę, jak będzie. Zresztą równie dobrze deszcz może zamienić się w śnieg.

– Pozwól, że sprawdzę kilka rzeczy. Spotkamy się na sali.

– Cały glina, zawsze czujny i gotowy. Zobaczywszy jego minę, wywróciła oczami.

– Wcale się nie skarzę, panie Burkę. Jezu! Nie mam zamiaru jęczeć i dąsać

się, nawet jeśli będę musiała obejrzeć film bez twojego towarzystwa. Zresztą w razie potrzeby mogę też sama wrócić do domu. Jestem również w stanie sama poradzić sobie z ostatnią, najbardziej rozrywkową częścią wieczoru, jeśli nie będziesz mógł służyć mi pomocą. Kupiłam właśnie świeże baterie. Natomiast wkurza mnie, jak patrząc na mnie, widzisz ją.

Miał zamiar powiedzieć, że to nieprawda, ale już się oddaliła. Poza tym i tak byłoby to kłamstwo. Odruch warunkowy – pomyślał, próbując zrzucić ciężar z barków.

Wciąż go dźwigając, dostrzegł w tłumie Profesora, Petera, Hopp i Binga.

Całą przerwę i kawałek filmu poświęcił na układanie planów na wypadek powodzi.

Kiedy dołączył do Meg, Grace Kelly próbowała właśnie przekonać Jimmy'ego Stewarta, żeby więcej uwagi poświęcał jej niż ludziom z mieszkania, które widział przez okno wychodzące na podwórze.

Nate ujął Meg za rękę i splótł palce.

– Utknąłem na dobre – mruknął jej do ucha. – Przepraszam.

– Nie tłumacz się. – Odwróciła głowę i musnęła wargami jego usta. – Może jednak teraz obejrzałyś film?

Próbował. Kiedy Raymond Burr przyłapał Grace Kelly na tym, że myszkuje po jego mieszkaniu, za ich plecami otworzyły się drzwi.

Na salę wpadł Otto, wpuszczając strumień światła. Rozległo się buczenie i krzyki, żeby zamknąć te cholerne drzwi. Otto był mokry, ale zdecydowanym krokiem skierował się prosto do Nate'a, który już wstał i powoli przesuwał się między rzędami w stronę swojego zastępcy.

– Proszę wyjść na zewnątrz, panie komendancie.

Po raz drugi tego dnia Nate wyszedł w koszuli. Tym razem na chodniku leżała cienka warstewka deszczu ze śniegiem. Poczul na skórze lodowaty podmuch wiatru.

Natychmiast dostrzegł zwłoki. Wciągnął powietrze w płuca, przeskoczył kałużę i podszedł do krawężnika.

Początkowo myślał, że to Buli albo Rock, dlatego serce stanęło mu w gardle, ale pies, który leżał w kałuży krwi, był starszy od ulubieńców Meg i miał w sierści więcej siwych włosów.

Ktoś najpierw poderzwał psu gardło, a potem wbił mu nóż w klatkę piersiową.

Nate słyszał, że ktoś krzyknął za jego plecami.

– Każ im wejść z powrotem do środka, Otto – rozkazał. – Spróbuj zapanować nad sytuacją.

– Znam tego psa, Nate. To Yukon, stary pies Lary i Joego. Nieszkodliwy. Prawie bezzębny.

– Wprowadź ludzi z powrotem na ratusz. Przynieś coś, czym można by było okryć zwierzę, albo zleć to zadanie Peterowi.

Chwilę po zniknięciu Ottona z ratusza wybiegł Peter.

– Jacob dał mi swój płaszcz nieprzemakalny. Boże, panie komendancie, to Yukon. Pies Stevena. To straszne. To niesprawiedliwe.

– Rozpoznajesz nóż? Spójrz na rękojeść, Peterze.

– Nie wiem. Jest na nim dużo krwi, sam... nie wiem. Nate wiedział. Przeczucie mówiło mu, że jest to nóż myśliwski. Zaginiony nóż myśliwski Binga.

– Musimy zabrać psa do przychodni. Chcę, żebyś pomógł mi załadować zwierzę na pakę mojego samochodu, ale wcześniej przynieś mi aparat, żebyśmy mogli uwiecznić scenę.

– On nie żyje.

– Nie żyje. Gdy zrobimy zdjęcia, Ken będzie musiał go zbadać. Kiedy załadujemy Yukona do samochodu, powiesz Joemu i Larze, że zabrałem ich psa i jestem z nim w przychodni. A teraz idź po aparat.

Kiedy Nate uniósł głowę, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Meg stała na chodniku i trzymała w ręce jego kurtkę.

– Zostawiłeś ją na sali.

– Idź stąd.

– Już widziałam, w jaki sposób ktoś potraktował biednego psa. Biedny, stary Yukon. Lara będzie zrozpaczona.

– Wracaj na ratusz.

– Jadę do domu. Jadę do domu, do swoich psów. Chwycił ją za rękę.

– Wracaj na ratusz, a kiedy skończy się film, czekaj na mnie w Lodge.

– To nie jest godzina policyjna, panie Burkę. Mogę iść tam, gdzie chcę.

– Rób, co ci każe. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie przebywasz, i mieć pewność, że nie jesteś sama w odległości ośmiu kilometrów od miasta. Na drogach jest gołoledź, warunki jazdy są bardzo niebezpieczne, grozi nam powódź, a komuś może nie wystarczyć, że podciął biednemu psu gardło od ucha do ucha. Więc zabierz tyłek z powrotem na ratusz i zaczekaj, póki nie pozwolę

ci stamtąd wyjść.

– Nie zostawię swoich psów...

– Przywiozę twoje psy. Idź na ratusz, Meg. Idź, bo jak nie, to zamknę cię w celi.

Odczekał pięć długich sekund, podczas których słychać było, jak deszcz ze śniegiem topnieje na chodniku. Odwróciła się na pięcie i jak burza wbiegła na ratusz.

Czekał w strugach deszczu obok martwego psa, póki Peter nie przybiegł z powrotem.

Wziął od niego aparat, pstryknął kilka zdjęć i wetknął je do kieszeni kurtki.

– Pomóż mi załadować psa, Peterze. Potem zrobisz to, co ci każę. Chcę, żeby Otto odprowadził Meg do Lodge i zatrzymał ją tam, póki nie odwołam rozkazu. Zrozumiano?!

Peter przytaknął. Jego jabłko Adama niespokojnie podskoczyło, mimo to posłusznie przytaknął.

– Ach, panie komendancie, Ken jest w ratuszu. Podczas seansu siedziałem tuż za nim. Mam go ściągnąć?

– Tak. Taak, przyślij go tu. Może jechać ze mną.

Nate odgarnął z czoła mokre włosy. Spowijała go delikatna mgiełka.

– Liczę, że wykonasz moje rozkazy, Peterze. Chcę, żebyś porozsyłał ludzi do domów. Co do jednego. Poradź im, żeby poszli najkrótszą drogą, i zapewnij ich, że wszystkim się zajmiemy.

– Będą chcieli wiedzieć, co... co się stało.

– Jeszcze nie wiemy, co się stało, nie sądzisz? – Spojrzał na psa. – Postaraj się, żeby zachowali spokój. Doskonale umiesz radzić sobie z ludźmi. Idź tam i porozmawiaj ze swoimi krajanami. I jeszcze jedno, Peterze, zwróć uwagę, kto tam jest. Chcę, żebyście obaj z Ottonem zrobili dokładną listę osób, które są w ratuszu.

A wtedy będę wiedział – pomyślał Nate – kogo tam nie ma.

Załadowali psa do samochodu. Gdy Peter szybkim krokiem wrócił na ratusz, Nate kucnął przy prawej tylnej oponie swojego samochodu. Za nią, tuż pod osią, leżała para zakrwawionych rękawiczek.

Otworzył drzwi, wyjął torebkę na dowody. Posługując się kajdankami, uniósł rękawiczki i włożył je do woreczka.

Na pewno należą do Binga. Tak samo jak nóż.

Ktoś użył noża i rękawiczek, których zniknięcie Bing zgłosił zaledwie kilka godzin temu.

– Śmierć nastąpiła szybko. – Ken stał nad psem i przecierał dłonią twarz.

– Z powodu rany na szyi, prawda? – podpowiadał Nate.

– Taak. Taak. Jezu, co za sukinsyn mógł zrobić coś takiego psu? Mówiłeś... mówiłeś, że z rany w klatce piersiowej nie popłynęło dużo krwi. On już nie żył, gdy ten ktoś wbijał mu tam nóż. Podcięto mu gardło w taki sposób, w jaki robi się to podczas polowania – po prostu przecina się dzikiej zwierzynie żyłę szyjną.

– Żeby odpłynęła krew.

– Taak. Boże!

– Deszcz zmył większość krwi, chociaż nie wszystko. Poza tym, gdy znaleźliśmy go, był jeszcze ciepły. Nie żyje mniej więcej od godziny, nie sądzisz?

– To nie moja działka, Nate. – Ken potrząsnął głową, zdjął okulary i wyczyścił je koszulą. – Twoje domysły są tak samo dobre, a może nawet lepsze niż moje. Przypuszczam jednak, że rzeczywiście musiało się to stać jakąś godzinę temu.

– Mniej więcej godzinę temu była przerwa. Między filmami psa tu nie było. Poza tym leżał w zbyt dużej kałuży krwi, żeby mógł zostać zamordowany gdzie indziej i tylko podrzucony pod ratusz. Znasz tego psa?

– Jasne. To stary Yukon. – Oczy znów zasnuły mu się łzami. Szybko je otarł. – Jasne.

– Czy wyrządził komuś jakąś krzywdę? Szczekał na kogoś? Ugryzł?

– Yukon? Miał tylko kilka zębów i z trudem przeżuwał własne jedzenie. To bardzo przyjacielski psiak. Nieszkodliwy. Może dlatego tak trudno mi się z tym pogodzić. – Ken odwrócił się na chwilę, żeby zapanować nad sobą. – Max... no cóż, Max był okropny. Tylko, na litość boską, to był człowiek. Tymczasem ten pies... to stary i słodki kundel. Co więcej, całkiem bezbronny.

– Jeśli chcesz, usiądź na chwilę.

Nate nadal stał i spoglądał z góry na psa. Na sierść poplamioną krwią i ociekającą deszczem.

– Przepraszam, Nate. Pewnie uważasz, że lekarz lepiej powinien sobie radzić w takiej sytuacji. – Głęboko odetchnął. – Czego ode mnie oczekujesz?

– Lada chwila pojawią się Joe i Lara. Chcę, żebyś ich tu nie dopuścił, póki nie skończę.

– Co masz zamiar zrobić?

– To, co do mnie należy. Po prostu trzymaj ich za drzwiami, póki nie skończę.

Zrobił następne zdjęcia. Nie był koronerem, ale miał do czynienia z wystarczającą liczbą zwłok, był świadkiem wystarczającej liczby autopsji, żeby mieć pewność, iż śmiertelny cios został zadany nieco od tyłu i znad głowy. Z lewa na prawo. Ktoś usiadł na psie okrakiem, uniósł mu głowę i poderżnął gardło.

Potrzeba było na to kilku minut pod osłoną deszczu, w czasie kiedy w pobliskim budynku dwieście, może nawet więcej osób oglądało Jimmy'ego Stewarta.

Istniało pewne ryzyko – pomyślał, pokrywając rączkę noża proszkiem do wykrywania śladów – ale zostało starannie wykalkulowane. Na zimno.

Na nożu nie było nic oprócz krwi. Nate zapakował go, potem wyjął plastikową torbę. Wrzucił do niej nóż i zdjęcia, po czym poszedł, żeby porozmawiać z Bingiem.

Deszcz zamienił się w drobny, wilgotny śnieg, kiedy Nate go odnalazł. Wielkolud pracował w swoim ogromnym warsztacie przy drewnianym domu. Przy włączonym radiu, które co chwila podawało najświeższą prognozę pogody, grzebał pod maską swojego samochodu.

W warsztacie było jeszcze kilka innych pojazdów i coś, co wyglądało jak niewielki silnik na podkładkach. Jedna z szuflad ogromnej, zardzewiałej, czerwonej skrzyni na narzędzia była otwarta. Nad długą ladą wisiały następne narzędzia, a między nimi kalendarz ze skąpo odzianymi blondynkami o ogromnych piersiach.

Na drewnianym stole w odległym kącie stała potężna maszyna do szycia. Co tu, do diabła, robi maszyna do szycia? Nad nią wisiała głowa łosia.

W warsztacie unosił się zapach piwa wymieszanego z dymem papierosów i smarem.

Bing spojrzał wilkiem na Nate'a. Przymrużył jedno oko, by uchronić je przed dymem, który unosił się z papierosa tkwiącego w jego ustach.

– Jeśli jutro spadnie jeszcze trochę deszczu, rzeka wystąpi z brzegów i pocałuje Lunatic Street. Będziemy potrzebowali worków z piaskiem. Wrzuciłem je do ciężarówki.

Worki z piaskiem – pomyślał Nate, zerkając na maszynę do szycia. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić, jak Bing szyje worki, przypuszczał jednak, że na

świecie nie brakuje większych dziwów. – Wcześniej wyszedłeś z wieczoru filmowego.

– Wystarczyło mi to, co widziałem. Mam furę roboty, nie wyrobię się do rana. O co panu chodzi?

Nate zrobił krok do przodu i wyjął nóż w woreczku.

– Twój?

Bing wyjął papierosa z ust i spojrzał z ukosa. Musiałby być ślepy, a nie tylko oślepiiony przez odrobinę dymu, by nie zauważyć, że na uchwycie i ostrzu noża jest krew.

– Wygląda na to, że tak.

Wyrzucił papierosa i wdeptał go w zatłuszczony beton.

– Taak, to mój nóż. Chyba po drodze ktoś go używał. Gdzie go pan znalazł?

– W klatce piersiowej Yukona, psa Joego i Lary.

Bing cofnął się o krok, wykonując gwałtowny ruch, jaki zazwyczaj robi człowiek po otrzymaniu potężnego ciosu.

– O czym pan, do diabła, mówi?

– Ktoś poderżnął twoim nożem Yukonowi gardło, a potem wbił mu go w pierś, ot tak, na wszelki wypadek, żebym na pewno go znalazł. O której wyszedłeś z filmu, Bing?

– Ktoś zabił Yukona? Ktoś zabił starego Yukona? – W oczach Binga pojawił się błysk rozpacz. – Uważa pan, że to ja zabiłem Yukona?! – Zaciśnął palce na kluczu. – Czy to właśnie próbuje mi pan powiedzieć?

– Jeśli mnie uderzysz, będę musiał cię aresztować. Lepiej oszczędź sobie upokorzenia, ponieważ zrobię to bez chwili wahania. Odłóż klucz, i to natychmiast.

Na twarzy Binga pojawiła się wściekłość, cały drżał.

– Jesteś bardzo porywczy, prawda, Bing? – spytał Nate. – Dlatego w twojej kartotece jest kilka napadów, dlatego też kilka nocy spędziłeś za kratkami. Ta sama porywczosć każe ci teraz zdzielić mnie kluczem po głowie. Zrób to. Spróbuj.

Bing rzucił klucz w przeciwległy róg warsztatu. Sapał jak silnik parowy, a jego twarz nabrała koloru cegły.

– Niech pan się ode mnie odpieprzy. Jasne, że dałem kilku osobom po mordzie, temu i owemu rozwaliłem łeb, ale do jasnej cholery, nie zabijam psów. A jeśli mi pan powie, że to robię, wcale nie potrzebuję klucza, żeby rozłożyć

pana na łopatkę.

– Tylko pytałem, o której wyszedłeś z filmu.

– Podczas przerwy wyszedłem na papierosa. Widział mnie pan. Powiedział pan nawet, że pora zacząć przygotowania na wypadek powodzi. Więc wróciłem do siebie. Załadowałem cholerne worki z piaskiem.

Kciukiem wskazał pakę ciężarówki. Leżało na niej przynajmniej sto worków z piaskiem.

– Potem doszedłem do wniosku, że skoro już tu jestem, wyreguluję silnik. Robiłem to do teraz. Ktoś poszedł do domu Joego i zabił psa, ale ja się do tego nie przyznaję. Lubiłem Yukona.

Nate wyjął zapakowane w woreczek rękawiczki.

– Czy to twoje?

Bing spojrzał na nie i przetarł usta wierzchem dłoni. Z jego twarzy zniknęła czerwień, jej miejsce zajęła biel.

– Co się tu, do diabła, dzieje?!

– Czy to ma oznaczać „tak”?

– Taak, są moje, nie przeczę. Mówiłem panu, że ktoś zabrał mi zapasowe rękawiczki i nóż myśliwski. Zameldowałem o tym.

– Tak, dziś rano. Ktoś cyniczny mógłby się zastanawiać, czy w ten sposób nie załatwiałeś sobie alibi.

– Dlaczego, do diabła, miałbym zabijać psa?! Cholera, głupiego, starego psa.

Bing przetarł twarz, potem wyjął papierosa z paczki, która tkwiła w kieszeni na piersi. Wyraźnie trzęsły mu się ręce.

– Nie masz psa, Bing, prawda?

– To wcale nie znaczy, że nienawidzę psów. Chryste, miałem psa. Zdechł dwa lata temu. Na raka. – Bing odchrząknął i zaciągnął się głęboko papierosem. – Był chory na raka.

– Jeśli ktoś zabija psa, warto zadać sobie pytanie, czy miał coś przeciwko samemu zwierzęciu, czy może jego właścicielom.

– Nie miałem nic przeciwko Yukonowi. Nie mam też nic do Joego i Lary ani ich syna. Proszę ich spytać. Proszę ich spytać, czy coś do siebie mamy. Natomiast zdecydowanie ktoś ma coś do mnie.

– Domyślasz się, kto to taki?

Bing niespokojnie wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że nie zabiłem tego psa.

– Nie wyjeżdżaj z miasta, Bing. Gdybyś z jakiegoś powodu gdzieś się wybierał, zawiadom mnie.

– Nie mam zamiaru siedzieć na tyłku i czekać, aż ktoś kiwnie na mnie palcem.

– Po prostu nie wyjeżdżaj – powtórzył Nate na odchodnym.

Meg, czekając na Nate'a, siedziała nad piwem i próbowała opanować złość. Nie lubiła czekać, i Nate na pewno to usłyszy, gdy tylko wróci. Wydał jej kilka rozkazów, jakby była idiotką albo rekrutem, a on generałem.

Nie lubiła rozkazów i o tym Nate również się dowie.

Gdy wróci, nieźle oberwie po uszach.

Gdzie on, do diabła, jest?!

Potwornie bała się o psy, niezależnie od tego, jak zdecydowanie wmawiała sobie, że nic im się nie stanie, że Nate dotrzyma słowa i je przywiezie. Powinien pozwolić, by zrobiła to sama, zamiast nakładać na nią kretyński areszt domowy.

Nie chciała siedzieć bezradnie na tyłku, martwić się, nie chciała saczyć piwa ani dla zabicia czasu grać w pokera z Ottonem, Chudym Jimem i Profesorem.

Wygrała dwadzieścia dwa dolary i kilka centów, ale gównem ją to obchodziło.

Gdzie on, do diabła, jest?

Poza tym za kogo on się uważa? Jakim prawem mówi jej, co ma robić, i grozi, że ją zamknie? Zrobiłby to – pomyślała, dobierając ósemkę trefl, dzięki czemu miała teraz w ręce obiecującego fula.

Kiedy stał w strugach deszczu obok psa, obok biednego, martwego Yukona, nie był słodkim, smutnookim Nate'em. Był kimś innym. Kimś, kim przypuszczalnie był w Baltimore, nim ciężkie przeżycie zważyło go z nóg. Zadało cios prosto w serce.

Guzik ją to obchodziło. Naprawdę.

– Stawiam dwa dolary – powiedziała do Jima. – Podbijam stawkę.

Rzuciła pieniądze na kupkę.

Charlene dała Jimowi godzinę wytchnienia i sama stała za barem. Co prawda nie ma wielu klientów – pomyślała Meg, gdy Profesor złożył karty, a Otto podbił stawkę o następne dwa dolary. Oprócz nich w sąsiednim boksie siedziała czwórka przybyszów z zewnątrz. Alpinistów, którzy czekali na odpowiednią pogodę. Następny boks zajmowali dwaj starzy pierdziele, Hans i Dex, spędzając deszczowy wieczór przy piwie i warcabach.

Wiedziała, że czekają na plotki, które lada chwila mogą napłynąć.

Jeśli poziom rzeki się podniesie, w Lodge pojawi się więcej gości. Ludzie

będą wpadać na kilka minut, żeby się wysuszyć i ogrzać, wypić kawę, nim znów wyjdą, by układać worki z piaskiem. Kiedy zrobią swoje, znów się tu pojawią, mokrzy, zmęczeni i głodni, ale jeszcze niegotowi na samotny powrót do domu ani przerwanie więzi, jaką stwarza wspólna walka z naturą.

Będą chcieli napić się kawy i czegoś mocniejszego, zjeść coś ciepłego. Charlene dopilnuje, by to dostali, będzie pracować, póki nie wyjdzie ostatni gość. Meg widziała to już wcześniej.

Dorzuciła dwa dolary.

– Dwie pary – oznajmił Otto. – Dwa króle i dwie piątki.

– Twoi królowie będą musieli pokłonić się moim królowym – oznajmiła, wykładając dwie damy. – Wyraźnie dobrze się poczuły w asyście trzech ósemek.

– Niech to diabli!

Otto patrzył, jak Meg zgarnia kupkę banknotów i monet. Uniósł hardo głowę i odsunął krzesło. W tym momencie pojawił się Nate.

– Co panu podać, panie komendancie?

Meg obejrzała się. Siedziała twarzą do wejścia, chcąc go zaatakować, gdy tylko się pojawi, tymczasem on wszedł tylnymi drzwiami.

– Chętnie napiłbym się kawy, Charlene.

– Jest dobra i gorąca. – Nalała kawy do dużego kubka. – Mogę ci zrobić coś do jedzenia. Też będzie dobre i gorące.

– Nie, dzięki.

– Gdzie są moje psy? – spytała Meg.

– W zagrodzie. Otto, idź do Hopp i innych ludzi, którzy czekają na zewnątrz. Być może rzeka wytrzyma, niemniej trzeba mieć ją na oku. Na razie pada tylko delikatny śnieg. Prognoza pogody przewiduje, że obecny front przesunie się na zachód, więc są pewne szanse na przejaśnienie.

Wypił połowę kawy i wyciągnął przed siebie kubek z prośbą o więcej.

– Wylało tylko na Lakę Shore. Peter i ja porozstawialiśmy znaki ostrzegawcze tutaj i na wschodnim skraju Rancor Woods.

– Te dwa miejsca zawsze stanowią problem, wystarczy, że zbyt dużo osób wysika się na skraju drogi – zażartował Otto. – Skoro front przesuwają na zachód, miastu nic nie grozi.

– Będziemy pilnować – powtórzył Nate i skierował się w stronę schodów.

– Chwileczkę, panie komendancie. – Meg stanęła w drzwiach z psami po

bokach. – Mam panu coś do powiedzenia.

– Chcę wziąć prysznic. Możesz mówić, gdy będę się mył. Jeśli nie, zaczekaj chwilę.

Prychnęła, kiedy z kubkiem kawy w ręce zaczął wchodzić na piętro.

– Niech mnie diabli, jeśli mam zamiar czekać.

Poszła ciężkim krokiem za nim, z psami u nogi.

– Za kogo ty się uważasz?

– Za komendanta policji, którym, o ile dobrze mi się wydaje, wciąż jeszcze jestem.

– Gównu mnie obchodzi, możesz być nawet komendantem całego wszechświata, i tak nie masz prawa warczeć na mnie, rozkazywać i grozić.

– Rzeczywiście, nie wytrzymałem, ale, do jasnej cholery, nie musiałbym tego robić, gdybyś po prostu mnie posłuchała.

– Posłuchała?

Weszła za nim do pokoju.

– Nie mam obowiązku cię słuchać. Nie jesteś moim szefem ani ojcem. Fakt, że z tobą sypiam, wcale nie oznacza, że mam cię słuchać.

Jednym szarpnięciem zdjął z siebie mokrą kurtkę i poklepał odznakę na koszuli.

– To prawda, ale powinnaś mnie słuchać z tego powodu. Idąc do łazienki, zdjął koszulę.

Wciąż jest kimś innym – pomyślała. Kimś, kto ukrywał się za smutnymi oczami i tylko czekał, żeby siłą utorować sobie drogę na zewnątrz. Ten ktoś był twardy i zimny. Niebezpieczny.

Usłyszała, że Nate puścił prysznic. Oba psy stały nieruchomo z uniesionymi głowami i bacznie jej się przyglądały.

– Leżeć! – mruknęła.

Weszła do łazienki. Nate siedział na opuszczonej klapie muszli klozetowej i zdejmował mokre buty.

– Nasłałeś na mnie Ottona i kazałeś mi czekać prawie trzy godziny. Przez trzy godziny nie wiedziałam, co jest grane.

Spojrzał na nią martwym wzrokiem.

– Miałem dużo pracy i znacznie ważniejsze rzeczy do zrobienia niż przekazywanie ci najnowszych wieści. Chcesz je usłyszeć? – Odstawił buty, wstał i zaczął zdejmować spodnie. – Włącz radio.

– Nie mów do mnie, jakbym była wkurzającym, zrzędlwym babsztylem.

Wszedł pod prysznic i zasunął za sobą zasłonę.

– W takim razie przestań się zachowywać jak wkurzający, zrzędlwy babsztyl.

Boże, potrzebował gorąca. Nate oparł się rękami o płytki, wysunął głowę i pozwolił, by gorąca woda spływała mu po ciele. Może po godzinie lub dwóch takiego prysznicu ciepło zdoła dotrzeć do jego zmęczonych, przemarzniętych kości. Fiolka lub dwie aspiryny, a może wszystko przestanie go boleć. Trzy albo cztery dni snu powinny pokonać zmęczenie spowodowane przez lodowatą wodę, budowanie zapór, patrzenie, jak dorosły mężczyzna i kobieta płaczą nad swoim zaszlachtowanym psem.

Gdzieś w głębi duszy tęsknił za ciszą, za ciszą i ciemnością, w której mógłby się ukryć i w której tak naprawdę nic by się nie liczyło. Gdzieś w głębi duszy obawiał się, że znajdzie drogę powrotną w to miejsce i że znajdzie ją zbyt łatwo.

Nie zmienił pozycji, nawet gdy usłyszał, że zasłona się odsuwa – nadal stał z wyciągniętymi rękami, pochyloną głową i zamkniętymi oczami.

– Nie kłóć się ze mną w tej chwili, Meg, bo przegrasz.

– Coś panu powiem, panie Burkę. Nie lubię, gdy ktoś odsuwa mnie na bok jak głupią przeszkodę. Nie lubię, gdy ktoś mnie ignoruje. Rozkazuje mi. Nie jestem pewna, czy podobałeś mi się dziś wieczorem pod ratuszem. Nie poznawałam twojej twarzy, twoich oczu. To mnie wkurza...

Objęła go i przywarła do niego nagim ciałem. Gwałtownie się wyprostował.

– To mnie podnieca.

– Nie rób tego. – Zacisnął palce na jej nadgarstkach, odsunął ją, obrócił się i przytrzymał na odległość ramienia. – Po prostu tego nie rób.

Z pełnym rozmysłem spojrzała w dół, potem uśmiechnęła się i uniosła głowę.

– Dostrzegam pewną reakcję.

– Nie chcę cię skrzywdzić, a w obecnym stanie mógłbym to zrobić.

– Nie boję się ciebie. Nagle odechciało mi się walki. Mam ochotę na coś innego. Daj mi to. – Czubkami palców musnęła jego klatkę piersiową i zsunęła rękę w dół. – Potem dokończymy naszą kłótnię.

– Nie jestem w przyjacielskim nastroju.

– Ja też, Nate. Czasami człowiek potrzebuje czegoś innego. Po prostu marzę o tym, żeby znaleźć się gdzie indziej i na chwilę zapomnieć o całym świecie. Zapomnieć o złości, strachu i bólu. Pomóż mi o nich zapomnieć – mruknęła.

Ścisnęła jego biodra.

Wiedział, że lepiej by było, gdyby ją odepchnął, mimo to przyciągnął ją gwałtownie do siebie, tak że ciepłe, mokre ciała zetknęły się, po czym odszukał jej usta.

Objęła go mocno i zacisnęła palce na jego plecach. Wbiła paznokcie w jego ciało. Promieniowało od niej ciepło, które szybko dotarło do jego kości, rozgrzało je, wypędzając stamtąd zmęczenie i złość.

Głaskała rękami jego mokrą skórę, opuściła głowę, zachęcając go, by nacieszył się jej szyją, jej ramionami, każdym kawałkiem miękkiego, ciepłego ciała.

Dźwięk, który wydała tuż przy jego wargach, był niezwykle erotyczny.

– Jeśli chcesz, mogę cię wymyć. – Wzięła do ręki mydło. – Lubię czuć pod ręką męskie plecy. Zwłaszcza gdy są wilgotne i śliskie.

Jej głos przypominał głos syreny. Nate pozwolił jej robić to, na co miała ochotę, i sądzić, że to ona jest panią sytuacji. Kiedy pchnął ją plecami na ścianę, w jej rozmarzonych, sennych oczach pojawiło się zaskoczenie.

Kiedy zaczęła się uśmiechać, przywarł wargami do jej ust..

Miałam rację – pomyślała jak przez mgłę. Stał się kimś innym, kimś, kto bezwzględnie przejmował władzę. Kto pozbawiał wyboru, kto był w stanie zmusić ją do uległości.

Całując ją, wyjął mydło z jej ręki. Musnął nim jej piersi, aż poczuła ból w brodawkach. Niespokojnie westchnęła.

Mrowienie w dole brzucha mówiło, że jest gotowa. Że pragnie. Że pożąda. Musnęła wargami jego szyję i mruknęła:

– Dobrze być z tobą, bardzo dobrze. Chcę poczuć cię w swoim wnętrzu. Teraz.

– Najpierw będziesz krzyczeć.

Roześmiała się i ugryzła go – wcale nie tak delikatnie.

– Nie, nie będę.

– Będziesz.

Unióśł jej ręce nad głowę i jedną ręką chwycił nadgarstki.

– Będziesz.

Wsunął mydło między jej nogi i zaczął pocierać, obserwując, jak ciało Meg drży, spragnione orgazmu.

– Nate.

– Ostrzegalem cię.

Poczuła coś w rodzaju paniki, paniki, która szybko ustąpiła miejsca rozkoszy, gdy wsunął w nią palce. Poruszyła się niespokojnie, pragnąc się wyswobodzić, pragnąc więcej. Pragnąc jego. On jednak poprowadził ją dalej, tam gdzie nie mogła już dłużej wytrzymać, tam gdzie nie mogła tego znieść. Z trudem odetchnęła i wydobyła z siebie głos. Było to wpółobłąkane błaganie, kiedy woda spływała po jej drżącym ciele, a para przesłaniała jej oczy.

Kiedy wybuchnęła, rozrywając cieniuchną granicę między zdrowym rozsądkiem a szaleństwem, stłumił jej krzyk pocałunkiem.

– Powiedz moje imię.

Musiał je usłyszeć, musiał mieć pewność, że Meg wie, z kim się kocha.

– Powiedz moje imię – rozkazał, unosząc jej biodra i zanurzając się w niej.

– Nate.

– Jeszcze raz. Powiedz to jeszcze raz. – Oddech powodował ból w gardle. – Spójrz na mnie i powiedz moje imię.

– Nate.

Ścisnęła palce w jego włosach, wbiła paznokcie w jego plecy. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Zobaczyła jego. Zobaczyła siebie.

– Nate.

Wziął ją. Brał ją, brał ją, póki nie osiągnął szczytu, póki ona nie stała się miękka jak wosk, póki nie opuściła głowy na jego ramię.

Musiał oprzeć rękę o ścianę, żeby złapać oddech i nieco oprzytomnieć. Na oślepek poszukał kurka, żeby zakręcić prysznic.

– Muszę usiąść – powiedziała z trudem. – Naprawdę muszę usiąść.

– Zaczekaj chwileczkę.

Ponieważ nie był pewien, czy Meg zaczeka, objął ją i niemal przerzucił sobie przez ramię, po czym wyciągnął ją i siebie spod prysznicy.

Chwycił dwa ręczniki, chociaż przypuszczał, że przy żarze, który wytworzyli, woda powinna z nich wyparować w ciągu minuty.

Kiedy wszedł z nią do sypialni, psy wstały.

– Lepiej powiedz im, że nic ci nie jest.

– Co takiego?

– Chodzi o psy, Meg. Uspokój je, zanim dojdą do wniosku, że stłukłem cię do nieprzytomności.

– Rock, Buli, leżeć! – Niemal bezwładnie osunęła mu się z rąk, kiedy położył ją na łóżku. – Huczy mi w głowie.

– Lepiej spróbuj się wytrzeć.

Położył jeden z ręczników na jej brzuchu. Nawet nie próbowała się osuszyć, jedynie leżała, rozkoszując się odczuwanym rozluźnieniem.

– Kiedy wszedłeś, wyglądałeś na zmęczonego. Zmęczonego i złego, pokrytego cieniuchną warstwą lodu. To samo dostrzegłam w twoim spojrzeniu przed ratuszem. Kilkakrotnie widziałam to już wcześniej, ale trwało zaledwie ułamek sekundy. Była to twarz gliniarza.

Milczał, jedynie wyciągnął z szafy parę spodni od dresu, a jej rzucił flanelową koszulę.

– To jedna z tych rzeczy, które mnie podniecają. Dziwne.

– Droga do twojego domu jest bardzo niebezpieczna. Będziesz musiała tu zostać.

Odczekała chwilę, ponieważ jeszcze nie bardzo mogła myśleć.

– Olałeś mnie. Poprzednio. Poprzednio, gdy byliśmy na zewnątrz.

Wciąż miała przed oczami Yukona, jego poderżnięte gardło, nóż tkwiący po rękojeść w klatce piersiowej.

– Olałeś mnie i wydawałeś mi rozkazy. Nie lubię tego. Bez słowa podniósł ręcznik i zaczął wycierać włosy.

– Nie masz zamiaru przeprosić?

– Nie.

Usiadła, żeby założyć pożyczoną koszulę.

– Znałam tego psa od szczeniaka.

Ponieważ lada chwila głos mógł jej się załamać, zacisnęła usta. Zapanowała nad sobą.

– Miałam prawo być zdenerwowana.

– Nie przeczę.

Podszedł do okna. Śnieg bardziej przypominał teraz delikatną mgielkę. Może prognoza pogody się sprawdzi?

– Miałam prawo martwić się o swoje psy, Nate. Prawo, żeby zająć się nimi osobiście.

– I tak, i nie. – Odszedł od okna, ale nie zasunął kotar. – Oczywiście, miałaś prawo się martwić, ale nie było o co.

– Nic im się nie stało, ale mogło się stać.

– Nie. Ten, kto to zrobił, skrzywdził pojedynczego starego psa. Twoje są młode i silne, mają dwa komplety zdrowych zębów. Praktycznie są zrośnięte

jednym bokiem.

– Nie rozumiem...

– Pomyśl chociaż przez dwie sekundy, zamiast od razu reagować. – Z wyraźnym zniecierpliwieniem odrzucił ręcznik na bok. – Powiedzmy, że ktoś chciałby je skrzywdzić. Powiedzmy, że ktoś... ktoś, kogo znają i dopuszczają blisko siebie... spróbowałby zranić jednego z nich. I nawet by mu się to udało. Wtedy drugi rzuciłby się na niego i rozerwał go na strzępy. Wie o tym każdy, kto je zna na tyle, by do nich podejść.

Podciągnęła kolana do klatki piersiowej, przycisnęła do nich twarz i wybuchnęła płaczem. Nie unosząc głowy, machnęła ręką, żeby go powstrzymać, kiedy usłyszała, że idzie w jej stronę.

– Nie. Nie rób tego. Daj mi chwilę. Nie mogę wymazać z pamięci obrazu, który zobaczyłam. Łatwiej mi było się na ciebie wściekać, a potem zamienić wściekłość w seks. Dostawałam szału, siedząc tu, czekając i nie wiedząc, co się dzieje. Gdzieś w głębi duszy bałam się o ciebie. Bałam się, że coś ci się stanie. I to mnie wkurzyło.

Uniosła głowę. Przez łzy dostrzegła, że znów się zamknął.

– Chcę ci powiedzieć coś jeszcze.

– Wal.

– Tylko muszę... muszę się zastanowić, jak dobrać słowa, żeby głupio nie zabrzmiało. – Przetarła policzki rękami. – Mimo że byłam wściekła, przerażona i koniecznie chciałam skopać ci tyłek za jedno i drugie... podziwiałam cię za to, co robisz. Jak to robisz. Kim jesteś, kiedy to robisz. Podziwiam siłę, jaka jest do tego potrzebna.

Usiadł. Nie obok niej, nie na łóżku, ale na krześle, żeby zachować między nimi dystans.

– Nikt, na kim mi zależało... nikt, poza współpracownikami, nigdy nie powiedział mi czegoś takiego.

– W takim razie powiedziałabym, że zależało ci na nieodpowiednich ludziach.

Wstała i poszła do łazienki, żeby wytrzeć nos. Kiedy wróciła, oparła się o framugę i obserwowała Nate'a przez całą długość pokoju.

– Pojechałeś i przywiozłeś moje psy. Pojechałeś po nie, chociaż tyle się tu działo. Mogłeś kogoś posłać albo po prostu olać całą sprawę. Ktoś wytłumaczyłby się, mówiąc, że droga jest zalana, ale ty tego nie zrobiłeś. Mam przyjaciół, którzy zrobiliby dla mnie to samo, a ja zrobiłabym to dla nich, ale

żaden mężczyzna, z którym byłam, żaden facet, z którym sypiałam, nie zadałby sobie tyle trudu.

Na jego ustach pojawił się niewyraźny uśmiech.

– W takim razie powiedziałbym, że sypiałaś z nieodpowiednimi facetami.

– Chyba tak.

Podeszła i podniosła koszulę, którą Nate zrzucił z siebie zaraz po wejściu. Ostrożnie odpięła odznakę i podała mu ją.

– A tak swoją drogą, jest ci z nią do twarzy. Stajesz się bardziej seksowny.

Chwycił ją za rękę, nim zdążyła się cofnąć, i wstał, nie puszczając jej ani na chwilę.

– Niesamowicie cię pragnę. Bardziej niż kiedykolwiek kogokolwiek innego, i może bardziej, niżbyś chciała.

– Przekonamy się.

– Nie podziwiałabyś mnie kilka lat temu. Sześć miesięcy temu. Poza tym powinnaś wiedzieć, że wciąż zdarzają się dni, kiedy ciężko mi wstać z łóżka.

– Dlaczego w takim razie wstajesz? Otworzył drugą rękę i spojrzał na odznakę.

– Chyba ze względu na nią. To żaden heroizm.

– Och, jesteś w błędzie.

W tym momencie poczuła, że coś chwyta ją za serce.

– Heroizm to robienie czegoś więcej, niż się chce albo niż wydaje się możliwe. Czasami po prostu jest to gówniana robota, której nikt inny by nie wykonał.

Podeszła bliżej i ujęła jego twarz w dłonie.

– Nie chodzi tylko o skakanie z samolotu na lodowiec trzy tysiące metrów nad poziomem morza, bo nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Chodzi również o wstanie z łóżka rano, kiedy człowiek nie ma na to ani ochoty, ani siły.

W jego oczach pojawiły się emocje. Oparł brodę na czubku jej głowy.

– Tak cię kocham, Meg. Pocałował jej włosy i wyprostował się.

– Muszę iść. Chcę przed snem sprawdzić, jak wygląda rzeka.

– Czy cywil i dwa psy mogą pójść z tobą?

– Taak. Przeczesał palcami jej wilgotne włosy.

– Tylko najpierw musisz wysuszyć włosy.

– Powiesz mi wszystko, co wiesz na temat Yukona?

– Powiem ci wszystko, co mogę.

Wczesnym rankiem, nie zważając na lekką mżawkę, Nate wrócił na miejsce przestępstwa. Pies leżał dziesięć kroków od drzwi. W miejscu, gdzie mógł go zobaczyć każdy, kto przyszedłby na ratusz albo z niego wychodził. Każdy, kto by tędy przejeżdżał albo przechodził.

Nie tylko tu leżał. Również tutaj został zaszlachtowany.

Nate wszedł do środka i powędrował do pomieszczenia, w którym poprzedniego dnia zebrali się ludzie. Zarządził, żeby wszystko zostawiono na swoim miejscu: składane krzesła, olbrzymi ekran. Próbował sobie przypomnieć, jak tu wyglądało poprzedniego wieczoru.

Trochę się spóźnił, przyszedł tuż przed zgaszeniem świateł. Zlustrował tłum, częściowo z przyzwyczajenia, częściowo w poszukiwaniu Meg.

Rosę i David siedzieli w ostatnim rzędzie. Po raz pierwszy od urodzenia dziecka Rosę spędzała wieczór poza domem. Ona i David trzymali się za ręce. Nate przypomniał sobie, że widział ich oboje podczas przerwy: Rosę rozmawiała przez telefon, prawdopodobnie wypytywała matkę, która została w domu z dziećmi, jak spisuje się mała.

Bing siedział z tyłu. Nate starał się nie zwracać uwagi na piersiówkę, którą wielkolud trzymał między kolanami. Byli też Dęb i Harry. Profesor. Mała grupka uczniów szkoły średniej, cała rodzina Riggów, którzy mieszkali w drewnianej chacie pod Rancor Woods.

Przypuszczalnie na projekcję filmów przyszła połowa mieszkańców miasta – co oznaczało, że drugiej połowy tu nie było. Niektórzy wyszli podczas przerwy. Każdy z tych, którzy zostali, mógł niepostrzeżenie wyjść, a potem wrócić.

Pod osłoną ciemności, kiedy uwaga wszystkich skupiona była na ekranie.

Gdy Nate wrócił do foyer, usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Po chwili Hopp zsunęła kaptur.

– Zauważyłam na zewnątrz twój samochód. Nie wiem, co o tym myśleć, Ignatioucie. Niczego nie rozumiem.

Uniosła ręce, potem je opuściła.

– Wybieram się do Lary. Co mam jej powiedzieć? To czyste szaleństwo. Złośliwość i szaleństwo.

– Moim zdaniem złośliwość.

– Ale nie szaleństwo? Ktoś zarznął pod ratuszem bezbronnygo psa. Uważasz, że to nie jest szaleństwo?

– Zależy, dlaczego to zrobił. Zacisnęła wargi.

– Nie potrafię znaleźć żadnego wyjaśnienia. Kilka osób twierdzi, że pojawił się u nas jakiś dziwny kult i że właśnie dzieciaki ze szkoły średniej przeprowadziły coś w rodzaju eksperymentu. Nie wierzę w to.

– To nie był rytualny mord.

– Inni podejrzewają, że dokonał tego jakiś pomyleniec, który zatrzymał się nieopodal miasta. Pewnej otuchy dodaje mi przekonanie, że czegoś tak okropnego nie mógł zrobić nikt z nas, ale nie wiem, czy czuję się lepiej, sądząc, że w okolicy kręci się wariat, który postanowił w taki niecodzienny sposób wyprawić psa na tamten świat.

Baczenie przyjrzała się jego twarzy.

– Nie zgadzasz się ze mną.

– Nie.

– Powiesz mi, co o tym sądzisz?

– Sądzę, że jeśli ktoś zabija miejscowego psa i jeśli robi to w środku miasta, przed budynkiem, w którym siedzi przynajmniej połowa mieszkańców tegoż miasta, musi mieć w tym jakiś cel.

– To znaczy?

– Pracuję nad tym.

Przejechał wzdłuż rzeki, a dopiero potem skierował się na posterunek. Był szary, ponury dzień, po rzece sunęły ogromne tafle białej kry.

Samolot Meg zniknął. Widomy znak, że nie może jej zamknąć w jakimś bezpiecznym miejscu. Bing wraz z dwoma pomocnikami latał dziury w drodze. Na widok przejeżdżającego Nate'a jedynie zerknął w jego stronę.

Na posterunku Peach namawiała Joego i Larę na kawę. Peter stał obok. Wyglądał jak dorosły mężczyzna, który bardzo stara się powstrzymać łzy.

Na widok Nate'a Lara poderwała się na równe nogi. Miała opuchnięte i zaczerwienione oczy.

– Chcę wiedzieć, co robisz w sprawie Yukona. W jaki sposób próbujesz znaleźć drania, który z takim okrucieństwem zabił mojego psa?

– Zaczekaj chwileczkę, Laro.

– Nie mów do mnie: „Zaczekaj chwileczkę, Laro” – warknęła, odwracając się do męża. – Chcę to wiedzieć.

– Może wejdziecie do mojego biura? Peach, przez kilka minut nie wpuszczaj do mnie nikogo, chyba że zdarzyłoby się jakieś naprawdę poważne nieszczęście.

– W porządku, panie komendancie. Laro – powiedziała, ściskając rękę

kobiety. – Bardzo, bardzo serdecznie ci współczuję.

Lara jedynie lekko skinęła głową, po czym wysunęła brodę i jak okręt pod pełnymi żaglami powędrowała prosto do biura Nate'a.

– Chcę, żebyś odpowiedział na moje pytania.

– Usiądź, Laro.

– Nie chcę...

– Chcę, żebyś usiadła.

Powiedział to niemal szeptem, ale jego głos zabrzmiał tak władczo, że bez protestu opadła na krzesło.

– Mieszkańcy miasta głosowali za utworzeniem komendy policji. Postanowiliśmy cię tu sprowadzić, zgodziliśmy się płacić specjalny podatek na twoje wynagrodzenie. Chcę, żebyś mi powiedział, co w tej sprawie robisz. Dlaczego nie jesteś gdzieś w terenie i nie szukasz tego sukinsyna.

– Robię, wszystko, co mogę., Laro – powiedział równie spokojnym tonem, co poprzednio, nie dopuszczając jej do głosu. – Nie myśl, że traktuję tę sprawę lekko. Że ktokolwiek z nas ją lekceważy. Szukam sprawcy i będę go szukał aż do skutku.

– Masz nóż. Nóż, który... – Głos jej się załamał, broda jej zadrżała, mimo to wciągnęła powietrze w płuca i wyprostowała plecy. – Wystarczy, jeśli znajdziesz właściciela tego noża.

– Wczoraj rano przyjąłem zgłoszenie o kradzieży tegoż właśnie noża i nie tylko. Rozmawiałem z jego właścicielem, mam również zamiar zebrać zeznania od ludzi, którzy byli na ratuszu. Mogę zacząć od was.

– Myślisz, że jedno z nas zabiło Yukona?

– Nie. Usiądź, Laro – powiedział, kiedy poderwała się ze stołka. – Oboje byliście na wieczorze filmowym. Ustalmy zatem, co widzieliście i co słyszeliście.

Usiadła, tym razem powoli.

– Zostawiliśmy go przed domem. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Był tak stary, że nie trzymał moczu, dlatego zostawiliśmy go na podwórku. Tylko na kilka godzin, poza tym miał budę. Gdybyśmy go tam nie zostawili...

– Nie wiem, czy to by coś zmieniło. Ktoś, kto to zrobił, równie dobrze mógł się włamać do waszego domu i wyciągnąć Yukona. O ile wiem, bardzo dobrze opiekowaliście się nim przez blisko czternaście lat. Nie możecie mieć do siebie pretensji. O której wyszliście z domu?

Lara pochyliła głowę, wbiła wzrok w rękę. Z oczu popłynęły jej łzy.

– Tuż po szóstej – powiedział Joe i zaczął głaskać żonę po plecach.

– Poszliście prosto na ratusz?

– Taak. Byliśmy tam chyba koło wpół do siódmej. Wcześniej, ale lubimy siedzieć w pierwszych rzędach. Rzuciliśmy kurtki na krzesła. W czwartym rzędzie, po... po lewej stronie. I przez chwilę rozmawialiśmy z innymi.

Nate wypytał ich o wszystko. Z kim rozmawiali, kto siedział obok nich.

– Czy ktoś skarżył się na waszego psa?

– Nie. – Joe westchnął. – No cóż, może kilka razy, gdy Yukon był jeszcze szczeniakiem. Często szczekał, nawet wtedy, gdy poruszył się liść. Pewnego razu uciekł nam i pogryzł buty Tima Trippa, ale to było dawno temu, a Tim i tak miał zamiar wyrzucić te botki, ponieważ były stare i chyba większe od Yukona. Kiedy przestał być szczeniakiem, znacznie się uspokoił.

– A co możecie powiedzieć o sobie? Czy mieliście ostatnio z kimś jakąś scysję? Kłótnię?

– Owszem, posprzeczałem się z Chudym Jimem z powodu Iditarodu. Doszło nawet do ostrej wymiany zdań, ale takie rzeczy się zdarzają.. Niemal każdy ma swoją opinię na temat tego wyścigu, obstawia swoich faworytów.

– Jeśli o mnie chodzi, ostatnio musiałam wzywać do szkoły Ginę Mann, ponieważ jej syn dwukrotnie poszedł na wagary. – Lara zmięła w palcach chusteczkę higieniczną. – Nie była z tego powodu zbyt szczęśliwa.

– Ile lat ma jej syn?

– Osiem. – Lara gwałtownie zamrugnęła powiekami. – o Boże, Joshua nie mógł zrobić czegoś takiego Yukonowi, Nate. To dobry chłopiec, tylko nie bardzo lubi chodzić do szkoły. Nie zabiłby psa dlatego, że był na mnie zły. A Ginna i Don to dobrzy ludzie. Na pewno nie...

– W porządku. Jeśli przyjdzie wam na myśl ktoś jeszcze, dajcie mi znać.

– Chcę... chcę przeprosić za to, że wcześniej tak na ciebie napadłam.

– Nie przejmuj się tym, Laro.

– Nie, byłam niesprawiedliwa. Byłam niesprawiedliwa, tymczasem ty... uratowałaś życie mojemu synowi.

– To nieprawda.

– Pomogłeś go uratować, a to dla mnie to samo. Nie powinnam przychodzić tu w takim stanie. Joe próbował mnie powstrzymać, ale go nie słuchałam. Kochałam tego cholernego psa.

Po ich wyjściu Nate odkrył tablicę. Kiedy przypinał zdjęcia, które zrobił poprzedniego wieczoru, wszedł Peter.

– Wszystko w porządku, panie komendancie?

– Taak.

– Myślałem, że poradzę sobie z panią Wise. Nie udało mi się. Przyjaźniłem się ze Stevenem, obaj... dorastaliśmy razem z Yukonem. Mój ojciec ma psy zaprzęgowe. Są naprawdę wspaniałe, ale zwierzę domowe to zupełnie co innego. Nawet gdy Steven wyjechał na studia, czasami wpadałem, żeby pobawić się z psem. Chyba dlatego wczoraj wieczorem było mi tak ciężko.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Po prostu... byłem wkurzony. Ach, panie komendancie. Czy teraz tablica będzie już odsłonięta? To znaczy: czy mamy poprzyćepiać do niej kopie protokołów i inne rzeczy związane ze sprawą?

– Nie.

– Ale... przyczepił pan tu Yukona.

– Tak.

– Myśli pan, że to, co przydarzyło się Yukonowi, ma związek z tamtymi sprawami? Czuję się jak głupiec, ale czegoś tu nie rozumiem.

– Bo chyba tylko głupiec może uważać, że wszystkie te sprawy coś łączy.

Peter podszedł bliżej.

– Dlaczego więc pan tak myśli?

– Na razie nie wiem, dlaczego ktoś postanowił zabić psa. – Nate obszedł biurko, otworzył szufladę i wyjął z niej torebki, w których były zapakowane nóż oraz rękawiczki. – Te rzeczy należą do Binga. Wczoraj rano zgłosił, że ktoś mu je skradł.

– Bing? – Oczy Petera zrobiły się okrągłe. – Bing?

– Łatwo wpada w złość. Był wcześniej notowany, ale ma na koncie głównie napaści. Gwałtowne zachowanie.

– Taak, ale... na Boga...

– Możemy do tego podejść na kilka sposobów. Bing w którymś momencie pokłócił się z Joem. Albo Joe i Lara w jakiś sposób wkurzyli Binga, więc chciał dać im nauczkę. Postanowił zabić ich psa. Zgłosił kradzież noża i rękawiczek, następnie wczoraj wieczorem, wiedząc, że Wise'owie są na ratuszu, podczas przerwy zabrał psa, przyprowadził pod ratusz, zabił i zostawił nóż oraz rękawiczki, uważając, że jest czysty, ponieważ wcześniej zameldował mi o ich

zniknięciu. Potem wrócił do domu i zajął się pracą w warsztacie.

– Jeśli był wściekły na pana albo panią Wise, dlaczego po prostu nie dzielił pana Wise’a po twarzy?

– Dobre pytanie. Można na to spojrzeć również pod innym kątem, na przykład założyć, że ktoś chciał przysporzyć Bingowi nieco kłopotów. Bing często wkurza ludzi, więc na pewno nie brak mu wrogów.

Nate oparł się biodrem o biurko i nie odrywał wzroku od tablicy.

– Ten ktoś ukradł mu nóż i rękawiczki. Użył ich, zabijając psa, i zostawił w widocznym miejscu, żebym je znalazł. Albo...

Przysunął się do lady i wbił wzrok w dzbanek z kawą.

– Możemy zadać sobie pytanie, co może wiązać ze sobą morderstwo Gallowaya, śmierć Maxa i śmierć psa.

– No właśnie. Nie widzę między tymi wydarzeniami żadnego związku.

– Morderca zostawił nam jedną ważną wskazówkę. Zakodowaną albo bardzo wyraźną, zależy, jak się na to spojrzy. Pies ma podejrzięte gardło. W ten sposób morderca zadał mu śmierć, ale nie odrzucił noża. Bez pośpiechu obrócił psa i wbił mu nóż w pierś. Dlaczego zadał sobie tyle trudu?

– Ponieważ to człowiek chory, złośliwy i...

– Zapomnij o tym, Peterze, i popatrz na tablicę. Spójrz na Gallowaya. Spójrz na psa.

Nate widział, że Peter prowadzi wewnętrzną walkę. Zmusza się, by popatrzeć na makabryczne zdjęcia. Gdy chłopak w końcu zrozumiał, zaczął gwałtownie oddychać.

– Cios w pierś. Obaj mają w klatce piersiowej takie lub inne ostrze.

– To może być przypadek, ale możliwe też, że ktoś próbuje nam coś powiedzieć. Teraz zrobmy następny krok. Co wiąże Gallowaya, Maxa i Wise’ów?

– Nie wiem. Steven i jego rodzice przenieśli się tutaj, gdy miałem jakieś dwanaście lat, tak przynajmniej mi się wydaje, czyli jakiś czas po zniknięciu Gallowaya. Znali natomiast pana Hawbakera. Pan Wise często zamieszczał w „The Lunatic” ogłoszenie o swoich usługach komputerowych. Pani Wise i pani Hawbaker razem prowadziły niektóre kursy. Między innymi kurs szycia kołder, na który chodziła Peach.

– Łączy ich coś jeszcze. Z tego, co wiemy, nie znali Patricka Gallowaya, ale przez szesnaście lat wszyscy byli przekonani, że Galloway po prostu odszedł.

Teraz wiedzą, że było inaczej. Dlaczego?

– Ponieważ znaleziono go, gdy... Steven... Steven był wśród chłopców, którzy go znaleźli.

– Komuś morderstwo uchodziło na sucho przez szesnaście lat, a potem jakiś głupi student i jego niezbyt mądrzy koledzy spieprzyli całą sprawę. – Nate nasłuchiwał, jak kawa kapie do dzbanka. – To wkurzające, prawda? Gdyby się tam nie wybrali... o tej porze roku, w to właśnie miejsce... jest duże prawdopodobieństwo, że wszystko zostałoby po staremu. Następną lawina, naturalna albo spuszczonej przez stanowych w celu oczyszczenia gór, i jaskinia znów zostałaby zasypana. Na lata. Przy odrobinie szczęścia może nawet na zawsze.

Oparł biodro o biurko i czekał na kawę.

– To oznaczało, że trzeba było ponownie popełnić morderstwo. Zabić Maxa albo zmusić go, żeby popełnił samobójstwo. To by mordercy też uszło na sucho. Wszyscy by uwierzyli. Tak, tyle że teraz w Lunacy są gliniarze. Nie stanowi, ale tutejsi, którzy przez cały czas kręcą się pod samym nosem. Co z tym fantem zrobić?

– Nie... nie wiem.

– Najlepiej odwrócić ich uwagę. Popełnić akt wandalizmu, coś ukraść. Zmusić ich, żeby zajęli się drobiazgami, na wypadek gdyby próbowali myśleć o ważniejszych sprawach. Jednym pociągnięciem noża ten ktoś odwdzieczył się głupiemu studentowi i dał gliniarzom inny powód do zmartwienia. Chwytał dwie sroki za ogon, tyle że nie zdołał się powstrzymać, popuścił wodze fantazji i szturchnął gliniarzy łokciem w żebra. Dlatego odtworzył swoje pierwsze morderstwo, wbijając nóż w pierś psa.

Nate wstał i nalał kawę dla siebie i Petera.

– Musiałby być bardzo arogancki i pewny siebie, żeby użyć własnego noża i rękawiczek. To możliwe w przypadku Binga Karlovskiego. Możliwe też, że ten ktoś jest tak sprytny i tak zadufany w sobie, że postanowił zostawić i jedno, i drugie, żeby skierować podejrzenia na kogoś innego. Dlaczego w takim razie właśnie na Binga? Co ich obu wiąże?

– Słowo daję, nie wiem. Próbuję uporządkować to wszystko w głowie. Może w tym przypadku jedno z drugim wcale nie musi się wiązać. Bing ma wredny charakter. Wkurza ludzi. Możliwe też, że najłatwiej było ukraść nóż właśnie jemu.

– Nie. Czuję, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej. Musimy się dowiedzieć, gdzie był Bing szesnaście lat temu... a dokładnie, gdzie był w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

– W jaki sposób? Nate sączył kawę.

– Na początek mam zamiar dowiedzieć się tego bezpośrednio od niego. Chcę mieć również zeznania wszystkich, którzy byli wczoraj na wieczorze filmowym, i wszystkich, którzy nie byli. To chwilę potrwa. Powiedz Peach, żeby przygotowała listę, na której podzieli mieszkańców miasta i okolic na trzy grupy. Każdy z nas zajmie się jedną z nich.

– Powiem jej to od razu.

– Peterze? – Nate zatrzymał go w drzwiach. – Czy to nie ty miałeś siedzieć wczoraj na dyżurze na posterunku?

– Miałem, ale Otto powiedział, że nie ma ochoty na filmy, więc zamieniliśmy się dyżurami. Czy to coś złego?

– Nie. – Nate upił następny łyk kawy. – Dobrze. Idź i powiedz Peach, żeby zaczęła przygotowywać listę.

Nate podszedł do tablicy i narysował linię łączącą Joego i Larę z Maxem i Bingiem.

– Nate? – Peach zajrzała do gabinetu. – Wciąż mam pilnować, żeby nikt ci nie przeszkadzał?

– Nie, a o co chodzi?

– Miałam zgłoszenie, że ktoś strzelał z broni palnej. Ktoś inny widział niedźwiedzia. Ci sami ludzie, którzy parę butów uznali za czyjeś zwłoki. I jednym, i drugim zajął się Otto, ponieważ i tak był na patrolu. Jak się okazało, strzały padły, ale nie z broni palnej, tylko z rury wydechowej starej jak świat ciężarówka Dexa Trilby'ego.

– A niedźwiedź okazał się wiewiórką stojącą na kłodzie?

– Nie, niedźwiedź był prawdziwy. Głupi turyści porozstawiali wokół leśnej chaty karmniki dla ptaków, żeby przyciągnąć skrzydlate bractwo. Niedźwiedź nie zdołał się oprzeć świeżej karmie dla ptaków. Otto go przepędził i kazał zlikwidować karmniki. Jest trochę wkurzony, że już dwukrotnie musiał dzisiaj jechać w teren, więc jeśli coś jeszcze się wydarzy, może przekaże sprawę tobie albo Peterowi.

– Dobrze.

– Jeszcze jedno. Przyszła Carrie Hawbaker i chce się z tobą widzieć. Prosi

również, żebym dała jej materiały do kroniki policyjnej.

– To dobrze. Wygląda na to, że wkrótce ukaże się następny numer „The Lunatic”.

– Chyba tak. Mówi, że chce zamieścić oficjalny komunikat na temat tego, co wydarzyło się wczoraj wieczorem. Czy mam go napisać?

– Nie. – Zrzucił koc na tablicę. – Przyślij ją do mnie.

Wyglądała lepiej niż wtedy, gdy widział ją ostatnim razem. Była spokojniejsza i nie miała tak podkrążonych oczu.

– Dzięki, że zgodziłeś się poświęcić mi kilka minut.

– Jak się miewasz? – spytał, zamykając drzwi.

– Coraz lepiej. Pomaga mi to, że mam gazetę i dzieci, które mnie potrzebują.

Usiadła na krześle, które jej podsunął, i położyła na kolanach płócienną torebkę.

– Nie przyszedł tu tylko po materiały do kroniki policyjnej. Nawet nie z powodu biednego, starego Yukona.

– Rozumiem.

– Prosiłeś, żebym sobie przypominała, co się działo po zniknięciu Pata. Żebym zapisała wszystkie szczegóły. Częściowo to zrobiłam. – Otworzyła torebkę i wyjęła plik kartek. – Myślałam, że wszystko sobie przypomnę, że wspomnienia ożyją i zaleją mnie jak rzeka. Nic z tego nie wyszło.

Nate zauważył, że Carrie trzyma w ręce typowy maszynopis.

– Chyba jednak sporo sobie przypominałaś.

– Zapisałam tu dosłownie wszystko, co przyszło mi do głowy. W tym dużo rzeczy, które nie mają znaczenia. To działo się dawno temu, a ja obecnie muszę przyznać, że nie przywiązywałam wtedy zbyt wielkiej wagi do zniknięcia Pata. W tym czasie wciąż jeszcze uczyłam i zastanawiałam się, jak przetrwam następną zimę... swoją drugą zimę na Alasce. Miałam trzydzieści jeden lat i nie udało mi się osiągnąć najważniejszego celu, jakim było wyjście za mąż przed trzydziestką.

Na jej ustach pojawił się niewyraźny uśmiech.

– Był to jeden z powodów, dla których w ogóle przyjechałam na Alaskę. Tutaj stosunek między liczbą mężczyzn a kobiet wyraźnie przemawiał na moją korzyść. Pamiętam, że byłam mocno zdesperowana i trochę użalałam się nad sobą. Byłam też zła na Maxa, ponieważ dotychczas nie poprosił mnie o rękę. Prawdopodobnie tylko dlatego pamiętam – co zresztą tu zapisałam – że tamtej

zimy nie było go przez dwa tygodnie. Wydaje mi się, że nie było go właśnie w lutym, ale nie jestem tego do końca pewna. W zimie można odnieść wrażenie, że dni przymarzają jeden do drugiego, zwłaszcza jeśli człowiek jest sam.

– Powiedział ci, dokąd się wybiera?

– To akurat dość dokładnie pamiętam, ponieważ się z nim o to pokłóciłam. Oznajmił, że wybiera się do Anchorage, a potem do Homeru. Miał zamiar spędzić kilka tygodni na południowym wschodzie, przeprowadzić wywiady z tamtejszymi pilotami i poprosić kogoś z nich, żeby pokazał mu z lotu ptaka tamte okolice. Dla gazety i z myślą o książce, którą właśnie pisał.

– Czy dużo wtedy podróżował?

– Tak. To też mu wypomniałam. Powiedział, że nie będzie go cztery, może pięć tygodni. Byłam o to zła, zwłaszcza że między nami wciąż wszystko wisiało jeszcze na włosku. Potem wrócił wcześniej, niż zapowiadał, ale nawet nie przyszedł się ze mną zobaczyć. Od ludzi dowiedziałam się, że całymi dniami przesiaduje w redakcji. Niemal tam mieszka. Byłam jednak zbyt wściekła, żeby do niego pójść.

– Jak długo go nie widziałaś?

– Dobrą chwilę. Naprawdę byłam na niego bardzo, bardzo zła. W końcu moja wściekłość urosła już do takich rozmiarów, że nie pozostało mi nic innego, jak się z nim zobaczyć. Z tego, co pamiętam, był to koniec marca albo nawet początek kwietnia. W mojej klasie wisiały już ozdoby wielkanocne. Tego roku Wielkanoc przypadała w pierwszą niedzielę kwietnia. Sprawdziłam. Przypomniałam sobie, że siedziałam wśród rysunków z pisankami i króliczkami i wściekałam się na Maxa.

Przerzuciła palcami przyniesione kartki.

– Ten dzień akurat doskonale pamiętam. Max siedział zamknięty w redakcji. Musiałam dobijać się do drzwi. Okropnie wyglądał. Był wychudzony, nieogolony, rozczochrany. Śmierdział. Jego biurko było zavalone papierami.

Lekko westchnęła.

– Nie pamiętam, jaka była wtedy pogoda, Nate, jak wyglądało miasto, ale dokładnie sobie przypominam, jak wyglądał Max. I jak wyglądało jego biuro. Wszędzie były kubki po kawie, brudne naczynia, przesypane kosze na śmieci, papierki na podłodze. Przepelnione popielniczki. Max niegdyś palił.

Urwała na chwilę.

– Napisałam to wszystko – dodała po krótkiej przerwie, ponownie muskając

kartki palcami. – Pracował nad swoją powieścią, tak przynajmniej założyłam, i wyglądał jak człowiek obłąkany. Niech mnie diabli, jeśli wiem, dlaczego to wydało mi się wówczas takie pociągające, mimo to wyjaśniłam mu, po co przyszłam. Oznajmiłam, że z nim zrywam. Że jest w ogromnym błędzie, jeśli uważa, że może mnie tak traktować, i tak dalej, i tak dalej. Jednym słowem, wrzeszczałam i rzucałam gromy. Max przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Kiedy w końcu zabrakło mi pary, padł przede mną na kolana. Urwała na chwilę i zacisnęła wargi.

– Dokładnie tam, gdzie siedział, pośród całego tego bałaganu. Błagał, żebym dała mu jeszcze jedną szansę. Mówił, że bardzo mu na tym zależy, że bardzo tego potrzebuje. Potem poprosił mnie o rękę. Wzięliśmy ślub w czerwcu. Zależało mi, żeby wziąć ślub właśnie w czerwcu, a ponieważ już i tak przekroczyłam granicę, jaką były trzydzieste urodziny, małe opóźnienie nie miało żadnego znaczenia.

– Czy opowiadał o tym okresie, kiedy go nie było?

– Nie. A ja nie pytałam. Wydawało mi się, że to nie ma żadnego znaczenia. Powiedział tylko, że poznał samotność, prawdziwą samotność, i nigdy więcej nie chce jej już doświadczyć.

Nate przypomniał sobie linie, które łączyły ludzi na jego tablicy.

– Czy kiedykolwiek przyjaźnił się z Bingiem? Albo bardzo ostro się z nim pokłócił?

– Z Bingiem? Nie, nie byli kumplami. Max starał się z nim nie zadzierać, zwłaszcza że ja kiedyś chodziłam z Bingiem.

– Z Bingiem?

– „Chodziłam” to prawdopodobnie spory eufemizm. Bing nie był zainteresowany chodzeniem na kolacje ani na tańce, jeśli dobrze mnie rozumiesz.

– A czy kiedykolwiek...

– Nie. – Roześmiała się, potem nagle urwała, wyraźnie zaszokowana swoim zachowaniem. – Nie śmiałam się... naprawdę, nie śmiałam się od... To okropne – śmiać się z czegoś takiego.

– Myśl o tobie i Bingu wydaje mi się zabawna. Jak przyjął fakt, że go odrzuciłaś?

– Och, chyba nie uznał tego za zbyt wielki cios. – Machnęła ręką. – Byłam pod ręką, to wszystko. Nowa babeczka w bardzo niewielkim gronie. Faceci tacy

jak Bing zawsze próbują odciąć nowe owieczki od stada i sprawdzić, czy przy okazji uda im się wskoczyć do łożka i zjeść kilka darmowych posiłków. Czego nie można brać mu za złe, ponieważ w miejscach podobnych do Lunacy tego typu postępowanie jest raczej czymś całkiem normalnym. Nie on jeden sprawdzał, co uda mu się osiągnąć. Podczas pierwszej spędzonej tu zimy spotykałam się również z kilkoma innymi panami. Nawet kilkakrotnie zjadłam kolację z Profesorem, chociaż od początku było jasne jak słońce, że jest po uszy zadurzony w Charlene.

– Był w niej zadurzony przed zniknięciem Gallowaya?

– Przed, w czasie, i po. John zawsze się w niej kochał. Niemniej kilkakrotnie zjedliśmy razem kolację. Profesor był cudownym dżentelmenem, prawdę mówiąc, może zbyt cudownym, jak na mój gust. Mimo to nie szukałam kogoś takiego jak Bing.

– Ponieważ?

– Jest taki duży, prymitywny i grubiański. Chodziłam na randki z Johnem, bo był przystojny i inteligentny. Spotkałam się też raz z Edem, bo... właściwie... czemu nie? Nawet z Ottonem, który był właśnie po rozwodzie. Na Alasce kobieta ma mnóstwo możliwości, nawet jeśli nie jest zbyt ładna i przekroczyła już trzydziestkę, pod warunkiem oczywiście, że nie jest zbyt wybredna. Ja wybrałam Maxa. Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– Teraz też bym go wybrała. – Potem wróciła myślami do chwili obecnej. – Chciałabym móc powiedzieć ci coś więcej. Patrząc z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że Max był wtedy targany jakimś wewnętrznym konfliktem, ale zawsze tak wyglądał, gdy pracował nad którąś ze swoich książek. Wszystko wracało do normy, gdy odkładał je na bok na kilka miesięcy lub dłużej. Wystarczało jednak, żeby wyjął z szuflady którąś z nich i zaczął nad nią pracować, wtedy odgradzał się od całego świata. Byłam szczęśliwsza, gdy zapominał o pisaniu.

– Czy ktokolwiek próbował cię poderwać już po ślubie z Maxem?

– Nie. Pamiętam tylko, jak Bing powiedział mi przy Maksie, że wybrałam miernotę, dupka czy coś w tym stylu.

– I?

– I nic. Max obrócił to w żart i postawił Bingowi drinka. Mój mąż nie lubił żadnych konfrontacji, Nate. Unikał ich jak ognia. Myślę zresztą, że między innymi dlatego tak niewiele działał w gazecie w Anchorage. Sam dobrze wiesz,

co zrobił, kiedy unikałeś go zaraz po przyjeździe do Lunacy. Poszedł do Hopp. Zawsze tak postępował. Nie mógł iść bezpośrednio do ciebie, ponieważ nie umiał walczyć. Nigdy tego nie potrafił.

– Czy Max był kinomanem?

– Tak jak wszyscy w Lunacy. To jedyna forma wspólnej rozrywki. Poza tym lubił pisać recenzje filmów, które oglądaliśmy. A skoro już mowa o wieczorze filmowym, naprawdę chciałabym opublikować oficjalne oświadczenie na temat wydarzeń wczorajszego wieczoru.

– Peach da ci krótki raport do kroniki.

– Przypuszczam, że w tej konkretnej sprawie wszyscy będą chcieli wiedzieć coś więcej. Otto go znalazł, prawda? – zaczęła, sięgając po notes.

– Tak, ale daj nam kilka dni, Carrie. Wtedy będę mógł podać ci jakąś bardziej spójną wersję.

– Czy masz zamiar wkrótce kogoś aresztować? Na ustach Nate’ a pojawił się uśmiech.

– Widzę, że błyskawicznie wróciłaś do roli dziennikarki. Nie, po prostu mam notatki, zeznania i raport, tylko teraz muszę to wszystko uporządkować.

Wstała.

– Cieszę się, że nie było tam moich dzieci. Niemal na siłę wypychałam je z domu. Chciałam, żeby gdzieś wyszły i zajęły się czymś całkiem zwyczajnym. Wołały jednak wybrać się z przyjaciółmi na pizzę. Zgłoszę się do ciebie jutro.

– Jestem ciekaw – powiedział Nate, odprowadzając ją do drzwi – czy Max lubił Gwiazdne wojny.

Spojrzała na niego.

– Skąd przyszło ci to do głowy?

– To tylko jeszcze jedna kropka, którą próbuję połączyć z całością.

– Nie. Jakoś nie lubił tego filmu, co zresztą zawsze bardzo mnie dziwiło, ponieważ z reguły uwielbiał wielkie epepeje z ogromną liczbą efektów specjalnych. Jednak Gwiazdnych wojen zdecydowanie nie chciał oglądać. Jakieś sześć, może siedem lat temu w Lunacy odbywał się maraton filmowy z Gwiazdnymi wojnami. Chyba gdzieś przy okazji dwudziestej rocznicy powstania tegoż filmu. Max nie chciał iść, chociaż dzieciom bardzo na tym zależało. O ile sobie dobrze przypominam, musiałam zabrać je sama, a potem napisać recenzję do gazety. Kiedy dokręcono następne epizody filmu, zabrałam dzieci do kina w Anchorage. Max również wtedy został w domu. A ty, w jaką

rolę teraz wpadłeś?

– W rolę gliniarza. – Delikatnie szturchnął ją w stronę drzwi. – To nie ważnego. Pogadaj z Peach na temat materiałów do kroniki policyjnej.

Nate dokładnie wymierzył czas, dzięki czemu dotarł do Lodge, gdy Bing i jego ludzie jedli lunch. Wszedł do środka, gdy Rosę podawała Bingowi piwo. Oczy obu panów spotkały się nad szklanicą. Nate podszedł i od niechcienia kiwnął głową dwóm mężczyznom, którzy siedzieli z Bingiem w boksie.

– Hej, chłopcy, nie moglibyście poszukać sobie innego stolika? Chciałbym porozmawiać z Bingiem na osobności.

Nie spodobało im się to, ale zabrali swoje kubki z kawą i powędrowali do następnego boksu.

– Lada chwila podadzą mi lunch – warknął Bing. – Mam prawo zjeść w ciszy i spokoju, tymczasem widok pańskiej twarzy psuje mi apetyt.

– Widzę, że zalaliście tę dziurę. Dzięki, Rosę – powiedział Nate, gdy jak zwykle przyniosła mu kawę.

– Zje pan lunch, panie komendancie?

– Nie. Nie teraz. Rzeka jakoś trzyma się w brzegach – wrócił do rozmowy z Bingiem. – Może nie będą nam potrzebne worki z piaskiem.

– Może tak, może nie.

– Gdzie byłeś w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku?

– Skąd ja mam, do diabła, wiedzieć?

– Los Angeles Dodgers wygrali wtedy trzy razy z rzędu, drużyna Redskins zdobyła Super Bowl, Cher dostała Oscara – wyliczył Nate.

– Gówniane sprawy mieszkańców terenów położonych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika.

– Susan Butcher wygrała swój trzeci Iditarod. Cholerny wyczyn jak na dziewczynę z Bostonu. Skończyła wyścig w jedenaście dni i niecałe dwanaście godzin. Może to odświeży twoją pamięć?

– Tak, pamiętam, że przegrałem przez nią dwieście dolarów. Cholerna baba!

– No więc co robiłeś kilka tygodni przed utratą dwóch stów?

– Trudno zapomnieć, że przegrało się tyle szmalu z powodu kobiety, nikt natomiast nie pamięta, ile razy drapał się w tyłek albo sikał.

– Wyjeżdżałeś gdzieś?

– Jeździłem tu i tam, w zależności od potrzeby. Tak samo jak obecnie.

– Może byłeś w Anchorage i widziałeś się z Gallowayem?

– Byłem w Anchorage więcej razy, niż potrafi pan splunąć. Kilkaset kilometrów nie ma tu żadnego znaczenia. Mogłem go tam spotkać raz lub dwa. Widywałem tam wielu ludzi, których znam. Ja załatwiałem swoje sprawy, oni swoje.

– Jeśli nadal w tej sprawie będziesz zgrywał takiego twardziela, drogo za to zapłacisz.

Bing wyraźnie się zdenerwował.

– Lepiej, żeby mi pan nie groził.

– Lepiej, żebyś nie utrudniał mi pracy. – Nate odchylił się do tyłu. – Jeszcze nie tak dawno temu uważałeś, że to ty powinieneś nosić tę odznakę.

– Byłbym lepszy niż cheechako, który dopuścił do tego, żeby jakiś palant zabił mu partnera.

Był to cios prosto w serce, mimo to Nate pił kawę i przez cały czas patrzył Bingowi prosto w oczy.

– Widzę, że odrobiłeś pracę domową, tyle że to ja noszę odznakę, nie ty. Mam prawo oskarżyć cię i zamknąć za to, co zrobiłeś staremu Yukonowi.

– Nie dotknąłem tego psa.

– Na twoim miejscu postarałbym się przypomnieć sobie, gdzie byłeś, gdy Patrick Galioway wyjechał z miasta.

– Dlaczego wciąż dosiada pan martwego konika, panie Burkę? Czy dzięki temu czuje się pan ważny? Max zabił Gallowaya i wszyscy o tym wiedzą.

– W takim razie nie powinno ci przeszkadzać, że sprawdzam, gdzie wtedy byłeś, nie sądzisz?

Rosę postawiła na stoliku ogromny kotlet, górę ziemniaków i morze sosu mięsnego.

– Czy coś jeszcze ci przynieść, Bing?

Obok talerza postawiła miseczkę z groszkiem i cebulkami.

Nate widział, że Bing toczy wewnętrzną walkę, potem próbuje się opanować. W końcu odpowiedział spokojnym, wręcz uprzejmym głosem:

– Nie, dzięki, Rosę.

– Smacznego! Panie komendancie, proszę zawołać, jeśli się pan na coś zdecyduje.

– Koniec przesłuchania – oznajmił Bing i wziął na widelec ogromny kawał zrazu.

– Może w takim razie przy lunchu utniemy sobie miłą pogawędkę? Co sądzisz

o Gwiezdnym wojnach?

– Hm?

– No wiesz, to takie filmy. Luke Skywalker, Darth Vader.

– Pieprzony idiota... – mruknął Bing, unosząc do ust ziemniaki z sosem. – Na litość boską, Gwiezdnym wojnom mu się zachciało! Niech mi pan pozwoli spokojnie zjeść.

– Wspaniała opowieść, charakterystyczni bohaterowie chociaż w rzeczywistości chodzi o przeznaczenie... i zdradę.

– Taak, wiem, ludzie zabijali się przy kasach. – Bing machnął widelcem, a potem znów sięgnął nim na talerz. – Banda głupków lata bez sensu statkami kosmicznymi i wymachuje świetlnymi szpadami.

– Mieczami. Świetlnymi mieczami. Z grubsza chodzi o to, że trzeba trochę czasu i poświęcenia, trzeba ponieść pewne straty, ale... – Nate wstał – ...ale w ostatecznym rozrachunku dobrzy chłopcy wygrywają. Do zobaczenia.

W ostatniej klasie na lekcje literatury chodziło jedenastu uczniów. Z tego dziewięciu nie spało. John pozwolił śpiochom uciąć sobie późnopołudniową drzemkę, podczas gdy jedna z lepszych uczennic kaleczyła tekst poety, czytając słowa lady Makbet w jednej ze scen dramatu.

John zastanawiał się nad wieloma sprawami, niewiele uwagi poświęcając dyskusji na temat Makbeta.

Podobne tematy omawiał od dwudziestu pięciu lat, od chwili kiedy po raz pierwszy zdenerwowany stanął przed klasą pełną uczniów.

Wtedy był zaledwie o kilka lat starszy od tych dzieciaków, które uczył. I może bardziej niewinny i zapalony niż większość ich.

Chciał pisać wspaniałe, godne podziwu, alegoryczne powieści na temat pułapek, w jakie wpędza się współczesny człowiek. Nie miał jednak zamiaru głodować na poddaszu, dlatego uczył.

Przez cały czas pisał, uważał jednak, że jego powieści nie są tak wspaniałe i godne podziwu, jak by chciał. Kilka z nich udało mu się opublikować. W związku z tym, nawet gdyby nie uczył, z pewnością nie głodowałby na poddaszu, choć być może nie jadałby najlepiej.

Czuł, że wymagania – i, Boże dopomóż, radości – związane z nauczaniem przytłaczają młodego intelektualistę, który chciał pisać wspaniałe powieści. Wykonał zatem skok, odważny i głupi skok na głęboką wodę, to znaczy uciekł na Alaskę. Myślał, że tam zdobędzie doświadczenie, będzie prowadził proste

życie, będzie studiował zagrożenia współczesnego życia z prymitywnego miejsca, w izolacji, która była dla niego pewnym symbolem. Będzie pisał powieści o ludzkiej odwadze i nieustępliwości, ludzkich szaleństwach i triumfach.

Z głową pełną marzeń przyjechał do Lunacy.

Nie ukończył wtedy jeszcze trzydziestu lat, więc skąd miał wiedzieć, czym jest prawdziwa obsesja? Jak inteligentny, żaloszny młody intelektualista mógł przewidzieć, że jedno miejsce, jedna kobieta zdołają przykuć go łańcuchem? Że dobrowolnie da się zakuć w kajdany i będzie w nich tkwił, nawet jeśli owe pęta będą pozostawały w sprzeczności z jego pragnieniami i potrzebami?

Zakochał się w chwili, kiedy tylko zobaczył Charlene. Stanowiła jego miłość i obsesję, zresztą obecnie nie był już wcale pewien, czy między jednym a drugim jest jakaś różnica. Charlene była lekkomyślna i seksowna, piękna jak złocista wierzba, jej głos przypominał głos syreny. Oczarowała go i kompletnie zniewoliła.

Należała do innego mężczyzny, była matką dziecka innego mężczyzny, ale to niczego nie zmieniało. Miłość Johna – jeśli naprawdę była to miłość – w niczym nie przypominała niewinnego, romantycznego uczucia męznego rycerza do damy, była raczej czystym pożądaniem, nagą żądzą.

Wmawiał sobie, że Charlene rzuci Gallowaya. W końcu Pat był egoistą i wcale nie dbał o swoją kobietę. Nawet gdyby Johna nie zaślepiła miłość, od razu by to zauważył. Byłby tak samo oburzony.

Dlatego został w Lunacy i czekał. Zmienił kurs swojego życia i ciągle czekał.

Pomimo tylu planów i nadziei wciąż czekał.

Jego uczniowie byli coraz młodszy, mijały lata. Nigdy potem nie udało mu się już wrócić do tego, co rzucił, co zmarnował.

Tymczasem nadal jedyna rzecz, której naprawdę pragnął, nie należała do niego.

Zerknął na zegarek. Mijał następny dzień. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch: to Nate wsunął głowę w otwarte drzwi do klasy.

– Wasze wypracowania na temat Makbeta będę zbierał w przyszły piątek – oznajmił John przy akompaniamencie jęków. – Kevinie, jeśli Marianne napisze za ciebie, będę o tym wiedział. Ci z was, którzy pracują nad rocznikiem, jutro o wpół do czwartej proszeni są o przyjście na zebranie. W razie konieczności zapewnijcie sobie transport do domu. Jesteście wolni.

W klasie rozległ się stukot, szuranie nóg i rozmowy – odgłosy, na które John już tak dawno się uodpornił, że w ogóle ich nie słyszał.

– Co takiego ma w sobie szkoła średnia – zaczął Nate – że na samą myśl o niej dorosłemu mężczyźnie pocą się ręce?

– Fakt, że kiedyś przetrwaliśmy to piekło, wcale nie oznacza, że nie możemy z powrotem wpaść w czarną dziurę.

– Chyba tak.

– Idę o zakład, że nieźle sobie radziłeś – powiedział John, pakując papiery do zniszczonej aktówki. – Jesteś przystojny, masz odpowiednie podejście do ludzi. Sądzę, że byłeś przyzwoitym uczniem i całkiem nieźle radziłeś sobie z dziewczętami. Byłeś sportowcem, prawda? Co trenowałeś?

– Biegi. – Nate wykrzywił usta. – Zawsze lubiłem biegać. A ty?

– Byłem klasycznym kujonem. Tym, który jakimś cudem zawsze zdołał wsypać całą klasę.

– To ty? Nienawidziłem cię.

Nate wsunął kciuki do kieszeni spodni, podszedł i zerknął na tablicę.

– Makbet, co? Nie miałem nic przeciwko Szekspirowi, pod warunkiem, że czytał go ktoś inny. Oczywiście na głos, tak żebym słyszał. Ten facet zabił dla kobiety, tak?

– Nie, z powodu ambicji kobiety.

– Nie uszło mu to na sucho.

– Przyplacił to własnym honorem, stratą kobiety, którą kochał do szaleństwa, własnym życiem.

– Normalka.

John przytaknął i zmarszczył czoło.

– Przyszedłeś porozmawiać ze mną o Szekspirze, Nate?

– Nie. Prowadzę dochodzenie w sprawie wczorajszego wypadku. Chcę ci zadać kilka pytań.

– Na temat Yukona? Byłem w ratuszu, gdy to się stało.

– O której przyszedłeś?

– Parę minut przed siódmą. – Przez chwilę patrzył, jak kilku uczniów ze śmiechem biegnie korytarzem. – Prawdę mówiąc, mam zamiar dla uczniów jedenastej i dwunastej klasy poprowadzić nadprogramowe zajęcia na temat głębszego znaczenia opowieści Hitchcocka. Zgłosiło się kilka osób, co należy im uznać za duży plus. Zapisano się dwunastu moich uczniów.

– Czy wychodziłeś między siódmą a dziesiątą?

– Wyszedłem na przerwę, wypaliłem papierosa, wypilem trochę ponczu, który sprzedawał komitet rodzicielski ze szkoły podstawowej. Poncz był smaczniejszy, gdy go nieco wzmocniłem.

– Gdzie siedziałeś?

– Z tyłu sali, po przeciwnej stronie niż moi uczniowie. Nie chciałem ich krępować ani odpowiadać na ich pytania. Podczas filmów robiłem notatki.

– Po ciemku?

– Tak. Zapisałem kilka kluczowych punktów, które moim zdaniem warto będzie poruszyć w późniejszej dyskusji. Bardzo chciałbym ci pomóc, ale nie wiem, jak.

Podszedł do okna i opuścił rolety.

– Gdy dowiedzieliśmy się od Ottona, co się stało, wróciłem do Lodge. Byłem zdenerwowany. Jak wszyscy. Charlene, Chudy Jim i Wielki Mikę robili, co do nich należało.?

– Kto jeszcze był w Lodge?

– Mitch Dauber i Cliff Treat, pijany Mikę. Kilku turystów. Mówiąc to, sprawdził klasę, pozbierał porzucane ołówki, kulki papieru, kłamrę do włosów.

– Zamówiłem drinka. Wkrótce potem przyszli Otto i Meg a kiedy trochę się uspokoiło, zaczęliśmy grać w pokera. Wciąż jeszcze graliśmy, gdy przyszedłeś.

Nate przytaknął i odłożył notes.

John wrzucił papiery do kosza na śmieci, resztę włożył do pudła po butach na swoim biurku.

– Nie znam nikogo, kto byłby w stanie zrobić coś takiego. Zwłaszcza Yukonowi.

– Wszyscy inni mówią to samo.

Nate rozejrzał się po klasie. Wyczuł, że pachnie tu kredą, gumą do żucia, błyszczkiem do warg i żelem do włosów.

– Czy kiedykolwiek bierzesz urlop w trakcie roku szkolnego? Czy robisz sobie przerwę i ruszasz prosto przed siebie?

– Kiedyś wręcz byłem z tego znany. Tłumaczyłem, że robię sobie „przerwę dla zdrowia psychicznego”. Czemu pytasz?

– Ciekaw jestem, czy w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku nie zrobiłeś sobie „przerwy dla zdrowia psychicznego”.

John spojrział chłodno zza okularów.

– Trudno byłoby to powiedzieć.

– Spróbuj.

– Czy powinienem porozmawiać z adwokatem, panie komendancie?

– To zależy tylko od ciebie. Po prostu próbuję się zorientować, gdzie kto był i co robił w czasie, gdy zamordowano Patricka Gallowaya.

– Czy tym nie powinna się zajmować policja stanowa? I czy tylko mi się wydaje, czy naprawdę doszli już do jakichś wniosków?

– Lubię sam wszystko sprawdzać. To chyba żaden sekret, że od bardzo dawna... powiedzmy, masz słabość do Charlene.

– Żaden. – John zdjął okulary i zaczął je powoli, starannie czyścić chusteczką, którą wyjął z kieszeni marynarki. – Taak, żaden sekret.

– Czy miałeś do niej słabość, gdy była z Gallowayem?

– Tak, darzyłem ją naprawdę silnym uczuciem. Niewiele wskórałem, bo niecały rok po zniknięciu Gallowaya wyszła za mąż za kogoś innego.

– Po śmierci Gallowaya – poprawił Nate.

– Tak. – Z powrotem wsadził okulary na nos. – Po śmierci Gallowaya.

– Prosiłeś ją o rękę?

– Odmówiła. Odmawiała za każdym razem, kiedy jej to proponowałem.

– Ale sypiała z tobą.

– Wkraczamy na bardzo osobisty teren.

– Sypiała z tobą – ciągnął Nate – jednak wyszła za mąż za kogoś innego. Sypiała z tobą, gdy była żoną innego mężczyzny. Co więcej, sypiała nie tylko z tobą.

– To prywatna sprawa. Na tyle, na ile to możliwe w takiej dziurze jak Lunacy. Nie chcę rozmawiać z tobą na ten temat.

– Miłość to pewna odmiana ambicji, prawda? – Nate postukał palcem w egzemplarz Makbeta, który wciąż leżał na biurku Johna. – Czasami mężczyźni dla niej zabijają.

– Zabijają. I w połowie przypadków nie potrzebują żadnych usprawiedliwień.

– W tej sprawie nie będę się z tobą kłócił. Czasami uchodzi im to na sucho. Częściej ponoszą karę. Byłbym wdzięczny, gdybyś cofnął się pamięcią, spróbował sobie przypomnieć, gdzie byłeś w lutym tamtego roku, i potem mi o tym powiedział.

Idąc w stronę drzwi, Nate obejrzał się za siebie..

– Interesuje mnie jeszcze jedno: czy kiedykolwiek czytałeś którąś z książek Maxa Hawbakera?

– Nie. Ukrywał te książki. – Chociaż głos Johna był spokojny, z jego oczu wciąż wycierała złość. – Był bardzo skryty. Jak wielu początkujących pisarzy. Czasami odnosiłem wrażenie, że Max więcej mówi o pisaniu książek, niż naprawdę pisze.

– Okazuje się, że zaczął, nawet kilka. Mam kopie. Wszystkie w pewnym sensie obracają się wokół jednej sprawy. Wokół jednego tematu, jak byś pewnie powiedział.

– To również dość typowe u świeżo upieczonych autorów. Nawet bardziej doświadczeni często próbują ukazać jeden temat na kilka różnych sposobów.

– Wydaje się, że najbardziej interesowało go, jak można przetrwać w skrajnych warunkach... i wśród innych ludzi. Przetrwać albo zginąć. Niezależnie od tego, ilu bohaterów pojawia się na początku, zawsze kończy się na trzech mężczyznach. Książka, w której posunął się najdalej, opowiada o zimowej wspinaczce na górę.

Nate zabrzęczał drobnymi w kieszeni. John milczał.

– Max napisał tylko kilka rozdziałów, ale zrobił notatki do reszty, naszkicował sytuację, napisał luźne sceny, które miał zamiar potem włączyć. Trzej mężczyźni wspinają się na górę. Wraca z niej tylko dwóch. – Nate urwał na chwilę. – Pisarze często w swoich powieściach wykorzystują elementy autobiograficzne, prawda?

– Czasami – powiedział John spokojnie. – Przeważnie własne przeżycia wykorzystuje się w pierwszej powieści.

– Ciekawe, prawda? Byłoby jeszcze ciekawsze, gdyby udało mi się odkryć, kto był trzecim mężczyzną. No cóż, będę w pobliżu. Daj mi znać, jeśli sobie przypominasz, co wtedy robiłeś.

John trwał w całkowitym bezruchu, póki kroki Nate'a nie ucichły na korytarzu. Potem powoli usiadł za biurkiem. Zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Nate zakłócił nieoficjalne spotkanie na ratuszu. Zrobił to celowo, dlatego wcale nie był zaskoczony, że rozmowa urwała się w chwili, kiedy pojawił się w drzwiach.:

– Przepraszam, że przerywam.

Przyjrzał się tak dobrze już znanym twarzom poszczególnych członków rady miejskiej. Na kilku obliczach dostrzegł zażenowanie.

- Jeśli chcecie, mogę poczekać, aż skończycie.
- Właściwie skończyliśmy – oświadczyła Hopp.
- Nie sądzę.

Ed rozstawił szeroko nogi i złożył ręce na piersiach.

– Dotychczas nie rozwiązaliśmy problemu, dlatego uważam, że powinniśmy kontynuować zebranie, a pan, panie komendancie, powinien poczekać za drzwiami, aż skończymy. Przykro mi bardzo.

– Ed – Dęb wychyliła się do przodu – rozprawialiśmy już na ten temat chyba ze sto razy. Dajmy temu spokój.

– Stawiam wniosek, żebyśmy kontynuowali.

– Och, możesz go sobie stawiać choćby na własnej dupie, Ed. – Joe Wise wstał.

– Joe – Hopp dźgnęła go palcem – co prawda to nieoficjalne spotkanie, mimo to nie powinniśmy używać niecenzuralnych słów. Skoro Ignatious już tu jest, a jego nazwisko wypłynęło podczas spotkania, pozwólmy mu się włączyć do dyskusji.

– Zgadza się. – Ken wstał i przyciągnął następne krzesło do kręgu, który tworzyli. – Siadaj, Nate. Posłuchajcie – powiedział, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować. – W końcu to nasz komendant policji. Powinien mieć prawo głosu.

– Faktem jest, Ignatiousie, że rozmawialiśmy na temat ostatnich wydarzeń. I o tym, jak sobie radzisz w obecnej sytuacji.

– W porządku. Rozumiem, że nie wszyscy są zadowoleni z tego, co i jak robię.

– No cóż, prawdę mówiąc... – Harry podrapał się po głowie. – Niektórzy mieszkańcy miasta twierdzą, że odkąd zacząłeś u nas pracować, mamy więcej problemów niż poprzednio. Wygląda, że tak jest w rzeczywistości, chociaż moim zdaniem to nie twoja wina.

– Być może popełniliśmy błąd. – Ed zacisnął szczękę. – Powiem ci to prosto w oczy. Być może błędem było zatrudnienie ciebie czy kogokolwiek innego spoza miasta.

– Przypomnijcie sobie, dlaczego tak bardzo zależało nam, żeby nowy komendant był kimś z zewnątrz – zwrócił uwagę Walter Notti. – Komendant Burkę robił i robi to, co do niego należy.

– Może, Walterze, może, ale... – Ed uniósł ręce. – Trudno wykluczyć, że

pewne mniej podatne na przepisy prawa osoby traktują to jako swego rodzaju wyzwanie. Jak to się mówi, wykazują wzmożoną aktywność. Tutejsi ludzie nie lubią, gdy się im mówi, co mają robić.

– Przecież wszyscy chcieliśmy mieć własną policję – przypomniała Hopp.

– Wiem o tym, Hopp. Sam też za tym głosowałem, tu, w tej sali. Nie twierdzę, że można winić Nate'a za to, w jaki sposób pracuje. Mówię po prostu, że to był błąd. Nasz błąd.

– Odkąd Nate tu jest, znacznie rzadziej zszywam braci Mackie – wtrącił Ken.

– Mam mniej pacjentów, którzy trafiają do mnie po bijatykach albo domowych kłótniach. W ubiegłym roku Pijany Mikę dwukrotnie miał odmrożenia, gdyż dwukrotnie ktoś znalazł go nieprzytomnego na poboczu drogi. W tym roku nadal bierze udział w popijawach, ale potem odsypia je bezpiecznie w celi.

– Sądzę, że nie możemy winić naszego oddziału policji za to, Ed, że ktoś skradł ci sprzęt albo wymalował graffiti na twojej chacie. – Dęb rozłożyła ręce.
 – Nie możemy mieć pretensji do stróżów prawa o to, że jakiś idiota poprzecinał opony Hawleyowi, że w szkole wybito okna, czy coś tam jeszcze. Powinniśmy zgłaszać zastrzeżenia do rodziców, że źle wychowują swoje dzieci.

– To nie dzieciak zabił mojego psa. – Joe przepraszająco spojrział na Nate'a. – Zgadzam się z tym, co powiedziała Dęb, zgadzam się również z Walterem i Kenem, ale to nie dzieciak zabił Yukona.

– Nie dzieciak – zgodził się z nim Nate.

– Nie sądzą, żeby zatrudnienie cię, Nate, było błędem – ciągnęła Dęb. – Uważam jednak, że wszyscy ponosimy odpowiedzialność za miasto i mamy prawo wiedzieć, co robisz. W jaki sposób próbujesz znaleźć człowieka, który robi takie rzeczy i który zabił Yukona.

– Rzeczywiście macie do tego prawo. Niektóre z wymienionych tu przypadków rzeczywiście mogły być dziełem dzieci. Zresztą tak właśnie było, jeśli chodzi o powybijane okna, a ponieważ jeden ze sprawców zostawił na miejscu swój scyzoryk, nie było problemów ze zidentyfikowaniem uczestników całej awantury. Wczoraj rozmawiałem z nimi i ich rodzicami. Szkody będą usunięte, a obaj chłopcy zostali zawieszni na trzy dni. Sądzę, że w tym czasie nie będzie im wcale do śmiechu.

– Nie aresztowałeś ich? – spytał ze złością Ed.

– Mają dziewięć i dziesięć lat, Ed. Nie sądzą, aby zamknięcie ich w celi było odpowiednim rozwiązaniem. Wielu z nas – powiedział, przypominając sobie

grzeszki z młodości Eda – w głupi i nierozważny sposób wchodzi w młodości w konflikt z prawem.

– Skoro to zrobili, mogli też zrobić inne rzeczy – zasugerowała Dęb.

– Nie. Nauczyciel zostawił ich w szkole, wtedy z nudów wybili szyby w dwóch oknach. Z pewnością nie pokonali długiej drogi do chaty Eda ani nie wykradli się w nocy z domu i nie przeszli trzy i pół kilometra, żeby pociąć Hawleyowi opony, a potem pomalować sprayem jego ciężarówkę. Chcecie coś ode mnie usłyszeć? Wasze problemy wcale nie zaczęły się w chwili, kiedy przyszedłem tu pracować. Wasze problemy zaczęły się szesnaście lat temu, gdy ktoś zabił Patricka Gallowaya.

– To właśnie nas wszystkich niepokoi – powiedział Harry, zerkając na pozostałych zebranych. – Nawet tych, którzy go nie znali. Nie rozumiem jednak, co jego śmierć ma wspólnego z tym, o czym w tej chwili rozmawiamy.

– Myślę, że ma. I tak właśnie do tego podchodzę.

– Nie rozumiem cię – przyznała Dęb.

– Ktoś, kto zabił Gallowaya, nadal tu mieszka. Ten, kto zabił Gallowaya – ciągnął Nate, nie zważając, że wszyscy jednocześnie zaczęli coś mówić – zabił również Maxa Hawbakera.

– Max popełnił samobójstwo – przypomniał Ed. – Popełnił samobójstwo, ponieważ zabił Pata.

– Komuś bardzo zależy na tym, żebyśmy uwierzyli w taką właśnie wersję wydarzeń. Mnie ona nie przekonuje.

– To czyste szaleństwo, Nate. – Harry machnął rękami w powietrzu. – Po prostu głupie gadanie.

– Głupsze niż mówienie o tym, że Max zabił Pata? – Dęb potarła palcami szyję. – Głupsze niż mówienie, że Max popełnił samobójstwo? Nie wiem.

– Cisza! – Hopp wyrzuciła w powietrze obie ręce. – Uciszcie się, do diabła. Ignatiousie – nabrała powietrza w płuca – mówisz, że ktoś, kogo znamy, popełnił dwa morderstwa.

– Trzy. – Nate twardo przyjrzał się twarzom zebranych. – Zabił dwóch mężczyzn i psa. Mój wydział prowadzi dochodzenie i będzie je prowadził dopóty, dopóki go nie zidentyfikujemy i nie aresztujemy.

– Policja stanowa... – zaczął Joe.

– Niezależnie od wniosków i opinii władz stanowych mój wydział będzie prowadził dochodzenie. Złożyłem przysięgę, że będę ochraniał to miasto i służył

jego mieszkańcom. I będę. Dla dobra mojego dochodzenia chcę, żeby każdy z was podał, gdzie był i co robił wczoraj, między siódmą a dziesiątą wieczorem.

– Każdy z nas?! – ryknął Ed. – Masz zamiar nas przesłuchiwać?

– Tak. Co więcej, będę chciał również wiedzieć, gdzie każdy z was był i co robił w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

– Ty... ty... – zagrział Ed, potem urwał, chwycił brzeg swojego krzesła i wysunął się wraz z nim do przodu. – Masz zamiar przesłuchiwać nas jak podejrzanych? Tego już za wiele! Nie mam zamiaru poddawać się takim procedurom i nie zgadzam się, żebyś przesłuchiwał członków mojej rodziny czy sąsiadów. Przekraczasz swoje uprawnienia.

– Nie sądzę, możecie jednak przegłosować zerwanie mojego kontraktu i zapłacić mi. Mimo to nadal będę prowadził dochodzenie. Znajdę osobę odpowiedzialną za te zbrodnie. To właśnie robię. – Wstał. – Szukam osoby odpowiedzialnej za te zbrodnie. Teraz możecie kontynuować spotkanie, możecie głosować i prowadzić dyskusje. Możecie odebrać mi odznakę. Obiecuję wam jednak, że znajdę mordercę. I jest to jedyna osoba, która powinna się mnie bać.

Wyszedł. Zza drzwi słyszał podniesione głosy. Hopp złapała go, gdy był już na chodniku.

– Ignatiousie, zaczekaj chwileczkę. Zaczekaj! – warknęła, gdy się nie zatrzymał. – Cholera jasna!

Stanął i zabrzczał kluczami w kieszeni. Spojrzała na niego wilkiem i puściła jego kurtkę.

– Trzeba przyznać, że doskonale wiesz, co zrobić, żeby ożywić spotkanie rady miejskiej.

– Zostałem zwolniony?

– Jeszcze nie, ale nie sądzę, żebyś zyskał na popularności. – Szarpnęła swój długi płaszcz. – Mogłeś zrobić to trochę taktowniej.

– Morderstwo jest jedną z tych rzeczy, które całkowicie nie pozwalają mi myśleć o takcie. Poza tym nie zapominaj, że wszedłem na spotkanie, na którym zakwestionowano mój profesjonalizm.

– Zgoda, masz rację, może rzeczywiście nie wyszło to najlepiej.

– Jeśli ty albo ktoś inny mieliście jakiegokolwiek zastrzeżenia do mojej pracy, powinniście przyjść z tym do mnie.

– Masz rację. – Ucisnęła nasadę nosa. – Wszyscy jesteśmy zdenerwowani i mamy tego dosyć. Tymczasem podrzuciłeś nam nową bombę. Nikomu nie

podobała się myśl, że Max zrobił to, co przynajmniej z pozoru zrobił, ale łatwiej było przyjąć to do wiadomości niż zgodzić się z twoją sugestią.

– To nie jest sugestia, lecz prawda. Dowiem się, czego chcę się dowiedzieć, niezależnie od tego, ile czasu zajmą mi poszukiwania ani komu przy okazji nadepnę na odcisk.

Wyjęła z kieszeni płaszcza papierosy i zapalniczkę.

– Widzę.

– Gdzie byłaś szesnaście lat temu, Hopp?

– Ja? – Zrobiła okrągłe oczy. – Na litość boską, Ignatioucie, naprawdę myślisz, że wdrapałam się na No Name z Patem i wbiłam mu czekan w pierś? Był dwa razy większy ode mnie.

– Ale nie od twojego męża. Jesteś twardą kobietą, Hopp. Zrobiłaś bardzo dużo, żeby zrealizować w Lunacy wizję swojego męża. Mogłaś też dużo zrobić, żeby chronić jego imię.

– Jak możesz mówić coś takiego? Jak możesz mówić coś takiego o człowieku, którego nawet nie znałeś?

– Gallowaya też nie znałem. Ty tak.

Z wściekłością cofnęła się o krok, potem odwróciła się na pięcie, wbiegła na ratusz i głośno trzasnęła drzwiami.

Nate zdawał sobie sprawę, że ludzie szemrzą i gadają, dlatego starał się być widoczny. Zjadł kolację w Lodge. Sądząc po spojrzeniach rzuconych w jego stronę, doszedł do wniosku że jego słowa wypowiedziane podczas spotkania rozeszły się po Lunacy w tempie błyskawicy.

To dobrze. Nadszedł czas, żeby wywołać nieco zamieszania.

Charlene osobiście przyniosła mu łososia, potem usiadła po przeciwnej stronie stolika.

– Przez ciebie ludzie zaczynają się poważnie martwić.! – Tak?

– Ja też. – Wzięła jego kawę, upiła łyk i zmarszczyła nos. – Nie rozumiem, jak można pić kawę bez cukru.

Podsunał jej talerzyk z torebkami cukru.

– Obsłuż się, jeśli masz ochotę.

– Daj.

Rozdarła dwie torebki, wsypała cukier i zamieszała go.

Miała na sobie błyszczącą, szarą spódniczkę uszytą z materiału, który łatwo przylega do ciała i dokładnie ukazuje kobiece kształty. Odczesiała do tyłu włosy,

żeby odsłonić wiszące w uszach srebrne kolczyki. Zastukała łyżeczką o brzeg kubka i spróbowała.

– Tak już lepiej. – Potem objęła kubek obiema dłońmi i wychyliła się w stronę Nate'a. – Kiedy po raz pierwszy dowiedziałam się o Pacie, byłam trochę roztrzęsiona. Uwierzyłabym ci nawet wtedy, gdybyś powiedział, że to Chudy Jim wbił Patowi czekan w pierś... chociaż pojawił się tu dopiero pięć albo sześć lat po jego zniknięciu. Potem nieco się uspokoiliam.

– Cieszę się – powiedział Nate, nie przerywając jedzenia.

– Może pomogła mi świadomość, że mogę go tu sprowadzić i pochować. Lubię cię, Nate, chociaż wyraźnie nie przypadłam ci do gustu. Lubię cię wystarczająco, by ci powiedzieć, że w ten sposób nikomu nie wyświadczasz przysługi.

Nate rozsmarował masło na bułce.

– W jaki sposób, Charlene?

– Wiesz dobrze, o czym mówię: o tych gadkach, że między nami jest morderca. Dużo się mówi na ten temat, być może w końcu ludzie zaczną nawet w to wierzyć. Wtedy ucierpią nasze interesy. Turyści nie przyjadą do Lunacy, jeśli będą się obawiali, że ktoś może ich tu zamordować w środku nocy.

– Cissy?! – zawołał, nie odrywając wzroku od Charlene. – Czy mogę poprosić o następny kubek kawy? Czy wszystko właśnie do tego się sprowadza, Charlene? Do pieniędzy? Do zestawienia zysków i strat?

– Musimy jakoś zarabiać na życie. Bez tego...

Urwała, gdy Cissy postawiła na stole drugi kubek i napełniła go kawą.

– Podać ci coś jeszcze, Nate?

– Nie, dzięki.

– W lecie robimy tu całkiem niezły interes. Musimy, jeśli nie chcemy przez całą zimę żyć na garnuszku państwa, a zimy są tu bardzo, bardzo długie. Muszę być rozsądna, Nate. Pat odszedł. Max go zabił. Nie pozwolę, żeby to zmieniło mój stosunek do Carrie. Kusiło mnie, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Max pewnie szukał tematu do swojej powieści, artykułu albo jakiegoś innego gówna, a Pat uznał, że może przy okazji przeżyć przygodę i zarobić kilka dolarów. Ta góra potrafi doprowadzić człowieka do szaleństwa. Tak właśnie się stało.

Kiedy nic nie powiedział, dotknęła dłonią jego ręki.

– Myślałam o tamtym okresie, jak mnie poprosiłeś. Przypomniałam sobie, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku Max długo nie pojawiał się

w Lodge. Miesiąc... może dłużej. Hotel był wówczas jedynym miejscem w całej okolicy, gdzie można było dostać gorący posiłek, a Max należał do stałych klientów. Obsługiwałam go niemal co wieczór, ale długo nie przychodził.

Bezwiednie sięgnęła do talerza Nate'a i odłamała sobie kawałek jego bułki.

– Kilka razy składał zamówienie telefonicznie – ciągnęła, skubiąc pieczywo. – Nigdy nie dostarczaliśmy dań na podany adres i do dziś tego nie robimy, ale Karl miał dobre serce. Osobiście zawoził jedzenie do redakcji. Powiedział mi potem, że Max wygląda na chorego i z lekka stukniętego. Nie zwracałam wówczas na to uwagi. Myślałam o Pacie i starałam się powiązać koniec z końcem. Prosiłeś mnie, żebym cofnęła się pamięcią wstecz. Cofnęłam się i przypominałam sobie właśnie to.

– W porządku.

– Nie słuchasz mnie.

– Słyszałem każde twoje słowo. – Popatrzył jej w oczy. – Kto oprócz niego rzadziej bywał wtedy w Lodge?

Westchnęła z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Nie wiem, Nate. Zastanawiałam się tylko nad Maxem, dlatego że on nie żyje. Wtedy nagle sobie przypominałam, że Carrie i ja obie wyszłyśmy tego lata za mąż. Kilka miesięcy po zniknięciu Pata. To właśnie skłoniło mnie do refleksji.

– W porządku. W takim razie teraz pomyśl o ludziach, którzy wciąż żyją.

– Myślę o tobie. – Wybuchnęła śmiechem i machnęła ręką. – Och, nie musisz od razu się usztywniać. Kobieta ma prawo myśleć o przystojnym mężczyźnie.

– Nie, jeśli jest zakochany w jej córce.

– Zakochany? – Zabębniła palcami po stoliku. – Chyba bardzo lubisz pakować się we wszelkiego rodzaju kłopoty. Powiedziałeś członkom rady miejskiej takie rzeczy, że teraz krzywo na ciebie patrzą. Wkurzyłeś Eda i Hopp, a teraz mówisz mi, że kochasz Meg. Odkąd zorientowała się, po co są faceci, nie związała się z żadnym na dłużej niż miesiąc.

– To znaczy, że na razie rekord należy do mnie.

– Rozerwie ci serce na kawałki, przeżuje je, a potem wypluje ci w twarz.

– Moje serce, moja twarz. Dlaczego to cię tak martwi, Charlene?

– Mam większe potrzeby niż ona. Większe, silniejsze. – Kiedy poruszyła głową, błysnęły kolczyki w jej uszach.

Meg nie potrzebuje nikogo ani niczego. Nigdy nie potrzebowała. Dawno temu

dała mi wyraźnie do zrozumienia, że mnie też nie potrzebuje. Wkrótce i tobie powie to wprost.

– Może się też okazać, że dam jej szczęście. Czy nie to właśnie tak bardzo cię martwi? Myśl, że Meg mogłaby w końcu być szczęśliwa?

Gwałtownie wysunął rękę i chwycił Charlene za nadgarstek, nie czekając, aż matka Meg chluśnie mu kawą w twarz.

– Zastanów się, nim popełnisz jakieś głupstwo – szepnął. – Jeśli urządzisz mi scenę, ty wyjdiesz na idiotkę, nie ja.

Wyskoczyła jak szalona z boksu, potykając się, pokonała całą długość sali i wbiegła na schody.

Po raz drugi tego dnia Nate usłyszał głośnie trzaśnięcie drzwi.

Kończył kolację przy echu tego odgłosu.

Jadąc do domu Meg, miał nadzieję, że nim dotrze na miejsce, krew ostygnie mu w żyłach, a on sam zdoła się nieco otrząsnąć. Od kilku dni było szaro i pochmurnie, teraz na niebie pojawiły się błyszczące gwiazdy. Rożek księżycy wędrował nad czubkami drzew, a tuż nad ziemią snuła się delikatna mgiełka. Nate spojrzał na nagie drzewa. Na ziemi wciąż leżała gruba warstwa śniegu, ale na gałęziach już go nie było.

Część drogi wciąż była zalana, więc musiał objechać barierkę, a potem pokonać odcinek głębokiej na trzydzieści centymetrów wody.

W pewnym momencie usłyszał samotne, natarczywe wycie wilka. Może zwierzę właśnie wyruszało na polowanie. Albo w poszukiwaniu towarzyszki. Kiedy wilk zabija, zabija w określonym celu. Nie robi tego z chciwości ani dla zabawy.

Kiedy spółkuje, robi to, by dać życie.

Wycie ucichło. Nate jechał dalej w ciemności i ciszy.

Zobaczył dym, który unosił się z komina w domu Meg, usłyszał muzykę. Tym razem był to Lenny Kravitz.

Zatrzymał się za samochodem Meg, potem siedział przez chwilę w całkowitym bezruchu. Nagle zdał sobie sprawę, że pragnął tego bardziej, niż powinien. Przyjazdu do domu. Odpoczynku, otrząśnięcia się po trudnym dniu. Powrotu do domu, w którym jest muzyka, światło i kobieta.

Konkretna kobieta.

„Dom i ognisko domowe” – powiedziała Meg. No cóż, zdołała go rozszyfrować. Tak więc jeśli rzeczywiście koniec końców Meg przeżyje kawałki

jego serca i wypluje mu je w twarz, będzie mógł winić tylko siebie.

Gdy wchodził po schodach, otworzyła drzwi. Psy wyskoczyły z domu i zaczęły skakać wokół niego jak szalone.

– Cześć! Zastanawiałam się, czy trafisz dziś wieczorem do moich drzwi. – Uniosła głowę. – Wygląda pan na nieco zdenerwowanego, panie komendancie. Co pan robił?

– Zjednywałem sobie przyjaciół, popychałem ludzi do działania.

– No cóż, wejdź, przystojniaczku, napij się czegoś mocniejszego i opowiedz mi o tym.

– Chętnie.

Światło

Czy to tak mało cieszyć się słońcem,
Być radosnym na wiosnę,
Kochać, myśleć, działać;
Przyjaźnie kultywować i nie myśleć o wrogach?...

MATTHEW ARNOLD

...nie palmy świec w dzień.

WILLIAM SZEKSPIR
(przeł. Józef Paszkowski)

– Proszę się poczęstować, panie komendancie.

Ledwo Nate zdążył stanąć w drzwiach, Peach podała mu słodką bułeczkę i kubek kawy.

– Jeśli nadal będziesz piekła takie pyszności, wkrótce nie zmieszczę się na krześle przy biurku.

– Żeby podtuczyć twój drobny, śliczniutki tyłeczek, nie wystarczą słodkie bułeczki. Poza tym to łapówka. Chciałabym jutro przedłużyć sobie przerwę na lunch o dodatkową godzinę... Należę do komitetu, który przygotowuje obchody związane z Pierwszym Maja. Podczas jutrzejszego spotkania mamy opracować plan parady.

– Parady?

– Z okazji Pierwszego Maja, Nate. Możesz sprawdzić w swoim kalendarzu. Zostało już niewiele czasu.

Maj – pomyślał. Tego ranka przez chwilę bawił się na podwórku z psami Meg. W śniegu po kostki.

– Pierwszego Maja?

– Nawet gdyby rozpętało się piekło albo przyszła duża woda, parada i tak się odbędzie. Maszeruje w niej orkiestra szkolna. Rdzenni mieszkańcy Alaski zakładają indiańskie stroje i grają na indiańskich instrumentach. Defilują wszystkie drużyny sportowe i uczennice szkoły baletowej Doily Manners. Więcej ludzi idzie w pochodzie, niż go ogląda, ale w końcu mamy jeszcze turystów i osoby, które przyjeżdżają z zewnątrz.

Poprawiła sztuczne żonkile we flakonie.

– To dobra pora na przyjazd tutaj, a w ostatnich latach dodatkowo dawaliśmy ogłoszenia w prasie. W tym roku będzie ich jeszcze więcej, poza tym próbujemy zwrócić uwagę mediów i kogo tylko się da. Charlene umieściła wszystkie informacje na stronie internetowej Lodge i już zaczyna robić rezerwacje. Hopp stara się, żeby napisano o nas w kolorowych czasopismach na stronach poświęconych wydarzeniom kulturalnym.

– Nie żartujesz? To aż takie ciekawe wydarzenie?

– Prawdę mówiąc, ono rzeczywiście jest bardzo ciekawe. Trwa przez cały dzień. Wieczorem palimy ognisko i gra muzyka. Gdy jest kiepska pogoda, przenosimy się do Lodge.

– Rozumiem, palicie ognisko w Lodge. Żartobliwie uszczypnęła go w ramię.

– Wtedy jest tylko muzyka.

– Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz.

Wielka parada – pomyślał Nate. Rezerwacje w Lodge, dodatkowe posiłki, mnóstwo klientów w „Sklepie na Rogu”, prezentacja prac miejscowych artystów i rzemieślników. Więcej pieniędzy, więcej kont w banku, ruch na stacji benzynowej. Wydłużony sezon turystyczny.

Można go znacznie skrócić, zbyt nagłaśniając sprawę morderstwa.

Nate uniósł głowę, gdy na posterunku pojawił się Otto.

– Wydawało mi się, że masz dzisiaj wolny dzień.

– Taak.

Nate dostrzegł coś dziwnego w oczach zastępcy, ale nie zwracał na to zbytnej uwagi.

– Wpadłeś na słodkie bułeczki?

– Nie. – Otto wyjął brązową kopertę. – Napisałem, gdzie byłem i co robiłem w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, w nocy, kiedy zabity został Max, i wieczór, kiedy ktoś poderżnął gardło Yukonowi. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli sam ci to dam, zanim mnie poprosisz.

– Wejdiesz do mojego biura?

– Wcale nie musze.. To dla mnie żaden problem. – Wydał policzki. – No, może niewielki, ale wolę sam to zrobić niż czekać, aż poprosisz. Nie mam stuprocentowego alibi na żadną z tych sytuacji, ale wszystko napisałem.

Nate odstawił bułeczki i wziął do ręki kopertę.

– Dziękuję, Otto.

– Wybieram się na ryby. Wyszedł, po drodze mijając Petera.

– Niech to diabli! – mruknął Nate.

– Wpakowałaś się w niezłą kabałę. – Peach pogłaskała go po ramieniu. – Musisz zrobić, co konieczne, nawet jeśli przy okazji zranisz kilka osób i wyprowadzisz kogoś z równowagi.

– Masz rację.

– Hmmm – Peter spojrzał najpierw na jedno, potem na drugie z nich. – Czy Otto jest o coś zły?

– Mam nadzieję, że nie.

Peter miał zamiar kontynuować temat, ale Peach szybko potrząsnęła głową.

– Spóźniłem się dzisiaj, ponieważ rano wpadł do nas mój wujek. Powiedział, że na północ od miasta, przy Hopeless Creek jakiś facet nielegalnie zajął stary domek myśliwski. Najzwyczajniej pod słońcem po prostu się do niego

wprowadził. Nikt się tym specjalnie nie przejmuję, ale wujek podejrzewa, że ten człowiek włamał się do jego komórki z narzędziami, a ciocia jest niemal w stu procentach pewna, że znika jej jedzenie ze spiżarni.

Peter wziął do ręki bułeczkę i ugryzł ją.

– Wujek – ciągnął dalej – nim nas dzisiaj rano odwiedził, podjechał tam osobiście sprawdzić, co jest grane. Facet wyszedł ze strzelbą i kazał mu się wynosić ze swojej posiadłości. Ponieważ wujek nie był sam, bo odprowadzał do szkoły moją kuzynkę Mary, nie wdawał się w żadne dyskusje.

– W porządku. Porozmawiamy z tym człowiekiem.

Nate odstawił nietkniętą kawę i położył kopertę Ottona na ladzie. Potem podszedł do szafki z bronią, wyjął dwie strzelby i rewolwer.

– Na wypadek, gdyby rozmowa nie poskutkowała – wyjaśnił Peterowi.

Słońce było jasne i ciepłe. Aż nie chciało się wierzyć, że zaledwie kilka tygodni temu o tej samej porze panowały jeszcze egipskie ciemności. Zimna, błękitna rzeka wiła się wzdłuż drogi, ostro kontrastując z białym śniegiem, który leżał na jej brzegach. Góry odcinały się na tle nieba jak monumentalna szklana rzeźba.

Nate dostrzegł orła, który przysiadł na słupie milowym, niczym złocisty strażnik lasu widniejącego w tle.

– Od jak dawna domek myśliwski jest pusty?

– Odkąd sięgam pamięcią, nikt nigdy oficjalnie tam nie mieszkał. Chata jest zaniedbana i stoi zbyt blisko strumienia, dlatego każdej wiosny jest podtapiana. Być może od czasu do czasu nocują w niej turyści, korzystają z niej też dzieciaki z Lunacy... no wie pan, do czego. Komin wciąż stoi, więc można palić w piecu. Chociaż kopci jak diabli.

– To znaczy, że korzystałeś z tego domku... no wiesz, do czego.

Chociaż Nate się uśmiechnął, na policzkach Petera pojawiły się rumieńce.

– Może raz lub dwa. Podobno dawno, dawno temu wybudowało go dwóch cheechakos. Mieli zamiar w nim mieszkać i szukać złota w strumieniu. Chyba liczyli na to, że przeżyją dzięki zapomodze, a po roku przejdą na zasilek. Nie znałem ich. Jeden zamarzył, drugi podobno zwariował. Powiadają, że zjadł kawałek zmarłego kumpla.

– Smakowita opowiadka.

– A może to tylko chrzaniecie, ale rzeczywiście dodaje smaczku, kiedy zabiera się tam dziewczynę.

– Taak, to naprawdę romantyczne.

– Niech pan tu skręci – pokazał Peter. – Dojazd może być dość trudny.

Po trzech metrach podskakiwania i trzęsienia się na wąskiej, zasypanej śniegiem drożynie Nate uznał, że Peter jest mistrzem niedopowiedzeń.

Drzewa rosły tu gęsto i wyraźnie były spragnione słońca, dlatego jechało się jak w tunelu pełnym sadystycznych lodowych demonów.

Nate cofnął język w stronę gardła, żeby nie przyciąć go sobie na jakimś wyboju, i kurczowo trzymał kierownicę.

Nie nazwałby tego polanką. Na zamarzniętym brzegu niewielkiego strumienia stała waląca się chata z drewnianych bali, przykryta strzechą z gałązek wierzby i krzewów zimo-zielonych. Kuliła się w cieniu. Jedno okno miała zasłonięte okiennicą, drugie zaklejone na krzyż taśmą. Pochylona weranda wspierała się na kilku ceglach.

Przed domkiem myśliwskim stał brudny lexus z napędem na cztery koła, z tablicami rejestracyjnymi z Kalifornii.

– Skontaktuj się z Peach, Peterze, i każ jej sprawdzić te numery.

Kiedy Peter korzystał z krótkofalówki, Nate się zastanawiał. Z pochylonego komina unosił się dym. Na słupku przy drzwiach wisiał jakiś martwy ssak.

Nate odpiął broń, ale zostawił ją kaburze, po czym wysiadł z samochodu.

– Ani kroku bliżej! Drzwi chaty się otworzyły.

Z półmroku wyłonił się mężczyzna ze strzelbą.

– Jestem komendantem policji w Lunacy, nazywam się Burkę. Proszę opuścić broń.

– Guzik mnie obchodzi, kim pan jest i czego pan chce. Znam wszystkie wasze sztuczki, przekłęci kosmici. Nie nabierzecie mnie.

Kosmici – pomyślał Nate. Świetnie.

– Wszyscy przybysze z kosmosu w tym sektorze zostali pokonani. Na razie jest pan bezpieczny, chciałbym jednak, żeby opuścił pan broń.

– To pan tak twierdzi. – Mimo to mężczyzna zrobił następny krok. – Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan jednym z nich?

Nate próbował ocenić mężczyznę. Był po trzydziestce, miał ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył około siedemdziesięciu kilogramów. Brązowe włosy. Obląkane oczy o trudnym do określenia kolorze.

– Mam legitymację, ostemplowaną i potwierdzoną. Jeśli opuści pan broń, będę mógł podejść i pokazać ją panu.

– Jaką legitymację?

Mężczyzna sprawiał wrażenie zdezorientowanego, ale obniżył broń o dwa, może trzy centymetry.

– Tajnej Armii Obrońców Ziemi. – Nate próbował poważnie kiwnąć głową. – W obecnych czasach nigdy za dużo ostrożności.

– Wie pan, że oni mają błękitną krew? Zraniłem dwóch kosmitów, gdy ostatnim razem mnie chwycili.

– Dwóch? – Nate zmarszczył czoło, jakby był pod wrażeniem, jednocześnie z radością patrzył, jak strzelba znów obniża się o dwa centymetry. – W takim razie musimy wysłuchać pańskiego sprawozdania. Zabierzemy pana do kwatery i spisujemy pańskie zeznania.

– Nie możemy pozwolić, by wygrali.

– Nie pozwolimy.

Lufa strzelby skierowała się w dół. Nate zrobił krok do przodu.

To, co się stało potem, wydarzyło się za szybko. Takie rzeczy zawsze rozgrywają się za szybko. Nate usłyszał, że Peter otwiera drzwi samochodu i woła go po imieniu. Obserwował twarz mężczyzny, jego oczy – widział, co się w nich pojawiało. Panika, wściekłość, przerażenie. Wszystko naraz.

Szpetnie zaklął i krzyknął do Petera:

– Padnij!

Jednocześnie wyjął broń z kabury.

W powietrzu rozległ się huk, ptaki zerwały się z drzew. Przy drugim wystrzale Nate wskoczył pod auto.

Miał zamiar przeturlać się na drugą stronę, kiedy zauważył krew na śniegu.

– O Boże! Jezu Chryste! Peter! Nate poczuł, że przytłacza go ołów. Przez chwilę drżał pod jego ciężarem. Przypomniał sobie zapach zaułka: deszcz, psujące się śmieci. Krew.

Słyszał własny, przyspieszony oddech, czuł, że ogarnia go panika, ku własnej rozpaczy nie mógł przełknąć kluchy w drapiącym gardle. Dźwigając to wszystko ze sobą, czołgał się po śniegu.

Peter leżał przy otwartych drzwiach samochodu z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

– Chyba... chyba oberwałem.

– Trzymaj się.

Nate zacisnął palce na ramieniu Petera nad miejscem, gdzie przez

nadszarpniętą kurtkę sączyła się krew. Poczł ciepłą strużkę, serce w piersi tłuło się jak młot. Jednym okiem zerkając w stronę domku myśliwskiego, wyjął bandanę.

Nawet jeśli przez głowę przemykały mu słowa jakichś modlitw, nie rozpoznawał ich.

– Nie jest wcale tak źle, prawda?

Peter oblizał wargi i pochylił głowę, żeby popatrzeć na ranę. Nagle zbladł jak płótno.

– O kurczę!

– Posłuchaj mnie, Peterze! Posłuchaj!

Nate związał mocno bandanę nad raną i poklepał Petera po policzku, żeby nie zemdłał.

– Nie ruszaj się. Nic ci nie będzie.

Nie wykrwawi się. Nie umrze w moich ramionach. Nie będzie powtórki sprzed roku. Błagam, Boże!

Wyjął broń Petera z kabury i włożył ją chłopcu do ręki.

– Trzymasz?

– Jestem... jestem praworęczny. Ten drań postrzelił mnie w prawą rękę.

– Zawsze możesz użyć lewej. Jeśli tu przyjdzie, nie wahaj się. Posłuchaj mnie, Peterze. Jeśli on tu przyjdzie, strzelaj. Celuj w korpus. I strzelaj, póki napastnik nie upadnie.

– Panie komendancie...

– Po prostu zrób, co ci każę.

Nate z trudem przeturlał się na tyły samochodu, otworzył drzwi i wszedł do środka. Po chwili wyczołgał się stamtąd z obiema strzelbami. Słyszał, jak mężczyzna wrzeszczy we wnętrzu domku. Od czasu do czasu rozlegał się pojedynczy wystrzał.

Nate przeturlał się do Petera i położył mu na kolanach jedną ze strzelb.

– Nie mdlej. Słyszysz mnie? Musisz zachować przytomność!

– Tak jest, sir.

Nie miał po co dzwonić po wsparcie. To nie Baltimore, musi liczyć na siebie.

Przykucnął ze strzelbą w jednej ręce, ze służbowym rewolwerem w drugiej, przeskoczył przez zamarznęty strumień i wpadł między drzewa. Tuż nad nim rozprysnęła się kora. Jedna z drzazg świsnęła mu koło ucha, przy okazji raniąc go pod lewym okiem.

Dzięki Bogu, uwaga strzelającego skupiła się na nim, nie na Peterze.

Pod osłoną drzew Nate posuwał się naprzód w głębokim śniegu.

Jego partner został postrzelony! Jego partner leżał koło samochodu!

Z trudem oddychał, biegnąc po kolana w śniegu i zataczając krąg, by dostać się na tyły domku myśliwskiego.

Schował się za pniem i próbował ocenić sytuację. Zauważył, że chata nie ma tylnych drzwi, jedynie drugie okno z boku. Widział w szybie cień strzelającego, wiedział, że mężczyzna czeka, obserwuje każdy ruch na zewnątrz.

Nate naładował jedną ręką strzelbę i wypalił.

Szyba rozleciała się na kawałki, potem rozległ się krzyk i odgłos wystrzałów – odpowiedź na jego strzał. Nate zawrócił i po własnych śladach ruszył w stronę przednich drzwi chatki.

Krzyki i strzały dochodziły zza jego pleców, kiedy pokonywał strumień, przechodził przez lodowatą wodę i ogromnymi susami zbliżył się do wejścia.

Wpadł na wałącą się werandę i kopnął drzwi.

Obie lufy były wycelowane w mężczyznę. Gdzieś w głębi duszy Nate chciał, bardzo chciał wpakować w niego wszystkie kule. Zabić go, zabić tak jak tego drania z Baltimore. Drania, który zastrzelił jego partnera i zburzył całe jego życie.

– Czerwona.

Mężczyzna stojący w potwornie zaśmieconym domku nie odrywał wzroku od twarzy Nate'a.

– Pańska krew jest czerwona.

Opuścił strzelbę, opadł na brudną podłogę i wybuchnął płaczem.

Nazywał się Robert Joseph Spinnaker i był doradcą finansowym z Los Angeles. Ostatnio leczył się w szpitalu psychiatrycznym. Twierdził, że w ciągu minionych osiemnastu miesięcy wielokrotnie był porwany przez przybyszów z kosmosu, uważał, że jego żona jest klonem, a podczas służbowego spotkania zaatakował dwóch swoich klientów.

Od trzech miesięcy znajdował się na liście zaginionych.

Teraz spał w celi. Był spokojny, bo zobaczył kolor krwi Nate'a i Petera.

Nate zamknął go i natychmiast pobiegł do przychodni, a potem niespokojnie krążył po poczekalni, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Sto razy odtworzył w myślach całe wydarzenie i za każdym razem dostrzegał, że mógł zrobić coś innego, coś, dzięki czemu Peter nie odniósłby ran.

Kiedy Ken wyszedł z gabinetu, Nate siedział na krześle i trzymał się za głowę. Natychmiast się poderwał.

– Bardzo źle?

– Rany postrzałowe nigdy nie są miłe, ale, do jasnej cholery, mogło być znacznie, znacznie gorzej. Dobrze by było, gdyby Peter przez jakiś czas nosił temblak. Miał szczęście, że to mały kaliber. Jest trochę słaby i oszołomiony. Zatrzymam go na kilka godzin na obserwacji, ale nic mu nie będzie.

– To dobrze. – Nate poczuł, że uginają się pod nim kolana. Usiadł. – To bardzo dobrze.

– Wejdz. Opatrzę ci rany na twarzy.

– To tylko drobne zadrapania.

– Ta pod okiem wygląda na dość głęboką. Chodź, nie kłóć się z lekarzem.

– Mogę go zobaczyć?

– Teraz jest u niego Nita. Zobaczysz się z nim, jak założę ci opatrunek.

Ken wprowadził Nate'a do gabinetu i kazał mu usiąść na kozetce.

– Wiesz – powiedział, przemywając mu rany – byłoby głupio, gdybyś miał do siebie pretensje.

– Peter jest zielony jak szczypiorek na wiosnę, tymczasem zabrałem go ze sobą, chociaż sytuacja była bardzo niepewna.

– To znaczy, że nie masz zbyt dużego szacunku dla niego ani dla pracy, którą wykonuje.

Nate syknął, ponieważ poczuł pieczenie pod okiem.

– To jeszcze dziecko.

– Nie. Mężczyzna. Dobry mężczyzna. Tymczasem twoje słowa pomniejszają rangę tego, co się dzisiaj wydarzyło i co... zrobił.

– Wstał i ruszył do drzwi za mną. Ledwo trzymał się na nogach, a jednak przyszedł, żeby dać mi wsparcie.

Nate popatrzył w oczy Kenowi, który właśnie mocował mu opatrunek.

– Był ranny, mimo to wszedł do chaty, żeby mi pomóc. Więc może to ja się nie spisałem?

– Świetnie się spisałeś. Wiem to z relacji Petera. W jego mniemaniu jesteś bohaterem. Jeśli chcesz mu się odwdziżyć, nie rozczaruj go. Gotowe. – Ken się cofnął. – Będziesz żył.

Gdy Nate wyszedł, w poczekalni czekała już Hopp, a wraz z nią rodzice Petera oraz Rosę. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Odpoczywa. Dobrze się czuje – zapewnił ich Ken. Nate się nie zatrzymał.
– Ignatiouse! – Hopp pobiegła za nim. – Chcę wiedzieć, co się stało.
– Wracam na posterunek.
– W takim razie idę z tobą, po drodze mi opowiesz. Chcę to usłyszeć bezpośrednio z twoich ust, a nie ze sprzecznych relacji, które krążą po miasteczku.

Związła jej to opowiedział.

– Mógłbyś zwolnić? Masz nogi dłuższe niż ja całe ciało. Jak to się stało, że masz rany na twarzy?

– Odpryski z drzewa. Fruwający kawałek kory, to wszystko.

– Kory, która fruwała, ponieważ ten człowiek do ciebie strzelał, tak? Na litość boską!

– Prawdopodobnie dzięki zadrapaniom na mojej twarzy Spinnaker i ja wciąż żyjemy. Na szczęście okazało się, że mam czerwoną krew.

Peter też – pomyślał. Tego dnia stracił dużo czerwonej krwi.

– Przyjedzie po niego policja stanowa?

– Peach próbuje się z nimi skontaktować.

– Dobrze. – Zaczerpnęła powietrza. – Uciekł trzy miesiące temu, poza tym jest szalony. Bóg jeden raczy wiedzieć, od jak dawna nielegalnie mieszkał w domku myśliwskim. To on mógł zabić biednego Yukona. Naprawdę trudno to wykluczyć.

Nate sięgnął do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne i włożył je na nos.

– Mógł, ale tego nie zrobił.

– Ten człowiek jest szalony, a zabicie psa było czystym szaleństwem. Mógł pomyśleć, że Yukon jest kosmitą w psim przebraniu. To ma sens, Ignatiouse.

– Tylko wtedy, jeśli uwierzysz, że szaleniec wkradł się do miasta, wyciągnął z podwórka starego psa, przyciągnął go przed ratusz, podciął mu gardło... a wcześniej skradł nóż myśliwski. Moim zdaniem to zbyt skomplikowane, Hopp.

Chwyciła go za ramię i zatrzymała.

– Może chcesz wierzyć, że było inaczej. Może dzięki przekonaniu, że było inaczej, masz w co wbić zęby. Zająć się czymś więcej niż przerywaniem bijatyk albo pilnowaniem, żeby Pijany Mike nie odmroził sobie swojego żalosego tyłka. Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że łączysz wszystkie trzy wydarzenia i szukasz między nimi mordercy, ponieważ chcesz, żeby tak

właśnie było?

– Nie chcę, żeby tak właśnie było. Naprawdę tak jest.

– Cholerny uparciuch... – Zaciśnęła zęby i odwróciła się, chcąc opanować złość. – Sytuacja się nie uspokoi, jeśli bez przerwy będziesz mieszał ludziom w głowach.

– Sytuacja się nie uspokoi, póki sprawa nie zostanie rozwiązana. Muszę napisać raport.

Nate spędził noc na posterunku, z całą powagą starając się słuchać opowieści Spinnakera na temat jego kontaktów z przybyszami z kosmosu. Nie mogąc zamknąć ust więźniowi, zrobił jedyną rzecz, która nieco uspokajała Spinnakera – siedział przed celą i robił notatki.

Z prawdziwą radością następnego ranka powitał policję stanową, która przyjechała po więźnia.

Był zaskoczony, widząc Cobena.

– Może powinien pan, sierzancie, zastanowić się nad wynajęciem tu jakiegoś pokoju.

– Uznałem, że dzięki temu uda mi się swobodnie pogadać z panem w naszej sprawie. Wejdzmy na chwilę do pańskiego biura.

– Jasne. Mam dla pana papiery związane ze Spinnakerem. Nate wszedł do biura i wziął papiery.

– Atak z bronią w ręku na oficera policji, i tak dalej. Psychiatrzy na pewno zażądadają złagodzenia wyroku, ale to nie zmienia faktu, że mój zastępca został postrzelony.

– Jak on się czuje?

– Dobrze. Jest młody, silny. Dostał w najbardziej umięśnioną część ramienia.

– Zawsze, kiedy uda się przeżyć coś takiego, można mówić o dużym szczęściu.

– Też tak sędzę.

Coben podszedł do tablicy.

– Wciąż pan bada tę sprawę?

– Tak. Robię to nadal.

– Jakieś postępy?

– Zależy, jak na to spojrzeć.

Coben zaciśnął usta i odchylił się na piętach.

– Martwy pies? Wiąże pan to z tamtymi wypadkami?

– Każdy musi mieć jakieś hobby.

– Proszę posłuchać. Nie jestem do końca zadowolony z wyniku tej sprawy, ale mam związane ręce. Zresztą dużo zależy od tego, pod jakim kątem się na to spojrzy. Możemy założyć, że w górach, w czasie kiedy zamordowany został Galloway, był jakiś trzeci, niezidentyfikowany mężczyzna. Co nie oznacza, że to on zabił Gallowaya ani że o tym wiedział. Nie oznacza również, że wciąż żyje, ponieważ logika podpowiada, że ten, kto zabił Gallowaya, powinien również pozbyć się niewygodnego świadka.

– To niemożliwe, jeśli był nim Hawbaker.

– Nawet jeśli tak – ciągnął Coben – to, do jasnej cholery, wcale nie oznacza, że niezidentyfikowany trzeci mężczyzna ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Hawbakera... albo śmiercią psa. Próbowałem po cichutku dowiedzieć się, kim mógł być trzeci mężczyzna, ale mi się nie udało.

– Pilot, który ich zawiózł, został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Nie ma na to dowodu. Przyjrzałem się tej sprawie. W czasie między śmiercią Gallowaya a własną Kijinski spłacił część starych długów i zaciągnął nowe. Dlatego to nie ma znaczenia, daję panu słowo. Poza tym nikt nie może potwierdzić, że właśnie on ich zabrał.

– Ponieważ wszyscy oprócz jednego nie żyją.

– Nie ma żadnych zapisków, żadnych dokumentów lotów. Nic. Żadna z osób, które znały Kijinskiego i chciały się do tego przyznać, nie pamięta, czy odbywał taki lot. Rzeczywiście mógł być pilotem, ale nawet jeśli tak, można założyć, że Hawbaker pozbył się i jego.

– Może to nawet logiczne wyjaśnienie, tyle że Max Hawbaker nie zabił trzech mężczyzn. Co więcej, nie wstał z grobu, żeby poderżnąć gardło psu.

– Nie ma znaczenia, co mówią pańskie przecucia. Potrzebuję czegoś konkretnego.

– Proszę dać mi czas – poprosił Nate.

Dwa dni później Meg weszła na posterunek, machnęła ręką do Peach i skierowała się prosto do biura Nate'a. Nie zwalniając kroku, jedynie zerknęła na tablicę.

– W porządku, przystojniaczku. Zabieram cię na wagary.

– Słucham?

– Nawet bardzo gorliwi, pracowici i oddani gliniarze od czasu do czasu robią

sobie wolne. Właśnie przyszła kolej na ciebie.

– Peter jest uziemiony. Mamy o jednego pracownika mniej.

– A ty siedzisz za biurkiem i rozmyślasz nad całym wydarzeniem oraz wszystkim innym. Powinien pan odświeżyć pałę, panie Burke. Jeśli coś się wydarzy, wrócimy.

– Skąd?

– To niespodzianka. Peach! – zawołała, ruszając w stronę wyjścia. – Twój szef bierze sobie wolny dzień. Jak to się mówi? Dzień na załatwienie spraw osobistych.

– Przydałoby mu się.

– Zastąpisz go, Otto, prawda?

– Meg... – zaczął Nate.

– Peach, kiedy po raz ostatni pan komendant miał wolny dzień?

– Z tego, co pamiętam, trzy tygodnie temu, może więcej.

– Czas na odświeżenie pały, panie komendancie. – Meg zdjęła jego kurtkę z haczyka. – Mamy na to wspaniały dzień.

Zabrał jedną z krótkofalówek.

– Godzinę.

Meg uśmiechnęła się.

– Na początek dobre i to.

Kiedy zauważył przy pomocy jej samolot, zamarł w bezruchu.

– Nie mówiłaś, że w celu odświeżenia pały mamy gdzieś lecieć.

– To najlepszy sposób. Gwarantowany.

– Czy nie moglibyśmy się po prostu przejechać, pokochać na tylnym siedzeniu samochodu? Moim zdaniem to bardzo dobry pomysł.

– Zaufaj mi.

Zdecydowanie trzymała go za rękę, drugą musnęła zadrapanie pod okiem.

– Jak się goi?

– Skoro już o tym wspomniałaś, prawdopodobnie nie powinienem latać z taką raną.

Ujęła dłońmi jego twarz, nachyliła się i pocałowała go.

– Chodź ze mną, Nate. Chcę się z tobą czymś podzielić.

– No cóż, skoro stawiasz sprawę w taki sposób... Wsiadł do samolotu i zapiął pasy.

– Wiesz, nigdy nie startowałem z wody. To znaczy z wody... w stanie

płynnym. Wciąż jest jeszcze trochę lodu. Nie byłoby dobrze wjechać na lód?

– Mężczyzna, który stawia czoło uzbrojonemu pacjentowi szpitala psychiatrycznego, nie powinien bać się latania.

Pocałowała palce, stuknęła nimi w zdjęcie Buddy’ego Holly’ego i zaczęła ślizgać się po wodzie.

– Trochę przypomina to jazdę na nartach wodnych, chociaż nie do końca – wydukał Nate.

Wstrzymał oddech, gdy Meg nabrała prędkości i powoli uniosła stalowego ptaka w przestworza.

– Wydawało mi się, że miałaś być dzisiaj zajęta – powiedział, gdy uznał, że może bezpiecznie oddychać.

– Oddałam swoje zlecenie Palantowi. Później podrzuci zaopatrzenie. Jest tam sporo rzeczy zamówionych na paradę, łącznie z pudłem pełnym środków na komary.

– Ty i Palant zajmujecie się rozprawdzaniem środków na owady?

Zerknęła w jego stronę.

– To mutanty, przystojniaczku. Przeżyłeś pierwszą zimę na Alasce. Teraz zobaczymy, jak sobie poradzisz w lecie. Z komarami ogromnymi jak B-pięćdziesiąt dwa. Na pewno nie wyjdiesz z domu na dwa kroki bez środka przeciw komarom.

– Może rzeczywiście będę stosował środki przeciw komarom, ale z całą pewnością nie mam zamiaru jeść eskimoskich lodów. Jesse mówi, że robi się je z tłuszczu fok.

– Oleju – uściśliła ze śmiechem. – Z oleju z fok albo sadła łośia. I wcale nie są takie złe, jeśli wymiesza się to wszystko z jakimiś jagodami i cukrem.

– Wierzę ci na słowo, ponieważ nie jadam sadła łośia. Nawet nie wiem, co to, do diabła, jest.

Ponownie się uśmiechnęła, bo dostrzegła, że wyraźnie się rozluźnił i z radością spoglądał w dół.

– Ładnie tu, prawda? Widać rzekę, lód, a w dali miasteczko.

– Wygląda na takie spokojne.

– Ale to miasteczko wcale nie jest spokojne. Dzikie tereny oglądane z powietrza też pozornie wyglądają na spokojne. Spokojne i ciche. Surowe piękno. Nie ma tam jednak ani ciszy, ani spokoju. Natura jest w stanie zabić człowieka w ciągu minuty i ma na to o wiele bardziej wymyślne sposoby niż ten

wariat ze strzelbą. Co jednak nie umniejsza jej piękna. Nie mogłabym mieszkać nigdzie indziej. Nie mogłabym być nigdzie indziej.

Przeleciała nad rzeką i jeziorem. Nate widział stopniowy pochód wiosny. Tam, gdzie słońce zdołało roztopić śnieg, pojawiły się pierwsze plamy zieleni. Ze stromego klifu spadał wodospad, a w głębokim cieniu połyskiwał lód.

Pod nimi niewielkie stadko łosi wędrowało powoli przez zaśnieżoną równinę. Powyżej niebo przypominało błękitną wstęgę.

– Jacob w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku przebywał w okolicach Lunacy. – Meg zerknęła na Nate'a. – Chcę wyjaśnić tę sprawę i mieć to z głowy. Kiedy ojciec odszedł, Jacob często mnie odwiedzał. Nie wiem, czy Pat go o to prosił, czy po prostu Jacob uważał to za coś naturalnego. Czasami zdarzało się, że nie widziałam go kilka dni, ale nie dłużej niż tydzień, czyli za krótko, żeby mógł pójść wtedy w góry z moim ojcem. Chciałam, żebyś koniecznie o tym wiedział, na wypadek gdybyś chciał poprosić go o pomoc.

– Minęło tyle lat.

– Taak, a ja byłam wtedy dzieckiem, ale to akurat dobrze pamiętam. Kiedy cofnęłam się pamięcią wstecz, dokładnie sobie wszystko przypomniałam. Częściej widywałam wtedy jego niż Charlene... mam na myśli pierwsze tygodnie po zniknięciu ojca. Zabrał mnie na łowienie ryb w przeręblu i na polowanie, a kiedy była burza śnieżna, przez kilka dni przebywałam u niego, w jego domu. Mówię ci to, ponieważ możesz mu zaufać, naprawdę.

– W porządku.

– A teraz spójrz na prawo.

Spojrzał. Lecieli na granicy światła, nad skrawkiem błękitnej wody, która była niebezpiecznie blisko. Nim Nate zdążył zaprotestować, zobaczył, jak gigantyczny odłam białobłękitnego świata odrywa się i osuwa między fale.

– Mój Boże!

– To jest aktywny lodowiec przybrzeżny, a zjawisko, które właśnie podziwiasz, to odrywanie się lodu od lodowca – wyjaśniła, gdy następne kawały lodu osuwały się do wody. – Ponieważ natura powtarza pewien cykl, myślę, że raczej należałoby to uznać za narodziny, nie za śmierć.

– Piękne. – Nate niemal przykleił nos do szyby. – Zdumiewające. Jezu, niektóre z tych bloków są tak duże jak dom.

Roześmiał się, gdy następna bryła lodu oderwała się od całości. Prawie nie odczuwał turbulencji, w które wpadł samolot.

– Ludzie dobrze mi płacą, żeby móc to zobaczyć. Gdy ich tu przywożę, większość czasu spędzają z oczami przyklejonymi do wzierników kamer wideo. Moim zdaniem postępują bez sensu. Jeśli chcą zobaczyć coś takiego na filmie, mogą równie dobrze go sobie wypożyczyć.

To nie tylko widowisko – pomyślał Nate – lecz również wspaniały spektakl. Także zamknięty cykl: dziki, nieuchronny, w jakiś sposób mityczny. Widoki: niesymetryczne bryły błękitnego lodu osuwające się do wody. Dźwięki: skrzypienie, łoskot, wystrzały, fontanny wody w zderzeniu z bryłami, białe, lśniące zbcze wzdłuż spienionego fiordu.

– Muszę tu zostać.

Zawróciła, żeby mógł przyjrzeć się widowisku z innej strony.

– Tu, w powietrzu?

– Nie.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej w sposób, który rzadko widziała. Spokojny, zrelaksowany.

– Tutaj. Ja też nie mógłbym żyć nigdzie indziej. Cieszę się, że już to wiem.

– Jest jeszcze coś innego, co powinieneś wiedzieć. Chyba się w tobie zakochałam.

Wybuchnęła śmiechem, gdy samolot zadrżał pod wpływem mocnego prądu powietrza, potem wzniosła się w przestworza, nie zwracając uwagi na fruujące wokół kawałki lodu.

Charlene zawsze bardzo lubiła wiosnę na Alasce. Odpowiadało jej, że dni stawały się coraz dłuższe i dłuższe, aż w końcu nie pozostawało właściwie nic, oprócz światła.

Zostawiła pracę papierkową na biurku, stanęła przy oknie i patrzyła na ulicę. Panował na niej spory ruch. Ludzie chodzili, jeździli, spacerowali. Byli to mieszkańcy miasteczka i turyści, ludzie z okolic, którzy przyjechali na zakupy albo w celach towarzyskich. Czternaście z dwudziestu pokoi w Lodge było zajętych, a w przyszłym tygodniu przez trzy dni nie będzie ani jednego wolnego łóżka. Potem jasny, niemal dwudziestoczterogodzinny dzień przyciągnie ludzi jak muchy do miodu.

Rokrocznie przez znaczną część kwietnia Charlene ciężko harowała, tak samo było w maju i potem aż do pierwszych mrozów.

Lubiła pracować, lubiła, gdy w jej hotelu i restauracji było tłoczno, nie przeszkadzał jej hałas i bałagan powodowany przez gości. Odpowiadały jej

pieniądze, które wydawali.

Rozkręciła niezły interes, prawda? Znalazła to, czego szukała... albo przynajmniej większość tego, czego szukała. Spojrzała na rzekę. Obecnie pływały po niej łodzie, które prześlizgiwały się między topniejącymi wysepkami lodu.

Charlene spojrzała za rzekę, na góry. Wciąż były białobłękitne, chociaż u ich podnóża powoli, bardzo powoli zaczynała się pojawiać zieleń. Wierzchołki tworzyły biały, błyszczący i wiecznie zamarznięty obcy świat.

Nigdy nie chodziła po górach. I nigdy nie będzie.

Wspinaczka wcale jej nie pociągała, ale inne rzeczy tak. Na przykład Pat. Kiedy pojawił się w jej życiu, poczuła nagłe wezwanie, głośnie, jakby jednocześnie odezwało się tysiąc trąb. Nie miała wtedy jeszcze siedemnastu lat i wciąż była dziewicą. Tkwiła wśród pól równinnej Ayowy, czekając, aż ktoś ją stamtąd zabierze.

Obecnie zdawała sobie sprawę, że była wówczas typową dziewczyną z farmy na środkowym zachodzie i rozpaczliwie szukała szansy na ucieczkę. Wykradała się z domu w chłodne wiosenne noce, żeby uciec do niego, żeby tarzać się z nim nago na delikatnej, zielonej trawie, wolna i beztroska jak szczenię. Tak rozpaczliwie się wtedy zakochała. Zapłonęła szaloną miłością, którą być może odczuwa się tylko wówczas, gdy ma się siedemnaście lat.

Uciekła z nim, opuściła dom, rodzinę, przyjaciół, wyrwała się ze świata, który tak dobrze знаła, i weszła do innego – do świata, który ograniczał się do tylnego siodełka harleya.

Och, znów mieć siedemnaście lat – westchnęła – i tyle odwagi co wtedy!

Żyli. Jak oni żyli! Jechali tam, gdzie chcieli, robili to, na co mieli ochotę. Pokonywali tereny rolnicze i pustynie, odwiedzali wielkie miasta i małe miasteczka.

Jak się okazało, wszystkie drogi, które wówczas pokonywali, prowadziły tutaj.

Potem wszystko się zmieniło. Charlene nie była pewna, kiedy właściwie nastąpiła zmiana. Czy wtedy, gdy uświadomiła sobie, że jest w ciąży? Byli tacy podnieceni, tak głupio podnieceni, że będą mieli dziecko. Wszystko się zmieniło, kiedy dotarli na Alaskę, a ona zorientowała się, że jest w ciąży. Kiedy powiedziała Patowi, że chce tu zostać.

„Jasne, Charley, nie ma sprawy. Możemy zatrzymać się tu na jakiś czas”.

„Jakiś czas” zamienił się w rok, potem dwa lata, dziesięć, i Boże, mój Boże,

nic już nie było takie samo, ponieważ to ona się zmieniała. Naciskała, poszturchiwała swojego cudownego, beztroskiego chłopca, strofowała go i namawiała, żeby stał się człowiekiem, jakim nigdy nie chciał być. Odpowiedzialnym, usatkwowanym mężczyzną. Kimś zwyczajnym.

Charlene doskonale wiedziała, że Pat został bardziej ze względu na Meg, ze względu na córkę, która była kropka w kropkę podobna do niego, a nie z powodu kobiety, która dała mu dziecko. Został, ale nigdy się nie usatkwował.

Miała do niego o to żal. Miała też żal do Meg. Czy mogło być inaczej? Zdecydowanie nie. W końcu to ona pracowała, prawda? To ona pilnowała, żeby cała trójka miała jedzenie na stole i dach nad głową.

Charlene wiedziała, że Pat zadawał się z dziwkami, ilekroć zniknął, żeby poszukać pracy, żeby oderwać się od rodziny, żeby wdrapać się na jakąś cholerną górę.

Mężczyźni jej pragnęli. Umiała sprawić, że każdy z nich jej pożądał, tymczasem jedyny, na którym jej naprawdę zależało, chadzał na dziwki.

Czy jego góry nie były następnymi dziwkami? Zimnymi, białymi dziwkami, które kusily go i odciągały od niej? Póki nie został we wnętrzu jednej z nich i tym samym nie opuścił Charlene na zawsze.

Udało jej się przetrwać. Udało jej się nie tylko przetrwać. Znalazła to, czego szukała. Przynajmniej większość tego, czego szukała.

Teraz ma pieniądze. Ma dom. Ma mężczyzn: młode, jędrne ciała, które rozgrzewają ją nocami.

Dlaczego w takim razie jest nieszczęśliwa?

Nie lubiła zbyt długich rozważań, badania własnego wnętrza i martwienia się tym, co tam znalazła. Lubiała żyć. Lubiała ruch i ciągle zmiany. Człowiek nie musi myśleć, kiedy tańczy.

Odwróciła się, lekko poirytowana pukaniem do drzwi.

– Proszę.

Na widok Johna rozpogodziła się i przywołała na usta kusicielski uśmiech.

– Cześć, przystojniaczku. Po zajęciach? Czyżby było już tak późno?

Poprawiła włosy i spojrzała na biurko.

– A ja śnię na jawie i tracę czas. Chyba muszę zejść na parter i sprawdzić, co Wielki Mike pitrasi dzisiaj na kolację.

– Chcę z tobą porozmawiać, Charlene.

– Jasne, skarbie. Dla ciebie zawsze znajdę czas. Zaparzę herbatę i usiądziemy

na chwilę.

– Nie rób tego.

– Dziecinko, wyglądasz tak poważnie, jakbyś się czymś martwił.

Podeszła do niego i pogłaskała go po policzkach.

– Oczywiście, wiesz, że kocham, gdy jesteś taki poważny. To bardzo seksowne.

– Nie rób tego – powtórzył, odsuwając jej rękę od swojej twarzy.

– Stało się coś złego? – Zacisnęła palce na jego dłoni.

Och, Boże, czy ktoś... lub coś... znów nie żyje? Chybabym tego nie zniosła!

– Nie. Nie o to chodzi. – Puścił jej rękę i cofnął się o krok. – Chciałem ci powiedzieć, że po zakończeniu roku szkolnego wyjeżdżam z Lunacy.

– Na wakacje? Wybierasz się w podróż, gdy na Alasce jest najpiękniej?

– Nie wyjeżdżam na wakacje. Wyjeżdżam na stałe.

– O czym ty mówisz? Na stałe? Na zawsze? To jakaś bzdura, Johnie.

Z jej twarzy zniknął kokieteryjny uśmiech, poczuła ostre, bolesne dźgnięcie w brzuchu.

– Dokąd się wybierasz? Co masz zamiar robić?

– Jest tyle miejsc, których nie widziałem, tyle rzeczy, których nie robiłem. Chcę je zobaczyć. Chcę je zrobić.

Czując, że serce zamiera jej w piersi, spojrzała w twarz człowieka, na którego zawsze mogła liczyć. Ci, którzy coś dla ciebie znaczą, odchodzą – szepnął jakiś wewnętrzny głos.

– Daj spokój, Johnie, przecież tu mieszkasz. Tu pracujesz.

– Będę mieszkał i pracował gdzie indziej.

– Nie możesz... dlaczego? Dlaczego to robisz?

– Powinienem zrobić to wiele lat temu, ale przez cały czas mi w tym przeszkadzałaś. Pora podążyc własną ścieżką. W ubiegłym tygodniu Nate odwiedził mnie w szkole. Powiedział coś, co skłoniło mnie do zastanowienia, do obejrzenia się wstecz... Tak, minęło już zbyt wiele lat...

Chciała wpaść w złość, zacząć krzyczeć, porozbijać coś, żeby w ten sposób uwolnić własne emocje, ale odczuwała jedynie tępy żal.

– Co Nate ma z tym wspólnego?

– On sprowokował zmianę. Można by powiedzieć, że jest kamieniem, który zmienia bieg strumyka. Wyobraź sobie, Charlene, że dryfujesz, płyniesz jak woda w strumieniu, i nie dostrzegasz zbyt wyraźnie, co dzieje się dookoła.

Dotknął jej włosów, potem opuścił rękę.

– Potem nagle do strumienia wpada kamień i zmienia dotychczasowy kształt koryta. Zmienia wszystko. Może tylko w niewielkim stopniu, a może znacznie. Wtedy nic już nie wygląda tak jak dotychczas.

– Nigdy nie rozumiem, kiedy opowiadasz takie historie. – Wydęła wargi, odwróciła się i kopnęła biurko, po czym uśmiechnęła się na widok własnego głupiego gestu. – Woda, kamień, strumień. Co to ma wspólnego z faktem, że przychodzisz do mnie i zaczynasz mówić o wyjeździe? Odchodzisz. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, co ja czuję?

– Zbyt często, by wyszło mi to na dobre. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Wiedziałaś o tym.

– Ale już mnie nie kochasz?

– Kocham. Wtedy, teraz, zawsze. Kochałem cię, gdy byłaś z innym mężczyzną. Gdy on odszedł, pomyślałem: „Teraz przyjdzie do mnie”. Przyszłaś. Przynajmniej do mojego łóżka. Oddałaś mi swoje ciało, ale wyszłaś za męża za innego. Chociaż wiedziałaś, że cię kocham, wyszłaś za kogoś innego.

– Nie mogłam postąpić inaczej. Musiałam podchodzić praktycznie do całej sprawy.

Tym razem naprawdę czymś rzuciła. Los padł na kryształowego łabędzia, ale zniszczenie bibelotu nie dało jej satysfakcji.

– Musiałam zabezpieczyć się na przyszłość.

– Byłbym dla ciebie dobry. Byłbym dobry dla Meg, ale ty podjęłaś inną decyzję. Wybrałaś to. – Rozłożył ręce, jakby chciał objąć cały hotel. – Zasłużyłaś sobie na to. Ciężko na niego pracowałaś. Rozkręciłaś wspaniały interes. Kiedy Karl żył, wciąż do mnie przychodziłaś. Pozwoliłem ci. Przychodziłaś do mnie i do innych.

– Karlowi wcale nie chodziło o seks albo prawie wcale. Potrzebna mu była partnerka, ktoś, kto zajmie się nim i jego interesem. Zrobiłam, co do mnie należało – zapewniła rozgorączkowana. – Zawarliśmy taką umowę.

– Troszczyłaś się o Karla i jego interes, a kiedy umarł, nadal zajmowałaś się hotelem. Nie pamiętam już, ile razy prosiłem cię o rękę, Charlene, i ile razy odrzucałaś moje oświadczenia. Ile razy widziałem, jak idziesz do łóżka z kimś innym albo przychodzisz do mnie, ponieważ nie masz pod ręką nikogo młodszego. Koniec z tym.

– Odchodzisz, ponieważ nie chcę wyjść za ciebie za męża?

– Kilka dni temu przespałaś się z facetem z grupy myśliwych. Takim wysokim, ciemnowłosym...

Uniosła gwałtownie głowę.

– No to co?

– Jak miał na imię?

Otworzywszy usta, nagle zdała sobie sprawę, że ma pustkę w głowie. Nie przypomina sobie twarzy, a tym bardziej imienia, prawie nie pamięta pocałunków w ciemności.

– Kto by się tam przejmował – warknęła. – Chodziło mi tylko o seks.

– Nie dowiesz się, kim jesteś, zabawiając się z bezimiennymi facetami o połowę młodszymi od siebie, ale jeśli nadal masz zamiar szukać, nie mogę cię przed tym powstrzymać. To było dla mnie jasne od samego początku. Nie muszę jednak na zawsze pozostawać w odwodzie.

– W takim razie idź sobie. – Wzięła z biurka plik papierów i wyrzuciła je w powietrze. – Guzik mnie to obchodzi.

– Wiem. Gdyby cię obchodziło, gdyby naprawdę cię obchodziło, nie odszedłbym.

Opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi.

Nate nie mógł się nacieszyć światłem. Wciąż było mu go za mało. Niezależnie od tego, jak długo trwał dzień, zawsze chciał więcej. Czuł, jak promienie słoneczne przenikają jego ciało i kości, napęniają go energią.

Od wielu dni nie miał koszmarów sennych.

Budził się w świetle dnia, przez cały dzień pracował i chodził w promieniach słońca. Myślał w jasności i jadł w jasności, kąpał się w niej.

Każdego dnia, patrząc, jak słońce chowa się za wierzchołkami gór, wiedział, że za kilka godzin wstanie.

Wciąż jednak zdarzały się noce, kiedy wykradał się z łóżka Meg i wychodził w towarzystwie psów, żeby przyjrzeć się zorzy płonącej na nocnym niebie.

Wciąż czuł ranę, która wyraźnie pulsowała pod bliznami w głębi jego ciała, ale teraz już wiedział, że rana się goi. Miał nadzieję, na Boga, że tak jest. Do pewnego stopnia zaakceptował to, co stracił, i otwierał się na wszystko, co mógł mieć.

Po raz pierwszy od opuszczenia Baltimore zadzwonił do żony Jacka, Beth.

– Chciałem się dowiedzieć, jak ci leci. Tobie i dzieciakom.

– Jakoś sobie radzimy. Prawdę mówiąc, całkiem nieźle. Minał rok od...

Wiedział o tym. Pamiętał, że właśnie minął rok.

– Dzisiaj jest mi trochę ciężko. Poszliśmy rano na jego grób, zanieśliśmy mu kwiaty. Zawsze najtrudniejsze jest wszystko, co zdarza się pierwszy raz. Pierwsze wakacje, pierwsze urodziny, pierwsza rocznica. Potem człowiek jakoś przez to przechodzi i z czasem jest mu coraz łatwiej. Myślałam... miałam nadzieję, że dzisiaj zadzwonisz. Cieszę się, że cię słyszę.

– Nie byłem pewien, czy będziesz chciała ze mną rozmawiać.

– Tęsknimy za tobą, Nate. Ja i dzieci. Martwię się o ciebie.

– U mnie też wszystko w porządku. Znacznie lepiej.

– Powiedz mi, jak tam jest. Czy okropnie zimno i spokojnie?

– Prawdę mówiąc, dzisiaj jest około zera. A jeśli chodzi o spokój... – zerknął na tablicę. – Taak. Taak, jest stosunkowo spokojnie. Trochę wezbrała rzeka. Nie tak bardzo jak na południowym wschodzie, ale i tak mieliśmy trochę dodatkowej roboty. Na Alasce jest naprawdę pięknie.

Odwrócił się do okna.

– Tutejsze widoki nie przypominają niczego, co człowiek może sobie wyobrazić. Trzeba to osobiście zobaczyć, a nawet wtedy trudno uwierzyć własnym oczom.

– Sprawiasz wrażenie zadowolonego. Cieszę się, że tak ci się tam podoba.

– Myślałem, że nie wytrzymam, chyba jednak bardzo mi na tym zależało. Nie zastanawiałem się nad tym, póki się tu nie znalazłem. Tutaj odzyskałem chęć życia, chociaż nie przypuszczałem, że tak się stanie.

– A teraz?

– Wierzę w to. Wiesz, Beth, spotkałem kogoś.

– Och?

W jej głosie słychać było śmiech. Zamknął oczy, żeby lepiej to usłyszeć.

– Jest cudowna?

– Wyjątkowa, pod wieloma względami. Myślę, że polubiłabyś ją. Z nikim nie da się jej porównać. Jest alaskim pilotem.

– Alaskim pilotem? To znaczy, że należy do tych ludzi, którzy jak szaleńcy latają maleńkimi samolocikami tam i z powrotem?

– No właśnie. Jest piękna. No cóż... prawdę mówiąc, jest i nie jest. Jest zabawna i twarda jak stal, prawdopodobnie nieźle stuknięta, ale to mi odpowiada. Ma na imię Meg. Megan Galloway... i kocham ją.

– Och, Nate. Tak się cieszę.

– Nie płacz – powiedział, kiedy usłyszał, że załamał jej się głos.

– Nie, to miłe. Jack na pewno znalazłby tysiąc sposobów, żeby w tej chwili z ciebie zadrwić, ale w głębi duszy też bardzo by się cieszył.

– Tak czy inaczej bardzo chciałem ci o tym powiedzieć. Chciałem z tobą pogadać i zaproponować ci, żebyś kiedyś przyjechała tu z dzieciakami. To wspaniałe miejsce na letnie wakacje. W czerwcu będzie tu jasno do północy, a stali mieszkańcy tych okolic twierdzą, że nawet w nocy panuje raczej półmrok niż ciemność. I jest cieplej, niż można by sądzić, tak przynajmniej mnie zapewniają. Chciałbym, żebyś to zobaczyła, żebyś poznała Meg. Chętnie spotkałbym się z tobą i dzieciakami.

– Na pewno przyjedziemy na ślub.

Wybuchnął niespokojnym śmiechem.

– Na razie nie zmierzam w tym kierunku.

– Znam cię, Nate. Na tym się skończy.

Kiedy odłożył słuchawkę, na jego ustach błąkał się uśmiech. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Zostawił tablicę odsłoniętą na znak, że teraz jawnie prowadzi dochodzenie, i wyszedł z biura.

Wciąż bolało go serce, ilekroć widział Petera z ręką na temblaku. Młody zastępca siedział przy biurku i jedną ręką naciskał klawisze.

Wykonywał robotę papierkową, przy której gliniarz – a przecież ten dzieciak nim był – może umrzeć z nudów.

Nate podszedł do niego.

– Chciałbyś się ruszyć?

Peter uniósł głowę; jeden palec zdrowej ręki zawisnął nad klawiaturą.

– Słucham, sir?

– Chcesz odkleić się na chwilę od biurka? Twarz Petera rozjaśniała.

– Jasne, sir!

– Chodźmy na spacer. – Zabrał krótkofalówkę. – Peach, zastępca Notti i ja idziemy na pieszy patrol.

– Hm, Otto już jest na ulicy – przypomniał mu Peter.

– Daj spokój. Wszyscy wiemy, że przestępstwo szerzy się właśnie na ulicach. Peach, teraz ty przejmujesz ster.

– Tak jest, kapitanie! – powiedziała z chytrym uśmieszkiem na ustach. – Uważajcie na siebie, chłopcy.

Nate zdjął z haczyka lekką kurtkę.

– Podać ci swoją? – spytał Petera.

– Nie. Tylko przybysz z terenów położonych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika potrzebuje przy takiej pogodzie kurtki.

– Tak? To dobrze.

Nate z pełną rozważą zawiesił z powrotem swoją kurtkę na haczyku.

Na zewnątrz było rześko, ale pochmurno. Zanosiło się na deszcz. Nate uznał, że prawdopodobnie jeszcze przed powrotem będzie żałował, iż zostawił kurtkę.

Ruszył jednak chodnikiem, czując podmuch wilgotnego wiatru na twarzy.

– Jak ręka?

– Całkiem nieźle. Uważam, że ten temblak nie jest mi już do niczego potrzebny, ale przy Peach i mojej matce nie mam szans.

– Kobiety trochę świrują, gdy mężczyzna da się postrzelić.

– Nie musi mi pan o tym mówić. Człowiek próbuje zachować stoicki spokój, a one wciąż do sprawy wracają.

– Nie rozmawiałem z tobą zbyt wiele na temat całego zajścia. Początkowo wmawiałem sobie, że popełniłem błąd, zabierając cię ze sobą na tę akcję.

– Przestraszyłem go, wysiadając z samochodu. Sprowokowałem strzały.

– Wiewiórka, która potrafiła żołądz, też by go przestraszyła, Peterze. Jak już powiedziałem, początkowo uważałem, że popełniłem błąd. W rzeczywistości nie popełniłem żadnego błędu. Jesteś dobrym gliniarzem. Dowiodłeś tego. Zostałeś postrzelony. Byłeś ranny i nieźle oszołomiony, mimo to dałeś mi wsparcie.

– Panował pan nad sytuacją. Nie potrzebował pan wsparcia.

– Ale mogłem go potrzebować. W tym rzecz. Kiedy człowiek znajduje się z partnerem w niepewnej sytuacji, musi mu... bezwarunkowo ufać.

Tak jak ufaliśmy sobie z Jackiem – pomyślał. Dzięki temu pokonywali drzwi, wbiegali w zaułki, niezależnie od tego, co czekało na nich w ciemności.

– Chcę, żebyś wiedział, iż ci ufam.

– My... myślałem, że usadził mnie pan przy biurku, ponieważ będzie pan chciał mnie zwolnić.

– Posadziłem cię przy biurku, bo jesteś ranny. A skoro o tym mowa, Peterze. Wkrótce otrzymasz pochwałę za swoją postawę podczas tej akcji.

Peter zatrzymał się.

– Pochwałę?

– Zasłużyłeś sobie na nią. Zostanie to ogłoszone w przyszłym tygodniu na

spotkaniu w ratuszu.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Zachować stoicki spokój.

Na skrzyżowaniu przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili w przecznicę.

– Mam ci coś jeszcze do powiedzenia, ale to sprawa drażliwa. Dotyczy dochodzenia, które prowadzi nasza komenda. W sprawie morderstw.

Zauważył, że Peter ucieka spojrzeniem w bok.

– Niezależnie od decyzji policji stanowej, my traktujemy to jako morderstwa. Mam kilka zeznań od konkretnych osób, gdzie były w interesującym nas czasie. Jednak większości tych oświadczeń nie da się zweryfikować, przynajmniej nie do końca. Łącznie z oświadczeniem Ottona.

– Och, ale, panie komendancie... Otto...

– Jest jednym z nas. Wiem. Nie mogę jednak skreślić go z listy podejrzanych tylko dlatego, że jest gliniarzem. W tym mieście albo na jego obrzeżach mieszka wielu ludzi, którzy mogli popełnić wszystkie trzy przestępstwa. Inną sprawą jest motyw. Motyw dwóch ostatnich morderstw w jakiś sposób nawiązuje do Gallowaya. A co było powodem jego śmierci? Czy było to morderstwo popełnione w napadzie szału, dla jakichś korzyści, czy ewentualnie miało coś zatuszować? Czy morderca działał pod wpływem narkotyków? Może w grę wchodziły wszystkie wymienione przeze mnie czynniki? Galloway o nich wiedział.

Nate omiół wzrokiem ulice i chodniki. Czasami człowiek wie, co czeka w ciemności.

– Znał wystarczająco dobrze Maxa i swojego mordercę, żeby pójść z nimi w góry. Było ich trzech. Znał ich tak dobrze, że będąc wysoko w górach i zmagając się z trudnymi warunkami, zabawiał się z nimi, o ile tak to można nazwać, w odgrywanie pewnych ról.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Galloway prowadził zapiski. Miał je przy sobie... gdy morderca zostawił go w pieczarze. Coben przekazał mi kopie.

– Skoro prowadził zapiski, w takim razie...

– Ani razu nie podał imion i nazwisk swoich współtowarzyszy. Wybrali się, do pewnego stopnia, dla draki. Można przypuszczać, że gdyby nie został zabity wtedy, zginąłby podczas jakiejś następnej wspinaczki, chyba żeby się zmienił. Palili trawkę, dodawali sobie animuszu amfetaminą. Bawili się w Gwiazdne

wojny. Galloway odgrywał rolę Lukę'a, Max był Hanem Solo, a na mordercę Gallowaya, o ironio, mówili Darth. Darth Vader. Góra stała się ich lodową planetą.

– Klawo! Podobały mi się te filmy – dodał Peter, po czym lekko się przygarbił. – Jako dziecko zbierałem figurki bohaterów filmu i inne zabawki.

– Ja też, ale oni nie byli dziećmi. Byli dorosłymi mężczyznami, co więcej, gdzieś w trakcie zabawy sytuacja wymknęła się im spod kontroli. Galloway opisał, jak Hań – jestem święcie przekonany, że to Max – zranił się w kostkę. Zostawili go w namiocie z częścią zaopatrzenia i sami poszli dalej.

– To by znaczyło, że nie Max zabił.

– Zależy, jak się na to spojrzy. Można uznać, że Max postanowił pójść za nimi, dogonił ich w lodowej pieczarze i dostał szau. Można również założyć, że to Max odgrywał rolę Yadera i zabił obu swoich kolegów. Nie jestem zwolennikiem tej teorii, ale bardzo odpowiada ona stanowym.

– Że pan Hawbaker zabił obu kolegów? Potem sam zszedł na dół? Nie widzę tego...

– Dlaczego?

– No cóż, wiem, że gdy to wszystko się wydarzyło, byłem jeszcze dzieckiem, ale pan Hawbaker nigdy nie cieszył się reputacją... no wie pan, odważnego i... hm... samodzielnego. A trzeba być bardzo odważnym i samodzielnym człowiekiem, żeby zejść w zimie samotnie z góry.

– Zgadzam się. Galloway napisał, że w pewnym momencie Darth zaczął wykazywać pewne oznaki... nazwijmy to... szaleństwa: wpadał w złość, nadmiernie ryzykował, rzucał oskarżenia. Powodem był nadmiar narkotyków, ale też, z tego, co czytałem, zmęczenie, choroba wysokościowa, nadmierne pobudzenie, które czasami zdarza się alpinistom wysoko w górach.

Nate patrzył, jak Dęb wychodzi ze „Sklepu na Rogu” i wyprowadza Cecila na spacer. Pies miał jasnozielony sweterek.

– Galloway martwił się stanem umysłu Dartha – ciągnął Nate, machnąwszy ręką Dęb. – Zastanawiał się również, jak sprowadzi obu panów z powrotem na dół. Ostatniego wpisu dokonał już w lodowej pieczarze. Nigdy stamtąd nie wyszedł więc jego obawy okazały się słuszne, a jednak nie były aż tak poważne, by podjął jakieś kroki we własnej obronie. Na jego ciele nie było żadnych śladów, które świadczyłyby o tym, że się bronił. Jego czekan wciąż tkwił za paskiem. Znał swojego zabójcę, tak samo jak Max znał swojego. Tak samo jak

Yukon znalazł człowieka, który podejrzał mu gardło.

Przerwał na chwilę.

– My też go znamy, Peterze. – Machnął na powitanie sędziemu Royce'owi, który szedł w stronę rozgłośni radiowej z cygarem w zębach. – Tylko jeszcze nie wiemy, kto to taki. , – Co zrobimy?

– Będziemy pracować nad tym, co wiemy. Będziemy sięgać coraz głębiej, żeby dowiedzieć się jeszcze więcej. Otto nic nie wie o zapiskach. Przynajmniej na razie.

– Dobrze.

– Tobie jest ciężiej niż mnie. Znasz tych ludzi od urodzenia, albo prawie.

Kiwnął głową Harry'emu, który stał po drugiej stronie ulicy, przed „Sklepem na Rogu”, palił papierosa i rozmawiał z Jimem Maćkiem. Naprzeciwko nich szedł Ed, energicznym krokiem kierując się w stronę banku. Zatrzymał się, żeby zamienić kilka słów z kioskarką, która zamiatała chodnik przed swoją budką.

Wielki Mike wyszedł z Lodge i biegiem ruszył w stronę Italian Place, żeby jak co dzień pogawędzić z Jonnym Tryianim. Córeczka Mike'a śmiała się w głos, jadąc na ojcu na barana.

– Tylko popatrz. Zwyczajni ludzie, ale jeden z nich, z tych, co znajdują się tu na ulicy albo w którymś budynku, domu czy chacie za miastem, jest mordercą. Jeśli będzie musiał, zabije ponownie.

Każdego wieczoru Nate jechał do Meg. Nie zawsze była w domu, ponieważ z nastaniem wiosny dostawała coraz więcej zleceń, ale mieli niepisaną umowę, że Nate będzie przyjeżdżał i zostawał na noc. Zajmował się psami, robił, co było do zrobienia.

Stopniowo przenosił do niej swoje rzeczy. Następna niepisana umowa. Nadal trzymał pokój w Lodge, ale bardziej pełnił on funkcję magazynu na grubą, zimową odzież.

Mógłby się przeprowadzić do Meg, ale wtedy przekroczyliby pewną granicę. Byłoby to oficjalne stwierdzenie: „Od dziś mieszkamy razem”.

Gdy tylko pokonał zakręt i dostrzegł dym z komina, jego nastrój poprawił się jeszcze bardziej. Na jeziorze nie było jednak samolotu, a na podjeździe stał samochód Jacoba.

Psy wyskoczyły spomiędzy drzew, żeby przywitać się z Nate'em. Rock trzymał w pysku jedną z gigantycznych kości, które oba husky tak lubiły przeżuwać. Ta wyglądała na świeżą. Nate zostawił oba psy, które udawały, że

ostro o nią walczą, i wszedł do środka.

W połowie drogi do kuchni wyczuł krew. Instynktownie położył dłoń na kolbie rewolweru.

– Przyniosłem mięso – oświadczył Jacob, nie odwracając się od roboty.

Na ladzie leżało kilka zakrwawionych kawałków. Nate opuścił rękę.

– Meg ostatnio nie ma czasu, żeby polować, tymczasem obudziły się już niedźwiedzie. To dobre mięso na gulasz i kotlety.

Kotlety z niedźwiedziego mięsa – pomyślał Nate. Co za świat!

– Na pewno się ucieszy.

– Dzielimy się tym, co mamy. – Jacob spokojnie zawijał poszczególne kawałki niedźwiedziego mięsa w gruby, biały papier. – Powiedziała ci, że spędzałem z nią większość czasu, kiedy ktoś pozbawił ją ojca.

– Ktoś pozbawił ją ojca? Ciekawy sposób postawienia sprawy.

– Ktoś odebrał mu życie, prawda?

Jacob dokończył zawijanie mięsa, potem wyjął czarny mazak i napisał na paczuszkach datę. Był to gest tak typowy dla gospodyń domowych, że Nate aż zamrugał powiekami.

– Powiedziała ci to, ale nie ufasz jej pamięci ani sercu.

– Ufam jej.

– Była dzieckiem. – Jacob umył ręce nad zlewem. – Mogła się mylić, chociaż równie dobrze może mnie osłaniać, ponieważ mnie kocha.

– Może.

Jacob wytarł ręce i zabrał paczuszki z mięsem. Kiedy się odwrócił, Nate zauważył na jego szyi amulet. Ciemnoniebieski kamień na wyblakłej dzinsowej koszuli.

– Udało mi się pogadać z pewnymi ludźmi. – Poszedł do przebieralni, gdzie Meg trzymała małą zamrażarkę. – Ludźmi, którzy nie chcą rozmawiać z policją. Ludźmi, którzy znali Pata i Two-Toesa. – Zaczął wkładać mięso do zamrażarki. – Od ludzi, którzy chcieli rozmawiać ze mną, ale nie chcieli rozmawiać z policją, dowiedziałem się, że Pat podczas pobytu w Anchorage miał pieniądze. Więcej pieniędzy niż zwykle.

Zamknął zamrażarkę i wrócił do kuchni.

– Teraz napiję się whisky.

– Skąd miał te pieniądze?

– Kilka dni pracował w fabryce konserw, potem, jak mi powiedziano, wziął

zaliczkę i za te pieniądze zaczął grać w pokera.

Jacob nalał whisky na trzy palce. Uniósł drugi kieliszek i spojrzał pytająco na Nate'a.

– Nie, dzięki.

– Wierzę, że tak było, ponieważ lubił grać. Co prawda często przegrywał, ale uważał to za... swego rodzaju zapłatę za mile spędzony czas. Wygląda na to, że tym razem nie przegrał. Grał przez dwie noce i większą część jednego dnia. Ci, którzy ze mną rozmawiali, mówią, że dużo wygrał. Niektórzy wspominają o dziesięciu tysiącach, inni o dwudziestu, są tacy, którzy utrzymują, że wygrał jeszcze więcej. Być może suma ta rośnie podczas opowiadania jak ryba w relacji wędkarza. Wszyscy jednak zgodnie twierdzą, że Pat grał, wygrał i miał sporo pieniędzy.

– Co z nimi zrobił?

– Tego nikt nie wie albo nikt się nie przyznaje. Są jednak tacy, którzy widzieli, jak pił z innymi mężczyznami. To całkiem normalne, więc nikt nie potrafi powiedzieć, kim byli owi mężczyźni. Poza tym dlaczego mieliby pamiętać takie rzeczy po tylu latach?

– Była też i dziwka. Jacob wykrzywił usta.

– Zawsze była.

– Kate. Nie udało mi się jej znaleźć.

– Kurwiasta Kate. Zmarła mniej więcej pięć lat temu. Na atak serca – dodał Jacob. – Była potężnie zbudowaną kobietą, paliła dwie, może trzy paczki cameli dziennie. Jej śmierć nikogo nie zaskoczyła.

Następny ślepy zaułek – pomyślał Nate.

– Czy ci ludzie, którzy rozmawiali z tobą, ale nie chcieli rozmawiać z gliniarzami, powiedzieli ci coś jeszcze?

– Niektórzy twierdzą, że to Twotoes zawiózł Pata i dwóch albo trzech innych mężczyzn w góry. Twierdzą natomiast, że na pewno nie było ich więcej. Niektórzy utrzymują, że była to wyprawa na Denali, inni – że na No Name, jeszcze inni – że panowie wybierali się na Deborah. Szczegóły nie są jasne, pozostało jedynie wspomnienie o pieniądzach, pilocie, wspinaczce i dwóch albo trzech kompanach.

Jacob sączył whisky.

– Chyba że kłamią i byłem jednym z tych, którzy poszli z nim w góry.

– Mogłeś – przyznał Nate. – Chociaż na coś takiego stać by było tylko

człowieka z jajami. Muszę jednak przyznać, że mężczyzna, który zabił niedźwiedzia, na pewno ma jaja.

Jacob uśmiechnął się delikatnie.

– Mężczyzna, który zabił niedźwiedzia, dobrze je.

– Wierzę ci. Chyba że kłamię.

Tym razem Jacob wybuchnął śmiechem i wychylił resztę whisky.

– Możliwe, ale ponieważ jesteśmy w kuchni Meg, a ona kocha nas obu, możemy udawać, że wierzymy sobie nawzajem. Jest teraz promienniejsza. Zawsze była inteligentna, ale teraz jest inteligentniejsza, a przy okazji rozjaśnia cienie w twojej duszy. Potrafi zatroszczyć się o siebie, mimo to...

Zaniósł kieliszek do zlewu, opłukał go, odstawił na suszarkę, potem odwrócił się.

– ... Zatroszcz się o nią, komendancie. Albo na ciebie zapoluję.

– Zrozumiałem – powiedział Nate, gdy Jacob wyszedł.

Nate się nie spieszył. Zachowywał się, jakby miał mnóstwo czasu. Ponieważ codziennie rano zatrzymywał się przy Lodge, żeby zobaczyć się z Jesse'em, bez trudu znalazł okazję, by porozmawiać z Charlene na osobności.

Rosę, wykorzystując przedpołudniowy spokój w restauracji, siedziała w boksie i uzupełniała pojemniki z przyprawami.

– Nie wstawaj – powiedział, kiedy się poderwała. – Gdzie jest dzisiaj mój kumpel?

– Przyjechali kuzyni z Nome, więc Jesse ma na kilka dni towarzystwo. Pochwalił się im swoim wujkiem, zastępcą – powiedziała z uśmiechem – ale przede wszystkim chce przywieźć ich wszystkich do miasteczka, żeby poznali jego dobrego przyjaciela, komendanta Nate'a.

– Naprawdę? – Nate uśmiechnął się od ucha do ucha. – Powiedz mu, żeby ich tu przywiózł, wtedy zorganizujemy im wycieczkę po posterunku.

Miał zamiar zadzwonić do Meg i poprosić, żeby podczas robienia zakupów poszukała dla malców plastikowych odznak.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Sprawia mi ogromną frajdę.

Pochylił się, by zajrzeć do Willow w nosidełku.

– Jest bardzo ładna.

Teraz mógł już to powiedzieć z pełnym przekonaniem. Jej policzki zrobiły się pulchne i gładziutkie. Ciemne oczęta nie odrywały się od jego twarzy, jakby

wiedziała rzeczy, o których on nie miał nawet pojęcia.

Wystawił palec. Willow natychmiast chwyciła go i potrząsnęła.

– Czy Charlene jest w swoim biurze?

– Nie, w magazynku za kuchnią. Przeprowadza inwentaryzację.

– Mogę wejść?

– Będzie ci potrzebna kamizelka kuloodporna – ostrzegła Rosę, wlewając ketchup do czerwonej plastikowej buteleczki. – Od kilku dni bardzo łatwo wpada w złość.

– Zaryzykuję.

– Nate, Peter powiedział nam o pochwałach. Jest taki dumny. My też jesteśmy dumni. Dziękuję.

– Ja niczego nie zrobiłem. To on świetnie się spisał. Ponieważ oczy Rosę napełniły się łzami, Nate szybko powędrował w stronę kuchni.

Wielki Mike stał przy kontuarze i robił coś, co wyglądało na taką ilość sałaty, która wystarczyłaby dla armii królików. Miał radio włączone na lokalną radiostację. Z odbiornika płynęły głębokie, namiętne dźwięki wiolonczeli YoYoMa.

– Specjalnością zakładu jest dzisiaj krab florencki a la Mike! – zawołał. – Bycza sałata dla zwiększenia apetytu.

– Mniemam.

– Idziesz do niej? – spytał Mike, gdy Nate skierował się w stronę magazynu. – Lepiej weź miecz i tarczę.

– Słyszałem, że jest groźna.

Nate otworzył drzwi, a ponieważ w przypadku Charlene nigdy z niczym nie było pewności, ze względu na bezpieczeństwo zostawił je otwarte.

Było to przestronne, chłodne pomieszczenie z metalowymi półkami, na których stała suszona i puszkowana żywność. W kilku dużych lodówkach umieszczono produkty, które łatwo się psują, między lodówki ktoś wcisnął zamrażarkę.

Charlene stała wśród zgromadzonych dóbr i energicznie zapisywała coś w notesie.

– Teraz już wiem, gdzie przyjść w razie wojny atomowej. Zerknęła na niego, tym razem bez normalnego cienia kokieterii.

– Jestem zajęta.

– Widzę, ale chcę zadać ci pytanie.

– Nic nie robisz, tylko zadajesz pytania – mruknęła, potem podniosła głos do krzyku: – Chciałabym wiedzieć, dlaczego zostały nam już tylko dwie puszki czerwonej fasolki!

Wielki Mike w odpowiedzi głośniejszym głosem nastawił radio.

– Charlene, proszę o kilka minut, potem zniknę ci z oczu.

– Świetnie, świetnie, naprawdę świetnie! – Rzuciła notesem w półkę tak mocno, że drewno zaskrzypiało. – Jak widzisz, próbuję pracować, tymczasem wszyscy mi w tym przeszkadzają.

– Przykro mi, że coś cię trapi, chociaż nie mam pojęcia, co. Postaram się załatwić sprawę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Czy słyszałaś, że między wyjazdem z Lunacy a wyprawą w góry Galloway wygrał w pokera furę pieniędzy?

Prychnęła szyderczo.

– Marzenia ściętej głowy. – Potem przymrużyła oczy. – Co to znaczy „fura pieniędzy”?

– Kilka tysięcy. Dowiedziałem się z pewnych źródeł, że grał przez dwie noce i wygrał.

– Jeśli ktoś gdzieś grał, możliwe, że Pat się przysiadł. Rzadko wygrywał, a nawet gdy mu się udawało, przy dużym szczęściu były to dwie, trzy stówki. Tylko raz wygrał więcej. W Portlandzie. Zgarnął wtedy trzy tysiące. Wydaliśmy to na elegancki pokój w hotelu, wystawną kolację, kilka butelek szampana do pokoju. Kupił mi też elegancki strój: sukienkę, buty i parę małych, szafirowych kolczyków.

Oczy Charlene zasnuły się mgłą. Po chwili potrząsnęła głową, wzruszyła ramionami i otarła łzy.

– Głupota. Musiałam sprzedać kolczyki, żeby zapłacić za naprawę motocykla i jedzenie. Tyle z tego miałam.

– Jeśli naprawdę wygrał pieniądze, co mógł z nimi zrobić?

– Przehulał je.

Przyłożyła czoło do jednego ze słupków, na których wspierały się półki. Wyglądała na bardzo zmęczoną, zagubioną i smutną. Nate zaryzykował i pogłaskał ją po plecach.

– Nie, nie wtedy. Wiedział, że rozpaczliwie brakuje nam pieniędzy. Jeżeli coś wpadło mu w ręce, być może zagrał, żeby zdobyć więcej, ale na pewno sporą część zatrzymał, że by przywieźć forszę do domu i zamknąć mi buzię.

– Czy mógł złożyć je na koncie w jakimś banku w Anchorage?

– Niestety, nie mieliśmy konta w banku w Anchorage. Raczej wetknąłby pieniądze do plecaka, przyniósł je do domu i oddał mi do zagospodarowania. Nie przywiązywał zbytnej wagi do pieniędzy. Wielu ludzi nie przywiązuje do nich zbyt wielkiej wagi.

Uniosła głowę.

– Twierdzisz, że miał jakieś pieniądze?

– Twierdzę, że istnieje taka możliwość.

– Nie przysłał ich do domu. Nie przysłał ani centa.

– Co zrobił, jeśli miał pieniądze i wybierał się na wspinaczkę?

– Jeżeli zatrzymał pokój w hotelu, mógł je wetknąć do szuflady. Jeśli nie miał pokoju, zabrał je ze sobą. Policja stanowa nie wspomniała ani słowem o pieniądzach.

– Ponieważ nie miał ich przy sobie.

Niczego nie miał – pomyślał Nate. Ani portfela, ani dowodu osobistego, żadnej gotówki. Żadnego plecaka. Tylko zapalki i zapiski, które tkwiły w zamkniętej na zamek kieszeni kurtki.

Na chodniku Nate wyjął notes. Zapisał PIENIĄDZE, i otoczył je kółkiem.

Jest powiedzenie: „Podążaj śladem kobiety” – pomyślał, ale każdy gliniarz dobrze wie, że jeśli przy okazji morderstwa pojawiają się jakieś pieniądze, zawsze, naprawdę zawsze trzeba podążać śladem pieniędzy.

Zastanawiał się, w jaki sposób się dowiedzieć, czy szesnaście lat temu któryś z mieszkańców Lunacy niespodziewanie odczuł spory przyływ gotówki.

Oczywiście, Galloway mógł mieć pokój w jakimś hotelu i zostawić w nim pieniądze. Wtedy po prostu szczęście uśmiechnęło się do sprzątaczk, właścicielki albo następnego gościa.

Mógł również zabrać je ze sobą w plecaku. Morderca nie otworzył go, jedynie wrzucił w pierwszą lepszą rozpadlinę.

Chociaż, z drugiej strony, dlaczego morderca miałby zabierać plecak, gdyby nie miał ku temu powodu? Myślał, że tam są zapiski, tymczasem... o kurczę, tylko spójrzcie, co my tutaj mamy! Mógł potem po drodze gdzieś go wyrzucić, myśląc, że nawet jeśli ktoś odnajdzie ciało, nikt nie zdoła go zidentyfikować.

Ponieważ jednak w grę wchodziły pieniądze, Nate nie miał ani cienia wątpliwości, że morderca o nich wiedział i po prostu je zabrał. Tylko kto to taki?...

– Jeszcze trochę, a ludzie zaczną się zastanawiać, na co płacą podatki, skoro ich komendant policji chodzi po ulicy i śni na jawie.

Otrząsnął się i spojrzął na Hopp.

– Jesteś wszędzie?

– Kiedy tylko się da. Idę na kawę, przy której muszę się poważnie zastanowić.

Opracować plan działania.

Na jej twarzy widać było wyraźną irytację.

– O co chodzi?

– John Malmont właśnie złożył rezygnację. Po zakończeniu roku szkolnego chce stąd wyjechać.

– Rzuca uczenie?

– Rzuca Lunacy. Nie możemy go stracić.

Wyjęła zapalniczkę, ale jedynie ją otwierała i zamykała, otwierała i zamykała. Po mieście krążyły pogłoski, że od jakiegoś czasu nosi antynikotynowy plaster.

– Jest wspaniałym nauczycielem, pomaga Carrie w „The Lunatic”, organizuje szkolne przedstawienia teatralne, kieruje komitetem, który opracowuje rocznik, ściąga do nas turystów, zamieszcza ciekawe artykuły w kolorowych czasopismach. Muszę usiąść i zastanowić się, jak go zatrzymać.

– Czy wyjaśnił, czemu postanowił wyjechać? Tak nagle?

– Powiedział tylko, że nadeszła pora na zmiany. Niedawno wspólnie planowaliśmy cykl spotkań letniego klubu książki pod przewodnictwem Johna, a w chwilę potem oznajmił, że się pakuje. A to sukinsyn!

Poruszyła ramionami, chcąc je rozluźnić.

– Zamówię sobie kawę i szarlotkę. – Zapaliła zapalniczkę. – To na pewno pomoże moim szarym komórkom. Nie wypuszczę go stąd bez walki.

Interesujące – pomyślał Nate. Nasz Profesor wybrał ciekawy moment na wyjazd.

Burkę musi odejść. Teraz to jest najważniejsze. Ten głupek grzebie w sprawach, w które nie powinien wtykać nosa.

No cóż, jest przynajmniej kilka sposobów na to, żeby przepędzić z miasta dupkowatego cheechako, nawet jeśli są tacy, którzy uważają, że komendant nie jest już żółtodziobem, ponieważ przetrwał na Alasce pierwszą zimę.

Nie, niektórzy na zawsze pozostaną cheechakos, niezależnie od tego, jak długo uda im się tu przetrwać.

Galloway był jednym z nich. Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że jest

pozbawiony jaj, miękki i podstępny. Przede wszystkim podstępny.

Ten człowiek był dupkiem. Koniec, kropka. Dlaczego ludzie tak bardzo przejmują się faktem, że Galloway nie żyje?

Zrobiłem to, co musiałem zrobić – wmawiał sobie, dźwigając przez las ciężkie plastikowe torby. – Teraz też robię to, co konieczne.

Z Burkiem trzeba się rozprawić. To następny pozbawiony jaj, miękki i podstępny dupek. Och, moja żona zostawiła mnie i odeszła z innym facetem. Buuu. Och, zabito mi partnera. Buuu, buuu. Muszę uciec tam, gdzie nikt mnie nie zna, żebym mógł spokojnie porozczulać się nad sobą.

To mu jednak nie wystarcza. Musi zgrywać bohatera. Brać to, co do niego nie należy. Nigdy nie będzie należało.

Taak, trzeba się z nim rozprawić, wtedy może życie wróci do normy.

Porozwieszał plastikowe torby na drzewach w pobliżu domu, nie zważając na psy, które czekały i mlóciły ogonami jak szalone.

– Nie tym razem, pieseczki – powiedział głośno, wieszając następną torbę na tylnych drzwiach, tuż pod okapem, w miejscu, którego nie widać od wejścia. – Nie tym razem.

Poklepał psy po grzbietach, ale bardziej były zainteresowane obwąchiwaniem i oblizywaniem jego rąk.

Lubił oba psiaki. Lubił też Yukona, ale tamten pies był stary, w połowie ślepy, chory i do tego jeszcze niemal całkiem głuchy. Zabicie go było aktem miłosierdzia, a odniosło oczekiwany efekt.

Wrócił do lasu, zatrzymał się na skraju i obejrzał przez ramię. Tam gdzie stopniał śnieg, gdzie świeciło słońce i deszcz wyplukał resztki białego puchu, widać było czarną ziemię. Pojawiło się nawet kilka zielonych gałązek.

Wiosna – pomyślał. Kiedy ziemia rozmarznie, Pat Galloway po raz ostatni wróci do domu.

Miał zamiar stać nad grobem z pochyloną z szacunkiem głową.

Zaczynało zmierzchać, gdy Nate dotarł do domu. Odczekał na poboczu drogi, aż Meg nadejdzie znad jeziora przez zieloną łąkę, na której widniały niewielkie pozostałości śniegu.

Niosła pudło z zakupami. Miała na sobie jasnoczerwoną koszulę, dzięki czemu przypominała Nate'owi tropikalnego ptaka.

– Chcesz się zamienić?

Widząc w rękach Nate'a pudełko z pizzą, tylko prychnęła.

– Nie. Wolę to, zwłaszcza że mam tu twoje odznaki-zabawki. Lubię, gdy mężczyzna przynosi kolację. Skąd wiedziałeś, że wrócę na kolację? A może miałeś zamiar zjeść to wszystko sam?

– Usłyszałem twój samolot. Dokończyłem to, co właśnie robiłem, podjechałem do Italian Place i kupiłem pizzę. Doszedłem do wniosku, że jeszcze będziesz rozwozić towar. Widać dobrze wyliczyłem czas.

– Prawie idealnie. Jestem głodna jak wilk. – Wniosła zakupy do domu i skierowała kroki prosto do kuchni. – Poza tym kupiłam butelkę podobno wyjątkowo dobrego wina.

Wyjęła cabernet.

– Napijesz się?

– Jasne. Za chwilę. – Odstawił pizzę, położył ręce na ramionach Meg i pocałował ją. – Cześć!

– Cześć, przystojniaczku.

Z uśmiechem na ustach chwyciła go za włosy, przyciągnęła do siebie i namiętnie pocałowała.

– Cześć, pieseczki! – Kucnęła i przez moment witała się z psami. – Tęskniłyście za mną?

– Wszyscy tęskniliśmy za tobą. Wczoraj wieczorem pocieszaliśmy się kością niedźwiedzia. Jacob dostarczył ją wraz z kawałkami mięsa. Włożył je do zamrażarki.

– To dobrze.

Wzięła do ręki plastikową torebkę, wytrząsnęła jej zawartość i rzuciła Nate'owi.

Były to srebrne, przypinane gwiazdy szeryfa.

– Świetnie.

– Prosiłeś o siedem, ale wzięłam dwanaście. Możesz trzymać je pod ręką na wypadek, gdybyś chciał zrobić swoimi zastępcami więcej dzieciaków.

– Dzięki. Ile ci jestem winien?

– To ty prowadzisz rachunki. Jakoś się policzymy. Otwórz butelkę, dobrze?

Wsunęła rękę do pudełka z pizzą i oderwała kawałek.

– Nie jadłam lunchu – wyznała z pełną buzią. – Musiałam lądować, bo miałam jakieś drobne problemy z silnikiem. Straciłam dwie godziny.

– Problemy z silnikiem?

– Nic poważnego. Już wszystko naprawione, ale chętnie skorzystam z pizzy,

wina, gorącego prysznicu i mężczyzny, który wie, gdzie można mnie podrapać.

– Sądzę, że jakoś sobie poradzę.

– Widzę, że przez cały czas uśmiechasz się półgębkiem. O co chodzi?

– O różne rzeczy. Usiądź i zjedz, chyba że wolisz stać i opychać się pizzą.

– Wolę stać – wzięła następny duży kawałek – i opychać się pizzą.

– W porządku. Czy to wino powinno pooddychać albo coś w tym stylu?

– Nie, ponieważ mam zamiar popijać nim pizzę. Daj mi. Nalał jej do kieliszka, sobie do drugiego. Potem wyjął kawałek pizzy, oparł się o ladę i zaczął jeść.

– Pamiętasz tamten dzień, kiedy Peter oberwał od tego wariata?

– Trudno zapomnieć. Kiedyś jak szczeniaczek krok w krok chodził za mną i Rosę. Dobrze się czuje, prawda?

– Tak. Muszę ci jednak wyznać, że kiedy zobaczyłem czerwone ślady na śniegu, kiedy dobiegłem do Petera, kiedy ujrzałem na swoich rękach jego krew, mój mózg częściowo przestał funkcjonować. Nie, raczej cofnął się. Do Jacka. Znow znalazłem się w ciemnym zaułku. Czułem tamte zapachy, słyszałem tamte odgłosy. W jakiś sposób znow chciałem pogрузić się w czarnej dziurze. Odejść.

– Z tego, co słyszałam, było całkiem inaczej.

– Mówię ci, co działo się w moim wnętrzu.

Zależało mu na tym, żeby wiedziała, jaki był, jaki jest i jaki ma nadzieję być.

– Wydawało mi się, że to trwało wieki. Bez końca klęczałem na śniegu przy krwawiącym Peterze. Na szczęście on się nie wykrwawił, a ja nie pogрузiłem się w dziurze.

– Nie, nie pogрузiłeś się. Odciągnąłeś uwagę strzelającego od Petera.

– Nie o to chodzi.

– Przystojniaczku – zrobiła krok do przodu, lekko go pocałowała, po czym cofnęła się i znow oparła biodro o kontuar. – Jesteś wspaniałym gliniarzem.

– Panowałem nad sytuacją. Zrobiłem, co do mnie należało, i nikt nie zginął. Mogłem go zabić. Mam na myśli Spinnakera.

Zauważył, że zrozumiała i jedynie lekko przekrzywiła głowę.

– Mogłem to zrobić i przez chwilę naprawdę się nad tym zastanawiałem. Nikt nie mógłby mi niczego zarzucić. Postrzelił mojego zastępcę, strzelał do mnie. Był uzbrojony i groźny. Chociaż w zaułku z Jackiem było trochę inaczej. Wtedy mój partner leżał na ziemi... umierał – poprawił się – ja też upadłem, a ten sukinsyn się zbliżał.

Spojrzał w dół na swoje wino. Meg słuchała i czekała. Odstawił kieliszek na

ładę.

– Tam nie miałem wyboru, tutaj tak. I bardzo chciałem wysłać go do piekła. Powinnaś o tym wiedzieć. Powinnaś wiedzieć, że w tamtym momencie byłem gotów to zrobić.

– Myślisz, że bardzo bym się przejęła, gdybyś to zrobił? Ten człowiek próbował zabić mojego przyjaciela, próbował zabić ciebie. Nic by mnie to nie obchodziło, Nate. Myślę, że powinieneś wiedzieć, iż tak podchodzę do sprawy.

– To byłoby...

– Błędem – dokończyła. – Dla ciebie. Dla człowieka, którym jesteś, dla gliniarza, jakim jesteś. Więc cieszę się, że tego nie zrobiłeś. Twoje rozgraniczenie dobra i zła jest znacznie wyraźniejsze niż moje. Tak już jest.

– Minął rok od śmierci Jacka.

W jej oczach pojawiło się współczucie.

– O kurczę, wciąż ciężko to przeżywasz, prawda?

– Nie. Nie. Kilka dni temu zadzwoniłem nawet do Beth. Żony Jacka. Zadzwoniłem do niej i bardzo się z tego cieszę. Rozmawiając z nią, zdałem sobie sprawę, że już więcej nie pograżę się w czarnej dziurze. Nie wiem dokładnie, kiedy się z niej wydostałem, i czasami wciąż jeszcze czuję, że grunt osuwa mi się lekko pod nogami, ale już tam nie wpadnę.

– Nigdy tam nie byłeś. – Dołała sobie wina. – Znam ludzi, którzy tam się znaleźli albo prawdopodobnie się znajdują. Takich, którzy w pogodny dzień pakują się samolotem w zbocze góry albo idą w las, żeby tam umrzeć. Znam ich. Stanowią część świata, z którym się stykam, gdy stąd wyjeżdżam. Są to wypaleni piloci albo przybysze, którzy przyjeżdżają tutaj, bo nie mogą już dłużej znieść współczesnego świata. Kobiety tak wymaltretowane z powodu zniechęcania się nad nimi albo samotności, że po prostu kładą się na ulicy i czekają, kiedy następny mężczyzna zakopie je na śmierć. Byłeś smutny, Nate, i trochę zagubiony, ale nigdy nie należałeś do nich. Masz zbyt wielkie serce, żeby być jednym z nich.

Przez chwilę nic nie mówił, potem pogłaskał ją po włosach.

– Rozjaśniłaś moje cienie.

– Co takiego?

Na jego usta wrócił półuśmiech.

– Wyjdź za mnie za mąż, Meg.

Przez chwilę patrzyła na niego krystalicznie niebieskimi oczami. Potem

z rozmachem wrzuciła zjedzony do połowy kawałek pizzy do pudełka.

– Wiedziałam!

Wyrzuciła ręce do góry, odwróciła się na pięcie i zaczęła krążyć po kuchni z taką złością, że psy podbiegły do niej i zaczęły ją obwąchiwać.

– Po prostu wiedziałam, że mi to zrobisz. Zaoferuj facetowi odrobinę dobrego seksu, kilka ciepłych posiłków, zmięknij do tego stopnia, by mu powiedzieć, że go kochasz, a on – bęc! – zaraz zaczyna myśleć o małżeństwie. Nie mówiłam ci? Nie mówiłam? – Odwróciła się i dźgnęła go palcem. – Masz wytatuowane na tyłku dom i ognisko domowe.

– Taak, bezbłędnie mnie rozszyfrowałaś.

– Nie drwij sobie ze mnie.

– Minutę temu miałem na twarzy półuśmiešek, który uznałaś za śliczniutki.

– Zmieniłam zdanie. Po co chcesz się żenić?

– Kocham cię. Ty kochasz mnie.

– No to co?

Wciąż wymachiwała rękami, ale tym razem psy uznały, że to jakaś nowa zabawa i zaczęły na nią skakać.

– Czemu chcesz wszystko spieprzyć?

– Wiem, że to szaleństwo, ale nie rozumiem, co się z tobą dzieje. Czyżbyś była tchórzem?

Zaczerpnęła powietrza, a w jej oczach zapłonęły zimne ognie.

– Nie baw się ze mną w taki sposób.

– Boisz się małżeństwa? – Oparł się o ladę, wziął do ręki kieliszek i upił łyk wina. – Odważny alaski pilot trzęsie się jak galareta na myśl o słowie na „m”. Ciekawe.

– Wcale nie trzęsę się jak galareta, palancie.

– Wyjdź za mnie za męż, Meg.

– Nie wyjdę. Nic z tego.

– Kocham cię.

– Ty draniu!

– Chcę spędzić z tobą resztę życia.

– Niech cię jasna cholera!

– Chcę mieć z tobą dzieci.

– Och! – Chwyliła się za włosy i mocno je pociągnęła, jednocześnie z jej krtani wydobył się trudny do określenia dźwięk. – Nie licz na to.

– Widzisz? – Bacznie przyjrzał się następnemu kawałkowi pizzy. – Jesteś tchórzem.

Zacisnęła prawą rękę w pięść i uniosła ją w powietrze.

– Niech pan nie myśli, że nie mogę powalić pana na deski, panie Burkę.

– Już to zrobiłaś, w chwili kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem.

– O kurczę! – Opuściła rękę. – Wydaje ci się, że jesteś sprytny, wydaje ci się, że jesteś bystry, ale tak naprawdę jesteś głupi i tyle. Już raz byłeś żonaty i pozwoliłeś, żeby kobieta skopała ci tyłek. Czyżbyś prosił się o więcej?

– Ona nie była tobą. Ja nie byłem sobą.

– Co to ma, do diabła, znaczyć?!

– Pierwsza część jest prosta. Nie ma na świecie nikogo takiego jak ty. Natomiast ja obecnie nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem przy niej. Pewni ludzie... jak by to powiedzieć... zmieniają pewnych ludzi. Przy tobie, Meg, jestem lepszym człowiekiem. Dzięki tobie chcę być lepszym człowiekiem.

– O Boże, nie mów takich rzeczy. – Czują, że szczypią ją oczy. Łzy, które płynęły prosto z serca, były gorące i nie do powstrzymania. – Jesteś takim człowiekiem, jakim zawsze byłeś. Może przez jakiś czas przeżywałeś trudny okres, ale każdy wpada w rozpacz, kiedy ktoś mu dołoży i odrzuci na bok jak zabawkę. Ja nie jestem lepsza, Nate. Jestem samolubna, przekorna i... chciałam powiedzieć, że nie liczę się z nikim ani niczym, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego jeśli człowiek żyje po swojemu, wszyscy mówią, że nie liczy się z nikim ani niczym. Jeśli chcę, umiem być złośliwa, nie przejmuję się zasadami, chyba że sama je stworzyłam, i tkwię tutaj, w tym miejscu, ponieważ jestem lekko stuknięta.

– Wiem. Nie zmieniaj się.

– Już w sylwestra wiedziałam, że będą z tobą problemy.

Kiedy pod wpływem impulsu wyciągnęłam cię na ulicę, żeby pokazać zorzę polarną.

– Miałaś na sobie czerwoną sukienkę.

– Myślisz, że zmięknę, ponieważ pamiętasz, co miałam na sobie?

– Kochasz mnie.

– Taak – ciężko westchnęła i otarła wierzchem dłoni mokrą twarz. – Taak, to prawda. Co za cholerne gówno!

– Wyjdź za mnie za mąż, Meg.

– Masz zamiar powtarzać to bez końca?

– Póki mi nie odpowiesz.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy zaczekam, spróbuję trochę cię zmiękczyć i za jakiś czas spytam znów. Nie lubię się poddawać, więc z tym skończyłem.

– Nigdy się nie poddawałeś, po prostu przez jakiś czas pozostawałeś w stanie hibernacji.

Ponownie się uśmiechnął.

– Nawet nie wiesz, jaka jesteś piękna, gdy tak stoisz. Mógłbym patrzeć na ciebie całą wieczność.

– Jezu, Nate.

Poczuła, że boli ją serce, i to tak dosłownie, iż musiała potrzeć dłonią klatkę piersiową. Słodki, cudowny ból wywołał u niej panikę.

– Zabijesz mnie.

– Wyjdź za mnie za mąż, Meg.

– O rany!

Westchnęła. Potem wybuchnęła śmiechem, ponieważ w końcu górę wzięła radość.

– Co tam, do diabła, spróbuję.

Skoczyła na niego. Byłby się przewrócił, na szczęście opierał się o ladę. Objęła go nogami w pasie, przywarła wargami do ust.

– Będę okropną żoną. – Zasypała pocałunkami jego twarz i szyję. – Bez przerwy będę cię wkurzać i doprowadzać do szału. Będę stosować chwyt poniżej pasa i będę wkurzona, jeśli wygrasz, chociaż zapewniam cię, że to akurat będzie się zdarzało bardzo rzadko. – Odchyliła się do tyłu i ujęła dłońmi jego twarz. – Ale nie będę cię okłamywać. Nie będę cię zdradzać. I nigdy cię nie zawiodę w naprawdę ważnych sprawach.

– To mi wystarczy.

Oparł policzek o jej i wciągnął w płuca zapach Meg.

– Jakoś sobie poradzę. Nie mam pierścionka.

– Musisz naprawić ten błąd. I to jak najszybciej. Co więcej, nie wolno ci szczeni na ten cel.

– W porządku.

Ze śmiechem odchyliła się do tyłu, tak że musiał zmienić nieco pozycję, żeby ją utrzymać.

– To czyste szaleństwo. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Myślę, że powinniśmy

teraz pójść na piętro i pouprawić szalony, zaręczynowy seks.

– Od początku na to liczyłem.

Wyniósł ją z kuchni. Kiedy skubnęła zębami jego szyję, niespokojnie sapnął.

– Czy musimy iść na piętro? Co powiedziała byś na schody? Albo podłogę tutaj? Potem moglibyśmy... Niech to wszyscy diabli!

Psy z głośnym ujadaniem rzuciły się do drzwi, a w chwilę później Nate dostrzegł za oknem przednie światła samochodu.

– Pozamykaj drzwi – mruknęła Meg z rozmarzeniem, wciąż zajęta jego szyją.

– Wyłącz wszystkie światła. Ukryjemy się. Będziemy nadzy w swojej kryjówce.

– Za późno. Możemy za to zapamiętać, w którym miejscu przerwaliśmy, a potem wrócić do niego, kiedy pozbędziemy się gościa... niezależnie od tego, kto to taki i czy będziemy musieli w tym celu popełnić morderstwo, czy nie.

– Umowa stoi. – Zeskoczyła. – Leżeć! – rozkazała psom, które usiadły przy drzwiach.

Meg natychmiast rozpoznała mężczyznę, który wysiadł z samochodu.

– To przyjaciel – powiedziała psom, potem uniosła rękę w geście powitania. – Witaj, Stevenie.

– Cześć, Meg. – Pochylił się, by pogłaskać psy. – Cześć, pieseczki. Co słychać? Widziałem się z Peterem. Powiedział mi, że pan komendant jest u ciebie. Chciałem z nim chwilę porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne. Wejdz. Jazda, pieseczki, pora na spacer.

– Cześć, Stevenie, jak się miewasz?

– Witam, panie komendancie. – Uścisnął rękę Nate'a. – O wiele lepiej niż wtedy, gdy widział mnie pan po raz ostatni. Chciałem jeszcze raz osobiście podziękować za to, co pan dla mnie zrobił. Dla nas. Tobie, Meg, również.

– Słyszałem, że udało ci się zachować wszystkie palce.

– Dziesięć u rąk i dziesięć u nóg. No, może dziewięć i pół. Naprawdę miałem cholerne szczęście. Zresztą wszyscy trzej możemy powiedzieć to samo. Przepraszam, że nachodzę pana w domu... to znaczy, kiedy nie jest pan na służbie.

– Nie ma sprawy.

– Usiądź – zaprosiła Meg. – Napijesz się wina? Piwa?

– On jest nieletni – przypomniał Nate w chwili, kiedy Steven właśnie miał zamiar przyjąć propozycję. – Poza tym prowadzi.

– Ach, ci gliniarze! – burknęła Meg. – Zawsze muszą wszystko zepsuć.

– Może colę albo coś innego?

– Jasne.

Steven siedział i bębnił palcami po kolanie.

– Przyjechałem do domu na dwa dni na ferie wiosenne. Chciałem wpaść wcześniej, ale miałem pewne zaległości. Opuściłem sporo zajęć i wykładów.

– Nadrobiłeś wszystko?

– Taak. Przesiedziałem kilka długich nocy, ale już jestem na bieżąco. Chciałem odwiedzić Lunacy, gdy dowiedziałem się o Yukonie.

Głos mu zadrżał, palce zagłębiły się w kolanach.

– Przykro mi.

– Dokładnie pamiętam, kiedy pojawił się w naszym domu. Był małym szczeniakiem, przypominał puszystą kulkę.

To straszne. Najciężej przeżywa jego śmierć moja mama. Traktowała go jak jeszcze jedno dziecko.

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś skrzywdził moje psy – wyznała Meg, wracając do pokoju.

Podala Nate'owi kieliszek wina, potem spod pachy wyjęła puszkę coli dla Stevena.

– Wiem, że robi pan wszystko, co możliwe. Ktoś powiedział mi, że mieliście tu jakiegoś szaleńca... Jezu, postrzelił Petera. – Potrząsnął głową i otworzył puszkę. – Ludzie mówią, że to on mógł tak załatwić Yukona, ale...

– Ty się z tym nie zgadzasz – domyślił się Nate.

– Yukon był przyjacielski, ale nigdzie nie wybrałby się z nieznajomym. Nie sądzę, żeby poszedł z kimś, kogo nie znał, a przynajmniej nie poszedłby z nim bez walki. Był stary i prawie ślepy, ale nie opuściłby podwórka z kimś obcym.

Upił spory łyk.

– Tak czy inaczej nie dlatego tu przyszedłem. Mam coś dla pana.

Uniósł biodra i przez chwilę grzebał w przedniej kieszeni dzinsów. Wyjął mały srebrny kolczyk w kształcie krzyża maltańskiego.

– To było w pieczarze – wyjaśnił. Nate wziął kolczyk.

– Znalazłeś go w pieczarze? Przy Gallowayu?

– Prawdę mówiąc, znalazł go Scott. Zapomniałem o tej błyskotce, jak wszyscy. Scott zauważył ją jakieś trzydzieści centymetrów od... – zerknął na Meg. – Od ciała. Przepraszam.

– W porządku.

– Odkuś kolczyk z lodu. Nie wiem, dlaczego, może żeby mieć coś do roboty. Włożył do plecaka. Kiedy ściągnięto nas z gór, byliśmy w beznadziejnym stanie, wylądowaliśmy w szpitalu, no i w ogóle, nie ma się zatem co dziwić, że po prostu zapomnieliśmy. Teraz Scott znalazł kolczyk w swoich rzeczach, przypomniał sobie o wszystkim i dał mi go, ponieważ jechałem do domu. Uznaliśmy, że ta ozdóbka prawdopodobnie należała do twojego ojca, Meg, więc powinniśmy ci ją oddać. Potem doszedłem do wniosku, że chyba raczej należałoby przekazać to gliniarzom, więc postanowiłem zgłosić się z tym do pana komendanta.

– Pokazywałeś kolczyk Cobenowi? – spytał Nate.

– Nie. Scott przypomniał sobie o tym kolczyku tuż przed moim wyjazdem do domu, a mnie się już wtedy bardzo spieszyło. Uznałem, że mogę dać go panu.

– W porządku. Dzięki, że mi go przywiozłeś.

– Nie wiem, czy ten krzyżyk należał do taty – powiedziała Meg, gdy zostali sami. – Mógł. Tata nosił kolczyk. Miał ich kilka, chociaż nie pamiętam zbyt dokładnie. Kilka małych wkrętek, jakieś złote kółko. To mogło być jego. Mógł sobie kupić w Anchorage, kiedy tam był. Chociaż ten kolczyk mógł też...

– Należec do mordercy – dokończył Nate, przyglądając się uważnie wisiorowi trzymanemu w ręce.

– Masz zamiar dać go Cobenowi?

– Zastanowię się.

– Odłóż to, dobrze? Odłóżmy to na dzisiejszy wieczór. Nie chcę być smutna.

Nate wsunął kolczyk do kieszeni na piersi i zapiął ją na guzik.

– W porządku?

– W porządku. – Oparła głowę na jego ramieniu i położyła dłoń na kieszeni. – Spróbuj jutro pokazać go Charlene. Może ona coś sobie przypomni. Na razie... – zarzuciła mu rękę na szyję i ponownie się uniosła. – Na czym to stanęliśmy?

– Wydaje mi się, że dokładnie na tym.

– W porządku. Popatrz! Za twoimi plecami jest ładna, wygodna kanapa. Ile czasu potrzebujesz, żeby rozebrać mnie do naga?

– Sprawdźmy.

Opadł na plecy, w ostatniej chwili pociągając ją za sobą. Wybuchnęła śmiechem. Wciąż obejmowała go nogami w pasie i próbowała wyciągnąć mu koszulę ze spodni. Gdy jej się to udało, wbiła mu paznokcie w plecy.

– Oczekuję, że dziś wieczorem zaczną bić wielkie dzwony, ponieważ jestem dziewczicą zaręczynową.

– Czekam ciężka praca, nim dostanę się do tych wielkich dzwonów.

Rozpiął jej bluzkę i całował rozpięcie od góry aż do dzinsów.

– Ale po drodze chciałbym poruszyć wszystkie małe.

– Podziwiam ambitnych mężczyzn.

Czuła język Nate'a na swoim ciele, czuła jego zęby, kiedy zsuwał z niej dzinsy.

Zgodziła się wyjść za tego mężczyznę za męża. Aż trudno to sobie wyobrazić. Za Ignatiouisa Burkę'a o dużych, smutnych oczach i mocnych rękach. Za mężczyznę pełnego cierpliwości, pragnień i odwagi. Pełnego honoru.

Przeczesała palcami jego włosy. Nie zasłużyła na niego, ale dzięki temu wszystko, co się działo, wydawało się jeszcze cudowniejsze.

Potem zaczął skubać zębami wewnętrzną część jej ud. Zadrżała i przestała myśleć.

Obsypywał ją pocałunkami od dołu do góry, od góry do dołu, z przodu i z tyłu, mając świadomość, że teraz Meg należy już do niego. Obiecał ją kochać, chronić i wspierać. Miłość do niej przypominała wewnętrzne słońce.

Znów odnalazł jej wargi, wpił się w nie, wyczuł jej żar i namiętność.

Nagle jak zza gęstej mgły dotarło do niego szczekanie psów, przerażająca kakofonia przebiła się przez podniecenie. Kiedy uniósł głowę, żeby lepiej wsłuchać się w ten dźwięk, Meg już wstawała.

– Coś się dzieje z moimi psami.

Nim Nate podniósł się z kanapy, Meg wybiegła z pokoju.

– Meg! Zaczekaj. Do jasnej cholery, zaczekaj! Usłyszał dźwięk, który dobiegł z zewnątrz i którego z pewnością nie wydał pies.

Nim ją złapał, miała już w ręce strzelbę i otwierała drzwi. Gwałtownym ruchem zamknął je Meg przed nosem.

– Co ty, do diabła, robisz?

– Ratuję swoje psy. Lada chwila coś im się stanie. Odsuń się! Wiem, co robię.

Zbyt przerażona, żeby silić się na uprzejmość, dźgnęła go kolbą w brzuch. Była wściekła, a jednocześnie zaskoczona, że, zamiast zgnać się wpół, próbował odsunąć ją do tyłu.

– Daj mi tę broń.

– Masz swoją. To moje psy.

Przez opętańcze szczekanie przebił się potężny ryk.

– On zabije moje psy!

– Nie!

Nate nie wiedział, o kim Meg mówi, ale sądząc po dźwięku, było to zwierzę znacznie większe od psów. Nate włączył światła na zewnątrz, potem wziął kaburę z bronią, którą wcześniej położył na ladzie, i wyjął z niej rewolwer.

– Zostań tutaj.

Po fakcie zastanawiał się, dlaczego liczył na to, że Meg go posłucha, że posłucha głosu rozsądku i zostanie w bezpiecznym miejscu. W rzeczywistości, kiedy otworzył drzwi i przyjął odpowiednią pozycję z rewolwerem gotowym do strzału, Meg zanurkowała mu pod ramieniem, wyskoczyła na zewnątrz i gwałtownie odwróciła się w stronę, z której dochodziły odgłosy szalonej walki.

Nate jednocześnie poczuł strach i niesamowity szacunek. Niedźwiedź był ogromny, wyglądał jak czarny kolos na tle resztek śniegu. Ostre i śmiertelnie niebezpieczne kły błysnęły w świetle, kiedy zwierzę otworzyło paszczę i ryknęło groźnie na psy.

Skakały na niego i odskakiwały, warczały, szczekały. Nate dostrzegł na ziemi krew, poczuł ostry zapach: odór dzikiego zwierzęcia.

– Rock! Buli! Do nogi!

Za późno – pomyślał Nate, kiedy Meg wołała psy. Posunęły się za daleko, żeby posłuchać nawet jej. Już wybrały między walką a chęcią ucieczki, odezwała się w nich żądza krwi.

Niedźwiedź opadł na cztery łapy, wygiął grzbiet, a dźwięk, który wydał, w niczym nie przypominał warczenia, jakie można usłyszeć w produkcjach Hollywoodu. Był to brutalny i przerażający ryk.

Zwierzę zamachnęło się łapą, odsłoniło pazury i pacnęło psa, który z przeraźliwym skowytym przefrunął kawałek w powietrzu i wpadł w śnieg. Potem niedźwiedź uniósł się na tylne nogi. Był wyższy od człowieka i potężny jak dąb. Na jego kłach widać było krew, w oczach szaleństwo.

Nate wystrzelił raz, kiedy niedźwiedź się uniósł, wystrzelił po raz drugi, kiedy zwierzę opadł na cztery łapy i ruszył przed siebie. Potem odezwała się strzelba Meg: raz i drugi, przeplatając się ze strzałami Nate'a. Zwierzę krzyknęło, przynajmniej w uszach Nate'a brzmiało to jak krzyk, krew zabarwiła jego futro.

Niedźwiedź upadł niecały metr od miejsca, w którym stali. Nate poczuł, jak ziemia zadrżała pod jego stopami.

Meg wsunęła strzelbę do ręki Nate'a i pobiegła do psów, które kuśtykały w jej stronę.

– Już wszystko dobrze, już dobrze. Pozwólcie, że zobaczę. Trochę was podrapał. Głupie, głupie psy. Przecież wołałam: „do nogi”.

Nate przez chwilę nie ruszał się z miejsca i sprawdzał, czy niedźwiedź naprawdę nie żyje, tymczasem Rock obwąchiwał zwierzę i próbował wsadzić nos w kałużę krwi.

Potem Nate podszedł do klęczącej Meg. Miała na sobie tylko figi i rozpiętą bluzkę.

– Wejdź do domu, Meg.

– Nie jest wcale tak źle – pocieszała Bulla. – Zaraz się tobą zajmę. Ktoś zwabił niedźwiedzia, porozwieszał wokół domu świeże mięso, widzisz?

Gestem ręki wskazała na zjedzone w połowie ochłapy na tyłach domu.

– Porozwieszał świeże mięso wokół domu i prawdopodobnie na skraju lasu. Zwabił niedźwiedzia. Drań. Bo tylko drań mógł zrobić coś takiego.

– Wejdź do domu, Meg. Zmarzniesz. – Podciągnął ją do pozycji stojącej. Wyczuł, że drży. – Zabierz to. Ja wezmę psa.

Meg zabrała broń i gwizdnęła na Rocka. Po wejściu do domu położyła broń na ladzie, po czym pobiegła po koc i apteczkę.

– Połóż go na tym! – zawołała, kiedy Nate wniósł psa. – Spróbuj go uspokoić. Będzie go bolało.

Zrobił, co kazała, przytrzymał Bullowi łeb i nie odzywał się ani słowem, gdy Meg przemywała rany.

– Rany nie są zbyt głębokie, chociaż prawdopodobnie zostaną po nich blizny. Ślady po stoczonych walce. Rock, siedzieć piesku! – warknęła, kiedy drugi z psów próbował wsunąć się jej pod pachę i obwąchać towarzysza. – Muszę mu zrobić kilka zastrzyków.

Wyjęła strzykawkę, spokojnie ją przygotowała, wystrzyknęła maleńką fontannę.

– Trzymaj go, żeby się nie ruszył.

– Możemy zawieźć go do Kena.

– Nie jest tak źle. Ken nie zrobiłby więcej niż ja. Dam mu ten zastrzyk, żeby go trochę oszołomić i pozszywać najgłębsze rany. Potem dostanie antybiotyki, owiniemy go kocem i pozwolimy mu pospać.

Odgarnęła włosy z czoła i wbiła psu igłę. Buli skomlał i wywracał oczami,

zerkając żałośnie na Nate'a.

– Uspokój się, brachu, zaraz poczujesz się lepiej. Głaskał psa, tymczasem Meg zaczęła go zszywać.

– Trzymasz to wszystko w domu?

– Kiedy się tu mieszka, nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać. Można zaciąć się w nogę, na przykład przy rąbaniu drewna, może zabraknąć prądu, drogi mogą być zablokowane, co wtedy zrobić?

Ze zmarszczonym czołem szyła rany, jej głos brzmiał spokojnie i rzeczowo.

– Nie mogę liczyć na to, że do każdego skaleczenia uda mi się ściągnąć lekarza. No, dziecinko, już prawie skończyłam. Teraz postaramy się, żeby było ci ciepło i wygodnie. Posmaruję mu to maścią, dzięki której rana szybciej się zagoi, a on nie będzie jej szarpał, ponieważ ta mieszanina ma paskudny smak. Zabandażuję go, a jutro zawiozę do lekarza, żeby wszystko sprawdził, ale nie jest tak źle.

Kiedy Buli spał pod kocem, a Rock zwinął się obok niego w kłębek i też zasnął, Meg chwyciła do ręki wino i napiła się prosto z butelki. Dopiero teraz ręce zaczęły jej drżeć.

– Jezu Chryste!

Nate wziął od niej butelkę i ostrożnie odstawił na bok. Potem chwycił Meg za łokcie i przeciągnął kawałek po podłodze.

– Nigdy, przenigdy nie rób czegoś takiego!

– Hej!

– Spójrz na mnie! Posłuchaj mnie!

Właściwie nie miała wyboru, ponieważ jego głos huczał ze wszystkich stron, a pełna wściekłości twarz Nate'a przesłoniła cały świat.

– Nigdy więcej nie ryzykuj w taki sposób.

– Musiałam...

– Wcale nie. Byłem tutaj. Nie musiałaś wybiegać z domu prawie naga i walczyć z grizzly.

– To nie był grizzly! – krzyknęła. – To był zwyczajny czarny niedźwiedź, niedźwiedź amerykański.

Puścił ją.

– Niech cię cholera jasna, Meg!

– Potrafię sama zatroszczyć się o siebie i to, co do mnie należy.

Odwrócił się do niej z taką złością, że aż cofnęła się o krok. W tym momencie

wcale nie miała do czynienia z cierpliwym kochankiem ani zimnookim gliniarzem. Musiała stawić czoło wściekłemu, wzburzonemu do granic możliwości mężczyźnie.

– Teraz należysz do mnie i przyzwyczaj się do tego.

– Nie miałam zamiaru stać z założonymi rękami i udawać bezradnej, gdy...

– Bezradnej? Kto chce, żebyś udawała bezradną?! Istnieje cholerna różnica między udawaniem bezradnej a wybieganiem z domu w samej bieliźnie, kiedy nie zna się sytuacji. Zwłaszcza że po drodze próbowałaś odepchnąć mnie na bok, dźgając kolbą w brzuch.

– Nie dźgnęłam cię... naprawdę to zrobiłam?

Co dziwne, to właśnie jego potworna złość przywołała ją do rzeczywistości i zmusiła do zastanowienia.

– Przepraszam, bardzo przepraszam. To był błąd.

Ukryła twarz w dłoniach i zrobiła kilka głębokich wdechów, póki nie pozbyła się strachu, złości, póki trochę się nie uspokoiła.

– Przypuszczam, że popełniłam ich więcej, ale po prostu reagowałam...

Wyciągnęła rękę na znak pokoju, potem wzięła swoje wino. Popijała je powoli, żeby zwilżyć bolące gardło.

– Traktuję swoje psy jak partnerów. Sam dobrze wiesz, że człowiek się nie waha, gdy partner jest w opałach. Wiedziałam dobrze, co się dzieje. Nie miałam czasu na wyjaśnienia. Nie miałam czasu, żeby ci powiedzieć... ile daję mi świadomość, że jesteś tuż obok mnie. Nawet jeśli moje zachowanie na to nie wskazywało, wiedziałam, że tam jesteś, i to bardzo mi pomogło.

Głos jej się załamał, więc przycisnęła palce wolnej ręki do oczu i czekała, aż się uspokoi.

– Jeśli chcesz się trochę powściekać, masz do tego pełne prawo, ale zanim skończysz na mnie krzyczeć, pozwól mi się, ubrać.

– Chyba skończyłem.

Podszedł do niej, przyciągnął ją do siebie i przywarł do niej z całych sił.

– Spójrz, cała drzę. – Wtuliła się w niego. – Nie drżałabym, gdyby cię tu nie było i gdybym nie mogła się do ciebie przytulić.

– Ubierz się.

Obejmując ją, zaprowadził do salonu, potem podszedł do kominka, żeby dorzucić dREW.

– Chce, się o ciebie troszczyć – szepnął. – Wcale nie chcę cię we wszystkim

wyręczać.

– Wiem. Lubię sama troszczyć się o siebie, ale spróbuję pozwolić, żebyś czasem w czymś mi pomógł.

– W porządku. A teraz powiedz mi coś o tych przynętach.

– Niedźwiedzie lubią jeść. Toteż właśnie na biwaku trzeba zakopywać w ziemi albo szczelnie pakować resztki i odpadki z jedzenia, a wszystkie zapasy trzymać w szczelnych pojemnikach i wieszać je na drzewie z dala od obozowiska. Dlatego buduje się spiżarnie na palach, a drabiny, po których się tam wchodzi, każdorazowo trzeba kłaść na ziemi.

Włożyła spodnie i przeczesła palcami włosy.

– Niedźwiedzie mają doskonały węch, bez trudu wyczuwają jedzenie, potrafią pokonać spore odległości w poszukiwaniu przekąski i umieją wchodzić po drabinie. Byłbyś zdziwiony, ile zwierząt potrafi wdrapywać się po drabinie. Niedźwiedzie czasami wchodzi nawet do miasta, na zaludniony teren, byle dostać się do pojemników na śmieci, karmników i tym podobnych rzeczy. Zdarza się, że pojedynczy osobnik wchodzi do domu, by sprawdzić, czy w środku nie znajdzie czegoś do jedzenia. Przeważnie można takiego gościa przestraszyć. Czasami się to nie udaje.

Zapięła bluzkę i podeszła bliżej do kominka.

– Tam, na podwórku, było mięso. Idę o zakład, że znajdziemy strzępy plastikowej torby, w której ono wisiało. Ktoś je tam umieścił, mając nadzieję, że zwabi niedźwiedzia w pobliże domu. O tej porze roku można być pewnym, że taka przynęta zadziała. Niedźwiedzie budzą się z zimowego snu i są głodne.

– Ktoś podłożył przynętę, mając nadzieję, że wpadniesz w pułapkę?

– Nie, nie ja. Ty. – To sprawiło, że poczuła ucisk w żołądku. – Zastanów się nad tym. Przynęty musiały zostać rozłożone dziś w ciągu dnia, przed naszym powrotem. Gdyby ktoś próbował to zrobić, gdy byliśmy w domu, usłyszeliśmybyśmy szczekanie psów. Powiedzmy, że samotnie spędzałbyś tu noc, jak kilka poprzednich. Co byś zrobił, gdybyś usłyszał taki hałas, jaki niedawno wzniewały psy?

– Wyszedłbym na zewnątrz zobaczyć, co się dzieje, ale na pewno wyszedłbym z bronią w ręku.

– To znaczy z pistoletem – uściśliła, kiwając głową. – Może udałoby ci się zastrzelić niedźwiedzia z pistoletu albo przestraszyć go... pod warunkiem, że miałbyś dużo szczęścia i wystarczyło ci nabojów, nim wyrwałby ci broń z ręki

i ją zjadł. Bardziej prawdopodobne, że tylko byś go rozzłościł. Przypomnij sobie misia, który jeszcze przed chwilą zajadał smaczny kąsek i walczył z dwoma wściekłymi husky. Pokonałby moje psy, Nate. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że trochę by go pokąsały, nim zdążyłby je rozerwać na kawałki. Gdybyś jednak stał na zewnątrz ze swoją dziewięciomilimetrówką, byłby w stanie rozerwać na kawałki i ciebie. Tak, to bardzo prawdopodobne. Ranny niedźwiedź, zły niedźwiedź w pogoni za człowiekiem jest w stanie nawet wyważyć drzwi. I ktoś na to właśnie liczył.

– Jeśli tak, to znaczy, że musiałem kogoś bardzo zdenerwować.

– To całkiem normalne w życiu gliniarzy, nie sądzisz? – Położyła mu rękę na kolanie, kiedy usiadł obok niej. – Niezależnie od tego, kto to był, chciał, żebyś zginął albo odniósł poważne obrażenia. Co więcej, ten drań nie miał nic przeciwko poświęceniu przy okazji moich psów.

– Albo ciebie, gdyby wszystko rozegrało się inaczej.

– Albo mnie. No cóż, ten typek mnie wkurzył. – Poklepała go po kolanie, wstała i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju. – Śmierć mojego ojca bardzo boli, ale on odszedł dawno temu i mogę się z tym pogodzić. Wystarczyłoby mi wytropienie i wsadzenie do celi drania, który to zrobił. Nikt jednak nie ma prawa tak traktować moich psów!

Odwróciła się i zobaczyła, że Nate lekko się uśmiechnął.

– Ani faceta, za którego mam zamiar wyjść za mąż, zwłaszcza że nie zdążył jeszcze kupić mi przyzwoitego pierścionka. Wciąż jesteś na mnie zły?

– Nie za bardzo, ale zawsze będę miał przed oczami, jak stoisz na zewnątrz w czerwonych figach, rozpiętej czerwonej bluzce i celujesz do niedźwiedzia. Tyle że po jakimś czasie ten obrazek będzie bardziej erotyczny niż przerażający.

– Naprawdę cię kocham. To jest najgorsze. No dobrze. – Przetarła twarz dłońmi. – Nie możemy zostawić padliny na zewnątrz. Ściągnie wszelkich nieproszonych gości, a psy będą szczekać do rana. Zadzwońię do Jacoba, poproszę, żeby mi przy tym pomógł, a przy okazji sprawdził, czy uda mu się znaleźć jakieś ślady pozostawione przez człowieka, który porozwieszał przynętę.

Ujrawszy twarz Nate'a, cofnęła się.

– Widzę, że twój mózg ciężko pracuje. Jacob był tu wczoraj z mięsem niedźwiedzia. On tego nie zrobił, Nate. Podam ci kilka konkretnych powodów, dlaczego, pomijawszy fakt, że to dobry człowiek i mnie kocha. Po pierwsze, nie

narażałby moich psów. Za bardzo je lubi i szanuje. Po drugie, wiedział, że wracam dzisiaj na noc do domu. Skontaktowałam się z nim, gdy udało mi się naprawić silnik. Po trzecie, gdyby chciał cię zabić, po prostu wbiłby ci nóż w serce i zagrzebał gdzieś, gdzie nikt nigdy by cię nie znalazł. Jasne i proste. A ten ktoś? To człowiek podstępny, tchórzliwy i chyba mocno zdesperowany.

– Zgadzasz się z tobą. Zadzwoń do Jacoba.

Następnego ranka Nate bacznie przyglądał się w biurze najświeższym dowodom. Skrawkom białego plastiku, takiego, w jaki pakuje się zakupy w „Sklepie na Rogu”, kawałkom mięsa w woreczkach na dowody.

I srebrnemu kolczykowi.

Gdzie on go wcześniej widział? Taki kolczyk? Coś kołatało mu się w głowie, jakiś palec stukał i pukał, próbując obudzić mózg.

Pojedynczy srebrny kolczyk. Obecnie mężczyźni noszą je częściej niż dawniej. Moda zmienia się i ewoluuje, teraz nawet garnitur nie śmie zadzierać nosa przy kolczyku.

Szesnaście lat temu wcale nie był to nakaz mody, a normalny mężczyzna rzadko ozdabiał uszy. Jeśli już, to raczej jakiś hipis albo muzyk, artysta, włóczęga czy buntownik. Zwłaszcza że to wcale nie była dyskretna wkrętka ani małe zabawne kółeczko, nie, to był wisiołek w kształcie krzyża.

Coś w rodzaju oficjalnego oświadczenia.

Kolczyk nie należał do Gallowaya. Nate sprawdził zdjęcia, Galloway zmarł z kółkiem w uchu. Z tego, co Nate zauważył po użyciu lupy, ojciec Meg miał przekłute tylko jedno ucho.

Dla pewności sprawdził to jeszcze u eksperta medycyny sądowej.

Kolczyk należał zatem do mordercy.

Część, którą zakłada się od spodu – jak to się, do diabła, nazywa? – gdzieś zginęła. Nate wyobrażał sobie, jak bezimienny mężczyzna cofa się, unosi czekan, opuszcza go i zabija swojego współtowarzysza, nie zwracając uwagi, że w tym czasie małe kolczyk jakimś cudem wypada mu z ucha.

Czy stał potem przez chwilę i obserwował szok na twarzy Gallowaya, który bezwładnie osunął się po lodowej ścianie? Czy patrzył i sprawdzał? Czy sam był również zaszokowany, czy raczej zadowolony? Czy odczuwał dreszczyk emocji, czy też przerażenie? Chociaż to właściwie nie miało znaczenia – myślał Nate. Robota została wykonana.

Teraz tylko trzeba było zabrać plecak i sprawdzić jego zawartość.

Pozostawienie zapasów lub pieniędzy nie miało sensu, zwłaszcza jeśli rzeczywiście były tam pieniądze. Trzeba być praktycznym. Ważne jest tylko to, by jakoś przeżyć.

Ile czasu minęło, nim zauważył, że zgubił kolczyk? Widocznie było już za późno, żeby wrócić i go poszukać, poza tym to zbyt drobiazg, by się nim przejmować.

Chociaż, z drugiej strony, oskarżenie... i wyrok niemal zawsze opierają się na drobiazgach.

– Nate?

Nie wypuszczając z ręki kolczyka, nacisnął guzik interkomu.

– Taak?

– Jacob chce się z tobą widzieć – oznajmiła Peach.

– Wpuść go.

Kiedy Jacob wszedł i zamknął za sobą drzwi, Nate nie wstał, jedynie rozparł się w krzesło.

– Spodziewałem się, że przyjdiesz dziś rano.

– Chcę powiedzieć ci coś, czego nie chciałem mówić wczoraj wieczorem przy Meg.

Jacob miał na sobie koszulę z koziej skóry i wyblakłe džinsy. Cienki sznurek koralików na szyi podtrzymywał brązowy, wypolerowany kamień. Srebrne włosy zaczesał do tyłu i związał w długi koński ogon. W odsłoniętych uszach nie miał żadnej biżuterii.

– Usiądź – zachęcił Nate – i powiedz, co masz mi do powiedzenia.

– Postoję i powiem, co mam ci do powiedzenia. Albo skorzystasz z mojej pomocy, żeby zakończyć tę sprawę, albo sam zrobię to, co konieczne, ale pora położyć kres tej zabawie.

Zrobił krok do przodu i po raz pierwszy od chwili, kiedy się poznali, Nate dostrzegł na twarzy Jacoba niemaskowaną złość.

– Ona jest moim dzieckiem. Była nim dłużej niż dzieckiem Pata. To moja córka. Chcę, żebyś to wiedział, niezależnie od tego, co o mnie sądzisz i co cię może czasami u mnie dziwi. Tak czy inaczej odkryję, kto wczoraj ściągnął na nią takie niebezpieczeństwo.

Nate wraz z krzesłem odchylił się do tyłu, potem ponownie postawił je na czterech nogach.

– Dać ci odznakę?

Zauważył, że Jacob zacisnął ręce w pięści, potem powoli, bardzo powoli rozluźnił palce. Dopiero wtedy udało mu się ukryć złość pod nieprzeniknioną maską stoickiego spokoju.

– Nie. Chybaby mi się to nie podobało. Jest dla mnie za ciężka.

– W porządku, w takim razie zachowamy naszą... współpracę w tajemnicy. Czy to ci bardziej odpowiada?

– Tak.

– Wracając do ludzi, z którymi rozmawiałeś i którzy powiedzieli ci o pieniądzach. Czy możliwe, żeby wieść o twoich rozmowach dotarła do Lunacy?

– Bardzo możliwe. Ludzie lubią dużo gadać, zwłaszcza biali.

– Jeśli tak, czy można było wysnuć wniosek, że ze względu na swoje powiązania z Gallowayem i Meg to właśnie ty przekazałeś mi te informacje?

Jacob wzruszył ramionami.

– Dlaczego w takim razie ktoś nie próbował zamknąć ci ust, nim do mnie dotarłeś?

Jacob uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Bardzo długo chodzę już po tym świecie i trudno byłoby mnie zabić. W przeciwieństwie do ciebie. Wczorajsze wydarzenie było bezsensowne i głupie. Dlaczego ten ktoś nie strzelił ci w łeb, gdy byłeś sam nad jeziorem? Nie przywiązał ci kamienia do szyi i nie utopił? Ja bym tak postąpił.

– Doceniam to. Widocznie ten ktoś nie lubi działać otwarcie. Nie działał otwarcie nawet w przypadku Gallowaya – powiedział Nate, gdy Jacob zerknął na tablicę. – Dał się ponieść emocjom, chciwości albo chciał wykorzystać szansę. Może zresztą powodowały nim wszystkie te trzy pobudki jednocześnie. Nie działał zgodnie z jakimś planem.

– Zgoda. – Jacob przytaknął po chwili zastanowienia, – Są łatwiejsze sposoby zamordowania człowieka niż wspinaczka.

– Zadał czekanem jeden cios – ciągnął Nate. – Tylko jeden. Jak się okazało, był zbyt... delikatny, żeby wyciągnąć narzędzie zbrodni i pozbyć się zwłok. To byłoby zbyt otwarte, wymagałoby zbyt wielkiego wysiłku. Tak samo postąpił w przypadku Maxa. Upozorował samobójstwo. Mógł uważać że Max był odpowiedzialny za wszystko w takim samym stopniu jak on... Pies? Zwykły pies, przykrywka, próba odwrócenia uwagi... i ukryty policzek wymierzony Stevenowi Wise'owi. Taak, ten człowiek nie odważyłby się stanąć ze mną

twarzą w twarz.

Położył kolczyk na biurku.

– Poznajesz to? Jacob zmarszczył czoło.

– Świecełko, jakiś symbol. Nie miejscowy. My mamy swoje.

– Myślę, że morderca zgubił go szesnaście lat temu i dawno o nim zapomniał.

Przypomni sobie, gdy znów go zobaczy. Widziałem gdzieś ten kolczyk. Tylko nie pamiętam, gdzie. – Nate uniósł krzyżyk i zaczął go powoli obracać. – Nie pamiętam, gdzie.

Przez cały czas nosił kolczyk przy sobie. Może nie było to zgodne z przyjętą procedurą, ale miał go w kieszeni, kiedy załatwiał różne sprawy w miasteczku.

Nikomu nie wspomniał o wypadku przy domu Meg i prosił, by ona i Jacob również zachowali w tej sprawie całkowitą dyskrecję. Potraktował to jak zabawę z mordercą.

Wiosenne dni stawały się coraz dłuższe, zieleń zaczynała brać górę nad bielą, tymczasem Nate wykonywał swoje obowiązki, rozmawiał z ludźmi, wysłuchiwał ich problemów i skarg.

Przy okazji przyglądał się uszom mężczyzn.

– One się zamykają – powiedziała pewnego wieczoru Meg.

– Co takiego?

– Dziury w uszach... albo wszędzie tam, gdzie postanowisz przekłuć sobie ciało.

Delikatnie musnęła palcami jego penis.

– Mam pomysł.

Nie zdołał ukryć dreszczu rozkoszy. Roześmiała się. Nikczemnie.

– Słyszałam, że kolczyki w pewnym miejscu mogą urozmaicić... stosunek.

– Nawet o tym nie myśl. Co to znaczy „zamykają się”?

– Zarastają. Jeżeli długo z nich nie korzystasz, przestajesz cokolwiek nosić, wtedy po prostu się zamykają.

– O cholera! Jesteś pewna?

– Kiedyś w tym uchu miałam cztery dziurki. – Pociągnęła lewą małżowinę. – Działając pod wpływem impulsu, zrobiłam sobie trzecią i czwartą dziurkę.

– Sama? Zrobiłaś to sama?

– Jasne. To proste.

Położyła się na nim, a ponieważ była naga, całkowicie zapomniał, o czym rozmawiali. Na siłę skupił myśli.

– Przez kilka tygodni nosiłam cztery kolczyki, potem jednak uznałam, że to zbyt wielki kłopot, więc przestałam używać dodatkowych otworów. Zarosły. – Włączyła światło i pochyliła głowę. – Widzisz?

– Mogłaś mi to powiedzieć wcześniej, zanim sprawdziłem uszy wszystkich facetów z miasteczka i zapisałem, kto ma je przekłute.

Rozmasowała jego ucho.

– Śliczniutko wyglądałbyś z kolczykiem.

– Nie.

– Mogłabym przekłuć ci ucho.

– Absolutnie się nie zgadzam. Ani ucho, ani nic innego.

– Psujesz mi całą zabawę.

– Taak, to cały ja. Muszę od nowa zastanowić się nad tą sprawą, ponieważ, jak się okazuje, cała moja lista jest do niczego.

Meg uniosła się, usiadła na nim okrakiem i wpuściła go w siebie.

– Pomyślisz o tym później.

Gdy wpadł do Lodge, zauważył, że Hopp i Ed jedzą jakąś sałatkę. Zatrzymał się przy ich boksie.

– Mogę wam przerwać?

– Jasne, siadaj. – Hopp zrobiła mu miejsce. – Omawiamy trudne sprawy. Aż mnie rozboleła głowa, a Edowi skoczyło ciśnienie. Próbujemy wymyślić, jak ułożyć budżet, żeby udało się wybudować bibliotekę. Może wystarczyłoby przeznaczyć na ten cel część nowej poczty. Jak sądzisz?

– Podoba mi się ten pomysł.

– Co do tego oboje się zgadzamy. – Ed wytarł usta serwetką. – Musimy jednak nieco elastyczniej potraktować budżet, żeby wysupłać na ten cel jakieś pieniądze. – Puścił do Hopp perskie oko. – Wiem, że nie to chciałaś usłyszeć.

– Możemy wciągnąć w to ludzi, namówić ich, żeby sfinansowali zakup materiałów, pomogli zrobić to i owo. Możemy poprosić ich też o pieniądze na książki albo o same książki. Ludzie chętnie podejmują takie akcje, jeśli konkretny pomysł trafi im do przekonania.

– Możecie na mnie liczyć – zapewnił Nate. – Jeśli będzie trzeba i kiedy będzie trzeba. Tymczasem ja sam też mam trudne pytanie. Do ciebie, Edzie. Pytanie do bankiera, kwestia sprzed lat, więc może będziesz musiał sięgnąć pamięcią wstecz.

Nie ma dziury w uchu – odnotował Nate, kiedy Ed kiwnął głową.

- Jeśli chodzi o finanse, mam bardzo dobrą pamięć. Pytaj.
- Chodzi o Gallowaya.
- Pata? – obniżył głos i rozejrzał się dookoła. – Może nie powinniśmy tu rozmawiać na ten temat ze względu na Charlene?
- To nie potrwa długo. Ktoś powiedział mi, że podczas pobytu w Anchorage Pat wygrał w pokera całkiem niezłą sumkę.
- Pat uwielbiał grać w pokera – przyznała Hopp.
- Tak. Sam grałem z nim kilka razy. Chociaż zazwyczaj niewiele wygrywał – dodał Ed. – Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by nagle mu się powiodło.
- Ktoś zapewniał mnie, że tym razem naprawdę dopisało mu szczęście. W związku z tym zastanawiałem się, czy przed wyjściem w góry przysłał jakieś pieniądze na swój rachunek w Lunacy.
- Z tego, co pamiętam, nie. Wtedy byliśmy o wiele mniejszym bankiem niż teraz, jak już ci mówiłem. – Ed w zamyśleniu przymrużył oczy. – Dopiero po zniknięciu Pata wybudowaliśmy prawdziwy skarbiec i teraz mamy dwie kasjerki na pół etatu. Mimo to wciąż osobiście nadzoruję niemal każdą transakcję. – Potarł brodę i oparł się o krzesło. – Pat nie przejmował się finansami. Nie należał do ludzi, którzy przychodzą do banku, żeby wpłacić albo wypłacić pieniądze.
- A gdy wyjeżdżał z miasta w poszukiwaniu pracy? Czy przysyłał wtedy jakieś pieniądze?
- Czasami owszem, przysyłał. Przypominam sobie, jak podczas nieobecności Pata Charlene przez ponad dwa miesiące przychodziła raz, nawet dwa razy w tygodniu, żeby sprawdzić, czy na jej konto nie wpłynęły jakieś pieniądze. Jeśli miał jakąś większą sumkę, w co, szczerze mówiąc, wątpię, mógł umieścić ją w banku w Anchorage albo równie dobrze wsadzić do pudełka po butach.
- Zgadzam się z Edem – powiedziała Hopp. – Pat nigdy nie myślał o pieniądzach.
- Ludzie o takiej przeszłości jak on zazwyczaj tak właśnie postępują. – Ed wzruszył ramionami. – Pora – powiedział, mrugając do Hopp – żebyśmy wrócili do naszej rozmowy, jeśli naprawdę zależy nam na miejskiej bibliotece.
- W takim razie zostawiam was samych. – Nate wysunął się z boksu. – Dzięki, że poświęciliście mi czas.
- Powinien się zająć ważniejszymi sprawami. Ed potrząsnął głową i odstawił kawę.

– Prawdopodobnie uważa, że ta jest wystarczająco ważna.
– Jeśli chcemy mieć bibliotekę, Hopp, musimy dobrze zorganizować uroczystości z okazji Pierwszego Maja.

– Zgadzam się z tobą. Na razie Nate robi to po cichu. Widocznie musi wszystko dokładnie sprawdzić, zanim uwierzy, że to Max zabił Pata. Uparty Ignatious – dodała. – Tak teraz o nim myślę. Po prostu nie popuści. To dobra cecha u komendanta policji.

Jacob miał rację: niektórzy ludzie nie chcą rozmawiać z gliniarzami. Nawet w obecności Jacoba Nate nie był w stanie wycisnąć z nich nic więcej.

Chociaż nie była to całkiem stracona wyprawa.

Nie poszedł do Cobena. Wiedział, że powinien. Powinien oddać sierżantowi kolczyk, ale tego nie zrobił.

Potrzebował jeszcze trochę czasu, żeby poskładać wszystkie elementy.

Rozluźnił się, gdy samolot usiadł na wodzie.

– Dzięki, że ze mną poleciałeś. Mam przywiązać samolot? Wysiadasz?

– Umiesz?

– W tym momencie to tylko łódka ze skrzydłami. Umiem przywiązać łódkę do palika.

Jacob kiwnięciem głowy wskazał na Meg, która wyszła im na spotkanie.

– Masz inne sprawy.

– Owszem, mam. W takim razie do zobaczenia. Wyskakując na kiwający się pomost, Nate modlił się, żeby nie zrobić z siebie pośmiewiska i nie wpaść do wody. Udało mu się wylądować bezpiecznie w tej samej chwili, kiedy dotarła do niego Meg.

– Dokąd on się wybiera?! – zawołała, kiedy samolot Jacoba zaczął się ślizgać po jeziorze.

– Powiedział, że ma inne sprawy do załatwienia. – Nate wyciągnął rękę do Meg. – Wcześniej wróciłaś.

– Nie, to ty wróciłaś późno. Jest prawie ósma. Spojrzał na niebo wciąż jasne jak w samo południe.

– Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłem. Kobieto, gdzie moja kolacja?

– Cha, cha, cha. Jeśli chcesz, możesz usmażyć na grillu kilka steków z łosia.

– Steki z łosia, moje ulubione danie.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego w Anchorage?

– Nie, przynajmniej jeśli chodzi o dochodzenie. A jak tobie minął dzień?

– Prawdę mówiąc, sama też wpadłam na chwilę do Anchorage, a skoro już tam byłam, przez przypadek natknęłam się na sklep, w którym dziwnym trafem sprzedają ślubne suknie.

– Naprawdę?

– Przestań się uśmiechać. Nadal nie chcę żadnej wielkiej uroczystości, wystarczy mi przyjęcie tu, w domu, doszłam jednak do wniosku, że chcę mieć suknię, która zwałaby z nóg. Kreację, przy której oczy wyjdą ci na wierzch.

– Znalazłaś taką?

– Dowiesz się w odpowiednim czasie. – Pierwsza weszła na werandę, potem pocałowała go z głośnym mlaśnięciem. – Lubię, gdy stek z łosia jest dobrze wysmażony, a bułeczka lekko podrumieniona.

– Masz to jak w banku, ale nim zasiądziemy do kolacji, muszę ci wyznać, że ja też dzisiaj zrobiłem drobne zakupy z myślą o ślubie.

– Taak?

– Taak. – Wyjął z kieszeni pudełeczko z pierścionkiem. – Zgadnij, co to takiego.

– To moje! Daj mi!

Otworzył wieczko i z prawdziwą przyjemnością patrzył, jak oczy Meg wychodzą na wierzch na widok pięknie szlifowanego solitera osadzonego w platynowej obrączce.

– Jasna cholera!

Wyrwała mu pudełeczko, uniosła je nad głowę i zeskoczyła z werandy. Potem zaczęła tańczyć po podwórku, wydając skrzekliwe dźwięki, które potraktował jako aprobatę.

– Czy to znaczy, że ci się podoba?

– Błyszczysz! – Kręcąc się, wróciła do niego. – No, panie komendancie, to jest prawdziwy pierścionek. Jest bombowy, Nate, naprawdę bombowy. Głupi i ekstrawagancki, ale właśnie dlatego idealny. Naprawdę idealny.

Uniosła go i opuściła w otwartą dłoń Nate'a.

– No dobrze, załóż mi go. Pospiesz się.

– Przepraszam, ale czy nie powinniśmy tego zrobić w jakichś bardziej romantycznych okolicznościach?

– Myślę, że jesteśmy już na takim etapie, z którego nie ma odwrotu. – Poruszyła palcami. – No, załóż mi go!

– Dobrze, że nie przegrzałem sobie szarych komórek, usiłując wymyślić coś

poetyckiego na tę okazję.

Wsunął pierścionek na palec Meg. Kamień błyszczał jak szalony.

– Nie zgub go.

– Ciekawa jestem, kiedy całkiem zgłupieję.

– Słucham?

– Po prostu coraz bardziej się w tobie zakochuję. Powiadają, że miłość odbiera rozum, dlatego zastanawiam się, kiedy zgłupieję do reszty.

Ujęła jego twarz w dłonie w sposób, który zawsze powodował u niego przyspieszone bicie serca.

– Nie wiem, czy jestem dla ciebie idealna, Nate, ale do jasnej cholery, ty z całą pewnością jesteś idealny dla mnie.

Ujął jej rękę z pierścionkiem i pocałował ją.

– Myślę, że jeśli zgłupiejemy, to zrobimy to razem. Chodź, zrobmy te steki.

– Co to jest?

Meg spojrzała na pęczek kluczy w ręce Nate'a i z pełnym rozmysłem zmarszczyła czoło.

– Wygląda na klucze.

– Po co ci tyle kluczy?

– Ponieważ jest tak dużo zamków? Czy to kwiz? Dzwonił kluczami, podczas gdy Meg promiennie i niewinnie się do niego uśmiechała.

– Meg, sama bardzo często nie zamykasz swoich drzwi. Po co ci te wszystkie klucze?

– No cóż... Czasami zdarza się, że człowiek chce gdzieś wejść, a tu, hej!... zamknięte. Wtedy potrzebny mu klucz.

– A to miejsce, które jest, hej!... zamknięte, nie jest domem tegoż człowieka. Czy mam rację?

– Do pewnego stopnia tak, ale żaden człowiek nie jest wyspą, wszyscy żyjemy wśród ludzi, i tak dalej, i tak dalej. Ze wszystkich stron otacza nas wszechświat zeń.

– A to są klucze zeń, tak?

– Oczywiście. Oddaj mi je.

– Nic z tego. – Zacisnął na nich palce. – Widzisz, nawet zakładając, że rzeczywiście ze wszystkich stron otacza nas wszechświat zeń, za nic w świecie nie chciałbym aresztować żony za bezprawne wtargnięcie na czyjś teren.

– Jeszcze nie jestem twoją żoną, brachu. Masz nakaz rewizji?

– Leżały na wierzchu. Nie potrzebuję żadnego nakazu.

– Gestapo!

– Przestępczyni!

Wolną ręką chwycił ją za brodę i pocałował. Otwierając tylne drzwi samochodu, zawołał psy.

– Wsiadajcie. Czeka was przejażdżka.

Od ostatniej przygody nie zostawiała psów samych. Jeździły z nią, zostawały u Jacoba, a gdy oboje byli zajęci, przebywały w Lodge.

Nate pomógł wskoczyć wciąż wracającemu do zdrowia Bullowi.

– Lataj nisko i powoli – powiedział do Meg.

– Taak, taak.

Z rękami w kieszeniach ruszyła w stronę samolotu, potem zawróciła i podeszła do niego.

– Mogę zdobyć następne klucze, wiesz? Mam swoje sposoby.

– Na pewno – mruknął Nate.

Odczekał, jak to miał w zwyczaju, aż wystartowała. Lubił patrzeć, jak samolot Meg unosi się z powierzchni wody, czekać, kiedy w ciszy rozlegnie się ryk silników. W tym czasie myślał o niej i o nowym życiu, które powoli zaczęli wspólnie budować.

Meg już pracowała nad czymś, co, jak się okazało, po stajaniu śniegu miało być dwiema rabatkami po obu stronach werandy. Wspomniała coś o orlikach i innych kwiatach, o moczu wilka rozpryskanym dookoła, żeby uchronić grządkę przed łosiem.

Twierdziła, że w lecie ostróżki osiągną niemal trzy metry wysokości.

Aż trudno w to uwierzyć – pomyślał Nate. Aż trudno uwierzyć, że Meg Galloway, alaski pilot, kobieta, która zabiła niedźwiedzia, nałogowa włamywaczka, zajmuje się ogrodem. Twierdziła, że jej dalie są tak duże jak kołpaki.

Nate chciał je zobaczyć. Chciał siedzieć z Meg na werandzie w długą letnią noc, obserwować słońce przesuwające się powoli po niebie i patrzeć na kwiaty przed domem.

Doszedł do wniosku, że to takie zwyczajne. Ich życie może się składać z tysięcy zwyczajnych chwil, a mimo to wcale nie będzie nudne.

Samolot Meg coraz bardziej wzbijał się w niebo, wyglądał jak mały, czerwony ptak na bezkresnym błękitnie. Nate uśmiechnął się, poczuł przyspieszone bicie

serca, kiedy w pozdrowieniu pochyliła skrzydła, najpierw prawe, potem lewe.

Kiedy znów zapanowała cisza, wszedł do samochodu, w którym były już psy, i zaczął myśleć o innych rzeczach.

Może głupotą było upieranie się przy kolczyku, małym kawałku srebra, i niepotwierdzonej informacji, że Galloway wygrał spore pieniądze.

Nate gdzieś już widział ten kolczyk, wiedział, że wcześniej czy później przypomni sobie, gdzie. Pieniądze z pewnością stanowiły dla mordercy dodatkowy atut.

Jadąc do miasta, snuł dalsze rozważania. Galloway miał sporą gotówkę i piękną kobietę. To wystarczające motywy, żeby popełnić morderstwo. W miejscu takim jak to kobiety stanowią rzadki towar.

Komitet organizujący paradę już zaczął rozwieszać chorągiewki na Pierwszy Maja. Nie były czerwone, białe i niebieskie, jak to jest zazwyczaj podczas małomiasteczkowych pochodów. Chociaż, z drugiej strony, dlaczego w Lunacy miałyby być tak jak zazwyczaj? Zamiast tego flagi i chorągiewki przypominały błękitno-zielono-żółte tęcze.

Nate zobaczył orła, który przysiadł na sznurze z ozdobami, jakby wyrażał swoją aprobatę.

Wzdłuż głównej ulicy ludzie ozdabiali zielonymi gałązkami domy i sklepy. Na zewnątrz wisały doniczki i kosze z kwitnącymi stokrotkami i specjalną odmianą ozdobnej kapusty włoskiej. Jak powiedziano Nate'owi, obie rośliny są odporne na chłód. Werandy i okiennice zostały pomalowane świeżą farbą. Miejsce skuterów śnieżnych zajęły motocykle i normalne skutery.

Dzieci zaczęły jeździć do szkoły na rowerach i teraz już częściej można je było zobaczyć w adidasach niż wysokich botkach z króliczego futra.

Tylko nieruchome góry, które wznosiły się nad zieleniejącą doliną i sięgały nieba, uparcie trzymały się zimy, chociaż słońce świeciło już czternaście godzin na dobę.

Nate zaparkował i zaprowadził psy na wybieg. Biegły z podkulonymi ogonami, smutno na niego zerkając.

– Wiem, wiem, co was boli. – Przykucnął i wsunął palce przez ogrodzenie, żeby mogły go polizać. – Jak złapię tego drania, wasza pani przestanie się o was martwić. Wtedy będziecie mogły zostać w domu i pohasać po podwórku.

Skomlały, kiedy się oddalał, dręczony wyrzutami sumienia. Minał foyer i wszedł do biura Charlene.

– Zatrudniłam na lato trzech studentów. – Poklepała komputer. – Mam tyle rezerwacji, że z pewnością będą mi potrzebni.

– To dobrze.

– Miejscowi przewodnicy też zazwyczaj angażują jakichś młodych ludzi. W lipcu będzie tu mnóstwo studentów.

Kiedy to mówiła, w jej oczach pojawił się błysk, ale bardziej wyglądało to na bunt niż oczekiwanie.

– A więc nie będzie brakowało nam pracy. Charlene...

Zamknął drzwi. – Chcę cię o coś zapytać... Moje pytanie na pewno ci się nie spodoba.

– Czy to byłoby w stanie cię powstrzymać? Nie da się zrobić tego delikatnie.

– Powiedz mi, kto pierwszy spędził noc w twoim łóżku po zniknięciu Gallowaya?

– Nie odpowiadam na takie pytania, Nate. Gdybyś kiedykolwiek się ze mną przespał, wiedziałbyś o tym.

– Nie chodzi o plotki, Charlene, i to nie jest żadna gra. Czy chcesz się dowiedzieć, kto zabił Pata Gallowaya?

– Oczywiście. Czy wiesz, jak trudno zaplanować jego pogrzeb, mając świadomość, że on wciąż leży w kostnicy i trudno powiedzieć, kiedy dokładnie uda się go ściągnąć do domu? Codziennie pytam Binga, jak sądzi, kiedy ziemia będzie wystarczająco miękka, żeby udało się wykopać dół. Wykopać grób dla mojego Pata.

Wyjęła z pudełeczka dwie chusteczki higieniczne i wytarła w nie nos.

– Kiedy moja mama pochowała tatę – powiedział Nate – przez miesiąc snuła się po domu jak duch. Może nawet dłużej. Zrobiła wszystko, co musiała, tak jak ty, ale nie można było do niej podejść. Nie można było jej dotknąć. Była nieobecna. Potem już nigdy nie udało mi się do niej dotrzeć.

Charlene opanowała łzy i odłożyła chusteczki.

– To takie smutne.

– Ty tego nie zrobiłaś. Nie stałaś się duchem, dlatego proszę cię o pomoc. Kto się do ciebie zalecał, Charlene?

– Łatwiej powiedzieć, kto tego nie robił. Byłam młoda i nieźle wyglądałam. Powinieneś mnie wtedy zobaczyć.

Coś w niej drgnęło. Wyciągnął rękę, by to pochwycić. Wtedy wybuchnęła.

– Byłam sama! Nie wiedziałam, że on nie żyje. Gdybym wiedziała, nie

spieszylabym się tak bardzo... Byłam nieszczęśliwa, byłam wściekła, a mężczyźni kręcili się koło mnie jak rój os, dlaczego zatem nie miałam wybrać któregoś z nich? Wybrać wielu z nich?

– Nikt cię o to nie wini.

– Najpierw przespałam się z Johnem. – Wyprostowała się i wrzuciła chusteczki higieniczne do kosza. – Wiedziałam, że się we mnie kocha, poza tym zawsze był taki słodki. Troskliwy – wyznała z prawdziwym żalem. – Więc sama do niego poszłam. Nie tylko do niego. Szłam jak burza. Łamałam serca i rozbijałam małżeństwa. Nic mnie to nie obchodziło.

Uspokoiała się i po raz pierwszy sprawiała wrażenie cichej, niemal zamyślanej.

– Nikt nie zabił Pata z mojego powodu, a nawet jeśli naprawdę to zrobił, niepotrzebnie się wysiłał. Ponieważ żaden z nich nigdy nic dla mnie nie znaczył. Nigdy nie dałam im więcej, niż od nich dostałam. Pat nie zginął z mojego powodu. Gdyby tak było, słowo daję, nie wiem, czy umiałabym się z tym pogodzić.

– Nie zginął przez ciebie. – Podszedł i delikatnie rozmasował jej plecy. – Naprawdę.

Uniosła rękę i położyła ją na jego dłoni.

– Czekałam, kiedy wróci. Chciałam, aby zobaczył, że za nim nie płaczę, i znów mnie zapragnął. Klnę się na Boga, Nate, chyba czekałam na niego, póki nie przyszedłeś tu z Meg. Czekałam na niego, póki go nie znaleziono.

– Wróciłby do ciebie.

Kiedy przecząco potrząsnęła głową, ścisnął mocniej jej ramię.

– Gdy człowiek robi to, co ja, musi dobrze poznać ofiarę. Musi poznać ją lepiej, rozumieć lepiej, o wiele lepiej niż ludzie, którzy znali ją za życia. Na pewno by wrócił.

– To najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział – wyznała po chwili. – Zwłaszcza że powiedział to ktoś, kto nie próbuje wskoczyć do mojego łóżka.

Poklepał ją po plecach, potem wyjął kolczyk z kieszeni.

– Poznajesz tę błyskotkę?

– Hmm. – Ponownie wytarła nos, a potem osuszyła palcami rzęsy. – Dość ładny, ale chyba męski. Nie lubię takich rzeczy. Wolę ozdoby, które bardziej rzucają się w oczy.

– Czy mógł należeć do Pata?

– Do Pata? Nie, Pat nie nosił takich kolczyków. Nie uznawał żadnych

krzyżyków. Żadnych symboli religijnych.

– Czy kiedykolwiek wcześniej to widziałaś?

– Nie sądzę, a nawet jeśli tak, nie zapamiętałabym. To? nieciekawa ozdoba.

Zaczął pokazywać kolczyk wszystkim po kolei i obserwował reakcje. Ponieważ Bing właśnie jadł w Lodge śniadanie, Nate podszedł do jego stolika i podsunął mu pod nos wiszący między palcami krzyżyk.

– Zgubiłeś to?

Bing jedynie zerknął na kolczyk, po czym spojrzał ze złością na Nate'a.

– Kiedy po raz ostatni powiedziałem panu, że coś mi zginęło, miałem tylko kupę nieprzyjemności.

– Lubię, gdy przedmioty wracają do swojego prawowitego właściciela.

– Nie jest mój.

– Może wiesz, czyj?

– Nie przyglądam się uszom innych ludzi. Nie mam również zamiaru ani chwili dłużej patrzeć na pańską twarz.

– Też się cieszę, że cię widzę, Bing.

Schował kolczyk. Jak zauważył Nate, Bing skrócił brodę o jakieś dwa, może trzy centymetry. Przypuszczalnie w taki właśnie sposób przygotował się na lato.

– Przypomnij sobie luty tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Nie mogę znaleźć nikogo, kto miałby absolutną pewność, że przez cały tamten miesiąc byłeś w Lunacy. Kilku osobom wydaje się natomiast, że gdzieś wtedy wyjeżdżałeś.

– Ludzie powinni tak jak ja pilnować swojego nosa.

– Max też w tym czasie wyjechał, a jak słyszałem, trochę wtedy wzdychałeś do Carrie.

– Nie bardziej niż do każdej innej kobiety.

– Wydaje się, że miałeś wówczas szansę, by coś zdziałać.

Sprawiasz na mnie wrażenie faceta, który nie lubi przepuszczać okazji.

– Nie była zainteresowana, więc po co miałem tracić czas? Cholera jasna! Łatwiej poszukać jakiejś niezłej kobitki i zapłacić jej za godzinny numerek. Może tamtej zimy rzeczywiście byłem w Anchorage. Urzędowała tam prostytutka o imieniu Kate. Czasami korzystałem z jej usług. Galloway też. Jego sprawa.

– Kurwiasta Kate?

– Taak. Nie żyje. Cholerna szkoda. – Wzruszył ramionami, nie przerywając

jedzenia. – Podobno między jednym klientem a drugim padła na zawał serca. Tak przynajmniej mówią. – Wychylił się do przodu. – Nie zabiłem tego psa.

– Tak przynajmniej mówisz. Odnoszę wrażenie, że jego śmierć bardziej cię poruszyła niż śmierć obu panów.

– Zazwyczaj panowie lepiej potrafią się zatroszczyć o siebie niż stary, ślepy pies. Może rzeczywiście byłem w wielkim mieście tamtej zimy. Może nawet w wahadłowych drzwiach Kate natknąłem się na Gallowaya. Guzik mnie to obchodzi.

– Rozmawiałeś z nim?

– Inne rzeczy chodziły mi wtedy po głowie. Jemu też. Grał właśnie w pokera. Nate uniósł brwi, udając, że jest lekko zaskoczony i zainteresowany.

– Tak? Nagle okazuje się, że pamiętasz całkiem sporo szczegółów.

– Bez przerwy muszę patrzeć na pańską twarz, no nie? Psuje mi pan apetyt, więc zacząłem się zastanawiać.

– Grałeś wtedy w pokera?

– Pojechałem odwiedzić kurewkę, nie grać w pokera.

– Czy wspomniał, że wybiera się na No Name?

– Na litość boską, właśnie podciągał spodnie, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy spuszczę swoje. Żaden z nas nie myślał wtedy o pogaduszkach. Powiedział, że ma dobrą passę, jedynie na chwilę wstał od stolika, żeby wpaść do Kate, i właśnie wraca do gry. Kate wspomniała, że w tym lokalu aż roi się od panów z Lunacy, ale to jej odpowiadało. Interes dobrze szedł. Potem oboje zajęliśmy się czymś innym.

– Czy po załatwieniu swoich spraw widziałeś jeszcze Gallowaya?

– Nie przypominam sobie. – Bing skubał jedzenie. – Może przyszedł wtedy jeszcze do baru, może nie. Wyjechałem do Ike'a Transky'ego, trapera, który mieszkał w pobliżu Skwenty, posiedziałem u niego kilka dni i trochę popolowałem, trochę połowiłem w przeręblu. Potem wróciłem do Lunacy.

– Czy Transky może to potwierdzić?; Bing spojrzał twardo na Nate'a.

– Nikt nie musi potwierdzać moich słów. Zresztą Ike i tak nie żyje. Umarł w dziewięćdziesiątym szóstym roku.

Co za zbieg okoliczności – pomyślał Nate, wychodząc. Dwoje ludzi, którzy mogli stanowić alibi Binga, rozstało się z tym światem. Można też spojrzeć na to wszystko z innej strony.

Ktoś zostawił obok martwego psa ukradzione rękawiczki i ukradziony nóż.

Rzeczy należące do człowieka, który widział się z Gallowayem i nawet z nim rozmawiał.

Nate bez trudu wyobraził sobie, jak Galloway wraca do stolika albo zatrzymuje się na drinka z przyjaciółmi.

„Zgadnijcie, na kogo nadziałem się w drzwiach Kurwiastej Kate?” Jaki ten świat jest mały – pomyślał Nate. Dobry, stary świat. Jeśli Bing powiedział prawdę, morderca może się martwić, że podczas rozmowy Galloway wspomniał coś o innych mieszkańcach Lunacy, grających w pokera i korzystających z usług tej samej prostytutki.

Nate postanowił w drodze na posterunek zatrzymać się w kilku miejscach i pokazać paru osobom dowód rzeczowy.

Po południu pokazał kolczyk swojemu zastępcy.

Otto wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, co to takiego.

Ostatnio panował między nimi chłód, stosunki stały się sztywne i formalne. Nate żałował, że nie jest tak jak dawniej, niestety nic nie mógł na to poradzić.

– Zawsze myślałem, że krzyż maltański to symbol bardziej wojskowy niż religijny.

Otto nawet nie mrugnął powieką.

– Marines nie noszą kolczyków.

– Taak.

Tak samo jak wcześniej Nate włożył kolczyk z powrotem do kieszeni i zapiał ją.

– Słyszałem, że pokazujesz ten drobiazg każdemu, kto nawinie ci się pod rękę. Ludzie zastanawiają się, dlaczego komendant policji poświęca tyle czasu zgubionemu kolczykowi.

– Staram się być pożyteczny – powiedział Nate beztrąsko.

– Panie komendancie – wtrąciła się Peach. – Ginny Mann z Rancor dzwoni, że w jej garażu urzęduje niedźwiedź. Mąż wyjechał na polowanie – dodała Peach, – Ginny została w domu sama z dwuletnim dzieckiem.

Kiedy skręcili w wyboistą drożynę ponad dwa kilometry od miasta, Otto zerknął na Nate'a.

– Mam nadzieję, że nie każesz mi szarżować autem na biedne zwierzę, a sam nie będziesz strzelał z okna samochodu tuż nad głową głupiego misia.

– Zobaczymy, co będzie. Co, do diabła, niedźwiedź może robić w garażu?

– Na pewno nie naprawia gaźnika. Kiedy Nate prychnął, na twarzy Ottona pojawił się uśmiech.

Spowaźniał, kiedy przypomniał sobie, jak ostatnio wyglądają ich relacje.

– Najprawdopodobniej ktoś zapomniał zamknąć drzwi. Może mają tam puszkę z karmą dla psów albo ptaków. Albo głupi miś wszedł sprawdzić, czy nie ma czegoś ciekawego.

Gdy podjechali pod dwukondygnacyjny drewniany domek, Nate zauważył, że rzeczywiście drzwi garażu są otwarte. Nie widział, czy to niedźwiedź zrobił taki bałagan, czy po prostu Mannowie rzucają rzeczy, gdzie popadnie.

Ginny pojawiła się w drzwiach wejściowych. Rude włosy spięła na czubku głowy, a jej luźny, zbyt obszerny podkoszulek i ręce były poplamione farbą.

– Dość długo krążył dookoła. Od dwudziestu minut rozrabia w garażu. Myślałam, że sobie pójdzie, ale boję się, że może próbować wyważyć drzwi i dostać się do domu.

– Nie wychodź, Ginny! – rozkazał Nate.

– Widziałaś go?

– Widziałam go przed domem, kiedy się zbliżał. – Za jej plecami słychać było płacz dziecka i szaleńcze ujadanie psa. – Trzymałam psa w domu i byłam na piętrze w swoim studiu gdy Roger zaczął szczekać. Obudził dziecko. Chyba zwariuję od tego hałasu. To niedźwiedź brunatny. Duży, ale nie wygląda na dorosłego.

– Niedźwiedzie są z natury bardzo ciekawskie – wyjaśnił Otto, gdy sprawdzili strzelby i zaczęli zbliżać się do garażu. – Jeśli jest młody, prawdopodobnie tylko myszkuje i ucieknie gdy nas zobaczy.

Nate zauważył, że na tyłach domu Mannowie wyznaczyli liną kawałek ziemi na ogródek. Wyraźnie niedźwiedź przeszedł po nim, a potem przez jakiś czas przeglądał zawartość plastikowej skrzynki ze starymi gazetami i katalogami wysyłkowymi.

Nate przeskakał wzrokiem najbliższą okolicę. Machnął ręką, zauważywszy brązowy kształt między drzewami.

– Tam jest.

– Spróbujmy go trochę przestraszyć, żeby uciekł i nie wracał.

Otto dwukrotnie wypalił w powietrze. Nate z pewnym rozbawieniem patrzył, jak zwierzę powoli podnosi tłusty zad i zaczyna biec.

Nagle zdał sobie sprawę, że przygląda się temu niecodziennemu widowisku

u boku człowieka, który znajduje się na jego liście podejrzanych.

– Łatwo nam poszło.

– Nie zawsze tak jest.

– To prawda. Kilka dni temu Meg i ja musieliśmy zastrzelić podobną bestię.

– Czy to właśnie niedźwiedź okaleczył jej psa? Słyszałem, że ma ślady po pazurach.

– Taaak. Nas też rozszarpałby na kawałki, gdybyśmy go wcześniej nie załatwili. Ktoś porozwieszał wokół domu przynętę.

Oczy Ottona zamieniły się w szparki.

– O czym, ty, do diabła, mówisz?!

– O tym, że ktoś porozwieszał wokół domu Meg plastikowe torby ze świeżym mięsem.

Otto zacisnął usta, potem gwałtownie się odwrócił i przeszedł kilka kroków. Nate położył dłoń na kolbie swojej broni.

– Pytasz, czy to byłem ja? – Otto wrócił i stanął nos w nos z Nate'em. – Chcesz wiedzieć, czy postąpiłbym tak tchórzliwie? Tak nikczemnie? Czy mógłbym tak zaaranżować sytuację, żeby niedźwiedź rozerwał dwie osoby na kawałki? Do tego jedną z nich miałyby być kobieta?

Dwukrotnie dźgnął Nate'a palcem w klatkę piersiową.

– Pogodziłem się z faktem, że umieściłeś mnie na liście podejrzanych o zabójstwo Gallowaya, przeżyłem to, że podejrzewasz mnie również o zabicie Maxa. Wkurzyło mnie, że zaliczasz mnie do osób, które mogły zabić Yukona, ale przełknąłem urazę. Niech mnie diabli, jeśli przełknę i to. Byłem żołnierzem piechoty morskiej. Wiem, jak w razie potrzeby zabić człowieka. Wiem, jak zrobić to szybko, co więcej, znam kilka miejsc, gdzie mógłbym wrzucić ciało tak, żeby nikt go nigdy nie znalazł.

– Tak przypuszczałem. Stąd moje pytanie, Otto. Ponieważ znasz ludzi, może zdołasz mi podpowiedzieć, kto mógł upaść aż tak nisko?

Otto drżał. Nate wiedział, że jego zastępca wciąż jest wściekły. Trzymał w ręce strzelbę, lecz pomimo potwornej złości jej lufa była skierowana w dół.

– Nie wiem, ale ten człowiek nie zasługuje na to, żeby żyć.

– Kolczyk, który ci pokazałem, należy do niego.

W oczach Ottona pojawiło się zaciekawienie, które wzięło górę nad złością.

– Znalazłeś go u Meg?

– Nie, w pieczarze Gallowaya. Dlatego musimy się zastanowić, kogo

Galioway lubił, kto w jego przekonaniu mógł poradzić sobie z zimową wspinaczką? Kto zyskał coś na jego śmierci? Kto to nosił? – dodał, klepiąc się po kieszeni. – Kto uważał się wtedy za twardziela i mógł wyjechać z miasta na dwa tygodnie, nie wywołując żadnych komentarzy wśród mieszkańców?

– Dopuszczasz mnie z powrotem do śledztwa?

– Taak. Idź i powiedz Ginny, że niedźwiedź sobie poszedł.

Trudno powiedzieć, która z pań była bardziej zaskoczona, kiedy Meg przyjechała zabrać psy: ona czy Charlene, która została przyłapana na tym, że karmiła resztkami ze stołu pupilów swojej córki.

– Nie rozumiem, dlaczego to wszystko miałyby się zmarnować. Twoje psy nie cierpią zamknięcia.

– Muszę je zamykać, póki Buli nie wyzdrowieje.

– Co mu się stało?

– Niedźwiedź go dopadł.

– Wielki Boże! Ma szczęście, że skończyło się na kilku zadrapaniach.

Charlene kucnęła i zaczęła rozczulać się nad Bullem.

– Biedna dziecinka.

– Zawsze zapominam, że lubisz psy. Nigdy nie trzymałaś żadnego zwierzęcia.

– Miałam wystarczającą ilość roboty.

Kiedy Charlene obejrzała się przez ramię, pierścionek Meg błysnął w promieniach słonecznych.

– Słyszałam już o tym.

Chwyliła rękę córki i wstając, podciągnęła klejnot niemal pod nos.

– Joanna z kliniki go widziała, powiedziała o tym Rose, a Rose mnie.

Wolałabym dowiedzieć się o tym od ciebie. Naprawdę Nate spadł ci z nieba.

– Taak, miałam dużo szczęścia.

– Taaak, miałaś dużo szczęścia.

Charlene puściła rękę Meg i zaczęła się oddalać. Nagle zatrzymała się.

– On też miał dużo szczęścia.

Meg przez chwilę nie odezwała się ani słowem.

– Czekam na cios między oczy.

– Nie będzie żadnego ciosu między oczy. Ładnie wyglądacie razem, lepiej, gdy jesteście razem niż osobno. Jeśli koniecznie masz zamiar wyjść za kogoś za mąż, to poślub mężczyznę, przy którym dobrze się prezentujesz.

– Czy nie ważniejsze, żebym była przy nim szczęśliwa?

– To właśnie miałam na myśli.

– To dobrze. To bardzo dobrze – powtórzyła Meg.

– Hmm. Może urzędę ci przyjęcie? Przyjęcie zaręczynowe.

Meg wsadziła ręce do kieszeni dżinsowej kurtki.

– Nie mamy zamiaru długo czekać, za jakiś miesiąc chcemy wziąć ślub, więc chyba niepotrzebne nam będzie przyjęcie zaręczynowe.

– No cóż, nieważne.

– Charlene! – powiedziała Meg, nim Charlene zdążyła się oddalić. – Może pomogłabyś mi zorganizować wesele.

Obserwowała, jak przez twarz Charlene przemyka radość i zaskoczenie.

– Nie chcę słyszeć o żadnej wielkiej imprezie, zależy mi na skromnym przyjęciu w domu. Przyjęciu na sporą liczbę osób. Jesteś dobra w organizowaniu takich uroczystości.

– Chętnie ci pomogę. Nawet jeśli nie chcesz hucznej imprezy, powinno być dobre jedzenie i dużo alkoholu. Co więcej, powinno być ładnie. Kwiaty, różne ozdoby. Możemy się nad tym zastanowić.

– Zgoda.

– Teraz... teraz mam coś do załatwienia. Może pogadałybyśmy jutro?

– Może być jutro. Posłuchaj, a może, skoro psy już jadły, mogłabym zostawić je jeszcze na chwilę i zrobić zakupy?

– W takim razie do zobaczenia jutro.

Charlene oddaliła się szybko, nie czekając, aż Meg zmieni zdanie. Poszła prosto do pokoju Johna i zapukała do drzwi.

– Otwarte.

Siedział przy swoim małym biurku, ale kiedy Charlene weszła, wstał.

– Witaj, Charlene. Przepraszam. Porządkuję papiery. Muszę to zrobić.

– Nie wyjeżdżaj. – Oparła się o drzwi. – Proszę, nie wyjeżdżaj.

– Nie mogę zostać. Muszę wyjechać. Złożyłem wypowiedzenie. Pomagam Hopp znaleźć kogoś, kto by mnie zastąpił.

– Nikt cię nie zastąpi, Johnie, niezależnie od tego, co sądzisz... na temat innych mężczyzn. Byłam dla ciebie niedobra. Wiedziałam, że mnie kochasz, ale nie przywiązywałam do tego zbyt wielkiej wagi. Cieszyła mnie świadomość, że jest ktoś, na kogo w razie potrzeby zawsze mogę liczyć, jednak nie umiałam tego odpowiednio docenić.

– Wiem. Aż za dobrze o tym wiem, Charlene. W końcu zdobyłem się na to,

żeby spojrzeć prawdzie w oczy.

– Proszę, wysłuchaj mnie. – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem i skrzyżowała ręce na piersiach. – Boję się, dlatego muszę to powiedzieć, nim zabraknie mi odwagi. Podobało mi się, że mężczyźni mnie pragną, że patrzą na mnie pożądliwym wzrokiem. Lubiłam brać ich do łóżka, zwłaszcza młodych. Dzięki temu przynajmniej w ciemności mogłam wierzyć, że jeszcze nie mam czterdziestki.

Dotknęła swojej twarzy.

– Wkurza mnie to, że się starzeję, Johnie, że każdego dnia odkrywam na twarzy nowe zmarszczki. Dopóty, dopóki mężczyźni mnie pragną, mogę udawać, że tych zmarszczek nie ma. Od dawna jestem przerażona i zła. Zmęczyło mnie to.

Zrobiła krok do przodu.

– Proszę, nie wyjeżdżaj, Johnie. Nie opuszczaj mnie. Jesteś od czasów Pata jedynym człowiekiem, przy którym mogę odpocząć, zaznać odrobiny spokoju. Nie wiem, czy cię kocham, ale bardzo bym chciała. Jeśli zostaniesz, spróbuję cię pokochać.

– Nie jestem Karlem Hidelem, Charlene. I już dłużej nie będę milczał. Nie chcę szukać pocieszenia w książkach, w czasie kiedy ty będziesz się zabawiać z innymi mężczyznami.

– Nie będzie nikogo innego. Jeśli zostaniesz i dasz mi szansę, przyrzekam, że nie będzie innych mężczyzn. Nie wiem, czy cię kocham – powtórzyła – ale na myśl o życiu bez ciebie boli mnie serce.

– Po raz pierwszy od ponad szesnastu lat przyszedłeś do mojego pokoju, żeby ze mną porozmawiać. Powiedzieć mi coś ważnego. Długo na to czekałem.

– Powiedz, że nie za długo.

– Nie wiem. Chyba żadne z nas tego nie wie. Więc przypuszczalnie będziemy musieli to sprawdzić.

Nate przypiął odznakę do koszuli w kolorze khaki z plaketką komendy policji w Lunacy na rękawie. Czcigodna pani burmistrz poinformowała go, że podczas obchodów Pierwszego Maja powinien mieć na sobie bardziej oficjalny strój.

Kiedy przypiął broń, Meg tylko mruknęła:

– Gliniarze są tacy seksowni. Może wróciłbyś do łóżka?

– Muszę być wcześniej. Prawdę mówiąc, już tam powinienem być. Wliczając uczestników parady, w mieście będzie dzisiaj około dwóch tysięcy ludzi. Hopp

i Charlene prowadziły szeroko zakrojoną kampanię reklamową.

– Kto nie uwielbia parad? W porządku, skoro już jesteś taki oficjalny, daj mi dziesięć minut, to dostarczę cię do miasta samolotem.

– Dłużej potrwa sprawdzenie wszystkich urzędów i wzbicie się w powietrze niż dojazd samochodem. Poza tym nie będziesz gotowa za dziesięć minut.

– Będę, jeśli zejdziesz na parter i zaparzysz kawę. Kiedy z westchnieniem zerkał na zegarek, Meg wbiegała już do łazienki.

Gdy wrócił z dwoma kubkami kawy, wkładała czerwoną spódnicę i biały podkoszulek.

– Możesz uznać, że jestem zdziwiony.

– Umiem gospodarować czasem, spryciarzu. Dzięki temu po drodze będziemy mogli porozmawiać o ślubie. Zdołałam wybić Charlene z głowy pomysł, żeby wypożyczyć pergolę i pokryć ją różowymi różami.

– Co to jest pergola?

– Zabij mnie, ale na pewno nie będziemy jej mieli. Charlene jest zła, ponieważ twierdzi, że to jest nie tylko romantyczne, ale też stanowi najważniejszy akcent na wszystkich zdjęciach ślubnych.

– Cieszę się, że stosunki między wami tak dobrze się układają.

– To nie potrwa długo, ale na razie przynajmniej do pewnego stopnia ułatwia mi życie.

Wypiła kawę.

– Dwie minutki na makijaż – powiedziała, z powrotem wbiegając do łazienki.

– Ona i Wielki Mike obmyślają, jak ma wyglądać ogromny weselny tort. Zostawiłam jej tę decyzję. Lubię torty. Natomiast nie zgadzamy się co do kwiatów; nie chcę utonąć w różowych różach. Zgodziłyśmy się za to w kilku innych sprawach. Mamy zamiar zatrudnić zawodowego fotografa. Zwykle fotki są wspaniałe, ale w końcu to nie lada okazja, więc potrzebny będzie profesjonalista. No i Charlene uważa, że powinieneś kupić sobie nowy garnitur.

– Mam garnitur.

– Powiedziała, że musisz kupić nowy, popielaty. Stalowy, nie jasnoszary. A może właśnie jasnopopielaty, a nie stalowy? Nie wiem. Jeśli o to chodzi, panie Burkę, rzucam pana na pożarcie lwom. Kłóć się z nią.

– Mogę kupić sobie garnitur – wymamrotał. – Mogę kupić popielaty garnitur. Czy muszę sam wybierać bieliznę?

– Spytaj Charlene. Gotowe. Chodź. Nie jesteś jeszcze gotowy? Przez ciebie

parada zacznie się później, niż planowano.

Wybuchnęła śmiechem i zbiegła po schodach, udając, że przed nim ucieka.

Byli w drzwiach, kiedy Nate się zatrzymał, ponieważ w końcu fragment układanki wskoczył na swoje miejsce, a on przypomniał sobie to, czego od tak dawna szukał w pamięci.

– Fotki. Cholera jasna!

– O co chodzi?

Meg przeczesала palcami włosy, patrząc, jak Nate z powrotem wędruje na piętro.

– Chcesz wziąć aparat fotograficzny? Ach, ci mężczyźni! Jezu! Potem narzekają, że to oni muszą zawsze czekać na kobiety.

Pobiegła za nim, potem ze zdumieniem patrzyła, jak Nate wyjmuje z szafy jej albumy i pudełka ze zdjęciami, po czym wszystko wyrzuca na łóżko.

– Co ty robisz?

– On tu jest! Przypomniałem sobie. Jestem tego pewien.

– Kto tu jest? Co robisz z moimi zdjęciami?

– On tu jest! Letni piknik! Nie, nie... zdjęcie przy ognisku. Albo... niech to wszyscy diabli!

– Zaczekaj chwilę! Skąd wiesz, że są tu zdjęcia z letniego pikniku albo ogniska?

– Myszkowałem w twoich rzeczach. Ochrzanisz mnie później, dobrze?

– Masz to jak w banku.

– Chodzi mi o kolczyk, Meg. Widziałem go, gdy przeglądałem twoje zdjęcia. Wiem, że go widziałem.

Odsunęła go na bok i chwyciła gruby plik zdjęć.

– Kto go miał? Kogo widziałeś?

Sprawdzała fotografie i wyrzucała je w powietrze, tak że fruwały jak papierowe samolociki.

– To było zdjęcie grupowe – mruknął, starając się dokładniej sobie wszystko przypomnieć. – Z przyjęcia? Świąt?... Z Bożego Narodzenia.

Chwycił album, po który wyciągnęła rękę, i otworzył na ostatnich stronach.

– Jest.

– Sylwester. Pozwolili mi zostać dłużej na nogach. Sama zrobiłam to zdjęcie.

Drżącą ręką zsuwała plastik i wyjmowała fotkę. W rogu widać było kawałek choinki, kolorowe światełka i rozmazane bańki. Mała Meg podeszła blisko,

dzięki czemu widać było twarze, prawie same twarze, chociaż przypominała sobie, że ojciec trzymał na kolanach gitarę.

Śmiał się, mocno przytulał do siebie Charlene, przyciskał policzek do jej twarzy. Max pochylał się nad nimi zza kanapy, ale Meg obcięła mu czubek głowy.

Po drugiej stronie ojca siedział mężczyzna. Widać było jego lekko odwróconą głowę. Wyraźnie uśmiechał się do kogoś w głębi pokoju.

Z ucha zwisał mu krzyżyk maltański.

– To żaden dowód, Meg, przynajmniej nie na sto procent.

– Niech mi pan nie wciska gliniarskiego kitu, panie Burkę. Nate prowadził, Meg siedziała z rękami mocno przyciśniętymi do brzucha, jakby coś ją bolało.

– To nie jest kit. To tylko poszlaka. Dobra poszlaka, ale jednak poszlaka.

Mózg Nate'a przez cały czas ciężko pracował, Nate przyglądał się całej sprawie pod każdym możliwym kątem.

– Przede mną ten kolczyk miały w rękę przynajmniej dwie osoby. Bynajmniej nie byli to eksperci medycyny sądowej. To częsty wzór. Prawdopodobnie w tamtych czasach były tysiące takich kolczyków. Mógł go zgubić, dać komuś, pożyczyć.

Fakt, że miał go na zdjęciu zrobionym ponad szesnaście lat temu, wcale nie dowodzi, że był w górach. Nawet kiepski obrońca bez trudu dowiódłby przed sądem, że kolczyk o niczym nie świadczy.

– On zabił mojego ojca.

Ed długo żywi urazę, jak powiedziała Hopp po wypadku z Hawleyem.

Nate przypomniał sobie linie, którymi połączył poszczególnych ludzi. Galiowaya z Maxem, Gallowaya z Bingiem, Gallowaya ze Stevenem Wise'em.

Teraz można było dodać ich więcej. Powiązać Woolcotta z Maxem – Ed jako troskliwy stary przyjaciel pomagał wdowie przy organizowaniu pogrzebu. Woolcotta z Bingiem – celowe zamieszanie wokół mężczyzny, który mógł coś wiedzieć, mógł sobie przypomnieć przelotną rozmowę sprzed szesnastu lat.

Poprzecinane opony Hawleya i pomalowany sprayem samochód – zemsta, która miała wszelkie znamiona szczeniackiego aktu wandalizmu.

Pieniądze. Ed Woolcott był bankierem. Gdzie lepiej ukryć nagły przyrzuć gotówki, jeśli nie we własnym banku?

– Ten drań, Woolcott, zabił mojego ojca.

– Tak. Wiem o tym. Ty wiesz o tym. On o tym wie, ale skazanie go to

zupełnie inna sprawa.

– Pracujesz nad tym od stycznia. Szedłeś krok po kroku, odkrywałeś kawałek po kawałku, chociaż stanowi zasadniczo zamknięli sprawę. Przez cały czas bacznie ci się przyglądałam.

– Pozwól mi dokończyć.

– Jak myślisz? Co mam zamiar zrobić?

Przymrużyła oczy. Wyszła z domu bez okularów przeciwsłonecznych, bez niczego, popychana jedynie chęcią działania.

– Podejść do niego i przystawić mu rewolwer do skroni? Ponieważ słyszał w jej głosie potworny smutek zmieszany z wyraźną złością, ścisnął jej dłoń.

– To nie przekraczałoby twoich możliwości.

– Rzeczywiście.

Z ogromnym trudem odwróciła dłoń i oddała uścisk, chociaż znacznie łatwiej byłoby uwolnić rękę. Samodzielnie radzi sobie z gwałtownymi emocjami.

– Ale chcę zobaczyć jego twarz, Nate. Chcę widzieć jego twarz, gdy będziesz go aresztował.

Przy głównej ulicy tłoczyli się ludzie, którzy zajmowali dogodne miejsca. Na krawężnikach i trotuarach stały przeważnie już pozajmowane składane krzeselka, napoje chłodzące i plastikowe kubki.

Wokół panował spory hałas. Słyszać było krzyki i śmiechy, które przebijały się przez muzykę z KLUN-u.

Z samochodów sprzedawano lody, hot dogi i inne przekąski tak typowe dla wszelkich parad i pochodów. Tęczowe chorągiewki powiewały na wietrze.

Dwa tysiące osób, jak oceniał Nate, a duża część ich to dzieci. Gdyby był normalny dzień, mógłby wejść do banku i spokojnie porozmawiać z Edem w jego biurze.

Pod żadnym względem nie był to jednak normalny dzień.

Nate zaparkował samochód przed posterunkiem i pociągnął Meg za sobą.

– Gdzie Otto i Peter? – spytał Peach.

– Wśród ludzi, tam gdzie powinni być.

Z wyraźną irytacją wygładziła na obfitych biodrach jaskrawożółtą spódniczkę.

– Myśleliśmy, że pojawisz się nieco wcześniej...

– Wezwij ich obu.

– Nate, na boisku szkolnym już ustawiają się setki ludzi. Musimy...

– Wezwij ich obu! – warknął.

Nie zatrzymując się, wprowadził Meg do biura.

– Chcę, żebyś tu została.

– Nie. To głupota i ogromny błąd z twojej strony, a dla mnie poważna obraza.

– On ma licencję na broń.

– Ja też. Daj mi rewolwer.

– Meg, ten człowiek już trzykrotnie popełnił morderstwo. Zrobi wszystko, żeby się bronić.

– Nie jestem przedmiotem, który mógłbyś ukryć w bezpiecznym miejscu.

– Nie mam zamiaru...

– Tak, to właśnie chcesz zrobić. Tak każe ci instynkt, ale postaraj się go pokonać. Nie proszę cię, żebyś nie przynosił swojej pracy do domu, nie skarżę się, gdy koliduje ona z moim życiem. Nie proszę, żebyś był tym, kim nie jesteś. Nie wymagaj więc tego ode mnie. Daj mi broń. Obiecuję, że jej nie użyję, jeśli nie będę musiała. Nie chcę, żeby zginął. Zależy mi na tym, żeby żył. I gnił w więzieniu. Chcę, żeby był zdrowy, bo wtedy będzie mógł gnić bardzo, bardzo długo.

– Chcę wiedzieć, o co chodzi. – Peach stanęła w drzwiach, zacisnęła pięści i wzięła się pod boki.

– Wezwałam obu panów, ale teraz nikt nie pilnuje na ulicach porządku. Grupka chłopców ze szkoły średniej już wciągnęła na maszt zafarbowany stanik, jeden z koni kopnął turystę, który prawdopodobnie sprowokował biedne zwierzę, a pozbawieni mózgow bracia Mackie ściągnęli skądś beczułkę budweisera i już są zalani w pestkę.

Była tak sfrustrowana, że wyrzucała z siebie słowa jak karabin maszynowy.

– Skradli sporą ilość baloników i teraz jak para kretynów maszerują z nimi po ulicy tam i z powrotem. Do Lunacy przyjechało wielu dziennikarzy, Nate, zwrócone są na nas oczy mediów, tymczasem to nie jest obraz miasta, na którego utrwaleniu by nam zależało.

– Gdzie jest EdWoolcott?

– Razem z Hopp w szkole. Mają jechać tym cholernym powozem. A o co chodzi?

– Zadzwoń do sierżanta Cobena, do Anchorage. Powiedz mu, że mam zamiar aresztować podejrzanego o zabicie Patricka Gallowaya.

– Nie chcę go przestraszyć – powiedział Nate swoim zastępcom. – Wolałbym uniknąć użycia siły i paniki wśród tłumów, które tu dzisiaj mamy.

Najważniejsze jest bezpieczeństwo normalnych ludzi.

– We trzech powinno nam to pójść stosunkowo łatwo i szybko.

– Prawdopodobnie tak – przyznał Nate. – Ale nie mam zamiaru dopuścić do tego, by zagrożone zostało bezpieczeństwo turystów czy uczestników parady tylko dlatego, żeby aresztowanie podejrzanego poszło nam łatwo i szybko, Otto. Ed nigdzie się nie wybiera. Na razie nie ma powodu, aby podejmować jakąkolwiek próbę ucieczki. Więc mamy szansę spokojnie go ująć. Podczas parady przynajmniej jeden z nas musi przez cały czas mieć go na oku.

Odwrócił się do tablicy z korka.

– Peach narysowała plan parady. Podejrzany będzie tuż za orkiestrą szkoły średniej. Wyjadą ze szkoły, dotrą do centrum miasteczka i przejadą wzdłuż Lunacy Street. Zatrzymają się tutaj, przy Buffalo Inlet, zawrócą i skierują się w drogę powrotną do szkoły. Tam nie będzie już tłumów, dzięki czemu będziemy mogli zrobić to po cichutku i bez narażania przechodniów.

– Jeden z nas może wrócić na boisko szkolne w czasie, kiedy oni będą na przeciwległym krańcu miasteczka – zaproponował Peter. – i trzeba oczyścić teren z cywilów.

– To właśnie zamierzam zrobić. Zatrzymamy go po cichu, na samym końcu trasy pochodu. Przyprawimy go tutaj i damy znać Cobenowi, że podejrzanym został aresztowany.

– Chcesz go przekazać stanowym? – spytał Otto ze złością. – Ot tak, po prostu, weź go, koleś? Chociaż to ty wykonałeś całą robotę?

– To sprawa Cobena.

– Chrzanianie. Stanowi ją zamknęli. Nie będą chcieli do niej wracać i brudzić sobie rączek.

– To nie do końca prawda – oznajmił Nate. – Ale niezależnie od wszystkiego tak zrobimy. Tak musimy zrobić.

Nie potrzebował już ciężkiej policyjnej pracy ani pochwał. Po prostu chciał doprowadzić sprawę do końca. Przejść od ciemności do światła. Od śmierci do sprawiedliwości.

– Najważniejsze jest bezpieczeństwo przechodniów i aresztowanie podejrzanego. Reszta należy do Cobena.

– To ty jesteś tu szefem. Będę musiał się zadowolić patrzeniem, jak Ed sra w gacie, czując na rękach kajdanki. Ten drań zabił biednego, starego psa.

Otto zerknął na Meg i lekko się zarumienił.

– I innych – dodał. – Pata i Maxa. Pies był ostatni, to wszystko.

– Nie ma sprawy. – Meg uśmiechnęła się do niego ponuro. – W ogóle nie ma sprawy, ale pod warunkiem, że za wszystko odpowiednio zapłaci.

– Taak.

Otto odchrząknął i wbił wzrok w mapę przyczepioną do korkowej tablicy.

– Kiedy będą wracali bocznymi ulicami, stracimy go z oczu – zauważył.

– Nie. Wszystko już przemyślałem. Dwóch cywilów zgłosiło się na ochotnika. Nate zerknął na Jacoba i Binga, którzy stanęli w drzwiach.

– Powiedział pan, że ma pan dla nas jakąś robotę. – Bing podrapał się po brzuchu. – Ile za to dostaniemy?

Meg zaczęła, aż Nate rozda krótkofalówki i roześle mężczyzn na wyznaczone stanowiska.

– Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie?

– U mojego boku.

– W porządku.

Obciągnęła bluzkę, żeby ukryć trzydziestkęósemkę.

– Mogą pytać, dlaczego zgodnie z planem nie przelatujesz samolotem nad miasteczkiem.

– Zepsuł mi się silnik – wytłumaczyła, ruszając w stronę drzwi. – Bardzo mi przykro.

Tłum był barwny, głośny i wesoły, wokół unosiły się zapachy smażonego mięsa i waty cukrowej. Dzieci biegały wokół ozdobionego kwiatami i wstążkami słupka, który ustawiono na tę okazję przed samym ratuszem. Nate widział, że drzwi Lodge są otwarte, a Charlene z werwą obsługuje tych, którzy mieli ochotę na bardziej konkretny lunch, niż to, co można było dostać na ulicy.

Lunacy Street zastawiono barierkami, żeby zatrzymać ruch uliczny. Na jednym z płotków siedziała para nastolatków, a za ich plecami ich koledzy grali w piłkę. Z przeciwległego rogu ekipa telewizyjna z Anchorage filmowała tłum.

Turyści kręcili filmy wideo, przyglądali się rozkładanym stolom albo penetrowali przenośne budki, gdzie sprzedawano biżuterię i wyroby miejscowych rzemieślników. Skórzane torebki ozdobione paciorkami, indiańskie łapacze snów, ozdobne indiańskie maski, eskimoskie namioty ze skór reniferów albo fok, ręcznie plecione koszyki z trawy – wszystko to leżało na składanych stolikach albo deskach ustawionych na kozłach.

Chociaż było ciepło i słonecznie, chętnie kupowano czapki i szaliki z qiviutu,

welny arktycznego wołu pizmowego.

W Italian Place sprzedawano kawałki pizzy na wynos. W „Sklepie na Rogu” były specjalne, jednorazowe aparaty fotograficzne i preparaty przeciwko komarom. Przed drzwiami ustawiono stojak z widokówkami. Sprzedawano po trzy sztuki za dwa dolary.

– Co za przedsiębiorcza miejscina! – skomentowała Meg, gdy przejeżdżali obok.

– To prawda.

– A po dzisiejszym dniu będzie znacznie bezpieczniejsza. Dzięki tobie. Otto miał rację. To dzięki panu, panie komendancie.

– Do usług, madame. Pogłaskała go po rękę.

– Powiedziałaś to jak Gary Cooper, ale masz oczy Clinta Eastwooda z okresu Brudnego Harry’ego.

– Tylko nie... Ufam ci.

– Możesz.

W tej chwili wściekłość zastąpił lodowaty spokój. Gdyby jednak nastąpił wylew, gdyby złość przerwała tamę, Meg umiałaby już sobie z nią poradzić.

– Chcę przy tym być, ale tym razem... możemy powiedzieć, że do ciebie należy unieszkodliwienie niedźwiedzia.

– W porządku.

– Piękny dzień na paradę – dodała po chwili milczenia. – Chociaż powietrze jest takie spokojne. Jakby na coś czekało. – Podjechali pod szkołę. – Chyba na to.

Członkowie orkiestr dętych mieli na sobie błękitne mundurki z mosiężnymi guzikami, a wypolerowane instrumenty błyszcząły w promieniach słońca. Waltornie buczały, gdy dzieci ćwiczyły fragmenty melodii. Dorośli wykrzykiwali ostatnie rozkazy.

Odezwały się bębny.

Drużyna hokejowa już się ustawiała, słychać było stukot kijków, gdy chłopcy zajmowali miejsca w kolumnie. Otwierali paradę, a ich sztandar miał jechać na odkrytym samochodzie Binga. Mikrofony i głośniki sprawdzano, puszczając zespół Queen i We Are the Champions.

– Nareszcie jesteś.

Hopp podbiegła do Nate’a. Tym razem miała na sobie cukierkowo-różowy kostium.

– Myślałam, Ignatiou sie, że będziemy musieli zacząć ten cyrk bez ciebie.

– Załatwiałem w mieście pewne sprawy. Mamy niezłe tłumy.

– I ekipę NBC. Chcą wszystko nakręcić.

Z podniecenia jej policzki stały się niemal tak samo różowe jak kostium.

– Meg, czy nie powinnaś być tam? – wskazała palcem na niebo.

– Silnik odmówił mi posłuszeństwa, Hopp. Bardzo mi przykro.

– Och! Trudno. Nie wiesz, czy Doug Clooney wypłynął już łódką na rzekę? Szukam Peach albo Dęb... Powinny pilnować stadka... Dzieci z nudów same nie wiedzą, co jeszcze mają wymyślić.

– Jestem pewna, że Doug wypłynął, a Dęb pojawi się lada chwila i uspokoi towarzystwo.

– Och. Dobry Boże, zaczynajmy. Edzie! Przestań się muskać. Nie wiem, czemu dałam się namówić na jazdę powozem. Nie mam pojęcia, dlaczego nie mogliśmy wziąć kabrioletu. To bardziej dystyngowany środek lokomocji.

– Ale nie tak widowiskowy.

Ed przyłączył się do nich z promiennym uśmiechem na ustach. Miał na sobie granatowy, trzyczęściowy garnitur i błyszczący krawat w drobne prążki.

– Uważam, że komendant policji powinien jechać powozem razem z nami.

– Może następnym razem – powiedział Nate spokojnie.

– Nie pogratulowałem wam zaręczyn.

Wyciągając rękę, bacznie przyglądał się Nate'owi.

Nate zastanawiał się, czy go nie aresztować właśnie teraz. Mógł powalić go na ziemię i założyć mu kajdanki.

Między nimi przebiegło troje dzieci ze szkoły podstawowej, goniąc się z plastikowymi pistoletami. Dziewczynka z werbelkiem podbiegła, żeby podnieść zgubiony batonik, który upadł tuż koło nóg Nate'a.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam, panie komendancie. Całkiem o tym zapomniałem.

– Nie szkodzi. Dzięki, Edzie.

Wyciągnął rękę, żeby ponownie ją uścisnąć, i po raz drugi pomyślał: może teraz?

W tym momencie podbiegł Jesse i objął rączkami kolana Nate'a.

– Biorę udział w paradzie! – zawołał malec. – Będę ładnie ubrany i pomaszeruję środkiem ulicy. Czy będzie pan na mnie patrzył, panie komendancie?

– Na pewno.

– Wspaniale wyglądasz – skomentowała Hopp.

Kucnęła obok Jesse'ego, gdy chłopczyk z ufnością wsunął rączkę w dłoń Nate'a.

Nie tutaj – pomyślał Nate. Nie teraz. Nie chcę, żeby dzisiaj ktoś odniósł jakieś obrażenia.

– Mam nadzieję, że przyjdiesz na nasz ślub – powiedział do Eda.

– Nie przepuszczę takiej okazji. Nie mogłaś zadowolić się jakimś miejscowym chłopcem, Meg?

– Przetrwał zimę. Teraz jest już miejscowy.

– Pewnie tak.

– Jesse, lepiej wracaj do swojej grupy.

Hopp dała malcowi lekkiego klapsa. Odbiegając, krzyknął jeszcze:

– Patrzcie na mnie!

– Pomóż mi wsiąść do tego piekielnego wehikułu, Edzie. Pora ruszać.

– Będziemy w pobliżu – powiedział Nate, gdy usadowili się w powozie. – Wygląda na to, że tu wszystko jest pod kontrolą. Chcę jeszcze sprawdzić, jak spisują się bracia Mackie.

– Ukradli balony. – Hopp wywróciła oczami. – Słyszałam o tym.

Nate wziął Meg za rękę i odciągnął ją na bok.

– Czy on wie? – spytała.

– Martwię się. Jest tu za dużo ludzi, Meg. Za dużo dzieci, i – Wiem.

Uścisnęła mu rękę. Orkiestra zastukała obcasami.

– Wkrótce będzie po wszystkim. Przejście z jednego krańca miasta na drugi, a potem powrót nie zajmują dużo czasu.

Nate wiedział, że każda minuta będzie ciągnęła się w nieskończoność. Przy takim tłumie, krzykach i wiwatach, przy ogłuszającej muzyce. Zdawał sobie jednak sprawę, że wszystko potrwa najwyżej godzinę, nie więcej, potem będzie mógł go aresztować i nikomu nic się nie stanie. Tym razem wcale nie musi wbiegać w zaułek, nie musi wpadać w ciemność.

Szedł równym, spokojnym krokiem, mijając grupki ludzi i powoli kierując się w stronę centrum miasteczka.

Trzy doboszki tańczyły, machając i podrzucając pałeczkami. Za każdym razem otrzymywały gromkie brawa. Jedna z nich uśmiechnęła się promiennie do Nate'a.

Dyrygent poprawił wysoki kapelusz, a chwilę później zespół zaczął grać We Will Rock You.

Nate zauważył w pierwszym sektorze Petera. Odwrócił głowę i przycisnął wargi do ucha Meg.

– Podejdźmy do faceta z balonikami. Kupię ci balonik. Niech nas wyprzedzą, wtedy nieco dłużej będziemy mieli ich na oku.

– Czerwony.

– Oczywiście.

Zbliżamy się do przeciwległego krańca miasta – pomyślał. Drużyna hokejowa już skończyła swój występ i zawraca do miasta, żeby obejrzyć przyjaciół, wtopić się w tłum. Orkiestra wróci do szkoły, żeby zdjąć mundurki.

Potem się rozejdą. Większość ludzi stąd zniknie, a Peter przegoni tych, którzy będą się ociagać.

Nate zatrzymał się przy kłownie z pomarańczową strzechą na głowie i balonikami w garści.

– Jezu, Harry, to ty?

– To był pomysł Dęb.

– Wyglądasz naprawdę śliczniutko. – Nate lekko się odchylił, żeby widzieć tłum.

– Moja dziewczyna marzy o czerwonym baloniku.

Wyciągnął portfel i jednym uchem słuchał, jak Meg i Harry zastanawiają się nad kształtem balonika. Nate widział, jak Peter przechodzi kawałek chodnikiem, jak mija go orkiestra, wypełniając powietrze głośnymi dźwiękami instrumentów dętych. Potem usłyszał stukot końskich kopyt.

Dzieci z piskiem podbiegły, gdy Hopp i Ed rzucili garść cukierków. Nate podał Harry'emu pieniądze i nadal obserwował spektakl.

Nagle dostrzegł Cobena. Jasne włosy sierżanta błysnęły w promieniach słońca. Ed natychmiast zauważył gliniarza z Anchorage.

– Niech to jasna cholera! Niech to wszyscy diabli! Nie mógł zaczekać?!

Ed wyraźnie spanikował. Widząc to, Nate zaczął torować sobie drogę przez tłum, który stał na chodniku. Wiedział, że nie zdoła dotrzeć na czas. Usłyszał okrzyki i wiwaty, wszystko zlewało się w jeden szum. Ludzie klaskali, gdy Ed wyskoczył z powozu, mimo że sięgnął pod marynarkę i wyciągnął stamtąd rewolwer.

Jakby czekając na wielkie widowisko, tłumy zaczęły się przed nim

rozstępować, kiedy przebiegał na drugą stronę ulicy. Potem rozległy się piski i krzyki, gdy wywracał gapiów na ziemię i deptał po nich.

Torując sobie drogę przez ulicę, Nate usłyszał strzały.

– Padnij! Wszyscy na ziemię!

Przebiegł przez ulicę, przeskakując przez zaszokowanych przechodniów. Nagle dostrzegł Eda na pustym chodniku za samochodami. Bankier trzymał rewolwer przy skroni jakiejś kobiety.

– Cofnij się! – krzyknął. – Rzuć broń i cofnij się! Zabiję ją. Wiesz, że to zrobię.

– Wiem.

Nate słyszał za swoimi plecami krzyki i cichnącą muzykę. Orkiestra oddalała się, nie mając pojęcia, co się dzieje za ich plecami. W tym miejscu przy chodniku stały auta i pikapy. Drzwi wejściowe do okolicznych domów z pewnością nie były pozamykane.

Musiał zrobić wszystko, żeby uwaga Eda przez cały czas była skupiona na nim, nim spanikowany umysł przerażonego uciekiniera każe mu wciągnąć zakładniczkę do któregoś z pobliskich domów.

– Dokąd się wybierasz, Edzie?

– Nie martw się o to. Martw się o nią. – Szarpnął kobietę, aż jej obcasy zastukały na bruku. – Wpakuję jej kulkę w łeb.

– Tak jak Maxowi.

– Zrobiłem to, co musiałem. Tutaj jest to jedyny sposób na przetrwanie.

– Może.

Na twarzy Eda pojawił się pot. Maleńkie kropelki błyszczały w promieniach słońca.

– Ale tym razem się nie wywiniesz. Zastrzelę cię bez chwili zastanowienia. Wiesz o tym.

– Jeśli nie rzucisz broni, będziesz odpowiedzialny za jej śmierć. – Ed odciągnął płaczącą kobietę o następny metr. – Tak jak jesteś odpowiedzialny za śmierć swojego partnera. Jesteś mięczakiem, Burkę. Nie potrafiłbyś żyć z tą świadomością.

– Mnie by to nie przeszkadzało. – Meg stanęła obok Nate'a i wycelowała prosto między oczy Eda. – Znasz mnie, ty draniu. Zastrzelę cię jak chorego konia i nawet nie mrugnę powieką.

– Meg – ostrzegł Nate. – Cofnij się!

– Mogę wcześniej zabić ją lub jedno z was, jeśli będzie taka potrzeba.

– Ją może tak – zgodziła się Meg. – Tyle że ona guzik dla mnie znaczy. No, zastrzel ją. Nim upadnie na ziemię, będziesz martwy.

– Cofnij się, Meg! – Nate podniósł głos i odwrócił wzrok od Eda. – Zrób, co ci mówię, i to natychmiast.

Słyszał ludzkie głosy i tupot nóg. Wiedział, że tłum posuwa się do przodu z ciekawością, fascynacją i przerażeniem biorącymi górę nad zwyczajnym strachem.

– Rzuć broń i puść ją – rozkazał Nate. – Zrób to teraz, a będziesz miał szansę.

Nate zauważył, że Coben usiłuje zająć Eda od tyłu. Zdał sobie sprawę, że mimo wszystko ktoś zginie.

Potem rozpętało się piekło.

Ed odwrócił się i strzelił. Coben przeturlał się przez jezdnię w poszukiwaniu jakiejś osłony. Z rany na ramieniu popłynęła mu strużka krwi. Rewolwer sierżanta upadł na chodnik.

Druga kula trafiła w ścianę tuż za plecami Nate'a. Rozległ się krzyk z tysiąca gardeł.

To wszystko prawie w ogóle nie docierało do Nate'a. Był opanowany i zimny jak lód.

Odsunął Meg do tyłu, pchnął ją, tak że przewróciła się na ziemię. Zakłęła na niego, on tymczasem zrobił krok do przodu i spokojnie wycelował z rewolweru.

– Jediną osobą, która dzisiaj zginie – powiedział ze stoickim spokojem – będziesz, Edzie, ty.

– Co robisz?! – krzyknął Ed, widząc, że Nate idzie prosto na niego. – Co ty, do diabła, robisz?!

– To moja robota. Moje miasto. Odłóż broń albo zabiję cię jak chorego konia.

– Idź do diabła! Ed gwałtownym ruchem pchnął płaczącą kobietę na Nate i dał nura pod samochód.

Nate, nie zwracając uwagi na to, że kobieta osuwa się na chodnik jak szmaciana lalka, przeturlał się pod następnym autem i wyskoczył spod niego na ulicę.

Przykucnął i zerknął, co robi Meg. Pocieszała kobietę, której życie ponoć nic dla niej nie znaczyło.

– Zabij tego drania – warknęła.

Potem zaczęła się czołgać w stronę rannego Cobena. Ed wystrzelił. Kula

rozbiła przednią szybę samochodu.

– Dość tego dobrego! – krzyknął Nate. – Rzuć broń albo sam ci ją odbiorę!

– Jesteś zerem! – W głosie Eda więcej było paniki niż wściekłości. – Nawet nie jesteś stąd.

Popłynęły łzy. Ed wyskoczył z ukrycia i zaczął strzelać jak szalony. Szkło przyskało na boki jak śmiertelnie niebezpieczne gwiazdy, metal brzęczał i dzwonił.

Nate wstał i wyszedł na ulicę z bronią gotową do strzału. Poczul, że coś ukąsiło go w ramię niczym duża, wściekła pszczoła.

– Rzuć broń, ty głupi sukinsynu!

Ed z krzykiem odwrócił się i wycelował.

Nate strzelił.

Ed chwycił się za udo i upadł na ziemię. Policjant szedł do przodu spokojnym krokiem, póki nie dotarł do rewolweru, który Ed wypuścił, upadając.

– Jesteś aresztowany, ty dupku. Ty tchórze – powiedział spokojnie.

Odwrócił Eda na brzuch, jednym szarpnięciem wykręcił mu rękę do tyłu i założył kajdanki. Potem, kucając, powiedział spokojnie, patrząc w pełne bólu, mrugające oczy Eda:

– Strzelałeś do oficera policji.

Bez odrobiny zainteresowania zerknął na strużkę krwi tuż powyżej łokcia.

– Do dwóch. Jesteś skończony.

– Trzeba ściągnąć Kena? – spytała Hopp spokojnie. Kiedy Nate obejrzał się przez ramię, zauważył, że pani burmistrz podchodzi do niego, miażdżąc eleganckimi butami odpryski szkła. Dostrzegł również, że drżą jej ręce i ramiona.

– Nie zaszkodziłoby.

Wskazał brodą na ludzi, którzy zaczęli wysuwać się z aut i innych osłon.

– Trzeba kazać im się cofnąć.

– To pańska robota, panie komendancie. Uśmiechnęła się niepewnie, potem z lodowatą twarzą spojrziała z góry na Eda.

– Ekipa telewizyjna sfilmowała zajście. Przyda się taki dowód przed sądem. Jedno będziemy musieli postawić jasno w wywiadach, które z pewnością czekają nas po całym tym cholernym bałaganie. Teraz ten człowiek jest dla nas kimś obcym. Nie jest jednym z nas.

Z pełną premedytacją odsunęła się od Eda i wyciągnęła rękę do Nate'a, jakby

chciała pomóc mu wstać.

– Za to ty należysz do nas. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, Ignatiousie, i Bogu niech będą za to dzięki.

Kiedy ujął jej dłoń, poczuł, że pani burmistrz drży.

– Czy ktoś odniósł jakieś obrażenia?

– Tylko sińce i zadrapania. – W jej oczach pojawiły się łzy. Zapanowała nad nimi. – Zatroscyłeś się o nas.

– To dobrze.

Kiwnął głową, gdy zobaczył, jak Otto i Peter przeciskają się przez tłum.

Potem podniósł głowę i ujrzał Meg. Kucnęła w jakichś drzwiach i patrzyła mu prosto w oczy. Miała na rękach krew, ale okazało się, że poplamiała się nią, z ogromną wprawą zakładając Cobenowi opatrunek na zranione ramię.

Bezwiednie przetarła ręką policzek, likwidując smużkę krwi. Potem uśmiechnęła się i przesłała Nate'owi całusa.

Na szczęście podczas całej akcji nikt nie zginął, chociaż wielu gapiów odniosło rany, na ogół nie były to jednak zbyt poważne obrażenia: połamane kości, wstrząsy mózgu, rany i siniaki spowodowane przez upadki i panikę.

Straty materialne nie były duże: powybijane okna i szyby samochodów, porozbijane latarnie. Jim Mackie z prawdziwą dumą oświadczył reporterowi NBC, że ma zamiar zostawić dziury po kulach w swoim pikapie.

Uznano, że był to isticie diabelski punkt kulminacyjny pierwszomajowej parady w Lunacy.

Sporo na ten temat mówiono.

Relacje telewizyjne były znacznie obszerniejsze niż wielkość spowodowanych szkód. W krajowych mediach przez kilka tygodni omawiano niespodziewane i dość dziwne aresztowanie Edwarda Woolcotta, domniemanego mordercy Patricka Gallowaya, Człowieka Lodu z No Name.

Nate nie oglądał tych relacji. Ograniczył się do przeczytania reportażu w „The Lunatic”.

Wraz z końcem maja zainteresowanie całą sprawą opadło.

– To był długi dzień – powiedziała Meg, gdy wyszła na werandę i usiadła obok Nate'a.

– Lubię długie dni.

Wręczyła mu piwo i spojrzała na niebo. Dochodziła dziesiąta wieczorem, a wciąż było całkiem jasno.

Jej ogród był już w pełni rozkwitu. Dalia, zgodnie z oczekiwaniami, prezentowały się wspaniale, a ciemnoniebieskie ostróżki miały półtora metra wysokości.

Będą jeszcze wyższe – pomyślała. Mają całe lato, mnóstwo jasnych, długich dni.

Poprzedniego dnia w końcu pochowała ojca. Na pogrzeb przyszli wszyscy mieszkańcy Lunacy, co do jednego. Pojawiły się też i media, ale dla Meg liczyli się tylko miejscowi ludzie.

Charlene była wyjątkowo spokojna. Nawet nie pozowała przed kamerami. Stała wsparta na ramieniu Profesora i zachowywała godność, jakiej Meg nigdy wcześniej u matki nie widziała.

Może między nimi jakoś się ułoży. Może nie. W życiu trudno cokolwiek przewidzieć.

Meg jedno wiedziała na pewno. W przyszłą sobotę, w długi, jasny letni wieczór, mając przed sobą jezioro i góry, poślubi człowieka, którego kocha.

– Powiedz mi wszystko – poprosiła. – Powiedz mi, czego się dzisiaj dowiedziałeś od Cobena.

Nate wiedział, że Meg o to spyta. Wiedział, że bardzo dokładnie będą omawiali tę sprawę, i to nie tylko z powodu jej ojca. Także dlatego, że dla Meg liczyło się to, kim był i co robił jej przyszły mąż.

– Ed zmienił adwokata. Ma teraz jednego z najlepszych obrońców z głębi kraju. Twierdzi, że twojego ojca zabił w obronie własnej. Mówi, że Galloway zwariował, a on w obawie o swoje życie po prostu spanikował. Jest bankierem i ma dokumenty bankowe. Twierdzi, że w marcu tamtego roku wygrał dwanaście tysięcy, które niespodziewanie pojawiły się na jego koncie, ale świadkowie mówią inaczej, w związku z tym taka wersja nie przejdzie. Utrzymuje również, że z całą resztą nie ma nic wspólnego. Absolutnie nic. Myślę, że też nie przejdzie.

Na skraju lasu pojawił się obłok komarów. Brzęczały jak piła łańcuchowa. Nate cieszył się, że przed wyjściem na zewnątrz skorzystał z płynu przeciwko tym owadom.

Odwrócił się i pocałował Meg w policzek.

– Na pewno chcesz tego słuchać?

– Mów dalej.

– Jego żona kompletnie się załamała i spuściła nieco z tonu, więc Ed nie ma

alibi na czas śmierci Maxa i Yukona. Dodaj do tego żółtą farbę, którą znaleziono w jego szopie z narzędziami, i oświadczenie Harry'ego, że Ed kupował u niego świeże mięso dokładnie w tym dniu, kiedy mieliśmy miłe spotkanie z niedźwiedziem. Jeśli połączysz to wszystko ze sobą, otrzymasz całkiem gęstą sieć.

– Nie bez znaczenia jest też fakt, że przystawił rewolwer do głowy turystki, postrzelił gliniarza stanowego i naszego komendanta policji. – Ucisnęła jego biceps. – A wszystko to – dorzuciła – zostało uwiecznione przez kamerzystę NBC. Przeciągnęła się jak kotka. – Niech żyje telewizja! Nasz odważny, przystojny bohater strzelił draniowi w nogę, chociaż sam był ranny...

– To powierzchowna rana.

– ... I załatwił mordercę niczym Cooper w filmie W samo południe. Nie jestem Grace Kelly, ale robi mi się gorąco na samą myśl o tym wydarzeniu.

– Ależ, psze pani. – Zabił ogromnego jak wróbel komara, którego wyraźnie nie powstrzymał płyn przeciwko komarom. – To drobnostka.

– Ja sama też całkiem nieźle wypadłam, chociaż wysłałeś mnie na ten cholerny chodnik.

– Teraz wyglądasz jeszcze lepiej. Adwokaci będą próbowali tłumaczyć jego postępowanie... zmniejszoną poczytalnością, chwilowym zamroczeniem, ale...

– To nie przejdzie – dokończyła Meg.

– Coben go posadzi... albo zrobi to prokurator. Teraz już mu nie popuszczą.

– Gdyby Coben cię posłuchał, posadziłbyś go bez całego tego cyrku.

– Może.

– Nie mógłbyś go zabić.

Nate upił łyżeczek piwa i wsłuchał się w krzyk orła.

– Chciałaś mieć go żywego. Celowałam tak, żeby spełnić twoją prośbę.

– Rzeczywiście ją spełniłeś.

– Ty też byś go nie zabiła.

Meg wyciągnęła nogi, spojrzała z góry na swoje zniszczone buty ogrodowe. Może przydałyby się jej nowe?

– Nie bądź tego taki pewien, Nate.

– Ed nie jest jedyną osobą, która wie, jak sprawić, żeby ktoś połknął haczyk. Ty też nieźle wywiodłaś go w pole. Sprowokowałaś go, żeby odwrócił rewolwer od niej i zaczął strzelać do któregoś z nas.

– Zauważyłeś jej oczy?

– Nie, patrzyłem w jego.

– Ja tak. Widziałam wcześniej takie przerażenie. U królika, któremu łapka uwięzła w potrzasku.

Przerwała, żeby pogłaskać psy.

– Jeśli powiesz mi, że Ed na długo pójdzie do paki, niezależnie od tego, ilu zatrudni najdroższych adwokatów z terenów poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika, uwierzę ci.

– Pójdzie do paki na bardzo, bardzo długo.

– W takim razie dobrze. Sprawa zamknięta. Masz ochotę na spacer nad jezioro?

Położył jej rękę na swoim biodrze.

– Chyba tak.

– A zechcesz potem położyć się na brzegu i kochać się ze mną, póki nie będziemy zbyt słabi, żeby się ruszyć?

– Chyba tak.

– Komary prawdopodobnie zjedzą nas żywcem.

– Czasem warto zaryzykować.

Nate ryzykował – pomyślała. Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

– Wiesz, już wkrótce, uprawiając seks, będziemy robili to całkiem legalnie. Czy wtedy przestanie to być dla nas takie podniecające?

– Ani trochę. – Ponownie spojrzął na niebo. – Lubię długie dni, ale też nie mam już nic przeciwko długim nocom, ponieważ mam teraz własne źródło światła. – Objął ją ramieniem i mocno przytulił. – Ciebie.

Spojrzał na słońce, które niechętnie chyliło się ku zachodowi i połyskiwało na powierzchni zimnej, głębokiej wody. I odbijające się w letnim błękicie surowe, białe góry, w których panowała wieczna zima.